

***DANIELLE STEEL***

***ZOJA***

(Zoya)

Przełożyła Anita Jagodzińska

Kochany Maksie

Nigdy nie bądź za młody i nigdy zbyt stary, niech sił ci zawsze wystarczy by żyć, kochać, poznawać, obdarzaj miłością, bądź pełen dobroci. Niech ci życie udziela swych licznych błogosławieństw i niech cię nie obarcza zbyt wielkim ciężarem. Obyś miał wiatr za plecami i słońce w głębi duszy, naszą miłość nieś w sercu teraz i po wsze czasy.

Tobie i Twojemu Tatusiowi, moje serce zawsze Wam oddane, moja miłość i życie zawsze należą do Was.

D. S.

Zoja

Wędrownka po świecie urzekające miejsca, twarze niezapomniane przeszłości, gasnący szept, obrazy jak chmury przepływają przez pamięć życie tak ją nazywali, nieustanne przemijanie, już nigdy nie będzie jak dawniej, pałace, wspomnienia, marzenia,  
mapa tego co było i co mogło się zdarzyć na co kiedyś patrzyła czarowne życie pałace i bale, wszystko upadło stopniało jak śnieg, odeszło tak szybko jak przelotny deszcz, muzyka, piękno, ból i śmiech przyjaciele odeszli w cień, wspomnienia jakby tkane z mgły, delikatne niczym policzków jej atlas, całe życie minęło trzeba szukać od nowa wszystko trwało tak krótko, cicha, rzewna piosenka zimowa, otulona miłością jak płaszczem, żywot płomienia gorący, lecz jakże szybko gaśnie.

## Część 1

### Sankt Petersburg

#### Rozdział pierwszy

Zoja przymknęła oczy, gdy trojka pędziła po ścietej lodem ziemi. Puszyste płatki śniegu muskały jej policzki wilgotnymi pocałunkami i zamieniały jej rzęsy w koronki. Zasłuchiwała się w rozkołysane dźwięki dzwoneczków. Były dla niej jak muzyka pełna słodyczy. Kochała ich brzmienie od dziecka. Jako siedemnastolatka czuła się już dorosła, była prawie kobietą, ale kiedy Fiodor popędzał swoim batem lśniące, czarne konie... szybciej... coraz szybciej... przez śnieg, miała uczucie, że wciąż jest małą dziewczynką. Kiedy otworzyła oczy, widać już było wioskę, za którą znajdowało się Carskie Sioło. Uśmiechnęła się do siebie, gdy udało się jej wypatrzeć bliźniacze pałace w oddali, i zsunęła jedną z grubych, podszytych futrem rękawiczek, by zobaczyć, ile czasu minęło. Obiecała matce, że wróci do domu na kolację... i wróci... jeżeli pogawędki nie przeciągną się zbyt długo, ale... czy mogły się nie przeciągnąć? Maria była jej najdroższą przyjaciółką, bliską jak siostra. Stary Fiodor obejrzał się i uśmiechnął, widząc jak ona śmieje się podekscytowana. Dzień był wspaniały. Lekcje baletu zawsze sprawiały jej radość. Taniec to była dla niej wyjątkowa przyjemność, jej pasja od wczesnego dzieciństwa; czasami zwierzała się Marii w tajemnicy, że najchętniej uciekłyby do Teatru Maryjskiego, by mieszkać tam i ćwiczyć dniami i nocami jak inne tancerki. Sama myśl o tym wywołała uśmiech na jej twarzy. O takim marzeniu nie można było nawet głośno mówić. Ludzie z jej sfery nie zostawiali zawodowymi tancerzami. Ale miała dar do tańca, wiadomo było o tym, odkąd ukończyła pięć lat. Lekcje z madame Nastową umożliwiły jej uczenie się tego, co lubiła najbardziej. Ciężko pracowała, ćwicząc przez wiele godzin i wyobrażając sobie, że pewnego dnia odkryje ją wielki mistrz Fokin. Wkrótce myśli jej oderwały się od baletu i powróciły do przyjaciółki z dzieciństwa, kiedy trojka mknęła przez wieś na spotkanie z kuzynką Marią. Ojciec Zoi, Konstanty, i car byli dalekimi kuzynami i, podobnie jak matka Marii, jej matka była również Niemką. Wszystko łączyło ją z

Marią, wspólne pasje, sekrety. W dzieciństwie dzieliły te same lęki i te same zachwyty. Musiała się z nią teraz zobaczyć, nawet wbrew obietnicy danej matce. Głupio byłoby nie spotkać się z nią. Nie będzie odwiedzała pozostałych dzieci w pokoju chorych, ale Maria była zupełnie zdrowa. Poprzedniego dnia przesłała Zoi wiadomość, że jest przeraźliwie znudzona chorobą całego rodzeństwa. Nie było to w końcu niepoważnego, zwykła odra. Fiodor pokrzykiwał na trzy czarne konie, a idący drogą chłopcy rozpierzchali się, gdy trojka mijała ich w pędzie. Jako chłopiec pracował dla jej dziadka, a przed nim pracował dla ich rodziny jego ojciec. Gotów był dla Zoi narazić się na gniew jej ojca i chłodną, milczącą dezaprobatę matki. Zresztą, zawoził ją tam wiele razy przedtem i obiecała mu, że nikt się o tym nie dowie. Odwiedzała swoich kuzynów prawie codziennie i cóż by to mogło szkodzić teraz, nawet jeśli mały carewicz i jego siostry chorowali na odrę. Mały Aleksy nie był okazem zdrowia, o czym wszyscy wiedzieli. Mademoiselle Zoja była młoda, zdrowa i silna, i taka śliczna. Dla Fiodora była najładniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widział, jego żona Ludmiła opiekowała się nią od maleńkości. Umarła na tyfus poprzedniego roku, co było dla niego bolesną stratą, tym bardziej że nie mieli dzieci. Jediną rodziną, jaka mu została, była ta, dla której pracował.

U bram zatrzymała ich Gwardia Kozacka i Fiodor ostro ściągnął wodze zdyszanim koniom. Padał gęsty śnieg. Zbliżali się do nich dwaj konni strażnicy w zielonych mundurach i wysokich futrzanych czapach. Mieli groźne miny, dopóki nie przekonali się, z kim mają do czynienia. Zoja była znana w Carskim Siole. Zasalutowali zgrabnie i Fiodor znów popędził konie. Szybko minęli kaplicę Fiodorowską i pomknęły w stronę Pałacu Aleksandrowskiego. Spośród licznych carskich rezydencji ta była najbardziej lubiana przez carową. Niezmiernie rzadko korzystali z Pałacu Zimowego w Petersburgu, jedynie w czasie uroczystości państwowych lub gdy wydawali jakiś bal. Co roku w maju przenosili się do swojej willi w majątku Peterhof i, spędziwszy lato na swoim jachcie „Gwiazda Polarna” oraz w Spale, w Polsce, zawsze we wrześniu wracali do pałacu w Liwadii. Zoja często pozostawała z nimi, dopóki nie zaczęły się zajęcia w Instytucie Smolnym, lecz Pałac Aleksandrowski był także jej ulubionym miejscem. Uwielbiała słynny,

blado-fioletowy buduar carowej i poprosiła matkę, by urządzono jej pokój w takich samych odcieniach opalu jak u cioci Alix. Matkę Zoi śmieszyło to, że jej córka chciała mieć taki pokój, ale przed rokiem wreszcie się zgodziła. Maria, za każdym razem, gdy odwiedzała Zoję, droczyła się z nią mówiąc, że czuje się tam jak u swojej matki. Fiodor uniósł się na siedzeniu, a dwaj młodzi chłopcy przytrzymali konie, które stawały dęba. Podał rękę Zoi, by pomóc jej wysiąść. Płatki śniegu wirowały wokół jego głowy, policzki miał zaróżowione od mrozu i dwugodzinnej jazdy z Sankt Petersburga. Zoja pomyślała, że ma dokładnie tyle czasu, aby zdążyć się napić herbaty z przyjaciółką, szybko więc zniknęła w ponurej bramie Pałacu Aleksandrowskiego, a Fiodor pośpieszył z powrotem do swych koni. Miał w carskich stajniach przyjaciół i lubił im opowiadać ostatnie nowinki z miasta, ilekroć spędzał z nimi czas w oczekiwaniu na swoją panią. Dwie służące odebrały od niej płaszcz, podczas gdy Zoja powoli ściągała swoją sobolową czapkę, uwalniając pukle płomiennych włosów, które, gdy je rozpuściła, co czyniła często tego lata w Liwadii, zatrzymywały na sobie wzrok przechodniów. Carewicz Aleksy lubił sobie drwić z jej jaskrawo-rudych włosów i ciągnął za nie swoimi delikatnymi rękami, za każdym razem, gdy go przytulała. Zoja była dla niego jakby jedną z jego siostr. Rówieśnica Marii, starsza od niej zaledwie o dwa tygodnie, miała takie same upodobania; obie rozpieszczały go nieustannie, podobnie jak pozostałe siostry. Aleksy był przez nie, tak jak i przez matkę oraz najbliższych członków rodziny, określany prawie zawsze jako „Dziecko”. Nawet teraz, mimo jego dwunastu lat, wciąż traktowano go w taki sposób i, gdy Zoja wypytywała o niego z powagą służącej, starsza z nich kręciła głową. – Biedactwo, cały pokryty jest krostami i okropnie kaszle. Pan Gilliard siedział przy nim dzisiaj przez cały dzień. Jej Wysokość zajmowała się w tym czasie dziewczętami. Olga, Tatiana i Anastazja zaraziły się odrą od chłopca; była to już niemal epidemia i dlatego właśnie matce tak zależało, by Zoja trzymała się od nich z daleka. Ale Maria nie miała żadnych objawów. Jej liścik wysłany do Zoi poprzedniego dnia, zawierał błagalną prośbę:

... Przyjedź do mnie, moja kochana Zoju, jeżeli tylko mama Ci

pozwoli...

W zielonych oczach Zoi tańczyły wesołe ogniki, kiedy odgarniała włosy i poprawiała swą ciężką wełnianą suknię. Przebrała się w nią po lekcjach baletu; zamiast włożyć szkolny mundurek. Szła teraz szybko niekończącym się korytarzem ku znajomym drzwiom, które prowadziły na górę do spartańskiej sypialni Marii i Anastazji. Przeszła na palcach obok drzwi, za którymi pracował zwykle adiutant cara, księżę Mszczerski. Nic nawet nie zauważył. Mimo swych ciężkich, zimowych butów, Zoja weszła cichutko po schodach na górę. Chwilę później zapukała do drzwi sypialni i usłyszała znajomy głos.

– Proszę?

Smukłą dłonią przekreśliła z wdziękiem gałkę i uchyliła drzwi. Zajrzała przez szparę, którą wypełniła burza jej rudych włosów. Maria stała cicho przy oknie. Gdy tylko ją ujrzała, jej ogromne niebieskie oczy roziskrzyły się i pobiegła przywitać się z przyjaciółką, która wpadła do pokoju wyciągając szeroko ramiona, by ją objąć.

– Przyjechałam cię ratować, kochana moja Maszko!

– Dzięki Bogu! Myślałam, że już umrę z nudy. Wszyscy tutaj są chorzy. Nawet biedna Anna zeszła wczoraj na dół cała obsypana. Mieszka teraz w pokojach połączonych z apartamentem mamy. Mama upiera się, że sama będzie się troszczyła o wszystkich. Przez całe dni nic innego nie robi, tylko nosi im zupę i herbatę, a kiedy śpią, chodzi do szpitala obok i zajmuje się mężczyznami. Wygląda na to, że teraz jest tu nie jeden, lecz dwa szpitale.

Zrobiła gest jakby wrywała sobie swoje puszyste, brązowe włosy z głowy. Zoja zaczęła się śmiać. Pałac Katarzyny znajdujący się obok został zamieniony w szpital na początku wojny. Carowa pracowała w nim niestrudzenie, ubrana w uniform Czerwonego Krzyża, i oczekiwała od swoich córek tego samego, lecz Maria najmniej spośród nich wszystkich lubiła tego typu obowiązki.

– Mam już tego wszystkiego dość! Bałam się, że już nie przyjedziesz. Mama byłaby naprawdę zła, gdyby się dowiedziała, że cię o to prosiłam.

Młode kobiety przeszły powoli przez pokój przytulone do siebie i usiadły przy kominku. Sypialnia, którą Maria dzieliła zwykle z

Anastazją, była prosta i surowa. Podobnie jak pozostałe siostry, Maria i Anastazja miały zwyczajne żelazne łóżka, na nich szorstkie białe prześcieradła i niewielkie biurko, a nad kominkiem stały, ustawione w zgrabny szereg, misternie wykonane jajka wielkanocne. Maria otrzymywała je co roku. Niektóre zrobione były dla niej przez przyjaciół, inne подарowane przez siostry. Wykonane z malachitu lub drewna, niektóre przepięknie grawerowane lub inkrustowane drogocennymi kamieniami. Polubiła je tak jak inne spośród swoich nielicznych skarbów. Pokoje dziecinne, jak je wciąż nazywano, nie miary w sobie nic z przepychu i luksusu pokoi rodziców czy reszty pałacu. Na jedno z dwóch krzeseł znajdujących się w sypialni Marii i Anastazji narzucony był wykwintnie haftowany szal, który zrobiła dla ich matki jej najbliższa przyjaciółka Anna Wyrubowa. O niej właśnie mówiła Maria na początku, gdy Zoja przyszła. I oto teraz jej przyjaźń została wynagrodzona odrazą. Na myśl o tym obie przyjaciółki uśmiechnęły się z poczuciem wyższości, że udało im się uniknąć choroby.

– Ale tobie nic nie jest? – Zoja spoglądała na kuzynkę z czułością. Zdawała się jeszcze bardziej filigranowa w wełnianej sukni, którą włożyła, by nie zmarznąć w drodze. Była drobniejsza od swojej przyjaciółki i bardziej delikatna, ale to Maria uważana była za największą piękność w rodzinie. Odziedziczyła po ojcu jego urok i olśniewające niebieskie oczy. Lubiała klejnoty i ładne stroje bardziej niż inne siostry. To była pasja, która łączyła ją z Zoją. Potrafiły godzinami rozmawiać o pięknych sukniach, które widziały, i zawsze, kiedy Maria odwiedzała Zoję, przymierzały kapelusze i klejnoty jej matki.

– Ja jestem zdrowa... tylko mama mówi, że nie będę mogła pojechać w niedzielę do miasta z ciocią Olgą.

Był to rytuał, który uwielbiała ponad wszystko. W każdą niedzielę ich ciotka, Wielka Księżna Olga Aleksandrowna zabierała je wszystkie do miasta na obiad z ich babką w Pałacu Aniczkovskim. Przy okazji odwiedzały przyjaciół, lecz choroba sióstr Marii pokrzyżowała te plany. Na tę wiadomość Zoi zrzędała mina.

– Tego się właśnie obawiałam. A tak bardzo chciałam ci pokazać swoją nową suknię. Babcia przywiozła mi ją z Paryża.

Babka Zoi, Eugenia Pietrowna była nadzwyczajną kobietą. Drobna i



elegancka, o żywych oczach, które wciąż jarzyły się szmaragdowym blaskiem, choć miała już osiemdziesiąt dwa lata. Wszyscy twierdzili, że Zoja przypominała ją w każdym calu. Matka Zoi, wysoka, elegancka i apatyczna piękność o jasnych blond włosach i rozmarzonych niebieskich oczach, była typem kobiety, którą chciało się chronić przed światem i ojciec Zoi to właśnie zawsze starał się czynić. Traktował swoją żonę jak jakieś niezwykle delikatne dziecko. Zupełnie inaczej niż swoją pełną wigoru córkę.

– Babcia przywiozła mi nadzwyczajną suknię z różowego atłasu. Jest cała naszywana maleńkimi perłami. Tak bardzo chciałam, żebyś ją zobaczyła!

Rozmawiały o swoich sukniach, tak jak małe dzieci mówią o misiach, i Maria klaskała w ręce z radości.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją zobaczę! Za tydzień wszyscy już będą zdrowi. Wtedy przyjedziemy. Obiecuję! A tymczasem namaluję dla ciebie obrazek do twojego śmiesznego fioletowego pokoju.

– Nie waż mi się drwić z mojego pokoju! Jest prawie tak elegancki jak pokój twojej mamy.

Dziewczyny zaczęły się śmiać i do pokoju wpadła Joy, cocker-spanielka cesarskich dzieci. Zaczęła szczekać radośnie u stóp Zoi, gdy ta ogrzewała sobie ręce przy kominku i opowiadała Marii najświeższe nowiny o swoich koleżankach z Instytutu Smolnego. Maria uwielbiała słuchać tych opowieści. Żyła odizolowana od świata, w towarzystwie swojego brata i sióstr, z ich nauczycielem Pierre'em Gilliardem i z Mr. Gibbesem, który uczył ich angielskiego.

– Przynajmniej nie mamy lekcji. Pan Gilliard jest zbyt zajęty siedzeniem przy Dziecku. A pana Gibbesa nie widziałam już od tygodnia. Papa mówi, że on panicznie się boi zarazić odłą.

Dziewczęta roześmiały się znowu. Maria zaczęła z czułością zaplatać pukle rudych włosów Zoi. Zdarzało im się spędzać w ten sposób razem czas od wczesnego dzieciństwa. Zaplatały sobie nawzajem włosy, opowiadały o Sankt Petersburgu i ludziach, których znały, przekazywały sobie ostatnie plotki, chociaż wszystko nieco przycichło, odkąd wybuchła wojna. Nawet rodzice Zoi, ku jej goryczy, nie wydawali już tylu przyjęć co kiedyś. Zoja uwielbiała rozmawiać z mężczyznami w jasnych mundurach i przyglądać się kobietom w

eleganckich sukniach i cudownej biżuterii, czerpiąc stąd materiał do swych opowieści dla Marii i jej siostr o flirtach, które zauważyła, o tym, kto był piękny, a kto nie i która kobieta miała na sobie najbardziej olśniewający naszyjnik z pereł. Był to świat, który nie istniał w żadnym innym miejscu, świat carskiej Rosji. A Zoja wiodła szczęśliwy żywot w samym jego środku. Była hrabianką, spokrewnioną, choć daleko, z carem. Wraz ze swoją rodziną, mającą powiązania z wieloma szlacheckimi rodami, cieszyła się wysoką pozycją, przywilejami i luksusem. Jej rodzinny dom był mniejszą wersją Pałacu Aniczkowskiego, a jej towarzyszami zabaw byli ludzie, którzy tworzyli historię. To wszystko wydawało się takie zwyczajne i naturalne.

– Joy wydaje się teraz bardzo szczęśliwa. – Zoja patrzyła na psa baraszkującego u jej stóp. – Jak się miewają szczenięta?

Maria uniosła ramiona z tajemniczym uśmiechem.

– Są słodkie. Och, zaczekaj... – upuściła długi warkocz, który plotła z włosów Zoi, i podbiegła do biurka, by wyjąć coś, o czym omal nie zapomniała. Zoja pomyślała, że chodzi o list od kogoś z ich przyjaciół albo fotografie Aleksego lub którejś z siostr. Maria zawsze miała przygotowane jakieś skarby, którymi chciała podzielić się z Zoją, lecz tym razem przyniosła jakiś flakonik i wręczyła go z dumą swej przyjaciółce.

– Co to jest?

– Coś cudownego... całe dla ciebie! – I gdy Zoja pochylała się nad buteleczką, pocałowała ją delikatnie w policzek.

– Och, Maszka! Czy to jest?... Tak, to one! – stwierdziła Zoja, gdy tylko poczuła zapach.

Były to „Lilas” ulubione perfumy Marii, które Zoja pragnęła mieć już od miesięcy.

– Skąd je masz?

– Lili przywiozła je dla mnie z Paryża. Pomyślałam, że ucieszyłabyś się z nich. Mnie jeszcze zostało sporo tych, które dostałam od mamy.

Zoja przymknęła oczy i odetchnęła głęboko, wydawała się taka szczęśliwa. Ich przyjemności były niewinne i proste... szczeniaki, perfumy... a w lecie długie spacery po wonnych łąkach Liwadii... albo zabawy na cesarskim jachcie, gdy dryfowali po norweskich fiordach. Wiodły życie tak doskonałe, nienaruszone nawet przez trwającą wojnę,

choć czasem o niej rozmawiały. Marię zawsze przygnębiał dzień spędzony przy rannych, których pielęgnowały w sąsiednim pałacu. Wydawało jej się to okrutne, że zostali zranieni, okaleczeni... że umrą... lecz nie widziała w tym większego okrucieństwa niż w chorobie zagrażającej życiu jej brata. Jego hemofilia często stanowiła temat ich poważniejszych, lecz sekretnych rozmów. Prawie nikt poza najbliższą rodziną nie znał prawdziwej natury jego choroby.

– Ale nic mu nie jest, prawda? To znaczy... odra nie...

Oczy Zoi wypełniła troska, kiedy odstawiła buteleczkę z perfumami i zaczęła mówić o Aleksym. Twarz Marii nie wyrażała jednak niepokoju.

– Nie sądzę, by ta odra była dla niego niebezpieczna. Mama mówi, że Olga jest w znacznie cięższym stanie niż on.

Olga była od nich starsza o cztery lata i o wiele poważniejsza. Była też ogromnie nieśmiała, w przeciwieństwie do Zoi i Marii czy dwóch pozostałych sióstr.

– Wspaniale było dzisiaj na lekcjach baletu – westchnęła Zoja, a Maria zadzwoniła na służącą, żeby przyniosła herbatę. – Chciałabym robić coś, co by się z tym wiązało. To byłoby cudowne.

Maria roześmiała się. Słyszała już wcześniej o marzeniach swojej kochanej przyjaciółki.

– Co na przykład? Chciałabyś, żeby cię odkrył Diagilew?

Obie się teraz śmiały, lecz oczy Zoi płonęły, kiedy o tym mówiła. Wszystko, co wiązało się z Zoją, było pełne życia, jej oczy, kolor jej włosów, sposób w jaki poruszała rękami, jak przebiegała przez pokój lub obejmowała swoją przyjaciółkę. Choć była drobna, wypełniała ją energia, siła i entuzjazm. Jej imię znaczyło: życie i zdawało się doskonale pasować do dziewczyny, jaką była, i kobiety, którą się powoli stawała.

– Ja nie żartuję... Madame Nastowa mówi, że jestem bardzo dobra. Maria roześmiała się ponownie. Oczy dziewcząt spotkały się i obie pomyślały o tym samym... o Matyldzie Krzezińskiej, tancerce, która była kiedyś kochanką cara, zanim poślubił Aleksandrę; całkowicie zakazany temat, poruszany tylko szeptem w czasie ciepłych letnich nocy i nigdy w zasięgu uszu dorosłych. Kiedy pewnego dnia Zoja powiedziała coś na ten temat matce, hrabina wpadła we wściekłość zabraniając jej o tym kiedykolwiek wspominać. Był to temat w

najwyższym stopniu nieodpowiedni dla młodych dam. Natomiast babka Zoi nie była tak powściągliwa i napomknęła kiedyś rozbawionym tonem, że owa kobieta była bardzo utalentowaną tancerką.

– Czy nadal marzysz o tym, żeby uciec do Teatru Maryjskiego? Nie wspominała o tym od paru lat, ale Maria znała ją na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy żartowała i jak poważnie traktowała swoje skryte marzenia. Wiedziała również, że to marzenie było dla Zoi nierealne. Pewnego dnia wyjdzie za mąż i będzie miała dzieci. Zacznie ubierać się równie elegancko jak jej matka i z pewnością nie poświęci życia baletowi. Przyjemnie było jednak porozmawiać o tym i pomarzyć w długie lutowe popołudnie, przy gorącej herbacie, przyglądając się psu skaczącemu po całym pokoju. Życie zdawało się łatwe i bezpieczne, nawet w obliczu epidemii odry. W towarzystwie Zoi Maria mogła na chwilę zapomnieć o swoich kłopotach i obowiązkach. Marzyła o tym, by mieć kiedyś taką swobodę jak Zoja. Wiedziała doskonale, że pewnego dnia rodzice wybiorą – dla niej mężczyznę, którego będzie musiała poślubić. Ale były dwie starsze siostry, o których musieli pomyśleć najpierw... rozmyślała wpatrując się w Ogień i zastanawiała się, czy naprawdę pokocha swego przyszłego męża. – O czym teraz myślałaś? – spytała Zoja miękko. Słychać było trzask ognia. Na dworze padał śnieg.

Zapadał zmrok. Zoja zupełnie zapomniała o tym, że śpieszyła się do domu na kolację.

– Maszka?... miałaś taką poważną minę.

Często sprawiała takie wrażenie, kiedy się nie śmiała. Jej oczy miały w sobie tyle czaru i były takie niebieskie, pełne ciepła i dobroci, zupełnie inne niż oczy matki Zoi.

– Sama nie wiem... chyba o jakichś głupstwach – uśmiechnęła się łagodnie do przyjaciółki. Miały prawie po osiemnaście lat i myśl o małżeństwie nie była im obca... być może po wojnie... – Zastanawiałam się za kogo wyjdę za mąż – zawsze była z Zoją szczerą.

– Ja też się czasem nad tym zastanawiam. Babcia mówi, że już zbliża się pora, by o tym pomyśleć. Ona uważa, że księżę Orłów byłby dobrym kandydatem dla mnie.

I nagle się roześmiała, potrząsając przy tym głową, a jej włosy uwolniły się z luźnego warkocza splecionego przez Maszkę, – Czy zdarzało ci się

spotkać kogoś takiego, że pomyślałaś: to musi być on?

– Niezbyt często. Najpierw Olga i Tatiana muszą wyjść za mąż. A Tatiana jest taka poważna, nie mogę sobie nawet wyobrazić, że będzie chciała się za kogoś wydać.

Ze wszystkich siostr ona była najbardziej związana z matką i Maria miała podstawy przypuszczać, że Tatiana będzie chciała pozostać na zawsze na łonie rodziny.

– Chociaż fajnie byłoby mieć dzieci.

– Ile? – zapytała Zoja żartem.

– Co najmniej pięcioro; w jej rodzinie było sześcioro i to zawsze wydawało jej się ideałem.

– Ja chcę też mieć sześcioro – powiedziała Zoja z absolutną pewnością.

– Trzech chłopców i trzy dziewczynki.

– I żeby wszyscy byli radzi – zaśmiała się Maria i pochyliła się nad stołem, żeby ją pogłodzić delikatnie po policzku. – Jesteś moją najdroższą przyjaciółką.

Spojrzały sobie w oczy. Zoja wzięła jej rękę i pocałowała z dziecięcą czułością.

– Zawsze chciałam, żebyś była moją rodzoną siostrą.

Miała starszego brata, który dokuczał jej niemiłosiernie, szczególnie lubił sobie drwić z jej włosów. Sam miał włosy ciemne, podobnie jak ojciec, lecz jego oczy były zielone. Posiadał ukrytą siłę i godność ich ojca. Miał dwadzieścia trzy lata, o pięć i pół roku więcej niż jego siostra.

– Jak się miewa Mikołaj?

– Jest okropny, jak zawsze. Ale mama jest strasznie zadowolona z tego, że jest w Pułku Preobrażeńskim, a nie gdzieś na froncie. Babcia twierdzi, że został tu tylko po to, by nie przegapić żadnego przyjęcia. Chwila powagi minęła i obie znowu się śmiały. Tymczasem drzwi otworzyły się cicho i do pokoju weszła niepostrzeżenie wysoka kobieta. Przyglądała im się przez chwilę, zanim uświadomiły sobie jej obecność. Za nią wszedł do pokoju duży szary kot. Zatrzymał się przy niej i także się przyglądał. Była to carowa Aleksandra, która przed chwilą opuściła pokój chorych, gdzie usługiwała swoim trzem, złożonym chorobą, córkom.

– Dobry wieczór, dziewczęta – uśmiechnęła się do Zoi, gdy ta się

odwróciła.

Obie panienki natychmiast wstały i Zoja podbiegła, by ją ucałować.

Carowa chorowała na odrę wiele lat wcześniej i wiedziała, że nie grozi jej zarażenie.

– Ciocia! Jak się czują wszyscy?

Aleksandra objęła ją serdecznie. Westchnęła i uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Otóż z pewnością nie jest z nimi dobrze. Biedna Anna chyba jest najbardziej chora ze wszystkich – mówiła o swojej drogiej przyjaciółce Annie Wyrubowej. Ona i Lili Dehn były jej najbliższymi towarzyszkami. – A ty, maleńka, dobrze się miewasz?

– O, tak. Dziękuję bardzo – zaczerwieniła się Zoja, co zdarzało się jej dość często. Miała karnację typową dla rudowłosych, co sprawiało, że często się rumieniała i łatwo chwyciła ją słońce na jachcie albo kiedy przebywali w Liwadii.

– Dziwi mnie, że twoja mama pozwoliła ci nas odwiedzić.

Wiedziała, jak panicznie hrabina bała się infekcji. Lecz jeszcze mocniejszy rumieniec Zoi powiedział jej wszystko. Carowa zaśmiała się i pogroziła jej palcem.

– Ach, więc to tak! I co powiesz matce? Gdzie niby to byłaś dzisiaj? Zoja zaśmiała się, choć miała poczucie winy, i przyznała się matce Marii do tego, co zamierzała powiedzieć swojej mamie.

– Że lekcje baletu się przeciagnęły i bardzo ciężko pracowałam z madame Nastową.

– Aha, rozumiem. To szokujące, jak dziewczęta w waszym wieku potrafią kłamać, ale powinnam była wiedzieć, że nie można was rozłączać – i dodała zwracając się do córki: – Czy dałaś już Zoi prezent, kochanie? – uśmiechnęła się do nich obu. Zwykle była bardziej chłodna i etykietalna, ale wskutek zmęczenia łagodniała i promieniała ciepłem.

– Tak! – zawołała natychmiast uradowana Zoja, machając ręką w stronę buteleczki „Lilas” stojącej na stole. – To moje ulubione perfumy! Oczy carowej zwróciły się pytająco na Marię, która zachichotała i wyszła pospiesznie z pokoju. Zoja zaczęła gawędzić z jej matką.

– Czy wujek Mikołaj jest zdrowy?

Tak, chociaż prawie go nie widuję. Biedak przyjechał z frontu, żeby trochę odpocząć w domu, i znalazł się w samym środku epidemii.

Roześmiały się obie. Tymczasem wróciła Maria niosąc coś zamotanego w koc. Usłyszały cieniutkie piśnienie, jakby zakwilił ptaszek, a w chwilę później ukazała się brązowo-biała mordka, z długimi uszami i świecącymi ślepiami w kolorze onyksu. Był to jeden ze szczeniaków, jakie się niedawno tam urodziły.

– Ach, jaki słodki! Nie widziałam go już parę tygodni! – Zoja wyciągnęła rękę, a szczeniak zaczął lizać jej palce wydając przy tym serię radosnych pisków.

– To jest suczka i ma na imię Sawa – powiedziała Maria z dumą, patrząc na Zoję z przejęciem. – Mama i ja chciałyśmy, żebyś ją miała. – Wręczyła szczeniaka zdumionej Zoi.

– To dla mnie? Ojej... ale co... – miała właśnie powiedzieć: „Ale co ja powiem mojej mamie?”, lecz nie chciała, żeby zabrały swój podarunek z powrotem, więc się powstrzymała.

Carowa jednak domyśliła się o co chodzi.

– Och, kochanie... twoja mama nie lubi psów, tak, Zoju? Zapomniałam o tym. Czy będzie na mnie bardzo zła?

– Nie!... nie... ależ skąd – łągała uszczęśliwiona, biorąc psa na ręce i przytulając, podczas gdy Sawa lizała jej nos, policzki i oczy. Zoja starała się cofnąć głowę, zanim spanielka dobierze się do jej włosów. – Och, ona jest taka słodka! Czy naprawdę jest moja?

– Zrobisz mi ogromną przyjemność, moja droga, jeśli ją przyjmiesz. Carowa uśmiechnęła się i opadła na krzesło wzdychając. Wyglądała na bardzo zmęczoną. Wtedy dopiero Zoja spostrzegła, że wciąż jeszcze miała na sobie fartuch Czerwonego Krzyża. Zastanawiała się, czy włożyła ten strój na czas pielęgnowania chorych dzieci i swojej przyjaciółki, czy też pracowała jeszcze tego dnia w szpitalu. Carowa traktowała pracę w szpitalu bardzo poważnie i tego samego wymagała zawsze od swych córek. – Czy napijesz się herbaty, Mamo?

– Bardzo chętnie, dziękuję ci, Maszeńko.

Maria zadzwoniła na służącą, która wiedząc, że jest tam carowa, zjawiała się od razu z dzbankiem świeżo zaparzonej herbaty. Maria nalala herbatę do filiżanek i Aleksandra z Zoją przyłączyły się do niej.

– Dziękuję ci, kochanie.

Carowa zaczęła wypytywać Zoję o daleką kuzynkę swojego męża.

– Czy twoja babcia dobrze się miewa, Zoju? Nie widziałam jej już od

miesiący. Jestem taka zajęta. Wydaje się, że już nigdy nie będę mogła pojechać do Sankt Petersburga.

– Babcia czuje się bardzo dobrze, dziękuję, ciociu Alix.

– A rodzice?

– Dobrze. Mama wciąż się martwi, że Mikołaj zostanie wysiany na front. Papa twierdzi, że dlatego jest taka nerwowa.

Natalię Ossjupow irytowało wszystko, była przewrażliwiona, a mąż ulegał wszelkim jej kaprysom i zachciankom.

Carowa mówiła często Marii w zaufaniu, że, jej zdaniem, ciągłe przejmowanie się żoną nie wychodzi Konstantemu na zdrowie. Dobrze, że przynajmniej Zoja nie robiła z siebie omdlewającej ofiary. Była pełna życia i entuzjazmu, nie miała w sobie nic z mimozy. Aleksandrze matka Zoi kojarzyła się zawsze z następującym widokiem:

spoczywająca na krześle piękność, odziana w białe jedwabie, blada, jasnowłosa, w olśniewającym naszyjniku z pereł i z takim wyrazem przerażenia w oczach, jakby życie było po prostu ponad jej siły. Gdy zaczęła się wojna, carowa poprosiła ją o pomoc w pracy dla Czerwonego Krzyża, ale Natalia odpowiedziała rozbijając, że nie ma do tego zdrowia. Teraz carowa powstrzymała się od komentarza, pokiwała jedynie głową.

– Jak wrócisz do domu, pozdrów ją ode mnie.

Kiedy to mówiła, Zoja zerknęła za okno. Było już całkiem ciemno. Zerwała się na równe nogi i spojrzała z przerażeniem na zegarek.

– Ojej! Muszę już wracać! Mama będzie wściekła!

– I będzie miała powody! – Carowa zaśmiała się i pogroziła jej palcem. Wstała górując nad nią wzrostem. – Nie wolno ci okłamywać matki, ukrywając, gdzie byłaś. Z pewnością będzie bardzo zmartwiona, że wystawiłaś się na ryzyko zarażenia odrą. Czy już ją przechodziłaś?

– Nie, nie przechodziłam – odparła Zoja ze śmiechem. – Ale nie złapię jej, a jeżeli się zarażę... – zaczęła trząść się ze śmiechu na widok miny Maszki.

Jedną z rzeczy, które Maria lubiła w Zoi najbardziej, była jej śmiałość... Miały na swoim koncie niemało psot, ale nigdy nie były one groźne i nikomu nie wyrządzały krzywdy.

– Muszę cię teraz odesłać do domu i wrócić do dzieci i do biednej Anny.



Pocałowała je na pożegnanie, po czym opuściła pokój. Maria wydostała szczeniaka z miejsca, gdzie się ukrywał, i zawinąwszy go z powrotem w koc, wręczyła Zoi.

– Nie zapomnij o Sawie!

Spojrzały na siebie. Czy Zoi przepełnione były miłością.

– Czy naprawdę mogę ją mieć?

– Oczywiście. Od początku miała być twoja, ale chciałam ci zrobić niespodziankę. Jak będziesz jechała do domu, trzymaj ją pod płaszczem, żeby nie zmarzła.

Szczeniak miał dopiero siedem tygodni, urodził się w prawosławne Boże Narodzenie. Zoja była bardzo podekscytowana, gdy ją zobaczyła w drugi dzień świąt. Byli wtedy na obiedzie u cara i jego rodziny.

– Twoja mama będzie wściekła, prawda? – śmiała się Maria, a Zoja razem z nią.

– Tak, ale powiem jej, że twoja mama poczułaby się głęboko dotknięta, gdybyśmy ją oddali. Mama bałaby się obrazić carową.

Wciąż się śmiały, gdy Maria odprowadziła Zoję na dół. Pomogła jej włożyć płaszcz, a Zoja trzymała zawiniętego w koc szczeniaka. Ukryła pod sobolową czapką swoje rude włosy, a potem objęła przyjaciółkę na pożegnanie.

– Dbaj o siebie i nie zachoruj!

– Nie mam najmniejszego zamiaru!

Podala jej jeszcze flakonik z perfumami i Zoja wzięła go w rękę już w rękawiczce. Wtedy służąca zawiadomiła je, że Fiodor czeka.

– Może za dwa dni znowu przyjadę... obiecuję... i dziękuję ci!

Zoja uściśnęła ją pośpiesznie i ruszyła w stronę czekającej już trojki i Fiodora. Miał lekko zaczerwienione policzki i nos, po czym poznała, że pił ze swoimi przyjaciółmi w stajni, lecz jej to nie przeszkadzało.

Przynajmniej rozgrzało go to na czas długiej drogi do Sankt Petersburga. Pomógł jej wsiąść. Zoja spostrzegła z ulgą, że przestało padać.

## Rozdział drugi

Kiedy Fiodor popędzał konie i trojka mknęła Newskim Prospektem, Zoja siedziała przyciskając do siebie szczeniaka i z desperacją szukała wyjaśnień, które pozwoliłyby jakoś udobruchać matkę. Wiedziała, że nie będą się o nią niepokoiili, bo woził ją Fiodor, lecz matka z pewnością wpadnie w szał widząc, że tak późno wróciła do domu, w dodatku z psem. Szczeniaka trzeba będzie pokazać później. Przy Fontance skręcili raptownie w lewo i konie same gnały dalej naprzód, wiedząc, że są już blisko domu, nie mogąc się doczekać powrotu do swojej stajni. Ponieważ znały dobrze teren, Fiodor oddał im prowadzenie. W parę chwil później pomagał wysiąść Zoi, która w nagłym porywie, wyjęła spod płaszcza zawiniętego w koc szczeniaka i wcisnęła mu go z błagalnym spojrzeniem.

– Fiodorze, proszę... dała mi ją cesarzowa... na imię ma Sawa. Zabierz ją do kuchni i oddaj Galinie. Zejdę po nią później.

Miała oczy wystraszonego dziecka. Fiodor śmiał się z niej kręcąc głową.

– Hrabina każe mi za to ściąć głowę, mademoiselle! I panience też.

– Wiem, ale może papa...

Papa, który zawsze wstawia się za nią, który jest taki dobry i czuły dla matki. Był wspaniałym człowiekiem i jego jedyna córka ubóstwiała go.

– Szybko, Fiodorze... muszę się śpieszyć.

Było już po siódmej, a jeszcze musiała się przebrać, zanim będzie mogła pokazać się w jadalni. Fiodor wziął od niej szczeniaka i Zoja szybko wbiegła po marmurowych schodach prowadzących do niedużego, lecz bardzo pięknego pałacu. W jego architekturze widać było wpływy zarówno i rosyjskie, jak i francuskie. Zbudował go dla swojej narzeczonej dziadek Zoi. Teraz jej babka mieszkała w pawilonie otoczonym drzewami, po drugiej stronie ogrodu, ale w tej chwili Zoja nie miała czasu o niej myśleć. Wśliznęła się szybko do środka, zdjęła czapkę, podała płaszcz służącej, która stała nie opodal, i już frunęła po schodach w kierunku swojej sypialni, gdy usłyszała za sobą znieścacka znajomy głos.

– Stój! Kto idzie?

– Cicho! – zatrzymawszy się na półpiętrze odwróciła się do swojego

brata i wyszeptala wściekle: – A ty co tutaj robisz?

Młodzieniec był wysoki i wyglądał bardzo przystojnie w swoim mundurze. Większość jej przyjaciółek ze Smolnego mdlała na jego widok. Nosił insygnia słynnego Pułku Preobrażeńskiego, ale teraz nie robiło to na Zoi wrażenia.

– Gdzie jest mama?

Wiedziała dobrze, gdzie, nawet bez pytania.

– W jadalni, a czego się spodziewałaś? Gdzieś ty była?

– Daleko. Muszę się śpieszyć. – Trzeba się było jeszcze przebrać, a on ją tylko zatrzymywał. – Jestem spóźniona.

Roześmiał się. Jego oczy, bardzo podobne do jej własnych, migotały wesoło.

– Lepiej już idź tak jak jesteś. Mama wpadnie w furję, jeśli jeszcze bardziej się spóźnisz.

Zoja spojrzała na niego i zawahała się.

– Czy coś mówiła?... Widziałeś ją?

– Jeszcze nie. Dopiero co przyjechałem. Chciałem porozmawiać z papą po obiedzie. Idź się przebrać, ja ich zagadam.

Lubił ją bardziej, niż sądziła. Była jego małą siostrzyczką i wychwalał ją bezustannie przed swoimi kolegami, tymi wszystkimi, którzy już od dawna mieli na nią oko, lecz zabiłby każdego, kto ośmieliłby się ją tknąć. Była małą pięknoscią, lecz jeszcze o tym nie wiedziała, o wiele za młoda, by flirtować z jego kompanami. Pewnego dnia miała poślubić jakiegoś księcia albo przynajmniej kogoś tak ważnego jak ich ojciec – hrabia i pułkownik, człowiek wzbudzający szacunek i podziw wszystkich, którzy go znali.

– Idź już, mały potworze – wołał za nią. – Śpiesz się!

Zoja pomknęła do swojego pokoju i dziesięć minut później zjawiła się na dole ubrana w granatową jedwabną sukienkę z koronkowym kołnierzem. Nie cierpiała jej, ale matce zawsze się w niej podobała.

Była to jedna z tych sukienek, które powinny nosić młode panienki, więc ją włożyła, żeby już bardziej nie irytować matki. Niemożliwe było przejść przez drzwi bez zwrócenia na siebie uwagi. Weszła więc do pokoju spokojnie, nieco przygaszona, z niewinnym wyrazem twarzy. Jej brat, który siedział między ich babką a matką, uśmiechnął się do niej figlarnie. Hrabina zdawała się niezwykle błada w swojej szarej

atłasowej sukni i pięknym naszyjniku z czarnych pereł i diamentów. Jej oczy przybrały niemal kolor sukni. Uniosła powoli twarz i spojrzała z głęboką dezaprobatą na swoją córkę.

– Zoja!

Nigdy nie podnosiła głosu, ale ze sposobu, w jaki patrzyła na córkę, nietrudno było wyczytać gniew. Zoja patrzyła matce prosto w oczy. Pośpieszyła ucałować jej chłodny policzek, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę ojca i babki.

– Bardzo przepraszam, Mamo... Lekcje tańca się przeciągnęły... musiałam po drodze wpaść na chwilę do przyjaciółki... Strasznie przepraszam... ja...

Głos matki brzmiał lodowato. Pozostali członkowie rodziny przyglądali się w milczeniu.

– Właściwie gdzie byłaś?

– Ja... musiałam pojechać... ja...

Natalia spojrzała jej prosto w oczy. Zoja starała się przyglądzić włosy, by przywrócić je do ładu. Nadal wyglądały jakby czesała się w wielkim pośpiechu, tak zresztą było.

– Chcę znać prawdę. Czy byłaś w Carskim Siole?

– Ja...

To nie zdało się na nic. Jej matka była zbyt chłodna, zbyt groźna i za bardzo panowała nad sytuacją.

– Tak, Mamo – przyznała się mając uczucie, że znowu jest siedmioletnią dziewczynką, a nie o całą dekadę starszą dziewczyną. – Przepraszam.

– Jesteś głupia. – Lodowate oczy Natalii zapłonęły gniewem i zwróciła się rozżalona do męża: – Konstanty, specjalnie nalegałam, aby tam nie jeździła. Wszystkie dzieci są chore na odrę i ona zetknęła się z nimi. To jest bezmyślny akt nieposłuszeństwa.

Zoja zerknęła niepewnie na ojca, lecz w jego oczach migotały takie same szmaragdowe ogniki jak w jej własnych i z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Tak jak bardzo kochał swoją żonę, tak samo uwielbiał swoją córkę. Tym razem Mikołaj przyszedł jej z odsieczą, co nie leżało w jego zwyczaju, lecz Zoja wyglądała tak nieszczęśliwie, że zrobiło mu się jej żal.

– Może ją poprosili, żeby przyjechała, byłoby niezręcznie odmówić.

Ale, oprócz innych zalet, cechowała ją uczciwość i, kiedy już usiadła na swoim miejscu, czekając, aż przyniosą jej obiad, powiedziała matce wprost.

– Chciałam tam pojechać, Mamo. To moja wina, nie ich. Maria czuła się tak samotnie.

– To było bardzo niemądre z twojej strony, Zoju. Porozmawiamy o tym jeszcze po obiedzie.

– Dobrze, Mamo.

Spuściła oczy. Pozostali wrócili do rozmów, jakie prowadzili, zanim Zoja przysłała. Dopiero po chwili dotarło do niej, że była tam jej babka i uśmiech rozjaśnił jej twarz.

– Witaj, Babciu. Ciocia Alix kazała cię pozdrowić. – Jak ona się czuje? To pytanie zadał ojciec. Matka siedziała, piękna i milcząca, najwyraźniej wciąż niezadowolona z córki.

– Zawsze jest w dobrej formie, kiedy zajmuje się chorymi – odpowiedziała za nią babka. – To jest niezwykle u Alix. Wydaje się, że cierpi na każdą dolegliwość jaka tylko istnieje, dopóki nie jest potrzebna komuś bardziej choremu. Wtedy natychmiast staje na wysokości zadania i wszystko jej przechodzi.

Stara hrabina spojrzała wymownie na swoją synową i z dumą uśmiechnęła się do Zoi.

– Maria pewnie bardzo się ucieszyła na twój widok, Zoju? Zoja posłała jej uśmiech wdzięczności.

– Tak, Babciu – a potem, żeby uspokoić matkę, zapewniła – nie widziałam się z pozostałymi. Wszyscy znajdowali się gdzie indziej. Nawet madame Wyrubowa zachorowała – dodała jeszcze, by zaraz tego gorzko pożałować.

Matka patrzyła na nią ze zgrozą.

– Jakże głupio postąpiłaś, Zoju... nie mogę zrozumieć, po co tam jechałaś. Czy chciałaś się zarazić odrą?

– Nie, Mamo. Naprawdę bardzo mi przykro.

Jednak nic w jej twarzy nie wskazywało na to, że tak było. Tylko jej słowa wyrażały skruchę, tak jak od niej oczekiwano.

– Nie zamierzałam się spóźnić. Już miałam wychodzić, gdy ciocia Alix przysłała, by napić się z nami herbaty. Nie chciałam być dla niej niegrzeczna...

– Rzeczywiście, nie powinnaś. W końcu jest zarówno naszą kuzynką, jak i cesarzową – powiedziała celnie babka Zoi.

Miała oczy tak samo zielone jak jej ojciec i brat. Jedyne oczy Natalii były szaroniebieskie jak chłodne zimowe niebo niedające nadziei na przyjsie lata. Życie przerastało zawsze jej siły. Za to jej mąż był krzepkim, pełnym wigoru mężczyzną. Kochał ją zawsze mocno i gorąco. Pragnął mieć dużo więcej dzieci, niż była mu w stanie urodzić. Urodziła dwoje martwych, kilka razy poroniła, a Zoję i Mikołaja donosiła z trudem. Za każdym razem musiała spędzić rok w łóżku. Teraz sypiała sama w swoich apartamentach. Konstanty kochał swoich przyjaciół i chętnie wydawał niezliczone bale i przyjęcia. Lecz dla Natalii to wszystko było zbyt wyczerpujące i używała słabego zdrowia jako wymówki na swój brak joi de vivre\* [franc. – radość życia (przyp. tłum. )] i paraliżującą nieśmiałość.

To wytwarzało wokół niej aurę wyniosłości, za którą krył się fakt, że bała się panicznie ludzi i czuła się o wiele szczęśliwsza, gdy mogła się wyciągnąć w fotelu przy kominku. Jej córka przypominała bardziej ojca i odkąd odbył się jej debiut towarzyski ostatniej wiosny, Konstanty żywił nadzieję, że będzie z nim chodziła na przyjęcia. Od dłuższego czasu rozmawiali o zrezygnowaniu z zamiaru urządzania balu, Natalia twierdziła, że nie powinni o tym myśleć z powodu toczącej się wojny, w końcu babka Zoi rozstrzygnęła tę kwestię za nich i Konstanty odetchnął z ulgą. W czerwcu, jak tylko Zoja ukończy Instytut Smolny, miał się odbyć bal, może nie tak huczny, jaki wydaliby, gdyby nie toczyła się wojna. Ale i tak zanosilo się na wspaniałe przyjęcie.

– Jakies wieści od Mikołaja? – wypytywał Konstanty. – Czy Maria coś ci mówiła?

– Niewiele. Ciocia Alix mówi, że wrócił z frontu do domu, ale myślę, że wkrótce znowu tam pojedzie.

– Wiem. Widziałem się z nim w zeszłym tygodniu. Ale jest zdrow, prawda?

Konstanty był zatroskany. Jego przystojny syn przyglądał mu się bacznie. Wiedział, że do ojca musiały dotrzeć te same pogłoski, jakie on słyszał w koszarach; że Mikołaj był przemęczony bardziej niż komukolwiek mogło się wydawać, i wyczerpany koniecznością prowadzenia wojny.

Niektórzy szeptali ukradkiem o możliwym upadku władzy. Wiedząc, jak był dobry i jak nieustannie się o wszystkich troszczył, trudno to było sobie wyobrazić, pomyśleć, że mógłby się załamać albo poddać. Ludzie równi mu stanem darzyli go głęboką miłością, a szczególnie ojciec Zoi. Podobnie jak Zoja i Maria, on i car przyjaźnili się w dzieciństwie. Car był ojcem chrzestnym Mikołaja, który otrzymał po nim imię. Z kolei ojciec cara był blisko zaprzyjaźniony z ojcem Konstantego. Ich wzajemne uczucia wykraczały poza więzi rodzinne, zawsze byli sobie bardzo bliscy i żartowali sobie że obaj poślubili Niemki, chociaż Alix wydawała się zawsze silniejsza i bardziej odporna od Natalii. Kiedy było trzeba, zawsze stawała na wysokości zadania. Świadczyła o tym jej praca w Czerwonym Krzyżu i to, jak opiekowała się chorymi dziećmi. Natalia była wręcz fizycznie niezdolna do czegoś takiego. Starsza hrabina była ogromnie zawiedziona, że jej syn nie ożenił się z Rosjanką. Fakt, że dla cara Niemka była wystarczająco dobrą żoną, nie pocieszał jej zbytnio.

– A co ciebie dzisiaj do nas sprowadza, Mikołaju? – zwrócił się Konstanty do syna z serdecznym uśmiechem. Był z niego dumny i zadowolony z tego że nie wysłano go na front, tylko zatrzymano w Pułku Preobrażeńskim. Nie ukrywał tego. Nie chciał stracić jedyne go syna. Straty Rosjan już i tak były ogromne, od bitwy pod Tannenbergiem w lecie 1914 po straszliwy odwrót na zamrożone pola Galicji. Wolał, żeby Mikołaj pozostawał bezpiecznie w Sankt Petersburgu. To było ogromną ulgą dla niego i dla Natalii.

– Chciałbym z tobą pogawędzić dzisiaj po obiedzie, Papo. Jego głos był spokojny i pewny. Natalia spojrzała na niego z niepokojem. Nie miała ochoty usłyszeć żadnych wiadomości, które by ją jeszcze bardziej przygnębiły. Słyszała niedawno od przyjaciółki, że jej syn spotykał się z jakąś tancerką i miała mu wiele do powiedzenia, gdyby powiedział ojcu, że zamierza się ożenić.

– Ale to nic ważnego.

Babka spojrzała na niego mądrymi oczami starej kobiety, wiedząc, że sprawa, z którą chciał się zwrócić do ojca, była na pewno większej wagi. Musiał być czymś zmartwiony, skoro wpadł na cały wieczór do domu, co nie zdarzało mu się często.

– Właściwie – uśmiechnął się do wszystkich obecnych – przyjechałem,

żeby sprawdzić, czy ten mały potwór zachowuje się przyzwoicie – zerknął na Zoję, a ta zmierzyła go śmiertelnie obrażonym wzrokiem. – Jestem dorosła, Mikołaju. Nie jestem niegrzeczną dziewczynką – pociągnęła nosem z godnością i dokończyła deser.

Mikołaj roześmiał się głośno.

– Naprawdę? Pomyśleć... że zaledwie kilka chwil temu wbiegałaś po schodach w mokrych butach, spóźniona na kolację, jak zwykle, a twoje włosy wyglądały jakbyś czesała je grabiami... – zamierzał ciągnąć dalej, kiedy rzuciła w niego serwetką.

Jej matka pobladła i spojrzała wyczekująco na męża.

– Konstanty, powiedz im, żeby przestali. To jest okropnie irytujące, – Kto się czubi, ten się lubi, moja droga – stwierdziła słusznie hrabina Eugenia. – To jest jedyny sposób, w jaki obecnie potrafią ze sobą rozmawiać. Moje dzieci zawsze ciągnęły się za włosy i rzucały w siebie butami. Czyż nie tak było, Konstanty?

Parsknął śmiechem i spojrzał potulnie na matkę.

– Obawiam się, że też nie zachowywałem się za dobrze, kiedy byłem młody, kochanie.

Spojrzał czule na swoją żonę, potem rozejrzał się wesoło po wszystkich, wstał, skłonił się i zaprosił syna do sąsiedniego pokoju, gdzie mogli porozmawiać na osobności. Podobnie jak jego żona miał nadzieję, że Mikołaj nie zjawił się po to, by im oznajmić, że się żeni. Kiedy usiedli spokojnie przy kominku, elegancka złota papierośnica, którą Mikołaj wyjął z kieszeni, nie przeszła niezauważona. Była z pewnością zaprojektowana przez Carla Faberge, wykonana z różowożółtego złota, z pięknym szafirowym przyciskiem. Konstanty był prawie pewien, że zrobiono ją w pracowni Hollminga albo Wigstroma.

– Nowe cacko, Mikołaju?

On także słyszał plotki o jego, rzekomo bardzo pięknej, tancerce.

– Przyjacielski podarunek, Papo. Konstanty uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Tego się właśnie obawiałem. – Obaj mężczyźni zaczęli się śmiać.

Mikołaj zmarszczył brwi. Był co prawda młody, ale mądry ponad swój wiek i oprócz atrakcyjnego wyglądu miał także bystry umysł.

Posiadanie takiego syna było z całą pewnością powodem do dumy Konstantego.



– Nie musisz się martwić, Ojczy. To nic poważnego. Mam po prostu trochę rozrywki.

– Dobrze. Więc co cię tutaj dziś sprowadza?

Mikołaj wpatrywał się w ogień płonący w kominku, a potem, z wyrazem zatroskania, spojrzął w oczy ojcu, – Coś o wiele ważniejszego. Docierają do mnie bardzo nieprzyjemne pogłoski na temat cara, że jest zmęczony, chory i że nie będzie w stanie poprowadzić wojska. Ty też musiałeś coś takiego słyszeć, Ojczy.

– Tak, słyszałem – przytaknął w zamyśleniu. – Ale nadal nie wierzę, że mógłby nas zawieść.

– Byłem wczoraj wieczorem na przyjęciu u ambasadora Paléologue. On widzi to w bardzo ponurych barwach. Uważa, że niedobory żywności i paliwa są o wiele poważniejsze, niż się do tego przed sobą przyznajemy. Wojna zaczyna zbierać swój plon. Zaopatrujemy sześć milionów żołnierzy na froncie i z trudem udaje nam się zabezpieczyć byt naszych bliskich, którzy są tutaj. Obawia się, że nie wytrzymamy naporu wojny... że Rosja może upaść... że Mikołaj może się załamać... i co wtedy, Ojczy? Jak sądzisz, czy on ma rację?

Konstanty długo ważył jego słowa, wreszcie pokręcił przecząco głową.

– Nie. Myślę, że nie ma racji. Rzeczywiście wszystkie te sprawy są bardzo uciążliwe dla naszego kraju. Ale to jest Rosja, Mikołaju, a nie jakieś małe słabe państewko leżące nie wiadomo gdzie. Jesteśmy narodem silnym i wytrzymałym, bez względu na to, jakie warunki ukształtują się na zewnątrz czy wewnątrz, nie poddamy się. Nigdy. Jego głęboka wiara rozproszyła niepokój Mikołaja.

– Jutro znowu zbiera się Duma. Zobaczymy, co się wtedy stanie.

– Nic się nie stanie. Rosja będzie zawsze. Powinieneś to wiedzieć. Spojrzał tkliwie na syna i młodzieniec poczuł się znowu pokrzepiony.

– Wiem. Chyba po prostu musiałem to usłyszeć.

– Wszyscy czasem tego potrzebujemy. Musisz być silny, dla Mikołaja, dla nas wszystkich, dla kraju. Wszyscy musimy być teraz silni i wtedy dobre czasy powrócą. Wojna nie może się ciągnąć bez końca.

– Ta wojna jest straszna.

Obydwaj wiedzieli, jakich poważnych strat doznał już ich kraj. Ale żadna strata nie mogła oznaczać końca tego, co było tak drogie ich sercom. Teraz, kiedy myślał o tym, Mikołaj poczuł, że niepotrzebnie się

tak martwił. To dlatego, że ambasador Francji tak przekonywająco przepowiadał im klęskę. Zadowolony był z tego, że przyszedł porozmawiać z ojcem. Czy z mamą wszystko dobrze? Mikołaj odniósł wrażenie, że była jeszcze bardziej napięta niż zwykle, i choć może dlatego, że tak rzadko ich teraz odwiedzał, widział to wyraźniej. Konstancy tylko się uśmiechnęła.

Ona też jest przygnębiona tą wojną... i martwi się o ciebie... o mnie... o Zoję... Wiesz, że ona potrafi czasem sprawiać kłopoty.

Ale i tak jest cudowna, prawda? – Mówił o Zoi z czułością i żalem, czego natychmiast by się wyparł, gdyby się o tym dowiedziała. – Połowa mojego regimentu podkochuje się w niej i przez większość czasu muszę ich straszyć, że ich pozabijam.

Rozbawiło to Konstantego, zaraz jednak pokiwał smutno głową. – To fatalnie, że wejdzie w świat akurat w czasie wojny. Może w czerwcu będzie już po wszystkim.

Obaj żywili taką nadzieję, ale Mikołaj obawiał się, że było to mało prawdopodobne.

– Czy pomyślałeś już o kimś dla niej? – był ciekaw, uważał bowiem, że spośród jego kompanów dałoby się wybrać paru świetnych kandydatów.

– Trudno mi się pogodzić z myślą, że ją utracę. Wiem, że to jest niemądre. Ona ma w sobie tyle życia. Nie możemy jej zbyt długo trzymać przy sobie. Wasza babka zastanawia się poważnie nad księciem Orłowem.

– Przecież on jest dla niej za stary.

Miał dobre trzydzieści pięć lat i Mikołaj wolałby ją raczej przed nim uchronić. Właściwie nie był pewien, czy ktokolwiek zasługiwał na rękę jego małej ognistej siostrzyczki.

Konstancy wstał i uśmiechając się poklepał syna po plecach.

– Lepiej chodźmy do nich. Bo inaczej twoja matka zacznie się zamartwiać.

Otoczył syna ramieniem i wyszli z pokoju. Kiedy przyłączyli się do pań siedzących w saloniku, Zoja właśnie tłumaczyła się z czegoś przed matką.

– Co znowu zmalowałaś, mały potworze?

Na widok wyrazu jej twarzy Mikołaj zaczął się śmiać i zauważył, że ich

babka odwróciła się tyłem, żeby ukryć śmiech. Natalia była blada jak ściana, a Zoja zaczerwieniona. Spojrzała z wściekłością na brata.

– Nie wtrącaj się!

– O co chodzi tym razem, maleńka? – Konstanty patrzył na nią z rozbawieniem, dopóki nie dostrzegł pełnych wyrzutu oczu swojej żony. Uważała, że był stanowczo zbyt pobłażliwy dla córki.

– No, zobacz – mówiła młodsza hrabina zranionym głosem – Alix dała jej dzisiaj całkowicie niedorzeczny prezent, nie mam absolutnie zamiaru pozwolić, aby go zatrzymała.

– Dobry Boże! Cóż to jest? Jej słynne perły? Ależ przyjmij je koniecznie, kochanie, zawsze możesz je nosić później.

Konstanty był w bardzo dobrym nastroju po rozmowie z synem i wymienili teraz obydwaj serdeczne spojrzenia.

– To wcale nie jest zabawne, Konstanty. Spodziewam się, że powiesz jej dokładnie to samo, co ja. Musi się tego natychmiast pozbyć.

– Cóż to takiego jest? Jakaś zaraza czy tresowany wąż? – żartował sobie Mikołaj.

– Nie, to jeden ze szczeniaków, które urodziła Joy.

Łzy zaświeciły w oczach Zoi. Patrzyła błagalnie na ojca.

– Papo, proszę... Obiecuję, że nie będę spuszczała go z oka i nie wyjdzie poza mój pokój, i będę go trzymała z daleka od mamy... proszę...

Była bliska płaczu i Konstanty czuł, że całym sercem jest po jej stronie. Wtedy Natalia wybuchła, jej oczy rzucały takie same błyski jak jej diamenty migotające w świetle lampy.

– Nie zgadzam się! Psy roznoszą choroby! Wszyscy dobrze wiecie, jakie mam delikatne zdrowie!

Akurat w tamtym momencie jej wygląd wcale na to nie wskazywał, kiedy stała pośrodku pokoju jak istne uosobienie furii. Konstanty przypomniał sobie wtedy, jak bardzo był poruszony, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy. Teraz wiedział także, że nie była ona łatwą kobietą.

– Może mógłby mieszkać w kuchni... może wtedy... – spoglądał z nadzieją na żonę.

– Zawsze musisz trzymać jej stronę, Konstanty?

– Ależ kochanie... to nie będzie zbyt duży pies. Te, które są u nich, to przecież małe psiaki.

– I mają jeszcze dwa inne, i kota, a ich dziecko wciąż balansuje na krawędzi śmierci.

Miała oczywiście na myśli owianą tajemnicą chorobę Aleksego.

– To przecież nie ma nic wspólnego z psami. Może babcia mogłaby trzymać go w swoim domu.

– Spojrzał z nadzieją na swoją matkę, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. W grancie rzeczy ta awantura sprawiała jej pewną przyjemność. To było zupełnie w stylu Alix dawać Zoi psa, podczas gdy doskonale wiedziała, do jakiej furii doprowadzi tym jej matkę. Obie kobiety rywalizowały ze sobą po cichu, jednak Aleksandra była bądź co bądź carową.

– Chętnie go wezmę – zaofiarowała się starsza hrabina.

– To świetnie.

Konstanty poczuł, że znalazł doskonale rozwiązanie, ale głośnie trzaśnięcie drzwi uświadomiło mu, że nie zobaczy swojej żony aż do następnego ranka.

– I tym wesołym akcentem – powiedział Mikołaj uśmiechając się do wszystkich i kłaniając się babce uroczyście – zakończę swoją wizytę, by powrócić do cichych i spokojnych koszar.

– Akurat – stwierdziła jego babka uśmiechając się znacząco i zakaszła, kiedy całował ją na pożegnanie. – Słyszałam, że stałeś się niezłym rozpustnikiem, mój drogi.

– Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co mówią. Dobranoc, babciu. Ucałował ją w oba policzki i pożegnał się z ojcem dotykając lekko jego ramienia.

– A co do ciebie, ty mały potworze... – pociągnął ją lekko za rude włosy i pocałował, a Zoja spojrzała na niego z prawie nieskrywaną miłością. – Zachowuj się, gąsko. I postaraj się nie przynosić do domu więcej stworzeń, bo doprowadzisz swoją mamę do obłędu.

– Nikt cię nie pytał o zdanie! – odcięła się, a potem jeszcze raz go pocałowała. – Do widzenia, ty okropnie niezdolny chłopaku.

– Nie jestem chłopakiem, jestem mężczyzną, chociaż nie wiem, czy kiedykolwiek dowiesz się, na czym polega różnica.

– Dowiem się, jak zobaczę jakiegoś mężczyznę.

Pomachał do nich wszystkich wesoło i zniknął w drzwiach, by najprawdopodobniej udać się na spotkanie ze swoją tancerką.

– Ależ z niego czarujący chłopak, Konstanty. Bardzo mi przypomina ciebie, jak byłeś młody – rzekła stara hrabina z dumą, a jej syn uśmiechnął się na to.

Zoja opadła na krzesło z wyrazem niesmaku na twarzy.

– Uważam, że jest absolutnie okropny.

– On mówi o tobie znacznie cieplej, Zoju Konstantinowna – powiedział łagodnie ojciec.

Był dumny z nich obojga i kochał ich bardzo. Pochylił się, żeby pocałować ją w policzki i zwrócił się z uśmiechem do swojej matki, hrabiny Eugenii.

– Naprawdę weźmiesz do siebie tego psa, mamó? Obawiam się, że Natalia wszystkich nas powyrzuca z domu, jeżeli będę bardziej nalegał. Zdusił w sobie westchnienie. Czasami życzyłby sobie bardzo, żeby jego żona była odrobinę łatwiejsza w pożyciu. Zwłaszcza wtedy, gdy jego matka obserwowała ją krytycznie, najwyraźniej zachowując dla siebie osąd. Ale Eugenia już dawno wyrobiła sobie pogląd na swoją synową i cokolwiek by Natalia zrobiła, nie zdołałaby już go zmienić.

– Oczywiście. Miło będzie mieć takiego małego przyjaciela. – Popatrzyła na Zoję wesoło. – Który z ich psów jest ojcem tego szczeniaka?

– Żaden z nich, babciu. Ona jest od Joy, cocker-spanielki Marii. Jest taka słodka. Ma na imię Sawa.

Zoja rozpromieniła się i jak dziecko, podeszła, żeby usiąść na kolanach swojej babki. Stara kobieta objęła ją serdecznie.

– Poproś ją tylko, żeby nie ochrzciła mojego ulubionego Aubussona, a będziemy na pewno dobrymi przyjaciółmi, obiecuję. Poglądziła płomiennie rude włosy spływające Zoi na ramiona. Zoja kochała dotyk babcinych dłoni od dziecka i teraz ucałowała ją z czułością.

– Dziękuję, babciu. Tak bardzo chciałam ją mieć.

– Więc będziesz ją miała, małeńka moja... będziesz ją miała...

Wstała i podeszła wolno do kominka. Czowała zmęczenie, ale była rozluźniona. Zoja wyszła, żeby odzyskać szczeniaka zostawionego służącym. Hrabina z wolna odwróciła się do Konstantego. Zdawało jej się, że zaledwie parę chwil upłynęło, odkąd jej syn był w wieku Mikołaja, a nawet jeszcze młodszy. Lata mijały tak szybko, lecz były to dobre lata. Jej mąż żył pełną piersią. Umarł trzy lata temu, mając

osiemdziesiąt pięć lat. Zawsze czuła, że miłość do niego była dla niej błogosławieństwem. Konstanty stał się do niego bardzo podobny i przypominał jej teraz o szczęśliwych chwilach życia, szczególnie, gdy widziała przy nim Zoję.

– Ona jest kochanym dzieckiem, Konstanty Nikołajewiczu... śliczna młoda dziewczyna.

– Jest bardzo podobna do ciebie, mamó.

Eugenia pokręciła głową, ale widział po jej oczach, że się z nim zgadza. Czasami odnajdywała sporo z siebie w tej dziewczynie i zawsze cieszyła się, że Zoja w bardzo niewielkim stopniu przypominała matkę. Nawet gdy okazywała nieposłuszeństwo Natalii, stara hrabina uważała to, w jakiś sposób, za godne podziwu. Od dawna czuła, iż jest to oznaką, że w żyłach Zoi płynie jej krew, co tym bardziej drażniło Natalię.

– Ona jest kimś innym... jest jedyna w swoim rodzaju. Nie musimy jej przytłaczać swoimi niepowodzeniami i zawodami.

– Czy ty kiedykolwiek zawiodłaś? Zawsze byłaś dla mnie dobra, mamó... dla nas wszystkich...

Była kobietą powszechnie szanowaną i bardzo lubianą. Wiedziała zawsze, czego chce i kierowała się w życiu najgłębszymi wartościami. Znał dobrze jej mądrość i polegał na jej zazwyczaj bardzo rozsądnych i trafnych opiniach.

– Zobacz, babciu, oto ona!

Zoja wróciła z małym pieskiem. Był taki maleńki, że prawie mieścił jej się w dłoniach. Hrabina ostrożnie wzięła od niej szczeniaka.

– Czyż nie jest słodka?

– Jest rozkoszna... i pozostanie taka, dopóki nie zje mojego najlepszego kapelusza albo moich ulubionych butów... tylko, błagam, nie mój ulubiony dywan z Aubusson. A jeśli to zrobisz – powiedziała, głaszcząc szczeniaka, tak jak przed chwilą gładziła włosy Zoi – ugotuję z ciebie zupę. Pamiętaj!

Na te słowa, maleńka Sawa, jakby w odpowiedzi, warknęła.

– To było bardzo miłe ze strony Alix, że ci ją dała, maleńka. Mam nadzieję, że podziękowałaś jej należycie.

Zoja zachichotała, lecz zaraz zasłoniła z wdziękiem usta dłonią.

– Obawiała się nieco, że mama będzie tym zirytowana.

Jej babka też się roześmiała. Konstanty starał się powściągnąć uśmiech, przez wzgląd na swą żonę.

– Widzę, Zoju, że Alix dobrze zna twoją mamę. Nieprawdaż, Konstanty?

Zajrzała mu prosto w oczy, a on dobrze rozumiał, o czym mówiła.

– Słabe zdrowie Natalii nie ułatwia jej życia. Może jednak w końcu... – starał się jej bronić.

– Mniejsza z tym, Konstanty – hrabina wdowa machnęła zniecierpliwioną ręką. Przytuliła szczeniaka i pocałowała wnuczkę na dobranoc.

– Przyjdź nas odwiedzić jutro, Zoju. Czy może jedziesz znów do Carskiego Sioła? Pojechałabym kiedyś z tobą, żeby złożyć wizytę Alix i jej dzieciom.

– Nie teraz w czasie odry, proszę cię, mam... i jazda, w taką pogodę, mogłaby być dla ciebie ryzykowna.

– Nie pleć głupstw, Konstanty. Chorowałam na odrę chyba ze sto lat temu i nigdy nie przejmuję się pogodą. Czuję się całkiem dobrze, wielkie dzięki, i zamierzam pozostać w takiej formie przez następne dwanaście lat albo i więcej. Jestem na tyle niedobra, że mogę to zrobić.

– To wspaniała wiadomość – powiedział z uśmiechem. – Odprowadzę cię do twojego pawilonu.

– Daj spokój – opędzała się od niego, a Zoja tymczasem przyniosła jej pelerynę i zarzuciła na ramiona. – Potrafię jeszcze przejść sama przez ogród, jak wiesz. Robię to kilka razy dziennie.

– Zatem nie odbieraj mi przyjemności uczynienia tego wraz z tobą, madame.

Uśmiechnęła się do niego widząc w nim znowu dziecko, przynajmniej w swoim sercu, gdzie pozostanie jej małym chłopcem tak długo, jak tylko będzie żyła.

– Dobrze więc, chodź, Konstanty. Dobranoc, Zoju.

– Dobranoc, babciu. I dziękuję ci za przechowanie Sawy dla mnie.

## Rozdział trzeci

Dwa dni później Zoja zamierzała wybrać się ponownie do Carskiego Sioła, by odwiedzić Marię, lecz, niestety, rano, jeszcze przed śniadaniem, przyszedł list. Został przywieziony osobiście przez doktora Fedorowa, lekarza opiekującego się Aleksym, który przyjechał do miasta po lekarstwa, a przy okazji przekazał przykrą wiadomość: Maria także zachorowała na odrę. Zoja czytała liścik od niej z uczuciem wielkiego zawodu. Wszystko to oznaczało, że nie tylko nie będzie mogła teraz do niej pojechać, lecz że nie będą mogły się widywać prawdopodobnie przez kilka najbliższych tygodni. Doktor Fedorow powiedział, że Maria nie będzie mogła przyjmować wizyt przez dłuższy czas, wszystko będzie zależało od tego, jak dalej rozwinie się choroba. Anastazja miała obecnie problemy z uszami na skutek komplikacji po odrze i bardzo się obawiał, że u carewicza zaczęło się rozwijać zapalenie płuc.

– O, mój Boże... – lamentowała Natalia. – Ty przecież stykałaś się z nimi. Zoju, zabroniłam ci tam jechać, a ty pojechałaś i pewnie też się zaraziłaś... Jak mogłaś mi to zrobić! Jak śmiałaś!

Była bliska hysterii na myśl o chorobie, jaką Zoja mogła sprowadzić do ich domu. Konstanty, który właśnie przyszedł w momencie kiedy jego żona zasłabla, posłał natychmiast służącą na górę po wonny ocet. Zamówił kiedyś dla Natalii specjalne naczynko do przechowywania go, dzieło laberge, w formie czerwonej truskawki, pokrytej emalią, inkrustowane ornamentami. Trzymała je przy swoim łóżku, żeby mieć je zawsze pod ręką. Doktor Fedorow zgodził się uprzejmie zostać jeszcze chwilę, by zajrzeć im górę do Natalii, gdy tymczasem Zoja skreśliła szybko liścik do przyjaciółki. Życzyła jej szybkiego powrotu do zdrowia, by mogły znowu się spotkać, i podpisała się w imieniu swoim i Sawy, która zdążyła już wspaniałomyślnie zmoczyć słynnego Aubussona. Hrabina Eugenia mimo to trzymała ją nadal u siebie, grożąc jej jednocześnie, że ugotuje z niej zupę, jeśli jej maniery szybko się nie poprawią.

... Kocham Cię bardzo, najśłodsza moja przyjaciółko. Musisz teraz naprawdę szybko wyzdrowieć, pospiesz się, żebyśmy mogła znowu do



Ciebie przyjechać.

Posłała jej dwie książki, w tym: „Helen’s Babies”, którą i tak zamierzała jej podarować. Sama przeczytała ją parę tygodni wcześniej i bardzo jej się podobała. Dodała do listu szybkie postscriptum, w którym ostrzegła Maszkę, by nie posłużyła się nią w celu wymówienia się od gry w tenisa, jak obie uczyniły zeszłego lata w Liwadii, gdy miały grać z siostrami Marii. Tenis był ich ulubioną grą i Maria była w nim znacznie lepsza od swych sióstr, choć Zoja zawsze groziła, że ją pokona.

...Przyjadę do Ciebie, jak tylko Twoja Mama i lekarz mi pozwolą. Jestem przy Tobie całym sercem, Twoja kochająca Zoja...

Tego popołudnia Zoja spotkała się znów ze swym bratem, co było przynajmniej jakimś urozmaiceniem. Kiedy czekali na powrót ojca do domu, zabrał ją na przejażdżkę trojką. Matka przez cały dzień nie opuszczała swego pokoju, tak bardzo przygnębiła ją wiadomość, że Maria zachorowała na odrę i że Zoja przez swoją lekkomyślność mogła się zarazić. Zoja wiedziała, że matka może tam pozostać przez wiele dni, tym bardziej więc była wdzięczna za rozrywkę, jakiej dostarczył jej brat.

– Dlaczego przyjechałeś zobaczyć się znowu z Papą? Czy coś się stało, Mikołaju?

– Nie bądź głuptasem. Dlaczego zaraz musiało się coś stać? Żartowniś z ciebie.

Ale jakże bystry żartowniś. Podziwiał czujny instynkt, który jej odpowiedział, że przyjechał porozmawiać z ojcem, ponieważ coś go niepokoiło. Poprzedniego dnia zebrała się Duma i Aleksander Kierenski wygłosił przerażającą mowę, w której, między innymi, podjudzał do zamordowania cara. To wzbudziło w Mikołaju obawę, że część przepowiedni ambasadora Paléologue mogła się spełnić. Możliwe, że sprawy miały się znacznie gorzej, niż sądzili, i ludność była bardziej rozdrażniona niedostatkiem i niedoborami żywności, niż wszyscy przypuszczali. Ambasador brytyjski, Sir George Buchanan, przed wyjazdem do Finlandii, dokąd udał się na dziesięciodniowe wakacje,

powiedział dokładnie to samo. Mikołaj słyszał wiele różnych pogłosek w ciągu ostatnich dni i był bardzo zmartwiony, dlatego też pragnął ponownie usłyszeć opinie ojca.

– Nigdy nie przychodzisz w odwiedziny, chyba że coś się stanie, Mikołaju. – Zoja próbowała coś z niego wyciągnąć, kiedy mknęli Newskim Prospektem.

Ziemia pokryta była nieskazitelnie białym śniegiem. Nigdy jeszcze nie wyglądało to tak pięknie jak wtedy. Mikołaj nadal twierdził, że nie ma powodów do niepokoju i Zoja, mimo przeszywającego ją chwilami dziwnego lęku, postanowiła mu uwierzyć.

– Jakie urocze stwierdzenie, Zoju. Nawiasem mówiąc, niezgodne z prawdą. Chyba że masz na myśli fakt, że znowu doprowadziłaś mamę do szału? Podobno przez ciebie musi teraz leżeć w łóżku i dwa razy odwiedzał ją lekarz.

Zoja wzruszyła ramionami z szelmowskim uśmiechem.

– To dlatego, że doktor Fedorow powiedział, że Maszka zachorowała na odrę.

– I ty jesteś następna w kolejce?

Zoja wybuchnęła śmiechem.

– Nie bądź głupi. Ja nigdy nie choruję.

– Nie bądź taka pewna. Chyba nie pojedziesz do nich?

Zdawał się zaniepokojony, lecz Zoja zaprzeczyła z miną rozczarowanego dziecka.

– Nie pozwól mi. Nikt nie może ich teraz odwiedzać. A biedną Natalię okropnie boli ucho.

– Wyzdrowieją niedługo i będziesz mogła znowu ich odwiedzać.

Zoja przytaknęła, po czym uśmiechnęła się znacząco.

– Przy okazji, Mikołaju, jak się miewa twoja tancerka?

Spojrzał na nią zaskoczony i pociągnął za jeden z pukli, który wymknął się spod jej futrzanej czapki.

– Skąd ci przyszło do głowy, że mam jakąś „tancerkę”?

– Wszyscy o tym wiedzą, głupolu... tak jak wiedzieli o wujku Mikołaju, zanim ożenił się z ciocią Alix.

Mogła z nim mówić otwarcie, w końcu był jej bratem. On wydawał się jednak zaszokowany. Wprawdzie zawsze była wygadana, lecz spodziewał się po niej choć odrobiny przyzwoitości.

- Zoja! Jak śmiesz mówić o takich rzeczach!
- Mogę mówić, co mi się podoba. Jaka jest ta twoja? Czy ładna?
- Żadna nie jest. Nie istnieje. Czy tego cię uczą w Smolnym?
- Niczego mnie nie uczą – odparła wesoło, bagatelizując bardzo solidną edukację, jaką otrzymała w Instytucie, mimo swego braku entuzjazmu dla tej uczelni, tak samo jak on kilka lat wcześniej nie był zachwycony pobytem w Cesarskim Korpusie Paziów przeznaczonym dla synów szlachty i wyższych oficerów. – Zresztą już go prawie ukończyłam.
- Wyobrażam sobie, jak się będą cieszyli, że widzą cię tam po raz ostatni, moja droga.

Wzruszyła ramionami i roześmieli się oboje. Przez chwilę sądził, że udało mu się odwrócić jej uwagę, lecz Zoja tak szybko nie rezygnowała i zapytała z szelmowskim uśmieszkiem.

- Wciąż jeszcze nie powiedziałaś mi nic o swojej przyjaciółce?
- Jesteś okropna, Zoju Konstantinowna.

Zachichotała tylko. Jechali powoli w stronę pałacu na Fontance. Ich ojciec tymczasem wrócił do domu i po przyjściu Mikołaja obaj mężczyźni zamknęli się w bibliotece, której okna wychodziły na ogród. Zapełniały ją piękne, oprawione w skórę książki, oraz przedmioty zgromadzone w ciągu wielu lat przez Konstantego. Szczególnie lubił swoją kolekcję z malachitu, posiadał także zbiór wielkanocnych jaj Faberge, którymi Natalia obdarowywała go co roku, podobnych do tych, jakie car i carowa wymieniali między sobą przy szczególnych okazjach. Kiedy Konstanty stał przy oknie, słuchając tego, co mówił jego syn, widział Zoję, jak biegła przez śnieg w podskokach, by odwiedzić swoją babcię i Sawę.

- Więc, ojcze, co o tym wszystkim sądzisz?

Konstanty odwrócił się do Mikołaja i zobaczył, że jego syn jest naprawdę przygnębiony.

- Nie sądzę, by oznaczało to coś poważnego. Nawet jeśli są zamieszki na ulicach, to generał Kabałow sobie z tym poradzi, Mikołaju. Nie ma się czym martwić – uśmiechnął się pokrzepiająco, zadowolony, że jego syn troszczy się o los swego miasta i całego kraju. – Wszystko jest w porządku. Trochę czujności jednak nie zaszkodzi. To cecha dobrego żołnierza.

Konstanty wyglądał tak jak wtedy, gdy był jeszcze młody, podobny był

też do swojego ojca. Gdyby mógł, byłby teraz na froncie, lecz wiek mu już na to nie pozwalał, choć bardzo kochał swojego kuzyna cara i ojczyznę.

– Ojczy, czy nie zaniepokoiło cię przemówienie Kiereńskiego do Dumy? Mój Boże, przecież to, co on proponuje, byłoby zdradą stanu!

– To prawda, ale nie przypuszczam, by ktokolwiek mógł potraktować to poważnie, Mikołaju. Nikt nie zamierza zamordować cara. Nie odważyliby się. Poza tym Nicky jest na tyle mądry, by zapewnić sobie odpowiednią ochronę. Myślę, że znacznie większe niebezpieczeństwo grozi mu teraz we własnym domu, pośród tych wszystkich chorych na odrę dzieci i służby – uśmiechnął się łagodnie do syna – niż to, co mogłoby mu zagrażać ze strony jego ludzi. Ale na wszelki wypadek zadzwonię do ambasadora Buchanana, kiedy wróci, i sam go zapytam, czy rzeczywiście tak się martwi. Chciałbym usłyszeć, jaki jest jego punkt widzenia na to wszystko, a także, co o tym sądzi Paléologue. Kiedy Buchanan wróci z wakacji, umówię się z nimi na obiad i oczywiście ciebie też serdecznie zapraszam, byś nam towarzyszył.

Chciał, nade wszystko, dopomóc w karierze syna. Mikołaj był błyskotliwym chłopcem i otwierała się przed nim wspaniała przyszłość. – Czuję się lepiej po tej rozmowie, Ojczy.

A jednak tym razem obawy nie zostały tak łatwo rozproszone i kiedy Mikołaj opuszczał dom, towarzyszyło mu dojmujące poczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Miał ochotę pojechać do Carskiego Sioła i spotkać się osobiście z carem, lecz uznał, że nie jest to odpowiednia pora, ponieważ słyszał, jak bardzo jest wyczerpany i zmartwiony stanem zdrowia swojego syna. Zdawało się, że mądrzej będzie nie przeszkadzać mu w tak niefortunnym czasie.

Dokładnie w tydzień później, ósmego marca, car Mikołaj opuścił Sankt Petersburg, by powrócić na front, do oddalonego o przeszło osiemset kilometrów Mogiłowa. Tego samego dnia wybuchły zamieszki na ulicach. Ludzie stojący w kolejkach po chleb wpadli we wściekłość i wtargnęli do piekarni wykrzykując „Chcemy chleba!” O zachodzie słońca przybył szwadron Kozaków, by przywrócić spokój. Wciąż jednak nie wyglądało na to, by ktoś się tym zbytnio przejął. Ambasador Paléologue wydał nawet wielkie przyjęcie. Byli na nim książę i księżna Gorczałow, hrabia Tolstoj, Aleksander Benois oraz ambasador

Hiszpanii, markiz de Villasinda. Natalia wciąż nie czuła się najlepiej i twierdziła, że nie może wychodzić, więc Konstanty nie chciał jej zostawiać samej. Był jednak zadowolony, że nie poszli, kiedy usłyszał następnego dnia, że na przedmieściach buntownicy przewrócili tramwaj. Mimo tych wszystkich wydarzeń, nikt nie uznał tej sytuacji za alarmującą. I jakby chcąc ich w tym utwierdzić, następny dzień zaświtał jasny i słoneczny. Newski Prospekt roił się od przechodniów, wszyscy wydawali się zadowoleni, a sklepy były pootwierane. Kozacy czuwali co prawda w pobliżu, lecz zdawało się że są przyjaźnie nastawieni do ludzi. Jednak w sobotę, dziesiątego marca nieoczekiwanie dokonano grabieży i w wynikłych następnego dnia zamieszkach zostało zabitych parę osób...

Tego właśnie wieczora Radziwiłłowie, mimo wszystko, urządzali wystawne przyjęcie. Wyglądało to, jakby wszyscy zamierzali udawać, że nic się takiego nie dzieje. Trudno jednak było zignorować doniesienia o zamieszaniu i zakłóceniach porządku publicznego. Nauczyciel Marii, Gibbes przywiózł tego dnia Zoi list od Maszki. Rzuciła się na niego wrywając mu niemal kopertę, lecz zaraz przeczytała z żalem, że Maria czuje się „okropnie”, a u Tatiany zaczęły się także problemy z uszami. Ale przynajmniej „Dziecko” czuło się odrobinę lepiej.

– Biedna ciocia Alix, pewnie jest bardzo zmęczona – rzekła Zoja do swej babki siedząc tego popołudnia w jej salonie, z Sawą na kolanach. – Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę się z Marią, Babciu. Już od paru dni nie miała co robić, babka absolutnie nie chciała jej puścić na lekcje baletu ze względu na zamieszki uliczne, i tym razem ojciec Zoi ją poparł.

– Trochę cierpliwości, moja droga – napominała ją babka. – Nie chcesz przecież znaleźć się teraz na ulicy, pośród tych wszystkich głodnych, nieszczęśliwych ludzi.

– Czy jest im aż tak źle, Babciu?

Trudno to było sobie wyobrazić, żyjąc pośród luksusów jak oni. Bolało ją jednak to, że byli ludzie tak rozpaczliwie głodni.

– Chciałabym, żebyśmy mogli dać im trochę tego, co mamy.

Ich życie było takie łatwe i pełne wygod, wydawało się okrutne, że dookoła byli ludzie cierpiący z zimna i głodu.

– Wszyscy czasami chcielibyśmy im pomóc, maleńka. Żarliwie oczy starej kobiety patrzyły na nią przenikliwie.

– Życie nie zawsze bywa sprawiedliwe. Jest wielu, wielu ludzi, którzy nigdy nie zaznają tego, co nam się wydaje takie oczywiste każdego dnia...

Ciepłe ubrania, wygodne łóżka, dostatek jedzenia... że nie wspomnę u takich błahostkach, jak wakacje, przyjęcia i piękne stroje.

Czy w tym wszystkim jest coś złego? – nagle uderzyła Zoję taka myśl.

– Z pewnością nie. Lecz jest to przywilej i nie wolno nam o tym zapominać.

– Mama mówi, że to są prości ludzie, którzy i tak nie potrafiliby się tym cieszyć. Myślisz, że tak jest rzeczywiście?

Eugenia spojrzała na nią poirytowana, zdumiona, że jej synowa jest nadal tak ślepa i głupia.

– Nie bądź niemądra, Zoju. Czy sądzisz, że ktoś odrzuciłby ciepłe łóżko i miałby coś przeciwko pełnemu żołądkowi albo nie chciałby mieć ładnej sukienki i pięknej trojki. Musieliby być strasznymi głupcami.

Zoja nie dodała już, że i to powiedziała jej matka, ponieważ zrozumiała, że ci ludzie wcale tacy nie byli.

– Wiesz, Babciu, to smutne, że oni nie znają Wujka Nicka i Cioci Alix ani Dziecka, ani dziewcząt. Przecież są tacy dobrzy, nikt by się na nich nie rozgniewał, gdyby ich znali.

To było rozsądne stwierdzenie, jakże jednak naiwne.

– To nie o nich tu chodzi, moja kochana... lecz o to, co reprezentują. Ludziom, znajdującym się za oknami pałacu, jest niesłychanie trudno pamiętać, że ci, którzy są tam w środku, tak samo mają problemy i złamane serca jak inni. Nikt nigdy się nie dowie, jak bardzo Mikołaj się o nich wszystkich troszczy, jak przejmuje się ich zdrowiem i jak bardzo choroba Aleksego łamie mu serce. Nigdy się nie dowiedzą, nigdy tego nie zobaczą, to mnie także bardzo smuci. Ten biedny człowiek dźwiga na swoich barkach tak wiele. A teraz znowu jest na froncie. To musi być trudne dla Alix. Mam nadzieję, że dzieci wkrótce wyzdrowieją i będę mogła pojechać ich odwiedzić.

– Ja też chcę tam pojechać. Ale Papa nie pozwoli mi nawet wystawić nogi za próg. Całe miesiące miną, zanim nadrobię zaległości u madame Nastowej.

– Wiesz dobrze, że nie będzie tak źle.

Eugenia przypatrywała się Zoi. W miarę jak zbliżały się jej osiemnaste urodziny, z każdym dniem stawała się coraz piękniejsza. Była delikatna i pełna wdzięku, ze swoimi płomiennie rudymi włosami i wielkimi oczami. Miała ładne długie nogi i talię tak szczupłą, że można ją było objąć dłońmi. Zapierało dech w piersiach, gdy się patrzyło na nią.

– Babciu, to jest takie nudne.

Odwróciła się na pięcie, a Eugenia zaczęła się z niej śmiać.

– Z pewnością mi nie schlebiasz. Wiele osób nudziło się w moim towarzystwie, lecz nikt mi jeszcze tego tak jawnie nie powiedział.

– Przepraszam – powiedziała Zoja ze śmiechem. – Nie miałam na myśli ciebie, lecz to, że muszę tkwić w domu. Nawet ten głupi Mikołaj nie przyszedł nas dziś odwiedzić.

Później, jeszcze tego samego popołudnia, dowiedzieli się, dlaczego.

Generał Kabało w kazał w całym mieście porozwieszać plakaty, ostrzegające, że wszelkie zebrania i zgromadzenia publiczne są zabronione, a wszyscy strajkujący mają wrócić do pracy następnego dnia. Nieprzestrzeganie tych nakazów groziło natychmiastowym powołaniem do wojska i wysłaniem na front. Nikt jednak nie zwracał na te obwieszczenia najmniejszej uwagi. Ogromne tłumy protestantów szły od strony Wyborga, przez mosty na Newie, do centrum miasta. O czwartej trzydzięci pojawili się żołnierze i doszło do strzelaniny przy Newskim Prospekcie, naprzeciwko Pałacu Aniczковского. Pięć osób zostało zabitych i w ciągu paru godzin zginęło jeszcze dwieście. Nagle okazało się, że wśród żołnierzy są znaczne rozbieżności. Jedna z kompanii Pawłowskiej Gwardii Konnej odmówiła strzelania do protestujących, zamiast tego zastrzelono oficera dowodzącego, nagle zapanowało istne pandemonium i trzeba było wezwać Pułk Preobrażeński, żeby buntowników rozbroił.

Konstanty, powiadomiony tego wieczora, zniknął na wiele godzin, by spróbować się dowiedzieć, co dzieje się w innych miejscach. Chciał się upewnić, że jego synowi nic się nie stało. Poczul, jak ogarnia go paniczny lęk na myśl o niebezpieczeństwie zagrażającym Mikołajowi. Zdołał się dowiedzieć tylko tyle, że podczas rozbrajania Pułku Pawłowskiego było bardzo niewiele strat w ludziach. „Bardzo niewiele” zabrzmiało nagle jak o wiele za dużo. Postanowił wrócić do domu, by

tam oczekiwać na dalsze wieści. W drodze powrotnej zobaczył światła u Radziwiłłów i zdumiało go szaleństwo tego miasta, które nie przestawało się bawić, podczas gdy mordowano ludzi. Zaczął myśleć, że Mikołaj miał rację, kiedy tak bardzo się martwił tym, co mogło nastąpić. Konstanty nie mógł się doczekać rozmowy z Paléologiem i postanowił, że zadzwoni do niego zaraz następnego dnia rano. Kiedy skierował się na Fontankę, ujrzał jakieś konie przed swym domem. Widok ten zmroził mu serce, miał ochotę zawrócić i uciec. Nagle ogarnęło go poczucie grozy i pognał konie naprzód. Przed domem był co najmniej tuzin żołnierzy Pułku Preobrażeńskiego, pośród bieganiny i krzyków dostrzegł, że coś niosą i nagle z jego ust wyrwał się rozpaczliwy okrzyk. Wyskoczył z trojki, zanim się jeszcze zatrzymała, wołając: „O, mój Boże... o, Boże...” i wtedy go zobaczył. Niosło go dwóch mężczyzn, cały śnieg był zbroczony krwią. To był Mikołaj, – O, mój Boże.... – strugi łez zaczęły płynąć po jego policzkach. Podbiegł do żołnierzy.

– Czy żyje?

Jeden z mężczyzn spojrzał na niego i skinął głową, mówiąc łagodnie do Konstantego:

– Ledwo co.

Jeden z żołnierzy Gwardii Pawłowskiej oddał do niego siedem strzałów, jeden z ich ludzi... jeden z ludzi cara... lecz Mikołaj był nieustraszony powalił tego mężczyznę.

Wnieście go do środka... szybko... – zawołał Fiodora, który zaraz jawił się przy nim. – Sprowadź lekarza mojej żony, natychmiast! – krzyczał. Młodzi Gwardziści patrzyli na niego bezradni. Wiedzieli, że nic już się nie da zrobić, właśnie dlatego przywieźli go do domu. Mikołaj patrzył na ojca zamglonymi oczami, ale rozpoznał go i uśmiechnął się. Znowu wyglądał jak dziecko, Konstanty wziął go w swoje potężne ramiona i zaniósł do domu. Ułożył na okrytym gobelinem tapczanie, w salonie, dokąd zbiegła się cała służba.

– Przynieście bandażę... prześcieradła... szybko, dajcie mi ciepłą wodę. Nie miał pojęcia, co zrobi z tym wszystkim, ale coś musiał robić. Coś... cokolwiek... musieli go ratować. Jego kochany mały chłopiec, przywieźli go do domu, by tutaj umierał, ale on nie pozwolił mu wymknąć się życiu. Musi go zatrzymać, zanim będzie za późno... Nagle



poczuł, że czyjaś stanowcza ręka odsuwa go na bok, i ujrzał swoją matkę, jak ujmując głowę chłopca w swoje dłonie i składa pocałunek na jego czole nucąc mu cichą kołysankę.

– Już dobrze, Mikołaju, babcia jest przy tobie... i mama i papa...

Trzy kobiety zasiadły wcześniej do obiadu, nie czekając na Konstantego i Eugenia, słysząc wchodzących mężczyzn, natychmiast wyczuła, że coś się stało. Pozostali Gwardziści czekali zakłopotani w korytarzu i usłyszeli straszliwy krzyk, jaki wydała Natalia ujrawszy swego syna, po czym zemdląca w drzwiach.

– Zoju! – zawołała Eugenia i dziewczyna przybiegła do niej, a Konstanty stał bezradnie obok patrząc, jak krew jego syna spływa po marmurowej posadzce i wsiąka powoli w dywan. Widział, jak Zoja drżąc podbiegła do babki i uklękła przy swoim bracie. Jej twarz była biała jak kreda. Wzięła go delikatnie za rękę.

– Mikołaju... – szeptała. – Kocham cię... to ja, Zoja...

– Co ty tu robisz? – powiedział ledwie słyszalnym szeptem. Patrząc na niego, Eugenia wiedziała, że tracił już przytomność.

– Zoju – rozkazała, jak generał dowodzący swymi ludźmi – podrzyj na paski moją halkę... szybko... pośpiesz się... Delikatnymi rękoma Zoja zaczęła ciągnąć za halkę babki, w końcu, słysząc jej ponaglenia, szarpnęła mocno. Hrabina wysunęła się ze swej halki i Zoja podarła ją na paski, a potem patrzyła, jak babka obwiązuje rany jej brata.

Próbowała zatamować krwotok, ale było już za późno. Konstanty zapłakał i uklękł przy nim, by go pocałować.

– Papo!?!... czy jesteś tu, papo!?! – wołał jakby znów był dzieckiem. – Papo... kocham cię... Zoju... bądź dobrą dziewczynką... – uśmiechnął się do nich i skonał.

Wszystkie ich wysiłki nie zdały się na nic, było za późno. Umarł w ramionach swego ojca. Konstanty ucałował jego oczy i zamknął je delikatnie. Płakał rozpaczliwie, trzymając w ramionach syna, którego tak kochał, a krew Mikołaja spływała mu na kamizelkę. Lekarz zdążył już przyjechać i próbował ocucić Natalię, która nadal leżała na progu jak kłoda. Zanieśli ją do jej pokoju, na górę. Fiodor rozplakał się. W całym hallu słyhać było lament. Cała służba się zgromadziła... za późno... dla każdego było już za późno, żeby mu pomóc.

– Chodź, Konstanty. Każ im zanieść go na górę.

Delikatnie odebrała mu syna. Prawie oślepionego, poprowadziła do biblioteki, popchnęła go delikatnie, żeby usiadł i naląła mu kieliszek brandy. Nic nie mogłaby mu powiedzieć, co ulżyłoby mu w cierpieniu, i nawet nie próbowała. Dała znak Zoi, by przyszła do nich i, kiedy zobaczyła jaka była blada, zmusiła ją do wypicia jednego łyka ze swego kieliszka.

– Nie, Babciu... nie... proszę... – krztusiła się od samego zapachu alkoholu, ale babka zmusiła ją, by wypiała, i znowu zwróciła się do Konstantego.

– Był taki młody... mój Boże... zabili go... mój Boże... Obejmowała go, gdy kołysał się z rozpaczy na krześle, bolejąc nad stratą jedyne go syna. Wtedy Zoja przypadła do niego i wczepiła się w jego ramiona, jakby był jedyną ostoją pozostałą na tym świecie. Myślała tylko o tym, że tego popołudnia nazwała brata „głupi Mikołaj”... głupi Mikołaj... a teraz on już nie żył... jej brat nie żył... – patrzyła na ojca przerażona.

– Papo, co się dzieje?

– Nie wiem, maleńka... zabili moje dziecko...

Tulił ją do siebie, a ona szlochała w jego ramionach. Niedługo potem wstał powierzając ją opiece babki.

– Zabierz ją do siebie do domu, Mamo. Ja muszę iść do Natalii.

– Jej nic nie jest.

Eugenia o wiele bardziej martwiła się o syna niż o jego niezbyt mądrą żonę. Bała się, że utrata Mikołaja może go złamać. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni, wtedy ujrzał jej oczy, były pełne mądrości, doświadczenia nabytego z wiekiem i bezmiernego smutku.

– Och, Mamo – zapłakał znów, objął ją i stali tak bardzo długo, a ona wysunęła rękę i przyciągnęła do nich Zoję. Potem Konstanty odsunął się powoli i poszedł do Natalii, a Zoja stała na korytarzu i patrzyła za nim. Krew Mikołaja została już zmyta z marmurowej posadzki, dywan wyniesiono, on zaś leżał cichy i chłodny w pokoju, w którym mieszkał od dzieciństwa. Tam się urodził i tam umarł, żyjąc zaledwie dwadzieścia trzy krótkie lata. Wraz z nim odszedł świat, który znali i kochali. Wyglądało na to, że nikt z nich już nigdy nie będzie bezpieczny. Eugenia wiedziała o tym, Kiedy prowadziła do swego pawilonu, trzęsącą się pod jej peleryną, Zoję, z oczami wyrażającymi szok i przerażenie.

– Musisz być teraz silna, maleńka – mówiła do niej, gdy były w salonie i przybiegła do nich Sawa. Zoja zaczęła znowu płakać. – Twój ojciec będzie cię teraz potrzebował podwójnie. Być może... może już nigdy nie będzie całkiem tak samo jak dawniej... dla nikogo z nas. Ale cokolwiek się zdarzy – głos jej się załamał, gdy przypomniała sobie, jak trzymała w ramionach umierającego wnuka. Choć broda jej drżała, przytuliła Zoję i pocałowała jej gładki policzek – tylko pamiętaj, maleńka, że on bardzo cię kochał...

## Rozdział czwarty

Następny dzień był jak koszmarny sen. Mikołaj leżał już umyty w swoim dawnym pokoju, ubrany był w mundur, dookoła poustawiano świece. Regiment Woliński zbuntował się, podobnie jak Siemanowski, Ismailowski, Litewski, Oranienbaum, a wreszcie najbardziej dumny ze wszystkich, regiment Mikołaja, Pułk Preobrażeński. Wszystkie stanęły po stronie rewolucji. Wszędzie powiewały niesione wysoko czerwone proporce, żołnierze szli w postrzępionych mundurach, już nie ci sami co przedtem... Sankt Petersburg nie był tym miastem co kiedyś. Nic już nie miało być tak jak dawniej. Tego dnia wcześniej rano żołnierze podłożyli ogień pod gmachy sądu. Wkrótce arsenał na Litym stanął w płomieniach, a później ministerstwo spraw wewnętrznych, rządowy gmach wojskowy, kwatery główna tajnej policji, Ochrona. Zniszczono także kilka posterunków policji. Wszyscy więźniowie zostali uwolnieni i, nim minęło południe. Forteca Piotra i Pawła znalazła się także w rękach rebeliantów. Stało się oczywiste, że należy niezwłocznie podjąć jakąś decyzję, a car musi natychmiast wrócić, żeby utworzyć rząd tymczasowy, który mógłby przejąć władzę z powrotem. Ale nawet to wydawało się nierealnym planem i kiedy Wielki Książę Michał zadzwonił tego popołudnia do niego, do kwatery głównej w Mogiłowie, car obiecał swój rychły powrót. Nie potrafił pojąć tego, co się stało w Sankt Petersburgu w ciągu tych kilku dni, jakie upłynęły od jego wyjazdu, i upierał się, że dopiero po powrocie, kiedy sam przekona się o tym co zaszło, wyznaczy nowych ministrów, by mogli uporać się z zaistniałym kryzysem. Kiedy jednak przewodniczący Dumy przesłał mu owego wieczora alarmującą wiadomość, że jego rodzinie grozi niebezpieczeństwo, zdał sobie sprawę z tego, co się działo. Sama cesarzowa zupełnie nie rozumiała sytuacji. Ale i tak było już dla nich wszystkich za późno. O wiele, wiele za późno.

Lili Dehn przyjechała do Carskiego Sioła odwiedzić Aleksandrę akurat tego popołudnia i znalazła ją całkowicie pochłoniętą pielęgowaniem chorych dzieci. Opowiadała historyjki o zamieszkach ulicznych i nadal nie było dla niej jasne, że to coś więcej niż zwyczajny bunt, że była to w gruncie rzeczy rewolucja.

Generał Kabałow, który tkwił w samym środku tego szaleństwa, wysłał

następnego ranka wiadomość do carowej. Nalegał, żeby natychmiast wyjechała razem z dziećmi. Trzymał oblężenie wokół Pałacu Zimowego w Sankt Petersburgu wraz z setką lojalnych żołnierzy, ale do południa nikt już przy nim nie pozostał. Jednak ona nadal nic nie pojmowała. Odmówiła opuszczenia Carskiego Sioła przed powrotem Mikołaja. Czuła się bezpieczna w otoczeniu swych oddanych marynarzy, swej straży przybocznej czuwającej w pobliżu, a poza tym dzieci były przecież zbyt chore, by wybierać się w podróż. U Marii także zdążyło się wywiązać zapalenie płuc.

Jeszcze tego samego dnia rezydencje otaczające miasto zostały ograbione i spalone. Konstanty kazał więc służącym zakopać w ogrodzie wszystkie srebra, całe złoto i ikony. Zoja i wszystkie służące zamknęły się w pawilonie babki i w popłochu przyszywały klejnoty do podszewek swoich najcięższych zimowych ubrań. Natalia miotła się z krzykiem po pałacu, ogarnięta szaleńczo wbiegała to znów wybiegała z pokoju, w którym leżał Mikołaj. Dookoła szalała rewolucja udaremniając jakąkolwiek próbę pochowania go.

– Babciu – wyszeptła Zoja wcisnąwszy niewielki diament do guzika, który zamierzała przyszyć z powrotem do sukienki – Babciu... co my teraz zrobimy? Drżącymi rękami usiłowała szyć, jej oczy były rozszerzone z przerażenia. Z oddali dobiegały odgłosy strzałów.

– Nic nie zrobimy, dopóki nie skończymy szyć... pośpiesz się, Zoju... tutaj... przyszyj te perły do mojego niebieskiego żakietu.

Starsza kobieta pracowała jak opętana, przedziwnie jednak spokojna, podczas gdy Konstanty wraz z generałem Kabałowem i resztką lojalnych żołnierzy bronił Pałacu Zimowego. Opuścił je z samego rana, by się tam udać.

– A co zrobimy z... – nie była w stanie wypowiedzieć imienia swego brata, jednak wydawało się jej czymś okropnym zostawiać go tam samego i zajmować się przyszywaniem jakichś klejnotów w podszycia babcinych sukien.

– Zajmiemy się wszystkim w swoim czasie. A teraz nic już nie mów, dziecko. Musimy czekać na wiadomość od twego ojca.

Sawa leżała skamłając u stóp Zoi, jakby wiedziała że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo. Wcześniej, tego ranka hrabina próbowała przyprowadzić z sobą do pawilonu Natalię, lecz ona za nic nie chciała

opuścić głównego budynku. Jakby w obłędzie, wciąż przemawiała do martwego syna, zapewniając go, że wszystko jest w porządku i jego ojciec wkrótce wróci do domu. Eugenia pozostawiła ją tam, zabrała natomiast do swego pawilonu wszystkie służące, by pomogły w ukryciu największej ilości cennych rzeczy, zanim buntownicy wtargną do ich domu i wszystko zagrabią. Słyszała już, że rezydencja Krzezińskich została ograbiona przez hałastrę, i zamierzała uratować, ile się tylko da, przed jej przyjściem. Kiedy tak szła, zastanawiała się, czy buntownicy dotrą do Carskiego Sioła.

Tymczasem w Carskim Siole cesarzowa miała też ręce pełne roboty. Dzieci nadal gorączkowały, ale najgorzej czuła się Maria. Anna także była jeszcze chora. Zbuntowani żołnierze przybyli do wsi późnym popołudniem, ponieważ jednak bali się straży pałacowych, zadowolili ich łupienie wsi i strzelanie na chybił trafił do wszystkiego i wszystkich.

Dzieci słyszały strzały ze swojego pokoju, ale cesarzowa stale powtarzała, że są to tylko manewry ich żołnierzy. Tego samego wieczora wysłała wiadomość do Mikołaja, błagała, by wrócił do domu. Wciąż nie do końca pojmując, w jak rozpaczliwej sytuacji się znajdują, wybrał najdłuższą trasę, gdyż nie chciał torować drogi pociągom wojskowym. Nie był w stanie pojąć tego, że nie miał już swojej lojalnej armii. Zarówno straż przyboczna, jak i straż cesarska, złożone głównie z ich przyjaciół, których jedynym zadaniem było zawsze strzec cara, carowej i ich dzieci, opuściły swoje posterunki. Nawet żołnierze z garnizonu Carskiego Sioła zdradzili ich i uciekli. Sankt Petersburg upadł. Była środa, czternastego marca i cały świat został odmieniony w ciągu jednej nocy. Nikt jeszcze nie wiedział, jak niewyobrażalne pociągnie to za sobą skutki.

Ministrowie i generałowie ponaglali Mikołaja, by zrzekł się tronu na rzecz syna, ustanawiając Wielkiego Księcia Michała jego opiekunem. Ale rozpaczliwe telegramy, które wysyłano do Mikołaja powracającego z frontu, i które wyjaśniały sytuację, pozostawały bez odpowiedzi. Car milczał, a Zoja i jej babka również nie otrzymywały żadnych wieści. Konstanty już od dwóch dni był nieobecny i nie było sposobu, by czegokolwiek się o nim dowiedzieć. I właśnie wtedy Fiodor odważył się wyruszyć na ulice. Powrócił przynosząc im straszliwą nowinę.

Eugenia już od dawna obawiała się, że tak się stanie. Konstanty nie żył. Zginął w Pałacu Zimowym razem z niedobitkami wiernych oddziałów, zabity przez własnych żołnierzy. Nie było nawet ciała, które ktoś mógłby przynieść im do domu. Zostało usunięte gdzieś razem z niezliczoną rzeszą innych. Kiedy Fiodor wrócił, łzy płynęły mu strumieniami po twarzy i szlochał głośno, gdy opowiadał, co spotkało Konstantego. Zoja patrzyła na niego ze zgrozą, a jej babka zaczęła się krzątać jeszcze bardziej energicznie ponaglając służące, by szybciej szyły. Wszystkie jej klejnoty zostały już ukryte i biżuteria Natalii także, resztę trzeba było zostawić. Postanowili pochować Mikołaja w ogrodzie. Eugenia, Fiodor oraz trzech młodszych mężczyzn wrócili do pałacu, do pokoju Mikołaja i stanęli przy nim w milczeniu. Był martwy już od trzech dni i nie mogli dłużej czekać. Eugenia, pełna powagi, spoglądała na niego, jej oczy były suche, myślała teraz o swoim synu. Za późno było na łzy. Teraz musiała pomyśleć o Zoi i, w zastępstwie Konstantego, zająć się Natalią.

Kiedy przygotowywali się do tego, by przenieść ciało, Natalia przyszła jak jakaś zjawia. Snuła się po korytarzach w długiej, białej sukni, z potarganymi włosami. Miała obłęd w oczach.

– Dokąd zabieracie moje dziecko? Patrzyła na nich surowo. Stało się jasne, że postradała zmysły, zdawała się nie rozpoznawać nawet Zoi.

– Co robicie, głupcy?

Wyciągnęła rękę niczym szpony chcąc zatrzymać mężczyzn, którzy go zabierali, lecz stara hrabina powstrzymała ją. Spojrzała jej głęboko w oczy.

– Musisz pójść z nami, Natalio.

– Ale dokąd zabieracie moje dziecko?

Eugenia nie udzieliła jej odpowiedzi, bo spowodowałyby to w niej jeszcze większy zamęt, mogłoby wywołać histerię. Nigdy nie miała odporności. Kiedy zabrakło Konstantego, który jej ulegał i chronił przed rzeczywistością, nie mogła sobie dać rady. Była zupełnie szalona i Zoja to teraz widziała.

– Ubierz się, Natalio. Wychodzimy.

– Dokąd?

Zoja zdumiała się słysząc odpowiedź.

– Do Carskiego Sioła.

– Ale nie możemy tam jechać. Przecież jest lato. Wszyscy są teraz w Liwadii.

– Pojedziemy tam później. Ale najpierw musimy pojechać do Carskiego Sioła. A teraz się ubierzemy, prawda?

Chwyciła stanowczo jej rękę i dała znak Zoi, by złapała ją za drugą, – Kim ty jesteś?

Wyrwała rękę z dłoni przerażonej dziewczyny i gdyby nie ostre spojrzenie babki, Zoja uciekłaby w przerażeniu od kobiety, która była jej matką.

– Kim jesteście?

Pytała je obie na przemian, a stara kobieta odpowiadała jej spokojnie. W ciągu czterech dni utraciła i syna, i wnuka w rewolucji, której nikt z nich do końca nie rozumiał. Nie był to jednak czas na jej zgłębianie. Wiedziała, że muszą opuścić Sankt Petersburg, zanim będzie za późno. I skoro nie było innego miejsca, pomyślała, że w Carskim Siole mogą być bezpieczni. Ale Natalia odmawiała pójścia dokądkolwiek. Upierała się, że zostanie, twierdziła, że jej mąż lada chwila wróci do domu i urzędą przyjęcie.

– Twój mąż czeka na ciebie w Carskim Siole – skłamała Eugenia. Zoja drżała przerażona tym, co się działo. Z siłą, o jaką swojej babki nie podejrzewała, hrabina owineła Natalię peleryną, zmusiła do zejścia ze schodów i tylnymi drzwiami wyprowadziła ją do ogrodu. Właśnie wtedy usłyszeli głośno rozbrzmiewający trzask. Grabieżcy już do nich dotarli i wdzierali się do pałacu.

– Szybko – powiedziała Eugenia szeptem do Zoi, która jeszcze wczoraj była dzieckiem. – Znajdź Fiodora. Powiedz, żeby przygotował konie... niech weźmie starą trojkę twojego ojca!

I stara kobieta pobiegła w kierunku pawilonu, dysząc ciężko i trzymając kurczowo ramię Natalii. Zawołała służące, każąc im pozbierać wszystkie ubrania, do których były poprzyszywane klejnoty, i wrzucić je do toreb. Nie mieli czasu, by cokolwiek spakować. Wszystko, co mieli zabrać, musiało się zmieścić w trojce. Wydawała rozkazy obserwując jednocześnie pałac po drugiej stronie ogrodu. Wiedziała, że lada moment rabusie opuszczą pałac i przyjdą do jej pawilonu. Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma już przy niej Natalii, odwróciła się i ujrziała białą postać biegnącą przez ogród. Próbowwała ją dogonić, ale



było już za późno. Natalia wbiegła do pałacu. Niemal w tej samej chwili stara kobieta ujrzała płomienie w górnych oknach i spostrzegła obok siebie zdyszana Zoję.

– Babciu! – Obie zobaczyły postać w bieli biegnącą od okna do okna. Natalia miotła się pośród płomieni krzycząc i śmiejąc się, wołała coś jakby do swoich przyjaciół. Był to straszliwy widok i Zoja wyrwała się nagle do drzwi, lecz babka przytrzymała ją.

– Nie! Nie możesz już jej pomóc. Tam są jacyś mężczyźni. Oni cię zabiją, Zoju!

– Nie mogę pozwolić, aby ją zabili... nie mogę!... Babciu! Proszę! Szlochala i wyrwała się z taką siłą, że babce z trudem udawało się ją utrzymać, ale w tej samej chwili przybiegł Fiodor.

– Trojka jest przygotowana... za żywoplotem.

Wyprowadził trojkę mądrze, w boczną uliczkę, żeby rabusie nie mogli ich zobaczyć z pałacu.

– Babciu! – Zoja wciąż się szamotała i nagle babka uderzyła ją.

– Przestań! Ona jest już martwa... musimy uciekać natychmiast!

Nie było już czasu do stracenia. Dostrzegła kilka twarzy wyglądających na ogród przez okna na niższym piętrze pałacu.

– Nie mogę jej tu zostawić!

Błagała babkę, żeby ją puściła, ale stara kobieta była nieubłagana.

– Musisz ją zostawić.

Jej głos zmiękł i przytuliła Zoję do siebie. Kiedy to uczyniła, rozległ się straszny huk, jakby odgłos eksplozji. Całe górne piętro stało w płomieniach i, kiedy odwróciły się w tę stronę, ujrzały Natalię wyskakującą przez górne okno, jej biała suknia płonęła. Wśród płomieni, zanim upadła na ziemię, życie Natalii zgasło i było to dla niej błogosławieństwem. Jej umysł nigdy nie odzyskałby równowagi po tym podwójnym wstrząsie, jakim była utrata syna i męża oraz całego świata, który teraz leżał wokół niej w gruzach.

## Rozdział piąty

Kiedy trojka ruszyła, Zoja obejrzała się za siebie, płomienie sięgały wyżej niż drzewa, pochłaniając wszystko, co kiedyś było jej domem, a teraz stało się już tylko wspomnieniem. Lecz Fiodor w parę chwil sprawnie wywiózł je w boczne uliczki. Siedziały przytulone do siebie, u ich stóp torby wypełnione ubraniami, które ze sobą zabrały, z klejnotami ukrytymi w podszewkach, a w ramionach Zoi maleńka Sawa cała drżąca z zimna. Widzieli żołnierzy na ulicach, ale nikt nie próbował ich zatrzymać, gdy bocznymi uliczkami zmierzali ku krańcom miasta. Był czwartek, piętnastego marca i gdzieś w dalekim Pskowie Mikołaj odczytywał telegramy, przysłane przez jego generałów, w których przekonywali go, żeby abdykował. Twarz miał śmiertelnie bladą, gdyż widział dookoła siebie zdradę. Zoja była równie blada, kiedy żegnała znikający w oddali Petersburg. Uplłynęły ponad dwie godziny, zanim wjechali na boczne szlaki prowadzące do Carskiego Sioła i czekała ich jeszcze długa podróż. Ponieważ byli w drodze, nie docierały do nich żadne wieści o tym, co się działo, i nadal nie pojmowali wydarzeń, które nastąpiły. Zoja wciąż miała przed oczami obraz matki, w płonącej sukni, wyskakującej przez okno na spotkanie śmierci... wyobrażała sobie, jak płomienie objęły jej brata leżącego w tamtym pokoju, gdzie tak często go odwiedzała, kiedy była jeszcze dzieckiem... Mikołaj... „głupi Mikołaj”, tak go nazwała, zastanawiała się, czy kiedykolwiek to sobie wybaczy... za ledwie wczoraj... za ledwie wczoraj wszystko było dobrze i toczyło się zwyczajne życie. Głowę miała owiniętą starym szalem i z zimna bolały ją uszy, co sprawiło, że zaczęła myśleć o Oldze i Tatianie, jak cierpiały na uszy powodu odry. Takie małe nieszczęścia były do niedawna ich udziałem... Takie drobne, głupie sprawy, jak gorączka, odra i bóle uszu. Trudno jej było myśleć o tym wszystkim. Babka trzymała ją mocno za rękę i obie w milczeniu zastanawiały się, co zastaną w Carskim Siole. Wieś pojawiła się na horyzoncie po południu i Fiodor przezornie okrążył ją dookoła. Wędrujący żołnierze dwa razy go zatrzymywali i tylko przez chwilę miał ochotę pognać konie, by im uciec. Wiedział jednak instynktownie, że gdyby tak zrobił, mogliby zastrzelić ich wszystkich. Zwolnił więc ostrożnie i powiedział im, że wiezie chorą staruchę i jej zidiociała

wnuczkę. Obie kobiety spoglądały pustym wzrokiem na żołnierzy, jakby nie miały nic do ukrycia i stara hrabina dziękowała Bogu za to, że Fiodor wziął ich najstarsze sanie, farba była odrapana, lecz płozy wciąż miały dobre. Nie używali ich już od lat i choć nigdy wyglądały pięknie, teraz marnie się prezentowały. Jedyne konie znakomitej maści świadczyły o tym, że posiadali wielkie bogactwa, lecz następni napotkani żołnierze ze śmiechem uwolnili ich od dwóch czarnych, najlepszych koni Konstantego. Dotarli do bram Carskiego Sioła już tylko z jednym, który stawał nerwowo dęba, gdy musiał sam ciągnąć starą trojkę. Nigdzie nie było widać Straży Kozackich, w ogóle nie było żadnych straży, jedynie jacyś zdenerwowani żołnierze.

– Wylegitymować się – krzyknął jeden z nich ostro. Zoja przestraszyła się, a kiedy Fiodor zaczął opowiadać swoją historyjkę, Eugenia wstała. Była ubrana jak prosta kobieta i, tak jak Zoja, włosy miała okryte jedynie starym szalem, lecz patrzyła na niego władczo z góry, zasłaniając sobą wnuczkę.

– Eugenia Pietrowna Ossjupow. Jestem starą kobietą i kuzynką cara. Chcecie mnie zastrzelić?

Zabili już jej wnuka i syna, więc jeśli chcieli teraz strzelać do niej, była na to przygotowana. Była także gotowa zastrzelić ich najpierw, gdyby któryś ośmielił się tknąć Zoję. Miała niewielki pistolet z perłową rękojeścią, ukryty w rękawie, o czym Zoja nie wiedziała, i zamierzała go w razie potrzeby użyć.

– Nie ma żadnego cara – powiedział z gorliwością.

Jego czerwona opaska wydała im się teraz bardziej złowróżbna niż przedtem. Serce starej kobiety zaczęło bić niespokojnie. Zoję ogarnął nagły strach. Co on miał na myśli. Czyżby go zabili? Była czwarta po południu... i cały ich świat legł w gruzach... ale car... czy jego też zabili?... Jak Konstantego i Mikołaja...

– Muszę się zobaczyć z moją kuzynką Aleksandrą.

Eugenia wyglądała jak królowa, kiedy tak stała wpatrując się w żołnierza.

– I z jej dziećmi.

A może ich także zabili? Serce Zoi waliło jak szalone, gdy siedziała za spódnicą babki, przerażona do szpiku kości. Fiodor, pełen napięcia, przyglądał się w milczeniu. Nastąpiła przerwa, długa jak cała

wieczność, kiedy żołnierz zastanawiał się, co z nimi zrobić. Aż wreszcie zrobił krok do tyłu i zawołał przez ramię do swych towarzyszy:

– Przepuście ich. Ale pamiętaj, stara kobieto – zwrócił się do niej szorstko – nie ma już żadnego cara. Abdykował godzinę temu, w Pskowie. Teraz jest nowa Rosja. Przy tych słowach odskoczył na bok. Fiodor tak raptownie ruszył, że trojka tylko śmignęła koło niego przejeżdżając mu po palcach. Nowa Rosja... koniec dawnego życia... stare i nowe mieszało się ze sobą w przerażającym zamęcie. Eugenia siedziała z pobladałą twarzą obok swojej wnuczki. Zoja mówiła do niej szeptem, gdy mijali Kościół Fiodorowski, nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Wujek Mikołaj nie zrobiłby tego.

– Babciu, czy sądzisz, że to prawda?

– Być może. Alix powie nam, co się stało.

Lecz przy frontowych drzwiach Pałacu Aleksandrowskiego było dziwnie pusto, żadnych straży, żadnej ochrony, nikogo nigdzie w pobliżu. Dopiero kiedy Fiodor zastukał mocno w ogromne drzwi, zjawiły się dwie zdenerwowane służące i wpuściły ich do środka. Korytarze wydawały im się przeraźliwie puste.

– Gdzie są wszyscy? – zapytała hrabina. Jedna z pokojówek wskazała wejście tak dobrze znane Zoi, które prowadziło na górę do prywatnych apartamentów. Łzy spływały jej po twarzy, otarła je fartuchem i w końcu odpowiedziała:

– Cesarzowa jest na górze z dziećmi.

– A car? – Eugenia wbiła swoje płonące zielone oczy w służącą, która płakała bezradnie.

– To Madame nie słyszała?

O, Boże, nie... modliła się Zoja.

– Mówią, że zrzekł się władzy na rzecz swojego brata. Godzinę temu byli tu żołnierze, żeby nam o tym powiedzieć. Jej Wysokość nie wierzy w to.

– A więc on żyje? – Eugenia poczuła ogromną ulgę.

– Tak sądzimy.

– Dzięki Bogu – zgarnęła swoje spódnice i spojrzała surowo na Zoję. – Powiedz Fiodorowi, żeby wniósł wszystkie rzeczy do środka. Nie chciała, by żołnierze wymacali klejnoty w ich ubraniach.

Kiedy Zoja po chwili wróciła z Fiodorem, babka kazała służącym zanieść wszystko na górę do Barowej.

– Ja wiem, którędy, Babciu. Zaprowadzę cię.

Szła po cichu korytarzami, które tak dobrze знаła. Tak niedawno chodziła nimi ze swoją przyjaciółką.

W Pałacu Aleksandrowskim panowała grobowa cisza. Zaprowadziła hubkę na górę i zapukała delikatnie do drzwi pokoju Marii, lecz nikogo tam nie było. Maria została przeniesiona do jednego z saloników swojej matki i tam pielęgnowała ją Aleksandra, podobnie jak jej siostry oraz Annę Wyrubową. Po cichu przemierzały korytarz, pukając do różnych drzwi, aż w końcu usłyszały jakieś głosy. Zoja zaczekała, aż ktoś poprosi je do środka, powoli drzwi się otworzyły i ujrzały Aleksandrę. Stała Wysoka i szczupła, podając filiżanki z herbatą swoim dwóm młodszym córkom. Anastazja miała łzy na policzkach, gdy odwróciła się w stronę, a Maria usiadła na łóżku i ujrawszy Zoję też się rozplakała.

Zoja była za bardzo poruszona, by móc cokolwiek powiedzieć.

Przebiegła przez pokój i wzięła swoją przyjaciółkę w ramiona, Eugenia zaś podeszła i objęła zupełnie wyczerpaną kuzynkę.

– Mój Boże, kuzynka Eugenia. Jak się tu dostałyście? Czy wszystko w porządku, nic wam się nie stało?

Nawet starej hrabinie trudno było wydobyć z siebie jakieś słowa, gdy obejmowała tę elegancką kobietę tak śmiertelnie zmęczoną. W jej jasnoszarych oczach malował się ogromny smutek.

– Przyjechaliśmy, żeby ci pomóc, Alix. Nie mogłyśmy zostać w Petersburgu ani chwili dłużej. Podpalili nasz dom dziś rano, kiedy wyjeżdżałyśmy. Uciekliśmy stamtąd czym prędzej.

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć... Aleksandra opadła ciężko na krzesło. – A Konstanty?

Twarz starej kobiety pobladła jeszcze bardziej, czuła jak jej serce łomocze pod ciężką suknią. Poczowała ciężar wszystkiego, co utraciła, zdawało się, że za chwilę osunie się pod nogi młodszej kobiety, ale wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić, w obliczu tego, co musiała znieść Alix.

– On nie żyje, Alix... – głos jej się załamał, ale nie płakała. – I Mikołaj też... w niedzielę... Natalia zginęła w płomieniach dziś rano.

Nie powiedziała o tym, że jej synowa oszalała i wyskoczyła w płonącej sukni przez okno.

– Czy to prawda... co mówią o Nickym?

Bała się pytać, lecz musiała. Musieli się dowiedzieć. Tak trudno było pojąć to wszystko, co się zdarzyło.

– Chodzi o abdykację? To niemożliwe. Mówią tak, bo chcą nas przestraszyć... ale nie miałam jeszcze dzisiaj żadnych wiadomości od Mikołaja.

Spojrzała na swoje dwie córki i Zoję, obejmowały się wszystkie i płakały. Zoja opowiedziała im właśnie o bracie i teraz szlochała głośno w ramionach Marii.

Maria, choć bardzo chora, starała się pocieszyć przyjaciółkę, obie zdawały się zupełnie nie zauważać starszych kobiet.

– Wszyscy żołnierze nas opuścili... nawet... – cesarzowa z trudem wypowiadała te słowa – nawet Dierewienko opuścił Dziecko.

Był jednym z dwóch żołnierzy, którzy pilnowali carewicza, odkąd się urodził. Opuścił ich o świcie, nie mówiąc ani słowa, nie obejrzawszy się nawet przez ramię. Drugi z nich, Nagorny, przysiągł, że zostanie przy Aleksym, dopóki go nie zabiją, i teraz był z nim w pokoju obok, wraz z doktorem Fedorowem. Doktor Botkin udał się razem z Gibbesem, nauczycielem dzieci, na poszukiwanie nowych lekarstw dla dziewcząt.

– To jest zupełnie niezrozumiałe... nasi marynarze... nie mogę w to uwierzyć. Gdyby tylko Mikołaj był tutaj...

– On przyjedzie, Alix. Musimy być spokojne. Jak się czują dzieci?

– Wszystkie są chore... Początkowo nie potrafiłam im powiedzieć, ale teraz już wiedzą... nie byłabym w stanie ukrywać tego dłużej przed nimi. – Westchnęła, po czym dodała: – Jest tutaj hrabia Beckendorff, ślubował, że będzie nas bronił. Wczoraj rano przyjechała także baronowa Buxhoeveden. Zostaniesz z nami, Eugenio Pietrowna?

– Jeśli pozwolisz. Nie możemy teraz wrócić do Sankt Petersburga... Nie dodała, jeżeli w ogóle kiedykolwiek będziemy mogły wrócić.

Z pewnością świat wróci w końcu do porządku. Na pewno, kiedy Mikołaj wróci... z pewnością wiadomość o jego abdykacji była kłamstwem, szerzonym przez rewolucjonistów i zdrajców, żeby ich przestraszyć i mieć nad nimi władzę.

- Możesz mieszkać w pokoju Maszki, jeśli chcesz. A Zoja...
- Możemy spać razem. A teraz, w czym mogłabym ci pomóc, Alix? Gdzie są pozostali?

Cesarzowa uśmiechnęła się z wdzięcznością do starszej kuzynki swego męża, kiedy ta zdejmowała pelerynę i zakasywała rękawy prostej sukni, którą miała na sobie.

- Idź i odpocznij. Zoja może dotrzymać dziewczętom towarzystwa, gdy ja pójdę zobaczyć, jak się mają inni.
- Pójdę z tobą.

I stara kobieta towarzyszyła Aleksandrze przez cały dzień. Nalewała herbatę, robiła okłady na rozpalone czoła, pomagała jej nawet zmienić prześcieradła Aleksemu, podczas gdy Nagorny stał obok pełen oddania. Podobnie jak Alix, Eugenia nie mogła uwierzyć w to, że Dierewienko ich opuścił.

Dochodziła prawie północ, kiedy Zoja i jej babka wśliznęły się do swoich łóżek w pokoju Marii i Anastazji, lecz Zoja długo nie mogła zasnąć. Leżała z otwartymi oczami słuchając cichego pochrapywania babki. Trudno było sobie wyobrazić, że nie dawniej niż trzy tygodnie temu odwiedziła Marię w tym właśnie pokoju i dostała od niej swoje ulubione perfumy. Teraz było to już tylko wspomnienie, świat dookoła rozpadał się. Uświadomiła sobie także, że żadna z dziewcząt nie rozumie w pełni tego, co się stało. Nie była pewna, czy sama rozumie, nawet po tym wszystkim, co widziała w Petersburgu. Ale one były takie chore i tak bardzo odseparowane od wszystkiego, co działo się na ulicach, od zamieszek, buntów, morderstw i grabieży. Zdawało się, że obraz jej domu stojącego w płomieniach nigdy się nie zatrze w jej pamięci... ani wspomnienie brata śmiertelnie broczącego krwią, która sphywała na marmurową posadzkę pałacu na Fontance. Dopiero nad ranem udało się Zoi zasnąć. Kiedy z zewnątrz dochodziły nowe odgłosy rewolucyjnego szaleństwa, zastanawiała się, czy car powróci do domu i czy życie będzie jeszcze kiedykolwiek normalne.

Lecz tego dnia, o piątej po południu, jego powrót wydawał się jeszcze bardziej nierealny. Do Carskiego Sioła przyjechał Wielki Książę Paweł, wuj Mikołaja, przywożąc Aleksandrze najświeższe wieści. Mikołaj abdykował poprzedniego dnia, przekazując władzę swojemu bratu, Wielkiemu Księciu Michałowi, który był kompletnie zaskoczony i

nieprzygotowany do objęcia tronu. Jedyne Alix i doktor Fedorow wiedzieli, dlaczego car zrzekł się tronu na rzecz swojego brata, a nie syna. Choroba Aleksiego była pilnie strzeżoną tajemnicą. Powiedział jej także, że powstaje Rząd Tymczasowy. Aleksandra, która słuchała tego wszystkiego w milczeniu, z rozpaczą czekała na powrót swego męża, aby móc z nim porozmawiać. Mikołaj tymczasem przybył do kwatery w Mogiłowie, by pożegnać się ze swymi oddziałami i stamtąd mógł nareszcie zatelefonować do swojej żony. Zadzwoił w momencie, gdy Aleksandra razem z doktorem Botkinem zajmowała się Anastazją; pobięła szybko, modląc się po drodze, żeby powiedział jej, że to wszystko było nieprawdą. Kiedy jednak usłyszała jego głos, wiedziała od razu, że niema na to najmniejszej nadziei. Ich życie, ich marzenia i cała jego dynastia zostały pogrzebane. Obiecał wrócić tak szybko, jak tylko to będzie możliwe, i jak zwykle wypytywał z troską o dzieci. Następnego wieczora, w niedzielę, generał Kornilow przybył z Sankt Petersburga chcąc się dowiedzieć, czy nie potrzebuje czegoś, jakichś lekarstw albo żywności. Tymi, o których najpierw pomyślała, byli ranni żołnierze. Błagała go, by zaopatrzył jej szpitale w leki i żywność. Po tym, jak długo już się nimi opiekowała, nie mogła teraz o nich zapomnieć, chociaż nie byli już „jej” żołnierzami. Zapewnił ją, że to uczyni, lecz było w tej wizycie coś, co zapowiadało nadejście czegoś jeszcze gorszego. Uprzedziła Nagornego, żeby tej nocy ani na chwilę nie opuszczał Dziecka, i sama siedziała ze swymi córkami do późna w nocy. Dopiero po północy udała się do swojego pokoju i wtedy stara hrabina zapukała cicho do drzwi i przyniosła jej szklankę herbaty. Ujrzała w oczach młodszej kobiety łzy i łagodnie poklepała ją po ramieniu.

– Czy mogłabym ci jakoś pomóc, Alix?

Potrząsnęła przecząco głową, wciąż dumna, wciąż powściągliwa, i podziękowała jej oczami.

– Chciałabym tylko, żeby on wrócił do domu. Zaczynam bać się o bezpieczeństwo dzieci w tym pałacu.

Eugenia także się bała, lecz nie chciała się do tego przyznać przed swoją kuzynką.

– Jesteśmy wszyscy przy tobie.

Ale „wszyscy” to była taka niewielka, drogocenna garstka: kilka



starych kobiet i paru wiernych przyjaciół, których można było zliczyć na palcach jednej ręki. Zostali całkowicie opuszczeni. Był to cios prawie nie do zniesienia. Wiedziała jednak, że nie wolno jej teraz się załamać. Musi być silna, jej mąż będzie tego potrzebował.

– Musisz się trochę przespać, Alix.

Aleksandra rozejrzała się niespokojnie po swoim sławnym liliowym buduarze, a potem spojrzała ze smutkiem na Eugenię.

– Zostało jeszcze parę rzeczy, które chciałabym zrobić... muszę... – z trudem przychodziło jej to powiedzieć. – Chcę dzisiaj spalić swoje pamiętniki... i moje listy... kto wie, czy nie użyliby ich przeciwko niemu.

– Z pewnością nie mogliby tego zrobić...

Lecz, kiedy się nad tym zastanowiła, zgodziła się z Aleksandrą.

– Czy chciałabyś, żebym z tobą została?

Nie chciała jej się narzucać, lecz cesarzowa wydawała się bardzo wycieńczona i taka samotna.

– Chciałabym zostać sama, jeśli pozwolisz.

– Rozumiem to.

I cicho zostawiła Aleksandrę samą z jej przykrym zadaniem. A ona siedziała przy kominku do rana, czytając listy i pamiętniki. Spaliła nawet listy od swojej babki, królowej Wiktorii. Spaliła wszystko, z wyjątkiem swojej korespondencji z ukochanym Mikołajem i przez dwa dni bolała nad tym, dopóki we wtorek generał Kornilow nie powrócił i powiedział, że pragnie z nią porozmawiać na osobności. Spotkała się z nim na dole, w jednym z pokojów, których często używał Mikołaj. Stała wysoka i dumna, starając się ukryć swój ból i szok, jakiego doznała słuchając tego, co mówił. Nałożono areszt domowy na nią, jej rodzinę, służbę i jej dzieci. Nie chciała wierzyć jego słowom, jednak było to teraz faktem. Nadszedł koniec i musieli spojrzeć prawdzie w oczy. Wyjaśnił dokładnie, że ktokolwiek zechce, może pozostać z nimi, lecz jeżeli ktoś zdecyduje się wyjechać, nie będzie mu już wolno wrócić do Carskiego Sioła. To była porażająca wiadomość i Aleksandra zebrała całą swoją siłę, żeby nie upaść, kiedy go słuchała.

– A co z moim mężem, generale?

– Sądźmy, że przybędzie tutaj do rana.

– I jego też uwięzicie?

Czuła się prawie chora pytając o to, ale musiała wiedzieć. Musiała wiedzieć wszystko, czego mogli się spodziewać, czemu będą musieli stawić czoło. Po tylu straszliwych opowieściach, jakie usłyszała ostatnio, pomyślała, że powinna być wdzięczna za to, że ich jeszcze nie zabili. Jednak wobec tego, co nastąpiło, trudno było czuć wdzięczność. – Pani mąż będzie przebywał w areszcie domowym tutaj, w Carskim Siodle.

– A co potem?

Zadawała to pytanie śmiertelnie blada. Odpowiedź jednak nie była aż tak przerażająca, jak się obawiała.

Jej myśli zaprzętało teraz wyłącznie bezpieczeństwo dzieci i męża. Była gotowa oddać za nich życie. Zrobiłaby dla nich wszystko. Generał Kornilow spoglądał na nią z cichym podziwem.

Rząd Tymczasowy pragnie eskortować Panią i Pani męża oraz waszą rodzinę do Murmańska. Stamtąd będziecie mogli udać się dalej.

Zamierzają was wysłać parowcem do Anglii, do króla Jerzego.

– Rozumiem. A kiedy to ma nastąpić? – zapytała z kamienną twarzą.

– Jak tylko uda nam się wszystko zorganizować, madame.

– Dobrze. Zaczekam do powrotu męża i wtedy powiem dzieciom.

– A pozostałym?

– Powiem im dzisiaj, że każdy może wyjechać, jeśli sobie tego życzy, ale nikomu nie będzie wolno wrócić. Czy tak, generale?

– Dokładnie tak.

– I gdy nasi krewni i ta garstka lojalnych przyjaciół będą wyjeżdżali, nic ich złego z waszej strony nie spotka?

– Daję Pani na to moje słowo, madame.

Słowo „zdrajcy”, miała ochotę plunąć na niego, lecz zachowała zimną krew i pozostała damą, zaczęła, aż wyjdzie, a potem wróciła, żeby przekazać pozostałym, czego się dowiedziała. Powiedziała im, że każdy może wyjechać, i nakłaniała, by uczynili to czym prędzej, jeżeli taka jest ich wola.

– Nie możemy oczekiwać, że pozostaniecie tutaj wbrew swoim chęciom. Za parę tygodni wyruszamy do Anglii i będzie bezpiecznie dla was, jeśli wyjedziecie od razu... Może nawet jeszcze przed powrotem Mikołaja. Nie bardzo chciało jej się wierzyć, że zostali umieszczeni w areszcie domowym jedynie dla swego bezpieczeństwa.

Wszyscy jednak zdecydowali się zostać i następnego dnia nareszcie wrócił Mikołaj. Był ponury, zimny poranek, Mikołaj wyglądał niezwykle blado i zdawał się kompletnie wyczerpany. Wszedł cicho do głównego hallu i stał tam przez dłuższą chwilę. Służące natychmiast powiadomiły Aleksandrę, która zeszła na dół, by go powitać.

## Rozdział szósty

Po powrocie Mikołaja nastąpiły dni pełne lęku i napięcia wiszącego w powietrzu, ale można było odetchnąć z ulgą, że wrócił do domu cały i zdrowy. Stracił wszystko, lecz przynajmniej go nie zabili. Siadywał godzinami przy carewicu, Aleksandra zaś skupiła się na córkach. Najbardziej chora była teraz Maria, miała zapalenie płuc, kolejne następstwo odry. Dokuczał jej straszliwy, wycieńczający kaszel i Zoi, która siedziała przy niej, zdawało się, że gorączka nie spadnie jej nigdy.

– Maszka... napij się troszkę... zrób to dla mnie...

– Nie mogę... okropnie boli mnie gardło.

Ledwo mogła mówić, a jej skóra była sucha i rozpalona. Zoja przecierała jej czoło wodą fiołkową i opowiadała cicho o ostatnich wakacjach w Liwadii, wspominała, jak grały wtedy w tenisa.

– Pamiętasz to śmieszne zdjęcie, które zrobił nam papa, jak wszyscy wisimy do góry nogami. Przywiozłam je ze sobą... Maszka, chcesz je zobaczyć?

– Później... tak mnie bołą oczy, Zoju... czuję się okropnie.

– Cii... spróbuj zasnąć... Pokażę ci to zdjęcie, kiedy się obudzisz.

Przyprowadziła nawet małą Sawę, żeby trocheja rozweselić, lecz nic nie budziło zainteresowania Marii. Zoja miała nadzieję, że jej kuzynka wydobrzeje na tyle, że będzie mogła odbyć podróż do Murmańska i wsiąść na statek płynący do Anglii. Mieli wyjechać za trzy tygodnie i Mikołaj powiedział, że do tego czasu każdy musi wyzdrowieć. Określił to jako ostatni rozkaz cesarski, co sprawiło tylko, że wszyscy się popłakali. Bardzo się starał ich jakoś pokrzepić i robił wszystko, żeby dzieci były zadowolone. Oboje z Alix z każdym dniem wyglądali na coraz bardziej wyczerpanych. Trzy dni później Zoja natknęła się na niego w korytarzu, koło liliowego buduaru, i spostrzegła, że twarz miał śmiertelnie bladą. Godzinę później dowiedziała się, dlaczego. Jego angielski kuzyn odmówił przyjęcia ich u siebie, z przyczyn, które wciąż pozostawały niejasne. Cesarska rodzina nie wyjedzie do Anglii. Przedtem poprosił Zoję i starą hrabinę, by pojechały z nimi, teraz jednak nikt nie mógł przewidzieć, co się stanie.

– Co teraz będzie, Babciu? – pytała Zoja szeptem tej nocy, z przerażeniem. A jeżeli oni zamierzali po prostu trzymać ich w Carskim

Siole, a potem wszystkich zabić?

– Nie mam pojęcia, maleńka. Mikołaj powie nam, kiedy zostanie podjęta jakaś decyzja. Prawdopodobnie pojedą do Liwadii.

– Czy myślisz, że nas zabiją?

– Nie pleć głupstw.

Ale ona także się tego bała. Nie było teraz prostych odpowiedzi. Nawet Anglicy ich zawiedli. Nie mieli gdzie się podziać. Żadne miejsce nie było dla nich bezpieczne.

Droga do Liwadii była, jej zdaniem, co najmniej niebezpieczna. Byli złapani w pułapkę w Carskim Siole. A Mikołaj, zawsze taki opanowany i spokojny, każdemu mówił, że nie trzeba się martwić. Ale jakże mogli się nie martwić?

Następnego ranka Zoja wyszła na palcach z pokoju i wyjrzała przez okno: na dole Mikołaj i jej babka spacerowali po zaścienym śniegiem ogrodzie. Wokół nich było pusto. Patrzyła na wyprostowaną dumną sylwetkę cara, przy nim drobną postać jej babki; głęboka czerń jej peleryny odcinała się wyraźnie od śniegu. Wydawało jej się, że babka płacze i wtedy Mikołaj otoczył ją łagodnie ramieniem i zniknęli za rogiem pałacu.

Zoja wróciła do pokoju. Niedługo potem przyszła jej babka, mając oczy przepełnione smutkiem. Z ciężkim sercem opadła na krzesło i spojrzała na swoją śliczną wnuczkę. Jeszcze parę tygodni temu była dzieckiem, a teraz stała się taką mądrą i smutną dziewczyną. Zeszczupiała i wydawała się delikatniejsza; hrabina wiedziała jednak, że straszliwe wydarzenia ostatnich tygodni dodały jej siły. Będzie teraz tego potrzebowała. Wszyscy będą tego potrzebowali.

– Zoju... – Nie wiedziała, jak ma jej to powiedzieć, ale Mikołaj miał rację. Musiała przecież myśleć o bezpieczeństwie Zoi. Miała przed sobą jeszcze całe życie i jej babka była gotowa oddać za nią swoje.

– Babciu, czy coś się stało?

Wobec ostatnich wydarzeń to pytanie wydawało się absurdalne. Zoja przeczuwała jednak, że nadchodzą jeszcze większe nieszczęścia.

– Rozmawiałam przed chwilą z Mikołajem, Zoju Konstantinowna... on chce, żebyśmy wyjechały teraz... dopóki jeszcze możemy...

Zoi natychmiast stanęły łyzy w oczach. Zerwała się na równe nogi, przerażona.

– Dlaczego? Powiedziałyśmy, że zostaniemy tutaj z nimi, przecież wkrótce wszyscy wyjeżdżają... prawda, Babciu?... prawda, że wyjeżdżają?...

Stara kobieta nie odpowiadała. Wahala się między prawdą a kłamstwem, i prawda zwyciężyła. Zawsze tak bywało w jej wypadku.

– Nie wiem. Skoro Anglicy odmówili im azylu, Mikołaj obawia się, że sprawy mogą nie ułożyć się dla nich pomyślnie. Przypuszcza, że mogą być tutaj więzieni, nie wiadomo jak długo, a może nawet zostaną wywiezieni gdzie indziej. Mogliby nas i tak w końcu rozdzielić... on nie może już nam zapewnić żadnej ochrony. A ja nie mogłabym cię tutaj ochronić przed tymi dzikusami. Mikołaj ma rację, musimy wyjechać... od razu... dopóki jeszcze możemy.

Spojrzała ze smutkiem na tę dziewczynę, która jeszcze przed chwilą była dzieckiem, zupełnie nie spodziewając się niesłychanej furii, w jaką wpadła Zoja.

– Nigdzie z tobą nie pojedę! Nie pojedę! Nie opuszczę ich!

– Ale musisz! Mogłabyś wylądować na Syberii sama, niemądra dziewczyno... bez nich! Wyjeżdżamy jutro albo za dwa dni. Mikołaj boi się, że będzie jeszcze gorzej. Rebelianci nie chcą go tutaj, a skoro Anglicy nie udzielą mu azylu, to kto inny się odważy? Sytuacja jest bardzo poważna.

– Więc umrę razem z nimi! Nie zmusisz mnie do wyjazdu!

– Zrobię, co będę chciała, a ty musisz zrobić to, co ci każe. Mikołaj także sobie tego życzy. Nie wolno ci sprzeciwiać się jego rozkazom! Była za bardzo zmęczona, by walczyć z tą dziewczyną, zdawała sobie jednak sprawę, że choćby ostatkiem swoich sił, musi ją przekonać.

– Nie zostawię tutaj Marii, Babciu, ona jest taka chora... i tylko ona mi została... – Zoja szlochała żałośnie i jak mała dziewczynka ukryła głowę w opartych na stole ramionach. To był ten sam stół, przy którym parę miesięcy temu siedziały razem śmiejąc się i paplając, podczas gdy Maria zaplatała jej warkocz. Gdzie się podział tamten świat? Co się z nimi wszystkimi stało... z Mikołajem... z jej matką i ojcem... ?

– Masz przecież mnie, maleńka – babka gładziła ją delikatnie po włosach, tak jak kiedyś czyniła to Maria. – Musisz być silna. Oni tego od ciebie oczekują. Musisz, Zoju. Należy teraz zrobić to, co jest konieczne.

– Ale dokąd pojedziemy?

– Nie wiem jeszcze. Mikołaj mówi, że to zorganizuje. Być może pojedziemy do Finlandii, a stamtąd do Francji albo do Szwajcarii.

– Przecież my tam nikogo nie znamy.

Kiedy podniosła mokrą od łez twarz i spojrzała na Eugenię, miała w oczach przestrah.

– Tak czasami bywa, moja kochana. Musimy ufać Bogu i pojechać, kiedy nam Mikołaj każe.

– Babciu, ja nie mogę... – zawodziła, lecz babka była niewzruszona, twarda jak stal i zdecydowana na wszystko. Zoja nie mogła z nią wygrać, w każdym razie jeszcze nie teraz, wiedziały o tym obie.

– Możesz i musisz, ale nie wolno ci nic powiedzieć dzieciom. Oni mają teraz swoje własne zmartwienia. Nie możemy ich obarczać swoimi, to nie byłoby uczciwe.

– Co ja powiem Maszce?

Łzy napłynęły do oczu starej kobiety, kiedy patrzyła na tę dziewczynę, którą tak bardzo kochała. I wyszeptała zachrypniętym ze wzruszenia głosem, a był w nim cały jej smutek z powodu tych, których utraciła i których teraz miała utracić:

– Powiedz jej tylko, jak bardzo ją kochasz.

## Rozdział siódmy

Zoja weszła na palcach do pokoju, w którym spała Maria, i stała tam dłuższą chwilę, patrząc na nią. Nie chciała jej obudzić, lecz nie mogła wyjechać bez pożegnania. W ogóle nie mogła pogodzić się z tym, że ją opuszcza, ale nie było już odwrotu. Babka czekała na dole, Mikołaj wszystko dla nich zaplanował. Miały udać się w długą podróż przez Skandynawię; najpierw pojadą do Finlandii, stamtąd do Szwecji i do Danii. Dał Eugenii nazwiska przyjaciół jego duńskiej ciotki. Fiodor miał jechać z nimi, żeby zapewnić im bezpieczeństwo. Wszystko już było ustalone. Pozostało tylko pożegnać się z bliskimi. Kiedy Zoja patrzyła, jak jej przyjaciółka rzuca się w gorączce, Maria nagle otworzyła oczy i uśmiechnęła się na widok znajomej twarzy, a Zoja dzielnie powstrzymała łzy.

– Jak się czujesz? – zapytała szeptem, choć Anastazja spała w pokoju obok, razem z pozostałymi siostrami. Wszystkie czuły się coraz lepiej, jedynie Maria była wciąż bardzo chora, ale Zoja starała się teraz o tym nie pamiętać. Nie mogła myśleć o niczym, nie mogła sobie pozwolić na to, by oglądać się wstecz ani nawet patrzeć w przyszłość; nie widziała teraz żadnej przyszłości. Była tylko... ta jedna maleńka chwila z najdroższą przyjaciółką. Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie jej policzka.

Maszka...

Maria próbowała usiąść i patrzyła zdziwiona na przyjaciółkę.

– Czy coś się stało?

– Nie... ja... wyjeżdżam z babcią z powrotem do Sankt Petersburga. Obiecała Alix, że nie powie jej prawdy, byłoby to teraz dla niej zbyt ciężkie do zniesienia. Ale Maria i tak była zmartwiona. Wyczuwała zawsze jakimś szóstym zmysłem, co się działo z jej przyjaciółką. Tak też było i teraz. Wzięła rękę Zoi i trzymała ją mocno w swojej, o wiele za gorącej, dłoni.

– Czy to bezpieczne?

– Oczywiście – skłamała Zoja, odrzucając do tyłu swoje rude włosy. – Twój ojciec przecież by nas nie puścił, gdyby to nie było bezpieczne...  
...Boże, proszę, nie pozwól bym się teraz rozplakała... błagam... –



podawała jej szklanekę wody, ale Maria ją odsunęła i zadrżała przyjaciółce w oczy.

– Coś jest nie tak, prawda? Ty wyjeżdżasz gdzieś dalej.

– Tylko na parę dni... Niedługo wrócę.

Pochyliła się i objęła Marię, przytuliła ją do siebie mocno, a oczy wypełniły jej się łzami.

– Musisz teraz wyzdrowieć. Już o wiele za długo chorujesz.

Obejmowały się jeszcze przez chwilę, potem Zoja odsunęła się z delikatnym uśmiechem, pamiętając, że czekają na nią na dole.

– Napiszesz do mnie?

– Oczywiście.

Ociągała się z odejściem. Stała i patrzyła na Marię, chcąc zatrzymać tę chwilę, czuć ją w sobie, zachować wszystko: dotyk jej dłoni, gładkość pościeli, wyraz ogromnych niebieskich oczu przyjaciółki.

– Kocham cię, Maszka – wyszeptała miękko – kocham cię bardzo...

– Ja też cię kocham.

Maria opadła na swoją poduszkę z westchnieniem. Samo siedzenie było już dla niej wyczerpujące, a tym bardziej mówienie. Zaczęła przeraźliwie kaszleć. Zoja ją podtrzymywała.

– Wyzdrowiej, proszę...

Pochyliła się nad nią po raz ostatni, by pocałować ją w policzek, poczuła jej miękkie loki pod swoją dłonią, potem szybko odwróciła się i ruszyła ku drzwiom, odwracając się jeszcze, żeby pomachać jej na pożegnanie, lecz Maria miała już zamknięte oczy. Zoja po cichu zamknęła drzwi. Odchodziła z rozdartym sercem, spuściła głowę i zapłakała cicho. Z pozostałymi pożegnała się już pół godziny wcześniej i jeszcze tylko zatrzymała się na chwilę przed pokojem Aleksego. Był przy nim Nagorny i Pierre Gilliard, a doktor Fedorow właśnie wychodził.

– Czy mogę wejść?

Otarła łzy, a on ze współczuciem położył jej rękę na ramieniu.

– Śpi.

Skinęła tylko głową i zbiegła po schodach na dół do salonu, gdzie czekała na nią babka razem z carem i carową. Fiodor był już na dworze, przy dwóch najlepszych koniach cara, które zaprzężono do ich starej trojki. Kiedy szła do nich, nogi miała jak z ołowiu i czuła, że to

wszystko jest ponad jej siły. Pragnęła, by to się skończyło, chciała cofnąć czas... pobiec z powrotem na górę... czuła, że porzuca ich wszystkich, a jednocześnie, że ktoś odrywa ją od nich siłą.

– Czy wszystko w porządku?

Aleksandra patrzyła zatroskana, mając nadzieję, że Maria żegnając się z Zoją nie zauważyła śmiertelnej udręki w jej oczach.

– Powiedziałam, że jedziemy z powrotem do Sankt Petersburga.

Zoja płakała teraz całkiem jawnie i nawet jej babka musiała powstrzymywać łzy, kiedy Mikołaj ucałował ją w oba policzki, trzymając jej dłonie w swoich. Oczy mu gwałtownie posmutniały, lecz na ustach miał pełen godności uśmiech. Chociaż Eugenia słyszała, jak szlochał w pokoju swojej żony tej nocy, po swoim powrocie, nikt poza nią nie widział nigdy jego rozgoryczenia. Cały czas dodawał wszystkim otuchy i był zawsze czarujący i spokojny, tak jak teraz, gdy całował ją na pożegnanie.

– Szczęśliwej podróży, Eugenio Pietrowna. Będziemy z niecierpliwością czekali na nasze spotkanie, które, mam nadzieję, nastąpi wkrótce.

– Będziemy się modlić za was wszystkich w każdej godzinie, Mikołaju.

– Stara kobieta delikatnie ucałowała go w policzek. – Niech Bóg ma was wszystkich w opiece.

Odwróciła się do Alix. Obok stała Zoja tonąc we łzach.

– Dbaj o siebie i nie przepracowuj się za bardzo, moja droga. Mam nadzieję, że dzieci wkrótce wydobreją.

– Napisz do nas – powiedziała ze smutkiem Alix, tak samo jak parę minut temu Maria powiedziała do Zoi. – Będziemy wyczekiwali wiadomości od was.

Później zwróciła się do Zoi. Znała ją od urodzenia. Jej dziecko i dziecko Natalii urodziły się w odstępnie kilkunastu dni i przez całe swoje osiemnaście lat były bardzo bliskimi przyjaciółkami.

– Bądź dobrą dziewczynką, słuchaj babci i dbaj o siebie. Przytuliła ją bez słowa, czując się przez chwilę tak, jakby traciła własne dziecko.

– Kocham cię, ciociu Alix... Kocham cię bardzo, ... nie chcę wyjeżdżać... – Z trudem wydobywała z siebie słowa, zapłakana.

Podeszła do Mikołaja, a on przytulił ją tak, jak by to zrobił jej ojciec, gdyby żył.

– My też cię kochamy i zawsze będziemy kochali. Kiedyś znowu będziemy razem. Bądź tego pewna. I niech Bóg błogosławi was obie, maleńka moja. – Odsunął ją delikatnie od siebie, uśmiechając się lekko.  
– Musicie już iść.

Odprowadził ją z godnością na dwór, a jego żona wzięła pod ramię jej babkę i pomogła im obu wsiąść na sanie. Zoja wciąż płakała. Wierni luzacy, którzy zostali, przyszlizli ich pożegnać, płacząc razem z nimi, znali Zoje od dziecka, a teraz opuszczała ich; wkrótce inni też wyjadą. Strasznie było myśleć, że mogą nigdy nie powrócić. Zoja myślała tylko o tym, kiedy Fiodor wziął powoli swój bat i trzasnął nim pierwszy raz nad końmi cara, trojka ruszyła żywo i poprzez ponurą szarość odjechali w dal od Aleksandry i Mikołaja, którzy wciąż stali na drodze, machając im na pożegnanie. Zoja odwróciła się jeszcze, przyciskając do siebie małą Sawę.

Szczeniak zapiszczał, jakby także wiedział, że opuszcza swój dom na zawsze. Nagle Zoja wtuliła twarz w ramiona babki. Nie mogła dłużej znieść tego widoku, tych dwojga dzielnych ludzi, którzy zostali tam, na tle Pałacu Aleksandrowskiego, którego już nigdy nie miała zobaczyć. Carskie Sioło zlało się z oślepiającą białą śniegu i zniknęło w oddali, a Zoja zanosiła się płaczem, myślała w rozpacz o Maszce... Maszka... jej najlepsza, jedyna, najdroższa przyjaciółka... jej brat... jej rodzice... wszyscy oni odeszli... Wczepiła się w swoją babkę szlochając, a stara kobieta siedziała ze stoickim spokojem, tylko spod jej zamkniętych oczu spływały po policzkach marznące łzy. Całe życie zostało za nią; wszystko co знаła, świat, który wszyscy kochali... odpływało jak śniegi za pędzącą trojką, kiedy Fiodor trząsał batem, a konie Mikołaja niosły ich daleko, daleko od domu. Coraz dalej od wszystkiego i wszystkich, których znali i kochali.

Adieu, chers amis... – wyszeptwała Eugenia w ciche puszyste płatki śniegu... Żegnajcie, najdrożsi przyjaciele...

Część 2

Paryż

## Rozdział ósmy

Wyprawa z Carskiego Sioła do miejscowości Białostrów, znajdującej się przy granicy fińskiej, zajęła im siedem godzin. Nie było to daleko od Petersburga, lecz Fiodor, gdy tylko mógł, dla ostrożności jechał bocznymi drogami. Mikołaj uprzedził go, że tak będzie bezpieczniej, nawet jeśli miało to przedłużyć ich podróż. Ku zaskoczeniu Eugonii, granicę przekroczyli bez trudu. Zadawano im jakieś pytania, lecz Eugenia zamknęła się w sobie i można było pomyśleć, że to jakaś zgryźliwa starucha, skulona i zmarznięta. Zoja zaś znowu zaczęła wyglądać jak dziecko. W końcu przysła im z pomocą Sawa. Żołnierze na granicy byli nią oczarowani i, po chwili wahania, przepuścili trojkę. Troje uciekinierów odetchnęło z ulgą, gdy konie Mikołaja znów pociągnęły ich naprzód. Na wszelki wypadek Fiodor użył starej uprząży, którą zabrał z Petersburga, świadomie nie biorąc niczego z wyposażenia carskiej stajni, gdyż na wszystkim umieszczony był, łatwy do rozpoznania, znak dwugłowego orła.

Podróż z Białoostrowa, przez Finlandię, do Turku zajęła im pełne dwa dni, i zanim tam dotarli późną nocą, Zoja miała uczucie, że pozostanie zdrętwiała już do końca życia. Całe jej ciało zdawało się zeszywniałe i zastygłe od takiej pozycji, w jakiej siedziała w trojce. Pomogli wyjść jej babce, która ledwo mogła chodzić. Nawet Fiodor robił wrażenie zupełnie wyczerpanego. Znaleźli niewielką gospodę, wynajęli niedrogo dwa pokoje, a rano Fiodor sprzedał konie za śmiesznie małą sumę. Wszyscy wsiedli na lodołamacz płynący do Sztokholmu. Był to kolejny, ciągnący się w nieskończoność dzień na statku, przeciskającym się powoli krusząc lody między Finlandią a Szwecją. Troje towarzyszy podróży prawie nie odzywało się do siebie. Każdy zatopiony był we własnych myślach.

Przybyli do Sztokholmu późnym popołudniem, akurat na czas, żeby zdążyć na nocny pociąg do Malmo. A gdy już się tam znaleźli, zaraz następnego ranka wsiedli na prom kolejowy do Kopenhagi. Kiedy dotarli na miejsce, udali się do niewielkiego hotelu. Eugenia zadzwoniła do przyjaciół ciotki cara, lecz okazało się, że wyjechali. Następnego ranka więc opuścili Kopenhagę na angielskim parowcu płynącym do Francji. Zoja, pod koniec podróży, wyglądała jak

nieprzytomna, zwłaszcza że pierwszego dnia na statku dokuczała jej strasznie choroba morska. Jej babce zdawało się, że dostała gorączki, ale trudno było stwierdzić czy to choroba, czy tylko przemęczenie. Wszyscy czuli się wyczerpani po sześciodniowej podróży. Dzień za dniem w drodze; statkiem, pociągami i trojką – to było bardzo męczące. Nawet Fiodor wyglądał jakby się postarzał o dziesięć lat w ciągu jednego tygodnia, lecz najbardziej dokuczał wszystkim smutek z powodu opuszczenia stron rodzinnych. Mówili mało, spali niewiele i zdawało się, że nie czują nawet głodu. Jakby ich ciała były tak wypełnione smutkiem, że nie mogły pomieścić nic więcej. Zostawili za sobą wszystko: sposób, w jaki żyli, tysiąclecia historii, ludzi, których kochali i utracili. Zdawało się, że już więcej nie można wytrzymać i Zoja miała nadzieję, że ich statek zostanie zatopiony przez niemieckie łodzie podwodne, zanim dopłynie do Francji. Poza Rosją toczyła się wojna i nie rewolucji ludzie się obawiali. Lecz Zoja złapała się na myśli, że śmierć, z czyichkolwiek rąk, byłaby czymś łatwiejszym do zniesienia, niż wchodzenie w obcy świat, którego wcale nie chciała poznać. Myślała o tym, jak często ona i Maria mówiły z rozmarzeniem o wyjeździe do Paryża. Brzmiało to wtedy tak romantycznie i ekscytująco, z tymi wszystkimi eleganckimi kobietami, jakie spodziewały się zobaczyć i wspaniałymi strojami, które zamierzały kupić. Teraz nic takiego się nie zdarzy. Mieli bardzo niewiele pieniędzy pożyczonych od cara przed wyjazdem i klejnoty, wszyte pod podszewkę ubrań. Eugenia postanowiła już, że sprzeda tylko tyle, ile będzie musiała, kiedy znajdą się w Paryżu. Musiały także zadbać o Fiodora. Obiecał, że rozejrzy się za pracą zaraz, jak tylko przyjadą. Przysięgał, że zrobi wszystko, by im pomóc, byle tylko nie wybrały się w tę podróż same. Nie miał już do czego wracać w Rosji i nie potrafił wyobrazić sobie życia bez służenia Ossjupowom. Gdyby go opuścili, zabiłoby go to. W drodze do Francji chorował tak samo jak Zoja, nigdy przedtem nie płynął statkiem, więc z przerażeniem trzymał się kurczowo burty.

– Co teraz zrobimy, Babciu?

Zoja siedziała w ciasnej kabinie, patrząc na babkę nieszczęśliwym wzrokiem. Zniknął przepych cesarskich jachtów, pałaców i przyjęć. Przemięło ciepło rodzinne i miłość. Odeszli ludzie, których znali, ich

styl życia, nawet bezpieczna świadomość, że następnego dnia nie zabraknie im jedzenia. Wszystko, co im pozostało, to ich życie, a Zoja nie była nawet pewna, czy chciała zachować swoje. Pragnęła tylko znaleźć się znów w domu, z Maszką, w Rosji. Cofnąć czas i wrócić do zaginionego świata, wypełnionego ludźmi, którzy już nie istnieli; jej ojciec, matka, brat. Zastanawiała się, czy Maria czuje się trochę lepiej.

– Trzeba będzie znaleźć jakieś nieduże mieszkanie – odpowiedziała jej babka.

Nie była w Paryżu już od wielu lat. Po śmierci męża nie podróżowała zbyt dużo. Teraz jednak jej obowiązkiem było myśleć o Zoi. Musi być silna, by pomóc tej dziewczynie. Musi mieć pewność, że jej los został zabezpieczony. Modliła się o to, żeby starczyło jej sił, ale tym razem nie jej zdrowie było zagrożone, lecz Zoi. Dziewczyna wyglądała na bardzo chorą. W wybladłej twarzy jej oczy zdawały się jeszcze większe niż zwykle. Kiedy stara hrabina dotknęła jej czoła, poczuła od razu, że Zoja jest rozpalona gorączką. Tej nocy zaczęła kaszleć, co napełniło hrabinę obawą, że może się to skończyć zapaleniem płuc. Nim nadszedł następny ranek, Zoja kaszlała o wiele bardziej, a kiedy w Boulogne wsiadali do pociągu jadącego do Paryża, stało się już jasne, na co choruje. Na jej twarzy i rękach zaczęły pojawiać się krosty; kiedy babka zmusiła ją, żeby podciągnęła do góry swoją wełnianą koszulę, stało się oczywiste dla nich obu, że Zoja miała odrę. Eugenia nie była tym zachwycona i teraz jeszcze bardziej jej zależało, by czym prędzej dowieźć ją do Paryża. Podróż pociągiem trwała dziesięć godzin, przyjechali zatem tuż przed północą. Przed Gare Du Nord stało z tuzin taksówek, Eugenia posłała Fiodora, by którąś zamówił, podczas gdy ona pomagała Zoi wysiąść z pociągu. Dziewczyna nie miała prawie siły chodzić i opierała się mocno na swojej babce. Jej twarz nabrała prawie takiego samego koloru co włosy. Kaszlała okropnie i niemal ślaniała się z gorączki.

– Chcę wrócić do domu.

Szła utykając i ścisnęła pod pachą swojego szczeniaka. Sawa była już teraz większa i Zoja z trudem ją niosła.

– Jedziemy do domu, kochanie. Fiodor właśnie poszedł po taksówkę.

Ale Zoja tylko się rozplakała. Kobieta, którą zaczęła się niedawno stawać, gdzieś się rozplynęła, kiedy patrzyła na swoją babkę z wyrazem

zagubionego dziecka.

– Ja chcę wrócić do Carskiego Sioła.

– Już dobrze, Zoju... już dobrze...

Tymczasem Fiodor machał do nich, pakując ich bagaże do środka, więc Eugenia delikatnie podprowadziła Zoję i pomogła jej wsiąść do starej taksówki. Wszystko, co jeszcze posiadały, leżało jedno na drugim między Fiodorem a taksówkarzem, podczas gdy one, z westchnieniem znużenia, sadowiły się na tylnym siedzeniu. Nie mieli nigdzie zarezerwowanych pokoi ani żadnego pomysłu, dokąd mogliby udać, a taksówkarz był stary i głuchy. Wszyscy młodzi mężczyźni dawno już byli na wojnie, jedynie starsi i zniedołężniali pozostawali nadal w Paryżu.

Alors?... On y va, mesdames?

Owrócił się do nich z uśmiechem i spostrzegł, że Zoja płacze.

– Elle est malade?

– Czy ona jest chora? Eugenia pośpiesznie zapewniła go, że Zoja jest tylko bardzo zmęczona, że wszyscy są bardzo zmęczeni.

– Skąd przyjechaliście? – zagaił uprzejmie, gdy Eugenia próbowała sobie przypomnieć nazwę hotelu, w którym kiedyś zatrzymała się z mężem, wiele lat temu, lecz nagle wszystko wyleciało jej z pamięci. Miała osiemdziesiąt dwa lata i była zupełnie wyczerpana. Musieli jednak zawieźć Zoję do hotelu i wezwać lekarza.

– Czy mógłby pan polecić nam jakiś hotel? Coś niedużego, gdzie byłoby czysto i niedrogo.

Zacisnął usta na chwilę, zastanawiając się. Eugenia instynktownie przyciskała do siebie torebkę, w której nosiła najcenniejszy skarb od cesarzowej. Alix podarowała jej jedno ze swoich słynnych jajek wielkanocnych, wykonane dla niej trzy lata wcześniej przez Carla Faberge.

– Czy ma dla pani znaczenie, gdzie będzie się znajdował?... Ten hotel...

– Jeśli tylko sąsiedztwo będzie przyzwoite.

Zawsze mogą później poszukać czegoś lepszego, tego wieczora potrzebowała tylko pokoi, w których mogliby przenocować.

Subtelnosci, o ile jeszcze jakieś były możliwe, zostawia sobie na później.

– Jest taki mały hotel za Champs Elysees, madame. Tamtejszy nocny



portier jest moim kuzynem.

– Czy jest drogi? – zapytała ostro, aż się wzdrygnął.

Zauważył, że nie byli dobrze sytuowani, ich ubrania były proste, a starszy mężczyzna wyglądał na wieśniaka. Jednak ta kobieta mówiła po francusku i przypuszczał, że dziewczyna także, choć przez większość czasu płakała i kaszłała przeraźliwie. Miał tylko nadzieję, że nie była to gruźlica, która właśnie szerzyła się w Paryżu.

– Nie tak bardzo. Poproszę kuzyna, żeby szepnął słówko recepcjoniście.

– Bardzo dobrze. To wystarczy – odparła z cesarską godnością rozsiadając się wygodnie na siedzeniu starej taksówki. Była dziarską staruszką i to mu się spodobało.

Hotel mieścił się na rae Marbeuf i rzeczywiście był bardzo mały. Kiedy jednak weszli do hallu, zobaczyli, że wygląda solidnie i czysto.

Znajdowało się tam tylko dwanaście pokoi, ale według zapewnień recepcjonisty, dwa były wolne. Musieli korzystać ze wspólnej łazienki, która mieściła się w głębi korytarza, co było pewnym szokiem dla Eugenii, jednak nawet to nie miało teraz większego znaczenia.

Pościeliła łóżko, na którym miały spać razem, pościel była czysta.

Ukryła torebkę pod materacem, po czym wyjęła ubrania Zoi, a Fiodor przyniósł resztę ich rzeczy. Zgodził się, żeby Sawa była z nim. Kiedy tylko Zoja znalazła się w łóżku, hrabina zeszła na dół i poprosiła recepcjonistę, by wezwał lekarza.

– Dla pani, madame? – zapytał.

Nie dziwiło go to zbytnio. Wszyscy troje wyglądali na zmęczonych i byli bladzi. Widać też było, że ona jest już dość stara.

– Dla mojej wnuczki.

Nie powiedziała mu, że Zoja ma odrę, lecz dwie godziny później lekarz to potwierdził.

– Ona jest bardzo chora, madame. Musi pani otoczyć ją troskliwą opieką. Czy wie pani coś o tym, gdzie mogła się zarazić?

Byłoby trochę dziwne, gdyby powiedziała mu, że Zoja zaraziła się od dzieci cara Rosji.

– Myślę, że zaraziła się u przyjaciół. Odbyliśmy bardzo długą podróż. Patrzył w jej mądre, smutne oczy i domyślił się, że musieli mieć za sobą wiele ciężkich przeżyć. Ale nawet on nie mógł przeczuwać, jakie tragedie rozegrały się przed ich oczami w ciągu ostatnich trzech

tygodni, jak niewiele im zostało i jak bardzo bali się o to, co im przyniesie przyszłość.

– Przyjechaliśmy z Rosji... przez Finlandię, Szwecję a potem Danię. Spoglądał na nią zadziwiony, aż nagle zrozumiał. Byli też inni, którzy odbyli podobną podróż w czasie ostatnich tygodni, uciekając przed rewolucją. I nietrudno było mu się domyślić, że będzie ich jeszcze więcej w nadchodzących miesiącach, jeżeli uda im się uciec. Szlachta, a raczej to co z niej zostało, uciekała masowo z Rosji, i wielu z nich przybywało do Paryża.

– Przykro mi... bardzo mi przykro, madame.

– Nam także. – Uśmiechnęła się smutno. – Nie ma zapalenia płuc, prawda?

– Na razie nie.

– Jej kuzynka chorowała na nie parę tygodni temu, a miały ze sobą bliski kontakt.

– Zrobię, co w mojej mocy, madame. Przyjdę jeszcze jutro ją zbadać. Ale następnego dnia było jeszcze gorzej, zaś pod wieczór Zoja majaczyła już w gorączce. Lekarz przepisał jej jakieś lekarstwo i powiedział, że jest ono jedyną nadzieją. Następnego dnia, Medy recepcjonista powiedział Eugenii, że Ameryka właśnie włączyła się w wojnę, zdawało jej się to bez znaczenia. Wojna wydawała jej się czymś o wiele mniej ważnym, wobec wszystkich innych rzeczy, które się zdarzyły.

Spożywała posiłki w ich skromnym pokoiku, a Fiodor chodził do miasta kupować lekarstwa i owoce. Racionowali chleb i trudno było w ogóle cokolwiek zdobyć, lecz Fiodor był doskonały w znajdowaniu wszystkiego, czego hrabina potrzebowała. Był z siebie szczególnie zadowolony, kiedy udało mu się znaleźć taksówkarza mówiącego po rosyjsku. Podobnie jak oni, przebywał w Paryżu dopiero od paru dni. Był to książę z Sankt Petersburga; Fiodor przypuszczał, że mógł być przyjacielem Konstantego, lecz Eugenia nie miała czasu go słuchać. Była bardzo zatroskana zdrowiem Zoi.

Upłynęło kilka dni, zanim Zoja odzyskała świadomość, gdzie się znajduje. Rozejrzała się po niewielkim, niczym nieupiększonym pokoju, spojrzała w oczy swojej babki i powoli przypomniała sobie, że są w Paryżu.

– Od jak dawna jestem chora, Babciu?

Próbowała usiąść, lecz wciąż jeszcze była bardzo słaba, choć przestała wreszcie tak przeraźliwie kaszeć.

– Odkąd przyjechaliśmy, kochanie, prawie tydzień. Bardzo się wszyscy martwiliśmy o ciebie. Fiodor ganiał po całym Paryżu, starając się znaleźć jakieś owoce dla ciebie. Brakuje tu żywności prawie tak samo jak w Rosji.

Zoja przytaknęła, jej myśli zdawały się ulatywać przez jedyne w tym pokoju okno, w które się zapatrzyła.

– Teraz wiem, jak Maszka się czuła... a była jeszcze bardziej chora ode mnie. Ciekawa jestem, jak teraz się miewa.

Nie potrafiła skłonić się do myślenia o teraźniejszości.

– Nie myśl teraz o tym – widząc smutek w oczach Zoi, babka zwróciła się do niej łagodnie – jestem pewna, że zdążyła wyzdrowieć.

Wyjechaliśmy już dwa tygodnie temu.

– Tak niedawno? – westchnęła, patrząc babce w oczy. – Wydaje się, że minęły całe wieki.

Wszystkim trojgu tak się zdawało. Eugenia od czasu wyjazdu z Rosji prawie nie zmrużyła oka. Od wielu dni spała na siedząco, bojąc się, że gdyby położyła się do łóżka obok Zoi, mogłaby zakłócić jej sen albo nie obudzić się, gdyby jej wnuczka czegoś potrzebowała. Teraz nie musiała już czuwać tak bacznie. Tej nocy będzie spała w nogach.

Potrzebowała tego snu, prawie tak bardzo jak Zoja.

– Jutro wyciągniemy cię z łóżka, ale najpierw musisz wypocząć, zjeść coś i nabrać sił.

Poklepała ją po ręce a Zoja odpowiedziała bladym uśmiechem.

– Dziękuję ci, Babciu.

Przytulała jej starą rękę do policzka mając oczy pełne łez. Nawet ta pieszczota wywoływała bolesne wspomnienie dzieciństwa.

– Za co, głuptasie? Za co chcesz mi dziękować?

– Za to, że mnie tutaj przywiozłaś... za to, że jesteś taka odważna... i tyle zrobiłaś, żeby nas uratować.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, jak daleką podróż odbyli i jaką nadzwyczajną osobą była jej babka. Matka z pewnością nigdy by tego nie dokonała. Zoja musiałyby pewnie targać Natalię na plecach przez całą drogę z Rosji.

– Zaczniemy tutaj nowe życie, Zoju. Zobacysz. Pewnego dnia spojrzemy wstecz i nie będzie to już takie bolesne.

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić... Nie mogę sobie wyobrazić takiej chwili, kiedy wspomnienia już nie będą tak bolały.

Czuła się, jakby umierała.

– Czas jest bardzo łaskawy, moja droga. I dla nas też taki będzie. Przyniesie ci. Życie dobrze nam się tutaj ułoży.

Ale nie będzie to takie życie jak w Rosji. Zoja starała się nie myśleć o tym, ale później, kiedy babka już spała, wysunęła się po cichu z łóżka, wzięła swoją torebkę i znalazła w niej zdjęcie, które Mikołaj zrobił im, kiedy się wyglupiali zeszłego lata w Liwadii. Ona, Anastazja, Maria, Olga i Tatiana odchyliły się do tyłu na huśtawce, aż zawisły prawie do góry nogami i śmiały się rozbawione, kiedy ojciec robił im zdjęcie. Teraz wyglądało trochę głupio... ale tak miło... i nawet w tej niezwyklej pozycji wszystkie wydawały jej się takie piękne, teraz jeszcze nawet bardziej... Dziewczęta, wśród których dorastała, które kochała... Tatiana, Anastazja... Olga... i, oczywiście, Maszka.

## Rozdział dziewiąty

Zoja była bardzo osłabiona po odrze, ale jej babka mogła już odetchnąć z ulgą. Zdawało się, że dziewczyna odżywa w atmosferze Paryża, tak pięknego w kwietniu. Nabrała powagi, której przedtem nie miała w sobie. Wciąż jeszcze dokuczał jej lekki, ale mimo to uporczywy kaszel. Zdarzało się od czasu do czasu, że znowu śmiały jej się oczy, prawie tak samo jak niegdyś, i jej babce robiło się trochę lżej na sercu. Hotel przy rue Marbeuf, choć skromny, stał się dla nich z czasem za drogi. Eugenia wiedziała, że będą musieli wkrótce poszukać jakiegoś mieszkania. Wydali już sporą część pieniędzy otrzymanych od Mikołaja i trzeba było ratować te marne resztki funduszy, jakie im pozostały. Eugenia na początku maja stanęła przed koniecznością sprzedania kilku sztuk biżuterii.

Pewnego słonecznego popołudnia zostawiła Zoję z Fiodorem i pojechała do jubilera, przy rue Carbon, którego polecono jej w hotelu. Wcześniej wypruła delikatnie rubinowy naszyjnik z podszewki swojej czarnej sukienki. Schowała naszyjnik do torebki, po czym wyjęła kolczyki do kompletu, dotychczas starannie ukryte w dwóch dość dużych guzikach. Skrytki doskonale spełniły swe zadanie. Wezwała taksówkę i kiedy wręczyła taksówkarzowi adres, odwrócił się powoli i spjrzał na nią. Był wysokim, dystyngowanym mężczyzną, miał posrebrzone siwizną włosy i doskonale utrzymane wąsy.

– To niemożliwe... hrabino, czy to pani?

Wtedy przyjrzała mu się uważniej i serce jej zaczęło bić szybciej. To przecież książe Władimir Markowski. Rozpoznała go ze zdumieniem. Był jednym z przyjaciół Konstantego, a jego najstarszy syn kilkakrotnie występował z propozycją poślubienia Wielkiej Księżny Tatiany, lecz zawsze spotykał się z odmową. Był czarującym chłopcem, tak samo jak jego ojciec.

– Skąd się pani tutaj wzięła?

Śmiała się i kręciła z niedowierzaniem głową, że tak przedziwnie potoczyło się ich życie. Widywała w Paryżu znajome twarze, w ostatnim czasie; zdarzało się już, że wzywała taksówkę, której kierowcą okazywał się jej znajomy. Rosyjska szlachta nie miała widać innej możliwości zarabiania na życie; bez żadnych umiejętności, choć byli

przystojni, dobrze urodzeni i niezwykle czarujący, niewiele mogli robić poza prowadzeniem samochodów, co właśnie czynił książę Władimir. Spoglądał na nią uradowany. To wywołało w niej słodkie, lecz zaprawione goryczą wspomnienia lepszych dni. Westchnęła zaczynając swoją opowieść o tym, jak opuścili Rosję. Jego historia była bardzo podobna, choć znalazł się w znacznie większym niebezpieczeństwie, gdy przekraczał granicę.

– Czy mieszkacie tutaj?

Zerknął na jej hotel. Zapalił silnik i ruszył w kierunku, gdzie znajdował się sklep jubilera.

– Tak, chwilowo. Ale musimy z Zoją poszukać jakiegoś mieszkania.

– Więc ona jest z panią. To chyba jeszcze dziecko. A Natalia? Zawsze uważał żonę Mikołaja za niezwykle piękną, aczkolwiek zbyt nerwową, i najwyraźniej nie słyszał o jej śmierci podczas szturm na pałac na Fontance.

– Zginęła... zaledwie parę dni po Konstantym... i Mikołaju. Mówiła ściszym głosem. Wciąż z bólem wymieniała te imiona, szczególnie jemu, który ich znał. Pokiwał smutno głową. On także stracił obu synów i przyjechał do Paryża ze swoją niezamężną córką.

– Przykro mi.

Wszystkim nam jest przykro, Władimirze. A najbardziej Mikołajowi i Aleksandrze. Czy ma pan jakieś wieści o nich?

Nic nie słyszałem. Tylko tyle, że są nadal w areszcie domowym w Carskim Siole, Bóg jeden wie, jak długo będą ich tam trzymać.

Przynajmniej jest im wygodnie, a może nawet bezpiecznie.

Nikt już nie był bezpieczny, w żadnym miejscu w Rosji. W każdym razie nie ludzie, których znali. Czy zostaniecie w Paryżu? Nie mieli żadnego innego miejsca, dokąd mogliby się udać, żadne z nich; dzień po dniu napływali nowi Rosjanie, opowiadający niezwykle historie o swoich uciezkach i o rozpaczliwych stratach, jakie ponieśli, rosła ich liczba w już i tak przeludnionym mieście. Myślę, że tak. Wydawało się, że tu będzie lepiej niż gdzie indziej. Przynajmniej jesteśmy bezpieczni i jest to odpowiednie miejsce dla Zoi.

Przytaknął i wjechał w małą uliczkę, gdzie nie było wielkiego ruchu.

– Czy mam na panią poczekać, Eugenio Pietrowna?

Jej serce radowało się tym, że mogła znowu rozmawiać po rosyjsku, w

dodatku z kimś, kto znał jej imię. Zatrzymał się tuż przed sklepem jubilerskim.

– Czy byłby to duży kłopot?

Byłoby miło mieć świadomość, że on tam czeka, i wrócić pod jego opieką do domu, zwłaszcza gdyby jubiler zapłacił jej dużą sumę.

– Oczywiście, że nie. Zaczekam tutaj.

Pomógł jej wysiąść i odprowadził ją do drzwi sklepu. Nietrudno było się domyślić, w jakim celu tam się udawała. Oni wszyscy to robili, wyprzedawali co tylko mogli, skarby, jakie udało im się przemyć z Rosji, zaledwie parę tygodni przedtem uważane za błahostki, a posiadanie ich za coś oczywistego.

Hrabina pojawiła się pół godziny później, pełna godności. Książę Markowski nie zadawał jej żadnych pytań w drodze powrotnej do hotelu. Wydawała się jednak nieco przygaszona, kiedy na rue Marbeuf pomagał jej wysiąść z taksówki. Miał nadzieję, że dostała tyle ile jej było potrzeba. W jej wieku trudno było liczyć, że będzie musiała się utrzymywać dzięki własnej przedsiębiorczości i sprzedaży swojej biżuterii w jakimś obcym kraju, gdzie nie było nikogo, kto by się o nią zatroszczył, poza bardzo młodą dziewczyną, za którą była odpowiedzialna. Nie pamiętał dokładnie, ile Zoja mogła mieć lat, ale był przekonany, że znacznie mniej niż jego własna córka, prawie trzydziestoletnia.

– Czy wszystko w porządku?

Trochę zatroskany odprowadzał ją do drzwi. Odwróciła się. Jej oczy miały taki wyraz, jakby ją coś zraniło.

– Chyba tak. Nie są to łatwe czasy.

Zerknęła na czekającą taksówkę, potem spojrzała mu w oczy. W młodości był przystojnym mężczyzną i pozostawał nim nadal, ale tak jak i w niej, coś się w nim zmieniło bezpowrotnie. Wszyscy byli teraz inni. Nawet świat zmienił swoje oblicze po wybuchu rewolucji.

– Nikomu z nas nie jest teraz łatwo, prawda, Władimirze? Zastanawiała się, co będzie, kiedy już nie pozostanie jej żadna biżuteria na sprzedaż, co wtedy zrobią? Ani ona, ani Zoja nie potrafiły prowadzić taksówki, Fiodor nie mówił po francusku i nie zanosilo się na to, by mógł się nauczyć. Stawał się coraz bardziej ciężarem niż pomocą, lecz był taki oddany i tak lojalnie pomagał im w ucieczce, że nie mogła go teraz

zawieść. Była za niego odpowiedzialna, tak samo jak za Zoję. Dwa pokoje w hotelu kosztowały jednak dwa razy więcej niż jeden i przy tak niewielkiej sumie, jaką dostała za swój rubinowy naszyjnik i kolczyki, ich zasoby nie wystarczą na długo. Będą musieli naprawdę pomyśleć o jakimś sposobie zarobkowania. Może zajęłaby się szyciem, pomyślała żegnając Władimira z roztargnieniem. Przez te pół godziny, które minęło od jej wyjścia ze sklepu jubilerskiego, jakby postarzała się jeszcze bardziej. Książę Markowski pocałował ją w rękę i kategorycznie odmówił przyjęcia pieniędzy. Zastanawiała się, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy. Taką niepewność odczuwała teraz wobec każdego. Dwa dni później, kiedy z Zoją i Fiodorem schodziła na dół, ujrzała go czekającego w hallu.

Kiedy ją zobaczył, skłonił się nisko i znowu pocałował ją w rękę. Patrzył życzliwie na stojącą za nią Zoję i po chwili w jego oczach odmalowało się zdumienie, że była taka dorosła i taka śliczna. Stała się prawdziwą pięknoscią.

– Chciałbym przeprosić za to, że przeszkadzam, Eugenio Pietrowna, ale właśnie dowiedziałem się o jednym mieszkaniu... jest dość małe, ale za to w pobliżu Palais Royal. To nie jest... najbardziej wymarzona okolica... dla młodej dziewczyny, ale... być może... może to mieszkanie będzie dobre. Ma dwie sypialnie. – Spojrzał na starego Fiodora i zmartwił się – może nie jest wystarczająco duże dla was wszystkich, chociaż...

– Ależ wcale nie.

Obdarzyła go takim uśmiechem, jakby zawsze był jej najdroższym przyjacielem. To stało się teraz takie cenne widzieć w pobliżu znajomego człowieka, nawet jeśli przedtem nie spotykało się go zbyt często. Była to przynajmniej twarz z nie tak odległej przeszłości, relikw z ojczystego kraju. Przedstawiła go czym prędzej Zoi.

– Możemy z Zoją mieszkać razem w jednym pokoju. Mieszkamy tak samo tutaj, w hotelu, i nie wydaje się, by jej to przeszkadzało.

– Oczywiście, że nie, Babciu – powiedziała z ciepłym uśmiechem, spoglądając z zaciekawieniem na wysokiego Rosjanina o dystygowanym wyglądzie.

– Mogę zatem umówić panie na obejrzenie mieszkania? Wyglądało na to, że Zoja wzbudziła w nim duże zainteresowanie, lecz jej babka



zdawała się tego nie zauważać.

– Czy mogłybyśmy obejrzeć je teraz? Właśnie wychodziliśmy na spacer.

Było piękne majowe popołudnie i aż trudno było uwierzyć, że gdziekolwiek na świecie panowały zamieszki, a jeszcze trudniej, że cała Europa była w stanie wojny i do niej przyłączyła się także Ameryka.

– Pokażę wam, gdzie to jest, i może będziecie mogli obejrzeć je od razu.

Zawiózł ich tam niezwłocznie. Fiodor siedział z przodu, obok Władimira, on tymczasem opowiadał paniom najnowsze plotki. Znowu, parę dni temu, przybyło kilkoro ich wspólnych znajomych, ale zdaje się, że nikt nie miał świeżych wiadomości z Carskiego Sioła. Kiedy wymieniał imiona, Zoja słuchała z zainteresowaniem. Większość tych osób знаła, choć nie byli jej bliskimi znajomymi. Księżę wspomniał również, że Diagilew jest w Paryżu i zamierza wystawić najnowsze przedstawienie Ballets Russes. Mieli wystąpić w Châtelet i w przyszłym tygodniu zaczynali próby generalne. Kiedy to usłyszała, serce zabiło jej mocniej i przestała prawie zwracać uwagę na mijane przez nich ulice.

Mieszkanie było rzeczywiście bardzo małe, ale jego okna wychodziły na czyjś bardzo ładny ogród. Miało dwie niewielkie sypialnie, małeńki pokój gościnny i niedużą kuchnię oraz łazienkę, na końcu korytarza. Dzieliliby ją z lokatorami czterech pozostałych mieszkań. Mieli więcej szczęścia niż inni, którzy musieli schodzić z wyższych pięt. To nie był pałac na Fontance ani nawet hotel przy rue Marbeuf, ale nie należało grymasić. Eugenia wyznała Zoi, jak lichą zapłatę otrzymała za swój rubinowy naszyjnik. Przywiozły co prawda jeszcze inne klejnoty na sprzedaż, ale to wcale nie wróżyło im dobrej przyszłości.

– Może jednak jest za małe...

Księżę Władimir wydawał się trochę zażenowany, lecz takie samo zażenowanie mógł budzić fakt, że on sam musiał pracować jako taksówkarz.

– Myślę, że w zupełności wystarczy – powiedziała hrabina rzeczowo, ale zdążyła w oczach Zoi dostrzec rozczarowanie.

W korytarzu unosił się nieprzyjemny odór moczu wymieszany z kuchennymi zapachami starego tłuszczu. Może odrobina perfum...

zapach fiołków, który tak lubiła... i okna otwarte na ogród. Wszystko to mogło trochę pomóc, a czynsz wynosił akurat tyle, na ile było je stać. Hrabina zwróciła się do Władimira z serdecznym uśmiechem i podziękowała mu wylewnie.

– Musimy pomagać sobie nawzajem – powiedział do niej ciepło, ale jego oczy były utkwione w Zoi. – Odwiozę was do hotelu.

Uzgodniły, że wprowadzą się w przyszłym tygodniu, i w drodze powrotnej Eugenia zaczęła sporządzać listę mebli, jakie będą im potrzebne. Zamierzała kupić tylko to, co niezbędne, zasłony i narzuty na łóżka mogły zrobić z Zoją same, postanowiła ograniczyć się do minimum.

– Wiesz, jak położymy jakiś ładny dywan na podłodze, pokój będzie wydawał się większy. – Mówiła wesoło, starając się nie myśleć o drogocennych gobelinach z Aubusson w pawilonie za pałacem na Fontance, – Nie sądzisz, moja kochana?

– Hm?... Przepraszam, Babciu?

Patrzyła przez okno na mijane właśnie Champs Elysees, dziwnie marszcząc przy tym czoło. Myślała właśnie o czymś o wiele ważniejszym. O czymś, czego bardzo potrzebowała i co pozwoliłoby im znowu wieść godziwe życie. Może nie w pałacu, lecz w mieszkaniu o wiele bardziej komfortowym i większym niż tamto pudełko od zapalek z ohydny zapachem. Nie mogła się doczekać, kiedy wróci do hotelu i zostawi swoją babkę z jej listami, planami i poleceniami dla Fiodora, żeby poszukał odpowiednich mebli i ładnego dywanu.

Podziękowały księciu Markowskiemu raz jeszcze, kiedy dojechali, i wtedy Eugenia dowiedziała się ze zdumieniem, że Zoja wybiera się na spacer i absolutnie się nie zgadza, by Fiodor jej towarzyszył.

– Nic mi się nie stanie, Babciu. Przymierzam. Nie pójdę daleko. Tylko na Champs Elysees i z powrotem.

– Chcesz, żebym poszła z tobą, kochanie?

– Nie. – Uśmiechnęła się do swojej babki, którą tak kochała, myśląc o tym, jak wiele jej zawdzięcza. – Odpocznij sobie trochę. Jak wrócę, napijemy się herbaty.

– Jesteś pewna, że możesz iść sama?

– W zupełności.

Zaraz po wyjściu Zoja skreśliła za róg hotelu i zatrzymała taksówkę,

modląc się, by taksówkarz wiedział, gdzie jest to miejsce i, kiedy tam dojedzie, żeby znalazł się ktoś, kto będzie wiedział, o co jej chodzi. Był to szalony pomysł, szaleńcza nadzieja, ale musiała spróbować.

– Do Châtelet, proszę – powiedziała z taką pewnością siebie, jakby doskonale wiedziała, o czym mówi, modląc się w myślach, by kierowca wiedział, gdzie to jest. Chwila wahania i okazało się, że jej modlitwy zostały wysłuchane. Prawie nie śmiała oddychać, kiedy taksówka wiozła ją do celu. Dała kierowcy pokazny napiwek, z wdzięczności, że znalazł to miejsce, a trochę dlatego, że doznała ulgi, ponieważ nie był Rosjaninem. To było przygnębiające, patrzeć na członków rodzin, które znała, jak prowadzili taksówki i mówili żalobnym tonem o jej rodzinie w Carskim Siole.

Weszła pośpiesznie do środka. Gdy rozglądała się dookoła, naszło ją wspomnienie o tym, jak odgrażała się, że ucieknie do Teatru Maryjskiego. Pomyślała o Marii, o tym jak bardzo byłaby teraz zdumiona. Wywołało to uśmiech na jej twarzy, gdy szukała kogoś, kogokolwiek, kto mógłby odpowiedzieć na jej pytanie. Znalazła w końcu jakąś kobietę w kostiumie baletowym, ćwiczącą w skupieniu przy barierce. Jak Zoja trafnie odgadła, była nauczycielką.

– Szukam pana Diagilewa – ogłosiła.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Teraz? Mogę wiedzieć, dlaczego?

– Jestem tancerką i chciałabym zatańczyć przed nim na próbę – wyłożyła wszystkie karty na stół.

Nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie i młodo, i nigdy nie wydawała się bardziej przerażona.

– Rozumiem. Czy on słyszał o tobie kiedykolwiek? – To było dosyć okrutne pytanie i kobieta nie czekała na odpowiedź. – Widzę, że nie przyniosłaś żadnego kostiumu do tańca, mademoiselle. To raczej nie jest strój dobry do próby.

Zoja spojrzała na swoją wąską granatową spódnicę ze zgrzebnej wełny, białą marynarską bluzkę i znoszone skórzane buty, w których chodziła codziennie podczas ostatnich tygodni w Carskim Siole. Spłonila się natychmiast, lecz kobieta tylko uśmiechnęła się do niej. Była taka ładna, młoda i niewinna. Trudno było uwierzyć, że mogłaby z niej być jakaś tancerka.

– Przepraszam. Może bym mogła przyjść spotkać się z nim jutro. – A potem zapytała stłumionym szeptem: – Czy on jest tutaj?

Nauczycielka uśmiechnęła się znowu.

– Nie, ale wkrótce tu będzie. Jedenastego będzie miał tutaj próbę generalną.

– Wiem. Chciałam, żeby zobaczył, jak tańczę. Chcę wystąpić w tym przedstawieniu i przyłączyć się do zespołu.

Wyrecytowała wszystko jednym tchem, na co kobieta roześmiała się głośno.

– Teraz, koniecznie? A gdzie ćwiczyłaś przedtem?

– W szkole u madame Nastowej, w Petersburgu... jeszcze dwa miesiące temu.

Żałowała, że nie może skłamać i powiedzieć: „w Maryjskim”, lecz on na pewno zaraz by poznał, jak było naprawdę. Zresztą szkoła baletowa madame Nastowej była również jedną z najbardziej prestiżowych w Rosji.

– Jeśli ci teraz przyniosę trykoty i jakieś baletki, czy zatańczysz dla mnie?

Kobieta wyglądała na rozbawioną i Zoja zawahała się tylko na ułamek sekundy.

– Dobrze, jeśli pani sobie życzy.

Serce waliło jej jak młotem, ale musiała dostać tę pracę, to było wszystko, co mogła i chciała zrobić. Przynajmniej tyle mogła zrobić dla Eugenii.

Baletki przyniesione przez nauczycielkę uciskały ją niemiłosiernie i, kiedy podchodziła do pianina, Zoja poczuła, że postąpiła głupio podejmując w ogóle tę próbę. Zupełnie sama na scenie będzie wyglądała śmiesznie, a może madame Nastowa tylko z grzeczności mówiła jej, że jest dobra. Ale już popłynęła muzyka i powoli zapomniała o swoich obawach. Zaczęła tańczyć. Robiła wszystko, czego nauczyła ją madame Nastowa. Tańczyła niestrudzenie przez prawie całą godzinę, a nauczycielka obserwowała ją krytycznie z przymrużonymi oczami. Na jej twarzy nie było widać pogardy ani rozbawienia. Kiedy w końcu muzyka ucichła, Zoja była cała złana potem. Ukłoniła się z wdziękiem w stronę pianina. W pokoju zapadła cisza, oczy obu kobiet spotkały się i siedząca przy pianinie wolno

skinęła głową.

– Czy mogłabyś przyjść tu za dwa dni, mademoiselle?

Oczy Zoi, szeroko otwarte, zaczęły przypominać dwa wielkie zielone spodki. Podbiegła do pianina.

– Czy dostanę tę pracę?

Starsza kobieta potrząsnęła głową ze śmiechem.

– Nie, nie... ale on będzie tutaj. Zobaczymy, co on powie i co powiedzą inni nauczyciele.

– Dobrze. Zdobędę jakieś baletki.

– Nie masz żadnych?

Kobieta była bardzo zdziwiona i Zoja spojrzała na nią z powagą.

– Wszystko, co mieliśmy, zostało w Rosji. Moi rodzice i brat zginęli podczas rewolucji, a ja uciekłam razem z babcią miesiąc temu. Muszę znaleźć jakąś pracę. Ona jest za stara, by pracować, a nie mamy pieniędzy.

To proste, szczerze wyznanie poruszyło do głębi serce drugiej kobiety, choć tego nie okazała.

– Ile masz lat?

– Właśnie skończyłam osiemnaście. Uczyłam się dwanaście lat.

– Jesteś bardzo dobra. Bez względu na to, co on powie... albo pozostali... Nie daj się nikomu przestraszyć. Jesteś naprawdę bardzo dobra.

Słyszając to, Zoja roześmiała się głośno. Dokładnie to samo powiedziała Marii tamtego popołudnia w Carskim Siole.

– Dziękuję pani! Dziękuję pani bardzo.

Miała ochotę objąć ją i ucałować, ale się powstrzymała. Bała się, że coś zepsuje i straci taką okazję. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko zatańczyć dla Diagilewa, a ta kobieta zamierzała jej to umożliwić. To przeszło jej najśmielsze marzenia. Może Paryż nie będzie jednak takim złym miejscem... jeśliby mogła zostać baletnicą.

– Będę lepsza, jak się znowu roztańczę. Nie tańczyłam od dwóch miesięcy. Trochę zardzewiałam.

– Skoro tak, będziesz jeszcze lepsza, niż myślałam. Uśmiechnęła się do pięknej rudowłosej, która stała z takim wdziękiem i swobodą przy pianinie. Nagle Zoja zerwała się. Obiecała babce, że wróci niedługo, a nie było jej już prawie dwie godziny.

- Muszę iść! Moja babcia!... Och... Bardzo przepraszam...  
Pobiegła się przebrać i wróciła w swojej granatowej spódnicy i marynarskiej bluzce, łabędź przemieniony z powrotem w brzydkie kaczątko.
- Wrócę za dwa dni... i dziękuję za pożyczenie baletek!  
Wpadła nagle w popłoch. Znowu się odwróciła i zawołała do patrzącej za nią kobiety:
- Och... o której?
- O drugiej! – zawołała kobieta i o czymś sobie przypomniała – Jak się nazywasz?
- Zoja Ossjupow! – odkrzyknęła i już jej nie było.

## Rozdział dziesiąty

W piątek po południu, o drugiej, Zoja przyjechała do Châtelet trzymając w ręku niewielką zakardową torbę, w której znajdowały się trykoty i nowiusieńkie baletki. Żeby za nie zapłacić, sprzedała swój zegarek. Nie powiedziała babce, dokąd się wybiera. Przez te dwa dni myślała tylko o tym niezwykłym zbiegu okoliczności, który mógł się okazać dla niej tak korzystny, i modliła się do wszystkich swoich aniołów stróżów i do swoich ulubionych świętych, żeby niczego nie popsuć. Co się stanie, jeśli będzie nienaturalna... a jeżeli upadnie... jeśli nie spodoba mu się jej styl... jeżeli madame Nastowa okłamywała ją przez te wszystkie lata. Napęłniał ją strach i, zanim ponownie dotarła do Châtelet, pragnęła jedynie czym prędzej uciec, lecz akurat spotkała kobietę, przed którą występowała i już było za późno. Przyjechał sam Diagilew i Zoja została mu przedstawiona. Zanim się spostrzegła, była już na scenie i tańczyła dla wszystkich, którzy siedzieli na widowni, a nawet całkiem zapomniała o ich obecności. Czowała się o wiele swobodniej niż dwa dni temu, ku swojemu miłemu zaskoczeniu. Zdawało się, że muzyka ją unosi. Kiedy skończyła, poproszono, żeby zatańczyła jeszcze raz, tym razem z mężczyzną, który był znakomitym tancerzem. Robiła wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu na skrzydłach anioła. Tańczyła przez półtorej godziny i znów była cała mokra, kiedy skończyła, a nowe buty uciskały ją boleśnie, lecz gdy odwróciła się do widowni, miała uczucie, że mogłaby nawet polecieć na Księżyc. Wszyscy kiwali głowami, padały jakieś niezrozumiałe słowa. Wydawało się, że będą konferować godzinami, wreszcie jeden z nauczycieli zwrócił się do niej i zawołał w kierunku sceny, jakby chodziło o jakąś błahostkę.

– W następny piątek, o czwartej, *répétition générale*, próba generalna, tutaj. Dziękujemy pani bardzo.

Po tych słowach odwrócili się, a ona stała tam dalej i łzy spływały jej po policzkach. Madame Nastowa jednak nie kłamała i bogowie byli jej przychylni. Nie wiedziała, czy to oznaczało, że dostała pracę i nie miała odwagi zapytać. Wiedziała tylko, że zatańczy na próbie w przyszły piątek, po południu. I być może... jeśli byłaby bardzo, bardzo dobra... nie śmiała nawet o tym myśleć, gdy się przebierała, a potem wybiegała

z budynku. Chciała powiedzieć swojej babce, wiedziała jednak, że nie może. Sama myśli, że Zoja miałaby zostać tancerką, doprowadziłaby ją do szału. Lepiej więc było nic nie mówić, przynajmniej na razie. Może gdyby rzeczywiście pozwolili jej tańczyć w Ballets Russes... wtedy może...

Tydzień później, zadowolona z odniesionego zwycięstwa i zapewnionej pracy, przynajmniej na jakiś czas, musiała podzielić się nowiną.

– Co robiłaś?

Babka patrzyła na nią zaszokowana, zdumiona ponad wszelką miarę.

– Występowałam na próbę przed Sergiejem Diagilewem i zgodził się, żebym tańczyła w Ballets Russes. Pierwsze przedstawienie będzie w przyszłym tygodniu.

Czuła, że serce jej niemal wyskakuje z radości, natomiast babka nie wyglądała na zachwyconą.

– Czyś ty oszalała? Zwykła tancerka na scenie? Wyobrażasz sobie, co by na to powiedział twój ojciec?

To był cios poniżej pasa i zabolął bardzo. Odwróciła się do babki, którą tak kochała, i spojrzała na nią zranionym wzrokiem.

– Nie mów o nim w taki sposób. On nie żyje. Nie chciałby żadnej z tych rzeczy, które nam się przytrafiły. Ale stały się i musimy sobie jakoś z tym wszystkim poradzić. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i głodować.

– Więc o to chodzi? Boisz się, że będziemy głodowały? W takim razie zamówię dla ciebie dodatkową porcję na kolację dziś wieczorem, ale daję ci moje słowo, nie wystąpisz na scenie.

– A właśnie, że wystąpię.

Po raz pierwszy patrzyła na babkę wyzywająco. Dawniej jedynie wobec matki ośmielała się tak buntować, ale teraz nie mogła pozwolić, żeby babka ją powstrzymywała. To było dla niej zbyt ważne, było jedynym wyjściem, w każdym razie jedynym, jakie widziała. Nie chciała pracować w sklepie ani zdrapywać brudów z podłóg, ani też przyszywać maleńkich guzików do męskich koszul, ani pracować dla jakiegoś milionera albo przyszywać pióra do jakiegoś kapelusza. A co innego potrafiła robić? Zupełnie nic. Więc wcześniej czy później by do tego doszło. I jej babka o tym wiedziała.

– Babciu, bądź rozsądna. Za ten rubinowy naszyjnik dostałaś tyle co



nic. A ile jeszcze biżuterii możemy sprzedać? Przecież wszyscy to robią tutaj. W końcu ktoś z nas będzie musiał zacząć pracować, a to jest jedyna rzecz, jaką potrafię robić.

– Bzdury. Przede wszystkim nasze pieniądze jeszcze się nie skończyły, a kiedy to się stanie, wtedy obie znajdziemy sobie jakieś uczciwe prace. Obie umiemy dobrze szyć, ja mogę robić na drutach, a ty mogłabyś uczyć rosyjskiego, francuskiego lub niemieckiego, albo nawet angielskiego, jeśli trochę się postarasz.

Uczyli ją wszystkich tych rzeczy w Instytucie Smolnym oraz innych miłych głupstewek, które do niczego się w życiu nie przydają.

– Nie ma absolutnie żadnego powodu, żebyś została tancerką... jak jakaś... jak... – była rozgniewana i omal nie wymieniła nazwiska kobiety, z którą Mikołaj miał romans wiele lat przedtem. – Nieważne. W każdym razie, Zoju, ja na to nie pozwolę.

– Nie masz wyboru, Babciu.

Mówiła spokojnie, lecz z determinacją. Jej babka widziała ją taką pierwszy raz w życiu.

– Zoju, musisz mi być posłuszna.

– Nie będę posłuszna. Taniec jest jedyną rzeczą, jaką chcę robić. I muszę ci pomóc.

Łzy napłynęły do oczu starej kobiety, kiedy patrzyła na swoją jedyną wnuczkę.

– Aż do tego doszło?

W jej mniemaniu było to zajęcie tylko trochę lepsze od prostytucji.

– Cóż takiego złego jest być tancerką? Nie szokuje cię to, że książe Władimir jest taksówkarzem? Czy to jest takie godne szacunku? Czy jest tak dużo lepsze od tego, co ja chcę robić?

– To jest żałosne. – Eugenia patrzyła na nią zbolalymi oczami, ze złamanym sercem. – Trzy miesiące temu był ważnym człowiekiem i kiedyś, dawno temu jego ojciec był wielką postacią. A teraz jest tylko trochę lepszy od żebraka... ale to jest wszystko, co mu pozostało, Zoju... tylko to potrafi robić. Dla niego wszystko już się skończyło.

Przynajmniej jest żywy. Twoje życie dopiero się rozpoczyna i nie mogę pozwolić, aby taki miało początek. To cię zniszczy... – ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać – a ja tak niewiele mogę zrobić, żeby ci pomóc.

Zoja była zdumiona widokiem babki płaczącej, pierwszy raz zobaczyła jej słabość i poruszyło ją to do głębi, jednakże ani na chwilę nie wątpiła, że musi tańczyć w Ballets Russes, bez względu na wszystko. Nie zamierzała szyc ani robić na drutach, ani uczyć rosyjskiego.

Objęła babkę i przytuliła ją serdecznie.

– Proszę, Babciu, nie płacz... już dosyć... proszę... ja tak bardzo cię kocham...

– Więc obiecaj mi, że nie będziesz z nimi tańczyć... proszę cię, Zoju... błagam cię... nie wolno ci tego robić.

Popatrzyła smutno na babkę, mądra ponad swój wiek. Za bardzo dorosła przez ostatnie miesiące i o wiele za szybko. Nie było już odwrotu. Wiedziały o tym obie, niezależnie od tego, jak usilnie Eugenia usiłowała się temu przeciwstawiać.

– Moje życie nigdy nie będzie takie jak twoje, Babciu, tamto już nie wróci. Ani ty, ani ja nie mamy na to żadnego wpływu, musimy jak najlepiej wykorzystać to, co jest. Nie ma już powrotu. Wujek Mikołaj i ciocia Alix... muszą teraz robić wszystko, do czego będą zmuszeni. Ja właśnie tak robię teraz... proszę, nie gniewaj się...

Jej drobna babka usiadła na krześle z poczuciem odniesionej porażki i spoglądała na Zoję nieszczęśliwym wzrokiem.

– Nie gniewam się, jest mi tylko smutno. I czuję się zupełnie bezradna.

– Uratowałaś mi życie. Wydostałaś mnie z Sankt Petersburga... i wywiozłaś z Rosji. Gdyby nie ty, zabiliby mnie wtedy, gdy podpalali dom, albo stałoby się coś jeszcze gorszego... Nie możesz zmienić biegu historii, Babciu. Możemy tylko starać się żyć najlepiej, jak potrafimy... a ja najlepiej umiem tańczyć... pozwól mi to robić... proszę... proszę cię, daj mi swoje błogosławieństwo.

Stara kobieta przymknęła oczy i myślała o swoim jedynym synu.

Spojrzała na Zoję, kręcąc z dezaprobatą głową, lecz wiedziała, że dziewczyna ma rację. Konstanty odszedł. Wszyscy odeszli. Jakie to miało teraz znaczenie? Cokolwiek miało się zdarzyć, wiedziała, że Zoja zrobi to, co będzie chciała, i po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, poczuła się za stara i zbyt zmęczona, by się jej przeciwstawić.

– Więc dobrze, daję ci moje błogosławieństwo. Ale wiedz, że jesteś niedobrą, złą dziewczyną!

Pogroziła jej palcem i próbowała się uśmiechnąć przez łzy. Wtedy

nagle zastanowiło ją, w jaki sposób Zoi udało się dostać na próbę.

– Skąd ty wzięłaś baletki?

Odkąd przyjechały do Paryża, Zoja nie poprosiła jej nawet o jeden grosik.

– Kupiłam sobie.

Uśmiechnęła się psotnie. W końcu była pomyslowa. Jej ojcu spodobałoby się to.

– Za co?

– Sprzedałam swój zegarek. I tak był brzydki. Jedna z moich koleżanek dała mi go na imieniny.

Eugenii nie pozostało już nic innego, jak się roześmiać. Zoja była niezwykle dziewczyną, mimo swego trochę skandalicznego zachowania, i staruszka kochała ją bardziej, niż sama mogła przypuszczać.

– Powinnam być wdzięczna, że nie sprzedałaś mojego.

– Ależ Babciu! Jak możesz tak mówić! Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła!

Udawała obrażoną, ale obie dobrze wiedziały, że była to tylko poza.

– Bóg jeden wie, co ci może strzelić do głowy... aż strach pomyśleć!

– Mówisz zupełnie jak Mikołaj...

## Rozdział jedenasty

Pierwsza próba w Ballets Russes, jedenastego maja, była absolutnie mordercza. Skończyła się o dziesiątej wieczorem; Zoja wróciła do domu w stanie uniesienia, lecz tak zmęczona, że ledwo się mogła ruszać. Stopy jej zaczęły krwawić od powtarzania wciąż od nowa pas de deux i Tours jetés. W porównaniu z tym, lata spędzone u madame Nastowej wydawały jej się dziecinną igraszką. Babka czekała na nią w maleńkim pokoju gościnnym. Wprowadziły się do tego mieszkania dwa dni wcześniej. Kupiły jedynie niewielki tapczan i kilka małych stolików. Stały tam lampy z brzydkimi frędzlami, a na podłodze leżał zielony dywan w ponure fioletowe kwiaty. Przemineły czasy Aubussonów, antyków i pięknych przedmiotów, które kiedyś lubiły. Mimo wszystko mieszkanie było wygodne, a Fiodor je starannie sprzątnął. Dzień przedtem pojechał z księciem Markowskim na wieś i przywieźli cały samochód drewna na opał. Kiedy babka czekała na Zoję, w kominku wesoło buzował ogień, a w dzbanku parowała gorąca herbata.

– No i jak było, maleńka?

Ciągle się łudziła, że Zoja odzyska zdrowy rozsądek i zrezygnuje z pomysłu tańczenia w Ballets Russes, ale wystarczyło, że spojrzała dziewczynie w oczy, by wiedzieć, że były to płonne nadzieje. Nie widziała jej tak szczęśliwej, odkąd zaczął się cały ten ich koszmar. Właśnie mijały dwa miesiące od wybuchu zamieszek i śmierci Mikołaja. Nic nie zostało zapomniane, lecz pamięć o tym wydawała się trochę mniej gorzka, kiedy Zoja opadła na jedno z ich niewygodnych krzeseł, śmiejąc się od ucha do ucha.

– Babciu, było cudownie... po prostu cudownie... ale jestem taka zmęczona, że nie mam siły się ruszyć.

Wielogodzinna próba była niesłychanie wyczerpująca, lecz dla niej było to marzenie, które się spełniło. Teraz myślała wyłącznie o mającym się odbyć za dwa tygodnie przedstawieniu. Babka obiecała, że przyjdzie, książe Markowski wraz z córką także się wybierają.

– Nie zmieniałaś zdania, maleńka?

Potrząsnęła przecząco głową, z uśmiechem zmęczenia, i nalala sobie szklankę herbaty z parującego jeszcze dzbanka. Tego wieczora

powiedziano jej, że będzie tańczyła w obu częściach przedstawienia. Była bardzo zadowolona z otrzymanej zapłaty i wsunęła po cichu pieniądze w rękę babki, patrząc na nią z nieśmiałą dumą. Oczy Eugenii napelniły się łzami. Więc aż do tego doszło! Była utrzymywana przez dziecko, które zarabiałoby tańcem. To było prawie nie do zniesienia.

– A to na co?

– Babciu, to dla ciebie.

– Nie są nam jeszcze potrzebne.

Ale gołe ściany dookoła i brzydki zielony dywan mówiły co innego. Wszystko, co posiadały, było zużyte i wytarte i obie wiedziały, że pieniądze otrzymane za rubinowy naszyjnik nie wystarczą na długo. Miały oczywiście jeszcze inne klejnoty, ale nie tyle, żeby przez cały czas się z nich utrzymywać.

– Czy naprawdę to właśnie chcesz robić? – zapytała Eugenia ze smutkiem, a Zoja pogładziła ją tylko po policzku i pocałowała.

– Tak, Babciu... dzisiaj było cudownie.

Niegdyś marzyła, żeby tańczyć z uczniami z Teatru Maryjskiego. Teraz to marzenie się ziściło. Tej nocy napisała długi list do Marii, w którym opisała jej wszystko, nie wspominając jednak słowem, że mieszkają w tak nędznych warunkach. Siedziała w malutkim saloniku, jeszcze długo po tym, jak babka położyła się spać, i dzieliła się z Marią swymi wrażeniami, pisząc o ludziach, których spotkała, o Paryżu, jak ekscytujące jest to, że tańczy w Ballets Russes. Prawie widziała Marię, jak się uśmiecha, gdy o tym będzie czytać. Zaadresowała list na doktora Botkina w Carskim Siole, mając nadzieję, że niedługo dotrze do Marii. Pisząc go czuła, że w ten sposób jest trochę bliżej niej.

Następnego dnia znowu poszła na próbę. Wieczorem był nalot.

Wszyscy troje schowali się w piwnicy pod budynkiem, a kiedy alarm się skończył ostrożnie wrócili na górę. Przypomniało im to o szalejącej niedaleko wojnie, lecz Zoja nie odczuwała strachu. Myślała wyłącznie o swoim tańcu.

Po powrocie do domu często zastawała tam księcia Markowskiego. Zawsze miał jakieś ciekawe opowieści w zanadrzu i, kiedy tylko mógł, obdarowywał ją ciastkami oraz świeżymi owocami. Pewnego razu przyniósł im nawet bezcenną ikonę, której babka nie chciała przyjąć, ale on nalegał. Eugenia wiedziała aż za dobrze, jak rozpaczliwie

wszyscy potrzebowali przedmiotów, które mogliby sprzedać, lecz książę Markowski machnął tylko arystokratyczną szczupłą dłonią o smukłych palcach i powiedział, że posiada aż nadto, jak na swoje obecne potrzeby. Jego córka dostała niedawno pracę jako nauczycielka angielskiego.

Gdy nadszedł wieczór jej pierwszego przedstawienia, przyszli wszyscy i usiedli w trzecim rzędzie. Zoja kupiła dla nich bilety za pieniądze ze swojej pensji. Nie było jedynie Fiodora, ale on i tak nic by z tego nie rozumiał, więc Zoja przyniosła mu tylko program przedstawienia, z wydrukowanym, drobną czcionką na dole, jej nazwiskiem. Nawet babka odczuwała dumę, choć, gdy ujrziała ją po raz pierwszy na scenie, zapłakała łzami, w których słodycz mieszała się z goryczą. Wolałyby nie oglądać swojej wnuczki występującej na scenie, jak jakaś pospolita tancerka.

– Była pani cudowna, Zoju Konstantinowna!

Książę wznosił na jej cześć toast przyniesionym przez siebie szampanem.

– Byliśmy wszyscy tacy dumni z pani!

Uśmiechał się radośnie do młodej dziewczyny o płomiennych włosach, nie zważając na surowe spojrzenie i urażoną minę swojej córki.

Uważała za szokujący fakt, że Zoja została tancerką. Nigdy się wcześniej nie widziały. Córka księcia Markowskiego była wysoką dziewczyną, ze wszystkimi atrybutami starej panny. Życie w Paryżu było dla niej udręką. Nienawidziła dzieci, które uczyła, a widok ojca w roli taksówkarza był dla niej nad wyraz upokarzający. Ale Zoja zupełnie nie podzielała jej uprzedzeń. Jej oczy płonęły z podniecenia. Miała wypieki na policzkach, a włosy upięte przedtem w kok teraz wyswobodziły się i jak falujące płomienie spływały jej na ramiona. Była piękną dziewczyną i emocje wywołane wydarzeniami tego wieczoru jeszcze bardziej podkreśliły jej urodę.

– Pewnie jesteś zmęczona, maleńka – powiedział książę łagodnie, rozlewając do kieliszków resztki szampana.

– Ani trochę.

Zoja promieniała, wirowała po pokoju, jakby jej stopy nie mogły przestać tańczyć. Występ okazał się znacznie łatwiejszy niż próby. Był dla niej spełnieniem wszystkich marzeń, a nawet czymś dużo więcej.

– Nie jestem ani odrobinę zmęczona.

Roześmiała się głośno i pociągnęła kolejny łyk szampana, na co córka księcia, Jelena, spojrziała z dezaprobatą. Zoja miała ochotę spędzić tak całą noc, opowiadać im o życiu za kulisami. Potrzebowała rozmowy z ludźmi, którym była bliska.

– Wyglądała pani bajecznie! – powiedział znowu książę, a Zoja posłała mu uśmiech.

Był stary i taki poważny, ale troszczył się o nią. Pragnęła po cichu, żeby jej ojciec był tam z nimi, chociaż serce by mu pękło, gdyby ją ujrzał na scenie... lecz, być może, w głębi duszy, byłby z niej dumny... i Mikołaj... Łzy napłynęły jej do oczu, usiadła, odstawiła kieliszek, i odwróciła się do okna. Siedziała zapatrzona w ogród i wtedy usłyszała za sobą szept Władimira.

– Wygląda pani dzisiaj tak pięknie.

Odwróciła się, by na niego spojrzeć, a on dostrzegł łzy w jej oczach. Jej filigranowe ciało było takie młode i silne. Pragnął tej dziewczyny aż do bólu i jego oczy płonęły pożądaniem. Cofnęła się, uświadamiając sobie nagle coś, czego przedtem nie zauważyła. Był starszy od jej ojca i to, co ujrzała w jego oczach, zaszokowało ją.

– Dziękuję panu, książę – powiedziała cicho, zasmucona myślą, że wszyscy byli tak zdesperowani, tak bardzo wygłodniali miłości i choćby okruchów przeszłości, które próbowali odnaleźć w sobie nawzajem. W Petersburgu nawet by nie spojrzął na nią dwa razy, nie byłaby dla niego niczym więcej, jak tylko ładnym dzieckiem, ale teraz... wszyscy oni czepiali się kurczowo świata, który zaginął, i ludzi, którzy kiedyś należeli do niego. Nie była dla niego niczym więcej niż sposobem na przedłużenie tego, co minione. Chciała powiedzieć to wszystko Jelenie, kiedy mówiły sobie sztywno dobranoc.

Raz jeszcze pomyślała o księciu Władimirze, kiedy się rozbierała, czekając, aż babka powróci z łazienki.

– To było miłe z jego strony, że przyniósł nam szampana – powiedziała jej babka szcztokując włosy.

Do twarzy jej było w atlasowej koszuli, w przyćmionym świetle lampy wyglądała młodziej. Musiała być kiedyś bardzo piękna. Oczy obu kobiet spotkały się i zatrzymały na sobie, były niemal takie same. Zoja zastanawiała się, czy jej babka zdaje sobie sprawę, z tego że Władimir

czuje do niej pociąg. Kiedy wychodzili, jego ręka dotknęła jej dłoni i całując ją na pożegnanie w policzek, przytulił ją trochę za mocno. Zoja nie odpowiadała dłuższą chwilę.

– Jelena wydaje się taka smutna, prawda?

Eugenia przytaknęła i odłożyła szczotkę.

– Odkąd pamiętam, nigdy nie była pogodnym dzieckiem. Jej bracia byli znacznie ciekawszy, bardziej podobni do Władimira. – Przypomniła sobie tego przystojniaka, który poprosił o rękę Tatiany. – Przystojny jest, nie uważasz?

Zoja odwróciła się na chwilę, lecz zaraz zwróciła się do babki z powrotem i spojrzała jej uczciwie w oczy.

– Myślę, że mu się podobam, Babciu... chyba za bardzo... – zająknęła się przy ostatnich słowach.

Eugenia zmarszczyła brwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że on... – zaczerwieniła się i w świetle lampy znowu wyglądała dziecinnie. – Że... dotknął mojej ręki dziś wieczorem... – Wyjaśnianie tego teraz brzmiało trochę głupio... może nie było w tym nic szczególnego.

– Jesteś ładną dziewczyną i może wywołujesz w nim wspomnienia. Myślę, że bardzo lubił twoją mamę i wiem, że przyjaźnił się blisko z Konstantym, kiedy byli młodzi. Niejeden raz wspólnie polowali... nie bądź przewrażliwiona, Zoju. On nam dobrze życzy. To naprawdę było miłe z jego strony, że przyszedł dzisiaj na twoje przedstawienie. On jest po prostu bardzo uprzejmy, maleńka.

– Być może – odparła Zoja wymijająco, kiedy gasiły światło i kładły się do wąskiego łóżka, które dzieliły ze sobą. Leżąc w ciemności Zoja słyszała chrapanie Fiodora dobiegające z sąsiedniego pokoju i powoli zapadała w sen, myśląc o tym, jak czarowne było przedstawienie, w którym występowała.

Następnego rana przekonała się, że nie była to zwykła uprzejmość ze strony Władimira. Kiedy skończyła próbę, znowu czekał na nią na dole.

– Czy chciałaby pani, żebym ją podwiózł?

Była zaskoczona jego widokiem, w dodatku przyniósł jej kwiaty.

– Nie chciałabym sprawić panu zawodu... ale nie trzeba.

Wolała raczej pójść na piechotę. Patrzył na nią w taki sposób, że



poczuła się skrępowana.

– Lubię chodzić pieszo.

Dzień był piękny, Zoję cieszyło to, że znowu chodzi na próby. Możliwość tańczenia w Ballets Russes dawała jej tyle szczęścia, którego wcale nie miała ochoty dzielić z nikim, nawet z tym przystojnym siwowłosym księciem, który stał tak szarmancko, wręczając jej białe róże. Sprawily one jedynie, że zrobiło jej się smutno. Maria zawsze dawała jej białą różę wiosną, ale on nie mógł tego wiedzieć. W ogóle nic o niej nie wiedział, był przyjacielem jej rodziców, nie jej. Nagle poczuła się przygnębiona patrząc na niego w wytartej marynarce, z postrzępionym kołnierzem. Podobnie jak inni, wszystko zostawił, ratując swoje życie, trochę klejnotów i ową ikonę, która podarował im parę dni wcześniej.

– Może chciałby pan odwiedzić moją babcie?

Uśmiechnęła się do niego uprzejmie, lecz on wydawał się urażony.

– Więc tym tylko dla pani jestem? Przyjacielem pani babci?

Nie chciała mu tego mówić, ale tak właśnie było. Kiedy tak stał i patrzył na nią, odnosiła wrażenie, że miał tysiąc lat.

– A więc wydaję się pani aż taki stary?

– Ależ nie... przepraszam... muszę już iść... Spóźnię się i będą się na mnie gniewać.

– Więc proszę pozwolić mi się odwieźć. Możemy porozmawiać po drodze.

Zawahała się, lecz robiło się późno. Niechętnie zgodziła się, by otworzył przed nią drzwi taksówki i wsiadła do niej, kładąc białe róże na siedzeniu między nimi. To było miłe z jego strony, że przynosił jej prezenty, wiedziała jednak, że gotów był dla niej wydawać pieniądze na rzeczy, na które nie było go stać. Nic dziwnego, że Jelenę drażniło jego postępowanie.

– Jak się miewa Jelena? – zapytała, żeby o czymś rozmawiać w czasie jazdy. Patrzyła na mijające ich samochody, by uniknąć jego wzroku, po czym powoli odwróciła się do niego. – Była bardzo milcząca ostatniego wieczora.

– Nie czuje się tutaj szczęśliwa – westchnął. – Nie przypuszczam, by wielu z nas czuło się inaczej. To taka nagła zmiana, nikt nie był na to przygotowany... – wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, zdumiewając ją

słowami, które przy tym wypowiedział. – Zoju, czy uważasz, że jestem dla ciebie za stary, kochanie?

Głos jej uwiązał w gardle. Delikatnie odsunęła jego rękę.

– Jest pan przyjacielem mego ojca. – Patrzyła na niego ze smutkiem. –

Wszystkim nam jest teraz ciężko, czepiamy się tego, co utraciliśmy.

Być może jestem dla pana częścią tego.

Uśmiechnął się.

– Więc myślisz, że to jest cos takiego? Czy wiesz o tym, że jesteś bardzo piękna?

Czuła, jak oblewa ją rumieniec i przeklinała w duchu swą jasną karnację, która szła w parze z płomiennymi włosami.

– Dziękuję bardzo. Ale jestem młodsza od Jeleny... jestem pewna, że bardzo by się zdenerwowała...

To wszystko, co przychodziło jej do głowy, pragnęła, jak najprędzej dotrzeć do Châtelet, aby się od niego uwolnić.

– Ona ma swoje życie, Zoju. A ja mam swoje. Chciałbym od czasu do czasu zabrać cię gdzieś na obiad. Może do „Maxima”.

To było czyste szaleństwo... ten szampan... różę... pomysł obiadu u „Maxima”. Wszyscy głodowali, on jeździł taksówką, ona tańczyła w Ballets Russes i nie było żadnego powodu do wydawania na nią tych marnych groszy, jakie zarabiał. Był o wiele za stary, ale nie chciała być niedelikatna.

– Nie sądzę, żeby babcia...

Spojrzała na niego zmartwiona, wydawał się zraniony.

– Byłoby ci lepiej z kimś z naszej sfery, Zoju Konstantinowna, z kimś, kto zna twój świat, niż z jakimś młodym głupkiem.

– Nie mam czasu na takie sprawy, Władimirze. Jeśli zatrzymają mnie w balecie, będę ćwiczyła dniem i nocą, żeby dotrzymać im kroku.

– Moglibyśmy znaleźć czas. Mogę po ciebie przyjeżdżać wieczorem... – głos mu trochę drżał, kiedy patrzył na nią z nadzieją, ale ona kręciła przecząco głową.

– Nie mogę... naprawdę... nie mogę. – Zobaczyła, z ulgą, że dojechali na miejsce i zwróciła się do niego po raz ostatni. – Proszę na mnie już nie czekać. Wszystko, czego pragnę, to zapomnieć... co było... Nie możemy tego przywrócić. To nie byłoby odpowiednie dla nas... proszę...

## Rozdział dwunasty

– Czy Władimir przywiózł cię do domu? – zapytała ją babka, kiedy weszła. Serce Zoi zamarło na widok białych róż w wazonie stojącym koło niej na stole.

– Nie. Ktoś inny mnie podwiózł. – Usiadła uśmiechając się i zaczęła rozcierać sobie nogi. – Ciężko było dzisiaj. – Lecz wcale jej to nie przeszkadzało. To, że tańczyła w Ballets Russes, przywracało jej chęć do życia.

– Mówił, że cię odwiezie do domu. – Eugenia zmarszczyła brwi. Przywiózł jej świeży chleb i słoik dżemu. Był taki dobry dla nich. Eugenia czuła się spokojniejsza, wiedząc, że on naprawdę troszczy się o Zoję.

– Babciu... – Zoja spoglądała na nią szukając właściwych słów. – Ja nie chcę, żeby on to robił.

– Dlaczego nie? Powinnaś być z nim o wiele bardziej bezpieczna niż z kimś, kogo nie znasz.

Eugenia to samo powiedziała sobie, gdy przyniósł do ich mieszkania róże zostawione przez Zoję w taksówce. To, że Zoja tańczy w Ballets Russes, było dla niej tak skandaliczne i bolesne, a przecież wiedziała, że nie można jej już powstrzymać. Musiała pogodzić się z faktem, że jedna z nich musiała pracować, a tą, która mogła to zrobić, była właśnie Zoja. Życzyła sobie, żeby znalazła coś innego, na przykład mogłaby uczyć angielskiego jak Jelena. Być może, gdyby Władimir wziął ją pod swoje skrzydła, Zoja mogłaby nawet przestać tańczyć. Właśnie coś takiego zasugerował tego popołudnia i Eugenia zaczęła go widzieć w innym świetle. Jako bohatera i wybawcę..

– Babciu... myślę, że księżę Władimir... myślę, że jemu chodzi o coś więcej.

– Przecież jest porządnym człowiekiem. Ma dobre maniery, dobrze urodzony. Był przyjacielem Konstantego.

Eugenia nie chciała przedwcześnie ujawniać swoich zamiarów, ale Władimir zdążył ją przekonać.

– Właśnie o to mi chodzi. On był przyjacielem ojca. Nie moim. Pewnie ma już sześćdziesiąt lat.

– Jest rosyjskim księciem, a także kuzynem cara.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytała Zoja rozniewana, wstając raptownie. – Nie obchodzi cię, że jest na tyle stary, by być moim dziadkiem?

– On nie chce cię skrzywdzić, Zoju... ktoś musi się o ciebie troszczyć. Mam już osiemdziesiąt dwa lata... nie będę przy tobie wiecznie... musisz o tym pomyśleć.

W skrytości czuła, że przyniosłaby jej ulgę świadomość, że zostawia Zoję w rękach Władimira. Był to przynajmniej ktoś, kogo знаła, kto rozumiał jakie życie kiedyś wiodły. Nie było w całym Paryżu nikogo, kto mógłby to zrozumieć, poza osobami z ich sfery. Patrzyła badawczo na Zoję, błagając ją oczami, by się zastanowiła, lecz Zoja była przerażona.

– Więc chcesz mnie za niego wydać? Czy tego właśnie chcesz? – Łzy napłynęły jej do oczu na myśl o tym. – On jest starcem.

– Opiekowałby się tobą. Pomyśl, jaki był dla nas dobry od dnia naszego przyjazdu.

– Nie chcę o tym więcej słyszeć!

Wbiegła do sypialni trzaskając za sobą drzwiami i rzuciła się z rozpaczliwym płaczem na łóżko. Czy to było wszystko, co jej pozostało? Perspektywa małżeństwa z człowiekiem trzy razy od niej starszym, tylko dlatego, że był rosyjskim księciem. Sama myśl o tym przyprawiała ją o mdłości. Zaczęła bardziej niż kiedykolwiek tęsknić za utraconymi przyjaciółmi i życiem, jakie przedtem wiodła.

– Zoju... daj spokój... kochanie, proszę... – babka usiadła na krawędzi łóżka i gładziła ją delikatnie po głowie. – Nie zamierzam zmuszać cię do niczego, czego ty nie chcesz. Tylko martwię się o ciebie bardzo. Fiodor i ja jesteśmy tacy starzy... musisz znaleźć sobie kogoś, kto by się tobą zaopiekował.

– Mam osiemnaście lat – szlochała w poduszkę – nie chcę wychodzić za mąż... i nie za niego...

Nie podobał jej się wcale i nie cierpiała Jeleny. Myśl, że byłaby skazana na mieszkanie z nimi, doprowadzała ją do hysterii. Chciała jedynie tańczyć, robiąc to mogła zarobić tyle, by wystarczyło na utrzymanie jej samej, Fiodora i babki. Poprzysięgła sobie, że zrobi wszystko, byleby tylko nie poślubić mężczyzny, którego nie kocha. Będzie pracowała dniami i nocami... zrobi wszystko...

– Już dobrze... dobrze... proszę, nie płacz tak... proszę... – teraz oczy babki napęły się łzami, gdy pomyślała, jak okrutnie los się z nimi obszedł. Może to dziecko miało rację. Oczywiście, że za stary, ale był jednym z nich, a to miało dla niej duże znaczenie. Ale przecież jeszcze inni przeżyli, a wśród nich byli także młodszy mężczyźni. Może Zoja spotka któregoś z nich i zakocha się. Bardzo sobie tego życzyła. To była jedyna nadzieja, jaka jej została... to, i odrobina biżuterii ukrytej w łóżku, w którym spały. Nic więcej nie zostało, prócz paru diamentów i kilku szmaragdów, długiego sznura wspaniałych pereł, jajka Faberga podarowanego jej przez Mikołaja... oraz całej epoki rozwianych marzeń.

– Chodź, Zoju... otrzyj łzy. Pójdziemy na spacer.

– Nie – dąsała się nieszczęśliwa Zoja, ukrywając znowu twarz w poduszce – on będzie czekał na dole.

– Nie bądź głuptasem – uśmiechnęła się na to Eugenia, Była jeszcze takim dzieckiem, choć dorosła bardzo w ciągu minionych dwóch miesięcy. – Jego manery są nieskazitelne. Nie jest jakimś opryskiem czatującym na ulicach. Nie bądź niemądra.

Zoja odwróciła się powoli na bok, wyglądała przy tym niezwykle pięknie.

– Przepraszam, Babciu. Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa. Obiecuję ci, że będę się opiekowała nami wszystkimi.

– To nie jest to, czego pragnę dla ciebie, moje dziecko. Chcę, żeby ktoś o ciebie zadbał. Tak to się miało zdarzyć.

– Ale teraz wszystko jest inaczej. Nic już nie jest tak jak dawniej. – Usiadła uśmiechając się nieśmiało. – Może kiedyś zostanę sławną tancerką.

Była podekscytowana taką myślą i to rozbawiło Eugenię.

– Niech mnie Bóg ma w opiece, czy mi się wydaje, czy sprawia ci to przyjemność?

Zoja uśmiechnęła się otwarcie.

– Uwielbiam Ballets Russes, Babciu.

– Wiem. Jesteś bardzo dobra. Ale nie wolno ci o tym myśleć jak o czymś, co będziesz robiła przez resztę swojego życia. Możesz robić to teraz, skoro musisz. Lecz pewnego dnia wszystko się znowu zmieni. Nie była to obietnica, tylko pobożne życzenie, lecz kiedy Zoja spuściła

nogi z łóżka i poszła włożyć płaszcz, nie była pewna, czy chciała, żeby tak się stało. Uwielbiała tańczyć w Ballets Russes... znacznie bardziej, niż jej babka była w stanie zrozumieć.

## Rozdział trzynasty

Zoja tańczyła w Ballets Russes przez cały czerwiec i była tak pochłonięta swoją pracą, że prawie nie wiedziała, co się dzieje na świecie. Było dla niej wielką niespodzianką, gdy trzynastego czerwca przybył do Paryża generał Pershing i jego wojsko. Miasto szalało, kiedy maszerowali przez Place de la Concorde w kierunku hotelu Crillon. Ludzie krzyczeli i machali do nich, kobiety rzucały mężczyznom kwiaty, wołając przy tym „Vive l’Amérique!” Ledwo udało się Zoi dostać do Palais Royal, żeby opowiedzieć babce o tym, co widziała.

– Były ich tam tysiące, Babciu!

– Może więc zakończą dla nas wkrótce tę wojnę.

Zmęczyły już ją nocne naloty, poza tym w głębi duszy żywiła nadzieję, że jeśli wojna się skończy, wtedy może i w Rosji wszystko się odmieni i będą mogli wrócić do domu.

Jednak większość ludzi wiedziała, że nie można było na to liczyć.

– Chcesz się przejść i to zobaczyć?

Oczy Zoi jaśniały. Było coś cudownego w twarzach Francuzów przepełnionych nadzieją i w tych mężczyznach takich młodych, ubranych w mundury w kolorze khaki. Wydawali się tacy mocni i mieli w sobie tyle życia. Zdawało się, że ludzie zaczęli wierzyć w lepsze jutro, ale jej babka pokręciła tylko głową.

– Nie mam ochoty oglądać żołnierzy na ulicach, maleńka. – Miała okropne wspomnienia z tym związane i wołała pozostać w domu, do czego usilnie namawiała także Zoję. – Trzymaj się od nich z daleka.

Tłumy łatwo przeradzają się w niebezpieczny żywioł.

Nic jednak na to nie wskazywało tym razem. Był to dla wszystkich szczęśliwy dzień. Próby zostały odwołane do końca tygodnia. Pierwszy raz od miesiąca Zoja miała trochę czasu dla siebie, mogła poleżeć w łóżku, chodzić na spacer, posiedzieć przy kominku i poczytać. Czuliła się beztrudnie i młodo i cieszyła się wolnym czasem. Tej nocy usiadła w pokoju gościnnym i napisała długi list do Marii, opowiadając jej o przemarszu oddziałów Pershinga i swojej pracy w balecie. Miała jej jeszcze więcej do powiedzenia, ale nie wspomniała słowem o księciu Władimirze. Wiedziała, że wiadomość o babce popierającej jego zamiary zaszokowałaby jej przyjaciółkę, ale teraz nie miało to już

znaczenia. On rozumiał, i chociaż nadal przynosił hrabinie świeży chleb, kiedy Zoja była w pracy, ona sama nie natknęła się na niego od wielu tygodni.

Tego wieczora, gdy pisała do Marii, mała Sawa ułożyła się wygodnie na jej kolanach i chrapała zadowolona.

...Wygląda dokładnie tak samo jak Joy, kiedy wpada do pokoju, przypomina mi o Tobie. Choć nie potrzebuję specjalnego przypomnienia o Tobie. Wciąż wydaje mi się to niewiarygodne, że jesteśmy tutaj, w Paryżu, a wy jesteście tam... i nie spędzimy razem w Liwadii tego lata. Ta śmieszna fotografia, na której jesteście wszystkie, stoi przy moim łóżku...

Zoja patrzyła na nią co wieczór przed zaśnięciem. Przywiozła także zdjęcie Olgi z Aleksym na kolanach, kiedy miał trzy albo cztery lata... i piękną fotografię Nicka i Alix. Teraz byli jedynie wspomnieniem, ale kiedy pisała do Marii, ożywali w jej sercu. Tydzień wcześniej doktor Botkin przysłał jej list od Marii, w którym pisała, że wszystko układa się pomyślnie, choć nadal pozostają w areszcie domowym, ale obiecano im, że we wrześniu pojedą do Liwadii. I już całkiem wyzdrowiała. Przepraszała Zoję za to, że zaraziła ją odrą, mówiąc, że chciałaby zobaczyć, jak wyglądała cała pokryta krostami. Czytając te listy Zoja uśmiechała się przez łzy.

Właśnie przeglądała swój list, kiedy nadeszła wiadomość. Miała tańczyć w „Pietruszce” w Operze na występie Ballets Russes dla generała Pershinga i jego żołnierzy. Babka, jak zwykle, nie była zbytnio uszczęśliwiona tą nowiną. Występowanie przed wojskowymi oddziałami wydawało jej się czymś jeszcze gorszym od występów w Châtelet, ale tym razem nawet nie próbowała wyperswadować tego Zoi, wiedząc doskonale, że nie było najmniejszej nadziei na to, by zrezygnowała.

Do tego czasu Pershing i jego sztab byli już dobrze ulokowani w swoich kwaterach na me Constantine, naprzeciwko Place des Invalides, a on sam mieszkał na Lewym Brzegu, w pobliżu me de Varennes, w pięknym hôtel particulier wynajętym dla niego przez innego Amerykanina, Ogdena Millsa, który służył teraz gdzie indziej w



piechocie.

– Chcę, żeby Fiodor poszedł z tobą dzisiaj – powiedziała babka ponuro, kiedy Zoja wychodziła do Opery.

– Nie mów głupstw, Babciu, nic mi się nie stanie. Z pewnością nie różnią się niczym od rosyjskich generałów. Jestem przekonana, że są całkiem dobrze ułożeni. Nie będą szturmowali sceny, żeby nas porwać. W tym przedstawieniu miał z nimi tańczyć Niżyński i Zoja nie mogła się tego doczekać. Być z nim na tej samej scenie, to więcej, niż mogła sobie wyobrazić.

– Nic mi się nie stanie. Obiecuję ci.

– Nie pójdziesz sama. Albo Fiodor, albo książe Władimir. Wybieraj. Wiedziała z żalem, który z nich zostanie wybrany, jednak nie naciskała Zoi już więcej w sprawie księcia. Być może Zoja miała rację, Władimir był o wiele za stary dla niej.

– Dobrze. – Zoja roześmiała się. – Biorę Fiodora. Ale będzie bardzo nieszczęśliwy czekając za sceną.

– Nie wtedy, kiedy będzie czekał na ciebie, moja kochana.

Stary sługa pracował dla nich z oddaniem, graniczącym z fanatyzmem, i Eugenia wiedziała, że Zoja będzie z nim bezpieczna. A Zoja zgodziła się wyłącznie po to, żeby uspokoić babkę.

– Powiedz mu przynajmniej, żeby mi nie przeszkadzał.

– Nawet mu to przez myśl nie przejdzie.

Wsiedli razem do taksówki, by dojechać do Opery, i po chwili Zoję całkowicie pochłonęły przygotowania do występu przed Pershingiem i jego ludźmi. Wiedziała, że zaplanowano dla nich także inne uroczystości, w Opera Comique, w Comedie Francaise i w innych teatrach w całym mieście. Paryż wyciągał do nich ramiona.

Tego wieczora, kiedy podniosła się kurtyna, tańczyła tak jak jeszcze nigdy przedtem. Sama świadomość, że był tam Niżyński, dodawała jej skrzydeł i sam Diagilew zaszczycił ją rozmową po zakończeniu pierwszego aktu. Czuła, że mogłaby pofrunąć po usłyszeniu jego pochwał. W następnych aktach dawała z siebie jeszcze więcej, i nim się spostrzegła, przedstawienie dobiegło końca, kurtyna zapadła po raz ostatni. Pragnęła, by ten wieczór nigdy się nie skończył. Kłaniała się wraz z pozostałymi członkami zespołu, po czym razem z innymi wróciła do ich wspólnej przebieralni. Primabaleriny i baletmistrze mieli

oczywiście własne garderoby, ale wiedziała, że musi upłynąć jeszcze wiele lat, zanim coś takiego będzie mogło stać się jej udziałem. Nie przejmowała się tym wcale. Pragnęła tylko tańczyć, i to właśnie czyniła. Zatańczyła dobrze i wypełniała ją duma, kiedy powoli rozwiązywała swoje baletki. Palce bolały ją od klocków, ale to się nie liczyło. To nie była duża cena za tak ogromną radość. Zapomniała nawet o generale i jego żołnierzach. Tego wieczora potrafiła myśleć jedynie o balecie, kiedy tańczyła i tańczyła... i bardzo się zdziwiła, kiedy do pokoju weszła jedna z nauczycielek.

– Jesteście wszystkie zaproszone na przyjęcie u generała – ogłosiła – zawiozą was tam dwiema wojskowymi ciężarówkami.

Spoglądała na nie z dumą. Spisały się znakomicie, każda z nich, bez wyjątku.

– Szampan dla wszystkich! – dodała z uśmiechem. Zapanowało ogólne podniecenie, zaczęły rozbrzmiewać rozmowy i śmiechy.

Paryż zdawał się ożywać na nowo, kiedy gościł Amerykanów.

Wszędzie odbywały się przyjęcia i występy. Wtedy Zoja przypomniała sobie o czekającym na nią Fiodorze. Bardzo chciała pojechać razem z wszystkimi, zachowywać się tak jak oni, nie zważając na niepokoje babki. Wymknęła się po cichu na zewnątrz, żeby poszukać Fiodora, i zobaczyła go, jak stał w pobliżu wejścia na scenę, wyglądając tak żałośnie, jak właśnie to przewidywała. Czuł się głupio w otoczeniu kobiet w trykotach i tiulach, mijany przez na wpół nagich mężczyzn. Bijąca z tego oczywista niemoralność wprawiała go w przerażenie.

– Słucham, panienko?

– Muszę iść na przyjęcie razem z całym zespołem – wyjaśniła – i nie mogę cię tam zabrać, Fiodorze. Jedź do domu, do babci, a ja wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła.

– Nie – pokręcił głową z powagą. – Obiecałem Eugenii Pietrownej, powiedziałem jej, że przywiozę panienkę do domu.

– Ale nie możesz iść z nami. Obiecuję ci, że wszystko będzie w porządku.

– Ona się rozgniewa na mnie.

– Nie, nie rozgniewa się. Wytlumaczę jej wszystko po powrocie.

– Zaczekam na panienkę.

Patrzył na nią flegmatycznie. Miała już ochotę krzyknąć, nie

potrzebowała przyzwoitki, chciała być taka jak inni. W końcu nie była już dzieckiem, ale dorosłą, osiemnastoletnią kobietą. Może, jak będzie miała dużo szczęścia, nadarzy jej się okazja by porozmawiać z samym Niżyńskim... albo z panem Diagilewem jeszcze raz. Oni interesowali ją znacznie bardziej niż którykolwiek z ludzi Pershinga. Ale najpierw musi przekonać Fiodora, by poszedł do domu. W końcu, po, jak się zdawało, niekończących namowach, zgodził się pójść, chociaż był pewien, że hrabina będzie na niego wściekła.

– Obiecuję ci, wszystko jej wytłumaczę.

– Bardzo dobrze, panienko.

Dotknął swego czoła, pokłonił się i wyszedł, a Zoja westchnęła z ulgą.

– O co tutaj chodziło? – zapytała jedna z tancerek, która akurat przechodziła.

– To po prostu przyjaciel rodziny.

Uśmiechnęła się. Nikt nie wiedział, w jakich okolicznościach żyła, i nikogo to nie interesowało. Obchodził ich wyłącznie balet, nie ckiwie opowieści o tym jak tam trafiła, i że miała starego sługę, który stał przy niej jak jakiś gwardzista kozacki wprawiając ją w zakłopotanie. Poczua ulgę, kiedy sobie poszedł i mogła wreszcie powrócić do garderoby, żeby się przebrać na przyjęcie u generała Pershinga. Wszyscy byli w znakomitych nastrojach, ktoś nawet już zaczął rozlewać dla nich szampana.

Zapakowali się wesoło do wojskowych ciężarówek i przejechali przez most Aleksandra III śpiewając stare rosyjskie pieśni, aż trzeba było im przypominać parę razy, żeby zachowywali się odpowiednio, gdy dotarli do domu generała Pershinga. Lecz on sprawiał wrażenie bardzo miłego człowieka, kiedy ich witał, smukły i elegancki w swoim pełnym umundurowaniu, krążąc po marmurowym hallu. Zoi przez mgnienie drgnęło serce, kiedy rozglądała się dookoła. Przypominało jej to pałace w Sankt Petersburgu, choć oczywiście były mniejsze. Ale marmurowe podłogi, kolumnady i zakręcone schody wyglądały aż nazbyt znajomo i wywoływały zbyt bolesne wspomnienia ze świata, który nie tak dawno opuściła.

Zostali wprowadzeni do wielkiej sali balowej, pełnej luster, złotych kolumn i marmurowych kominków, wszystko w przepięknym, autentycznym stylu Ludwika XV. Zoja znowu poczuła się bardzo

młoda, podczas gdy tancerze i tancerki śmiali się, dokazywali i pili szampana, a orkiestra wojskowa, która się właśnie pojawiła, zaczęła grać powolnego walca. Kiedy słuchała muzyki, ogarnęła ją nieodparta chęć, żeby się rozplakać, i czując, że brakuje jej tchu, wyszła do ogrodu.

Stała cicho, przypatrując się rzeźbie Rodina, żałując, że w ogóle tam przyszła, w tę ciepłą noc, i wtedy usłyszała tuż za sobą głos brzmiący bardzo miękko.

– Czy mogę coś pani przynieść, mademoiselle?

Był to wyraźnie głos Amerykanina, mówił jednak doskonałą francuszczyzną. Odwróciła się, by ujrzeć wysokiego, przystojnego mężczyznę o szpakowatych włosach i wpatrzonych w nią błyszczących niebieskich oczach. Wydał się jej od pierwszej chwili niezwykle sympatyczny. Zdawał się wyczuwać, że coś było nie w porządku, i jego oczy patrzyły na nią badawczo, kiedy kręciła przecząco głową. Łzy jeszcze lśniły na jej policzkach.

– Czy dobrze się pani czuje?

Skinęła głową w milczeniu i odwróciła się zakłopotana, by otrzeć łzy. Miała na sobie prostą białą sukienkę, którą rok temu dostała od Alix. Była to jedna z kilku ładniejszych sukienek, jakie udało jej się przywieźć z Sankt Petersburga, i wyglądała w niej uroczo, kiedy tak stała i patrzyła na niego.

– Przepraszam... ja...

Jakże mogłaby zacząć mówić mu o wszystkim, co czuła? Pragnęła tylko, żeby sobie poszedł i zostawił ją samą z jej wspomnieniami, lecz on nie zamierzał odejść i przyglądał się uważnie jej oczom.

– Tak pięknie jest tutaj.

Tylko tyle potrafiła powiedzieć. Przypomniała sobie ich nędzne mieszkanie w pobliżu Palais Royal, co pociągnęło za sobą myśl o tym, jak bardzo ich życie się zmieniło. Odczuwała to jeszcze silniej patrząc na piękny ogród, w którym się znajdowała.

– Czy pani jest z Ballets Russes?

– Tak.

Uśmiechnęła się z nadzieją, że zapomni o jej łzach, zasłuchana w dalekie dźwięki następnego walca. Powiedziała to z dumą, myśląc, że jednak była wielką szczęściarą.

– Prawda, że Niżyński był dzisiaj wspaniały?  
Roześmiał się, by pokryć zakłopotanie, i podszedł do niej nieco bliżej. Zauważyła wtedy, jaki był wysoki i przystojny.

– Obawiam się, że nie jestem wielkim miłośnikiem baletu, niektórzy z nas przyszli na to przedstawienie tylko dlatego, że taki był rozkaz.

– Ach tak! – roześmiała się. – Czy bardzo pan się męczył?

– Tak – jego oczy śmiały się do niej. – Aż do tej chwili. Czy miałaby pani ochotę wypić kieliszek szampana?

– Może za chwilę. Tutaj jest tak cudownie.

Ogród był taki spokojny, kiedy wszyscy byli w środku zajęcia tańcem, śmiechem i zabawą.

– Czy pan także tutaj mieszka?

Uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

– Zakwaterowano nas w domu przy rue du Bac. Nie ma tam takiego przepychu jak tutaj, ale jest bardzo miło i niedaleko stąd.

Obserwował jej sposób poruszania się. Była spokojna i elegancka, widział w tym coś więcej niż wdzięk tancerki, kiedy zbliżała się do niego. Otaczała ją aura niemal królewskiej godności, przejawiająca się w sposobie, w jaki trzymała głowę i w wyrazie bezmiernego smutku skrywanym pod uśmiechem.

– Czy należy pan do sztabu generała?

– Tak. – Był jednym z jego adiutantów, ale tę informację zachował dla siebie. – Od dawna pani tańczy w Ballets Russes?

Podejrzewał, że od niedawna, ponieważ była bardzo młodą dziewczyną. Swobodnie jednak przerzucała się z francuskiego na angielski, posługując się tymi dwoma językami bardzo dobrze, dzięki swoim studiom w Instytucie Smolnym.

– Jestem z nimi od miesiąca. – Uśmiechnęła się do niego. – Ku sporemu rozgoryczeniu mojej babci. – Roześmiała się głośno i zaczęła wyglądać jeszcze bardziej dziewczęco.

– Rodzice są z pewnością bardzo dumni z pani.

Ale natychmiast pożałował tej uwagi, kiedy spostrzegł jak posmutniały jej oczy.

– Moi rodzice zostali zabici w Sankt Petersburgu... w marcu... – ostatnie słowa wypowiedziała prawie szeptem.

Nagle zrozumiał.

– Mieszkam ze swoją babcią.

– Przykro mi... z powodu pani rodziców, to znaczy...

Blask niebieskich oczu sprawił, że znowu omal się nie rozpląkała. Po raz pierwszy powiedziała komuś o tym. Jej koleżanki z baletu niewiele o niej wiedziały, ale z jakiegoś powodu czuła, że jemu może powiedzieć wszystko. Przypominał jej trochę Konstantego: ta sama elegancja, wdzięk, z jakim się poruszał, błyszczące oczy.

– Przyjechała pani tutaj z babcią?

Nie wiedział, dlaczego czuł się nią tak zafascynowany. Była taka młoda i piękna, ze swymi ogromnymi zielonymi oczami pełnymi smutku.

– Tak, przyjechałyśmy miesiąc temu... z... po...

Ale nie była w stanie mówić dalej. Podszedł do niej i delikatnie wziął jej rękę pod swoje ramię.

– Chodźmy na spacer, dobrze, mademoiselle?

Poczuła się bezpiecznie, kiedy trzymał ją pod rękę.

– A potem może kieliszek szampana?

Przeszli się do rzeźby Rodina i z powrotem, rozmawiając o Paryżu, o wojnie, na tematy, które były dla niej mniej bolesne, aż w końcu spojrzała na niego z uśmiechem.

– A pan skąd pochodzi?

– Z Nowego Jorku.

Nigdy nie myślała zbyt wiele o Stanach Zjednoczonych. Wydawało się, że to niesłychanie daleko.

– Jak tam jest?

Śmiał się patrząc na nią.

– Wszystko jest duże i jest straszny ruch. Nie tak pięknie jak tutaj, obawiam się.

Miał ochotę zapytać ją o Sankt Petersburg, lecz wyczuwał, że nie była to odpowiednia pora ani miejsce.

– Czy codziennie pani tańczy?

– Prawie. – Teraz ona z kolei się roześmiała. – Do dzisiejszego wieczora rozkoszowałam się tygodniem wolnego.

– I co pani wtedy robi... kiedy ma pani wolne?

– Chodzę na spacer z babcią, piszę do przyjaciół, czytam... śpię... bawię się ze swoim psem.

– Wygląda na to, że wiedzie pani miłe życie. Jakiej rasy jest pani pies?

To były głupie pytania, ale chciał się do niej zbliżyć, sam nie wiedział, dlaczego. Było oczywiste, że jest dwa razy młodsza od niego, lecz była taka piękna, że serce mu drgnęło.

– Cocker-spaniel – uśmiechnęła się. – To podarunek od kogoś bardzo kochanego.

– Od jakiegoś dżentelmena? – Wyglądała na zaintrygowanego, ale ona znowu się roześmiała.

– Ależ nie! Od przyjaciółki. A właściwie od mojej kuzynki.

– Czy przywiozła pani tego psa ze sobą z Rosji?

Był nią zafascynowany. Pochyliła głowę, a kaskada rudych włosów zasłaniała jej oczy.

– Tak. Obawiam się, że zniosła tę podróż lepiej niż ja. Do Paryża przyjechałam chora na odrę – spojrzała na niego i uśmiechnęła się, znowu wyglądając jak dziecko. – Głupio z mojej strony, nieprawdaż? On jednak nie widział w tym nic śmiesznego. Zdał sobie nagle sprawę, że nie zna nawet jej imienia.

– Wcale nie. Nie sądzi pani, że powinniśmy się sobie przedstawić?

– Zoja Ossjupow. – Dygnęła z wdziękiem i spojrzała na niego.

– Clayton Andrews. Kapitan Clayton Andrews, powinienem był powiedzieć, jak sądzę.

– Mój brat był także kapitanem... w Pułku Preobrażeńskim. Nie przypuszczam, by kiedykolwiek słyszał pan o nim.

Spojrzała na niego wyczekująco i znowu zobaczył, jak jej oczy zasnuwają się smutkiem. Jej nastroje zdawały się zmieniać błyskawicznie. Spoglądając na nią, po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego ludzie powiadają, że oczy są zwierciadłem duszy. Zdawało się, że jej oczy są oknami, przez które można było ujrzyć świat diamentów i szmaragdów, i powstrzymywanych łez. Zapragnął ją uszczęśliwić, sprawić, by się bawiła, tańczyła i uśmiechała.

– Obawiam się, że nie wiem zbyt wiele o Rosji, panno Ossjupow.

– Więc jesteśmy kwita. – Uśmiechnęła się ponownie. – Ja nie wiem nic o Nowym Jorku.

Odprowadził ją na salę balową i przyniósł jej kieliszek szampana.

Tańczono właśnie kolejnego walca.

– Zatańczy pani?

Przez chwilę jakby się wahała, a potem skinęła głową. Postawił jej

kieliszek na pobliskim stole i powiódł ją na parkiet tańcząc powolnego dystyngowanego walca. Znowu odnosiła wrażenie, że tańczy w objęciach swego ojca. Gdyby zamknęła oczy, znalazłaby się z powrotem w Sankt Petersburgu... ale jego głos przerwał jej myśli.

- Czy pani zawsze tańczy z zamkniętymi oczami, mademoiselle?
- Żartował sobie z niej i wywołał znowu jej uśmiech. Czula się tak dobrze w jego ramionach, tak dobrze było tańczyć z wysokim, mocnym mężczyzną... w magiczną noc... w pięknym domu...
- Tu jest po prostu tak cudownie... prawda?
- Tak, rzeczywiście.



## Rozdział czternasty

Następnym razem, kiedy wyślę Fiodora gdzieś z tobą, Zoju Konstantinowna, bądź łaskawa nie odsyłać go do domu. Hrabina była wściekła jeszcze następnego dnia, kiedy jadły razem śniadanie. Fiodor wrócił potulnie do niej i wyjaśnił, że żołnierze zaprosili zespół baletu gdzieś na jakies przyjęcie, a jego zaproszenie nie obejmowało. Kiedy Zoja wróciła, jej babka czekała na nią tak wściekła, że prawie nie mogła mówić, i choć nadeszło już rano, gniew był w niej nadal rozpalony do białości.

– Przepraszam, Babciu. Nie mogłam zabrać Fiodora ze sobą. Było cudowne przyjęcie w kwaterze generała Pershinga.

Od razu przypomniał jej się ogród i kapitan, którego spotkała, ale nic o tym nie wspomniała babce.

– Ach! Więc do tego doszło? Zabawianie żołnierzy? A co będzie dalej? Dlatego właśnie porządne młode damy nie uciekają do jakiegoś tam baletu. To nie jest odpowiednie zajęcie, absolutnie nie. I nie mam zamiaru tego tolerować. Chcę, żebyś natychmiast opuściła balet!

– Ależ Babciu... proszę cię... wiesz, że nie mogę!

– Możesz, jeśli ci każę!

– Babciu... proszę nie...

Nie była w nastroju do kłótni. Tak przyjemnie upłynął jej ostatni wieczór... przystojny kapitan był bardzo miłym mężczyzną, w każdym razie takie sprawiał wrażenie. Mimo to jednak nie powiedziała o nim swojej babce. Nie byłoby to właściwe, poza tym wiedziała, że ich drogi już się nie spotkają.

– Przepraszam, więcej tego nie zrobię.

I tak nie będzie już miała okazji. Było raczej mało prawdopodobne, aby generał Pershing wydawał przyjęcia dla Ballets Russes po każdym przedstawieniu.

Wstała, a jej babka spojrzała na nią zdziwiona.

– A ty dokąd się znowu wybierasz?

– Mam dzisiaj próbę.

– Jestem już tym naprawdę zmęczona! – wstała i zaczęła chodzić po pokoju, tam i z powrotem. Wciąż była pełna wigoru. – Ciągle tylko balet, balet i balet! Dość!

– Tak, Babciu.

Zamierzała znowu sprzedać naszyjnik, tym razem ze szmaragdów. Może Zoja skończy z tym nonsensem na jakiś czas. Miała już tego dosyć. Zoja nie była tancerką. Była dzieckiem.

– O której dzisiaj wrócisz do domu?

– Powinnam być z powrotem o czwartej. Próba zaczyna się o dziewiątej i nie mam dzisiaj żadnego przedstawienia.

– Chcę, żebyś zastanowiła się nad odejściem stamtąd.

Jednak sprawiało to Zoi zbyt wiele przyjemności, wiedziały o tym obie, a zarobione przez nią pieniądze bardzo były przydatne, choć hrabina przyznawała to z wielką niechęcią. Tydzień wcześniej Zoja kupiła babce piękną suknię i ciepły szal. Ponadto za jej pensję można było kupić odpowiednią ilość jedzenia, co prawda niezbyt wyszukanego, jeśli nie liczyć tego, co przynosił im czasem Władimir w nadziei, że choć na chwilę ujrzy Zoję.

– Jak wrócę dziś po południu do domu, pójdziemy sobie na spacer.

– Skąd wiesz, że będę chciała pójść z tobą na spacer? – zrzędziła babka, a Zoja zaczęła się śmiać.

– Bo kochasz mnie bardzo. A ja Kocham Ciebie.

Pocałowała ją w policzek i pobiegła do drzwi, jak uczennica spóźniająca się na lekcje.

Staruszka westchnęła i zajęła się sprzątaniem talerzy po śniadaniu.

Trudno było jej poradzić sobie z Zoją. Rzeczy miały się teraz zupełnie inaczej, a najgorsze było, do czego tak niechętnie przyznawała się przed sobą, że Zoja przestała już być dzieckiem i ledwo udawało się nad nią zapanować.

Tego dnia próba Zoi odbywała się znowu w Operze, przygotowywano się bowiem do kolejnego przedstawienia, które miało się odbyć następnego wieczora. Zoja tańczyła i ćwiczyła przy drażku niestrudzenie i kiedy krótko przed czwartą skończyła, jej zmęczenie spotęgował jeszcze fakt, że bardzo późno wróciła z przyjęcia poprzedniej nocy. Kończył się czerwiec i było piękne słoneczne popołudnie. Wyszła na słońce z westchnieniem zadowolenia.

– Chyba jest pani zmęczona, Miss Ossjupow.

Słyszając swoje nazwisko odwróciła się zaskoczona i ujrzała Claytona Andrews stojącego przy jednym z samochodów należących do sztabu

generała Pershinga.

– Dzień dobry... zaskoczył mnie pan.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo. Czekam na panią tutaj już od dwóch godzin.

Roześmiał się, a ona otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– Cały ten czas czekał pan na mnie?

– Tak. Nie miałem wczoraj okazji powiedzieć pani do widzenia.

– Wydawało mi się, że był pan zajęty, kiedy wychodziłam.

– Tak, wiem. Pewnie pojechała pani tą pierwszą ciężarówką. Skinęła głową w odpowiedzi, zdziwiona, że zadał sobie tyle trudu, żeby się tego dowiedzieć. Nie przypuszczała, że go jeszcze zobaczy, ale cieszyła się z tego spotkania. Był tak przystojny, jakim go zapamiętała z ostatniego wieczoru, tak samo wysoki, smukły i pełen wdzięku, jak wtedy kiedy tańczyli walca.

– Miałem nadzieję, że pójdzie pani ze mną na lunch. Ale zrobiło się trochę późno.

– Muszę i tak wrócić do babci. – Uśmiechnęła się do niego, ociągając się jak uczennica, którą puszczono z lekcji. – Jest okropnie zła na mnie po wczorajszym.

Wydawał się zdziwiony tą uwagą.

– Czy późno wróciła pani do domu? Nie spostrzegłem, o której pani odeszła.

Zatem była tak młoda, jak przypuszczał. Wyglądała na bardzo młodą dziewczynę, taką niewinną... a jednak w jej oczach było tyle mądrości. Zoja roześmiała się na wspomnienie Fiodora, którego odesłała z Opery do domu.

– Moja babcia kazała komuś mi towarzyszyć, jako przyzwoitka, a ja odesłałam go do domu. Podejrzewam, że był w gruncie rzeczy zadowolony z tego, tak jak i ja.

Mówiąc to zaczerwieniła się lekko, a on się roześmiał.

– W takim razie, mademoiselle, czy mogę teraz zaoferować siebie w charakterze eskorty? Mógłbym odwiedzić panią do domu.

Zawahała się, ale był w tak oczywisty sposób dżentelmenem, że nie mogło się za tym kryć nic złego i nikt nie musiał o tym wiedzieć. Może wysiąść jeden czy dwa budynki przed Palais Royal.

– Dziękuję panu bardzo.

Otworzył jej drzwi i wsunęła się do samochodu. Powiedziała mu, gdzie mieszka, i czuła się całkowicie rozluźniona, kiedy wioził ją do domu. Poprosiła go, żeby zatrzymał się o jeden budynek wcześniej. Rozejrzał się dookoła.

– Czy tutaj pani mieszka?

– Niezupełnie. – Uśmiechnęła się i znowu się zapłoniła. – Pomyślałam, że oszczędzę mojej babci nerwów, żeby nie musiała się na mnie gniewać od razu po wczorajszej nocy.

Śmiał się z niej, a jego twarz wyglądała bardzo młodo mimo posrebrzonych siwizną włosów.

– Ależ z pani nieznośne dziecko! A jeśli poproszę, żeby wybrała się pani dzisiaj za mną na kolację? Co wtedy?

Ściągnęła brwi na myśl o tym, po czym spojrzała na niego.

– Nie wiem. Babcia wie, że dzisiaj nie ma przedstawienia.

Po raz pierwszy zachowałyby się wobec niej nieuczciwie, ale czuła, że musi teraz tak postąpić. Wiedziała, jaki Eugenia miała stosunek do żołnierzy.

– Czy ona nie pozwala pani z nikim się umawiać?

Wydawał się zarówno rozbawiony, jak i zaskoczony.

– Nie wiem – wyznała Zoja – nigdy tego nie robiłam.

– Ojej... czy w takim razie wolno mi spytać, ile pani ma lat? Może była nawet młodsza, niż sądził, miał nadzieję, że nie.

– Osiemnaście.

Powiedziała to z wyrazem buntu, co znowu wywołało jego śmiech.

– Czy uważa pan, że to dostatecznie dużo?

– Wystarczająco.

Nie ośmieliła się zapytać, na co.

– Nie tak dawno temu babka namawiała mnie do zainteresowania się pewnym naszym przyjacielem.

Kiedy to powiedziała, splonęła rumieńcem. Zdawało jej się, że to głupio mówić mu o Władimirze, ale jemu to najwyraźniej nie przeszkadzało.

– A ile on miał lat? Dwadzieścia jeden?

– Och, nie! – teraz Zoja się śmiała. – O wiele, wiele więcej. On ma co najmniej sześćdziesiąt lat!

Tym razem Clayton Andrews był rozbawiony i zdumiony zarazem.

- Naprawdę? I co pani babcia o tym sądzi?
- To zbyt skomplikowane, by wyjaśniać, zresztą i tak go nie lubię... jest starym człowiekiem.
- Patrzył na nią przez chwilę z powagą.
- Ja też. Mam czterdzieści pięć lat.
- Chciał być wobec niej uczciwy od samego początku.
- Nie jest pan żonaty? – Była zaskoczona, a po chwili uświadomiła sobie, że może miał kiedyś żonę.
- Jestem rozwiedziony.
- Poślubił dziewczynę z rodziny Vanderbiltów, lecz od dziesięciu lat była to już przeszłość. W Nowym Jorku był uważany za świetną partię, jednak w ciągu tych lat, które upłynęły od jego rozwodu, pośród licznych rzesz kobiet, z jakimi się spotykał, nie znalazł żadnej, dla której drgnęłoby jego serce.
- Czy jest pani zaszokowana?
- Nie. – Zastanowiła się nad tym, a potem spojrzała mu w oczy, przekonana bardziej niż kiedykolwiek, że był uczciwym człowiekiem. – Dlaczego się rozwiedliście?
- Przestaliśmy się kochać, jak sądzę... bardzo się różniliśmy od samego początku. Ona wyszła znowu za męża i jesteśmy teraz dobrymi przyjaciółmi, choć nie widuję jej zbyt często. Mieszka teraz w Waszyngtonie.
- Gdzie to jest? – Wszystko to było dla niej tak dalekie i tajemnicze.
- To niezbyt daleko od Nowego Jorku. Taka odległość jak od Paryża do Bordeaux. Albo może Paryża i Londynu.
- Skinęła głową. Tyle rozumiała. Spojrzał na zegarek. Spędził parę ładnych godzin czekając na nią i musiał już wracać.
- Więc co będzie z dzisiejszą kolacją?
- Nie sądzę, bym mogła pójść. – Spojrzała na niego smutno, a on odpowiedział uśmiechem.
- Może więc jutro?
- Jutro będę musiała tańczyć wieczorem.
- Ale może później?
- Był nieco natarczywy, ale skoro ją odnalazł, nie zamierzał pozwolić, by mu się wymknęła.
- Postaram się.

– To dobrze. Zatem do jutra wieczór.

## Rozdział piętnasty

Po raz pierwszy w życiu okłamała swoją babkę. Zdarzyło się to następnego dnia, kiedy wychodziła znowu do Opery. Miała poczucie winy z tego powodu, ale nim wyszła z domu zdążyła sobie wybaczyć to, co, jak jej się zdawało, było nieszkodliwym kłamstwem. Przekonała siebie, że trzeba sobie oszczędzić martwienia się o coś, co nie było tego warte. W końcu cóż było złego w pójściu raz na obiad z miłym mężczyzną. Powiedziała, że Diagilew wydawał dla nich kolację i cały zespół zobowiązany był na nią pójść.

– Nie czekaj na mnie! – zawołała przez ramię, tak żeby Eugenia nie mogła widzieć jej oczu.

– Jesteś pewna, że musisz tam pójść?

– Absolutnie, Babciu!

I pośpieszyła do drzwi, żeby zdążyć na przedstawienie. A po przedstawieniu Clayton czekał na nią przy jakimś innym samochodzie generała Pershinga.

– Wszystko załatwione? – uśmiechnął się i spoglądając na nią, zasiadł za kierownicą.

Jej oczy mówiły wszystko, o wiele więcej niż słowa. Miały barwę lśniących szmaragdów.

– Jak było dzisiaj?

– Dobrze, ale Niżyński nie tańczył dziś wieczorem. On jest znakomity, nie sądzi pan? – Wtedy przypomniała sobie, że on nie lubi baletu i roześmiała się. – Mniejsza z tym. Zapomniałam, że to pana nie interesuje.

– Może dałoby się mnie tego nauczyć.

Pojechali prosto do „Maxima” i oczy Zoi otworzyły się szeroko ze zdumienia, kiedy wchodzili do środka. Bogate welwetowe obicia, tłumy eleganckich ludzi i mężczyźni w smokingach spożywający tam posiłki; zapierało jej to dech w piersiach. Spojrzała na Clayтона. Wszystko tu wyglądało poważnie i dorośle, i było trochę onieśmielające. Zaczęła od razu się zastanawiać, jak opíše to miejsce w swoim następnym liście do Marii. Lecz osoba Clayтона Andrews będzie czymś trudnym do wytłumaczenia, nawet najbliższej przyjaciółce. Sama dobrze nie wiedziała, dlaczego poszła z nim na kolację, poza tym, że był bardzo

miły dla niej i wydawał się taki wesoły i swobodny. Poczula, że ma ochotę z nim rozmawiać, tylko ten jeden raz... a może potem jeszcze jeden raz. Nie było w tym nic złego. Był kimś ważnym i to także miało w sobie coś ekscytującego. Starala się nie zachowywać jak podniecone dziecko, gdy zasiadali do stołu.

– Głodna?

Patrzył na nią rozradowanym wzrokiem zamawiając szampana, ona natomiast rozglądała się wokoło.

– Czy była już tu pani kiedyś?

Potrząsnęła głową, myśląc o ich mieszkaniu i hotelu, w którym przedtem wynajmowały pokoje. Nie chodziły do żadnych restauracji. Gotowały z babką proste posiłki w domu i Fiodor co wieczór zasiadał z nimi do kolacji.

– Nie – nie wdawała się w wyjaśnianie. Byłoby trudno wytłumaczyć mu to wszystko.

– Ładnie tu, prawda? Bywałem tutaj wcześniej, przed wojną.

– Czy dużo pan podróżuje? To znaczy, zazwyczaj.

– Dość dużo. Czy była pani kiedykolwiek przedtem w Paryżu... To znaczy przed tymi wydarzeniami sprzed trzech miesięcy?

Była poruszona tym, że pamiętał.

– Ja nie. Ale moi rodzice przyjeżdżali tutaj często. Moja mama była Niemką, ale mieszkała w Sankt Petersburgu przez większość swego życia.

Miał ochotę zapytać ją o rewolucję, ale powstrzymał się wyczuwając, jak bolesny był dla niej ten temat. I wtedy, żeby po prostu podtrzymać rozmowę, zadał mimochodem pytanie, które ją rozśmieszyło.

– Zoju, czy widziała pani kiedyś cara?

Widząc jej rozbawioną minę, sam się także zaczął śmiać.

– Czy powiedziałem coś śmiesznego?

– Być może. – Czula się przy nim tak swobodnie, postanowiła, że pozwoli sobie na więcej szczerości.

– Jesteśmy kuzynami.

Lecz zaraz spoważniała, przypominając sobie ostatni ranek w Carskim Siole.

Clayton pogładził ją po ręce i nalał jej szampana.

– Mniejsza z tym... możemy porozmawiać o czymś innym. Ale



podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

– Wszystko w porządku... ja tylko... – próbowała powstrzymać łzy cisnące się jej do oczu. – Po prostu bardzo za nimi tęsknię. Czasami zastanawiam się, czy kiedykolwiek ich jeszcze zobaczę. Nadal są w areszcie domowym, w Carskim Siole.

– Czy ma pani od nich jakieś wiadomości? – patrzył ze zdziwieniem.

– Czasami otrzymuję listy od Wielkiej Księżniczki Marii... jest moją ukochaną przyjaciółką. Była bardzo chora, kiedy wyjeżdżaliśmy – uśmiechnęła się smutno na to wspomnienie. – To od niej zaraziłam się odrą. Wszyscy na nią chorowali, przed naszym wyjazdem.

Wszystko to wydawało mu się niezwykle, kiedy tak jej słuchał. Car Rosji był postacią historyczną, a nie tylko kuzynem jego pięknej młodej przyjaciółki.

– Czy dorastałaś razem z nimi wszystkimi?

Przytaknęła, a on uśmiechnął się do niej. Więc jednak nie mylił się. Miała w sobie coś wyjątkowego, o wiele więcej, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Nie była zwyczajną piękną tancerką, była dziewczyną ze znakomitą przeszłością. Zaczęła mu o wszystkim opowiadać, o domu, w którym dorastała, o Mikołaju... i o tej nocy, kiedy został zabity, o tym, jak zatrzymali się w Carskim Siole, zanim opuścili Rosję.

– Mam cudowne zdjęcie, na którym są one wszystkie. Pokażę je panu kiedyś. Co roku w sierpniu jeździliśmy razem do Liwadii. Jadą tam znowu w tym roku, chyba że Maria tylko tak napisała w ostatnim liście. Obchodziliśmy tam zawsze na jachcie urodziny Aleksego.

Clayton Andrews patrzył na nią zafascynowany. Opowiadała o magicznym świecie, o niezwykłym okresie w historii i było to dla niej zwyczajne miejsce, kuzyni i przyjaciele, dzieci, gra w tenisa i psy. A teraz tańczyła w Ballets Russes. Nic dziwnego, że jej babka wysłała z nią kogoś jako przywoitkę. Wyjaśniła mu nawet tę historię z Fiodorem. Nim wieczór dobiegł końca, miał uczucie, że zna ich wszystkich dobrze i było mu bardzo przykro z powodu tego, co utracił w Rosji.

– Co teraz zamierzasz robić?

– Nie wiem – powiedziała szczerze. – Jak już zabraknie biżuterii do sprzedania, myślę, że po prostu będę nadal tańczyła i spróbujemy się z

tego utrzymywać. Babcia jest za stara, żeby pracować, a Fiodor nie zna francuskiego na tyle, by mógł dostać jakąś pracę, poza tym on także jest dość stary.

A co będzie, gdy oni umrą? Nie miał nawet odwagi myśleć o tym. Ona była taka otwarta, niewinna i miała w sobie tyle świeżości, a jednocześnie tak wiele już doświadczyła.

– Z twoich opowiadań wynika, że twój ojciec był miłym człowiekiem, Zoju.

– Taki właśnie był.

– Trudno sobie wyobrazić, czym może być utrata tego wszystkiego. Ale jeszcze trudniej, że dokąś nie można powrócić.

– Babcia sądzi, że po wojnie sytuacja może się zmienić. Wujek Nicky mówił coś podobnego, przed naszym wyjazdem.

Wujek Nicky... a przecież to był car Mikołaj... wciąż się zdumiewał, kiedy słuchał, jak ona o tym mówiła.

– Teraz przynajmniej mogę tańczyć. Kiedyś chciałam uciec do Teatru Maryjskiego, byłam wtedy małą dziewczynką – roześmiała się – to nie jest takie złe. Wolę tańczyć, niż uczyć angielskiego, szyć albo robić kapelusze.

Zaczął się śmiać na widok wyrazu jej twarzy podczas wymieniania tych wszystkich możliwości.

– Muszę przyznać, że nie mogę wyobrazić sobie ciebie robiącej kapelusze.

– Wolalabym głodować. Ale nie będziemy. Ballets Russes to bardzo dla mnie dobre miejsce.

Opowiedziała mu o swoim pierwszym przesłuchaniu. Podziwiał w duchu jej odwagę i pomysłowość. Sam fakt, że wybrała się z nim na kolację, był pewnego rodzaju aktem odwagi. I nie miał najmniejszego zamiaru jej wykorzystywać. Podobała mu się, choć była prawie jeszcze dzieckiem. Jednak patrzył na nią teraz inaczej niż poprzedniego wieczora. Nie była jedynie jakąś ładną buzią czy tancerką z jakiegoś tam baletu. Była dziewczyną z rodziny jeszcze znakomitszej niż jego i, chociaż wszystko straciła, miała wyśmienite pochodzenie i godność, której nie chciał w żaden sposób naruszyć.

– Chciałabym, żeby pan poznał moją babcie – powiedziała jakby czytając w jego myślach.

– Może kiedyś tak się stanie.

– Byłaby zaszokowana, że nie zostaliśmy sobie w odpowiedni sposób przedstawieni. Nie wiem, czy potrafiłabym jej to wyjaśnić.

– Czy nie moglibyśmy powiedzieć, że jestem przyjacielem Diagilewa?

– zapytał z nadzieją, wzbudzając znowu śmiech Zoi.

– To tylko pogorszyłoby sprawę! Ona tego wszystkiego nienawidzi!

Wolałaby raczej, żebym poślubiła księcia Markowskiego z jego taksówką, niż tańczyła w balecie.

Kiedy na nią spoglądał, rozumiał, dlaczego. Strach było pomyśleć o tej delikatnej istocie rzuconej na pastwę świata, przez nikogo nie chronionej, nieznanej nikomu, mogącej paść łatwo ofiarą nawet jego samego.

Zapłacił za kolację, a kiedy odwoził ją do domu, zdawała się smutna.

– Chciałbym cię jeszcze kiedyś zobaczyć, Zoju.

Powiedział tę wyświechtaną formułkę, bo poczuł się niezręcznie wobec perspektywy ich potajemnych wycieczek. Była taka młoda, nie chciał jej w żaden sposób zranić.

– A gdybym tak przyszedł na herbatę do twojej babci?

Zoja wydawała się przerażona na samą myśl.

– Ale co ja jej powiem?

– Coś wymyślę. Może w sobotę po południu?

– Zwykle wtedy chodzimy na spacer do Lasku Bulońskiego.

– Może moglibyśmy wobec tego pojechać tam razem? Powiedzmy o piątej?

Zoja skinęła głową, zastanawiając się, co powie swojej babce, ale jego propozycja była najprostszym rozwiązaniem.

– Wystarczy, jak po prostu powiesz, że jestem adiutantem generała Pershinga i że spotkaliśmy się na przyjęciu poprzedniego wieczora. Na ogół łatwiej jest mówić prawdę niż kłamać.

Znowu mówił jak Konstanty, tak jak już parę razy wcześniej tego wieczora. Uśmiechnęła się do niego radośnie.

– Mój ojciec powiedziałby pewnie coś podobnego.

Kiedy zatrzymali się pod jej domem, przyjrzała mu się – wyglądał tak przystojnie i dumnie w swoim mundurze. Był cudownym mężczyzną.

– To był dla mnie bardzo miły wieczór.

– Tak samo dla mnie, Zoju... tak samo dla mnie.

Delikatnie musnął jej długie rude włosy i miał ochotę przyciągnąć ją do siebie, ale się nie ośmielił.

## Rozdział szesnasty

Przedstawienie Claytona babce Zoi poszło o wiele łatwiej, niż oboje śmieli przypuszczać. Zoja powiedziała od niechcienia, że spotkali się u generała Pershinga na wieczorku, który urządził dla Ballets Russes i zaprosiła go na herbatę. Początkowo Eugenia trochę się wahała; co innego przyjmować księcia Markowskiego, który znalazł się w podobnie trudnych okolicznościach jak one, a co innego kogoś, kogo ledwie znały. Ale Zoja kupiła tuzin małych ciasteczek i rzadki rarytas – bochenek chleba, a jej babka zaparzyła dzbanek gorącej herbaty. Nie miały innych, umilających życie, drobiazgów: ani srebrnej popielniczki, ani koronkowych serwetek czy obrusa, ani nawet samowara, lecz nie to było źródłem zatroskania Eugenii. Niepokój budziła w niej sama wizyta. Kiedy jednak o piątej Fiodor otworzył zamasyżycie drzwi, osoba Claytona Andrews rozproszyła prawie zupełnie jej obawy. Przyniósł im kwiaty i wspaniałą tartę jabłkową. Był dżentelmenem w każdym calu, kiedy się z nimi witał, dość oficjalnie z Zoją i z pełną szacunku serdecznością z jej babką. Zdawał się prawie nie zauważać Zoi podczas całej wizyty, rozprawiając ze swobodą o swoich podróżach, swej miernej znajomości historii Rosji i o swoim dzieciństwie w Nowym Jorku. Podobnie jak Zoja, Eugenia złapała się na tym, że jego swoboda, dowcip i urok często przywodziły jej na myśl Konstantego. A kiedy wysłała Zoję, żeby zaparzyła jeszcze jeden dzbanek herbaty, siedziała w milczeniu przyglądając się mu, doskonale wiedząc, z jakiego powodu przyszedł do niej z wizytą. Był za stary na to, by bawić się towarzystwem takiego dziecka, ale nie odczuwała żadnej niechęci do niego. Był subtelnym i wartościowym mężczyzną.

– Czego pan od niej chce? – zapytała nieoczekiwanie spokojnym głosem, zanim Zoja wróciła do pokoju, a on spojrział na nią łagodnie i uczciwie.

– Sam nie wiem. Nigdy dotąd nawet nie rozmawiałem z dziewczyną w jej wieku, lecz ona jest niezwykła pod wieloma względami. Może mógłbym zostać jej przyjacielem... przyjacielem was obu?...

– Niech pan się nią nie bawi, kapitanie Andrews. Ona ma przed sobą całe życie i to, co pan próbuje teraz zrobić, mogłoby nie wyjść jej na dobre. Wygląda na to, że ona bardzo pana lubi. I to niech wystarczy.

Oboje jednak wiedzieli, że na tym się nie skończy. Stara kobieta zdawała sobie sprawę lepiej od niego, że skoro zbliżył się do Zoi, jej życie nie będzie już nigdy takie samo.

– Ona jest jeszcze bardzo, bardzo młoda.

Przytaknął w milczeniu, myśląc o tym, jak mądre były jej słowa. W ostatnim tygodniu mówił sobie niejednemu raz, że to głupie uganiać się za tak młodą dziewczyną. A co się stanie, kiedy będzie musiał w końcu opuścić Paryż? Nie byłoby uczciwie wykorzystać ją, a potem przenieść się gdzie indziej.

– W innym świecie, w innych okolicznościach nie byłoby to nawet możliwe.

– Zdaję sobie z tego doskonale sprawę, hrabino. Jednak z drugiej strony

– znalazł dla siebie małą furtkę – czasy się zmieniły, nieprawdaż?

– Rzeczywiście.

Kiedy wypowiadała te słowa, Zoja wróciła i nalala wszystkim herbaty do filiżanek. Potem pokazała mu swoje zdjęcia z Liwadii, z ostatniego lata, na których była Joy baraszkująca koło jej nóg i carewicz siedzący obok niej na jachcie oraz inne fotografie z Olgą i Marią, Tatianą i Anastazją, cicią Alix i samym carem. Była to niemal lekcja współczesnej historii. Co jakiś czas Zoja spoglądała na niego z radosnym uśmiechem, wspominała, objaśniając mu wszystkie szczegóły. Kiedy jej słuchał, odpowiedź na pytanie hrabiny wydała mu się prosta. Czuł do tej dziewczyny o wiele więcej niż przyjaźń. Mimo że była jeszcze prawie dzieckiem, miała w sobie coś wyjątkowego, co emanowało z niej i poruszało go do głębi, budziło w nim uczucia, których nigdy przedtem nie doznawał wobec nikogo. Ale cóż on mógłby jej ofiarować? Czterdziestopięcioletni mężczyzna, rozwiedziony, przyjechał do Francji, by wziąć udział w wojnie. W takiej sytuacji nie miał jej nic do zaoferowania, jeżeli w ogóle mógłby jej kiedykolwiek coś ofiarować. Zasługiwała na kogoś młodszego, z kim mogłaby dorastać, śmiać się i dzielić przeżyciami. Zdawał sobie z tego sprawę, a jednocześnie nie mógł się oprzeć pragnieniu, aby ją wziąć w ramiona i obiecać, że nigdy nie pozwoli, by znowu stała się jej jakaś krzywda.

Kiedy Zoja już schowała swoje fotografie, zabrał obie panie na przejażdżkę. Zatrzymali się, żeby pójść na spacer do parku. Clayton stał

i patrzył, jak Zoja bawiła się na trawie z Sawą, a szczeniak skakał i szczekał i gonił ją, aż w końcu prawie wpadła na niego. Wtedy mimo woli wyciągnął do niej ramiona i przytulił ją do siebie, a Zoja śmiała się do niego jak dziecko z fotografii, które oglądał. Eugenia przyglądała się im obojgu z lękiem przed tym, co mogło się stać w przyszłości.

Kiedy odwiózł je z powrotem do domu, hrabina podziękowała mu i, kiedy Zoja wyszła, aby zanieść Sawę Fiodorowi, spojrzała na niego przenikliwie.

– Niech pan się dobrze zastanowi, kapitanie. To, co dla pana może być tylko epizodem, dla mojej wnuczki może stać się czymś, co zmieni jej życie. Niech pan okaże rozsądek, błagam... a przede wszystkim... dobroć.

– Co ty mu powiedziałaś, Babciu? – zapytała Zoja, gdy Clayton wyszedł.

– Podziękowałam mu za tarte jabłkową i prosiłam, by nas jeszcze odwiedził – odparła Eugenia spokojnie, sprząając ze stołu filiżanki.

– Tylko tyle? Wyglądał tak poważnie, jakbyś mu powiedziała coś ważnego. Nawet się nie uśmiechnął przy pożegnaniu.

– Może zastanawia się nad tym wszystkim. – A potem dodała ostrożnie:

– On jest naprawdę o wiele za stary dla ciebie.

– To nie ma dla mnie znaczenia. Jest taki miły.

## Rozdział siedemnasty

Modlitwom Eugenii, by Clayton Andrews więcej do nich nie wracał, nie było dane się spełnić. Przez tydzień próbował unikać Zoi, jednak nieustannie o niej myślał, wciąż widział jej oczy... jej włosy... pamiętał jej śmiech... jak bawiła się z Sawą... nawet fotografie rodziny cara, które mu pokazywała, zdawały się go prześladować. Za jej sprawą stali się dla niego realni i teraz car nie był jedynie tragiczną postacią historyczną, lecz mężczyzną, który miał żonę, rodzinę, trzy psy... Clayton nie mógł się opędzić od myśli, jakie cierpienia znosi ten człowiek uwieczony w swym domu w Carskim Siole.

Przez cały ten czas, kiedy się nie widzieli, myśleli o sobie, i on, i Zoja. Tym razem przyszedł nie tam, gdzie odbywały się próby, lecz do ich domu i, za zgodą jej babki, zabrał Zoję na „Wesołą wdówkę”. Kiedy wrócili, prawie jednym tchem opowiedziała wszystko babce, cała podniecona, a Clayton ze śmiechem nalewał im do kieliszków szampana. Przyniósł im Cristal i rozlewał go do kryształowych kieliszków. Starając się nie urazić ich dumy, usiłował jednak w delikatny sposób przyjść im z pomocą: przynosił różne zbytkowne rzeczy, wiedząc, że za nimi tęskniły, a nie mogły sobie na nie pozwolić, ciepłe koce, o które gdzieś się wyśtarzał, komplet kieliszków, koronkowy obrus, a nawet małe łóżeczko dla Sawy. Eugenia nabrała już wtedy pewności, że Clayton zadurzył się w Zoi na serio, podobnie jak ona w nim. Chodzili na długie spacery do parku, jadali lunch w małych kafejkach, i Clayton objaśniał jej, co oznaczają rozmaite mundury, np. Żuawów, Anglików i Amerykanów w khaki, poilus w jasnych uniformach, a nawet Chasseurs d’Afrique. Rozmawiali o wszystkim, od baletu począwszy, a na dzieciach skończywszy. Zoja nadal twierdziła, że chciałyby mieć sześcioro, co bardzo rozbawiło Clayтона.

– Dlaczego akurat sześcioro?

– Nie wiem. – Wzruszyła bez troski ramionami. – Lubię okrągłe liczby. Przeczytała mu ostatni list od Marii. Była w nim mowa o tym, że Tatiana znowu się rozchorowała, choć już nie tak poważnie, że Nagorny był taki oddany i troskliwy dla carewicza. Zawsze był przy nim.



...A Papa jest dla nas wszystkich taki dobry. Sprawia, że wszyscy staramy się być silni i pogodni...

Trudno było to sobie wyobrazić i Clayton słuchał jej z bólem w sercu. Rozmawiali jeszcze na wiele innych tematów, poza tym, co dotyczyło carskiej rodziny, kiedy się spotykali. Mówili o swoich pasjach, zainteresowaniach, marzeniach.

Było to cudowne, pełne czaru lato dla Zoi. Kiedy tylko Zoja była wolna, nie miała prób ani nie tańczyła, on się zjawiał nie odstępując jej, zabawiając, towarzysząc wszędzie. Przynosił dla niej i Eugenii drobne prezenty i małe, starannie wyszukane skarby. Aż we wrześniu wszystkie te niewinne przyjemności musiały się skończyć. Generał Pershing ogłosił swoim adiutantom, że przenosi Kwaterę Główną do Chaumont, nad Marną. Wyjazd Claytona z Paryża stał się kwestią kilku dni. W tym samym czasie Diagilew planował, że zabierze Ballets Russes do Portugalii i Hiszpanii. Zoja stanęła więc wobec konieczności podjęcia bolesnej decyzji. Nie mogła zostawić swojej babki, musiała zatem opuścić zespół, co wydawało jej się zupełną klęską jej marzeń. – Możesz tańczyć w którymś z lokalnych baletów. Świat się na tym nie kończy – pocieszał ją Clayton, ale ona uważała inaczej.

Żaden zespół nie mógł zastąpić Ballets Russes i konieczność rozstania z nimi łamała jej serce. Ale najgorsze wieści przyszły w tydzień po urodzinach Aleksego. Zoja otrzymała list od Marii, przesłany jak zwykle przez doktora Botkina. Czternastego sierpnia cała rodzina Romanowów została przeniesiona z Pałacu Aleksandrowskiego do Tobolska na Syberii. List został napisany na dzień przed ich wyjazdem i Zoja nie miała pojęcia, co się z nimi dalej działo, wiedziała jedynie, że wyjechali. Ta świadomość była nie do zniesienia. Wyobrażała sobie, że lada chwila pojedą do Liwadii i będą tam bezpieczni. Tymczasem wszystko się zmieniło i przerażenie ścisnęło jej serce, kiedy czytała ten list. Pokazała go Claytonowi przed jego wyjazdem, a on próbował, niezbyt przekonywająco, ją pocieszyć.

– Wkrótce dostaniesz od nich jakieś wiadomości. Jestem pewien, Zoju. Nie wolno ci wpaść w taką panikę. Ale jak mogła się nie bać, pytał sam siebie. Dopiero co straciła

wszystko, parę miesięcy temu, widziała aż nazbyt dokładnie, jak straszliwa była rewolucja, i nie ulegało wątpliwości, że jej krewni i przyjaciele nadal znajdowali się w niebezpieczeństwie. Ogarniała go groza, kiedy o tym myślała, ale nikt nie mógł im w żaden sposób pomóc. Amerykanie już dawno uznali Rząd Tymczasowy i wszyscy bali się udzielić carowi i jego rodzinie azylu. Nie było sposobu, by wyrwać ich z rąk rewolucjonistów. Wszystko, co można było zrobić, to modlić się i wierzyć, że pewnego dnia będą wolni. Jedynie taką nadzieją mógł podzielić się z Zoją. Najgorsze, że on także wyjeżdżał.

– To nie jest bardzo daleko. Przyjadę do Paryża, kiedy tylko będę mógł, obiecuje.

Patrzyła na niego z rozpaczą... jej przyjaciółka... Ballets Russes... a teraz on musiał wyjechać.

Nadskakiwał jej przez prawie trzy miesiące, a ona dawała mu w zamian nieustanną radość i niewinną zabawę. Eugenię uspokajało słuszne przekonanie, że nie zrobił niczego, co jej zdaniem byłoby niewłaściwe. Cieszył się po prostu towarzystwem Zoi, przychodził po nią, kiedy tylko mógł, by zabrać ją na spacer, do teatru, na obiad do „Maxima” albo do jakiegoś małego bistro. Ona zaś zdawała się rozkwitać otoczona jego czułą uwagą i troską. Czuła się prawie tak, jakby znowu miała rodzinę, a teraz miała stracić i jego; musiała także znaleźć pracę w gorszym zespole. Choć przyznawała to z bólem, Eugenia wiedziała, że ich egzystencja będzie zależała teraz od zarobków Zoi.

Dziesiątego sierpnia miała już nową pracę, ale z trupą baletową, która budziła w niej odrazę; w ich występach nie było żadnej precyzji, żadnego stylu; w zespole brakowało choćby cienia surowej dyscypliny, do jakiej Zoja przywykła w Ballets Russes, i zapłata była oczywiście o wiele niższa. Ale przynajmniej ona, Fiodor i jej babka nadal mieli co jeść. Wieści z wojny nie były najlepsze, nadal trwały naloty. Wreszcie nadszedł list od Marii. Mieszkali w domu sołtysa, w Tobolsku i Gibbes, ich nauczyciel, nadal prowadził z nimi lekcje.

...Papa prawie codziennie czyta nam historię i zbudował platformę na szklarni, żebyśmy mogły złapać trochę słońca, lecz wkrótce będzie na to zbyt zimno. Mówią, że zimy tutaj ciągną się bez końca...

Olga obchodziła swoje dwudzieste drugie urodziny; był z nimi także

Pierre Gilliard, razem z Papą prawie codziennie rąbią drewno, przynajmniej kiedy są zajęci, możemy uniknąć paru lekcji. Mama wygląda na bardzo zmęczoną, bo Dziecko przysparza jej mnóstwa zmartwień. Był taki zmęczony po podróży, ale mogę ci z radością powiedzieć, że teraz czuje się dużo lepiej. Śpimy tutaj we czwórkę w jednym pokoju, dom jest bardzo mały, lecz jednocześnie wygodny. Może jest trochę taki jak twoje i Eugenii mieszkanie. Pozdrów ją ode mnie bardzo serdecznie, moja ty kochana, najukochańsza, i napisz do mnie, jak tylko będziesz mogła. Fascynujące jest to, że tańczysz, kiedy powiedziałam mamie, przeżyła szok, a potem śmiała się mówiąc, że to do ciebie bardzo podobne pojechać taki kawał do Paryża i uciec do jakiegoś baletu! Wszyscy przesyłamy ci ucałowania, a ja najbardziej...

List podpisany był „OTMA”, czego już dawno nie czyniła. Był to szyfr, który wymyśliły w dzieciństwie i używały go w listach wysyłanych w imieniu wszystkich, oznaczał Olgę, Tatianę, Marię i Anastazję. Zoja poczuła, że bardzo za nimi wszystkimi tęskni. Odkąd Clayton wyjechał, była jeszcze bardziej samotna. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko pracować i po każdym przedstawieniu wracać do domu, do babci. Uświadomiła sobie wtedy jak bardzo Clayton ją rozpieszczał. Kiedy był na miejscu, ciągle gdzieś wychodziła, dostawała prezenty, spotykały ją niespodzianki, układali jakieś plany. A teraz, nagle, nic. Pisała do niego jeszcze częściej niż do Tobolska do Marii, lecz jego odpowiedzi były krótkie i nakreślone w pośpiechu. W Chaumont miał wiele pracy. Październik okazał się jeszcze gorszy, Fiodor zachorował na hiszpankę i Zoja na przemian z babką pielęgnowały go przez wiele tygodni, lecz w końcu, nie będąc w stanie jeść ani pić, nie odzyskawszy przytomności, odszedł, a obie kobiety siedziały przy jego łóżku, cicho płacząc. Był im tak oddany i tak dobry dla nich, jednak podobnie jak zwierzę wywiezione zbyt daleko od domu nie potrafił przetrwać w obcym świecie. Kiedy umierał, uśmiechnął się do nich łagodnie i miękko powiedział: „...Teraz będę mógł wrócić do Rosji...”

Pochowały go na niewielkim cmentarzu za Neuilly. Zawiózł je tam Władimir, a Zoja płakała przez całą drogę powrotną, była smutna, tak jakby straciła jedynego przyjaciela, jaki jej pozostał. Wszystko nagle

zrobiło się takie ponure, nawet pogoda. Kiedy zabrakło Fiodora, nie miały wystarczającej ilości drewna na opał, poza tym ani Zoja, ani Eugenia nie mogły się przełamać, by zacząć korzystać z pokoju, który za życia zajmował.

Zdawało się, że ból powodowany utratą bliskich osób nigdy się nie skończy. Claytona nie było w Paryżu prawie od dwóch miesięcy.

Pewnego wieczora, po powrocie z pracy, Zoja przeżyła szok, gdy po otwarciu drzwi ujrzała mężczyznę z zawiniętymi rękawami u koszuli, stojącego w ich pokoju stołowym. Przez moment serce Zoi zamarło, gdyż pomyślała, że to lekarz.

– Czy coś się stało?

Mężczyzna, równie zaskoczony jak ona, patrzył na nią szeroko rozwartymi oczami, zdumiony jej urodą.

– Przepraszam, mademoiselle... ja... pani babka...

– Czy nic jej nie jest?

– Oczywiście, że nie. Przypuszczam, że jest w swoim pokoju.

– A pan kim jest?

Zoja nie mogła pojąć, co on tam robił, z zawiniętymi rękawami, i prawie się zatoczyła po tym, co odpowiedział.

– Nie powiedziała pani?... Mieszkam tutaj. Wprowadziłem się dziś rano.

Był to młody mężczyzna, przed trzydziestką, chudy, o bladej karnacji, miał rzadkie włosy i był kulawy. Chodził wyraźnie utykając, co zauważyła, kiedy szedł do pokoju Fiodora. Ledwie zamknął za sobą drzwi, Zoja wpadła w furję.

– Coś ty zrobiła? Nie mogę w to uwierzyć!

Patrzyła wściekłym wzrokiem na babkę siedzącą na jedynym w sypialni krześle i wtedy spostrzegła, że Eugenia przeniosła tam, dla ich wygody, parę rzeczy.

– Kim jest ten mężczyzna?

Nie siliła się na żadne wstępy. Nie mogła uwierzyć, że babka zrobiła coś podobnego, a Eugenia patrzyła na nią spokojnie znad swojej robótki.

– Wzięłam sublokatora. Nie miałyśmy innego wyboru. Jubiler zaproponował mi tyle co nic za moje perły, a i tak niewiele zostało do sprzedania. Wcześniej czy później musiałybyśmy to zrobić.

Jej twarz wyrażała spokojną rezygnację.

– Nie mogłaś przynajmniej zapytać albo chociaż mnie ostrzec? Nie jestem dzieckiem i też tutaj mieszkam. Ten człowiek jest zupełnie obcy! Mógłby nas zabić we śnie albo ukraść resztę biżuterii? Może będzie się upijał albo przyprawdzał nieprzyzwoite kobiety?

– Wtedy powiem mu, żeby się wyprowadził, ale uspokój się, Zoju. Wydaje się zupełnie miły i jest bardzo nieśmiały. W zeszłym roku został ranny pod Verdun. Jest nauczycielem.

– Nie obchodzi mnie, kim jest. To mieszkanie jest zbyt małe na to, żeby brać jeszcze jakiegoś obcego lokatora, i wystarczą nam pieniądze, jakie zarabiam tańcząc. Po co nam to?

Czuła się tak, jakby straciła przez niego dom. Chciała tylko usiąść i płakać z powodu doznanego upokorzenia. Dla niej było to przebranie miary. Dla babki natomiast – jedyne wyjście z sytuacji. Nie uprzedziła o tym Zoi, gdyż podejrzewała, że właśnie taka będzie jej reakcja.

Wybuch Zoi jedynie to potwierdzał.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś!

– Nie było wyboru, maleńka. Może później znajdziemy jakieś inne wyjście. Ale nie teraz.

– Nie mogę nawet zrobić sobie herbaty w koszuli nocnej. Jej oczy napełniły się łzami wściekłości i żalu.

– Pomyśl o swoich kuzynach, o tym, jak musi wyglądać ich życie w Tobolsku. Czy nie możesz być tak dzielna jak oni?

Te słowa natychmiast wzbudziły w niej skruchę, uszedł z niej cały gniew i opadła na krzesło, z którego wstała jej babka, by podejść do okna i chwilę przez nie popatrzeć.

– Przepraszam, Babciu... ja po prostu... to był dla mnie taki szok... – i uśmiechnęła się, niemal psotnie. – Chyba śmiertelnie go przestraszyłam. Uciekł do swojego pokoju i zaryglował drzwi, kiedy na niego wrzeszczałam.

– On jest bardzo miłym młodym człowiekiem. Powinnaś go rano przeprosić.

Zoja nic na to nie powiedziała, myśląc, w jaką ostateczność wpadły.

Wszystko napawało ją coraz większym pesymizmem. Wydawało się, że nawet Clayton ją zawiódł. Obiecywał, że przyjedzie do Paryża, jak tylko będzie mógł, tymczasem wyglądało na to, że nie ma się co łudzić.

Napisała do niego następnego dnia, ale wstydziła się wspomnieć o ich sublokatorze. Nazywał się Antoine Vallet, i kiedy rano ją zobaczył, wyglądał na przerażonego. Z byle powodu przeproszał, potrącił lampę, omal nie zbił wazy i potykał się nieustannie starając się schodzić jej z drogi w kuchni. Zauważyła, że miał smutne oczy i prawie zrobiło jej się go żal, jednak nie do końca. Naruszył ostatni bastion, jaki im pozostał, a ona nie kwapiła się, by go z kimś dzielić.

– Dzień dobry, mademoiselle. Czy ma pani ochotę na filiżankę kawy? – zaproponował, podczas gdy w całej kuchni unosił się przyjemny aromat, ale pokręciła głową i wymruczała pod nosem:

– Nie, dziękuję bardzo.

– Przepraszam.

Wpatrywał się w nią z przestrawieniem i zachwytem, po czym opuścił kuchnię tak szybko jak potrafił. Wkrótce potem wyszedł na lekcje.

Kiedy wróciła po południu z próby, był już z powrotem, siedział przy biurku w stołowym pokoju i poprawiał prace swoich uczniów. Zoja weszła do swojego pokoju trzaskając drzwiami i zaczęła zdenerwowana chodzić w kółko, spoglądając na swoją babkę.

– To znaczy, że nie będę już nigdy mogła skorzystać z biurka? Chciała napisać list do Clayтона.

– Z pewnością nie będzie tam siedział całą noc, Zoju.

Ale nawet babka nie opuszczała ich pokoju. Nie miała dokąd pójść, by pobyć sama ze sobą, nie miała gdzie pozbierać swoich myśli ani pobyć z daleka od nich obojga. Dla Zoi było to nie do zniesienia i zaczęła żałować, że nie pojechała do Portugalii, ale gdy odwróciła się i ujrzała łzy w oczach Eugenii, zrobiło jej się ogromnie przykro, ukłękła i objęła babkę ramionami.

– Przepraszam... nie wiem, co się ze mną dzieje. Jestem po prostu zmęczona i rozdrażniona.

Eugenia natomiast wiedziała aż za dobrze, co ją dręczyło. Dotyczyło to Clayтона. Tak jak było do przewidzenia, wyjechał na wojnę, a Zoja musiała przywyknąć do życia bez niego. Dobrze przynajmniej, że nic innego się nie wydarzyło i że był to człowiek honoru, w przeciwnym bowiem razie byłoby jej jeszcze trudniej. Nie pytała Zoi, czy dostała od niego jakieś wiadomości. Właściwie miała nadzieję, że nie będzie do niej pisał.

Zoja poszła do kuchni i ugotowała obiad dla siebie i dla babki, a kiedy młody nauczyciel wciąż popatrywał w stronę kuchni, skąd dochodziły smakowite zapachy, Zoja zmiękła i zaprosiła go, by zjadł razem z nimi.

– Czego pan uczy? – zapytała uprzejmie, bez szczególnej ciekawości. Zauważyła, że okropnie trzęsą mu się ręce, wydawało się, że stale jest wystraszony i bardzo nerwowy, doszła więc do wniosku, że rany odniesione na wojnie nie tylko uczyniły go kulawym, ale odcisnęły w nim jakieś głębsze piętno. Miało się wrażenie, że wciąż drży.

– Uczę historii, mademoiselle. A pani, jak rozumiem, tańczy w balecie.

– Tak – przyznała, lecz bez zapału. Nie była zbyt dumna z tego, w jakim zespole ostatnio tańczyła, nie tak jak wtedy, gdy była w Ballets Russes, chociaż nie trwało to długo.

– Bardzo lubię balet. Może mógłbym przyjść któregoś dnia na pani przedstawienie.

Wiedziała, że oczekiwał odpowiedzi, że będzie jej miło, ale nie mogła tego z siebie wydusić. Nie byłaby zadowolona.

– Bardzo podoba mi się ten pokój – poinformował, mówiąc właściwie w powietrze, i Eugenia uśmiechnęła się uprzejmie.

– Bardzo się cieszymy, że pan z nami mieszka.

– Obiad jest naprawdę smaczny.

– Dziękuję – odparła Zoja, nie podnosząc oczu.

Mówił chaotycznie, nie powiązanymi ze sobą zdaniem i Zoja czuła, że go nie cierpi. Chodził kuśtykając po kuchni, usiłując pomóc jej w sprzątaniu, a potem rozpałił ogień w kominku, w pokoju stołowym, wprawiając Zoję w złość, bo marnował ostatnie drewno, jakie im zostało na opał, jednak, dopóki się palił, pozostawała tam, by ogrzać sobie ręce. W ich małym mieszkaniu zimno przenikało do szpiku kości.

– Byłem kiedyś w Sankt Petersburgu – powiedział miękko, nie podnosząc głowy znad biurka. Prawie nie miał odwagi patrzeć na nią, była tak piękna i miała taki ognisty temperament. – To cudowne miasto.

Przytaknęła i odwróciła się do niego tyłem, wpatrując się w ogień ze łzami w oczach. Patrzył na jej smukłe plecy czując cichą tęsknotę.

Przed wojną miał żonę, ale opuściła go z jego najlepszym przyjacielem, a ich jedyne dziecko umarło na zapalenie płuc. On także miał swoje smutki, lecz Zoja nie miała ochoty się z nimi zapoznawać. Dla niej był człowiekiem, który przeżył ogromne niebezpieczeństwo i ledwo uszedł

z życiem. A wszystko to, zamiast go wzmocnić, złamało jego ducha. Odwróciła się powoli, by na niego spojrzeć, zastanawiając się znowu, dlaczego babka wzięła go na sublokatora. Nie mogła znieść myśli, że ich sytuacja była tak rozpacзлиwa, ale musiało tak być, inaczej Eugenia nie zrobiłaby tego.

– Tutaj jest tak zimno.

Było to tylko zdanie rzucone od niechcienia, lecz on zerwał się natychmiast i dołożył drewna do ognia.

– Przyniosę jutro trochę drewna, mademoiselle. Wtedy będzie trochę cieplej. Chciałaby pani wypić jeszcze jedną szklankę herbaty? Mogę pani zrobić?

– Nie, dziękuję panu.

Zastanawiała się ile miał lat, z wyglądu musiał mieć dobrą trzydziestkę, w rzeczywistości – trzydzieści jeden. Nie miał łatwego życia.

Zapytał nieśmiało:

– Czy to pani pokój zająłem?

To by wyjaśniało jej widoczne niezadowolenie z jego obecności, lecz ona tylko potrząsnęła głową, po czym westchnęła.

– Jeden z naszych służących przyjechał z nami z Rosji. Umarł w październiku.

Słyszając to, skinął cicho głową.

– Przykro mi. To są trudne czasy dla nas wszystkich. Od jak dawna jest pani w Paryżu?

– Od kwietnia. Wyjechaliśmy zaraz po wybuchu rewolucji.

Znowu pokiwał głową.

– Spotkałem tutaj ostatnio paru Rosjan. To dzielni i dobrzy ludzie.

Chciał powiedzieć: i pani także, ale nie miał odwagi. Jej oczy były tak ogromne i pełne żaru, a kiedy potrząsała głową, włosy otaczały ją płonącym ogniem.

– Czy jest coś, co chciałaby pani, żebym zrobił, skoro już tutaj jestem?

Byłbym szczęśliwy mogąc w jakiś sposób pomóc. Mógłbym załatwić sprawunki dla pani babci, jeśliby pani chciała. Lubię też gotować. Może moglibyśmy gotować kolacje na zmianę.



## Rozdział osiemnasty

Zima się dłużyła, ludzie byli coraz biedniejsi, coraz bardziej głodni, a pogoda coraz gorsza. Ponieważ do Paryża przybywały coraz to nowe fale emigrantów z Rosji, jubilerzy dawali ceny najniższe z możliwych. Eugenia sprzedała ostatnią parę swoich kolczyków pierwszego września i była przerażona tym, jak niewiele jej zapłacili. Wszystko, co im pozostało, to zarobki Zoi, a te wystarczały ledwie na jedzenie i opłacenie czynszu. Książę Markowski miał swoje kłopoty. Samochód ciągle mu się psuł i za każdym razem, kiedy go widziały, wydawał się chudszy i bardziej wygłodzony. Nadal jednak rozprawiał z humorem o lepszych czasach i znosił ploteczki o nowych przybyszach.

W obliczu biedy, chłodu i braku pożywienia Eugenia tym bardziej była rada z powodu obecności ich lokatora. Jego mizerna pensja ledwo mu starczała na opłacenie pokoju, jednak zawsze udawało mu się przynieść do domu coś dodatkowego, pół bochenka chleba, kawałek drewna, a nawet parę książek do czytania dla Eugenii. Udało mu się nawet zdobyć gdzieś dla niej kilka książek w języku rosyjskim. Jacyś biedni emigranci musieli je pewnie sprzedać, by mieć pieniądze na marny bochenek chleba. Zawsze starał się pamiętać o Zoi i Eugenii, często przynosił także niewielkie podarunki dla Zoi. Raz nawet usłyszał, jak mówiła, że bardzo lubi czekoladę i gdzieś, jakimś cudem udało mu się kupić małą tabliczkę.

W miarę jak upływały tygodnie, Zoja stawała się dla niego coraz miłsza, wdzięczna za jego podarunki, a zwłaszcza za dobroć, jaką okazywał hrabinie, która zaczęła ostatnio cierpieć na reumatyzm dokuczający jej w kolanach. Nawet zwykłe wchodzenie po schodach stało się dla niej udręką. Któregoś popołudnia Zoja wróciła wcześniej z baletu i zobaczyła, jak lokator wnosił jej babkę po schodach, co, przy jego kalekiej nodze, było uciążliwym zadaniem, lecz on nigdy nie narzekał. Zawsze był chętny, aby coś jeszcze zrobić i Eugenia bardzo go polubiła. Trudno było nie dostrzec, jak ogromne wrażenie robiła na nim Zoja. Wspomniała jej o tym parę razy, ale Zoja twierdziła, że nic takiego nie zauważała.

– Nie wiem, dlaczego nie widzisz, jak on bardzo cię lubi, mała. Ale Zoja zwracała większą uwagę na okropny kaszel, jaki męczył babkę,

kiedy to mówiła. Była przeziębiona już od wielu tygodni i Zoja bała się, że może to być hiszpańska grypa, która zabiła Fiodora, albo straszliwa gruźlica, która siała spustoszenie w Paryżu. Nawet sama nie odznaczała się takim zdrowiem jak kiedyś. Przy tak marnym odżywianiu i jednocześnie ciężkiej pracy schudła, a jej dziewczęca twarz wyglądała znacznie starzej.

– Jak się czuje dzisiaj pani babka? – zapytał Antoine cicho pewnego wieczora, gdy gotowali razem kolację.

To był teraz ich wspólny wieczorny rytuał. Nie gotowali już na zmianę, lecz wspólnie, a kiedy musiała wieczorem pracować, sam przygotowywał coś do jedzenia dla Eugenii, niejednokrotnie nawet zaopatrywał ich w potrzebne produkty, kupując je po drodze do domu za grosze, jakie otrzymywał za swoją pracę. Jego fundusze rozchodziły się błyskawicznie jak zresztą wszystkim w Paryżu.

– Dziś po południu była taka błada. – Antoine patrzył na Zoję zmartwionymi oczami, podczas gdy ona kroїła dwie niezbyt świeże marchewki, żeby podzielić je między ich troje. Mdlilo ją już prawie od samego widoku gulaszu, ale jedli go codziennie, gdyż był to jedyny sposób na zabicie smaku gorszego gatunku mięsa i prawie nieobecnych warzyw.

– Martwi mnie ten jej kaszel, Antoine. – Zoja spojrzała na niego. – Wydaje mi się, że się pogarsza, a ty, jak sądzisz?

Przytaknął ze smutkiem i dodał dwa małe kawałki mięsa do garnka, w którym Zoja gotowała marchewki w wodnistym rosole. Tego dnia nie mieli nawet żadnego chleba. Na szczęście żadne n ich nie było bardzo głodne.

– Jutro zabiorę ją chyba do lekarza.

Ale nawet na to ich nie było stać i nic już nie miały do sprzedania, została jedynie ostatnia papierośnica ojca Zoi i dwa srebrne pamiątkowe pudełka, które należały do jej brata, lecz Eugenia przyrzekła jej, że nigdy ich nie sprzeda.

– Znam pewnego lekarza przy rue Godot-de-Mauroy, jeśli chcesz dam ci jego nazwisko. Jest tani.

Robił aborcje prostytutkom, ale był lepszy niż większość lekarzy tamtego milieu. Antoine chodził do niego czasami ze swoją nogą i uważał, że jest dobrym i współczującym lekarzem. Z powodu

przenikliwych chłódów i zimowej wilgoci noga zaczynała go okropnie boleć. Zoja zauważyła, że bardziej kuleje, ale mimo to wydawał się szczęśliwszy niż na początku, kiedy u nich zamieszkał. Dobrze mu robiło, kiedy mógł wrócić do domu i spotkać tam życzliwych ludzi, jak i to, że mógł opiekować się jej babką. Nigdy nie przyszło Zoi do głowy, że tym, co dodawało mu energii, było uczucie do niej. Tej nocy leżał w łóżku i marzył o niej, kiedy spała w sąsiednim pokoju przytulona do Eugenii.

– Jak było dzisiaj w szkole? – zapytała czekając, aż w garnku zacznie wrzeć. Patrzyła teraz na niego łaskawiej. Ośmielał się nawet żartować sobie z niej od czasu do czasu i, kiedy się tak przekomarzali, przypominał się jej często brat. Antoine nie odznaczał się urodą, ale był bystry, bardzo odcytany i miał duże poczucie humoru. Pomagało im to podczas nalotów lotniczych i długich chłodnych wieczorów. Dzięki temu łatwiej było im znieść niedostatki pożywienia, zimno i pogodzić się z brakiem innych, umilających życie, drobnych przyjemności.

– W porządku. Nie mogę się jednak doczekać wakacji. Będę miał wreszcie szansę nadrobić zaległości w lekturze. Nie miałabyś ochoty pójść kiedyś do teatru? Znam kogoś, kto mógłby nas wprowadzić do Opera Comique, jeśli chciałabyś z tego skorzystać.

Wspomnienie opery przypomniało jej o Claytonie i miłszych dniach, jakie spędziła z nim w lecie. Nie miała od niego listu od dość dawna i doszła do wniosku, że był bardzo zajęty przy generale Pershingu, który kierował całą kampanią francuską. Zoja wiedziała, że przebiegało to w ścisłej tajemnicy. Bóg jeden wie, kiedy go jeszcze zobaczy, jeżeli w ogóle kiedykolwiek go spotka. Ale zdążyła już do takich rzeczy przywyknąć. Widziała po raz ostatni tak wiele osób, które kiedyś kochała, że prawie nie mogła sobie wyobrazić, że można kogoś kochać i nie stracić go. Odsunęła od siebie myśli o Claytonie i wróciła do Antoine'a i jego propozycji pójścia do teatru.

– Bardzo bym chciała pójść któregoś dnia do muzeum.

Był miłym towarzyszem i bardzo kulturalnym, choć może nie miał tak nieskazitelnych manier jak jej rosyjscy przyjaciele, których straciła. Ale na swój własny skromny sposób, był tak samo miły jak oni.

– Jak tylko skończy się szkoła, pójdziemy tam. Jak tam nasza potrawka? – zapytał, a Zoja się roześmiała.

– Ohydna jak zawsze.

– Szkoda, że nie mamy jakichś porządných przypraw.

– Szkoda, że nie mamy jakichś prawdziwych warzyw i owoców. Jeśli zobaczę jeszcze jedną starą marchewkę, boję się, że zacznę krzyczeć. Jak pomyślę o tym, co jedliśmy w Sankt Petersburgu, chce mi się płakać. Wtedy nawet o tym nie myślałam. Wiesz, wczoraj nawet mi się śniło jedzenie.

Jemu poprzedniej nocy śniła się żona, ale nic jej o tym nie powiedział.

Pomógł jej nakryć do stołu.

– A przy okazji, jak twoja noga?

Wiedziała, że nie lubił o tym rozmawiać, ale parę razy przygotowała dla niego butelkę z gorącą wodą i on brał ją do łóżka, a potem mówił, że mu pomogła.

– Zimno mi raczej nie służy. Ciesz się, że jesteś młoda. Twoja babka i ja nie mamy tego szczęścia. Uśmiechnął się do niej patrząc, jak nakładała mizerną potrawkę do trzech brzydkich obtłuczonych misek. Rozpląkałaby się na pewno, gdyby zaczęła myśleć o pięknej porcelanie używanej na co dzień w pałacu na Fontance. Tak wiele było rzeczy, które uważali za oczywiste i stracili je bezpowrotnie. Strasznie było myśleć teraz o tym, kiedy Antoine pukał do drzwi sypialni, by poprosić Eugenię na kolację. Był zmartwiony, kiedy powrócił bez niej i spojrzął na Zoję ponad niewielkim kuchennym stołem.

– Mówi, że nie jest głodna. Czy myślisz, że powinienem sprowadzić tego lekarza dzisiaj?

Zoja zawahała się przez chwilę, ważąc decyzję. Nocne wezwanie do domu mogło być jeszcze droższe od wizyty w gabinecie.

– Zobaczymy po kolacji, jak się będzie czuła. Może jest po prostu zmęczona. Zaniosę jej zaraz trochę herbaty. Czy leży w łóżku?

Potrząsnął głową z wyrazem zatroskania.

– Drzemie w fotelu nad swoją robótką.

Robiła ten sam mały kwadrat od wielu miesięcy, obiecując, że któregoś dnia będzie z tego sweter dla Zoi.

Zasiedli więc oboje do stołu i za milczącą zgodą nie ruszali trzeciej miski, mimo że mieli wielką ochotę. Możliwe, że Eugenia zdecydowała się jednak zjeść swoją kolację.

– Jak było na próbie?

Zawsze interesował się tym, co robiła. Chociaż nie był szczególnie przystojny, miał coś chłopięcego w oczach. Przerzedzające się blond włosy starannie rozdzielał przedziałkiem na dwie strony, jego ładne ręce, co już dawno zauważyła, już mu nie drżały, przestał też być taki nerwowy jak przedtem, mimo że noga nie przestawała go boleć.

– Nie najgorzej. Czekam z niecierpliwością na powrót Ballets Russes. Chciałabym znów z nimi tańczyć. Ci ludzie, z którymi teraz pracuję, nie mają pojęcia, jak się to robi.

Ale przynajmniej były z tego jakieś pieniądze na życie. W zimie 1917 roku praca była w Paryżu zbyt cenna, by móc z niej łatwo zrezygnować.

– Natknąłem się dzisiaj w kawiarni na kilka osób, które rozmawiały o zamachu stanu, jakiego dokonano w zeszłym miesiącu w Rosji.

Dyskutowano w nieskończoność o Trockim, Leninie i bolszewikach z dwoma pacyfistami, którzy tak się wściekli, że zagrozili, iż pobiją dwóch pozostałych. – Uśmiechnął się łobuzersko. – To był pacyfizm w swoim najlepszym wydaniu. Właściwie podobała mi się ta dyskusja.

W tym czasie darzono bolszewików sporą nienawiścią i Antoine, podobnie jak większość, podzielał poglądy pacyfistów.

– Zastanawiam się, jaki to będzie miało wpływ na losy Romanowów – wtrąciła Zoja cicho. – Dawno już nie miałam żadnego listu z Syberii.

Martwiło ją to, ale być może Botkin nie mógł już przekazywać jej listów Maszce. Trzeba było przyjąć taką możliwość i czekać cierpliwie na odpowiedź. W tych czasach wszystko wymagało cierpliwości.

Ludzie czekali na nadejście lepszych dni. Miała tylko nadzieję, że wszyscy ich dożyją. Mówiło się, że istniała możliwość ataku na Paryż, co wydawało się mało prawdopodobne w sytuacji, gdy Anglicy i Amerykanie rozszani byli po całej Francji. Jednak po tym, co zobaczyła w Rosji dziewięć miesięcy wcześniej, wiedziała, że wszystko było możliwe.

Wstała, by zanieść babce pozostawioną dla niej miskę z posiłkiem, lecz po paru minutach wróciła z nią z powrotem do kuchni i powiedziała cicho do Antoine'a:

– Śpi. Może powinniśmy po prostu pozwolić jej spać. Okryję ją kocem, żeby nie zmarzła.

Był to jeden z tych koców, które Clayton dał im zeszłego lata.

– Nie zapomnij jutro zostawić mi nazwiska tego lekarza, zanim

wyjdiesz.

Skinął głową, a potem spojrzął na nią pytająco.

– Czy chcesz, żebym z tobą poszedł?

Ale tylko pokręciła głową, wciąż miała silne poczucie niezależności.

Nie doszła, przynajmniej nie dobrowolnie, do takiego punktu, by uzależniać się od kogokolwiek, nawet od kogoś tak skromnego, pozbawionego jakichkolwiek pretensji, jak ich lokator.

Skończyła zmywanie i usiadła w pokoju gościnnym, tak blisko kominka, jak tylko mogła, by ogrzać sobie ręce, a on stał w milczeniu i patrzył na nią. Ogień rzucał złote blaski na jej włosy i tańczył w zielonych oczach. Antoine niezdolny oprzeć się jej urokowi tkwił w pobliżu, trochę dlatego, że chciał także się ogrzać, a trochę po to, by być blisko niej.

– Masz bardzo piękne włosy...

Powiedział to machinalnie, po czym się zaczerwienił, kiedy spojrzała na niego zdziwiona.

– Ty też – zażartowała, tak jak kiedyś, gdy przekomarzała się z Mikołajem, co uwielbiali oboje. – Przepraszam... nie chciałam być niedelikatna... Kiedyś tak dokuczaliśmy sobie z bratem.

Zapatrzyła się w ogień w zadumie. Zaś Antoine patrzył na nią.

– Jaki on był?

Jego głos brzmiał miękko. Czuł, że serce mu zaraz pęknie, tak bardzo pragnął choćby jej dotknąć.

– Był cudowny... mądry, zabawny, śmiały i odważny, i bardzo, bardzo przystojny. Miał ciemne włosy, tak jak mój ojciec, i zielone oczy – i nagle się roześmiała, coś sobie przypomniawszy – bardzo lubił tancerki.

– Większość członków rodziny królewskiej miała takie upodobania, łącznie z Mikołajem. – Ale byłby teraz na mnie zły, gdyby to słyszał. – Spojrzała na Antoine'a ze smutnym uśmiechem. – Byłby wściekły, gdyby wiedział, że teraz tańczę...

Jej myśli podryfowały gdzieś znowu, a Antoine przyglądał się jej.

– Jestem pewien, że zrozumiałby to. Wszyscy robimy to, co musimy robić, żeby przetrwać. Nie ma zbyt wielkiego wyboru. Musieliście być sobie bardzo bliscy.

– Bardzo się kochaliśmy. – A potem nieoczekiwanie dodała: – Moja matka postradała zmysły, kiedy go zabili.

Łzy stanęły jej w oczach, kiedy przypominała sobie, jak leżał zakrwawiony w hallu, a babka obwiązywała jego rany kawałkami swojej halki, do ostatniej chwili próbując go ratować. Było to bardzo bolesne wspomnienie. Właśnie wtedy Sawa podeszła cichutko do jej krzesła i polizała ją po ręce, sprowadzając jej myśli do terażniejszości. Siedzieli przez dłuższy czas w milczeniu. Przysunął drugie krzesło, jedyne jakie jeszcze było w pokoju, i siedzieli przy kominku, zatopieni w swoich myślach, dopóki Antoine nie zapytał nieco śmieiej:

– Co chciałabyś robić w życiu? Czy myślałaś o tym kiedykolwiek?

Wydawała się zaskoczona tym pytaniem.

– Będę dalej tańczyć, jak sądzę.

– A co potem?

Chciał wiedzieć o niej więcej i była to rzadka sposobność, by rozmawiać z nią sam na sam.

– Kiedyś chciałam wyjść za mąż i mieć dzieci.

– A teraz? Czy już o tym nie myślisz?

– Raczej rzadko. Tancerki przeważnie nie wychodzą za mąż. Tańczą do upadłego, a potem udzielają lekcji.

Większość wielkich tancerek, o których słyszała, nie miała mężów. Ona sama nawet nie wiedziała, czy jej na tym by zależało. Nie знаła nikogo, o kim mogłaby pomyśleć, że byłby dla niej odpowiedni. Clayton to przyjaciel, ksiązę Markowski za stary, a mężczyźni w jej zespole nie wchodziłi w rachubę, zupełnie też nie wyobrażała sobie, że mogłaby wyjść za mąż za Antoine'a.

– Byłabyś cudowną żoną.

Powiedział to tak poważnie, że zaczęła się śmiać.

– Mój brat powiedziałby na to, że jesteś szaleńcem. Jestem okropną kucharką i nie cierpię robić gulaszu. Mogłabym malować akwarele albo robić na drutach. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym prowadzić dom, nie ma to zresztą na razie żadnego znaczenia...

Myśl o tym wywołała jej uśmiech.

– Małżeństwo nie polega tylko na gotowaniu i szyciu.

– Więc na pewno nie wiem, czy jestem dobra w tym? – zaczerwieniła się i zaczęła się śmiać, i on także się zarumienił.

Łatwo go było zaszokować i Zoja właśnie to zrobiła.

– Ależ, Zoju!

– Przepraszam.

Lecz wyglądała raczej na rozbawioną niż skruszoną, kiedy głaskała małą Sawę. Nawet jej pies wychudł karmiony marnymi resztkami z ich stołu.

– Może któregoś dnia ktoś sprawi, że będziesz chciała porzucić taniec. Źle zrozumiał. Nie tańczyła tylko z tego powodu, że taniec był jej największą pasją, lecz dlatego, że nie miała innego wyboru. Musiała pracować, żeby utrzymać siebie i Eugenię, a to była jedyna rzecz, jaką potrafiła robić. Przynajmniej to było coś.

– Pójdę lepiej położyć babcię do łóżka, bo w przeciwnym razie jutro będzie ją strasznie bolało kolano.

Wstała, wyprostowała się, a Sawa pobiegła za nią do sypialni. Eugenia obudziła się już i właśnie się przebierała w koszulę nocną.

– Chcesz zjeść teraz swoją kolację, Babciu?

Jedzenie nadal czekało na nią w kuchni, ale Eugenia potrząsnęła głową, z uśmiechem znużenia.

– Nie, kochanie. Jestem za bardzo zmęczona, by teraz jeść. Może zostawisz to na jutro? – Podczas gdy cały Paryż cierpiał głód, przestępstwem byłoby marnować jedzenie. – Co robiłaś w tamtym pokoju?

– Rozmawiałam z Antoine’em.

– To dobry człowiek – powiedziała patrząc wymownie na Zoję, która zdawała się tego nie dostrzegać.

– Dał mi nazwisko lekarza, który mieszka na rue Godot-de-Mauroy. Chcę cię do niego zabrać jutro, przed próbą.

– Nie potrzebuję lekarza.

Zapłatała sobie włosy, a potem wsunęła się z trudem do łóżka. W pokoju było zimno i kolana bolały ją okrutnie.

– Nie podoba mi się twój kaszel.

– W moim wieku nawet kaszel jest błogosławieństwem. Przynajmniej wiem, że jeszcze żyję.

– Nie podoba mi się to, co mówisz.

Zacząła mówić takie rzeczy dopiero po śmierci Fiodora. Jego śmierć bardzo ją przygnębiła, tak samo jak fakt, że prawie kończyły im się pieniądze.



## Rozdział dziewiętnasty

Lekarz, do którego Zoja zaprowadziła babkę, powiedział, że to zwykły kaszel, nie gruźlica. Warto było zapłacić tę cenę, żeby usłyszeć tak dobrą wiadomość, lecz Zoja dała mu wszystkie pieniądze, jakie miała. Nawet tak nieznaczna opłata, jaką pobierał, była zbyt wielka na ich skromną kieszeń. Ale nie powiedziała nic o tym Eugenii, kiedy ksiązę Markowski odwoził je do domu. Ksiązę rzucił w jej stronę parę wymownych spojrzeń, które zignorowała, i zostawiła go gawędzącego z babką w ich mieszkaniu, a sama udała się na próbę. Gdy wróciła wieczorem, doszła do wniosku, że babka wygląda trochę lepiej. Lekarz dał jej jakieś lekarstwo na kaszel, które wyraźnie jej pomagało.

Antoine był już w kuchni i gotował obiad. Tego dnia przyniósł do domu kurczaka, będącego w owym czasie rzadkim kąskiem. Oznaczało to, że nie tylko będą tego wieczora mieli z niego kolację, ale także rosół na następny dzień. Kiedy nakrywała do stołu, zaczęła się zastanawiać, czy Maszka snuła w tym czasie podobne rozważania. Może dla niej kurczak stał się także luksusem. Gdyby mogły być razem, pewnie śmiałyby się teraz z tego. Ale nie było przy niej tej, z którą mogłaby tak żartować.

– Cześć, Antoine.

Uśmiechnęła się do niego i podziękowała za to, że powiedział jej o tamtym lekarzu.

– Nie powinnaś była marnować pieniędzy.

Eugenia wstała z krzesła przy kominku i podeszła do niej. Władimir dostarczył im drewna na opał. Ten dzień przyniósł im nieoczekiwane bogactwa.

– Babciu, nie mów głupstw.

Z wielką przyjemnością zjedli we trójkę kurczaka, którego Antoine podał w rosole, a potem zasiedli przy kominku, by napić się razem herbaty. A kiedy Eugenia poszła spać, Antoine został z Zoją, by jeszcze zamienić z nią parę słów. Ostatnio robili to dość często, przynajmniej miała z kim porozmawiać. Opowiadał, jak w dzieciństwie spędzał Boże Narodzenie, i oczy mu przy tym błyszczały. Uwielbiał być w jej towarzystwie.

– Nasze Boże Narodzenie jest później. Zaczyna się szóstego stycznia.

– To na Trzech Króli.

– W całej Rosji odbywają się przepiękne procesje. A raczej odbywały się. Myślę, że pójdziemy tutaj do kościoła prawosławnego. Z jednej strony nie mogła się tego doczekać, z drugiej jednak wiedziała, że będzie to przygnębiające. Wszystkie te zagubione dusze, stojące w kręgu świateł, zatopione w rozpamiętywaniu utraconego świata. Nie była pewna, jak to wytrzyma, lecz wiedziała, że babka będzie nalegała, by poszły. W tym roku nie będzie żadnych podarunków. Nie odłożyły nawet grosza, za który mogłyby je kupić.

Kiedy nadeszły w końcu święta, Antoine zaskoczył Zoję. Kupił jej ciepły szalik, parę ciepłych rękawiczek i maleńką, maciupenką buteleczkę perfum, o których kiedyś wspomniała mimochodem. Właśnie te perfumy wzruszyły ją ogromnie i spowodowały, że zakręciły się jej łzy w oczach. Były to „Lilas”, te same, które tak lubiła Maszka i podarowała je Zoi wiele miesięcy temu. Otworzyła flakonik, a zapach, który zaczął się znad niego unosić, wywołał wspomnienie ukochanej przyjaciółki, uczucie, jakie budziło w niej wszystko to, co kiedyś kochała. Łzy zaczęły powoli spływać po jej policzkach i bez zastanowienia, w szczerym, dziecięcym odruchu zarzuciła Antoine’owi ręce na szyję i ucałowała go. Był to pocałunek siostrzany, lecz przez całe jego ciało przeszedł dreszcz wywołany jej bliskością. Eugenia przyglądała się tej scenie ze łzami w oczach. Dawniej z pewnością nie życzyłaby sobie, aby ktoś taki jak on poślubił Zoję, ale teraz wiedziała, że był to uczciwy mężczyzna, który pracował ciężko i potrafiłby zatroszczyć się o Zoję. Rozmawiał z nią dzień wcześniej i dała mu swoje błogosławieństwo. Z dnia na dzień czuła się coraz słabsza i bała się, że jeśli umrze, nie będzie komu zaopiekować się Zoją. Powinna teraz wyjść za niego, żeby Eugenia mogła być o nią spokojna. Zoja tymczasem, dziękując mu tak serdecznie za perfumy, nie miała pojęcia o tym, co planowali. Jej babce Antoine podarował haftowany szal i tomik poezji rosyjskiej. Zoja była zakłopotana faktem, że one ofiarowały mu jedynie notes i książkę o Rosji. Znalazła ją w księgarni na Quai d’Orsay, na niewielkim, obskurnym stoisku, ale była napisana po francusku, pomyślała więc, że mógłby się z niej ucieszyć. Z pewnością nie aż tak, jak ona cieszyła się z perfum...

Eugenia wymknęła się ukradkiem, zabierając swoje prezenty i zamknęła po cichu drzwi do sypialni, życząc mu w duchu, żeby się

udało i modląc się, by Zoja wykazała rozsądek i nie odrzucała go.

– Musiałeś na to wydać cały majątek – Zoja skarciła go, gdy długim stalowym pogrzebaczem rozniecał żar w kominku, czemu Sawa przyglądała się machając ogonem.

– To nie było rozsądne, ale bardzo miłe, Antoine... Bardzo ci dziękuję. Będę używała tych perfum na specjalne okazje.

Postanowiła, że uperfumuje się za dwa tygodnie z okazji prawosławnego Bożego Narodzenia. Nie chciała ich wcześniej marnować.

Antoine usiadł na krześle naprzeciwko niej i wziął głęboki oddech, próbując zebrać całą odwagę. Był od niej o trzynaście lat starszy, lecz nigdy w życiu nie czuł takiego przerażenia jak teraz. Nawet Verdun nie było straszne w porównaniu z sytuacją, w której trzeba było stawić czoło Zoi.

– Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać, Zoju. Skoro już o tym wspomniałaś...

Czuł, jak pocą mu się dłonie, gdy patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o to... – serce waliło mu jak młotem – to znaczy... kocham cię, Zoju.

Ledwie dosłyszała, co powiedział, patrzyła na niego kompletnie zaskoczona.

– Co takiego?

– Kocham cię. Kocham cię od pierwszego dnia, kiedy cię tutaj ujrzałem. Miałem nadzieję, że się domyślasz.

– Dlaczego miałabym się domyślać?

Była równie zdumiona, co wściekła. Zepsuł wszystko. Jak mogli pozostać nadal przyjaciółmi, skoro był taki głupi.

– Nawet mnie dobrze nie znasz!

– Mieszkamy razem już dwa miesiące. To wystarczająco długo. Nie musiałyby się nawet nic zmieniać. Moglibyśmy tu zostać, tyle tylko, że spałabyś w moim pokoju.

– Cudownie! – Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. – Tylko niewielka zamiana pokoi i wszystko będzie po dawnemu. Jak możesz nawet coś takiego proponować? Wszyscy przymieramy głodem, żadne z nas nie

ma nawet jednego sou i ty chcesz się żenić. Dlaczego? Po co? Ja przecież cię nie kocham, nawet cię nie znam ani ty mnie... Antoine, jesteśmy dwojgiem obcych ludzi!

– Nie jesteśmy obcy, jesteśmy przyjaciółmi. Czasem najlepsze małżeństwa zaczynają się właśnie od tego.

– Nie wierzę w coś takiego. Ja chcę być zakochana w mężczyźnie, którego poślubię, zakochana szaleńczo, namiętnie, całkowicie. Chcę, żeby było pięknie i romantycznie.

Wyglądał bardzo smutno, kiedy tak na niego krzyczała, lecz jej krzyk był zwrócony bardziej przeciwko losowi, który postawił ją w takiej sytuacji, niż przeciwko mężczyźnie, który kupił dla niej jej ulubione perfumy.

– Twoja babcia uważa, że moglibyśmy być ze sobą bardzo szczęśliwi. Była to najgorsza rzecz, jaką mógł powiedzieć. Zaczęła znowu chodzić po pokoju, prawie nie panując nad ogarniającą ją furia.

– Więc ożeń się z moją babcią! Ja nie mam zamiaru wychodzić za mąż! Nie teraz! Wszystko dookoła jest chore, zimne i wymarłe. Wszyscy klepią biedę i głodują. Świetne warunki, żeby zacząć nowe życie!

– Chcesz po prostu powiedzieć, że mnie nie kochasz.

Siedział spokojnie, gotów nawet to zaakceptować. I ten jego spokój sprawił nagle, że się opamiętała. Usiadła naprzeciw niego i wzięła jego ręce w swoje ciepłe dłonie.

– Nie, nie kocham cię. Ale cię lubię. Uważałam cię za swojego najlepszego przyjaciela. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że kryje się za tym coś więcej. W każdym razie nic poważnego. Nigdy nie powiedziałeś...

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Bałam się. Zastanowisz się jeszcze, Zoju?

Pokręciła ze smutkiem głową.

– Antoine, nie mogłabym tego zrobić. To byłoby nieuczciwe w stosunku do nas obojga. Oboje zasługujemy na coś więcej. – Rozejrzała się wokoło, a potem znowu popatrzyła mu w oczy. – Gdybyśmy się kochali nawzajem, nawet to wszystko nie miałoby znaczenia. Ale teraz ma. Bo ja cię po prostu nie kocham.

– Mogłabyś spróbować.

Wyglądał tak młodzieńczo, pomimo swych ran i strat, jakich doznał.

– Nie, nie mogłabym. Tak mi przykro...

Wyszła z tamtego pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi sypialni, pozostawiając na stole perfumy, szalik i rękawiczki. Popatrzył wtedy dookoła siebie, po czym pogasił światła i poszedł do swojego pokoju. Może jeszcze Zoja zmieni zdanie. Może babce uda się ją przekonać. Uważała to przecież za bardzo rozsądny pomysł. Wiedział jednak, że zrodził się on nie z miłości, lecz z desperacji.

– Zoja?

Babka obserwowała ją z łóżka, kiedy się rozbierała z twarzą zwróconą do okna. Choć nie widziała jej twarzy, wyczuwała instynktownie, że Zoja płacze. Kiedy, przebrana już w nocną koszulę, odwróciła się do niej, oczy jej płonęły.

– Dlaczego to zrobiłaś, Babciu? Dlaczego zachęciłaś go do tego? To było okrutne wobec nas obojga.

Pomyślała o bólu, jaki widziała w oczach Antoine’a, i poczuła się okropnie. Jednak nie na tyle, by wychodzić za niego za mąż. Musiała pomyśleć też o sobie. Wiedziała, że go nie kocha.

– To nie jest okrutne. To jest rozsądne. Musisz wyjść za kogoś, a on będzie się o ciebie troszczył. Jest nauczycielem, jest szanowany i kocha cię.

– Ale ja go nie Kocham.

– Jesteś dziecinna. Nie wiesz, czego chcesz.

Podejrzewała, że Zoja nadal marzyła o Claytonie, mężczyźnie, który był od niej więcej niż dwa razy starszy i od którego nie miała wiadomości od listopada.

– Chcę kochać mężczyznę, którego poślubię, Babciu. Czy żądam za wiele?

Łzy zalewały jej policzki, opadła na jedyny w pokoju fotel i przygarnęła Sawę.

– W normalnej sytuacji, nie. Ale w tych okolicznościach, tak. Musisz być rozsądna. Ja jestem już stara, chora. Co zrobisz, kiedy umrę? Będiesz tutaj sama mieszkała i chodziła tańczyć? Staniesz się stara, zimna i zgorzkniała. Skończ z tymi nonsensami. Przyjmij jego oświadczyzny i naucz się go kochać.

– Babciu! Jak możesz mówić takie rzeczy!

– Ponieważ żyję już dostatecznie długo. Wystarczająco długo, by

wiedzieć, kiedy trzeba walczyć, a kiedy się poddać, i kiedy trzeba pójść na kompromis ze swoim sercem. Czy nie wiesz, że wolałabym cię widzieć jako żonę jakiegoś przystojnego księcia, z powrotem w Sankt Petersburgu, w pałacu takim jak ten na Fontance? Ale nie ma już książąt, wszyscy stali się taksówkarzami. Fontanka zniknęła, Rosji już nie ma. To jest wszystko, co zostało, Zoju, może już na zawsze. Musisz się dostosować. Nie mogę zostawić cię samej. Muszę wiedzieć, że ktoś będzie się o ciebie troszczył.

– Nie obchodzi cię, że ja go nie kocham?

Eugenia pokręciła głową ze smutkiem.

– To nie ma znaczenia, Zoju. Nie teraz. Wyjdź za niego. Nie będziesz żałowała.

Ale on jest brzydki, miała ochotę krzyknąć... jest kulawy i koślawy... lecz w głębi duszy wiedziała, że żadna z tych rzeczy nie miałyby znaczenia, gdyby go kochała. Życie z Antoine'em zawsze byłoby smutne, zawsze byłoby to poniżej jej ambicji. A myśl o tym, że miałyby z nim dzieci, sprawiała, że jeszcze bardziej chciało jej się płakać. Nie chciała go, nie chciała jego dzieci. Nie mogła z nim być.

– Nie mogę.

Czuła się tak, jakby się miała za chwilę udusić.

– Możesz. I musisz. Dla mnie, Zoju... zrób to dla mnie, zanim umrę. Niech wiem, że jesteś bezpieczna przy mężczyźnie, który będzie cię chronił.

– Chronił mnie przed czym? Przed głodem? Wszyscy tutaj głodujemy razem. On nie może tego zmienić. Nie obchodzi mnie to zresztą. Wolę głodować niż wychodzić za mężczyznę, którego nie kocham.

– Nie podejmuj jeszcze ostatecznej decyzji, małeńka. Zastanów się. Zaczekaj trochę. Proszę... ze względu na mnie...

Jej oczy patrzyły na nią błagalnie, a Zoja zalewała się łzami, jakby jej ktoś złamał serce. Jednak następnego ranka łzy obeschły i pierwsza rzecz, jaką zrobiła, to była rozmowa z Antoine'em.

– Chcę, żebyś wiedział, bez cienia wątpliwości, że nie wyjdę za ciebie, Antoine. Chcę zapomnieć, że to w ogóle się zdarzyło.

– Ja nie mogę zapomnieć. Nie mogę nadal mieszkać tutaj z tobą, wiedząc, jak bardzo ciebie pragnę.

– Przedtem mogłeś.

Nagle przestraszyła się, że stracą lokatora.

– To było co innego. Ty wtedy nie wiedziałaś, a teraz wiesz.

– Będę zachowywała się tak, jakbyś tego nigdy nie powiedział. Wydawała się przestraszona i znowu wyglądała dziecinnie.

Uśmiechnął się do niej smutno.

– To nie będzie działało. Jesteś pewna swojej decyzji, Zoju? Nie mogłabyś jeszcze się nad tym zastanowić?

– Nie. Nie chcę robić ci fałszywej nadziei. Nie mogę wyjść za ciebie. Nie zrobię tego. Nigdy.

– Czy jest ktoś inny?

Wiedział, że miała przyjaciela Amerykanina, ale nigdy nie sądził, aby łączyło ich coś poważnego.

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu mam takie marzenie. A jeśli zrezygnuję z marzeń teraz, nie będę miała już niczego. One są wszystkim, co mi pozostało.

– Może po wojnie będzie lepiej. Może nawet moglibyśmy mieć własne mieszkanie.

Jego marzenia były takie niewielkie, a ona pragnęła czegoś o wiele więcej. Pokręciła przecząco głową i tym razem przyjął to jako ostateczną odpowiedź.

– Antoine, nie mogę. Uwierz mi.

– Wobec tego będę musiał się wyprowadzić.

– Nie rób tego... proszę... przysięgam, że będę schodziła ci z drogi.

Babci serce pęknie, jeśli odejdziesz.

– A ty, Zoju? Czy będziesz za mną tęskniła?

– Myślałam, że jesteś moim przyjacielem, Antoine – powiedziała ze smutkiem.

– Jestem. Zawsze będę. Ale nie mogę tu zostać.

Zostało mu jeszcze trochę godności. Kiedy jednak tego popołudnia pakował swoje rzeczy, Zoja wpadła w panikę. Zaczęła go błagać, żeby został, obiecując mu wszystko, co tylko możliwe, oprócz małżeństwa. Bez jego wkładu w opłaty za czynsz i jedzenie będą w jeszcze bardziej rozpaczliwej sytuacji. Nic na to nie może poradzić – było jego jedyną odpowiedzią. Nawet Eugenia z nim rozmawiała, obiecując, że przemówi Zoi do rozsądku, ale on dobrze wiedział. Widział oczy Zoi i słyszał jej słowa. Miała rację. Nie należała do tego rodzaju kobiet.

– Lepiej będzie, jak odejdę. Poszukam sobie jutro innego pokoju.

– Głupia z niej dziewczyna.

To samo powiedziała Zoi jeszcze raz wieczorem. Że marnuje swoją jedyną szansę na małżeństwo.

– Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek wyjdę za mąż – odparła Zoja z oczami pełnymi łez.

Następnego ranka, nim Zoja wstała, Antoine zabrał swoje rzeczy i odszedł, zostawiwszy jej list. Zoja znalazła list na stole, a także trzy banknoty. List był przyciśnięty buteleczką perfum, które podarował jej na Boże Narodzenie. Życzył jej w nim szczęśliwego życia.



## Rozdział dwudziesty

Następne trzy tygodnie upłynęły dość ponuro w mieszkaniu przy Palais Royal. Ballet został zawieszony na trzy tygodnie i chociaż rozpuścili wiadomość o poszukiwaniu lokatora za pośrednictwem Władimira, nikt nowy się nie pojawiał. Zasmucona tym, co zrobiła Zoja, Eugenia jakby się nagle postarzała i mimo że kaszel jej prawie przeszedł, zdawało się, że słabnie.

Niemal codziennie powracała do sprawy Antoine'a, a ich sytuacja materialna tak się pogorszyła, że wkrótce po Nowym Roku Eugenia zesłała z wysiłkiem po schodach i Władimir zawiózł ją do jubilera na rue Cambon. Cała ta wyprawa ledwie jej się opłaciła, ale nie miała wyboru. Ostrożnie odwinęła zawiniątko, które przyniosła, i ukazała się złota papierośnica Konstantego oraz trzy srebrne pamiątkowe pudełka Mikołaja. Na wierzchu miały inkrustowane emaliowane miniatury insygniów wojskowych, wygrawerowano też na nich różne zabawne powiedzonka i imiona jego przyjaciół, w jednym pudełku mieściła się mała żabka i rząd maleńkich emaliowanych słoni. Były symbolem wszystkiego tego, co Mikołaj uważał za bliskie sobie. Każde z nich było podarunkiem od przyjaciół. Eugenia obiecywała kiedyś sobie i Zoi, że nigdy ich nie sprzeda.

Jubiler natychmiast rozpoznał, że była to robota Faberge, ale widział już niestety ponad tuzin podobnych rzeczy.

– Nie mogę dać pani za to zbyt wiele – przeproszał. Suma, którą napisał na kwicie, wywołała łzy w jej oczach, lecz musiały coś jeść. A miała taką nadzieję, że będą mogły zatrzymać sobie te pudełka.

– Przykro mi, madame.

Podniosła głowę z milczącą godnością i bez słowa przyjęła zaoferowaną przez niego kwotę. Przeżyją za to niecały tydzień, pod warunkiem, że będą kupowały wyłącznie podstawowe rzeczy.

Księżę Władimir spostrzegł jej niezwykłą błądź, kiedy wychodziła, ale jak zwykle nie zadawał kłopotliwych pytań. Po prostu odwiózł ją do domu, zatrzymawszy się po drodze, żeby kupić bochenek chleba i bardzo chudego kurczaka. Zoja czekała na nich, trochę przygnębiona, lecz wyjątkowo piękna.

– Gdzie byliście? – zapytała, kiedy pomogła babce usiąść na krześle, a

Władimir zszedł na dół przynieść więcej drewna.

– Władimir zabrał mnie na przejażdżkę. Zoja podejrzewała, że chodziło o coś więcej.

– To wszystko?

Już miała powiedzieć, że tak, ale przeszkodziły jej łzy. Rozpłakała się, jakby życie nagle ją zdradziło, czuła się zmęczona i stara. Nie mogła nawet pozwolić sobie umrzeć. Musiała się zatroszczyć o Zoję.

– Babciu, co ty zrobiłaś? – Zoja nagle się przestraszyła.

Ale stara kobieta wyjęła koronkową chusteczkę, którą nadal nosiła przy sobie, i wydmuchała nos.

– Nic, moja kochana. Władimir był tak miły, że zaproponował, iż zawiezie nas do św. Aleksandra Newskiego dziś wieczorem. Nadeszła ich wigilia i Zoja wiedziała, że będą tam wszyscy Rosjanie mieszkający w Paryżu. Nie była jednak pewna, czy nie zaszkodzi babce, jeśli pójdzie do kościoła na nocną mszę. Może byłoby lepiej, żeby zostały w domu. Nie była poza tym w odpowiednim nastroju. Eugenia wyprostowała się i wyglądała surowo, a potem uśmiechnęła się do Władimira, kiedy przyniósł drewno.

– Czy na pewno czujesz się na siłach, Babciu?

– Oczywiście. – Jakie to miało teraz znaczenie? – Jeszcze nigdy nie opuściłam pasterki na Boże Narodzenie.

Wiedziały jednak, że będzie to dla nich trudny rok. Straciły tak wielu bliskich... Nabożeństwo przypomni im poprzedni rok, kiedy obchodziły Boże Narodzenie w otoczeniu tych, których kochały. Zoja myślała cały dzień o Maszce i tych, którzy spędzali święta w Tobolsku.

– Będę z powrotem o jedenastej – obiecał Władimir wychodząc. Zoja planowała, że włoży swoją najlepszą sukienkę, a Eugenia wyprała i uprasowała swój jedyny porządny koronkowy kołnierz, żeby przypiąć go do czarnej sukni, którą kupiła jej kiedyś Zoja.

Była to samotna wigilia w cichym mieszkaniu, z niezamieszkanym pokojem Antoine'a, wionącym pustką jak jakieś widmo. Parę dni wcześniej Eugenia zaproponowała Zoi, by się tam wprowadziła, ale ona nie mogła się przełamać. Po tym jak mieszkał tam Fiodor, a potem Antoine, nie chciała być w tym pokoju i wołała nadal spać ze swoją babką czekając, aż znajdą nowego sublokatora.

Tego wieczora przyrządziła dla niej kurczaka, opiekając go starannie w

ich maleńkiej kuchence. To, że nie ugotowały na nim rosółu, było luksusem, ale zrobiły sobie z tego swój jedyny świąteczny podarunek i obie z desperacją starały się nie wspominać minionych dni dobrobytu i przepychu. Wigilię zawsze spędzali w domu, potem szli o północy do kościoła, a drugiego dnia świąt jechali do Carskiego Sioła, żeby spędzić ten czas razem z Mikołajem i resztą rodziny. Zamiast tego wszystkiego siedziały teraz i rozmawiały o smaku kurczaka, o wojnie, napomknęły coś o Władimirze, o wszystkim, byleby tylko omijać swoje myśli. Wtedy właśnie Zoja usłyszała delikatne pukanie do drzwi, wstałaby zobaczyć, kto to może być. Odsunęła Sawę, która kręciła się pod nogami licząc, że dostaną się jej jakieś kąski.

– Kto tam?

Czyżby ich modlitwy zostały wysłuchane, zastanawiała się Zoja, i zjawiał się właśnie ich nowy sublokator, skierowany do nich przez Władimira albo jednego z jego przyjaciół. Ale pora była dość nietypowa, jak na tego rodzaju wizytę i Zoja była kompletnie zbita z tropu, gdy usłyszała znajomy głos... niemożliwe, żeby to był... ale to był on. Otworzyła drzwi i stała wpatrując się w niego z niedowierzaniem, aż obejrzała go od stóp do głów, w pełnym umundurowaniu, z epoletami i czapką, na której świeciły mosiężne insygnia. Twarz miał poważną, a jego niebieskie oczy spoglądały na nią ciepło.

– Wesołych Świąt, Zoju.

To był Clayton we własnej osobie. Nie widziała go przez cztery miesiące, lecz on pamiętał, jak ważna to była dla nich data i poruszył niebo i ziemię, żeby wyjechać w porę z Chaumont i móc spędzić z nimi te szczególne dni. Dostał czterodniową przepustkę i chciał spędzić ten czas z Zoją.

– Czy mogę wejść do środka?

Stała w drzwiach zaskoczona, niezdolna wykrztusić słowa, patrzyła na niego oniemiała.

– Ja... mój Boże... czy to naprawdę ty?

– Tak przypuszczam.

Uśmiechnął się i schylił się lekko, żeby pocałować ją w policzek. Ich letni flirt nie posunął się poza niewinny pocałunek, ale znowu zapragnął wziąć ją w ramiona. Prawie zapomniał, jaka była piękna, a oto stała

przed nim smukła i pełna niewysłowionego wdzięku.

Weszła za nim do środka, patrząc radośnie na jego proste plecy i szerokie ramiona, a jej serce przepełniała radość po brzegi, kiedy witał się z Eugenią. Zauważyła, że trzymał jakąś torbę, z której zaczął wyjmować niewiarygodne skarby. Były tam świeże ciasteczka z prowincji, tabliczka czekolady, trzy duże tłuste kiełbasy, główka świeżej sałaty, trochę jabłek i butelka wina z piwnic samego generała Pershinga. Były to dla nich niewypowiedziane bogactwa, coś, czego nie oglądały od wielu miesięcy. Ale Zoja patrzyła przede wszystkim na niego, okrągłymi za szczęścia oczami, a na jej twarzy malowało się uwielbienie.

– Wesołych Świąt, hrabino – powiedział cicho. – Brakowało mi was obu.

Lecz nawet w połowie nie tak bardzo, jak Zoi brakowało jego. Dotarło to do niej jeszcze bardziej teraz, kiedy stał przed nimi.

– Dziękuję, kapitanie. Co słychać na wojnie? – spytała Eugenia cicho obserwując swoją wnuczkę i to, co ujrzała, od razu rozjaśniło ją i ogrzało jej serce. To był ten mężczyzna, którego Zoja pragnęła, jeżeli nawet o tym nie wiedziała. Malowało się to wyraźnie na jej twarzy. Clayton był przystojny, dumny i bardzo męski, kiedy tak stał w ich maleńkim pokoju, a wszystko przy nim wydawało się pomniejszone.

– Niestety jeszcze się nie skończyła, ale staramy się o to. Sądzę, że w ciągu paru miesięcy powinniśmy zapanować nad sytuacją.

Pozostałości z ich kolacji nadal były na stole, wyglądając teraz mizernie i Zoja patrzyła głodnym wzrokiem na czekoladę. Ze śmiechem zaproponowała babce jedną kostkę, a sama połknęła dwie, niczym wygłodniałe dziecko i Clayton zaczął się śmiać. Był bardzo szczęśliwy, że znowu ją widzi.

– Będę musiał zapamiętać, jak bardzo to lubisz – żartował biorąc ją delikatnie za rękę.

– Mmm?... cudowne!... dziękuję ci bardzo...

Eugenia patrzyła na nią i śmiała się. Wyglądała znowu tak dziewczęco i taka była szczęśliwa. Ponad głową Zoi stara kobieta napotkała oczy kapitana. Zauważył, że postarzała się w ciągu tych czterech miesięcy, obie zresztą zeszczipły, były mizerne i zmęczone, lecz Zoja nadal była piękna. Tęsknił za tym, by wziąć ją w ramiona i mocno przytulić.

– Proszę, niech pan usiądzie, kapitanie – zaprosiła Eugenia. Wyglądała elegancko i prezentowała się godnie mimo swojego wieku i dolegliwości, jak też ciągłych wyrzeczeń dla Zoi.

– Dziękuję. Idziecie panie do kościoła dziś w nocy?

Wiedział, że w ich religii panował taki zwyczaj, Zoja opowiadała mu o procesjach ze świecami, jakie odbywały się w Rosji w wigilię. Teraz chciał pójść z nimi. Zrobił wszystko, co się dało, żeby być z nimi w tę szczególną noc. Zoja, kiwając wymownie głową, patrzyła pytająco na babkę.

– Czy nie miałby pan ochoty pójść z nami? – zaprosiła go Eugenię.

– Bardzo bym chciał.

Otworzył wino, a Zoja wyjęła kieliszki, które podarował im zeszłego lata, i przyglądała się w milczeniu, jak nalewał. Wydawało jej się, że to sen móc patrzeć na niego, jak stoi tam w swoim mundurze, to było prawie nierealne, cudowne złudzenie. Nagle przypomniała sobie, co powiedziała Antoine’owi, że nie poślubi mężczyzny, którego nie pokocha. Uświadomiła sobie, że właśnie tego mężczyznę kocha.

Wyszłaby za niego, choćby miał nie wiadomo ile lat, bez względu na to, gdzie był i co im się przytrafiło... ale to były tylko głupie myśli. Nawet do niej nie pisał przez ostatnie dwa miesiące. Nie miała pojęcia, czy kochał ją, czy mu na niej zależało, wiedziała jedynie, że jest szczodry i dobry, i w wigilię Bożego Narodzenia znowu pojawił się w jej życiu.

Nic poza tym. Natomiast Eugenia, kiedy na nich patrzyła, wiedziała więcej. Więcej, niż przeczuwał nawet Clayton.

Władimir przyjechał zaraz po jedenastej i był zaskoczony, zobaczywszy Clayтона. Hrabina dokonała prezentacji. Władimir przyglądał się Amerykaninowi badawczo próbując odgadnąć, kim właściwie był i co tam robił, ale blask w oczach Zoi mówił sam za siebie. Mogło się zdawać, że przetrwała ostatnie miesiące tylko po to, by przeżyć tę właśnie chwilę. Kiedy hrabina nalewała księciu wino, Clayton poszedł za Zoją na chwilę do kuchni, dotknął delikatnie jej ramienia i przyciągnął ją miękko do siebie. Musnął ustami jej jedwabiste włosy i przymknął oczy.

– Okropnie za tobą tęskniłem, maleńka moja... chciałem do ciebie napisać, ale nie mogłem. Obowiązuje nas teraz ścisła tajemnica. Cud, że w ogóle pozwolili mi tutaj przyjechać.

Był bardzo poważnie zaangażowany w działania Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych. Odsunął ją lekko i popatrzył na nią ciepło swoimi niebieskimi oczami.

– Czy tęskniłaś za mną choć troszkę?

Nie mogła mówić, zamiast odpowiedzi lzy napłynęły jej do oczu. Wszystko było takie trudne do zniesienia, bieda, brak żywności, zimowe chłody i wojna, prawdziwy koszmar, i oto zjawiał się on, ze swoimi ciastkami, winem i tymi swoimi silnymi ramionami, które obejmowały ją mocno.

– Bardzo za tobą tęskniłam – powiedziała zachrypniętym szeptem i odwróciła wzrok.

Bała się na niego spojrzeć, mógłby z jej oczu wyczytać zbyt wiele. Ale czuła się przy nim tak bezpiecznie, jakby całe życie czekała tylko na niego. W tym momencie dobiegło ich dyskretne chrząknięcie od drzwi kuchennych i oboje się odwrócili. Księżę Władimir spoglądał na nich ze skrytą zazdrością.

– Powinniśmy wkrótce wychodzić do kościoła, Zoju Konstantinowna – powiedział do niej po rosyjsku i na chwilę jego oczy i oczy Clayтона spotkały się. – Czy wybierze się pan z nami, sir? Panie udają się na pasterkę.

– Z wielką ochotą. – Spojrzał na Zoję. – Czy sądzisz, że twoja babcia miałaby coś przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie – powiedziała Zoja w imieniu ich obu, a zwłaszcza w swoim własnym, i zaczęła się zastanawiać, gdzie Clayton się zatrzymał. Pomyślała, że mogłaby mu zaproponować pokój Antoine’a, lecz słusznie podejrzewała, że jej babka nie uznałaby tego za stosowne. Jakby to miało jakieś znaczenie, teraz kiedy brakowało pożywienia, pieniędzy, nie było ogrzewania i świat, w którym kiedyś się żyło, zniknął. Czy był w ogóle ktoś, kogo obchodziło, co jest stosowne, a co nie. Wszystko to wydawało jej się teraz głupie. Clayton wzięła ją delikatnie za rękę i wyszli z kuchni. Sawa biegła za nimi płacząc się pod nogami i spoglądając w górę z nadzieją, że dostanie jakieś resztki. Zoja sięgnęła po drogocenne ciastko i dała jej.

Eugenia poszła przynieść kapelusz i płaszcz Zoi, zdejmując także swój własny zniszczony płaszcz z wieszaka przy drzwiach. Czekający na nie mężczyźni rozmawiali o wojnie, o pogodzie i o tym, jakie są szanse na

to, żeby za parę miesięcy zapanował pokój. Władimir patrzył na Clayтона bardzo krytycznie, lecz wbrew samemu sobie czuł, że nie potrafi czuć do niego niechęci. Amerykanin był zdecydowanie za stary dla Zoi i byłoby nierozsądne, gdyby hrabina pozwoliła, żeby coś między nimi zaszło. Wojna się skończy, on wróci do Nowego Jorku i zapomni o pięknej dziewczynie, z którą się zabawiał w Paryżu. Nie mógł jednak winić go za to, że pragnął Zoi. On sam nadal za nią tęsknił, choć od miesiąca zabiegał o względy jednej z przyjaciółek jego córki. Była dorodną rosyjską dziewczyną z dobrej rodziny, przyjechała do Paryża ostatniej wiosny, podobnie jak inni Rosjanie. Dorabiała szyciem, żeby załatać dziury w skromnym budżecie. Miały spotkać się z nim w kościele – jego córka i ona.

Clayton pomógł hrabinie zejść po schodach. Władimir szedł przodem, prowadząc ich do czekającej taksówki. Jechali wolno przez opustoszałe ulice. Clayton rozglądał się wokoło i patrzył na Zoję. Wyglądała jakby brakowało jej jakiejś rozrywki i porządnych posiłków. Potrzebny był jej także nowy płaszcz, ten, który miała, był zdarty prawie do gołej nitki. Spozrzegł to, kiedy przed cerkwią Św. Aleksandra Newskiego przewiewał ich lodowaty wiatr.

Była to piękna stara cerkiew, w środku znajdowały się już tłumy ludzi. Kiedy wchodzili, od strony frontowych schodów rozległa się muzyka, a dookoła słychać było cichy szmer głosów. Owionął ich słodki zapach kadzideł i ciepło. Zoja zobaczyła znajome twarze, słyszała brzmienie ojczystego języka i znowu zakreśliły się jej łzy w oczach. Zdawało jej się, że wróciła do domu, otaczały ją twarze bliskich i serdecznych ludzi, z których każdy trzymał w ręku długą świecę. Władimir wręczył jedną Eugonii, drugą Claytonowi, a Zoja wzięła swoją z rąk małego chłopca, który spojrzał na nią i uśmiechając się nieśmiało życzył jej Wesołych Świąt. Myślała teraz jedynie o innych świętach, minionych dniach... o Maszce, Oldze, Tatianie i Anastazji... o cioci Alix i wujku Nickym... i małym Aleksym... chodzili co roku razem na nabożeństwo Wielkanocne, bardzo podobne do tego... i kiedy próbowała uciec od tych wspomnień, Clayton ujął ją delikatnie za rękę i zatrzymał jej dłoń w swojej, jakby przeniknął jej myśli i odgadywał, jak ważne było dla niej to, co działo się w cerkwi. Otoczył ją ramieniem i, kiedy zaczęli śpiewać, zachwyciło go piękno ich potężnych głosów wznoszących się

chórem w rosyjskiej pieśni. Po policzkach mężczyzn spływały łzy i wiele kobiet płakało także na wspomnienie życia, jakie ich łączyło w miejscu, którego nigdy nie zapomną. To było dla Zoi prawie ponad jej siły, zapachy, dźwięki, uczucia tak boleśnie znajome. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby sobie wyobrazić Mikołaja stojącego tam pośród nich i matkę, i ojca. Przytulona do Clayтона, czuła się tak, jakby wróciła do dzieciństwa, jakby znowu była w Rosji.

Po mszy podchodziło do nich mnóstwo znajomych. Mężczyźni kłaniali się i całowali Eugenię w rękę, ci, którzy kiedyś służyli u nich, przyklękali przed nią. Ludzie obejmowali się serdecznie nie kryjąc swoich łez. Clayton przyglądał się temu ze wzruszeniem. Zoja przedstawiała go wielu osobom, których twarze wydawały się jej znajome, choć nie wszyscy byli jej znani osobiście. Spotkała tam Wielkiego Księcia Cyryla i parę innych osób spowinowaconych z Romanowami, wszystkich w starych ubraniach, zdartych butach. Twarze większości tych ludzi nosiły ślady przeżytej tragedii, malował się też na nich smutek i udręczenie. Sama obecność w tym miejscu była bolesna, lecz jednocześnie jakoś dodawała otuchy. Była to jakby krótka wyprawa w przeszłość, przywoływana stale we wspomnieniach, do której wszyscy chcieli powrócić.

Eugenia, która stała obok Władimira, wyglądała na zmęczoną. Trzymała się jednak prosto i z godnością pozdrawiała wszystkich, którzy podchodzili do niej. Straszny był jednak moment, kiedy Wielki Książę Cyryl zbliżył się do niej i zaczął szlochać jak dziecko. Żadne z nich dwojga nie było w stanie wypowiedzieć słowa, Eugenia dotknęła go tylko w milczącym geście błogosławieństwa. Zoja wzięła ją wtedy delikatnie pod ramię i spojrzawszy na Władimira poprowadziła do jego taksówki. Ta noc była dramatyczna dla wszystkich, ale udział w tej uroczystości znaczył dla nich wiele.

– To była piękna msza – powiedział Clayton cicho, ogromnie poruszony.

Ludzi, którzy tam przyszli, połączyła miłość, wiara i smutek. Odnosiło się wrażenie, że zjednoczeni modlili się w ciszy wszyscy za swojego cara, jego żonę i dzieci. Clayton zastanawiał się, czy Zoja miała jakieś nowe wieści od Marii, ale nie śmiał o to pytać w obecności Eugenii. Wiedział, że był to zbyt bolesny temat.



– Dziękuję, że pozwoliła mi pani pójść z wami.

Clayton odprowadził je na górę, do ich mieszkania, gdzie Władimir rozlał do kieliszków resztkę przyniesionego przez siebie wina. Patrząc na znużoną twarz Eugenii i jej smutne oczy, Clayton pożałował, że nie przyniósł im brandy. Dołożył do ognia i głaskał w roztargnieniu Sawę, podczas gdy Zoja w milczeniu jadła ciastko.

– Powinnaś się położyć, Babciu.

– Zrobię to za chwilę. – Miała ochotę posiedzieć tam z nimi i zatopić się na chwilę we wspomnieniach. – Wesołych Świąt, moje dzieci. Niech nas wszystkich Bóg błogosławi – spojrzała na nich z czułością. Napila się łyk wina, po czym powoli wstała. – Teraz was opuszczę. Jestem bardzo zmęczona.

Clayton zauważył, że chodziła z wielkim trudem. Zoja odprowadziła ją do sypialni i po paru chwilach wróciła. Władimir wyszedł wkrótce potem, rzucając Claytonowi jeszcze jedno zazdrosne spojrzenie na pożegnanie. Ale tamten się tylko uśmiechnął. Szczęściarz, Zoja patrzyła na niego z takim uwielbieniem, pomyślał książkę. Była taka młoda, piękna i pełna życia.

– Wesołych Świąt, Zoju.

W jego oczach malował się smutek, czuł jeszcze wzruszenie, jakie wywołało w nim nocne nabożeństwo.

– Wesołych Świąt życzę panu także, Władimirze.

Ucałował ją w oba policzki i pospieszył na dół do swojej taksówki. W domu czekała na niego córka wraz ze swoją przyjaciółką. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Zoja odwróciła się do Clayтона. Uczucia, jakie ją przepełniały, były tak różne: słodycz mieszała się z goryczą, radość ze smutkiem. Wspomnienia i rzeczywistość... Konstanty, Mikołaj...

Władimir... Fiodor... Antoine... i teraz Clayton. Przed oczyma miała ich wszystkich...

Clayton podszedł do niej w milczeniu i ujął jej dłonie, a potem, bez słowa, wziął ją w ramiona i pocałował. Jej włosy lśniły w blasku kominka jak złoto.

– Wesołych Świąt – powiedział po rosyjsku, tak jak to słyszał niezliczoną ilość razy w cerkwi.

Powtórzyła to samo i przez długą chwilę stali przytuleni do siebie.

Clayton gładził ją delikatnie po włosach i słuchał, jak ogień trzaska w

kominku. Sawa położyła się przy ich nogach.

– Kocham cię, Zoju – nie chciał jej tego jeszcze mówić, chciał się najpierw upewnić, ale teraz już pozbył się wątpliwości. Wiedział o tym od września, od chwili, kiedy ją opuścił.

– Ja też cię kocham – wyszeptwała słowa, które jemu przyszyły tak łatwo.

– Och, Claytonie... tak cię kocham...

I co dalej, trwała przecież wojna, w końcu będzie musiał wyjechać z Paryża i wrócić do Nowego Jorku. Nie chciała teraz o tym myśleć. Po prostu nie mogła.

Pociągnął ją delikatnie w stronę kanapy i usiedli, trzymając się za ręce jak para szczęśliwych dzieci.

– Bardzo się przez cały czas martwiłem o ciebie. Chciałbym móc tutaj być przez cały czas.

Teraz mieli jedynie cztery dni, maleńką wyspę paru chwil pośród wzburzonego oceanu, który lada moment mógł ich zatopić.

– Wiedziałam, że wrócisz – uśmiechnęła się. – Przynajmniej miałam taką nadzieję.

Była taka zadowolona, że nie uległa namowom babki, aby wyszła za mąż za Antoine'a. Gdyby jej rad wtedy posłuchała, byłaby już jego żoną albo nawet poślubiłaby Władimira, zanim Clayton zdążyłby do niej przyjechać.

– Próbowałem z tym walczyć.

Westchnął i wyciągnął swoje drugie nogi na brzydkim zielonym dywanie, który był jeszcze bardziej wytarty niż przedtem. Wszystko w tym mieszkaniu było obskurne, stare i odrapane, z wyjątkiem pięknej dziewczyny, która siedziała obok niego, zielonookiej i rudowłosej, o rysach tak pięknie rzeźbionych, jak doskonała kamea. Jej twarz śniła mu się miesiącami, choć robił wszystko, aby o niej zapomnieć.

– Jestem dla ciebie za stary, Zoju. Potrzebujesz kogoś młodego, żeby mógł odkrywać życie razem z tobą i uczynić cię szczęśliwą.

Ale gdzie był ktoś taki? Syn któregoś z rosyjskich książąt posiadający tak samo niewiele jak ona. Prawda była taka, że potrzebowała kogoś, kto by się o nią troszczył, i on chciał być tym kimś.

– To ty mi dajesz szczęście, Claytonie. Taka szczęśliwa nie byłam... – uśmiechnęła się szczerze – już od bardzo, bardzo dawna.

Spojrzała na niego z powagą.

– Nie chcę nikogo młodszego. Nieważne, czy jesteś młody, czy stary. Ważne jest tylko to, co czujemy. Nie obchodzi mnie, czy jesteś bogaty czy biedny, czy masz sto czy dziesięć lat. Kiedy się kogoś kocha, żadna z tych rzeczy się nie liczy.

– Czasami te rzeczy się liczą, maleńka. – Był starszy i miał więcej doświadczenia od niej. – To jest wyjątkowy okres w twoim życiu, straciłaś wszystko, jesteś tutaj uwięziona przez wojnę, w tym obcym kraju. Oboje jesteście tutaj obcy... lecz później, kiedy wszystko się uspokoi, być może spojrzysz na mnie innym okiem i zapytasz siebie: co ja robię z tym mężczyzną? – Uśmiechnął się, pełen obawy, że może się stać dokładnie tak, jak przewidywał. – Wojna dziwnie działa na ludzi. Widział jak to bywało z innymi.

– Dla mnie ta wojna nigdy się nie skończy. Nie będę mogła już wrócić do domu. Tak... niektórzy sądzą, że któregoś dnia będziemy mogli wrócić... ale była następna rewolucja. Wszystko zmieniło się już na zawsze. A teraz jesteście tutaj. To jest nasze życie, to jest rzeczywistość...

Popatrzyła na niego z powagą, nie była już dłużej dzieckiem, bez względu na to, ile miała lat.

– Wiem tylko, jak bardzo cię kocham, nic więcej.

– Sprawiasz, że zaczynam się czuć tak młodo, maleńka moja. Przytulił ją znowu, był taki ciepły i silny, przypominał jej te cudowne chwile, gdy obejmował ją ojciec.

– Przy tobie czuję się taka szczęśliwa.

Tym razem to ona go pocałowała, co sprawiło, że musiał powstrzymać ogarniającą go namiętność. Zbyt długo o niej marzył, pragnął jej, potrzebował i teraz z trudem udawało mu się opanować swoje pragnienie, walczył z uczuciami, jakie w nim wzbudzała. Wstał i podszedł do okna, by spojrzeć na ogród, potem odwrócił się do niej powoli, zastanawiając się, jak potoczy się teraz ich życie. Przyjechał do Paryża specjalnie, żeby się z nią zobaczyć, a teraz bał się tego, co może się zdarzyć. Jedynie Zoja była spokojna i pewna, przekonana, że być z nim to jest właśnie to, co powinna zrobić. Kiedy patrzyła na niego, jej oczy wypełniał spokój.

– Nie chciałbym uczynić nic, czego mogłabyś potem żałować, maleńka.

– I dodał: – Czy będziesz tańczyła w tym tygodniu?

Pokręciła przecząco głową, a on się uśmiechnął, – To dobrze. Będziemy mieli trochę czasu dla siebie, zanim wrócę do Chaumont. Myślę, że powinienem już pójść.

Była trzecia nad ranem, ona jednak nie czuła się zmęczona, kiedy w towarzystwie Sawy odprowadzała go do drzwi.

– Gdzie się zatrzymałeś?

– Generał był tak uprzejmy, że pozwolił mi tym razem zatrzymać się w domu Ogdena Millsa.

Było to miejsce, w którym spotkali się po raz pierwszy, piękny hôtel particulier przy rue de Varennes, na lewym brzegu Sekwany; spacerowali tam w ogrodzie w noc pamiętnego przyjęcia wydanego na cześć Ballets Russes.

– Czy mogę przyjść po ciebie jutro rano?

Skinęła radośnie głową.

– Bardzo bym chciała.

– Przyjdę o dziesiątej.

Pocałował ją jeszcze raz w drzwiach, nie wiedząc, jak się to wszystko skończy, ale pewny jednego: nie było już dla nich odwrotu.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Chyba położyłaś się wczoraj bardzo późno – powiedziała spokojnie jej babka, kiedy jadły śniadanie. Zoja pokroiła dla niej kilka jabłek i zrobiła jej tosta z cennego chleba, który Clayton przyniósł im poprzedniego dnia.

– Nie tak bardzo – odparła popijając herbatę i unikając jej wzroku, po czym ukradkiem chwyciła czekoladkę.

– Wciąż jeszcze dziecko z ciebie, maleńka. Obserwując ją, babka stwierdziła to prawie ze smutkiem. Widziała, co się dzieje i bała się o nią. On był dobrym człowiekiem, ale nie była to pożądana sytuacja. To samo powiedział jej poprzedniego wieczora Władimir i trudno było się z nim nie zgodzić, wiedziała jednak, że nie powstrzyma Zoi. Może kapitan okaże się rozsądniejszy od tego dziecka, lecz było to mało prawdopodobne, skoro odbył całą tę podróż z Chaumont tylko po to, żeby się z nią zobaczyć. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby stało się oczywiste dla każdego, że był szaleńczo zakochany w Zoi.

– Mam osiemnaście lat, Babciu.

– I co z tego?

Stara kobieta uśmiechnęła się smutno.

– To, że nie jestem taka niemądra, jak sądzisz.

– Byłaś na tyle niemądra, że zakochałaś się w mężczyźnie wystarczająco starym, by mógł być twoim ojcem. W mężczyźnie, który przyjechał z innego kraju na wojnę i pewnego dnia wyjedzie zostawiając cię tutaj. Musisz o tym pamiętać, zanim zrobisz coś głupiego.

– Nie mam zamiaru robić nic głupiego.

– Już ja to widzę.

Przecież była w nim zakochana, a to wystarczało, aby cierpiała, gdy on będzie musiał wyjechać, a wyjedzie na pewno, jak tylko skończy się wojna, jeśli nie wcześniej.

– On się z tobą nie ożeni. Powinnaś to wiedzieć.

– Ja wcale nią chcę wychodzić za niego za męż. To było kłamstwo i obie o tym dobrze wiedziały.

Kiedy wkrótce po śniadaniu Clayton zjawił się u nich, Eugenia przywitała go z pewną rezerwą. Przyniósł jej tym razem kwiaty, trzy

świeże jajka i bochenek chleba.

– Rozyję się od tych pana wizyt, kapitanie.

Uśmiechnęła się do niego łaskawie. Był czarującym mężczyzną. Jednak nadal bardzo się bała o Zoję.

– To pani raczej nie grozi, madame. Czy wybrałaby się pani na przechadzkę do Tuilerie ze mną i z Zoją?

– Bardzo chętnie.

Uśmiechnęła się, jakby znowu poczuła się młodziej. Zdawało się, że Clayton wnosi ze sobą wszędzie słońce i radość swoimi prezentami, świadczącymi, jak się o nie troszczy, i łagodnym usposobieniem, które tak bardzo przypominało jej syna, jego ciepłe oczy i szczerzy śmiech.

– Ale obawiam się, że moje kolana są innego zdania. Zdaje się, że tej zimy trochę dokucza mi reumatyzm.

„Trochę”, jak ona to określiła, powaliłoby słabszą kobietę. Tylko Zoja domyślała się, jakie jej to sprawiało cierpienie.

– Czy pozwoli pani wobec tego, żebym zabrał Zoję na spacer?

Był grzeczny i dobrze wychowany; poczuła nagle, że ma dla niego wiele sympatii.

– Bardzo to uprzejmie, że mnie pan o to pyta, młody człowieku. Nie sądzę jednak, żeby komukolwiek udało się zatrzymać Zoję.

Oboje wybuchnęli śmiechem, Zoja tymczasem poszła się przebrać. Z radości na jej twarzy zakwitły rumieńce, przy których wytarte ubrania i znoszone sukienki stawały się nieistotne. Jednak po raz pierwszy od wielu miesięcy zapragnęła włożyć znowu coś ładnego. Tak wiele pięknych sukienek miała w Sankt Petersburgu, wszystkie spłonęły i już ich nie było, ale wciąż o nich pamiętała.

Ucałowała babkę na pożegnanie. Stara kobieta patrzyła na nich, kiedy Clayton podał Zoi ramię, ciesząc się ich szczęściem. W pokoju robiło się jaśniej, kiedy oni tam byli, tacy radosni. Zoja paplała wesoło, kiedy wychodzili, i słychać ich było jeszcze, jak schodzili po schodach.

Kapitan miał do swojej dyspozycji jeden ze sztabowych samochodów, który czekał właśnie przed ich domem.

– Dokąd chciałabyś pojechać? – uśmiechnął się zza kierownicy. – Jestem całkowicie do twojej dyspozycji.

Ona również miała czas. Żadnych prób ani przedstawień – każdą minutę mogła spędzić z Claytonem.

– Pojedźmy na Faubourg St. Honore. Chciałabym zajrzeć do sklepów. Nigdy nie miałam czasu na takie rzeczy, zresztą i tak nie było po co. Opowiadała mu po drodze, jak bardzo ona i Maszka lubiły ładne ubrania i jakie piękne suknie nosiła zawsze ciocia Alix.

– Moja mama też się pięknie ubierała. Ale nigdy nie była szczęśliwa. Było to trochę dziwne wyznanie, jakie zrobiła, lecz wydawało się jej takie naturalne mówić mu o wszystkim. Chciała dzielić się z nim każdą swoją myślą, pragnieniem, każdym marzeniem i wspomnieniem, żeby mógł poznać ją lepiej.

– Mama była bardzo nerwowa. Babcia mówi, że tata ją zepsuł – zachichotała jak mała dziewczynka.

– Ciebie też powinno się psuć. Może kiedyś będziesz tak zepsuta, jak twoja matka.

Roześmiała się szczerze i kiedy zaparkowali samochód i wychodzili, powiedziała:

– Nie sądzę, abym stała się z tego powodu nerwowa. Odpowiedział jej śmiechem, włożył sobie pod ramię jej rękę i tak spacerowali, a godziny mijały jak krótkie chwile.

Zjedli lunch w Café de Flore. Pomyślał, że Zoja jest chyba szczęśliwsza niż poprzedniego lata. Nadal była zaszokowana tym, co się wydarzyło, lecz przynajmniej jej ból trochę zelżał. Minęło już dziewięć miesięcy od jej przyjazdu do Paryża. Wciąż trudno było uwierzyć, że jeszcze rok temu była w Sankt Petersburgu i życie toczyło się wtedy normalnie.

– Czy miałaś ostatnio jakieś wieści od Marii?

– Tak, wreszcie. Píše, że podoba jej się w Tobolsku. To cała ona. Píše, że dom, w którym mieszkają, jest bardzo mały, ona i siostry zajmują jeden tylko pokój, a wujek Nicky codziennie czyta im historię. Mówi, że nawet na Syberii dalej mają lekcje. Myśli, że wkrótce będą mogli wyjechać z Rosji. Wujek Nicky mówi, że rewolucjoniści nie zrobią im nic złego, że chcą ich tylko tam trzymać przez pewien czas. Ale to jest takie okrutne z ich strony i takie głupie.

Zoja była wściekła, że Anglicy nie udzielili im azylu w marcu zeszłego roku. Gdyby to uczynili, byłiby już razem, w Londynie albo w Paryżu.

– Jestem pewna, że babcia pojechałaby do Londynu, gdyby oni tam byli.

– Ale wtedy nie mógłbym cię spotkać, nieprawdaż? A to byłoby

okropne. To chyba dobrze, że przyjechałyście do Paryża, żeby poczekać aż wydostaną się z Rosji.

Nie chciał jej przerażać, ale wątpił, w przeciwieństwie do wielu osób, aby carowi i jego rodzinie zapewniono bezpieczeństwo w Rosji. Lecz było to jedynie jego przeczucie i wołał nie mówić jej tego, co mogłoby ją zmartwić. Skończyli jeść lunch i powędrowali w zimowym słońcu bulwarem St. Germain. Posiłek w Café de Flore był smaczny i Zoja cieszyła się, że może w pełni korzystać z wolnego czasu, nie musi zaprzętać sobie głowy żadnymi próbami ani występami.

Wędrowali przez jakiś czas bez celu, aż w końcu znaleźli się na rue de Varennes i oboje zdali sobie sprawę, że są blisko domu, w którym mieszkał.

– Czy chcesz wejść do mnie na chwilę?

Nosiła jeszcze w sobie urocze wspomnienie tamtej nocy, kiedy spotkali się po raz pierwszy i przytaknęła radośnie, gdy kierowali się w tamtą stronę. Opowiadał jej o Nowym Jorku, o swoim dzieciństwie i latach spędzonych w Princeton. Napomknął, że mieszka w domu przy Piątej Alei i Zoja pomyślała, że to ładnie brzmi.

– Dlaczego nie mieliście dzieci, kiedy byliście jeszcze razem? Nie chciałeś ich mieć?

Miała w sobie niewinność młodości, śmiałość stąpania po niepewnym gruncie drażliwych pytań, które w starszym wieku zwykle się omija. Nie przyszło jej do głowy, że może nie móc mieć dzieci.

– Ja chciałem, ale moja żona nie. Była bardzo piękną, samolubną dziewczyną, o wiele bardziej interesującą się swoimi końmi. Ma teraz piękną farmę w Wirginii i stajnie. Czy w Rosji często jeździłaś konno?

– Tak – uśmiechnęła się – w Liwadii latem i czasami w Carskim Siole. Mój brat nauczył mnie jeździć konno, kiedy miałam cztery lata. Był przy tym bardzo niedobry dla mnie i za każdym razem, kiedy spadałam, mówił, że jestem głupia.

Ale ze sposobu, w jaki to mówiła, Clayton wyczytał, że bardzo go kochała.

Tymczasem doszli do domu Millsa i Clayton otworzył kluczem drzwi. Nikt oprócz niego tam nie mieszkał. Cały sztab generała przebywał w Chaumont.

– Masz ochotę na filiżankę herbaty? – zapytał, kiedy weszli do hallu, a



ich kroki odbijały się echem pośród marmurów.

– Bardzo chętnie.

Na dworze było zimno. W dodatku zostawiła w domu rękawiczki. Nagle, zupełnie bez powodu, przypomniała sobie swoją czapkę z soboli, która została w Rosji. Kiedy uciekały, owinęły sobie głowy grubymi szalami. Jej babka mądrze pomyślała, że eleganckie futrzane czapki za bardzo przyciągałyby uwagę.

Poszła za nim do kuchni; po chwili woda w czajniku już wrzała. Nalał do dwóch filiżanek herbaty, potem siedzieli i rozmawiali, a za ogrodem powoli zachodziło słońce. Miała uczucie, że może z nim tak siedzieć i rozmawiać godzinami, lecz nagle ich głosy przycichły. Zauważyła, że Clayton dziwnie się jej przygląda.

– Powiniennem cię odwieźć do domu. Twoja babcia będzie się martwiła. Była czwarta po południu, nie było ich prawie cały dzień, lecz Zoja przezornie uprzedziła babkę, że być może nie wróci do domu na kolację. Ponieważ Clayton miał tylko cztery dni do wyjazdu, pragnęli spędzić razem każdą chwilę.

– Powiedziałam babci, że wrócę późno. – Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. – Chciałbyś, żebym ugotowała tutaj obiad? – Wydawało jej się, że byłoby to miłe, nie musieliby nigdzie wychodzić, mogliby sobie siedzieć i rozmawiać jeszcze przez parę godzin. – Jest tutaj jakieś jedzenie?

– Nie wiem – uśmiechnął się. Była taka młoda i wyglądała tak pięknie, kiedy tam siedziała – może jednak bym cię gdzieś zabrał? Na przykład do „Maxima”? Chciałabyś?

– Wszystko mi jedno – odparła szczerze. Chciała po prostu być z nim.

– Och, Zoju...

Podszedł i przytulił ją do siebie. Chciał wyciągnąć ją z domu, zanim nastąpi coś, czego mogłaby żałować. Była tak pociągająca, że sprawiało mu to prawie ból. – Myślę, że nie powinniśmy tu zostawać – powiedział cicho, mając o wiele więcej rozsądku niż ona.

– Czy generał byłby zły, że tutaj jestem?

Jej niewinność wzruszyła go. Spojrzał na nią i zaczął się serdecznie śmiać.

– Nie, moja kochana, generał nie byłby zły. Ale jestem pewien, że nie mogę już dłużej nad sobą panować. Jesteś dla mnie zbyt piękna, żeby

można było zostawiać mnie z tobą samego. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, że nie przeskoczyłem przez stół i nie złapałem cię.

Roześmiała się, gdy wyobraziła sobie scenę, jaką jej przed chwilą opisał, i oparła o niego czule głowę.

– To taki miałeś plan, kapitanie?

– Nie. Ale chciałbym tak zrobić.

Oboje byli całkowicie rozluźnieni, gładził czule jej włosy.

– Chciałbym robić tyle rzeczy razem z tobą... pojechać na południe Francji po wojnie... i do Włoch... czy byłaś tam kiedykolwiek?

Pokręciła głową i przymknęła oczy. Czowała się taka rozmarzona będąc z nim.

– Myślę, że powinniśmy pójść – powtórzył miękko. W pokoju było bardzo cicho.

– Pójdę się przebrać. To nie potrwa długo.

Dla niej jednak trwało to całą wieczność, kiedy zwiedzała po cichutku eleganckie pokoje na parterze i nagle ogarnęła ją chęć zrobienia jakiegoś figła, postanowiła wejść po marmurowych schodach i zobaczyć czy uda jej się go znaleźć.

Na pierwszym piętrze było jeszcze parę salonów, piękna biblioteka zapełniona książkami w języku francuskim i angielskim, parę drzwi było zamkniętych; usłyszała dochodzący z oddali jego głos. Śpiewał sobie przebierając się, a ona uśmiechnęła się i poczuła, że nie może bez niego wytrzymać ani chwili dłużej.

– Halo! – zawołała, ale nie usłyszał jej. W łazience była odkręcona woda. Kiedy wrócił do sypialni, stała tam pośrodku, jak młodziutka łania cicho w lesie. On do połowy był nagi, miał na sobie tylko spodnie. Postanowił ogolić się jeszcze szybko, zanim zabierze ją do restauracji. Trzymał w ręce ręcznik, twarz miał jeszcze wilgotną i patrzył na nią zupełnie zaskoczony.

– Co ty tutaj robisz? – Przestraszył się nagle siebie samego.

– Czuję się samotna na dole, bez ciebie.

Podeszła do niego powoli, czując jakąś magnetyczną siłę, jakiej nigdy nie doświadczała. Jakby zupełnie niezależnie od własnej woli coś ją nieodwołalnie przyciągało do niego. Upuścił ręcznik, przyciągnął ją do siebie i zaczął całować jej twarz, oczy, usta, kosztując słodczy jej skóry, aż zaczęło mu się od tego kręcić w głowie.

– Zejdź na dół, Zoju – powiedział zachrypniętym głosem. Chciał ją odsunąć od siebie, ale nie był w stanie tego zrobić.

– Proszę...

Spojrzała na niego zasmucona, prawie zraniona, lecz bez lęku.

– Nie chcę...

– Zoju, proszę... – Ale tylko pocałował ją znowu, a potem jeszcze raz, i jeszcze, aż poczuł jej serce tuż przy swoim bijące bardzo szybko.

– Claytonie, kocham cię...

– Ja ciebie też kocham. – Wreszcie, z bólem, oderwał się od niej. – Nie powinnaś była tu przychodzić, niemądra dziewczyno.

Próbował trochę żartować, kiedy odsunął się i sięgnął do szafy po koszulę, lecz kiedy się odwrócił, ona wciąż tam stała. Koszula wypadła mu z rąk i zbliżył się do niej.

– Nie wytrzymam tego dłużej, maleńka.

Doprowadzała go do szaleństwa swoją młodością i zmysłową urodą.

– Zoju, nigdy sobie nie wybaczę, jeśli...

– Jeśli co? – Dziewczyna gdzieś zniknęła i oto stała przed nim kobieta.

– Jeślibyś się ze mną kochał? Co by to zmieniło, Claytonie? I tak nie ma przed nami żadnej przyszłości... jest tylko teraźniejszość. Nie ma żadnego jutra.

Była to najtwardsza lekcja, jaką otrzymała od życia w minionym roku.

Wiedziała, jak bardzo go kocha.

– Kocham cię.

Była taka drobna i silna zarazem, i pełna dumy. Jego serce było rozdarte, kiedy widział wyraz jej oczu mówiący mu, że ona nie boi się go, ona go tylko kocha.

– Nie wiesz, co robisz. – Trzymał ją znowu w ramionach i kołysał jak dziecko. – Nie chcę cię zranić.

– Nie mógłbyś... za bardzo cię kocham... nigdy mnie nie zranisz. Wtedy zabrakło mu słów, by ją przekonać. Za bardzo jej pragnął, zbyt długo za nią tęsknił. Jego usta spotkały się z jej ustami i nie myśląc o tym, co robi, zaczął zdejmować z niej ubranie i delikatnie zaniósł ją do łóżka. Tulił ją i głaskał, i całował, a ona całowała jego i płakała cicho ze wzruszenia. Jego ubranie jakby samo z niego opadło, wsunęli się do ogromnego łóżka, nad którym wisiał baldachim niczym jakieś błogosławieństwo. Kiedy się kochali, w pokoju było ciemno, ale przy

światle wpadającym z łazienki, mógł widzieć jej twarz, kiedy całował ją i pieścił, i kochał ją jak jeszcze nigdy dotąd nie kochał żadnej kobiety. Wydawało się, że upłynęło wiele godzin, kiedy leżeli cicho obok siebie, a ona wzdychała szczęśliwa tuląc się do niego, jak małe zwierzątko szukające matki. Jego oczy były poważne i myślał o tym, co zrobili, modląc się, żeby nie zaszła w ciążę. Odwrócił się na bok i oparł się na łokciu spoglądając na nią.

– Nie wiem, czy powinienem być na siebie wściekły, czy po prostu pozwolić sobie czuć się tak szczęśliwym, jak ty teraz. Zoju... kochanie, czy nie żałujesz?

Bardzo się tego bał, ale ona uśmiechnęła się po kobiecemu i wyciągnęła do niego ramiona, a on poczuł ogarniające go znowu pożądanie. Leżeli i rozmawiali i znowu się kochali aż do północy i wtedy Clayton spojrzął z przerażeniem na zegar stojący przy łóżku.

– O mój Boże, Zoja! Twoja babcia mnie zabije!

Zacząła się śmiać z niego, gdy wyskoczył gwałtownie z łóżka ciągnąc ją za sobą.

– Ubieraj się... i nawet cię nie nakarmiłem!

– Nie zauważyłam.

Chichotała jak pensjonarka. Nagle odwrócił się i znowu wziął ją w objęcia.

– Kocham cię, ty szalona dziewczyno. Wiesz o tym? Taki stary jestem, a tak cię uwielbiam.

– To dobrze. Bo tak się składa, że ja też cię kocham i wcale nie jesteś stary, jesteś mój! – Pociągnęła go delikatnie za szpakowate włosy i zbliżyła jego twarz do swojej. – Pamiętaj, cokolwiek się z nami stanie, pamiętaj jak bardzo cię kocham!

Tej lekcji życie nauczyło ją bardzo wcześniej, że nigdy nie wiadomo, jakie smutki przyniesie następny dzień. Myśl o tym poruszyła go głęboko i przytulił ją mocno do siebie.

– Nic się nie stanie, maleńka moja, jesteś teraz bezpieczna. Przygotował dla niej kąpiel w ogromnej wannie i dawno zapomniany luksus tego miejsca zupełnie ją oszołomił. Przez chwilę gotowa była sądzić, że znalazła się z powrotem w pałacu na Fontance, kiedy jednak zaczęła wkładać swoją szarą brzydką wełnianą suknię i wsunęła na nogi swoje zdarte czarne buty, rozwiały się jej złudzenia. Nosila czarne wełniane

pończochy, żeby jej było ciepło w nogi, i kiedy spojrzała na siebie w lustrze, doszła do wniosku, że wygląda jak jakaś sierota.

– O Boże, jak ja okropnie wyglądam, Clayton. Jak możesz mnie taką kochać?

– Jesteś piękna, głuptasie. Każda cząstka ciebie jest piękna, twoje rude włosy... wszystko – wyszeptał zanurzając twarz w jej włosach, jakby wdychał zapach letnich kwiatów.. – Uwielbiam cię.

Ledwo udało im się stamtąd wyjść, wiedział jednak, że musi odwieźć ją do domu. Nie mogła zostać z nim na noc. Odprowadził ją na górę, na czwarte piętro, pocałował po raz ostatni w obskurnym ciemnym korytarzu, a kiedy otworzyła kluczem drzwi, ujrzeli Eugenie, która zasnęła w fotelu czekając na nich. Ich oczy spotkały się po raz ostatni, po czym Zoja pochyliła się i pocałowała babkę delikatnie w policzek.

– Babciu?... Przepraszam, że się spóźniłam, nie powinnaś była czekać...

Stara kobieta przebudziła się i uśmiechnęła do nich obojga, nawet taka zaspana, widziała jacy byli szczęśliwi. Było to jak świeży podmuch wiosny w ich brzydkim pokoju. Pomyślała, że nie jest w stanie się na nich gniewać.

– Chciałam się upewnić, że wszystko w porządku. Czy miło spędziliście czas?

Spoglądała na nich, patrząc badawczo w oczy Claytonowi, znalazła w nich jednak tylko dobroć i miłość do Zoi.

– Było cudownie – odpowiedziała Zoja bez żadnego poczucia winy.

Należała teraz do niego i nic już nie mogło tego zmienić. – Czy jadłaś kolację?

– Zjadłam trochę wczorajszego kurczaka i jedno z jajek przyniesionych przez kapitana. Dziękuję panu – odwróciła się do niego usiłując wstać – było wspaniałe, kapitanie.

Poczuł się zakłopotany, że nie przyniósł jej więcej, ale wtedy rano się spieszył. Nagle znowu sobie przypomniał, że nie dał Zoi nic do jedzenia tego wieczora i pomyślał, że musi być bardzo głodna. Nie pamiętali o tym przez wiele długich szczęśliwych godzin, teraz jednak poczuł, że umiera z głodu. Jakby czytając w jego myślach, spojrzała na niego ze źle zamaskowanym uśmiechem i podała mu czekoladki.

Połknął jedną jak winowajca, a drugą włożył jej do buzi, a ona uśmiechnęła się do niego i poszła odprowadzić Eugenię do sypialni.

Wróciła po chwili i znowu się pocałowali. Nie chciał jej opuszczać i wracać do domu, ale wiedział, że musi.

– Kocham cię – wyszeptała czule, zanim wyszedł.

– Ja cię kocham dwa razy bardziej – wyszeptał w odpowiedzi.

– Jak możesz tak mówić?

– Ponieważ jestem starszy i mądrzejszy – zażartował zamykając cicho za sobą drzwi. Zoja stała jeszcze przez chwilę, znowu młoda, szczęśliwa i wolna, a potem pogasiła światła w mieszkaniu.

## Rozdział dwudziesty drugi

Następnego ranka Clayton, nieskazitelnie ogolony, zjawił się z ogromnym koszem jedzenia. Tym razem przeznaczył więcej czasu na zrobienie dla nich zakupów. – Dzień dobry, miłe panie! Był w wyśmienitym humorze, co spostrzegła ku swojemu zmartwieniu Eugenia, wiedziała jednak, że nie może nic zrobić, żeby ich powstrzymać. Clayton przyniósł im mięso i owoce, dwa gatunki sera, ciastka i jeszcze więcej czekolady dla Zoi. Ucałował hrabinę w policzki, uściśnął jej rękę i namówił, żeby wybrała się z nimi na przejażdżkę. Jechali przez Lasek Buloński, śmiejąc się i rozmawiając wesoło, i nawet Eugenia czuła, że młodnieje w ich towarzystwie. Clayton zabrał ją i Zoję na obiad, tym razem do „Closerie des Lilas”, a potem odwieźli ją do domu. Była tak zmęczona, że z trudem udawało jej się pokonać schody, Clayton w końcu ją zaniósł, a ona uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Spędziła z nimi cudowne chwile, mogła zapomnieć o biedzie, wojnie i wszystkich swoich smutkach. Siedzieli długo popijając herbatę w pokoju gościnnym, a później Zoja pojechała znowu z Claytonem do domu na rue de Varennes i tam kochali się namiętnie przez wiele godzin. Tym razem jednak Clayton uparł się, że zabierze ją gdzieś na kolację. Pojechali do „Maxima”, a potem wrócili z żalem do domu Zoi. Kiedy tam dotarli, Eugenia już była w łóżku. Kochankowie chodzili na palcach po pokoju, zającując czekoladki, szepcząc do siebie, całując się w blasku ognia płonącego na kominku i dzieląc się swoimi marzeniami. Zoja pragnęła bardzo spędzić z nim całą noc, ale nie było żadnej szansy, żeby tak się mogło stać. Wychodząc Clayton obiecał jej, że wróci rano. Czuł się jak młody chłopak. Następnego dnia przyszedł później i Zoja zaczynała się już martwić. Nie miały telefonu, żeby móc zadzwonić, wreszcie w pół do dwunastej Clayton zjawił się, targając jakiś ogromny pakunek, zawinięty w brązowy papier. Postawił go ciężko na stole, z wyrazem dziwnego zadowolenia na twarzy, i oznajmił Zoi, że to prezent dla jej babki. Hrabina tymczasem nadeszła i zaczęła rozpakowywać prezent, a Clayton przyglądał się, jak zdejmowała papier, spod którego powoli wyłaniał się niezwykle piękny, srebrny samowar, ozdobiony wygrawerowanymi inicjałami rosyjskiej rodziny, która przywiozła go

do Paryża, a następnie była zmuszona sprzedać. Nie mógł sobie wyobrazić, w jaki sposób udało im się go przywieźć, lecz kiedy zobaczył go w sklepie na lewym brzegu Sekwany, od razu wiedział, że musi go kupić dla Eugenii.

Hrabina wstrzymała oddech i stała patrząc ze zdumieniem na samowar, a jej serce przeszły nagły smutek, gdyż wiedziała, jak drogie były dla niej samej skarby, które musiała sprzedać i jak bardzo to było bolesne. Wciąż nie mogła odżalować papierośnicy, sprzedanej przed Bożym Narodzeniem. Teraz mogła jedynie patrzeć z zachwytem na samowar i na szczodrego dobroczyńcę, który go przyniósł.

– Kapitanie... pan jest dla nas zbyt łaskawy...

Ucałowała go delikatnie, ze łzami w oczach i swoim zwiędłym policzkiem musnęła jego twarz, co wywołało wspomnienie jej syna i męża.

– Jest pan taki dobry.

– Chciałbym móc zrobić więcej.

Przyniósł dla Zoi białą jedwabną sukienkę. Oczy otworzyły jej się szeroko ze zdumienia, kiedy ją rozpakowała. Była zaprojektowana w niewielkim zakładzie krawieckim, który znalazł na Lewym Brzegu, przez kobietę, która nazywała się Gabrielle Chanel. Miała nieduży sklep i wydawała się bardzo utalentowana. Osobiście pokazała mu tę sukienkę. Sprawiała wrażenie osoby bardzo energicznej i wesołej, co w tamtych dniach w Paryżu, pełnym znużonych wojną ludzi, było dość niezwykle.

– Podoba ci się?

Pobiegła zaraz do pokoju, żeby ją przymierzyć, i kiedy się w niej zjawiła, wyglądała znakomicie. Sukienka była prosta i skromna, na tle kremowej bieli rude włosy Zoi wyglądały cudownie. Żałowała tylko, że nie ma do niej odpowiednich butów i nie może włożyć naszyjnika z pereł, który dostała od Papy, lecz niestety spłonął razem z całą Fontanką.

– Jest cudowna, Clayton!

Włożyła ją do obiadu, na który poszli tego dnia, i ta sama sukienka po południu leżała na podłodze w jego sypialni.

Następny dzień był ostatnim dniem jego urlopu, wyjeżdżał po południu, Zoja nie mogła znieść myśli o tym i wczepiła się w niego jak tonące



dziecko, kiedy ją całował. Gdy ją odwiózł do domu, nawet Eugenia wydawała się smutna z powodu jego wyjazdu. Pożegnania stały się w ich życiu zbyt bolesne.

– Niech pan będzie ostrożny, kapitanie... będziemy modliły się za pana każdego dnia – jak modliły się już za wielu bliskich. Podziękowała mu za jego wielką dobroć, a on zwlekał z odejściem, nie chciał wyjeżdżać, nie był w stanie opuścić Zoi ani na chwilę, a co dopiero na nie wiadomo ile miesięcy. Nie miał pojęcia, kiedy będzie mógł wrócić do Paryża.

Eugenia dyskretnie zostawiła ich samych. Zoja miała oczy pełne łez, patrzyła, jak stał w ich maleńkim pokoju, gdzie srebrny samowar przyćmiewał wszystko swoim pięknem, lecz ona widziała tylko jego i rzuciła mu się w ramiona szlochając, a on przytulił ją mocno do siebie.

– Tak bardzo cię kocham, maleńka moja... proszę cię bardzo, uważaj na siebie.

Wiedział, jak niebezpiecznym miastem mógł być dla niej Paryż. Wciąż istniała groźba, że miasto zostanie zaatakowane; tuląc ją do siebie modlił się o jej bezpieczeństwo.

– Wrócę natychmiast, jak tylko będę mógł.

– Przysięgnij mi, że będziesz uważał. Przysięgnij! – rozkazała mu przez łzy, nie mogła znieść myśli o utracie jeszcze jednej ukochanej osoby, nie mogła stracić kogoś tak drogiego.

– Obiecuj mi, że nie będziesz żałowała tego, co zrobiliśmy.

Nadal obawiał się, że Zoja mogła zajść w ciążę, kiedy się pierwszy raz kochali. Później już uważał, ale za pierwszym razem nie był dość ostrożny. Za bardzo go wtedy zaskoczyła i jego pragnienie było zbyt silne.

– Nigdy niczego nie będę żałowała. Za bardzo cię kocham.

Odprowadziła go na dół do samochodu i stała machając na pożegnanie, dopóki nie zniknął jej z oczu. Łzy ciekły jej po policzkach, kiedy patrzyła, jak się oddalał, być może na zawsze.

## Rozdział dwudziesty trzeci

W brew temu, co jej obiecał, nie dostała już więcej od niego listu. Działania strategiczne i manewry były otoczone ścisłą tajemnicą; wojskowi byli dosłownie odcięci od świata, kiedy stacjonowali nad Marną, starając się ochronić Paryż.

W marcu zaczęła się ostatnia wielka ofensywa niemiecka i alianci przygotowywali się do ataku poza obrębem miasta. Zaczęły się bombardowania i Eugenia bała się wychodzić z domu.

Statua Świętego Łukasza została pozbawiona głowy, kiedy zrzucono bomby na Madeleine. Wszędzie ludzie głodowali, byli zmarznięci i przerażeni. Diagilew zaoferował Zoi możliwość ucieczki. Trzeciego marca wyruszał ze swoim baletem na kolejne tournée do Hiszpanii, lecz Zoja upierała się, że nie może opuścić Eugenii; została więc w Paryżu, ale większość przedstawień w tym mieście została odwołana.

Chodzenie po ulicach stało się dość niebezpieczne. Cudem niemal uniknęła śmierci podczas zawalenia się kościoła St.-Gervais St.-Protais, niedaleko Hôtel de Ville, w Wielki Piątek. Postanowiła tam pójść zamiast do Św. Aleksandra Newskiego; wyszła z niego na chwilę przed tym, jak bomby uderzyły w dach kościoła, powodując jego zawalenie.

Siedemdziesiąt pięć osób zginęło pod gruzami, a około stu zostało rannych. Pociągi do Lyonu i na południe Francji były pełne ludzi uciekających w popłochu z Paryża. Kiedy jednak Zoja zaproponowała babce, żeby także wyjechały, starą kobietę ogarnęła wściekłość.

– Ile razy twoim zdaniem mam to robić? Nie! Nie, Zoju! Niech mnie tutaj zabijają! Niech tylko spróbują! Uciekłam taki kawał drogi z Rosji i już więcej nie będę uciekała!

Po raz pierwszy Zoja widziała ją płaczącą z bezsilnej wściekłości. Wkrótce mijał dokładnie rok od czasu, kiedy zostawiły wszystko i uciekły z Rosji. Tym razem nie miały przy sobie Fiodora, nie zostało im nic do sprzedania, nie miały dokąd pójść. Sytuacja była beznadziejna. Nawet rząd Francji przygotowywał się do ucieczki, w razie gdyby zaszła taka konieczność. Jego członkowie planowali przeniesienie się do Bordeaux, choć Foch przysięgał, że będzie bronił Paryża do końca. Wszystkie przedstawienia i próby, w jakich Zoja miała brać udział, zostały w maju odwołane. Tymczasem wojska aliantów przegrywały

bitwę nad Marną. Ponieważ był tam Pershing, Zoja myślała ciągle o Claytonie. Bała się, że mógł zostać zabity, zwłaszcza że nie miała od niego żadnych wiadomości, odkąd wyjechał z Paryża. Jedyny list, jaki do niej dotarł, był od Marii, doktorowi Botkinowi udało się jakoś go wysłać. Przeczytała ze zdumieniem, że przed miesiącem zostali wysłani z Tobolska do Jekaterinburga na Uralu. Z tego, co pisała Maria, wynikało, że sprawy znacznie się dla nich pogorszyły. Dziewczęta nie mogły zamykać drzwi do swojego pokoju, a żołnierze chodzili za nimi nawet do ubikacji. Zoja zadrzała czytając te słowa, boleśnie współczując swojej przyjaciółce z dzieciństwa, a szczególnie Tatianie, która była taka skromna i nieśmiała. Myśl o nich znajdujących się w tak ponurej sytuacji była nie do zniesienia.

...Nie pozostało nam nic innego, jak wytrzymać to wszystko. Mama śpiewa z nami pieśni religijne zawsze wtedy, kiedy żołnierze na dole śpiewają te swoje okropne piosenki. Zachowują się wobec nas bardzo grubiańsko. Papa mówi, że nie wolno nam zrobić niczego, co mogłoby ich rozzłościć. Pozwalają nam wychodzić na chwilę po południu, a resztę czasu spędzamy na czytaniu lub szyciu... Przy dalszych słowach po policzkach Zoi popłynęły łzy, ... a wiesz, jak nie cierpię szycia, kochana Zoju. Żeby jakoś płynął czas, piszę wiersze. Pokażę ci je wszystkie, kiedy wreszcie będziemy znowu razem. Trudno sobie wyobrazić, że obie mamy teraz po dziewiętnaście lat. Kiedyś myślałam, że dziewiętnaście lat to tak dużo, ale teraz myślę, że to za mało, by umierać. Tylko tobie mówię takie rzeczy, kochana moja kuzynko i przyjaciółko. Modłę się, żebyś była szczęśliwa i bezpieczna w Paryżu. Muszę teraz pójść robić ćwiczenia. Wszyscy cię pozdrawiamy i proszę pozdrów od na Ciocią Eugenię.

Nie podpisała inicjałami OTMA, ich przyjacielskim szyfrem, lecz zwyczajnie: Twoja kochająca Maszka. Zoja siedziała długo w swoim pokoju i płakała, czytając te słowa jeszcze raz i jeszcze, przytulając list do policzka, jakby dotknięcie papieru mogło przywołać z powrotem dotyk ręki jej przyjaciółki. Wszędzie działo się coraz gorzej, dobrze, że przynajmniej balet, w którym tańczyła, wznowił występy w czerwcu. Zoja i Eugenia rozpaczliwie potrzebowały pieniędzy, tym bardziej że nie udało im się znaleźć nowego sublokatora. Ludzie opuszczali teraz

Paryż, a nie przyjeżdżali do niego. Nawet niektórzy rosyjscy imigranci wyjechali na południe, lecz Eugenia nadal nie chciała opuścić Paryża. Uznała, że było to najdalsze miejsce, do którego mogła dotrzeć. Zbliżała się połowa lipca, zrobiło się ciepło, lecz miasto nadal głodowało. Zoja dowiedziała się ze zgrozą od Władimira, że on i Jelena łapali w parku gołębie i je zjadali. Twierdził, że okazały się bardzo smaczne i zaproponował Zoi, że jej jednego przyniesie, ona jednak odmówiła, czując jak ogarniają ją mdłości na samą myśl o czymś takim. Dwa dni później, kiedy już przestawała wierzyć, że wojna kiedykolwiek się skończy, Clayton zjawił się jak jakieś senne przywidzenie. Ujrzawszy go, Zoja o mało co nie zemdląca. Było to w przededniu święta Bastylii. Razem oglądali parady odbywające się między Łukiem Triumfalnym a Placem Zgody, w jasnym słońcu mundury wyglądały niezwykle pięknie, Strzelcy alpejscy w swoich beretach i czarnych bluzach, Brytyjska Gwardia Konna, włoscy bersalierzy w kapeluszach z pióropuszcami, a nawet antybolszewicki oddział Kozaków w futrzanych czapach, lecz ona tego dnia widziała tylko Clayтона. Kiedy wrócili do domu przy rue de Varennes, jak zawsze nieprzytomnie w sobie zakochani, o północy rozległo się pukanie do drzwi. Żandarmeria wojskowa zbierała wszystkich żołnierzy, przepustki zostały unieważnione, zaczęła się gorączkowa ofensywa niemiecka. Wojska Niemców znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Paryża i alianci musieli ich powstrzymać.

– Ale ty nie możesz teraz odejść... – płakała Zoja. Oczy miała pełne łez mimo swoich wysiłków, żeby być dzielną. – Dopiero co przyjechałeś. Przyjechał rano tego dnia i, po sześciu miesiącach niewidzenia, nie mogła się zgodzić na tak szybkie rozstanie. Nie miała jednak wyboru. Dano mu pół godziny na zameldowanie się w kwaterze głównej żandarmerii wojskowej na ulicy Św. Anny. Ledwie zdążył odwiedzić ją do domu, a już został odprowadzony do generała Pershinga. Zoi wydawało się to czymś niewymownie okrutnym, że mieli tak mało czasu dla siebie, zanim wyruszył z powrotem na front. Siedziała do późna w nocy, jak małe opuszczone dziecko, i płakała, aż w końcu babka przyniosła jej na pokrzepienie filiżankę herbaty.

Łzy, które wylewała z tęsknoty za Claytonem, były niczym w porównaniu z tymi, które popłynęły z jej oczu parę dni później.

Dwunastego lipca Władimir zjawił się u nich w mieszkaniu, z poważną miną, przyniósłszy numer „Izwestii”, rosyjskiej gazety. Zoja, otwierając mu drzwi, natychmiast wyczuła, że stało się coś strasznego, kiedy wprowadzała go do środka, a potem pomagała babce przyjść z sypialni.

Władimir podał jej gazetę i rozplakał się. Wyglądał jak skrzywdzone dziecko, jego siwe włosy nie różniły się kolorem od twarzy, wciąż tylko powtarzał: „...Zabili go... o mój Boże... zabili go...” Przyszedł prosto do nich, miały prawo wiedzieć, w końcu były kuzynkami Romanowów.  
– Kogo masz na myśli?

Eugenia patrzyła na niego z przerażeniem i uniosła się z krzesła, żeby zobaczyć notatkę w gazecie. Było tam napisane, że siedemnastego lipca car Mikołaj został rozstrzelany, jego rodzina zaś przeniesiona w bezpieczne miejsce. Przeniesiona dokąd? Zoja miała ochotę krzyknąć... gdzie jest moja kochana Maszka?... gdzie oni są?... jakby coś rozumiejąc, Sawa zaczęła cichutko skamleć, kiedy ich troje oplakiwało człowieka, który był dla nich ojcem, ich carem... i kochanym kuzynem obu kobiet.

Długo jeszcze w pokoju słyhać było żale, w końcu Władimir wstał i podszedł do okna ze spuszczoną głową, z ciężarem nie do zniesienia na sercu. Na całym świecie Rosjanie, którzy kochali cara, płakali po nim, nawet chłopci, w których imieniu przeprowadzona była owa straszliwa rewolucja.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Lipiec ciągnął się jak senny koszmar. Fakt, że Mikołaj został zamordowany, ciążył im niemilosiernie. Wydawało się, że ponury nastrój nigdy ich nie opuści. W całym Paryżu Rosjanie pograżyli się w żałobie, a dookoła szalała wojna.

Zoja została zaproszona na przyjęcie weselne znajomej primabaleriny. Nazywała się Olga Kokłowa i poślubiła Pabla Picassa parę tygodni wcześniej u Św. Aleksandra Newskiego.

Zoja nie miała jednak ochoty na żadne przyjęcia. Nosiła na zmianę nieliczne czarne sukienki, jakie miała, i pograżyła się w głębokiej żałobie po swoim wuju.

W sierpniu Diagilew skontaktował się z nią ponownie. Tym razem zaproponował jej wyjazd z zespołem do Londynu, lecz niestety teraz także nie mogła opuścić swojej babki, a poza tym nie chciała nikogo widzieć. Z trudem zmuszała się do pracy, jednak codziennie do niej chodziła, po to, żeby przynajmniej miały co włożyć do garnka.

A we wrześniu alianci dalej napierali na Niemców i po paru tygodniach zmusili ich do negocjacji pokojowych. Nadal nie było żadnych wiadomości od Claytona. Zoja nie miała odwagi o nim myśleć.

Wiedziała, że jeśli jemu też się coś stało, nie będzie już miała siły dłużej żyć. Trudno było się z tym wszystkim pogodzić, udźwignąć ten bezmiar nieszczęścia. Wujek Nicky nie żył. Te słowa wciąż dźwięczały w jej głowie. Od kiedy dowiedziała się o wszystkim, zdążyła napisać trzy listy do Marii, ale jak dotąd nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Nie miała pewności co do tego, gdzie przebywa teraz doktor Botkin, a jeśli rodzina została przeniesiona, jak głosiła gazeta, nie można było przewidzieć, jak długo idą do niej listy.

Wreszcie minął, trwający całe wieki, październik. Ci, których kochała, nadal milczeli. Zaczął się listopad, który przyniósł długo wyczekiwany pokój.

Siedziały w pokoju gościnnym, gdy usłyszały wiadomość o tym, a wraz z nią wystrzały na ulicach, okrzyki radości, dzwony kościelne, kanonady.

Nareszcie koniec. Cały świat zatrzęsł się w posadach, ale teraz już minęło. Wojna się skończyła.

Zoja w milczeniu nalala babce filiżankę herbaty i stała bez słowa, przyglądając się radosnym obchodom na ulicy. Wszędzie były wojska aliantów, Amerykanie, Anglicy, Włosi, Francuzi, lecz nie wiedziała nawet, czy Clayton żył jeszcze, i prawie nie miała odwagi żywić takiej nadziei. Odwróciła się, by spojrzeć na Eugenię, bardzo starą już i słabą. Kaszel, który ją męczył poprzedniej zimy, znowu powrócił, a kolana tak bardzo ją bolały, że nie mogła wychodzić z mieszkania.

– Teraz już będzie lepiej, Zoju – powiedziała cicho, ale dostała przy tym ataku kaszlu. Wiedziała jakie myśli pochłaniały tę dziewczynę. Nie miała listu od Clayтона, odkąd o północy wyjechał z Paryża w Dzień zburzenia Bastylii.

– Przyjedzie do ciebie, moja maleńka. Trzeba trochę ufać. Musisz wierzyć.

Uśmiechnęła się do niej łagodnie, lecz radość zniknęła z oczu Zoi. Zbyt wiele utraciła. Zbyt wiele było osób, których los bardzo ją martwił.

– Jak możesz nadal tak mówić? Kiedy tylu bliskich odeszło... jak możesz wierzyć, że ktoś jeszcze wróci do domu?

– Świat toczy się dalej. Ludzie rodzą się i umierają, a po nich rodzą się następni. To tylko nasz smutek jest taki bolesny. Mikołaj nie czuje już bólu. Jest teraz spokojny.

– A reszta rodziny?

Napisała już pięć listów do Marii i nadal nie przychodziła żadna odpowiedź.

– Możemy tylko modlić się o ich bezpieczeństwo.

Zoja skinęła głową. Słyszała to już przedtem. Była wściekła na los, który tak wiele im zabrał.

Podczas pierwszych dni zawieszenia broni prawie nie można było przejść ulicą i Zoja wychodziła z domu jedynie po jedzenie. Ich zasoby znowu wyczerpały się tak, że nie miały prawie nic. Nie było żadnych występów baletu i musiały utrzymywać się z tego, co zaoszczędziła.

Wszystko stało się bardzo męczące.

– Czy mogę pani pomóc to nieść, mademoiselle?

Poczuła, że ktoś ciągnie za bagietkę, którą trzymała pod ramieniem. Na końcu języka miała kilka wściekłych słów, gotowa zabić za jedzenie, które niosła, albo bronić się przed nachalnym żołnierzem. Nie każdy w Paryżu ma ochotę być całowanym przez podnieconego chłopaka w

mundurze, pomyślała odwracając się, z dłońmi zaciśniętymi w pięści i krzyknęła ze zdumienia, upuszczając drogocenną bagietkę, a on przyciągnął ją do siebie.

– Och... och... – Łzy popłynęły z jej oczu natychmiast i z ulgą wtuliła się w jego ramiona. Więc on żyje... o Boże... jest żywy... czuła się tak jakby byli jedynymi ludźmi, jacy zostali na Ziemi... jedynymi przedstawicielami zaginionego świata, którzy przetrwali. Przyłgnęła do Clayтона mocno.

– No, teraz lepiej! – Spojrzał na nią z góry; bardzo wysoki mężczyzna w polowym mundurze, wygniecionym i poplamionym, twarz miał pokrytą gęstym zarostem, gdyż od wielu dni nie miał możliwości się ogolić. Dopiero co przyjechał do Paryża i od razu poszedł jej poszukać. Widział się już z Eugenią i ona powiedziała mu, że Zoja wyszła kupić coś do jedzenia, więc natychmiast pobiegł jej na spotkanie.

– Nic ci nie jest?

Śmiała się i płakała jednocześnie, a on całował ją i całował, czując tak samo jak ona, ogromną ulgę, że oboje przeżyli.

Wobec wszystkiego, co się działo, wydawało się to cudem. Nic jej nie powiedział o tym, jak wiele razy o mało co nie został zabity nad Marną. Nie miało to już znaczenia. Żył, a ona była bezpieczna, i kiedy przepychali się przez tłum, żeby dostać się do domu, dziękował ich aniołom stróżom, że oboje ocalili.

Zakwaterowano go tym razem w małym hotelu na Lewym Brzegu, razem z wieloma innymi oficerami. Pershing znowu przebywał w domu Millsa i trudno im było znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogliby mieć trochę prywatności. Korzystali z każdej chwili, jaką mogli ukraść dla siebie. Pewnej nocy odważyli się nawet kochać po cichu w pokoju Antoine'a, kiedy Eugenia już od dawna spała. Czuła się ostatnio bardzo zmęczona i przespiała większość dnia. Zoja od wielu miesięcy martwiła się o nią, lecz nawet te lęki osłabły wobec radości ze spotkania z Claytonem.

Którejś nocy zaczęły rozmawiać o Mikołaju i wyznał jej wtedy, że od dawna bał się, iż mogło dojść do czegoś takiego. Podzieliła się z nim swoimi obawami o los pozostałych.

– W gazecie napisali, że zostali przeniesieni w bezpieczne miejsce... ale, dokąd? Napisałam do Maszki już pięć razy i wciąż nie mam żadnej



odpowiedzi.

– Może Botkin nie ma już teraz możliwości przesyłania listów. To nie musi nic oznaczać, maleńka. Musisz wierzyć, że wszystko będzie dobrze – powiedział cicho, ukrywając przed nią swoje najgorsze obawy.

– Mówisz tak samo jak babcia – wyszeptła, kiedy leżeli w ciemnym pokoju wtuleni w siebie.

– Czasami czuję się tak samo stary jak ona.

Zauważył, jak starszuszka zmizerniała od lipca. Nie wyglądała dobrze i odnosił wrażenie, że Zoja wie o tym. Miała już prawie osiemdziesiąt pięć lat, a dwa ostatnie były ciężkie dla wszystkich. To, że zdołała wszystko wytrzymać, było niezwykle. Wkrótce oboje zapomnieli o swojej trosce o Eugenię i ich ciała połączyły się znowu w jedno.

Kochali się, aż nadszedł świt, dopiero wtedy Clayton zszedł po cichu na dół.

Przez następnych kilka tygodni spędzali razem tyle czasu, ile tylko mogli, lecz dziesiątego grudnia, prawie dokładnie w miesiąc po zakończeniu wojny, Clayton przyszedł do niej z ciężkim sercem.

Odsyłano go z powrotem do Stanów, pod koniec tygodnia, ale najważniejsze było to, że podjął bardzo bolesną decyzję dotyczącą Zoi. Jak w koszmarnym śnie dobiegły ją jego słowa, że wyjeżdża. Wydało jej się, że tego nie zniesie, tej chwili, tego dnia, o którym sądziła, że nigdy nie nadejdzie.

– Kiedy? – spytała, a serce zaciążyło jej w piersiach jak kamień.

– Za dwa dni. – Nie spuszczał z niej wzroku, zostało mu jeszcze coś ważniejszego do powiedzenia. Zastanawiał się, czy starczy mu odwagi, by to zrobić.

– Nie dali nam zbyt wiele czasu na pożegnanie, prawda? – stwierdziła Zoja ze smutkiem.

Znajdowali się w jej małym, ponurym pokoju gościnnym, dzień był szary, a Eugenia spała spokojnie w sypialni obok. Zoja znowu wróciła do pracy, ale jej babka nawet tego nie zauważyła.

– Czy przyjedziesz jeszcze kiedyś do Paryża? – zapytała Zoja, jakby stał się jej obcy, czując się już od niego daleko, próbowała przygotować się na to, co miało nastąpić. Zbyt wiele przeżyła już pożegnań i nie była pewna, czy potrafi wytrzymać jeszcze to jedno.

– Nie wiem.

– Jest jeszcze coś, czego mi nie powiedziałaś.

Może był żonaty i miał dziesięcioro dzieci w Nowym Jorku. Wszystko było możliwe. Zbyt wiele razy życie ją zdradziło, nie Clayton co prawda, ale była wściekła nawet na niego.

– Zoja... wiem, że to, co powiem, nie zabrzmi dla ciebie sensownie, ale myślałem bardzo dużo... o nas.

Czekała, co będzie dalej, otumaniona bólem. Zdumiewające było to, że kiedy się wydawało, że już koniec cierpienia, przychodził ból.

Wyglądało na to, że tak się będzie działo bez końca.

– Chcę zwrócić ci wolność, żebyś mogła tutaj żyć swoim życiem.

Myślałem o tym, żeby zabrać cię ze sobą do Nowego Jorku... bardzo tego pragnąłem. Nie sądzę jednak, aby hrabina zniosła taką podróż i...

Zoju – słowa, nad którymi myślał wiele dni, uwięzły mu w gardle – Zoju, jestem dla ciebie za stary. Kiedy ty będziesz miała trzydzieści lat, ja będę miał prawie sześćdziesiąt.

– Jakie to ma znaczenie? – Nigdy nie podzielała jego obaw związanych z różnicą wieku i patrzyła na niego z wściekłością, ból spowodowany jego wyjazdem obudził w niej uczucie niechęci do niego, zwłaszcza teraz. – Tak naprawdę, to co mówisz jest dowodem, że mnie nie kochasz.

– To co mówię znaczy, że kocham cię za bardzo, by obarczać cię ciężarem życia ze starym mężczyzną. Mam teraz czterdzieści sześć lat, a ty zaledwie dziewiętnaście. To nie byłoby wobec ciebie sprawiedliwe. Zasługujesz na kogoś młodego i pełnego energii, i kiedy wszystko się uspokoi, znajdziesz kogoś, kogo pokochasz. Nie miałaś dotychczas szansy na to. Byłaś jeszcze dzieckiem, kiedy dwa lata temu wyjechałaś z Rosji, byłaś tam chroniona i przyjechałaś tutaj w czasie, kiedy trwała wojna, posiadając niewiele więcej niż własne ubranie. Pewnego dnia wszystko wróci do normy i spotkasz kogoś w swoim wieku. Zoju – zaczął mówić bardziej stanowczo, prawie tak jak kiedyś Konstanty – źle bym zrobił zabierając cię do Nowego Jorku. To byłoby samolubne z mojej strony. Myślę teraz o tobie, nie o sobie.

Lecz ona nie rozumiała, patrzyła na niego oczami pełnymi łez.

– Więc to była dla ciebie tylko taka gra, tak? – To, co powiedziała, było okrutne, ale chciała, żeby takie było. Chciała go zranić tak bardzo, jak on ranił ją. – To wszystko, czym to było. Romans w czasie wojny. Mała

tancerczka, z którą można się było zabawić w Paryżu.

Miał ochotę ją uderzyć, lecz się powstrzymał.

– Posłuchaj. To nigdy nie było czymś takim. Nie pleć bzdur, Zoju.

Mam przeszło dwa razy tyle lat, co ty. Zaslługujesz na coś lepszego.

– Aha... rozumiem – jej zielone oczy zapłonęły – jak na przykład to cudowne życie, jakie mam tutaj. Przez połowę wojny wyczekiwałam na ciebie, ledwo żywa ze strachu, że mogą cię zabić, a teraz ty wsiadasz sobie na statek i wracasz do Nowego Jorku, jak gdyby nigdy nic. Jakie to łatwe, prawda?

– Nie, to nie jest łatwe.

Odwrócił się, żeby nie zobaczyła łez w jego oczach. Może tak było lepiej. Może to lepiej, że jest na niego wściekła. Nie będzie usychała z tęsknoty za nim, kiedy wyjedzie, tak jak on za nią.

– Kocham cię bardzo.

Odwrócił się do niej spokojnie, a ona podeszła ostentacyjnie do drzwi i otworzyła je na oścież.

– Wynoś się.

Patrzył na nią zaskoczony.

– Po co czekać jeszcze dwa dni? Lepiej skończyć to od razu.

– Chciałbym się pożegnać z twoją babcią.

– Ona teraz śpi, poza tym wątpię, żeby miała ochotę mówić ci do widzenia. I tak nigdy cię nie lubiła.

Chciała po prostu, żeby jak najprędzej wyszedł, by mogła się w spokoju wypłakać.

– Zoju, proszę cię...

Pragnął znowu wziąć ją w ramiona, ale wiedział, że to nie byłoby fair.

Lepiej pozwolić jej mieć poczucie, że sama to zakończyła, niech zachowa trochę dumy. Lepiej jak on będzie tym, który odejdzie ze złamanym sercem. Kiedy powoli schodził na dół po schodach, nienawidził siebie. Odgłos zamykanych z trzaskiem drzwi wciąż dźwięczał w jego uszach. Nienawidził siebie za to, że pozwolił rozwinąć się tej miłości. Wiedział od początku, że Zoja będzie cierpiała, nie wiedział tylko, jak bardzo jego to będzie bolało. Ale był przekonany, że postępuje właściwie. Nie było już odwrotu. Uważał, że jest dla niej za stary i nawet jeśli teraz cierpiała, potem wyjdzie jej to na dobre, będzie wolna, znajdzie sobie mężczyznę w swoim wieku i

zacznie nowe życie. Chodził przygnębiony przez następne dwa dni, a dzień przed wyjazdem udał się do banku i wyjął z konta pięć tysięcy dolarów. Umieścił je w liście do babki Zoi, błagając, by je przyjęła i dała mu znać, gdyby w jakikolwiek sposób mógł im w przyszłości pomóc. Zapewnił ją, że zawsze pozostanie ich przyjacielem i że do końca życia nie przestanie kochać jej wnuczki.

Zapewniam Panią, że zrobiłem to dla jej dobra. A także dlatego, że przypuszczam, iż było to także Pani życzeniem. Jest dużo młodsza ode mnie. Znowu się w kimś zakocha. Jestem tego pewien. A teraz mówię wam obu adieu z sercem pełnym smutku, lecz wciąż kochającym.

Podpisał się i wysłał list tego samego dnia, w którym wyjeżdżał, przez kaprała ze sztabu generała Pershinga.

## Rozdział dwudziesty piąty

Po odejściu Claytona Zoja przez wiele tygodni siedziała w dawnym w pokoju Antoine'a i płakała. Wydawało jej się, że umrze z żalu. Nic się już dla niej nie liczyło. Nie obchodziło ją, czy jadła, czy głodowała. Gotowała zupę dla swojej babki i dziwiła się, że mają jeszcze na to pieniądze. Eugenia poprosiła raz księcia Markowskiego, żeby poszedł dla niej do banku, było to wkrótce po wyjeździe Claytona, a potem wręczyła Zoi kilka banknotów.

– Zaoszczędziłam to. Weź je i kup, co ci jest potrzebne.

Lecz Zoja niczego już nie potrzebowała ani nie chciała. Clayton odszedł. Wydawało jej się, że nie ma już po co żyć. Dzięki pieniądзом, które jej babka zaoszczędziła i dała jej, żeby kupiła coś do jedzenia, mogła zrezygnować z pracy i zostać w domu. Powiedziała im, że jest chora i nie dbała o to, czy ją wyrzucą. Zespół Ballets Russes wrócił i, gdyby chciała, mogłaby z nimi znowu tańczyć. Ale Zoi nie zależało już nawet i na tym. Na niczym jej nie zależało, ani na jedzeniu, ani na przyjacielach, ani na pracy, a już na pewno nie chciała żadnego mężczyzny. Clayton był głupcem mówiąc jej, że potrzebuje młodszego mężczyzny. Nie potrzebowała żadnego. Z wyjątkiem lekarza dla Eugonii. W noc Bożego Narodzenia jej babka rozchorowała się poważnie na grypę. Mimo to upierała się, że pójdzie do kościoła. Nie miała jednak siły nawet usiąść i Zoja nakazała jej leżeć spokojnie, a kiedy przyszedł książę Władimir, poprosiła by czym prędzej sprowadził lekarza. Minęło jednak sporo godzin, zanim go przyprowadził.

Lekarz był starym, łagodnym człowiekiem, nauczył się rosyjskiego jeszcze w dzieciństwie i rozmawiał z Eugonią w jej ojczystym języku. Nieskazitelna francuszczyzna Eugonii jakby zatarła się w jej umyśle.

– Ona jest bardzo chora, mademoiselle – powiedział do niej szeptem w sąsiednim pokoju. – Może nie przeżyć tej nocy.

Ależ to śmieszne. Przecież po południu czuła się tak dobrze. Tak samo jak przez ostatnie dni. Musiał się mylić. Z pewnością był w błędzie. Zoja wiedziała, że nie przeżyłaby utraty jeszcze jednej bliskiej osoby. Nie mogła się z tym pogodzić.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Proszę mnie wezwać natychmiast, jeśli jej stan zacznie się pogarszać. Monsieur może

przyjechać po mnie do domu.

Sam wrócił niedawno z frontu i leczył pacjentów na mieście. Spojrzał na Władimira, który przytaknął mu ze smutkiem.

– Zostanę z panią – powiedział z prawdziwym współczuciem. Zgodziła się. Wiedziała, że nie musi już niczego się obawiać ze strony Władimira. Prawie od roku mieszkał z kobietą, co wprawilo jego córkę w taką wściekłość, że wyprowadziła się i zamieszkała w zakonie na Lewym Brzegu.

– Dziękuję, Władimirze.

Poszła zrobić babce filiżankę herbaty, a kiedy wślizgnęła się ponownie do jej pokoju znalazła ją w stanie bliskim agonii. Twarz miała rozpaloną, całe jej ciało zdawało się kurczyć wraz z upływem godzin. Zoja dopiero teraz spostrzegła, jak bardzo jej babka straciła ostatnio na wadze. Nie było to takie widoczne, kiedy była ubrana, teraz jednak wydawała się niesłychanie krucha. Otworzyła oczy i z dużym wysiłkiem rozpoznała Zoję.

– To ja, Babciu... ciii... nic nie mów.

Próbowała jej pomóc wziąć łyk herbaty, lecz Eugenia odepchnęła filiżankę, mamrocząc coś do siebie, po czym znowu usnęła. Nadchodził świt, kiedy ocknęła się ponownie i zaczęła coś mówić. Zoja siedziała na krześle, czuwając, i natychmiast przysunęła się do Eugenii, żeby usłyszeć jej słowa. Babka machała ręką i Zoja dała jej łyk wody, żeby zwilżyła spierzchnięte usta, a potem podała jej lekarstwo, które zostawił lekarz, widziała jednak, że stan babki bardzo się pogorszył.

– ...Musisz...

– Babciu... nic nie mów... to cię męczy.

Stara kobieta pokręciła głową. Ona wiedziała lepiej. Teraz to już nie miało znaczenia.

– ...Musisz podziękować ode mnie temu Amerykaninowi... powiedz, że jestem mu bardzo wdzięczna... Miałam zamiar je zwrócić...

– Za co podziękować?

Zoja nie rozumiała. Dlaczego była wdzięczna Claytonowi? Czy za to, że je opuścił i wyjechał do Nowego Jorku? Lecz Eugenia wskazywała z wysiłkiem ręką maleńkie biurko w kącie pokoju.

– ...Zobacz... w moim czerwonym szalu...

Zoja otworzyła szufladę i znalazła to, o co chodziło. Wyjęła, położyła

na biurku, rozwinęła i zdumiała się. Była to cała fortuna. Prawie pięć tysięcy dolarów, jak się okazało po przeliczeniu.

– Mój Boże... Babciu, kiedy on ci to dał?

Była zaskoczona i nic nie rozumiała. Dlaczego to zrobił?

– Przysłał je, kiedy wyjeżdżał... miałam odesłać mu z powrotem... ale bałam się... że może będą ci potrzebne... Wiem, że on chciał jak najlepiej. Zwrócimy mu je, jak będziemy mogli...

Mówiąc to szukała czegoś gorączkowo za łóżkiem, czegoś, co tam ukryła, Zoja spostrzegła, że zaczęła się denerwować, i przestraszyła się, że może jej to jeszcze bardziej zaszkodzić.

– Babciu, leż spokojnie... proszę...

Wciąż była zaszokowana prawdziwą fortuną, jaką przysłał Clayton. To był szczodry gest, ale wprawił ją w gniew. Nie potrzebowały jego łaski. Zbyt łatwo chciałby się wykupić... ale jakim kosztem... i nagle skrzywiła się na widok starego szala, który jej babka trzymała w drżących rękach, wyglądało na to, że wyciąga go spod poduszki. Był to ten sam szal, który miała na sobie w dniu, kiedy opuściły Sankt Petersburg, dobrze to pamiętała, a teraz babka dawała go Zoi, ze słabym uśmiechem na bladych ustach.

– Mikołaj... – mówiła z wysiłkiem, łzy napłynęły jej do oczu – ...Trzymaj to w bezpiecznym miejscu, Zoju... pilnuj tego dobrze... kiedy już nic ci nie zostanie, sprzedaj... ale dopiero wtedy, kiedy naprawdę będziesz musiała... nie wcześniej... to wszystko, co zostało.

– A papierośnica papy i pudełka Mikołaja... ? – dopytywała się, ale staruszka pokręciła głową.

– ...Sprzedałam je rok temu... nie było innego wyjścia...

Te ostatnie słowa zabolaty Zoję jak nóż wbity w serce. Nic już po nich nie zostało, żaden drobiazg, żadna pamiątka. Czymkolwiek więc było to, co jej babka trzymała teraz w rękach, Zoja wzięła to od niej ostrożnie, wyjęła z szala i położyła na łóżku, a wtedy... zdumiała się... Pamiętała... to była pisanka, którą Nicky podarował Alix, kiedy Zoja miała siedem lat... była niesłychanie piękna, wykonana przez Faberge, prawdziwe arcydzieło. Jajko było pokryte liliową emalią, inkrustowane diamentami tworzącymi jakby wstążkę, która fantazyjnie owijała się wokół niego, zamontowana w nim małeńka sprężynka sprawiała, że się otwierało ukazując znajdującego się wewnątrz miniaturowego, złotego

łabędzia umieszczonego na jeziorku z akwamarynu. Cicho płacząc Zoja nacisnęła małą dźwignię, którą, tak jak pamiętała, znalazła pod skrzydłem – łabędź rozłożył swoje małe złote skrzydła i powoli przeszedł po jej dłoni.

– Chron to, moja najdroższa... – wyszeptała jej babka i zamknęła oczy, a Zoja owinęła ją z powrotem w szal i ujęła delikatnie dłoń babki.

– Babciu...

Eugenia otworzyła oczy, na jej twarzy malował się pełen spokoju uśmiech.

– Zostań przy mnie... nie odchodź, proszę...

Zoi zdawało się, że staruszka była bardziej rozluźniona i oddychała spokojniej.

– Bądź dobrą dziewczyną, mała moja... Zawsze byłem z ciebie dumna... – uśmiechnęła się znowu, a Zoja zaczęła szlochać.

– Nie, Babciu... – To były słowa pożegnania, a ona nie chciała pozwolić jej umrzeć. – Nie zostawiaj mnie samej, Babciu... proszę...

Ale stara kobieta uśmiechnęła się po raz ostatni i zamknęła oczy na zawsze. Dała swojej wnuczce swój ostatni podarunek, dziecku, które tak bardzo kochała, wywiozła ją w bezpieczne miejsce i wprowadziła w nowy świat, opiekowała się nią, lecz teraz nadszedł kres jej życia.

– Babciu... – szeptała Zoja w pokoju wypełnionym ciszą, ale oczy Eugenii były zamknięte. Odpoczywała w spokoju. Odeszła tam, dokąd poszli inni bliscy. Eugenia Pietrowna Ossjupow wróciła do swojego domu.



## Rozdział dwudziesty szósty

Pochowali ją na cmentarzu rosyjskim, znajdującym się pod Paryżem. Zoja stała w milczeniu obok księcia Władimira wraz z gromadą ludzi, którzy znali Eugenię. Nie zaprzyjaźniła się z nikim bliżej, spędzając czas w Paryżu głównie w towarzystwie Zoi. Nie miała cierpliwości do wysłuchiwania narzekań i przygnębiających wspomnień innych emigrantów. Była zajęta teraźniejszością i nie myślała obsesyjnie o przeszłości. Zmarła szóstego stycznia 1919 roku, w swoim małym mieszkaniu, tego samego dnia zmarł we śnie Teodor Roosevelt. Zoja siedziała wpatrując się w okno i głaszcząc Sawę. Trudno jej było ogarnąć wydarzenia ostatnich kilku dni, jeszcze trudniej wyobrazić sobie życie bez ukochanej babki. Wciąż zdumiewało ją to jajko, które Eugenia ukrywała przez prawie dwa lata, i dziwiła się, że Clayton dał jej tyle pieniędzy, kiedy wyjeżdżał. Wystarczy, żeby mogła przetrwać następny rok, jeśli będzie oszczędna. Po raz pierwszy nie pragnęła już tańczyć. Nigdy więcej nie chciała widzieć baletu, nie chciała już nigdy nic robić. Chciała tylko siedzieć sobie ze swoim psem i spokojnie umrzeć. Wtedy pomyślała ze skrucą, jak bardzo rozgniewałaby się na nią babka za takie myśli. Jej babka była oddana życiu, nie śmierci. Przeżyła tydzień w ciszy, nie widując się z nikim, i kiedy Władimir zawitał do niej, była znacznie chudsza i bledsza. Książę wydawał się nienaturalnie spokojny i sztywny, wyraźnie martwił się o nią, Zoja zaś była zaskoczona, kiedy otworzyła drzwi i stwierdziła, że ktoś jeszcze stał za nim w ciemnym korytarzu. Może przyprowadził lekarza, żeby ją zbadał, ale ona nie miała ochoty się z nikim widzieć, a tym bardziej z lekarzem. Miała na sobie czarne pończochy i czarną sukienkę, jej rude włosy stanowiły ostry kontrast z bladą twarzą. – Można? Władimir zawahał się. Trochę się bał przyprowadzać go do niej, bał się, że wywoła to w niej zbyt wielki szok, jednak musiał się na to zdecydować.

– Witaj, Władimirze.

Nic nie mówiąc wszedł do środka, a za nim, ku zaskoczeniu Zoi, Pierre Gilliard.

W jego oczach pojawiły się łzy, kiedy ją zobaczył, wydawało się, że tysiące lat upłynęły od czasu kiedy widział ją po raz ostatni w dniu jej

wyjazdu z Carskiego Siola. Zrobił krok w jej stronę, a ona rzuciła się w jego objęcia. Potem spojrzała na niego, błagalnie, ledwo mogąc mówić poprzez szloch.

– Czy przyjechali nareszcie?

Gilliard był nauczycielem, który uczył córki cara przez całe ich życie, i Zoja wiedziała, że pojechał z nimi na Syberię. Nie był jednak w stanie mówić. W odpowiedzi pokręcił tylko przecząco głową.

– Nie... – odpowiedział w końcu. – Nie przyjechali...

Czekała, by usłyszeć od niego więcej nowin. Wprowadziła go do brzydkiego salonu. Gilliard był chudy, wymęczony i niesłychanie błądy. Władimir zostawił ich samych. Zamknął cicho drzwi za sobą i zszedł na dół ze spuszczoną głową do swojej taksówki.

– Czy wszystko z nimi w porządku?

Czekała z bijącym sercem, aż Pierre Gilliard zacznie mówić. Kiedy usiedli na krzesłach naprzeciwko siebie, wziął jej rękę i trzymał je w swoich. Jej dłonie były zimne jak lód. Gilliard zaczął mówić.

– Właśnie wróciłem z Syberii... Musiałem uzyskać pewność przed przyjazdem tutaj... Zostawiliśmy ich w lipcu w Jekaterinburgu.

Powiedziano nam, że musimy wyjechać.

Brzmiało to tak, jakby przeproszał, ale ona chciała się tylko dowiedzieć, że z Maszką i z pozostałymi jest wszystko w porządku. Siedziała cicho, zaskoczona, że go w ogóle widzi, ściskając kurczowo jego rękę swoimi drżącymi dłońmi.

– Nie było pana przy tym, kiedy Mikołaj...

Tylko tyle zdołała powiedzieć, ale on zrozumiał i pokręcił z ubolewaniem głową.

– Gibbes i ja musieliśmy wyjechać... ale wróciliśmy tam, w sierpniu.

Wpuścili nas do domu, ale nikogo tam nie było, mademoiselle.

Nie miał siły powiedzieć jej, co znaleźli; dziury po kulach i ślady zmytej z podłogi krwi.

– Powiedzieli nam, że przenieśli ich gdzie indziej, ale obawialiśmy się z Gibbesem najgorszego.

Czekała z bijącym sercem na dalszy ciąg, pewna że usłyszy szczęśliwe zakończenie. Po tak długim czasie musiało takie być. Życie z pewnością nie mogło być tak okrutne, by pozwolić bolszewikom zabić ludzi, których tak bardzo kochała... małego słabego chłopca, czwórkę

dziewcząt, jej kuzynek i przyjaciółek, i ich kochającą matkę. Było wystarczająco straszne, że umarł ich ojciec. Nie mogło się stać już nic gorszego. Obserwowała uważnie twarz Gilliarda, kiedy ten kontynuował z zamkniętymi oczami, powstrzymując łzy. Wciąż jeszcze był wyczerpany podróżą, do Paryża przyjechał poprzedniej nocy, chcąc koniecznie się z nią zobaczyć.

– Przyjechaliśmy z powrotem do Jekaterinburga w dniu urodzin Aleksego, lecz już ich tam wtedy nie było – westchnął – i zostaliśmy tam. Byłem pewien, nawet po tym, jak zobaczyłem w ścianie te dziury po kulach, że nadal żyją.

Czuła że serce jej zamarło i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Dziury po kulach. Zabili wujka Nicky’ego przy jego dzieciach?

– Dwa dni wcześniej zabili Nagornego... próbował powstrzymać żołnierza, który chciał ukraść medale Aleksego. Carewicz musiał być zrozpaczony, był przy nim przez całe życie.

Nagorny – taki oddany, nie zgodził się ich opuścić. Czy jest jakiś koniec tego wszystkiego?

– W połowie lipca bolszewicy powiedzieli im, że jacyś krewni będą próbowali ich uratować i muszą w związku z tym zostać przeniesieni gdzie indziej, zanim odnajdą ich kryjówkę.

Zoja pomyślała o listach Maszki, wysłanych wcześniej, w których pisała, gdzie się znajdowali. Ale kto próbował ich uratować?

– Ta cholerna rewolucja szalała od początku lipca i nigdzie nie można było pojechać. Ale oni wyciągnęli ich o północy z łóżek i kazali im się ubrać.

Jego głos zadrżał i Zoja ścisnęła jego ręce aż do bólu, spojrzał jej w oczy; dwoje ludzi pozostawionych na bezludnej wyspie, inni odeszli... ale dokąd? Czekala na dalszy ciąg, nie mówiąc ani słowa. Wkrótce, wkrótce powie jej, że są w drodze do Paryża.

– Zeszli wszyscy na dół – cesarzowa, Mikołaj i dzieci... Anastazja miała nadal przy sobie Jimmy’ego – był to mały spaniel Aleksego, Pierre Gilliard, zaczął płakać, kiedy sobie to przypomniał – ... i Joy...

Sawa pomachała ogonem, jakby pamiętała imię swojej matki, a on mówił dalej.

– ...carewicz nie mógł już wtedy chodzić, był bardzo chory...

Powiedzieli im, że mają się ubrać, i sprowadzili ich na dół do piwnicy,

każąc im tam zaczekać, aż będzie jakiś środek transportu... Mikołaj prosił, żeby przynieśli krzesła dla Aleksandry i Aleksego, i... – z trudem wydobywał z siebie słowa – ... trzymał go na kolanach, Zoju, kiedy tamci weszli... trzymał go w ramionach, kiedy otworzyli ogień.

Czuła, że serce kamienieje jej z bólu, to wtedy zabili Mikołaja, ale Gilliard płakał i mówił dalej.

– Zabili ich wszystkich, Zoju Konstantinowna... otworzyli ogień do wszystkich, jedynie Aleksy żył jeszcze chwilę, lecz dobili go waląc po głowie kolbami karabinów, kiedy chciał złapać się ojca... a potem zamordowali małego Jimmy. Anastazja zemdląła, kiedy zaczęła krzyczeć, zabili ją bagnetami, a potem – opowiadał, podczas gdy Zoja płakała cicho, niezdolna uwierzyć w to, co mówił – zawieźli ich ciała do kopalni, wrzucili je tam zalali kwasem... nie ma ich już, maleńka Zoju... odeszli... wszyscy... nawet biedne, słodkie Dziecko.

Zoja objęła go i trzymała w ramionach, kiedy płakał. Nawet teraz, po miesiącu, on sam nie mógł uwierzyć, że to się stało.

– Znaleźliśmy Joy. Jeden z żołnierzy ją zabrał, była tak zagłodzona, że ledwie żyła, kiedy znaleziono ją w pobliżu kopalni... wyjąca z tęsknoty za dziećmi. Och, Zoju, nikt się nigdy nie dowie, jacy byli kochani ani jak bardzo my ich kochaliśmy.

– ... O, mój Boże... o Boże... moja biedna mała Maszka... zamordowana karabinami i bagnetami... jakże musiała być przerażona...

– Mikołaj wstał, żeby im przeszkodzić... ale nic nie mogło ich powstrzymać. Gdyby tylko pozwolili nam zostać... ale to niczego by nie zmieniło.

Nie powiedział jej, że Biali przybyli wyzwolić Jekaterinburg osiem dni później. Tylko osiem dni. Równie dobrze mogło to być osiem wieków. Zoja patrzyła na niego niewidzącym wzrokiem. Nic już nie miało znaczenia teraz ani nigdy... ani dla niej... ani dla nich... ukryła twarz w dłoniach i płakała, a Gilliard próbował ją utulić.

– Musiałem powiedzieć ci to osobiście... tak mi przykro... tak bardzo przykro...

Takie błahe słowa po stracie takich niezwykłych ludzi. Jak niewiele pojmowali tego ostatniego dnia w Carskim Siole. Wiedziała teraz, że powinna była z nimi zostać, bolszewicy powinni byli ją też zabić... powinni byli... zabić ją kulami i bagnetami, tak jak zabili Maszkę i ich

wszystkich... i Dziecko...

Wtedy poszedł obiecawszy, że wróci następnego dnia, kiedy się trochę prześpi. Nie mógł znieść dłużej wyrazu jej zgaszonych oczu, pustej twarzy. Kiedy została znowu sama, Zoja przytuliła do siebie Sawę i zaczęła kołysać ją w swoich ramionach w przód i w tył, płacząc i wołając w pustkę:

– Och, Babciu... nie ma już ich... zabili ich wszystkich...

Aż w końcu tylko jedno wyszeptane słowo pozostało w cichym pokoju, kiedy wypowiedziała jej imię ostatni raz... nigdy więcej nie będzie miała siły go wymówić... wyszeptala z czułością... „moja Maszka...”

## Rozdział dwudziesty siódmy

Zoja była w stanie szoku przez kilkanaście dni, po tym jak usłyszała ostatnie wieści od Gilliarda. Do bólu spowodowanego śmiercią babki doszła jeszcze udręka wywołana świadomością zbrodni, jakiej dokonano na rodzinie carskiej. Doktor Botkin również nie żył. Pierre dopowiedział jej resztę, gdy wrócił następnego dnia. To wyjaśniało, dlaczego jej listy nie dochodziły, zresztą i tak nie miałby już kto na nie odpowiadać. Dowiedziała się, że Wielki Książę Michał został także zastrzelony, tydzień przed egzekucją Mikołaja, Aleksandry i ich dzieci. Później zamordowano jeszcze czterech innych Wielkich Książąt. Lista wydawała się nieskończona. Można było pomyśleć, że bolszewicy usiłowali zniszczyć całą rasę, cały rozdział w historii. Szczegóły tych zdarzeń były brutalne ponad wszelkie wyobrażenia.

W obliczu tych bolesnych wydarzeń, Zoja nie poświęcała zbyt wiele uwagi Konferencji Wersalskiej. Dla niej wojna ani nawet jej zakończenie nie miały znaczenia. Straciła rodziców, brata, babcię, swoich kuzynów, przyjaciół i ojczyznę. Nawet ukochany mężczyzna ją opuścił. Siedziała w swoim malutkim mieszkaniu dzień po dniu, wpatrując się w okno, jej życie stało się jak wyjałowiona ziemia. Pierre Gilliard odwiedził ją jeszcze parę razy przed swoim wyjazdem. Wracał do Szwajcarii, żeby trochę odpocząć, zanim wyruszy znowu na Syberię prowadzić dalsze dochodzenia. Ale nawet to nie było już dla niej ważne. Nic nie miało znaczenia. Dla Zoi wszystko się skończyło. Pod koniec stycznia Paryż znowu ogarnął podniosły nastrój, ulice były pełne żołnierzy amerykańskich. Odbywały się przyjęcia, specjalne przedstawienia i parady, wszystko to na cześć dygnitarzy przyjeżdżających ze Stanów, aby wziąć udział w konferencji w Wersalu, świętować zakończenie Wielkiej Burzy i zapoczątkować nową erę pokoju.

Ale dla Zoi nie istniały żadne obchody. Władimir odwiedził ją parę razy, po tym jak Pierre Gilliard wyjechał do Berna, gdzie oczekiwała go żona, lecz Zoja prawie się nie odzywała i książę patrząc na nią martwił się nie tylko o jej bezpieczeństwo, ale też o jej zdrowie psychiczne. Wiadomość o rodzinie carskiej docierała powoli do wszystkich emigrantów, nie było końca łzom, wszyscy pogrążyli się w cichej

żałobie. Śmierć Romanowów odcisnęła na nich bolesne piętno, ci, którzy ich znali, wiedzieli, że na zawsze zachowają ich w swojej pamięci.

– Pozwól, że zabiorę cię na przejażdżkę, maleńka. Dobrze ci to zrobi, jak gdzieś się przejedziesz.

– Tutaj mam wszystko, czego potrzebuję, Władimirze.

Spojrzała na niego oczami pełnymi smutku, głaszcząc łagodnie małą Sawę. Przyniósł jej coś do jedzenia, jak to czynił kiedyś, zaraz po ich przyjeździe do Paryża. Całkiem zdesperowany zabrał ze sobą nawet trochę wódki. Może przynajmniej w niej utopi swój smutek, skoro nic innego nie można zrobić. Ale butelka pozostała nienaruszona, podobnie jak większość przyniesionych produktów. Zdawało się, że Zoja niknie w oczach, jakby chciała doprowadzić się do śmierci, żeby móc połączyć się z tymi, których utraciła.

Czasami wpadała do niej któraś ze znajomych kobiet, ale Zoja przeważnie nie odpowiadała na pukanie. Siedziała cicho, sama w ciemnym mieszkaniu, czekając, aż sobie pójdą.

Pod koniec stycznia Władimir zaczął się naprawdę o nią bać i nawet rozmawiał z lekarzem. Wydawało się, że nic nie mogą zrobić, tylko czekać, aż czas uleczy jej rany. Księżę obawiał się jednak, że zanim to nastąpi, Zoja może zrobić jakiś nierozważny krok.

Pewnego późnego popołudnia jechał swoją taksówką do hotelu Crillon, z nadzieją, że zatrzyma go jakiś ważny Amerykanin i wtedy, jakby w odpowiedzi na swoje modlitwy, zobaczył go po drugiej stronie ulicy. Zaczął gwałtownie naciskać klakson i machać ręką, ale wysoki mężczyzna w mundurze zniknął w wejściu do hotelu. Władimir wyskoczył z taksówki prosząc Boga, aby nie było to przywidzenie. Przebiegł ulicę i wpadł do hotelu, łapiąc go w ostatniej chwili, kiedy właśnie wsiadał do windy. Kiedy Władimir go zawołał, Clayton Andrews odwrócił się zdziwiony. Wyszedł z windy, myśląc, że wydarzyło się coś strasznego.

– Dzięki Bogu, że to pan – westchnął z ulgą Władimir mając nadzieję, że Amerykanin zechce zobaczyć się z Zoją. Nie wiedział dokładnie co zaszło między nimi dwojgiem, choć zauważył, że przed wyjazdem Clayтона nastąpiło jakieś wyraźne ochłodzenie w ich wzajemnych stosunkach.

– Czy coś jej się stało?

Była to pierwsza rzecz, jaka przyszła Claytonowi do głowy, kiedy zobaczył wyraz twarzy Władimira. Przyjechał poprzedniego dnia i cały czas powstrzymywał się, aby nie pójść do niej. Wiedział jednak, że torturowanie siebie i Zoi nie miało sensu. Lepiej było dla nich, żeby zostało tak, jak jest. Pragnął, aby zaczęła nowe życie i wiedział, że przychodząc do niej, nie pomoże jej w tym, bez względu na to, jak bardzo za nią tęsknił. Ledwo zdążył przyjechać do Nowego Jorku, a już poproszono go, żeby, zanim opuści armię na zawsze, pojechał z powrotem do Paryża jako asysta licznych spotkań związanych z Traktatem Wersalskim. Nie był pewien, czy będzie miał dość siły, by wrócić do Paryża i zrezygnować z zobaczenia się z nią.

– Czy chodzi o Zoję? – dopytywał się, przerażony wyrazem oczu księcia. Można było z nich wyczytać, że sprawa była poważna.

– Czy możemy pójść gdzieś na chwilę i porozmawiać? – Władimir rozejrzał się po zatłoczonym hallu, a potem spojrział pytająco na Clayтона. Miał mu wiele do powiedzenia. Clayton zerknął na zegarek. Miał dwie godziny, zanim będzie musiał udać się na jakieś spotkanie. Skinął głową i poszedł z Władimirem do jego taksówki.

– Powiedz mi, człowieku, czy wszystko u niej w porządku? Nic jej się nie stało?

Książę włączył silnik. Wyglądał żałośnie, postrzępione mankiety, znoszona marynarka prezentowały się gorzej niż kiedykolwiek, za to elegancko przystrzyżone wąsy wyglądały nadal nieskazitelnie, włosy miał białe jak śnieg. Wszystko, co dotyczyło jego osoby, świadczyło o szlachetnym pochodzeniu i dystynkcji. Wielu było w Paryżu takich jak on; hrabiowie, książęta, baronowie albo po prostu mężczyźni z dobrych rodzin – jeździli taksówkami, zamiatali ulice i usługiwali przy stolikach.

– Nic jej się nie stało, kapitanie – odparł, a Clayton odetchnął z ulgą. – W każdym razie nie dotyczy to jej osoby bezpośrednio.

Pojechali do Deux-Magots, zajęli stolik w końcu sali i Clayton zamówił dwie kawy.

– Trzy tygodnie temu umarła jej babka.

– Bałem się, że tak się stanie.

Kiedy ponad miesiąc temu opuszczał Paryż, wydawała mu się bardzo



chora i słaba.

– Co gorsza, Pierre Gilliard przyjechał z Syberii, żeby się z nią spotkać. Przywiózł straszliwe wieści. Odkąd jej o wszystkim opowiedział, Zoja w ogóle nie opuszcza mieszkania. Boję się, że postrada zmysły od tego siedzenia w samotności i rozpamiętywania. To był dla niej za duży cios. Książę miał łzy w oczach i żałował, że Andrews nie zamówił czegoś mocniejszego. Chętnie napiłby się mocnej wódki. Na myśl o Zoi ścisnęło mu się serce. Zbyt wiele stało się rzeczy, które dotknęły ich wszystkich, a ją szczególnie.

– Czy Gilliard był tam, kiedy zabili cara?

Claytonowi także zrobiło się ciężko na sercu, kiedy o tym myślał, chociaż nie znał osobiście tego człowieka. Stał mu się jednak bliski po opowieściach Zoi o Liwadii, pobycie na jachcie i o Carskim Siole.

– Żołnierze sowieccy odesłali jego i nauczyciela angielskiego niedługo przed tym, ale po dwóch miesiącach obaj wrócili. Przez wiele miesięcy odbywali rozmowy z żołnierzami i strażnikami w Jekaterinburgu oraz z miejscowymi chłopami, pomagając w przeprowadzaniu dochodzeń przez Białą Armię. Wiedzą już prawie wszystko, ale Gilliard chce tam wrócić i jeszcze przeprowadzić z nimi rozmowę. Tylko jakie to ma teraz znaczenie? – Patrzył na Claytona smutnymi starymi oczami. – Oni już nie żyją... wszyscy bez wyjątku... zostali zamordowani razem z carem... nawet dzieci. Nie wstydził się łez, które spływały mu po policzkach. Płakał zawsze, kiedy o tym pomyślał. Stracił tak wielu dobrych przyjaciół. Jak oni wszyscy. Clayton zaś był zaszokowany i przerażony, wiedząc, jaki to był wstrząs dla Zoi.

– Czy Maria też? – złapał się ostatniej nadziei... ze względu na Zoję... lecz Władimir tylko pokręcił głową.

– Wszyscy. Odeszli.

Opowiedział Claytonowi szczegóły, z którymi Gilliard nie odważył się zapoznać Zoi: zalewanie kwasem, upokorzenia i podpalenie. To, co wiedziała, było już zupełnie wystarczające. Chcieli zmieść ich z powierzchni Ziemi, nie zostawiając żadnego śladu. Ale nie da się zniweczyć tego, co piękne, godne i pełne wdzięku, życzliwości i współczucia, ani ludzi, którzy są przeniknięci dobrocią i miłością. Nie mogli zniszczyć tego, co oni sobą reprezentowali. Ciała zostały zniszczone, ale ich duch pozostanie zawsze obecny.

– Jak Zoja to przyjęła?

– Nie jestem pewien, czy ona to wytrzyma. Z każdym dniem robi się coraz chudsza. Nie chce jeść, nie chce rozmawiać ani się uśmiechać. Serce mi pęka, kiedy na nią patrzę. Czy pójdzie pan do niej?

Gotów był błagać Claytona. Ona musi żyć. Jej babka była stara, ale Zoja jest młoda i pełna energii, życie ma jeszcze przed sobą. Gdyby teraz się zakończyło, nie mógłby tego znieść. Ona musi żyć, nieść ze sobą to piękno, które w niej widzieli, nieść je w nowe życie, a nie grzebać, tak jak właśnie czyniła.

Clayton Andrews westchnął głęboko, sącząc w zamyśleniu swoją kawę. To, co Władimir mu opowiedział, było szokujące i rozdzierało mu serce... zabili nawet chłopca... to właśnie powiedział Pierre Gilliard, gdy się o wszystkim dowiedział: „Dzieci!... tylko nie dzieci...” Spojrzał przynębiony na księcia, myśląc znowu o Zoi.

– Nie jestem pewien, czy będzie chciała się ze mną widzieć.

– Musi pan spróbować. Dla jej dobra.

Nie śmiał go pytać, czy nadal ją kocha. Zawsze uważał, że Clayton był dla niej za stary, i nawet powiedział to Eugenii. Ale teraz on był jedyną nadzieją, jaka pozostała, Władimir pamiętał blask, który widział w jego oczach w tamto Boże Narodzenie, kiedy Clayton poszedł z nimi na mszę wtedy na pewno kochał tę dziewczynę głęboko.

– Ona zwykle nie odpowiada na pukanie. Czasami zostawiam jej pod drzwiami coś do jedzenia, w końcu zabiera to do środka, choć nie jestem pewien, czy cokolwiek zjada.

Ale czynił to przez wzgląd na jej babkę. Życzyłby sobie, żeby ktoś zrobił to samo dla Jeleny, gdyby znalazła się w ciężkiej sytuacji.

Dlatego teraz błagał Claytona Andrews, żeby poszedł do Zoi. Gotów był zrobić wszystko, żeby jej pomóc. Chwilami żałował, że Gilliard w ogóle się pojawił w Paryżu, ale przecież musieli się o wszystkim dowiedzieć, nie mogli bez końca łudzić się nadzieją.

– Zrobię, co będę mógł.

Spojrzał na zegarek. Musiał wracać do hotelu na jedno z wielu niekończących się spotkań. Wstał i zapłacił za kawę, a w drodze powrotnej do hotelu podziękował Władimirowi. Zastanawiał się, czy Zoja mu otworzy drzwi swego domu. W jej mniemaniu, był tym, który ją opuścił, wiedział, że nie rozumiała jego pobudek. Przymuszczał, że go

nienawidzi, i może tak było dobrze, ze względu na nią. Nie mógł jednak pozwolić, żeby tam siedziała sama i umierała. Obraz, jaki przedstawił Władimir, jawił mu się jak jakiś koszmar.

Czekał z niecierpliwością zakończenia tych wszystkich spotkań, w jakich brał udział tego wieczora, wreszcie, o dziesiątej wyszedł i zawołał taksówkę. Podał szoferowi adres Zoi, stwierdzając z ulgą, że tym razem był to Francuz, a nie jeden ze szlachetnie urodzonych Rosjan.

Poczuł dojmujący ból na widok znajomego budynku. Na moment się zawahał, po czym powoli zaczął wstępować po schodach na górę. Nie wiedział, co ma jej powiedzieć, może nic nie trzeba było mówić. Może wszystko, co mógł zrobić, to po prostu być tam. Wchodzenie na czwarte piętro wydawało się trwać nieskończenie długo, a korytarze były jeszcze ciemniejsze i bardziej ponure, niż pamiętał. Minęło sześć tygodni, odkąd ją opuścił, ale w tym krótkim czasie zmieniło się bardzo wiele, tyle rzeczy się wydarzyło. Długo stał pod jej drzwiami nasłuchując, zastanawiając się czy spała, i w końcu usłyszał jakiś szmer.

Zapukał raz, delikatnie, kroki się zatrzymały. Przez dłuższy czas panowała cisza. Kiedy Zoja doszła do przekonania, że sobie poszedł, poruszyła się i tym razem Sawa zaszczekała. Świadomość, że Zoja jest tak blisko, przyspieszyła bicie jego serca, nie mógł jednak myśleć teraz o sobie, musiał pomyśleć o niej. Przyszedł po to, żeby pomóc jej, nie sobie, i starał się nie myśleć o tym, kiedy zapukał ponownie i zawołał po francusku przez drzwi: „Telegramme... !” i jeszcze raz donośnie: „telegramme... !” To było okrutne oszustwo, ale wiedział, że w przeciwnym razie nie otworzyłyby mu drzwi. Kroki zbliżyły się i drzwi się uchyliły, ale w miejscu, gdzie stał, trudno było go dojrzeć. A potem – jeden krok, lekkie pchnięcie i otworzył je szerzej, popchnął ją delikatnie do środka i powiedział łagodnie:

– Powinna pani być bardziej ostrożna, mademoiselle.

Zoja oniemiała, twarz miała śmiertelnie bladą. Był zaszokowany kiedy zobaczył, jak bardzo wychudła. Księżę miał rację. Wyglądała strasznie, stojąc tak przed nim z szeroko otwartymi oczami, w których malował się lęk.

– Co ty tutaj robisz?

– Wpadłem na chwilę z Nowego Jorku, żeby zobaczyć, jak się miewasz. Chciał, żeby to zabrzmiało beztrzesko, ale sposób, w jaki na niego patrzyła, wcale na to nie wskazywał. Była daleka od śmiechu, daleka od miłości, nic jej nie obchodziło.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

Stała rozgniewana i taka drobna, łamiąc mu serce. Pragnął wziąć ją znowu w ramiona, ale się nie odważył. Bał się, że byłby to dla niej za wielki wstrząs.

– Chciałem cię zobaczyć. Jestem tutaj w związku z negocjacjami pokojowymi w Wersalu. Nadal stali w wejściu, spojrzął więc na nią pytająco, podczas gdy Sawa zaczęła go lizać po ręce. Ona nie zapomniała, nawet jeśli Zoja nie chciała pamiętać.

– Czy mogę wejść na chwilę?

– Po co?

Jej oczy były ogromne i smutne, lecz piękniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Nie mógł już dłużej kłamać.

– Bo wciąż cię kocham, Zoju. – Nie to zamierzał powiedzieć, ale nie mógł się już dłużej powstrzymać.

– To już teraz nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma znaczenie.

– Nie miało sześć tygodni temu, kiedy wyjechałeś.

– Wtedy także miało dla mnie wielkie znaczenie. Myślałem, że to, co robię, będzie dla ciebie najlepsze. Uważałem, że masz prawo do czegoś więcej, niż ja mogłem ci ofiarować.

Mógł jej ofiarować wszystko, jeśli chodzi o rzeczy materialne, ale nie mógł dać jej młodości ani lat, które zmarnował, zanim ją poznał. Wtedy wydawało się to istotne, teraz nie był już pewien, po tym wszystkim, czego się dowiedział od Władimira.

– Zostawiłem cię tutaj dlatego, że cię kocham. – Wiedział jednak, tak samo jak wtedy, że ona tego nie zrozumiała. – Nie chciałem cię opuszczać. Nie miałem pojęcia, że tyle się wydarzy po moim wyjeździe, – Co masz na myśli? – spojrzała na niego ze smutkiem, przeczuwając, że on zna prawdę, nie była tylko pewna, czy całą.

– Widziałem się dziś po południu z Władimirem.

– I co ci powiedział?

Stała sztywno, daleko od niego, patrząc mu w oczy, a jego serce wrywało się do niej. To nie było sprawiedliwe. Powinno się było przydarzyć komuś innemu. Nie jej ani Eugenii, nie Romanowom... ani nawet nie Władimirowi. Bardzo ich wszystkich żałował. Ale przede wszystkim czuł, jak ogarnia go fala miłości.

– Powiedział mi o wszystkim, maleńka.

Zrobił krok w jej stronę i przyciągnął delikatnie do siebie, ku jego zaskoczeniu, nie bronila się.

– Powiedział mi o twojej babci – zawahał się, ale tylko przez chwilę – ...i o twoich kuzynach... o biednej małej Maszce...

Powstrzymała płacz odwracając twarz, a on trzymał ją w swoich ramionach i wtedy jakby puściła tama, Zoja zaczęła szlochać w jego objęciach, on zatrzasnął nogą lekko drzwi i zaniósł ją na rękach, jak małe dziecko, do pokoju. Usiadł na kanapie i tulił ją, a ona wciąż płakała. Płakała bardzo długo zanosząc się i drżąc, opowiedziała mu wszystko, co słyszała od Gilliarda, wstrząsana płaczem jeszcze przez długi czas, gdy Clayton tulił ją do siebie. Aż w końcu zapadła cisza, od czasu do czasu słychać było jeszcze tylko pociąganie nosem. Podniosła na niego swoje zbolale zielone oczy i wtedy pocałował ją delikatnie tak, jak tego od dawna pragnął.

– Żałuję, że nie było mnie przy tobie, kiedy on przyjechał.

– Ja też – przyznała Zoja i zapłakała cicho znowu. – Wszystko było takie straszne, kiedy wyjechałeś... to wszystko było takie okropne... i Maszka... o Boże, biedna Maszka... Pierre powiedział, że kule przynajmniej szybko ją zabiły. Ale reszta...

– Nie myśl już o tym. Musisz to zostawić za sobą.

– Jak mogę to zrobić?

Siedziała wciąż na jego kolanach i przypomniało jej to, jak rozmawiała kiedyś, dawno temu, z ojcem.

– Musisz, Zoju. Pomyśl o swojej babci, o tym, jaka była dzielna.

Wywiozła cię z Rosji, zwykłą trojką, na wolność, w bezpieczne miejsce. Nie przywiozła cię tutaj po to, żebyś popadła w beznadzieję i wszystkiego zaniechała, siedząc samotnie w mieszkaniu i głodząc się na śmierć. Przywiozła cię tutaj, żeby ratować twoje życie, żeby zachować je. Nie wolno ci go nigdy, nigdy zmarnować. Obraziłabyś ją w ten sposób, pamiętać o niej i to, co starała się dla ciebie zrobić. Musisz

uszanować jej wolę i dążyć do tego, by twoje życie było szczęśliwe.

– Wiem, że masz rację, ale to jest teraz takie trudne – wtedy coś sobie przypomniała i spojrzała na niego zażenowana – powiedziała mi przed śmiercią o tych pieniądzech. Miałam zamiar ci je odesłać, ale zaczęłam je wydawać. Zacerwieniła się i od razu stała bardziej podobna do siebie.

– Miałem taką nadzieję. – Ucieszył się, że przynajmniej tyle dla niej zrobił. – Władimir mówił mi, że nie tańczysz już od miesiący.

– Odkąd zachorowała Babcia i po tym jak umarła, a później przyjechał Pierre... nie byłam w stanie tam wrócić.

– Nie myśl już o tym.

Obejrzał się przez ramię i zauważywszy samowar, uśmiechnął się ze smutkiem.

– Co ty sobie wyobrażasz? Sam Diagilew prosił mnie znowu, żebym pojechała z nimi na tournée. I mogłabym teraz pojechać, gdybym chciała. – Pociągnęła nosem, ale Clayton tylko się uśmiechnął tym razem.

– Nie, nie mogłabyś.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ jedziesz do Nowego Jorku.

– Naprawdę? – Była zaskoczona. – Dlaczego?

Wyglądała bardziej dziecinnie niż kiedykolwiek. Clayton uśmiechnął się do niej.

– Żeby wyjść za mnie, dlatego. Masz dokładnie dwa tygodnie na to, żeby się spakować, a potem wyjeżdżamy. Jak ci się to podoba?

Podniosła na niego szeroko otwarte oczy.

– Mówisz poważnie?

– Tak, mówię poważnie, jeśli mnie zechcesz.

Uświadomił sobie nagle, że była teraz hrabianką, ale nie potrwa to długo. Zamierzał poślubić ją, zanim wyjadą z Paryża. A wtedy Zoja będzie Panią Andrews, przez całą resztę swojego życia.

– Jeśli jesteś na tyle niemądra, żeby pakować się w życie ze starym facetem, to twój problem, panno Ossjupow. Więcej już nie będę cię ostrzegał. Właściwie – powiedział stawiając ją delikatnie na podłozie, kiedy wstawał – weź trochę rzeczy teraz od razu. Znajdę ci jakiś pokój w hotelu. Muszę mieć na ciebie oko przed wyjazdem. Nie mam ochoty

dobijać się znowu do twoich drzwi i krzyczeć „telegramme” przez następne dwa tygodnie.

Wtedy Zoja się roześmiała i wytarła oczy.

– To było bardzo nieuprzejme!

– Nie tak bardzo jak twoje udawanie, że nie ma cię w domu. Możemy tu wrócić za parę dni po resztę rzeczy, które będziesz chciała ze sobą zabrać.

– Nie mam ich zbyt wiele. Rozejrzała się po pokoju, nie było tam prawie nic, co chciałaby ze sobą zabrać, z wyjątkiem samowara i paru rzeczy należących do jej babki. Chciała zostawić przeszłość za sobą i zacząć z nim nowe życie. Nagle spojrziała na niego z przestrawieniem.

– Czy powiedziałaś to poważnie?

A jeśli zmieni zdanie? Jeśli znowu ją zostawi albo porzuci w Nowym Jorku?

Zobaczył ten strach w jej oczach i bardzo go to wzruszyło.

– Oczywiście, że poważnie, maleńka moja. Powinienem był zabrać cię ze sobą wtedy od razu.

Oboje jednak wiedzieli, że nie mogła opuścić swojej babki, a Eugenia nie wytrzymałaby takiej podróży.

– Pomogę ci się spakować.

Spakowała się w małą torbę i nagle przypomniała sobie o psie. Nie mogła jej zostawić, Sawa była jedynym przyjacielem, jaki jej pozostał, prócz, oczywiście, Clayтона.

– Czy mogę zabrać Sawę do hotelu?

– Oczywiście.

Wziął na ręce małego psa, który z zapalem usiłował polizać go po brodzie, a potem pakunek Zoi, ona tymczasem cicho zgasiła światło, nadszedł czas, by udać się do prawdziwego domu. Zamknęła drzwi i nie oglądając się za siebie zeszła po schodach za Claytonem, na spotkanie owego życia.

Rozdział dwudziesty ósmy

Spakowanie pozostałych rzeczy nie zajęło jej więcej niż dzień. Zabrała samowar, swoje książki, robótki na drutach swojej babki, a także jej szale, swoje ubrania, koronkowy obrus, i zostało już niewiele. Resztę rzeczy rozdzieliła między Władimira i paru innych przyjaciół, część

dała popu ze Św. Aleksandra Newskiego.

Pożegnała się z Władimirem i obiecała mu, że będzie do niego pisała. Jeszcze tylko parę dni – i oto Zoja stała obok Claytona w urzędzie stanu cywilnego składając przysięgę małżeńską. Wszystko to było jak sen. Kiedy podniosła na niego oczy, łzy spływały jej po policzkach. Straciła wszystko, a teraz oddała nawet swoje nazwisko. Teraz Clayton stał się jej życiem. Razem wracali do hotelu, przylgnęła do niego, jakby się bała, że mógłby jeszcze zmienić zdanie.

Jeszcze dwa dni spędzili w Paryżu, a potem wsiedli do pociągu i pojechali do Szwajcarii. Postanowili tam spędzić swój miodowy miesiąc. Zoja wyznała Claytonowi, że chciałaby jeszcze spotkać się z Pierre'em Gilliardem, zanim wyjadą do Stanów.

Upłynęły dwa dni, nim dotarli do Berna pociągiem, który zatrzymywał się na każdej najmniejszej nawet stacji. Kiedy Zoja obudziła się ostatniego dnia podróży, serce jej podskoczyło z radości. Przywitały ją pokryte śniegiem góry i przez chwilę wydawało jej się, że znowu jest w Rosji.

Gilliard wyszedł po nich na stację i udali się do domu, by zjeść lunch z jego żoną, która była przedtem opiekunką dzieci Romanowów. Objęła Zoję serdecznie i obie się rozplakały. Potem przy stole Clayton przysłuchiwał się, jak snuły wspomnienia.

Wszystko to było bardzo bolesne, jednocześnie pozostawiło w nich tyle czułości, tyle szczęśliwych chwil w pamięci.

– Kiedy zamierzacie tam wrócić? – zapytał cicho Clayton, kiedy Zoja poszła z żoną Gilliard a obejrzeć fotografie.

– Jak tylko poczujemy się dostatecznie silni znowu. Życie na Syberii było dla mojej żony bardzo ciężkie. Nie chcę jej tam ze sobą zabierać. Umówiliśmy się z Gibbesem, że się spotkamy i zobaczymy, czy uda nam się dowiedzieć czegoś więcej.

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie?

Clayton był z nim szczery. Było już po wszystkim i wydawało mu się, że nie ma potrzeby trzymać się kurczowo bolesnej przeszłości.

Powiedział to samo Zoi, ale Gilliard zdawał się ogarnięty obsesją dociekania prawdy. Dla niego to było nawet bardziej rzeczywiste niż dla innych, co było zrozumiałe, spędził bowiem dwadzieścia lat z carem i jego dziećmi, byli prawie całym jego życiem.



– Dla mnie to ma znaczenie. Nie spocznę, dopóki nie dowiem się wszystkiego, dopóki nie dowiem się, czy ktokolwiek z nich przeżył.

– Istnieje jakaś szansa?

– Nie sądzę. Ale muszę się upewnić, nie spocznę, nim tego nie będę wiedział.

– Musiał ich pan bardzo kochać.

– Wszyscy ich kochaliśmy. To była niezwykła rodzina, nawet niektórzy wartownicy na Syberii łagodnieli, kiedy poznali ich bliżej. Bolszewicy musieli wciąż zmieniać żołnierzy, żeby utrzymać jak najbardziej wrogą atmosferę wokół cara. Ogromnie to ich drażniło, że Mikołaj był niesłychanie uprzejmy wobec każdego, nawet w stosunku do tych, którzy zniszczyli jego imperium. Nie wiem, czy kiedykolwiek sobie wybaczył, że podpisał oświadczenie o abdykacji. Zawsze czytał książki historyczne i któregoś dnia powiedział mi, że świat powie o nim, że zawiódł... że się poddał... myślę, że bardzo go to gnębiło.

To był obraz człowieka, jakiego inni nigdy nie znali. Chwila wglądu w czas szczególny, który nigdy już, dla nikogo, nie powróci. Wspaniałość świata, w którym kiedyś żyli, przekraczała nawet to, co Clayton miał jej do zaoferowania w Nowym Jorku. Wiedział jednak, że Zoja będzie tam szczęśliwa. Nigdy więcej nie będzie musiała marznąć i cierpieć głodu. Przynajmniej tyle może jej zapewnić. Zaczął już myśleć o kupnie nowego domu dla niej. Jego rezydencja przy końcu Piątej Alei zaczęła mu się nagle wydawać zbyt małą.

Spędzili w Bernie jeszcze trzy dni, a potem Clayton zabrał Zoję do Genewy i Lozanny.

Do Paryża wrócili w drugiej połowie lutego. W Hawrze wsiedli na okręt „Paris” płynący do Nowego Jorku. Kiedy wypływali, pogoda była przepiękna, kominy statku wznosiły się dumnie. Był to bardzo piękny okręt, duma francuskich linii, który przez trzy lata stał beczynnie w porcie, odkąd wojna unieruchomiła go zaraz po wodowaniu.

Zoja była podniecona podróżą jak dziecko. Zdążyła nieco przytyć, a jej oczy odzyskały dawny blask. Kilka razy jedli kolację przy stoliku kapitańskim i tańczyli do późna w nocy. Zaczęła nawet mieć poczucie winy, że tak dobrze się bawi. Tyle bliskich osób zostawiła w przeszłości, ale Clayton nie miał zamiaru pozwolić jej teraz o tym myśleć. Pragnął jedynie, żeby patrzyła w przyszłość, ku nowemu życiu,

które mieli razem przeżyć. Rozmawiał z nią o domu, który mieli zbudować, o ludziach, których spotkają, o dzieciach, które im się urodzą.

W noc poprzedzającą ich przyjazd do Nowego Jorku Zoja dała Claytonowi ślubny podarunek, który specjalnie przechowywała dla niego. Nadal był zawinięty w szal jej babki. Kiedy ujrzął jajko, Clayton wydał okrzyk zdumienia i zachwyty nad jego misternym wykonaniem. Otworzył je, a Zoja postawiła maleńkiego łabędzia na stole i zademonstrowała mu, jak działa.

– To najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałem... nie, druga pod względem piękna – powiedział uśmiechając się do Zoi.

Patrzyła na niego rozczarowana, pragnęła by to cacko stało mu się tak samo drogie jak jej. Dla niej było bezcenne. Był to jedyny relikwiarz, jaki jej pozostał z przeszłości.

– Jaka jest pierwsza najpiękniejsza rzecz?

– Ty, moja kochana. Ty jesteś najpiękniejsza i najlepsza pod słońcem.

– Głuptas.

Śmiała się z niego, a potem kochali się przez całą noc. Oboje jeszcze nie spali, kiedy na horyzoncie pojawiła się Statua Wolności. Dopływali do Nowego Jorku.

Część 3

Nowy Jork

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Zoja stała na pokładzie i patrzyła urzeczona, jak „Paris” przybija do przystani Francuskich Linii w Zatoce Hudsona. Francuzi chwalili się, że mają najdłuższy pomost na świecie. Zoja szła po nim ubrana w czarny kostium od Chanel, który Clayton kupił jej przed wyjazdem z Paryża. Chanel, przeniosła się już wtedy na rue Cambon i jej ubrania budziły więcej zainteresowania niż stroje Poireta, chociaż nie była jeszcze tak sławna, jak on. Zoja miała włosy zebrane w elegancki węzeł, a na głowie, dobrany do reszty, kapelusik. Gdy go kupiła, wydawał jej się bardzo szykowny, ale teraz, kiedy rozejrzała się dookoła, poczuła się niemal jak kopcuszek. Kobiety wokół niej nosiły drogie sukienki i futra, i taką obfitość klejnotów, jakiej nigdzie nie widziała, odkąd opuściła Rosję. Ona miała jedynie złotą obrączkę, którą Clayton wsunął jej na palec podczas ceremonii ślubnej.

Ani śladu szampana, jakim uczczono wypłynięcie z Hawru. Francuzi musieli respektować prohibicję i wszelkie alkohole musiały zniknąć, kiedy wpłynęli w strefę pięciu mil od wybrzeża Ameryki. Mogli serwować alkohol jedynie wtedy, gdy znajdowali się na wodach międzyterytorialnych, Amerykanie zaś nie podawali go na swoich statkach w ogóle. To spowodowało, że statki angielskie i francuskie stały się bardzo popularne. Rysujący się na niebie kontur Nowego Jorku niepodobny był do niczego, co kiedykolwiek w swoim życiu widziała. Nie było widać kościołów, złocistych kopuł ani iglic, nic ze staroświeckiej elegancji Rosji czy pełnego gracji splendoru Paryża. Tu była nowoczesność, pełnia życia, ruch i podniecenie, Zoja poczuła, że jest znowu młoda, kiedy Clayton prowadził ją do swojej hispano-suizy. Jego szofer tymczasem odbierał ich bagaże z odprawy celnej.

– No i co, maleńka, jak ci się podoba?

Spoglądał na nią rozradowanym wzrokiem, kiedy jechali na Piątą Aleję, w stronę centrum, gdzie znajdowała się jego rezydencja, którą niegdyś dzielił ze swą żoną. Była nieduża i wytworna, jej wystrój zaprojektowała Elsie de Wolfe. Obie kobiety były dobrymi przyjaciółkami. Elsie urządziła domy rodzinom Astorów i Vanderbiltoów w Nowym Jorku oraz wielu ich przyjaciółom w Bostonie.

– Clayton, to jest cudowne!

Cała epoka dzieliła ją od pokrytych śniegiem dróg, po których jechała trojką do Carskiego Sioła. Tutaj na ulicach były konie i samochody, kobiety w jasnych płaszczach obramowanych futrem, mężczyźni idący obok nich w pośpiechu. Wszystko wyglądało wesoło i podniecająco. Oczy Zoi iskrzyły się z radości, gdy wysiadła z samochodu i oglądała rezydencję Clayтона. Była oczywiście mniejsza od pałacu na Fontance, lecz jak na standardy amerykańskie – całkiem spora. Zoja stała w marmurowym hallu, gdy tymczasem dwie służące, ubrane w stosowne fartuszki i czepki, wzięły od niej płaszcz, a ona uśmiechnęła się do nich nieśmiało.

– To jest pani Andrews – zaanonsował ją spokojnie Clayton i przedstawił każdej z osobna, również starszej kucharce, która nadeszła właśnie z kuchni z dwiema innymi służącymi. Majordomus był Anglikiem i wydawał się bardzo poważny. Wnętrze domu nosiło wszystkie znamiona upodobań pani de Wolfe: francuskie antyki przemieszane z, jak to lubiła nazywać, „moderną”. Clayton powiedział Zoi, że może wszystko pozmienić, jeśli będzie miała ochotę. Pragnął, by czuła się jak u siebie w domu, ale jej bardzo się podobało to, co zastała, szczególnie duże francuskie okna wychodzące na pokryty śniegiem ogród. Klaskała w ręce jak dziecko i śmiała się, kiedy Clayton prowadził ją na górę do ich sypialni. Na łóżkach leżały różowe atłasowe narzuty, w oknach były różowe zasłony, u sufitu wisiał przepiękny żyrandol, a obok znajdowała się przebieralnia, której ściany zostały obite także różowym atłasem. Stojące tam szafy przypomniały jej garderobę matki. Roześmiała się na widok swoich skromnych kilku sukienek, które służąca zdążyła już tam powiesić.

– Obawiam się, że służba będzie bardzo rozczarowana – powiedziała ze śmiechem stojąc nago w swojej garderobie z zamiarem przebrania się do obiadu. Właśnie wzięła kąpiel w dużej marmurowej wannie... gdzieś tam daleko została okropna mała wanna w pomieszczeniu na końcu korytarza, w domu przy Palais Royal. Nigdy więcej nie będzie musiała korzystać ze wspólnej z sąsiadami łazienki. Miała uczucie, że to sen, gdy rozglądała się dokoła i patrzyła na mężczyznę, który uwolnił ją od życia, jakie wiodła w Paryżu. Nie miała pojęcia, że był tak bogaty ani że był aż tak ważną osobą w nowojorskiej socjocie. Trudno go było o to podejrzewać, gdy chodził w mundurze i zachowywał taką skromność w

sposobie bycia.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wszystkim?

– To by przecież niczego nie zmieniło.

Wiedział, że nie za to go kochała i to go bardzo cieszyło. Czuł ulgę, że nie będzie już obiektem zakusów podstarzałych panien albo córek przyjaciół jego matki, które ostatnio owdowiały albo się rozwiodły i polowały na dobrze sytuowanego męża z dobrej rodziny. Clayton spełniał doskonale te wymogi. Jednak dla Zoi liczyła się najbardziej czułość, jaką ją darzył i jego dobroć. Była mu wdzięczna za to, że ją uratował.

– Zawsze czułam się taka zakłopotana opowiadając ci o życiu w Sankt Petersburgu... bałam się, że mógłbyś pomyśleć, że to nadmierny zbytek.

– Tak uważam – zaśmiał się – ale też myślę, że to było niezmiernie urocze... jak moja śliczna dziewczyna.

Przyglądał się, jak zgrabnie wsunęła na siebie nową atłasową bieliznę i zdecydował, że równie zgrabnie ją z niej zdejmie.

– Clayton!

Ale nie protestowała więcej, kiedy niósł ją z powrotem do łóżka.

Każdego wieczora spóźniali się na kolację i Zoja czuła się zawsze zakłopotana widząc wyraźną dezaprobatę majordomusa.

Służba nie była jej przychylna, miała świadomość, że coś szeptają na jej temat za każdym razem, kiedy przechodziła. Usługiwali jej, aczkolwiek z pewną niechęcią, i kiedy tylko nadarzyła się okazja wspominali poprzednią żonę. Najwyraźniej uważali byłą panią Andrews za szczyt doskonałości. Pokojówka zostawiła nawet specjalnie kopię Vogue'a w garderobie Zoi, otwartą na stronie, gdzie Cecil Beaton rozwodziła się nad jej ostatnią kreacją i przyjęciem, jakie wydała dla swoich przyjaciół w Wirginii.

– Ona była cudowna, prawda? – spytała Zoja cicho którejś nocy, kiedy siedzieli w sypialni przy kominku, który służył głównie do tego, by wywołać urokliwy nastrój w pokoju i nie był niezbędny do przetrwania. Często myślała ze smutkiem o Władimirze w jego lodowatym mieszkaniu i o przyjaciółkach głodujących w Paryżu. Miała uczucie, że nie zasłużyła na to wszystko, czym obdarzył ją Clayton.

– Kto był cudowny? – patrzył na nią nie rozumiejąc.

– Twoja żona.

Miała na imię Margaret.

– Jak miała ochotę, potrafiła się znakomicie ubierać. Ale ty też to potrafisz, Zoju. Nawet jeszcze nie wybraliśmy się na zakupy.

– Za bardzo mnie psujesz.

Uśmiechnęła się nieśmiało do niego, czerwieniąc się przy tym w sposób, który bardzo go wzruszał. Przyciągnął ją do siebie.

– Zaslugujesz na znacznie więcej, niż kiedykolwiek będę mógł ci ofiarować.

Chciał dla niej odtworzyć to wszystko, co utraciła, wynagrodzić wszystkie jej cierpienia, jakich doznała po opuszczeniu Rosji. Cesarskie wielkanocne jajko wyglądało wspaniale nad kominkiem, pośród fotografii jej rodziców oprawionych w eleganckie srebrne ramki i trzech znakomitych złotych rzeźb, miniaturowych rozmiarów, które należały do jego matki.

– Czy jesteś szczęśliwa, maleńka moja?

Spojrzała na niego rozpromieniona.

– Jakże mogłabym nie być?

Przedstawił ją swoim przyjaciołom, ale oboje dostrzegli ich ukrytą niechęć. Zoja była piękna, młoda i wyglądała znakomicie w kosztownych sukniach, jakie jej kupił.

– Dlaczego oni mnie tak bardzo nie lubią?

Dali jej to odczuć wiele razy. Kobiety nagle milkły, kiedy się do nich zbliżała, i wyraźnie jej unikały.

– To nie jest tak, że one cię nie lubią. One są zazdrosne.

Nie mylił się. Kiedy pod koniec maja usłyszał, jakie plotki zaczęły o niej krążyć, wpadł we wściekłość. Ktoś zaczął rozpowiadać, że Clayton Andrews poślubił tanią tancerczkę z Paryża... dodając do tego mętną wzmiankę o Folies-Bergere. Jakiś pijany gbur w jego klubie zapytał nawet, czy Zoja tańczyła kankana, i Clayton musiał się bardzo powstrzymywać, żeby go nie uderzyć.

Pewna kobieta na jakimś przyjęciu spytała inną, kiedy przyglądały się, jak Zoja tańczyła, czy to prawda, że była w Paryżu prostytutką.

– Z pewnością tak. Niech pani tylko spojrzy, jak ona tańczy!

Pod uważnym okiem Clayтона Zoja opanowała do perfekcji kroki fokstrotą. Teraz patrzył na nią z dumą okręcając ją na parkiecie. Tak bardzo było widoczne, że jest bez pamięci zakochany w swojej młodej

żonie, że wszyscy ją natychmiast znienawidzili. Miała dwadzieścia lat, talię osy, piękne nogi i twarz anioła. Rozległy się pierwsze takty walca; Zoja poczuła w oczach piekące łzy na wspomnienie tej nocy, kiedy spotkali się po raz pierwszy, i z powodu innych obrazów, jakie nagle ożyły w jej pamięci, z czasów, kiedy jeszcze była w Rosji. Zamknęła oczy i była znowu w Sankt Petersburgu... tańcząc z Konstantym albo z przystojnym Mikołajem w mundurze Pułku Preobrażenskigo... albo z samym carem w Pałacu Zimowym. Przypomniała sobie o balu, który mieli dla niej urządzić... i już nie czuła takiego bólu. Clayton jej to wszystko wynagrodził. Mogła nawet patrzeć na fotografie Maszki ze smutkiem, lecz już bez łez. Zachowała w sercu na zawsze swoich przyjaciół i najbliższych.

– Kocham cię, małeńka... – wyszeptał w tańcu, podczas czerwcowego balu u Astorów. Nagle Zoja przestała tańczyć, mając na twarzy wyraz osłupienia, jakby zobaczyła ducha. Nogi wrosły jej w podłogę, twarz pobiadła i Clayton zapytał z niepokojem:

– Czy coś się stało?

– To niemożliwe...

Wyglądała jakby była chora, czuł jak jej dłoń nagle stała się zimna. Wysoki, uderzająco przystojny mężczyzna wszedł na salę w towarzystwie pięknej kobiety w lśniącej błękitnej sukni.

– Czy ty ich znasz?

Ale ona nie mogła z siebie wydobyć słowa. Mężczyzna, który właśnie wszedł, był księciem Oboleńskim albo kimś bardzo do niego podobnym, a towarzysząca mu kobieta musiała być Wielką Księżną Olgą, ciotką młodych Wielkich Księżniczek. Zwykle zabierała je co niedziela do miasta, na świąteczny obiad u ich babki, a przy okazji wpadały razem na herbatę do pałacu na Fontance.

– Zoju! – przestraszył się, że mu zemdleje.

Kobieta w błękitnej sukni popatrzyła z niedowierzaniem, wydała okrzyk zdumienia i pośpieszyła ku nim. Zoja jęknęła jak dziecko i rzuciła się jej w ramiona.

– Kochanie... czy to naprawdę ty... och, moja mała Zoja...

Piękna Olga objęła ją serdecznie i obie rozplakały się z radości, wypełnione tkliwymi wspomnieniami o tych, których kochały i utraciły. Tymczasem Clayton i książę Oboleński przyglądali się tej scenie w



milczeniu.

– Co ty tutaj robisz?

Zoja skłoniła się nisko i odwróciła, aby przedstawić swojego męża.

– Olgo Aleksandrowna, pozwól, że ci przedstawię: mój mąż, Clayton Andrews.

Clayton uklonił się i pocałował Wielką Księżną w rękę, po czym Zoja wyjaśniła, że Olga była najmłodszą siostrą cara.

– Gdzie się podziewałaś, kiedy... – trudno jej było mówić o tym.

Spojrzały tylko sobie w oczy. Ostatni raz widziały się w Carskim Siole.

– Byłam w Paryżu z Babcią... umarła po Bożym Narodzeniu. Wielka Księżna objęła dziewczynę ponownie, a cała sala przyglądała się temu. W ciągu paru godzin wszyscy już o tym mówili. Nowa żona Clayтона Andrews była rosyjską hrabianką. Opowieści o Folies-Bergere jakby rozwiął wiatr, zaś książe Oboleński snuł teraz opowieści o wspaniałych niezwykle balach w pałacu na Fontance.

– Jej matka była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

Oczywiście była chłodna, jak przystało na Niemkę, i dość nerwowa, ale niewiarygodnie piękna. A jej ojciec był czarującym mężczyzną. To ogromna strata, że został zabity. Tak wielu znakomitych mężczyzn zginęło.

Powiedział to nad kieliszkiem szampana, z żalem, ale bez takich emocji, jakie odczuwały kobiety. Zoja nie opuszczała Olgi już do końca wieczora. Księżna mieszkała w Londynie, a do Nowego Jorku przyjechała odwiedzić przyjaciół. Zatrzymała się u księcia Oboleńskiego i jego małżonki Alice, z domu Astor.

Wieści o pochodzeniu Zoi rozeszły się po Nowym Jorku jak błyskawica. Mówiono o jej arystokratycznej rodzinie, pokrewieństwie z carem i z dnia na dzień stała się pupilką towarzystwa. Cecil Beaton zdawała relację z każdego jej kroku, wszędzie ją zapraszano. Ludzie, którzy przedtem jej unikali, nagle zaczęli się do niej garnać.

Elsie de Wolfe chciała przerobić jej dom, ale zamiast tego przedstawiła jej ciekawą propozycję. Ona i jej przyjaciele kupili kilka folwarków na East River i modernizowali stare domy na ulicy, zwanej Sutton Place. Nie było to jeszcze znane miejsce, ale Elsie była przekonana, że stanie się modne, jak tylko skończą przebudowę.

– Może chcielibyście, żebym przystosowała jeden z tych domów dla

ciebie i Claytona?

Robiła to już dla maklera giełdowego Williama May Wrighta i jego żony, Cobiny. Zoja jednak uważała, że jest im wystarczająco dobrze w ich rezydencji.

Wydała pierwszą uroczystą kolację na cześć Wielkiej Księżnej Olgi, przed jej wyjazdem do Londynu, i to przesądziło o jej losie. Było jej pisane stać się ulubienicą całego Nowego Jorku, ku wielkiemu niezadowoleniu jej męża. Zaspokajał każdą jej zachciankę i poprosił w sekrecie Elsie de Wolfe, żeby urządziła dla nich jeden z domów na Sutton Place. Zoja, kiedy go zobaczyła, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Była to prawdziwa perła elegancji. Nie było w nim takiego przepychu jak w nowym domu Wrightów, gdzie spędzili ostatni wieczór. Spotkali tam Freda Astaire'a i Tallulah Bankhead. Najbardziej szokowała wyściełana norkami łazienka Wrightów, ale w domu państwa Andrews nie było takiej przesady. Urządzono go ze spokojną elegancją, miał marmurowe podłogi, pokoje jasne, przestronne i piękny widok za oknami.

Znajdowały się w nim skarby, które, zdaniem de Wolfe, mogły sprawić radość rosyjskiej hrabiance. Ludzie zaczęli ją teraz tak tytułować, choć Zoja wciąż powtarzała, że jest obecnie panią Andrews. Pomysł, żeby używać tytułu, wydawał się jej śmieszny, wyglądało jednak na to, że Amerykanie bardzo to lubią.

W Nowym Jorku pojawiło się mnóstwo emigrantów rosyjskich, niektórzy dopiero co przybyli z Paryża i Londynu, a niektórzy wprost z Rosji, przywożąc ze sobą rozdzierające opowieści o swojej ucieczce z kraju ogarniętego wojną domową Czerwonych z Białymi, gdzie jedni i drudzy usiłowali zapanować nad uciśnionym narodem.

Biali znajdujący się w Nowym Jorku wcale nie bawili Zoi. Byli oczywiście pośród nich naprawdę szlachetnie urodzeni, znała wielu z nich, lecz całe tuziny innych przypisywały sobie tytuły, których nigdy w Rosji nie posiadali. Wszędzie spotykało się książąt, księżniczki i hrabiny. Raz nawet, ku zdumieniu Zoi, przedstawiono jej pewną księżniczkę, w której rozpoznała natychmiast kobietę, zajmującą się robieniem kapeluszy dla jej matki. Zoja nic jednak nie powiedziała, nie chcąc jej ośmieszać. Później owa kobieta błagała ją, żeby jej nie zdemaskowała.

Zoja była mile widziana przez wielu dystyngowanych Rosjan, którzy niegdyś byli przyjaciółmi jej ojca. Ale ona przeszłość zostawiła za sobą i uważała, że żadne rozmowy, stwarzanie pozorów, czy bolesne wspomnienia nie mogły jej przywrócić. Była zwrócona ku przyszłości, chciała wtopić się w swoje obecne życie. Jedyne w czasie Bożego Narodzenia pozwalała sobie na luksus wspomnień i łez, kiedy stała u boku Clayтона śpiewając rosyjskie pieśni, a w jej ręku płonęła jasno świeca, na pamiątkę tych, których Zoja kochała i którzy odeszli. Czas Bożego Narodzenia nie był dla niej łatwy. Mijało właśnie dziewięć miesięcy od jej przyjazdu do Nowego Jorku, a ona miała dla Clayтона ekscytującą wiadomość.

Zaczekała, aż wrócą z cerkwi do domu, i kiedy położyli się na ogromnym łożu pod baldachimem, na Sutton Place, najpierw kochali się ze sobą, a potem mu powiedziała.

– Co takiego? – był kompletnie zaskoczony i natychmiast przeraził się, że mógł jej zrobić jakąś krzywdę. – Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

– oczy mu płonęły i pojawiły się w nich łzy radości.

– Dowiedziałam się dwa dni temu. – Zachichotała czując się jakby знаła najważniejszy na świecie sekret. Nie było jeszcze po niej nic widać, ale ona wiedziała i, odkąd lekarz powiedział jej tę radosną nowinę, miała uczucie, że poznała prawdziwy sens życia. Pragnęła dziecka Clayтона bardziej niż czegokolwiek na świecie i całowała go teraz szczęśliwa, a on patrzył na nią z uwielbieniem. Nie skończyła jeszcze dwudziestu jeden lat, a już miała zostać matką ich dziecka.

– A kiedy to nastąpi?

– Jeszcze długo trzeba będzie czekać, Claytonie. Dopiero w sierpniu. Zaproponował, że przeniesie się do innego pokoju, żeby Zoja mogła się lepiej wysypiać, ona tylko się na to roześmiała.

– Ani mi się waź! Jeżeli przeniesiesz się do innego pokoju, to ja pójdę za tobą!

– To mogłoby być nawet zabawne.

Rozbawiła go taka perspektywa. Elsie de Wolfe przygotowała im wystarczająco dużo sypialni do wyboru. A w kwietniu urządziła, na życzenie Zoi, pokój dziecienny. Wszystko było zrobione w błękicie, ściany zdobiły słodkie freski, a w oknach widniały wyszukane koronkowe firanki. To był nowy styl u pani de Wolfe, którą, co prawda,

bawił miniaturowy rolls juniora Cobiny Wright, ale ucieszyła się, że Zoja miała skromniejsze wyobrażenia o tym, co jest dla dzieci odpowiednie. Zoja nigdy nie traciła poczucia godności i miała wrodzony dobry smak, co uwidaczniało się także w różnych drobnych szczegółach, jakie dodała do wystroju ich domu na Sutton Place. Panowała tam aura spokoju i piękna. Wszyscy o tym mówili. Sprzedali, jakiś czas przedtem, swoją rezydencję na Piątej Alei i większość uzyskanych pieniędzy przeznaczyci na zatrudnienie dodatkowej służby. W dniu, w którym Aleksy Romanow, kochane słodkie „Dziecko”, ukończyłby siedemnaście lat, przyszło na świat ich pierwsze dziecko, maleńki synek. Poród przebiegał bardzo łatwo, bez komplikacji, chłopczyk był dorodny, ważył osiem funtów i wydał donośnie swój pierwszy krzyk, by dobrze go usłyszał, spacerujący nerwowo pod drzwiami ich sypialni, ojciec.

Zoja właśnie zasypiała trzymając w objęciach maleńkiego cherubina, kiedy Clayton ją wreszcie mógł zobaczyć. Dziecko miało rude włosy matki i okrągłą buźkę. Leżał zawinięty w koronki. Gdy Clayton na niego patrzył, po jego policzkach powoli zaczęły spływać łzy radości:

– On jest taki śliczny... wygląda dokładnie tak samo jak ty...  
– Tylko włosy – szepnęła sennie. Lekarz dał jej jakiś środek nasenny i patrzyła teraz nieprzytomnie na swego męża – nos ma twój. Jego nosek wyglądał jak maleńki pączek róży na anielskiej twarzyczce. Clayton roześmiał się i pogłaskał jedwabiste rude włoski, a Zoja spojrzała na niego prosząco.

– Czy możemy go nazwać Nicholas?

– Jeśli tego chcesz.

Podobało mu się to imię i wiedział, jak wiele dla niej znaczyło. Było to zarówno imię cara, jak i jej ukochanego brata.

– Nicholas Konstanty... – wyszeptwała, patrząc na maleństwo rozpromienionym wzrokiem, potem zasnęła, a jej kochający mąż popatrzył na nią przez chwilę i na palcach wyszedł z pokoju, przepełniony wdzięcznością za wszystkie dary, jakie otrzymał od życia. Po tych wszystkich latach miał syna... syna! Nicholas Konstantin Andrews. Ładnie to razem brzmiało, śmiał się sam do siebie i zbiegł na dół, żeby nalać sobie kieliszek szampana.

– Za Mikołaja! – wygłosił toast stojąc w pustym pokoju i dodał z

uśmiechem: – ... za Zoję!

## Rozdział trzydziesty

Kilka następnych lat upłynęło jak jedno mgnienie: spotkania z ludźmi, ekscytujące zdarzenia, przyjęcia. Zoja obcięła włosy, ku rozpaczy Claytona, i odkryła smak papierosów, by wkrótce dojść do wniosku, że palenie to niezbyt mądre zajęcie. Cecil Beaton pisała o niej nieustannie, o jej słynnych przyjęciach i letnim domu, który zbudowali z mężem na Long Island.

Widzieli w Londynie ostatnie przedstawienie Niżyńskiego. Zoja zasmuciła się na wieść o tym, że zachorował i został umieszczony w zakładzie dla psychicznie chorych w Wiedniu. Balet już dawno przestał być częścią jej życia, jedynie czasami chodziła na przedstawienia razem z Vanderbiltami lub Astorami. Brali udział w meczach polo, przyjęciach, balach i sami urządzali ich mnóstwo, i dopiero w 1924 zwolnili nieco tempo życia, kiedy Zoja odkryła, że znowu jest w ciąży. Właśnie odwiedził ich na Long Island Książę Walii, wracał wtedy z meczu polo. Zoja czuła się akurat wtedy niezbyt dobrze, co obudziło w Claytonie nadzieję, że tym razem będzie dziewczynka. W wieku pięćdziesięciu dwu lat bardzo pragnął mieć córeczkę.

Urodziła się wiosną 1925 roku. Tego samego roku Paryż szalał na punkcie Józefiny Baker.

Claytonowi podskoczyło serce z radości, kiedy zobaczył swoją małą córeczkę. Miała te same płomiennie rude włosy co jej matka i brat Nicholas, i natychmiast krzykiem ogłosiła wielbicielom swoją obecność. Płakała, jeśli natychmiast nie spełniano jej żądań, i od pierwszej chwili stała się oczkiem w głowie swojego taty. Aleksandra Maria Andrews została ochrzczona w sukience służącej do chrztu w rodzinie Claytona od pięciu pokoleń. Uszyto ją we Francji podczas wojny w 1812 roku i dziewczynka wyglądała w niej jak jedna z cesarskich księżniczek.

Włosy miała tego samego koloru co matka, oczy – Claytona, osobowość zaś – swoją własną. Zanim skończyła dwa latka, podporządkowała sobie nawet brata. Nicky, jak go nazywano, odziedziczył łagodność swojego ojca i żywe poczucie humoru, jakie miał brat Zoi. Był dzieckiem, które wszyscy podziwiali i kochali, a szczególnie jego matka.

Natomiast Sasza, nim skończyła cztery latka, zdążyła sobie owinąć ojca dookoła małego palca. Nawet staruszka Sawa uciekała w popłochu, kiedy ona się złościła. Pies miał już dwanaście lat, nadal był z nimi, zawsze na kolanach Zoi, jeśli była w domu, albo przy małym Nickym, którego najwyraźniej adorowała.

– Sasza! – wołała jej zrozpaczona matka, gdy wróciwszy do domu znajdowała ją ubraną w swoje najlepsze perły i uperfumowaną całą buteleczką „Lilas”, które Clayton niedawno jej kupił. Zoja wciąż ich używała. – Nie wolno ci robić takich rzeczy!

Nawet niańka z trudem nad nią panowała. Była nią młoda francuska dziewczyna, którą przywieźli ze sobą z Paryża, ale ani karcenie, ani łagodność nie wpływały nigdy na maleńką hrabiankę.

– To nie jej wina, Mamo – przeproszał za nią Nicholas. Miał już osiem lat i był tak samo przystojny jak jego ojciec. – Jest dziewczynką, a dziewczynki lubią nosić ładne rzeczy.

Uśmiechnął się napotkawszy oczy Zoi. Był taki dobry i wybaczący, zupełnie jak Clayton. Zoja kochała ich oboje, ale Aleksandra, Sasza, jak ją nazywali, wystawiała na próbę jej cierpliwość.

Wieczorami chodzili do Cotton Club, żeby przetańczyć w Harlemie całą noc. Niedawno byli na bajecznym przyjęciu u małżeństwa Conde Nast w ich wspaniałym apartamencie na Park Avenue. Obecny był tam oczywiście Cole Porter i Elsie de Wolfe, która proponowała Zoi, że urządzi dla nich dom w Palm Beach, ale mając jasną karnację, Zoja nie miała szczególnego upodobania do słońca i wystarczało jej, że raz do roku odwiedzali tam Wrightów.

Zaczęła kupować stroje u Lelonga i bardzo polubiła jego uroczą żonę, księżniczkę Natalię, która była córką Wielkiego Księcia Pawła.

Tallulah Bankhead nakrzyczała na Zoję parę razy, twierdząc, że powinna używać więcej szminki.

W tamtym czasie stały się bardzo modne bale przebierańców, szczególnie Clayton je lubił. Miał pięćdziesiąt siedem lat i wciąż był szaleńczo zakochany w swojej żonie, choć żartował sobie z niej, że dopiero teraz, kiedy skończyła trzydziestkę, jest w odpowiednim wieku, by wyjść za niego za mąż. Hoover został wybrany prezydentem, pokonując burmistrza Nowego Jorku, Ala Smitha. Calvin Coolidge postanowił nie startować więcej w wyborach. A gubernatorem stanu

Nowy Jork został Franklin Roosevelt, bardzo interesujący człowiek. Miał inteligentną żonę, choć nie odznaczała się szczególną urodą. Zoja bardzo lubiła spędzać czas w jej towarzystwie na rozmowach, które ze sobą prowadziły. Zawsze bardzo się cieszyła, kiedy Rooseveltowie zapraszali ich na kolację. Obejrzelili razem sztukę „Kaprys” i chociaż Clayton się na niej nudził, Zoja i Eleonora były zachwycone. Później widzieli jeszcze „Sceny uliczne”, sztukę, która dostała nagrodę Pulitzera. Clayton wyznał, że o wiele lepiej bawi się w kinie. Uwielbiał Colleen Moore i Clare Bow. Zoja natomiast – Gretę Garbo.

– Ty po prostu lubisz cudzoziemki – żartował sobie z niej Clayton, lecz jeśli chodzi o Zoję, nikt już jej za cudzoziemkę nie uważał. Po dziesięciu latach mieszkania w Nowym Jorku Zoja całkowicie zintegrowała się z tamtejszym środowiskiem. Любиła niezmiernie teatr, balet i operę. Któregoś razu zabrała ze sobą Nicky’ego na „Kawalera Róży”, lecz chłopiec był zaszokowany widokiem kobiety grającej męską rolę.

– Przecież ona jest dziewczyną! – powiedział konspiracyjnym szeptem do Zoi i ludzie w sąsiedniej łoży uśmiechnęli się. Zoja trzymała małą rączkę synka w swojej i wyjaśniała mu szeptem, że działo się tak dlatego, że ta śpiewaczka miała odpowiedni typ głosu.

– To obrzydliwe – stwierdził i rozparł się na swoim siedzeniu, a Clayton się uśmiechnął niezupełnie pewien, czy się z nim nie zgadza. Nicholasa interesowały o wiele bardziej loty, jakie odbywał Lindbergh. Clayton i Zoja byli w gościach na jego ślubie z Ann June, córką ambasadora Morrow, w czerwcu, niedługo przed swoją letnią przeprowadzką na Long Island. Dzieci bardzo dobrze się tam czuły, a Zoja uwielbiała długie spacerunki po plaży, rozmowy z Claytonem i przyjaciółmi. Czasami lubiła po prostu być sama, rozmyślać o latach, które w młodości spędzała w Liwadii, na Krymie.

Myślała o nich czasami, nie mogłaby zupełnie zapomnieć. Postaci z przeszłości nadal żyły w jej sercu, wspomnienia jednak zatary się i czasami trudno było wywołać z pamięci ich twarze. Nad kominkiem w ich sypialni stały wciąż fotografie Marii i pozostałych dziewcząt, oprawione w ramki Faberge. Jej ulubioną była nadal ta, na której wisiały do góry nogami. Mały Mikołaj także znał już wszystkie ich twarze i imiona. Uwielbiał słuchać opowieści o nich, o tym jakie figle



plątały w dzieciństwie i był bardzo zaintrygowany tym, że jego urodziny wypadły tego samego dnia co urodziny carewicza. Lubił także słuchać, jak to nazywał, „smutnej części” opowieści... o jego wujku Mikołaju, po którym odziedziczył imię. Zoja opowiadała mu o ich żartach i rozczarowaniach, jakie przeżywali, zapewniając go, że ona i Mikołaj kłócili się prawie tak samo często jak on i Sasza. Czteroletnia Sasza stała się, jego zdaniem, okropnie nieznośna. I niektórzy spośród domowników podzielali jego zdanie. Była zepsuta przez swego ojca, czego Zoja nie mogła zaaprobować, nie było jednak mowy o skarceniu jej w obecności Claytona.

– To przecież małe dziecko, kochanie. Nie trzeba jej stresować.

– Clayton, jeśli teraz nie nauczymy jej dyscypliny, zamieni się w potwora, kiedy będzie miała dwanaście lat.

– Dyscyplina jest dla chłopców – wyjaśnił żonie, ale Nicholasa także nigdy za nic nie skarcił. Był dla nich bardzo łagodny. W lecie potrafił godzinami bawić się z nimi razem na plaży.

Angielski król George powrócił do zdrowia. Zoja zawsze czuła się rozbrojona widząc jego zdjęcie. Był tak bardzo podobny do swego kuzyna cara, że zawsze ją to zdumiewało, gdy patrzyła na jego twarz spoglądającą na nią ze zdjęcia. Jego wnuczka, Elizabeth, była tylko o rok młodsza od Saszy.

Tym, co zrobiło największe wrażenie na Nicholasie tamtego lata, był występ Jehudi Menuhina w Nowym Jorku. Było to cudowne dziecko skrzypiec, zaledwie trzy lata starsze od Nicholasa, który był kompletnie zafascynowany jego grą. Mówił o tym później jeszcze przez wiele tygodni, co bardzo cieszyło Zoję.

Clayton czytał na plaży „Na zachodzie bez zmian”. Zaczął próbować szczęścia na giełdzie. Od marca akcje skakały w górę i w dół, i ludzie wygrywali zdumiewające fortuny. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy Clayton kupił Zoi dwa naszyjniki z diamentów jedynie za niewielką częśćkę swoich zysków. Ale uwagę Zoi zajmowała smutna wiadomość o śmierci Diagilewa w sierpniu w Wenecji. Zamknęło to jeszcze jeden rozdział w historii jej życia. Rozmawiała o tym z Claytonem, gdy szli plażą.

– Gdyby nie to, że pozwolił mi wtedy tańczyć z nimi, naprawdę byśmy głodowały. Nic innego nie potrafiłam robić.

Spojrzała ze smutkiem na Clayтона, a on wziął ją za rękę, wspominając, jak ciężkie było jej życie w Paryżu, w okropnym mieszkaniu przy Palais Royal, ich posiłki robione prawie z niczego w czasie wojny. Ciężkie to były czasy, ale dawno minęły. Popatrzyła na niego z uśmiechem.

– A potem zjawiłeś się ty, mój kochany... Nigdy nie zapomniała, jak ją uratował.

– Mógł zjawić się ktoś inny.

– Nikt, kogo mogłabym kochać tak jak ciebie.

Powiedziała to z czułością, a on pochylił się, żeby ją pocałować, i stali potem jeszcze długo w gorących promieniach światła ostatniego zachodu słońca. Następnego dnia przenieśli się z powrotem do Nowego Jorku. Nicholas musiał iść do szkoły, a Sasza miała zacząć chodzić do przedszkola. Zoja uważała, że dobrze jej zrobi przebywanie z innymi dziećmi, chociaż Clayton nie był o tym przekonany. Zawsze w takich sprawach miał odmienne od Zoi zdanie.

Jak tylko przyjechali do Nowego Jorku, zostali zaproszeni na kolację do Rooseveltów, którzy także dopiero co wrócili ze swojego letniego domu w Campobello. Tydzień później państwo Andrews wydali przyjęcie, żeby uczcić rozpoczęcie nowego sezonu towarzyskiego. Przyszedł oczywiście książę Oboleński, jak zawsze, oraz setki innych członków śmietanki towarzyskiej.

Całe miesiące upływały na przyjęciach, chodzeniu do teatru, balach i, nim się spostrzegli, nadszedł październik. Clayton zaczął się martwić swoimi niepowodzeniami na giełdzie i zadzwonił do Rockefellera, chcąc zaprosić go na lunch, lecz tamten wyjechał na kilka dni do Chicago, Clayton musiał więc poczekać, aż wróci. Jego akcje gwałtownie spadały i nie chciał mówić o tym Zoi, żeby jej nie martwić, ale kilka miesięcy wcześniej zastawił na giełdzie cały ich majątek. Szło mu tak dobrze, że był przekonany iż uda mu się potroić ich rodzinną fortunę.

Przed czwartkiem dwudziestego czwartego wszyscy zaczęli pozbywać się swoich akcji i każdy, kogo Clayton znał, był ogarnięty paniką. Ale nikt w takim stopniu jak on, po tym jak sam poszedł na giełdę. Tego popołudnia wrócił do domu przerażony, a następnego dnia sprawy miały się jeszcze gorzej. Poniedziałek był dniem tragedii. Zostało

wyprzedanych ponad szesnaście milionów akcji. Do wieczora Clayton wiedział już, że jest zrujnowany. Giełda została zamknięta o pierwszej, przy daremnych wysiłkach, żeby zapobiec szaleńczej wyprzedaży akcji, lecz dla Clayтона i tak już było za późno. Giełda miała pozostać zamknięta do końca tygodnia, ale stracił już wszystko, co mieli. Zostały im tylko domy i to, co się w nich znajdowało. Reszta przepadła. Clayton wracał na piechotę do domu i przez całą drogę czuł w piersiach przytłaczający jak kamień ciężar. Nie mógł spojrzeć Zoi w oczy, kiedy wszedł do ich sypialni.

– Kochanie?... co ci jest?...

Kiedy spojrzała na niego, zobaczyła, że jego twarz zupełnie poszarzała. Szczotkowała właśnie włosy, które zdążyła znowu zapuścić, gdyż Clayton nie znosił modnej wówczas fryzury „na pazia”. On jednak wszedł do pokoju, jakby jej nie zauważał, i zaczął tępym wzrokiem wpatrywać się w kominek, a potem wolno odwrócił się do niej.

– Co się stało?

Szczotka wypadła jej z ręki i natychmiast podbiegła do niego.

– Clayton... Clayton, co ci jest?

Spojrzał jej głęboko w oczy i nagle przypomniała sobie wyraz oczu jej ojca, kiedy Mikołaj został zabity.

– Straciliśmy wszystko, Zoju... wszystko... Postąpiłem jak głupiec... – usiłował jej wszystko wytłumaczyć, a ona słuchała z szeroko otwartymi oczami, objęła go ramionami i trzymała, kiedy płakał. – Mój Boże... jak mogłem być taki głupi... co my teraz zrobimy?

Serce jej prawie zamarło, to brzmiało prawie tak jakby znowu była rewolucja. Ale raz już to przeżyła, poza tym mieli teraz siebie.

– Sprzedamy wszystko... będziemy pracowali... jakoś przeżyjemy, Clayton. To nie jest takie ważne.

Ale on wyrwał się z jej ramion i zaczął chodzić po pokoju, bliski obłądu, kiedy sobie w pełni uświadomił, że byli zrujnowani i cały jego świat się zawalił.

– Oszalałaś? Mam pięćdziesiąt siedem lat... jak sądzisz, co mógłbym robić? Jeździć taksówką, jak księżę Władimir? A ty znowu zaczniesz tańczyć w balecie? Nie mów głupstw, Zoju... jesteśmy zrujnowani!

Zrujnowani! Dzieci będą chodziły głodne... – płakał Clayton.

Zoja wzięła jego ręce w swoje i poczuła, że są lodowate.

– Nie będą chodziły głodne. Zarówno ja, jak i ty możemy pracować. Jeśli sprzedamy to, co mamy, starczy nam jeszcze na wiele lat. Same tylko jej naszyjniki z diamentów mogły zapewnić im wikt i mieszkanie na długi czas, lecz on tylko kręcił głową. Rozumiał sytuację o wiele lepiej niż ona. Widział już, jak pewien mężczyzna, którego znał, wyskoczył przez okno ze swojego biura. Ona nic nie wiedziała o ogromnych długach, jakie pozwolił sobie zaciągnąć, przekonany, że ma dość pieniędzy, by spłacić je kiedy tylko zechce.

– A komu chcesz to wszystko sprzedać? Wszystkim tym, którzy potracili ostatnie koszule? To wszystko jest teraz bez wartości, Zoju...

– Nie, nie jest – powiedziała spokojnie. – Mamy przecież siebie i dzieci. Kiedy opuszczałam Rosję, wyjechaliśmy trojką bez niczego, prawie w łachmanach, mieliśmy dwa konie wujka Mikołaja i tyle biżuterii, ile udało nam się przyszyć do podszewek ubrań, i jakoś przeżyliśmy. Oboje jednocześnie pomyśleli o jej nędznym mieszkaniu w Paryżu. Przeżyły to z babką, a teraz miała przecież jego i dzieci.

– Pomyśl o tym, co stracili inni... pomyśl, co stracił Nicky i ciocia Alix... nie płacz, Claytonie... jeśli oni potrafili zachować odwagę w obliczu tamtej tragedii, to dlaczego my nie mielibyśmy stawić czoła... prawda, mój kochany... ?

Ale on tylko płakał w jej ramionach, całkowicie bezradny.

Tego wieczora, gdy zeszli na obiad, prawie nie rozmawiali. Zoja próbowała myśleć, robić jakieś plany, podejmować decyzje, co sprzedać, a co należy zostawić. Posiadali dwa domy, wszystkie antyki, jakie Elsie de Wolfe, obecnie Lady Mendl, pomogła im znaleźć, biżuterię Zoi, obrazy, różne przedmioty... było tego mnóstwo. Czuła się jakby planowała ucieczkę, kiedy przedstawiała mu różne pomysły i próbowała podnieść go na duchu, on jednak szedł ciężko po schodach i kiedy później mówiła coś do niego ze swojej garderoby, nie mogła wydobyć od niego żadnej odpowiedzi. Ogromnie martwiła się o niego. Był to olbrzymi wstrząs, lecz po wszystkim, co przeżyła w swoim życiu, nie zamierzała się teraz poddać. Postanowiła ułatwić mu zmagania z losem, pomóc mu przetrwać, gotowa była nawet szorować podłogi, jeśli będzie trzeba. Było jej wszystko jedno.

I wtedy nasłuchując zaczęła się zastanawiać, czy Clayton wyszedł z pokoju, ponieważ nie odpowiadał już od kilku minut.

– Clayton?

Weszła do pokoju w koronkowej koszuli, jednej z tych, które Clayton kupił jej w zeszłym roku w Paryżu. Krzyknęła zobaczywszy go leżącego bezwładnie na podłodze, jakby upadł. Podbiegła do niego i delikatnie odwróciła na plecy, lecz on patrzył na nią niewidzącymi oczami.

– Clayton, Clayton!...

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Mamo, dlaczego tatuś umarł? – Sasza patrzyła na Zoję swoimi ogromnymi niebieskimi oczami, kiedy jechały hispano-suizą z cmentarza. Cały Nowy Jork był na pogrzebie, lecz Zoja nie widziała nikogo. Czuła się jak zamroczona, kiedy patrzyła na córeczkę przez zasłaniającą jej twarz czarną woalkę. Dzieci siedziały obok zgaszone i milczące. Nicholas stał przy niej podczas pogrzebu. Mały mężczyzna; trzymał ją pod ramię, z oczami pełnymi łez, podczas gdy chór śpiewał z rozdzierającą serce słodyczą „Ave Maria”. Było jeszcze wielu innych, którzy umarli w ostatnim tygodniu, większość z nich sama odebrała sobie życie, lecz niektórych, podobnie jak Clayтона, powalił wstrząs, który był ponad ich siły. Zoja nie czuła strachu, przepelniał ją tylko smutek i żal, że straciła Clayтона bezpowrotnie.

– Nie wiem, kochanie... Nie wiem, dlaczego... przeżył straszny szok i ... poszedł do nieba, żeby być teraz z Bogiem.

Mówiła te słowa łamiącym się głosem, a Nicholas patrzył na nią.

– Czy będzie tam razem z wujkiem Nickym i ciocią Alix? – zapytał cicho.

Zoja spojrzała na niego. Pielęgnowała w nim pamięć o nich, ale jak to się skończyło? Czy miało to teraz jakieś znaczenie? Wszyscy, których kiedykolwiek kochała, odeszli oprócz dzieci. Przygarnęła je do siebie blisko, gdy wysiedli z samochodu, i pospieszyła do domu, wyprzedzając szofera. Nie zaprosiła nikogo. Nie chciała nikogo widzieć, nie chciała im nic mówić, niczego wyjaśniać. Będzie jej wystarczająco trudno powiedzieć dzieciom. Postanowiła zaczekać parę dni. Zwolniła już wszystkich służących, zatrzymując jedynie pokojówkę i niańkę, gotować mogła sama. Szofer miał odejść, jak tylko sprzeda samochody. Obiecał, że zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby jej pomóc. Znał kilka osób, którym podobał się alfa romeo Clayтона i mercedes, którego ona używała, a hispano-suiza była obiektem westchnień wszystkich. Zoja zastanawiała się tylko, czy został jeszcze wśród nich ktoś, kogo byłoby na to stać.

Stara Sawa przyszła do niej i polizła ją po ręce, jakby wszystko rozumiała. Zoja siedziała przy kominku, w sypialni, wpatrując się w miejsce na podłodze, na które Clayton upadł zaledwie kilka dni temu.

Trudno było uwierzyć w to, że odszedł... że nie było go już... teraz miała tyle do zrobienia. Następnego dnia po jego śmierci skontaktowała się z prawnikami, którzy obiecali, że zajmą się uporządkowaniem wszystkich spraw.

Kiedy to uczynili, okazało się, że sytuacja przedstawiała się ponuro. Było tak źle, jak Clayton się obawiał, a może nawet gorzej. Miał niesłychane długi i żadnych pieniędzy na ich pokrycie. Prawnicy doradzili jej, żeby sprzedała dom na Long Island za każdą cenę, wraz ze wszystkim, co się tam znajdowało. Poszła za ich radą i wystawiła dom na licytację. Nawet nie pojechała tam po swoje rzeczy. Wiedziała, że nie mogłaby tego znieść. Wszyscy robili podobnie; ci którzy nie popełnili samobójstwa ani nie porzucili nocą swoich domów, żeby w ten sposób uniknąć spłaty rachunków i pożyczek zaciągniętych pod zastaw.

Dopiero w niedzielę znalazła siły, aby poinformować dzieci, jak wygląda ich sytuacja. Jadła z nimi posiłki, ale robiła wszystko machinalnie, chodząc z pokoju do pokoju i mówiąc tylko wtedy, gdy było to konieczne. Z trudem mogła się skupić. Było tyle do zrobienia, tyle do spakowania, tak dużo do sprzedania i żadnego miejsca, do którego mogliby się udać, jak już wszystko sprzedadzą. Wiedziała, że będzie musiała znaleźć jakąś pracę, ale nie była w stanie na razie o tym myśleć. Patrzyła tylko na nich zgaszonym wzrokiem. Wiedziała, że Sasza była za mała, by coś zrozumieć, lecz musiała powiedzieć Nicholasowi, nie mogła jednak znieść cierpienia w jego oczach, kiedy próbowała mu to wyjaśnić. W końcu przytuliła go tylko do siebie i płakała razem z nim, z bólu po utracie ojca i męża, którego tak kochali. Wiedziała, że musi być silna, tak silna jak jej babka była kiedyś dla niej, ale ich obecna sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. Zastanawiała się nawet, czy nie wrócić z nimi do Paryża, gdzie życie mogło być tańsze, ale i tam ludzie mieli swoje problemy. Książę Oboleński powiedział jej, że ponad cztery tysiące Rosjan prowadziło taksówki w Paryżu. Poza tym dzieci czułyby się tam zbyt obco. Musieli zostać w Nowym Jorku, postanowiła Zoja.

– Nicholas... mój kochany... będziemy musieli się wyprowadzić.

Te słowa zabrzmiały nienaturalnie i dziwnie. Chłopiec spojrział na nią niepewnie.

– Dlatego, że Papa umarł?

– Tak... nie... właściwie, dlatego... Dlatego, że jesteśmy teraz biedni... że nie stać nas na to, żeby tutaj dalej mieszkać... dlatego, że nadeszły dla nas trudne czasy. Nie możemy już tutaj dłużej mieszkać.

Spojrzał na nią poważnie. Bardzo starał się być dzielny. Sasza bawiła się z psem, a niańka wyszła cicho z pokoju cała we łzach. Wiedziała, że będzie musiała od nich odejść, i serce jej pękało na myśl o opuszczeniu dzieci, którymi opiekowała się od chwili ich narodzin. Zoja powiedziała jej o wszystkim poprzedniego dnia. Nie dało się od tego uciec.

– Mamo, czy my będziemy teraz biedni?

– Tak – zawsze była wobec niego uczciwa – w takim sensie, w jakim, jak sądzę, to mówisz. Nie będziemy mieli dużego domu i samochodów. Ale będziemy mieli to, co najważniejsze... oprócz Taty... – głos jej się załamał – ... ale mamy siebie, kochanie. I zawsze tak będzie. Pamiętasz, co ci opowiadałam o wujku Mikołaju i cioci Alix i dzieciach, kiedy zabrali ich na Syberię? Byli bardzo dzielni i nawet zrobili z tego pewien rodzaj gry. Zawsze wiedzieli, że najważniejszą rzeczą było trzymać się razem, kochać się wzajemnie i być silnym... i to właśnie musimy zrobić teraz.

Kiedy to mówiła, łzy płynęły po jej policzkach, lecz Nicholas stał poważnie, starając się zrozumieć.

– Czy my jedziemy teraz na Syberię?

Po raz pierwszy go to zaintrygowało, na twarzy Zoi pojawił się uśmiech.

– Nie, kochanie, nie jedziemy. Zostaniemy tutaj w Nowym Jorku.

– Gdzie będziemy mieszkać?

Jak to bywa z dziećmi, interesowały go proste realia.

– W jakimś mieszkaniu. Będę musiała znaleźć dla nas jakieś miejsce.

– Czy tam będzie miło?

Zoja przypomniała sobie listy Maszki z Tobolska i Jekaterinburga.

– My postaramy się o to, żeby było miło.

Wtedy popatrzył na nią smutnym wzrokiem i zapytał:

– Czy będziemy mogli zabrać psa?

Oczy Zoi znowu napełniły się łzami. Spojrzała na Sawę bawiącą się z Saszą na podłodze, a potem znowu na Nicholasa.

– Oczywiście, że ją zabierzemy. Odbyła ze mną całą podróż z Sankt



Petersburga – głos jej uwiązł w gardle, lecz spojrzała na niego uspokajająco – nie zostawimy jej tutaj.

– Czy mogę zabrać swoje zabawki?

– Niektóre, tak... tyle, ile będzie mogło się zmieścić w mieszkaniu.

Obiecuję.

Uśmiechnął się, trochę pocieszony.

– To dobrze. – A potem jego oczy znowu zasnuły się smutkiem, kiedy pomyślał o tym, że już nigdy nie zobaczy swego ojca. – Czy to będzie niedługo?

– Myślę, że tak, Nicholas.

Skinął głową i uściskawszy ją jeszcze raz, zabrał Saszę z Sawą i wyszedł z pokoju. Zoja siedziała na podłodze patrząc, jak wychodzili i modląc się, żeby znalazła w sobie tyle siły, ile miała Eugenia. Kiedy o niej myślała, Nicholas wrócił na palcach i popatrzył na nią.

– Kocham cię, Mamo.

Wyciągnęła do niego ramiona i objęła go. Starła się nie płakać.

– Ja też cię kocham, Nicholasie... Kocham cię bardzo, bardzo... Pochylił się niżej i, bez słowa, wcisnął jej coś do ręki.

– Co to jest?

Była to złota moneta. Zoja wiedziała, jak bardzo był z niej dumny.

Clayton podarował mu ją zaledwie kilka miesięcy wcześniej i przez wiele tygodni Nicholas pokazywał ją, komu tylko mógł.

– Możesz ją sprzedać, jeśli chcesz. To może wtedy nie będziemy tacy biedni.

– Nie... nie, mój kochany... ona jest twoja... Tata tobie ją dał. Wtedy wyprostował się i walcząc z cisnącymi mu się do oczu łzami powiedział:

– Papa na pewno chciałby, żebym troszczył się o ciebie.

Zoja potrząsnęła jedynie głową, niezdolna wydobyć z siebie słowa i wcisnęła mu monetę do rączki. Potem przytulając go do siebie, odprowadziła z powrotem do jego pokoju.

## Rozdział trzydziesty drugi

Wrightowie także stracili swój majątek. Cobina i jej córka stworzyły zespół wokalny i występowały w nocnych klubach, ubrane w strój z Dzikiego Zachodu i zabawne kapelusze. Ona i Bill rozwodzili się, a dom na Sutton Place został sprzedany prawie za bezcen. Inne kobiety wyprzedawały swoje futra w hallach hoteli. Kucyki do gry w polo sprzedawane były od ręki za gotówkę. Wszędzie Zoja napotykała ten sam rodzaj paniki, jaka ogarnęła Sankt Petersburg dwanaście lat temu, z tym tylko, że nie było takiego zagrożenia dla życia jak w czasie rewolucji.

Ich dom na Long Island został sprzedany za cenę zaledwie odpowiadającą wartości samochodów, które tam się znajdowały, a mimo to adwokaci Clayтона radzili jej, żeby chwyciła okazję. „Cholly Knickerbocker” niemal co dzień podawał nowe sensacje. Kolumna była prowadzona przez mężczyznę, który nazywał się Maury Paul; to, co pisał o ludziach, jak potoczyły się ich losy, było wręcz nieprawdopodobne. Damy z towarzystwa zostawały kelnerkami albo sprzedawczyniami. Byli tacy, których nie dotknął krach giełdowy, lecz kiedy Zoja rozglądała się wokoło po Sutton Place, zdawało się, że zostało niemal całkowicie wyludnione. Cała jej służba odeszła. Została tylko niańka, która opiekowała się dziećmi. Sasza nadal nie rozumiała, dlaczego Clayton odszedł, za to Nicholas, poważny i cichy, nieustannie zamięczał Zoję pytaniami o to, gdzie będą mieszkać i kiedy sprzedadzą dom. Doprowadziłoby ją to do pasji, gdyby nie fakt, że bardzo jej było go żal. Pamiętała swoje własne lęki w Rosji, kiedy wybuchła rewolucja. Oczy chłopca, jak dwa zielone jeziora bez dna, wyrażały niezmierny ból i troskę. Stał w jej sypialni – mały smutny człowieczek i przyglądał się, jak pakowała swoje najbardziej praktyczne sukienki. Nie było potrzeby, żeby zabierała wyszukane suknie wieczorowe, wszystkie Poirety i Chanele, Lanviny i Schiaparelle zostały zapakowane razem i przekazane niańce, która miała je sprzedać w hallu hotelu Plaza. Było to niezwykle upokarzające, ale Zoja miała zbyt wiele innych zmartwień, by się tym przejmować. Potrzebny był im każdy grosz, żeby mogli przetrwać.

W końcu sprzedała dom wraz z meblami, które kupiła dla nich Elsie de

Wolfe; pozbyła się też obrazów, dywanów, perskich, a nawet porcelany i kryształów. Wystarczyło to z trudem na pokrycie długów Claytona i zapewniło wystarczającą ilość pieniędzy, by mogli się za nie utrzymać przez parę miesięcy.

– Czy nic sobie nie zostawimy, Mamo? – Nicholas rozglądał się smutno dookoła.

– Tylko to, co będzie nam potrzebne w nowym mieszkaniu.

Od wielu już dni wydeptywała ulice, w okolicach, których nigdy przedtem nie widziała na oczy, aż wreszcie znalazła dwa nieduże pokoiki na Zachodniej Siedemnastej Ulicy. Było to niewielkie mieszkanie na piętrze, bez windy, bardzo małe i ciemne, i unosił się w nim nieznośny zapach śmietnika. Miało dwa okna z widokiem na ścianę sąsiedniego budynku. Przez trzy dni znosiła do niego rzeczy z pomocą niańki i starego murzyna, którego wynajęła za dolara. Wnieśli do mieszkania dwa łóżka, biurko, kanapę z jej buduaru, niewielki dywan i kilka lamp. Powiesiła na ścianie obraz Nattiera, który Elsie de Wolfe przywiozła im niedawno z Paryża. Bała się przyprowadzać tam dzieci, lecz pod koniec listopada dom na Sutton Place został sprzedany, a dwa dni później żegnali się we łzach z niańką. Zoja stała w marmurowym hallu, patrzyła, jak dziewczyna całowała Saszę na pożegnanie, i wszyscy czworo płakali.

– Czy my tu jeszcze kiedyś wrócimy, Mamo?

Nicholas spoglądał na nią usiłując być dzielny, broda mu drżała, oczy były mokre i rozglądał się dookoła po raz ostatni. Gdyby mogła, zaoszczędziłaby mu tego bólu, ale tylko wzięła jego małą rączkę, owinęła się swoim płaszczem i odparła:

– Nie, kochanie, nie wrócimy.

Spakowała prawie wszystkie ich zabawki i pudło swoich książek, choć wiedziała, że na razie nie będzie się mogła skupić na czytaniu. Ktoś podarował jej „Pożegnanie z bronią” Hemingwaya, ale książka leżała nie przeczytana na jej stoliku nocnym. Trudno jej było pozbierać myśli, a co dopiero mówić o czytaniu; poza tym nie będzie miała na to czasu, zajęta szukaniem pracy. Pieniądze, które uzyskała ze sprzedaży domu, mogły, w najlepszym razie, wystarczyć im na utrzymanie przez parę miesięcy. Nic nie miało w tym czasie zbyt wielkiej wartości, wszyscy dookoła wyprzedawali domy, futra, antyki i różne cenne przedmioty.

Żadna z tych rzeczy nie była warta więcej, niż ktoś był w stanie za nią zapłacić, i rynek zapchany był przedmiotami, które niegdyś były drogie, a teraz nie miały żadnej wartości. Niektórzy jednak wyszli z krachu bez szwanku i „Cholly Knickerbocker” stale zamieszczał relacje z ich słubów, przyjęci miejsc, gdzie się bawili. Nadal byli ludzie, którzy chodzili do Embassy Club lub do Central Park Casino i tańczyli przy muzyce Eddy Duchina. Zoja czuła się tak, jakby już nigdy więcej nie miała zatańczyć, kiedy po raz ostatni schodziła z dziećmi po frontowych schodach ich domu, z walizkami w rękach i z najlepszą lalką Saszy, którą dziewczynka trzymała pod pachą. Jakby to się stało nie dawniej niż wczoraj, Zoja myślała o pałacu na Fontance... o swojej matce w płonącej nocnej koszuli, wyskakującej przez okno... i o Eugenii wypychającej ją przez tylne drzwi pawilonu do Fiodora czekającego z trojką.

– Mamo?...

Sasza usiłowała jej coś powiedzieć, kiedy wsiedli do taksówki, a Nicholas machał na pożegnanie do niańki, która stała zapłakana na chodniku. Miała zamieszkać u przyjaciół i dostała już ofertę pracy u rodziny Van Alens w Newport.

– Mamo... odpowiedz mi... – Sasza ciągnęła ją z uporem za rękaw, kiedy Zoja podawała kierowcy ich nowy adres, z kamienną twarzą, z nic nie wyrażającym spojrzeniem. Czuła się jakby jeszcze raz żegnała się z Claytonem... opuszczała dom, w którym razem mieszkali... zostawiała za sobą ich beztrudne życie. Ich wspólne lata przemknęły jak jedno mgnienie i teraz jej oczy wypełnione były łzami tęsknoty. Oparła się o siedzenie i przymknęła oczy usiłując skupić się na dzieciach.

– Przepraszam, Sasza... co mówiłaś?

Zniżyła głos do szeptu. Opuszczali Sutton Place na zawsze. Przemineło piękno tamtego życia, czas, kiedy wszystko było łatwe, zakończył się nagle owego fatalnego dnia w październiku.

– Pytałam, kto będzie się teraz nami zajmował?

Była bardziej ciekawa, kto będzie się nią opiekował, niż zmartwiona rozstaniem ze swoją dotychczasową niańką. Wszystko było dla nich dziwne i niezrozumiałe, nawet dla Nicholasa, choć był o cztery lata starszy.

– Ja, kochanie.

– Ty będziesz się nami zajmowała?

Sasza była zaskoczona, a Nicholas spojrział na matkę z tym łagodnym uśmiechem, który zawsze przypominał Zoi Claytona. Teraz ten uśmiech wywoływał niemal ból. Wszystko przypominało jej nieustannie o tym, co stracili, dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy opuścili Rosję.

– Ja ci będę pomagał, Mamo – powiedział z dumą Nicholas trzymając ją za rękę i bardzo starając się nie płakać. – Ja będę się opiekował Saszą.

Wiedział, że tego właśnie oczekiwалby od niego ojciec, i nie chciał mu sprawić zawodu. Był teraz jedynym mężczyzną w rodzinie. W ciągu jednego miesiąca cały jego świat przewrócił się do góry nogami, ale był zdecydowany stawić czoło sytuacji i Zoja także. Postanowiła nie dać się złamać tym razem. Będzie walczyła dla nich... pójdzie do pracy... i pewnego dnia... pewnego dnia... będzie im znowu dobrze i bezpiecznie. Nie dopuści, by jej życie skończyło się klęską, tak jak skończyło się dla wielu.

– Czy będziesz nam gotowała, Mamo? – zapytała Sasza głaszcząc lalkę, którą wzięła od matki.

Lalka miała na imię Annabelle i widać było po niej, że jest bardzo kochana. Pozostałe jej lalki czekały w ich nowym mieszkaniu. Zoja zrobiła wszystko, żeby uczynić to mieszkanie bardziej przytulnym i wygodnym, ale nic nie wyglądało przytulnie na Zachodniej Siedemnastej Ulicy. Kiedy taksówka się tam zatrzymała, Zoja wzdrgnęła się rozejrzawszy się wokół. Ponurość tego miejsca uderzyła ją bardziej niż przedtem i, kiedy wchodzili po schodach, na twarzy Nicholasa odmalował się wstrząs. Omal nie dostał torsji od ohydneho zapachu, jaki się tam unosił.

– Uuch... okropnie tu śmierdzi – powiedziała Sasza idąc za Zoją.

Kierowca wniósł ich torby i Zoja zapłaciła mu pozbywając się części ich mizernych funduszy. Przysięgła sobie, że już więcej nie będzie brała taksówki. Odtąd będą jeździli autobusami albo chodzili na piechotę. Żadnych taksówek ani samochodów. Hispano-suizę kupili Astorowie. Wprowadziła dzieci do jedynej sypialni, jaka była w mieszkaniu. Stały tam ich łóżka, przy których wszystko wydawało się jeszcze mniejsze. Zabawki były zgrabnie ułożone obok, a obrazy z sypialni Saszy zostały

pieczołowicie zawieszono nad jej łóżkiem. Obok łóżka Nicholasa Zoja umieszczała zdjęcie Clayтона w mundurze, wyglądał na nim bardzo przystojnie. Przyniosła całą walizkę zdjęć swoich, Clayтона i dzieci, a także innych, które były poźółkłe i postrzępione, przedstawiały Mikołaja, Alix i dzieci w Liwadii i w Carskim Siolu. Przyniosła również ze sobą drogocenne cesarskie jajko, które zostało starannie zawinięte w parę skarpetek Clayтона oraz pudełko z jego spinkami do mankietów i do krawatów. Natomiast jej biżuteria miała być wystawiona na aukcji. Dla tych, którzy mieli jeszcze pieniądze, pojawiły się fantastyczne okazje. Można było kupić diamentowe naszyjniki i diademy, niezwykle pierścionie ze szmaragdami wystawiane na aukcjach albo sprzedawane prywatnie za grosze. Tragiczna sytuacja jednej rodziny stawała się nagle wspaniałą okazją dla drugiej.

– A ty gdzie będziesz spała, Mamo?

Nicholas znowu był zmartwiony. Obszedł właśnie mieszkanie i przekonał się, że była tam tylko jedna sypialnia. Nigdy nie widział tak małych pomieszczeń, nawet ich służba na Sutton Place miała ładniejsze pokoje. Całe to miejsce wydawało się bardzo ciasne i brzydkie.

– Będę spała na kanapie, kochanie. Jest bardzo wygodna. Uśmiechnęła się do niego i, kiedy się pochyliła, żeby pocałować go w policzek, zobaczyła łzy w jego oczach. To nie było sprawiedliwe zrobić coś takiego dzieciom, musiała pohamować ogarniającą ją falę złości na Clayтона, jaką zaczęła ostatnio odczuwać. Inni byli mądrzejsi od niego, nie porywali się na tak wiele, nie ryzykowali tak nierozsądnie jak on wszystkiego, co posiadali. Gdyby tylko żył, poradziliby sobie jakoś inaczej... we dwójkę... mogliby przynajmniej razem złorzeczyć losowi, który ich spotkał, ramię przy ramieniu, teraz była sama, tak samotna jak jeszcze nigdy przedtem. Wszystko spoczywało na jej barkach i uświadomiła sobie, że taki sam ciężar spoczywał kiedyś na barkach Eugenii. Jej odwaga i siła służyły teraz Zoi za przykład. Uśmiechając się łagodnie patrzyła na synka, który ofiarowywał jej swoje łóżko w ich wspólnym z Saszą pokoju.

– Możesz spać na moim łóżku, Mamo. A ja będę spał tutaj.

– Nie, kochanie... tu będzie mi dobrze – i dodała uśmiechając się dzielnie – wszystkim nam będzie dobrze. Będziesz teraz musiał

pilnować Saszy, jak ja będę gotowała obiad.

Powiesiła płaszcz, zadowolona z tego, że zabrała dla nich ciepłe ubrania. Mieszkanie było zimne i nie było w nim nawet kominka, tak jak w mieszkaniu w Paryżu.

– Może zabierzesz Sawę na spacer?

Stary pies siedział cierpliwie pod drzwiami, jakby czekał, aż zabiorą go z powrotem do ich dawnego domu.

Nicholas założył smycz Sawie i powiedział Saszy, żeby była grzeczna, kiedy on będzie na dole z psem. Ich mama gotowała dla nich kurczaka, którego przyniosła z domu na Sutton Place. Wiedziała jednak aż za dobrze, że zapasy, jakie zabrała, nie starczą im na długo, podobnie jak pieniądze.

Boże Narodzenie było takim samym dniem jak inne, różniło się jedynie tym, że kupiła lalkę dla Saszy i dała Nicholasowi zegarek Clayтона, który zachowała dla niego. Przytulili się do siebie i starali się nie płakać, myśląc o tym, jak wiele stracili. W mieszkaniu panowało lodowate zimno, kredensy były puste, a biżuteria Zoi została sprzedana na aukcji za grosze. Postanowiła za wszelką cenę zachować cesarskie jajko, ale oprócz niego prawie nic im już nie zostało i wiedziała, że musi szybko znaleźć jakąś pracę, ale jaką – to pytanie dręczyło ją dniem i nocą. Myślała o pracy w sklepie, ale nie chciała zostawiać dzieci samych na cały dzień. Sasza nie chodziła jeszcze do szkoły i nie mogła być sama wtedy, gdy Nicholas szedł do znajdującej się niedaleko szkoły państwowej. Chodził do niej razem z innymi dziećmi z sąsiedztwa, z których większość ubrana była w łachmany. Niektóre mieszkaly w budach nad rzeką Hudson. Slumsy wyrastały wszędzie, pełne ludzi, którzy niegdyś byli maklerami giełdowymi, biznesmenami albo prawnikami. Gotowali swoje posiłki w kotłach nad ogniskami i przeszukiwali nocą okolicę, licząc na znalezienie czegoś do jedzenia albo jakichś niepotrzebnych rzeczy, które mogłyby im się przydać. Zoja patrzyła z bólem serca na te dzieci o głodnych oczach, wychudzonych twarzyczkach i policzkach zaczerwienionych od mrozu, jak tłoczyły się wokół ognisk przy budach, w których mieszkaly. W porównaniu z tym ich mieszkanie wydawało się rajem i prawie codziennie przypominała dzieciom, że powinny być wdzięczne za to, co mają. Ale czasami jej samej trudno było o tym pamiętać, kiedy widziała, jak błyskawicznie

rozchodzą się ich pieniądze. Zaczęła gorączkowo szukać jakiejś pracy. Musiało to być coś, co mogłaby robić w nocy, kiedy dzieci spały albo przynajmniej siedziały bezpiecznie w domu. Wiedziała, że może być spokojna zostawiając Saszę z Mikołajem, kiedy wracał ze szkoły. Był odpowiedzialny i zawsze dobry dla swojej małej siostrzyczki, bawił się z nią, pomagał jej naprawiać zabawki i nieustannie rozmawiał z nią o ojcu. Dla Zoi był to wciąż zbyt bolesny temat. Popatrzyła na nich przez chwilę, a potem poszła z powrotem do drugiego pokoju, żeby popłakać cicho głaszcząc starą Sawę. Pies był już prawie ślepy i Nicholas musiał ją znosić na dół, kiedy ją wyprowadzał na spacer w przenikliwy chłód. Był styczeń, kiedy Zoja szła z Zachodniej Siedemnastej Ulicy daleko na Szóstą Aleję przy Czternastej Ulicy mając w głowie szalony pomysł. Wiedziała, że było to wariactwo, ale nic innego nie mogła wymyślić. Starła się o pracę w kilku restauracjach, lecz właściciele widzieli już zbyt wiele kobiet takich jak ona. Co pani wie o pracy kelnerki? – pytali. Z pewnością upuszczalaby popielniczki, tłukła im talerze i byłaby zbyt delikatna na to, by pracować po wiele godzin za bardzo małą pensję. Choć twierdziła, że mogłaby tak pracować, oni ją odprawiali, a nic innego nie potrafiła robić. Umiała tylko tańczyć, tak jak to czyniła w Paryżu.

Kilka razy nawet, w desperacji, pomyślała o prostytutce. Niektóre kobiety z jej sfery zaczęły się i tym zajmować, ale wiedziała, że ona nie mogłaby czegoś takiego robić. Pamięć o Claytonie była zbyt silna i niczym nie skalana. Był jedynym mężczyzną jakiego kiedykolwiek kochała, i nie mogłaby znieść myśli o tym, żeby jakiś inny mężczyzna jej dotykał, nawet, gdyby mogła dzięki temu nakarmić dzieci.

Taniec był jedyną rzeczą, jaką potrafiła robić, ale wiedziała doskonale, że w wieku trzydziestu lat nie może wrócić do baletu po

jedenastoletniej przerwie. Nadal była zgrabna i giętka, ale za stara.

Kiedy wchodziła do teatru, o którym wcześniej gdzieś usłyszała, czuła się jakby miała tysiąc lat. Była już U Ziegfelda, ale powiedziano jej, że jest za niska. Więc nie pozostawało jej nic innego, jak spróbować swoich sił w burlesce. Znajdowała się ona o pięć budynków dalej od teatru Ziegfelda. Nie było nic dziwnego w tym, że kiedy weszła przez drzwi na scenę, ujrzała pełno na pół rozebranych kobiet. Starła się na nie nie patrzeć, szukając kogoś, z kim mogłaby porozmawiać.



– No? – powiedziała z rozbawieniem kobieta, która wszystkim kierowała – Tancerka?

– Tak, byłam tancerką.

– U kogo?

Zoja przełknęła ślinę, mając świadomość, że wygląda zbyt porządnie w prostej czarnej sukience od Chanel. Powinna była włożyć coś bardziej jaskrawego i pikantnego, ale już dawno sprzedała wszystkie bardziej wyszukane sukienki i ze swojej garderoby z Sutton Place zachowała tylko takie, które, choć ponure, były ciepłe. Wiedziała, że właśnie takie mogą się jej przydać w zimnym mieszkaniu.

– Tańczyłam w Ballets Russes w Paryżu. A przedtem uczyłam się baletu w Rosji.

– Baletnica, co?

Ta informacja zdawała się ją niesłychanie bawić. Zoja stała spokojnie, rude włosy miała ciasno upięte na karku, twarz bez makijażu.

– Słuchaj, pani, to nie jest przytułek dla emerytowanych baletnic. To jest Rewia Fitzhuga! – powiedziała z dumą i Zoja poczuła, jak ogarnia ją wściekłość.

– Mam dwadzieścia pięć lat – skłamała – i byłam bardzo dobra.

– Taak? A w czym? Nie robiłaś jeszcze niczego podobnego, mogę się założyć.

To była prawda, ale była gotowa zrobić wszystko, żeby ratować swoje dzieci przed głodem. Przypomniała sobie swój próbny występ dla Ballets Russes, trzynaście lat temu w Paryżu.

– Proszę mi pozwolić spróbować... tylko raz... mogę się nauczyć... proszę...

Wbrew jej woli lzy stanęły jej w oczach. Właśnie przechodził tamtędy mały okrągły człowieczek z cygarem w zębach, spojrzął na nią mimochodem i zawołał do dwóch mężczyzn niosących jakąś część dekoracji:

– Co robicie, kretyni! Połamiecie to! – następnie wyraźnie strapiiony pomachał cygarem w stronę kobiety rozmawiającej z Zoją. – Cholerne dziewczuchy, złapały odrę... wyobrażasz sobie coś takiego? Wziąłem sobie na głowę kupę starych tancerek, a te się pochorowały jak kupa jakichś cholernych dzieciaków... trzy w zeszłym tygodniu... a teraz jeszcze siedem... szlag by to trafił, co mam powiedzieć ludziom, którzy

plącą uczciwą forszę, żeby zobaczyć ten show? Że sobie mogą obejrzeć kupę kociaków z krostami, jak machają do nich tyłkami. Nawet bym to zrobił, gdyby przyszły do tej cholernej roboty.

Wymachiwał cygarem w stronę Zoi i poza nią, zupełnie jakby jej tam nie było, bo dla niego rzeczywiście nie istniała.

Nie czekając, aż mężczyzna zwróci się do niej bezpośrednio, postanowiła sama powiedzieć, po co przyszła.

– Chciałabym wystąpić na próbę, żeby pracować tu jako tancerka.

Miała nadal odrobinę obcy akcent, ale żadne z nich nie pomyślało, że jest Rosjanką. Kobieta pomyślała, że jest. Francuzką, oceniając po wykwintnie skrojonej czarnej sukience i dystyngowanym sposobie bycia. To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowali w Rewii Fitzhuga.

– Tancerka? – Odwrócił się, żeby ją otaksować, ale nie zrobiła na nim rażenia.

– Tak. – Postanowiła zachować dla siebie szczegóły.

– Baletnica – powiedziała tamta kobieta z wyraźnym niesmakiem.

– Miałaś odrę? – zapytał. To liczyło się dla niego o wiele bardziej teraz, kiedy zachorowało mu już dziesięć tancerek i Bóg jeden wiedział, ile jeszcze jest zarażonych.

– Tak, chorowałam – wymamrotała, modląc się, żeby się okazało, że jeszcze umie tańczyć. Może wszystko zapomniała. Może...

Wzruszył ramionami i wcisnął zgaszone cygareto z powrotem do ust.

– Niech pokaże, co potrafi, Maggie. Jeśli potrafi stanąć i zrobić cokolwiek, może zostać, dopóki tamte nie wrócą. – Zostawił je, a kobieta nazwana Maggie nie wyglądała na zachwyconą. Ostatnia rzecz, jaka była im potrzebna, to jakaś pretensjonalna, blada cizia, która uważa, że jest za dobra na burleskę. Ale była zdrowa, podczas gdy inne tancerki się rozchorowały.

– Okay – powiedziała niechętnie i krzyknęła w stronę sceny: – Jimmy! Rusz dupę i chodź tutaj zagrać!

Zjawił się czarny mężczyzna z szerokim uśmiechem i spojrzał na Zoję.

– Cześć, skarbie, co mam ci zagrać? – spytał zasiadając do pianina.

Zoja nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać. Co mogła mu odpowiedzieć? Żeby zagrał Chopina? Debussy'ego czy Strawińskiego?

– Co zwykle gracie na przesłuchaniach? – zapytała go, a on uśmiechnął się ze zrozumieniem. Nietrudno było się zorientować, że była z tych

tam, co to są z wyższych klas, którym się nie powiodło w ciężkich czasach. Było mu jej żal, kiedy widział jej wielkie zielone oczy i marzycielski uśmiech. Wyglądała jak dziecko, kiedy tak stała przed nim i zastanawiał się, czy w ogóle umiała tańczyć. Słyszał o innych jej podobnych, które zaczęły pracować w nocnych klubach, odgrywając scenki wymyślone przez siebie, jak Cobina Wright i Cobina Junior.

– Skąd jesteś?

Mogli mówić swobodnie, gdyż Maggie chwilowo rozmawiała z kimś innym. Jimmy poczuł sympatię do Zoi.

Uśmiechnęła się do niego szczerze, nadal modląc się, żeby nie wyjść na idiotkę, ale nawet to gotowa była zaryzykować.

– Z Rosji, mieszkałam tam dawno temu. Przyjechałam tutaj po wojnie. Wtedy on ściszył głos i obejrzał się niespokojnie przez ramię.

– Nigdy wcześniej nie tańczyłaś, skarbie? Powiedz mi prawdę, dopóki Maggie nie słyszy. Jimmy’emu możesz powiedzieć. Nie będę ci mógł pomóc, jeśli nie będę wiedział, czy umiesz tańczyć.

– Tańczyłam w balecie, kiedy byłam młoda. Nie tańczę już od jedenastu lat – powiedziała szeptem, wdzięczna za jego pomoc.

– Ajajaj... – potrząsał głową zmartwiony. – Fitzhugh to nie balet...

Bardzo delikatnie powiedziane, gdy się wzięło pod uwagę dwie półnagie girlsy, paradujące obok nich.

– Posłuchaj – powiedział konspiracyjnym szeptem – ja będę grać naprawdę wolno, a ty po prostu wywracaj oczami, uśmiechaj się, podskocz parę razy, pokaż tyłek i nogi i będzie dobrze. Masz kostium?

– ale zorientował się po wyrazie jej oczu, że nie miała.

– Przepraszam, ja...

– Nie szkodzi.

I wtedy właśnie Maggie przypomniała sobie o nich.

– Będziesz tu siedział na swoim tłustym tyłku cały dzień, Jimmy, czy robimy w końcu tę próbę? Osobiście, nie zawracałabym sobie głowy, ale Charlie chce, żebym zobaczyła, co ona ma do pokazania.

Patrzyła niezyciwnie na Zoję, która modliła się, żeby udało jej się nie ponieść całkowitej klapy. Skorzystała ze wskazówek Jimmy’ego i akurat Charlie, dyrektor, przechodził tamtędy znowu. Patrzył na nią mamrocząc coś pod nosem. Chciał, żeby się pośpieszyła, bo miał jeszcze przesłuchać dwóch komików i striptizerkę.

– Cholera. Właśnie to, czego mi tutaj nie potrzeba... dama – powiedział tonem najwyższej zniewagi – ... pokręć dupą... o, tak... pokaż no bardziej te nogi...

Czerwieniąc się podciągnęła do góry spódnicę i tańczyła dalej według wskazówek Jimmy’ego. Miała piękne nogi i zachowała wdzięk nabyty w ciągu trzynastu lat tańca. – Kto ty jesteś, na miłość boską? – ryknął na nią niski mężczyzna, kiedy się zaczerwieniła – Jakaś dziewczica? Ludzie nie przychodzą się tutaj modlić. Przychodzą tutaj popatrzeć na tancerki. Czy myślisz, że mogłabyś to zrobić bez takiej miny, jakby cię dopiero co zgwałcili?

– Spróbuję, sir... postaram się...

– To dobrze. Więc bądź tutaj dziś wieczorem o ósmej.

Kiedy poszedł, Maggie też odeszła wyniośle, wyraźnie zdegustowana, a Jimmy wydał okrzyk radości i poderwał się, żeby uściskać Zoję.

– Hej, mamuśka! Udało nam się!

– Nie wiem, jak ci dziękować – uściśnęła jego rękę, a jej oczy wyrażały wdzięczność. – Mam dwoje dzieci, ja... my... – nagle poczuła, że znowu się rozplacze, a czarny mężczyzna patrzył na nią ze współczuciem – bardzo potrzebowałam pracy...

Łzy zaczęły jej spływać po policzkach i otarła je zakłopotana, przez chwilę niezdolna nic powiedzieć.

– Nic się nie martw. Dasz sobie radę. Do zobaczenia wieczorem.

Uśmiechnął się i poszedł, by dokończyć grę w karty, w której właśnie przegrywał, gdy zawołała go Maggie.

Zoja wracała na piechotę do domu, myśląc o tym, co właśnie zrobiła. W przeciwieństwie do tego, jak było wiele lat temu z Ballets Russes, nie miała wrażenia, że odniosła zwycięstwo czy sukces. Była to tylko ulga, że ma pracę, której towarzyszyła przykra świadomość degradacji i upokorzenia. Ale tylko to potrafiła robić, a praca była nocna, więc nie będzie musiała zostawiać Saszy z jakimiś obcymi ludźmi. W tamtym momencie było to niemal idealne rozwiązanie.

Wieczorem wytłumaczyła Nicholasowi, że musi wyjść. Nie powiedziała, dokąd ani po co. Nie chciała mu mówić, że dostała pracę tancerki. W uszach jej wciąż jeszcze brzmiały słowa Charliego: „... pokręć dupą... pokaż no te nogi... co ty jesteś? Jakaś dziewczica?...”

Według ich sposobu myślenia, była nią. Mimo swoich trzydziestu jeden

lat i wszystkich ciężkich przeżyć, zawsze była chroniona przed ludźmi takiego pokroju i takimi jak ci, dla których będzie tańczyła.

– Dokąd idziesz, Mamo?

– Wychodzę na chwilę. Położyła już Saszę do łóżka.

– Nie kładź się zbyt późno – nakazała i pocałowała go, tuląc przez chwilę jakby wybierała się właśnie na własną egzekucję. – Idź do łóżka za pół godziny.

– Kiedy wrócisz?

Stojąc w drzwiach sypialni przyglądał jej się podejrzliwie.

– Późno.

– Czy coś się stało, Mamo?

Był wrażliwym dzieckiem i wczesnie zetknął się z okrutnymi zrzędzeniami losu, w ciągu jednej chwili zmieniającymi bieg całego życia.

– Nie, nic się nie stało, kochanie – uśmiechnęła się do niego. –

Zapewniam cię.

Przynajmniej będą mieli trochę pieniędzy.

Nie była jednak w najmniejszym stopniu przygotowana na to, co miało nastąpić; grubiańskie żarty, wulgarne dziewczyny, skąpe kostiumy i komicy, którzy podszczypywali ją za sceną, gdy koło nich przebiegała. Jednak, kiedy zagrała muzyka i kurtyna uniosła się w górę, dała z siebie wszystko tańcząc przed śmiejącym się i drwiącym, podnieconym tłumem. Nikt nie narzekał, choć nie raz zmyliła krok. To nie były Ballets Russes, tutaj nikt nawet tego nie zauważył. Oni chcieli tylko oglądać gromadę ładnych dziewczyn pokazujących nogi i jak najbardziej rozebranych. Były cekiny i paciorki, kuse atłasowe szorty, a do tego odpowiednie kapelusze oraz niezliczone boa z piór i ogromne przybrania na głowach. Wszystko to stanowiło marną imitację tego, co nosiły dziewczyny u Ziegfelda. Zoja wiele razy ubolewała nad tym, że była zbyt niska i nie mogła zostać zaangażowana przez sympatycznego Florenza Ziegfelda. Oddała swój kostium dziewczynie, od której go pożyczyła i wolnym krokiem poszła do domu. Nie zmyła nawet z twarzy makijażu. Przeżyła jeszcze większy szok, kiedy mijający ją mężczyzna zaproponował jej miedziaka w zamian za to, żeby w najbliższej bramie „zrobiła to dla niego najlepiej, jak umie”. Pozostałą część drogi przebyła w biegu. Kiedy pomyślała o strasznym życiu, jakie

czekało ją w Rewii Fitzhuga, po twarzy jej zaczęły płynąć łzy. Kiedy dotarła do domu, Nicholas już spał głębokim snem. Pocałowała go delikatnie, zapłakana, brudząc mu policzek szminką i myśląc o tym, jak słodko wygląda, kiedy śpi i jak bardzo jest podobny do ojca. To niemożliwe, że odszedł... że ją zostawił na pastwę... gdyby tylko wiedział... gdyby tylko... ale to nie było już możliwe. Poszła na palcach do pokoju, gdzie sypiała, zmyła makijaż i przebrała się w koszulę nocną. Skończyły się atłasy, jedwabie i koronki. Wkładała teraz na siebie ciężkie flanelowe koszule, żeby uchronić się przed przenikliwym zimnem prawie nie ogrzewanego mieszkania.

Rano zrobiła Nicholasowi śniadanie, przed jego wyjściem do szkoły. Dała mu szklankę mleka, kromkę chleba i jedną pomarańczę, którą kupiła poprzedniego dnia, lecz on nie narzekał. Uśmiechnął się tylko do niej, poklepał ją po ręce i pocałowałwszy Saszę, popędził do szkoły.

Tego wieczora poszła znów do teatru i czyniła to przez kilka następnych tygodni, dopóki nie powróciły tancerki, które wyzdrowiały. Kiedy to nastąpiło, Charlie powiedział jej szorstko, że może u nich zostać, bo ma ładne nogi i nie sprawia mu żadnych kłopotów. Jimmy przyniósł jej piwo, żeby to uczcić, ściągnięte z jego ulubionej meliny. Podziękowała mu i łyknęła trochę, żeby go nie urazić. Nie powiedziała mu, że są to właśnie jej trzydzieste pierwsze urodziny.

Był zawsze dla niej dobry; jedyny przyjaciel, jakiego tam miała. Pozostali wyczuwali od razu, że ona jest „inna”. Nigdy nie opowiadali jej swoich dowcipów, dziewczyny w ogóle prawie z nią nie rozmawiały, nie tak jak między sobą, gdy opowiadały o swoich chłopakach, o mężczyznach, którzy przychodzili do nich za kulisy. Niejedna z nich uciekła z mężczyzną, który zaoferował jej trochę pieniędzy. To właśnie Charliemu się w niej podobało. Nie była szczególnie atrakcyjna dla jego gości, przynajmniej robiła wrażenie solidnej i sumiennej. Po roku dostała podwyżkę. Sama nie mogła uwierzyć, że tak długo tam pracuje, ale nie miała innego wyjścia, któż by ją zatrudnił. Powiedziała Nicholasowi, że tańczy w pewnym małym balecie i zostawiła mu numer telefonu do teatru, na wypadek gdyby coś się stało, ale dziękowała Bogu za to, że nigdy nie zadzwonił. Nicholas, jakby wyczuwał, że Zoja wstydzi się tego, co robi, nigdy nie prosił jej, żeby zabrała go na przedstawienie. Była mu bardzo wdzięczna za to i za

jego dziecięcą czułość, jaką ją obdarzał. Którejś nocy Sasza obudziła się z gorączką i kaszlała i Nicholas cały czas czekał na nią, ale nie zadzwonił do niej do teatru, żeby jej nie martwić. Pomagał jej we wszystkim i stanowił dla niej prawdziwe wsparcie.

– Czy zobaczymy jeszcze kiedykolwiek naszych dawnych przyjaciół? – spytał cicho któregoś dnia, kiedy Zoja obcinała mu włosy, a Sasza bawiła się z Sawą.

– Nie wiem, kochanie.

Otrzymała właśnie list od dawnej niańki dzieci, która była bardzo zadowolona z pracy u Van Alensów i miała do opowiedzenia mnóstwo nowin o debiucie Barbary Hutton zeszłego lata i o Dorris Duke w Newport. Jaka ironia losu, że ona była nadal częścią tamtego świata, a Zoja już nie. I tak jak oni unikali jej na początku, przekonani, że była podrzędną tancerką w Folies-Bergere, teraz ona unikała ich ze świadomością, że właśnie jest tak, jak przedtem myśleli, zwyczajną girlsą. Wiedziała także, że odkąd straciła wszystko, jak wielu innych w tamtym okresie, nie interesowała ich już więcej. Niegdyś hrabianka, która wywarła na nich takie wrażenie, teraz była nikim. Jakaś tam tancerczka. Bramy zamknęły się za nią. Zniknęła. Tak samo jak Clayton i wiele innych osób. Brakowało jej jedynie księcia Oboleńskiego i jego arystokratycznych przyjaciół Rosjan. Ale być może nie zrozumieliby tego, co stało się z jej życiem, ani dlaczego to zrobiła. Oboleński nadal był mężem Alice Astor.

Elsa Maxwell prowadziła rubrykę towarzyską i czasami, kiedy Zoja czytała gazetę, znajdowała tam opowieści Cholly Knickerbocker o ludziach, których znała, kiedy była żoną Clayтона. Wydawali jej się teraz tacy nierealni, prawie tak, jakby ich nigdy nie znała. Były tam wiadomości o bankructwach, samobójstwach, zawieranych małżeństwach i rozwodach. Cieszyła się tylko, że nie znalazła się pośród nich w tej rubryce. Przeczytała także o tym, że Olga Pawłowa umarła w Hadze na zapalenie opłucnej. W maju Zoja zabrała dzieci na otwarcie Empire State Building. Było piękne majowe popołudnie 1931 roku. Nicholas patrzył z podziwem na imponującą budowlę. Wjechali windą na górę i stali na platformie obserwacyjnej, na sto drugim piętrze, i nawet Zoja miała wrażenie, że unosi się w powietrzu. Po raz pierwszy, po długiej przerwie, spędzali razem takie radosne popołudnie.

Wracali do domu na piechotę, wokół pachniało wiosną, a Sasza biegła przed nimi śmiejąc się i bawiąc. Skończyła już sześć lat, miała piękne kasztanowo-złote loki i twarz zupełnie podobną do Claytona. Mijali ludzi sprzedających na ulicy jabłka. Wiele kobiet zachwycało się dziećmi Zoi. Nicholas w sierpniu kończył dziesięć lat. Nim nadeszła rocznica jego urodzin, miasto zostało sparaliżowane nieznośnymi upałami. Drugi lipca był najgorętszym dniem, jaki kiedykolwiek zanotowano. Zoja wychodziła do pracy, ubrana w białą sukienkę, haftowaną w maleńkie niebieskie kwiatki, dzieci jeszcze nie spały. Nicholas wiedział, że Zoja pracuje, choć nadal nie rozumiał, gdzie, ale jakoś nie było to dla niego takie ważne.

Zostawiła im dzbanek lemoniady i przypomniała Nicholasowi, żeby pilnował Saszy. Okna zostawiła otwarte, żeby wpuścić trochę powietrza do mieszkania, gdyż było tam duszno jak w kotle.

– Pilnuj, żeby Sasza nie zbliżała się do okien – ostrzegła Nicholasa i patrzyła, jak chłopiec ciągnie złotowłosą dziewczynkę z powrotem do sypialni. Miała na sobie tylko koszulkę, była bosa i wyglądała jak aniołek, kiedy machała matce na pożegnanie.

– Nic ci się nie stanie? – zapytała jak zwykle, kiedy Zoja wychodziła. Z bólem, że musi ich zostawiać samych, z ciężkim sercem szła tego dnia do teatru. Ledwo mogła iść w takim upale, mimo wieczornej pory, miała uczucie, że ulica paruje pod jej stopami, a dziury w butach jeszcze bardziej utrudniały jej chodzenie. Zastanawiała się, co będzie dalej, czy uda im się przetrwać, jak potoczy się ich życie, jak długo jeszcze będzie mogła paradować po scenie w pióropuszu i swoim groteskowym kostiumie.

Przedstawienie nie cieszyło się zbyt dużą frekwencją tego wieczora, było zbyt gorąco, żeby gdziekolwiek się wybierać. Kto mógł, wyjeżdżał do Newport i na Long Island, inni omdlewali w domach z gorąca albo siedzieli na stopniach przed domami, mając nadzieję, że wkrótce upały się skończą. Kiedy wreszcie Zoja wracała z teatru, była kompletnie wyczerpana i nawet nie zwróciła uwagi na głos syren dolatujący z oddali. Dopiero gdy zbliżała się do swojej ulicy, poczuła gryzący dym i, zobaczywszy wozy strażackie i ogień, zadrzała. Skręciwszy za róg ujrzała, że jakiś budynek stał w płomieniach. Krzyknęła z przerażenia, zaczęła biec i gdy zobaczyła, że wozy strażackie stoją pod jej domem,



ugięły się pod nią kolana.

– Nie!... nie!... – wołała płacząc i próbując przebić się przez tłum gapiów, którzy patrzyli na płomienie ogarniające trzy budynki. Wszędzie unosił się duszący dym i Zoja zaczęła kaszleć, kiedy usiłowała przedrzeć się dalej, ale strażacy zatrzymali ją u wejścia do jej budynku.

– Nie może pani tam wejść!

Nawoływali do siebie pośród huku ognia, przepłatanego straszliwymi trzaskami. Szyby pękały dookoła, Zoja dostała odłamkiem w ramię i krew ubrudziła jej białą sukienkę. Jeden ze strażaków przytrzymał ją zdecydowanie.

– Powiedziałem, że nie może pani tam iść!

– Moje dzieci – krzyknęła! – ... Moje dzieci...

Mocowała się z nim z siłą, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewała i udało jej się na chwilę wyrwać, ale złapał ją znowu, gdy próbowała go wyminąć.

– Niech mnie pan puści!

Wrzeszczała na niego, lecz on trzymał ją swoimi silnymi rękami za ramiona, podczas gdy sąsiedzi przyglądali się tej scenie ze zgrozą.

– Tam są moje dzieci... o, Boże... błagam...

Płakała rozpaczliwie, otoczona kłębamii dymu, który gryzł ją w oczy i w gardło. Mężczyzna zawołał do dwóch strażaków biegnących z powrotem do budynku. Wydostali już stamtąd kilka starszych kobiet i młodego mężczyznę, który leżał nieprzytomny na ulicy, a dwaj strażacy starali się go ocucić.

– Hej, Joe! – zawołał do jednego z tamtych i odwrócił się szybko do Zoi. – Gdzie oni są? W którym mieszkaniu?

– Ostatnie piętro... chłopiec i dziewczynka... – zakrzuszyła się dymem, zauważyła już, że ich drabiny nie sięgały dalej niż do trzeciego piętra...

– pozwólcie mi iść... proszę... błagam...

Stała przed nim w błagalnej pozie, kiedy przekazywał informację dwóm strażakom, którzy natychmiast pospieszyli do budynku. Zoi wydawało się, że upływają całe wieki... gdy czekała myśląc o tym, że jeśli dzieci umrą, nie będzie już miała po co żyć. Tylko one jej zostały na tym świecie, tylko na nich jej zależało, dla nich żyła. Strażacy długo nie wracali i jeszcze trzech pobiegło do środka z toporami. Ich twarze

zdradzały niepokój. Rozległ się straszliwy trzask, a potem eksplozja płomieni i iskier – zawaliła się część dachu. Na ten widok Zojaomal nie zemdląa. Z przerażeniem w oczach nagle wyrwała się naprzód, zdecydowana znaleźć dzieci albo umrzeć z nimi. Przemknęła się obok strażaków, zbyt szybko, by zdążyli ją zatrzymać i wbiegła do korytarza, ale wtedy ujrzała strażaków biegnących w jej stronę przez gęsty dym, dwaj z nich nieśli jakieś tobołki i usłyszała przez huk płomieni płacz dziecka. Zobaczyła, że to Nicholas, wołał do niej i machał rękami. Trzeci strażak złapał ją w ramiona, jak jeszcze jedno dziecko i wybiegli z budynku, unosząc swoje drogocenne ciężary, tuż za nimi buchnął ogień. Ledwo zdążyli wydostać się na ulicę, cały budynek zaczął się walić. Uciekając mieli za sobą ścianę płomieni. Nicholas wczepił się w Zoję, kaszlał i powtarzał jej imię, a ona całowała jego twarz. Wtedy spostrzegła, że Sasza jest nieprzytomna. Ukłękła obok niej na chodniku, jęcząc i powtarzając jej imię, podczas gdy strażacy usilnie starali się ją ratować, aż wreszcie poruszyła się i zapłakała cicho, a Zoja położyła się obok niej i szlochała tuląc ją do siebie i gładząc jej loki.

– Moje dziecko... moje dziecko...

Wydawało jej się, że była to kara za to, że zostawiała je każdej nocy same. Myślała przez cały czas o tym, co by było, gdyby przyszła do domu i... strach było pomyśleć. Siedziała na ulicy tuląc do siebie dzieci, patrzyła na płonący budynek i wszyscy troje płakali widząc, jak wszystko, co posiadali, uchodzi z dymem.

– Najważniejsze, że jesteście żywi – powtarzała im wciąż, mając w pamięci tamtą noc, gdy jej matka zginęła w płomieniach, w pałacu na Fontance.

Strażacy zostali tam aż do świtu, gdy zawitał kolejny upalny dzień lipca i powiedzieli, że musi upłynąć trochę czasu, zanim będzie można wejść do środka budynku. Zoja z dziećmi musieli znaleźć sobie jakieś schronienie, zanim będą mogli poszukać w zgłiszczach, czy cokolwiek z ich rzeczy się uratowało. Pomyślała o zdjęciach Claytona, których nie odzyska... o fotografiach rodziców, dziadków i cara... pomyślała też o cesarskim jajku, które przechowywała na wypadek, gdyby kiedykolwiek trzeba było je sprzedać... Teraz nie musiała już się o to martwić. Nagle poczuła przejmujący żal, przypomniała sobie o Sawie. Pies, którego dawno temu przywiozła z Sankt Petersburga, zginął w

plamieniach.

– Nie mogłem jej namówić, żeby wyszła, Mamo... schowała się pod kanapą, kiedy przyszedli ci panowie – szlochał Nicky. – Chciałem ją zabrać... ale oni mi nie pozwolili...

– Ciii... kochanie, nie płacz...

Jej długie rude włosy uwolniły się z wężła, kiedy mocowała się ze strażakami i rozpuszczone opadały na podartą białą sukienkę w niebieskie kwiatki. Twarz Zoi była umazana popiołem, a nocna koszula Nicholasa – nasiąknięta dymem. Czuć go było wszędzie, ale nigdy jego zapach nie był dla niej tak słodki i nie znaczył tyle co teraz.

– Tak bardzo was kocham... ona była bardzo stara, Nicky... ciii... dziecinko, nie płacz...

Sawa miała prawie piętnaście lat i była z nimi, aż do tamtej chwili, lecz Zoja myślała teraz tylko o dzieciach.

Noc spędzili u sąsiadów, śpiąc na kocach, na podłodze w stołowym pokoju. Bez względu na to ile razy się kąpali, ile razy Zoja myła dzieciom głowy, wciąż przesiąknięci byli dymem. Za każdym razem, gdy Zoja wyglądała przez okno i widziała zwęglone resztki budynku po drugiej stronie ulicy, uświadamiała sobie, jak wielkie mieli szczęście. Był to widok mrozący krew w żyłach.

Zadzwoiła następnego dnia do teatru i powiedziała, że nie przyjdzie więcej do pracy, a wieczorem poszła tam, żeby odebrać należną pensję. Nie obchodziło jej, czy będą teraz głodowali, nie zostawi dzieci już więcej samych... nigdy.

Jej ostatnia pensja wystarczała zaledwie na to, by kupić jakieś ubrania i trochę jedzenia, lecz nie mieli gdzie mieszkać ani dokąd pójść. Zoja poszła odszukać Jimmy'ego, żeby się z nim pożegnać. Wyglądała na całkowicie wyczerpaną.

– Opuszczasz nas?

Zasmuciło go, że Zoja odchodzi, jednak zrozumiał, gdy mu opowiedziała o pożarze.

– Nic innego mi nie pozostało. Gdyby coś się stało...

Mogło się przecież znowu coś zdarzyć. Byłoby grzechem zostawiać dzieci same, będzie musiała poszukać innej pracy. On tylko pokiwał głową, nie dziwiło go to i uważał, że było słuszne.

– I tak tutaj nie pasujesz, mamuśka. Nigdy nie pasowałeś. Uśmiechnął

się. Jej zachowanie, sposób poruszania się świadczyły o jej pochodzeniu. Choć nigdy nie mówiła mu o swojej przeszłości, domyślał się, że nie była kimś zwyczajnym i zawsze sprawiało mu przykrość, gdy widział ją razem z innymi wymachującą wysoko nogami.

– Znajdź se co innego. Dobrą pracę z ludźmi takimi jak ty. Pracowała tam jednak półtora roku, co pozwalało jej opłacać czynsz.

– Nie masz żadnej rodziny albo przyjaciół, do których mogłabyś się zwrócić?

Pokręciła głową, myśląc znowu o tym, jakie to szczęście, że nadal miała dzieci.

– Masz gdzie wrócić? Na przykład do Rosji albo gdzieś?

Uśmiechnęła się widząc, jak niewiele wiedział o zniszczonym świecie, który zostawiła za sobą.

– Jakoś sobie poradzę – powiedziała, nie mając pojęcia, co zrobi.

– Gdzie teraz mieszkasz?

– U sąsiadów.

Zaprosiłby ją do siebie, do Harlemu, ale wiedział, że to nie byłoby dla niej odpowiednie. Tacy ludzie jak ona chodzą tańczyć do Cotton Club i tam się pieklą, nie sprowadzają się do Harlemu z jakimś starym pianistą z rewii.

– No, to daj mi czasem znać, jak ci leci. Dobra?

Pochyliła się, by ucałować go w policzek, a jemu twarz się rozjaśniła.

Kiedy poszła odebrać swój czek, uścisnął serdecznie jej rękę na pożegnanie, z ulgą, że jednak to zrobiła. Dopiero późną nocą dokonała odkrycia w swojej torebce. Pięć banknotów dwudziestodolarowych, które wsunął do jej torebki, gdy poszła po swój czek. Wygrał je tamtego popołudnia w karty i ucieszył się, że może je dać Zoi. Najpierw pomyślała, że czym prędzej pójdzie mu je zwrócić, nikt jednak lepiej od niej nie wiedział, jak bardzo potrzebowała tych pieniędzy. W zamian napisała do niego liścik z podziękowaniem, obiecując, że odda mu dług, jak tylko będzie mogła. Wiedziała, że musi szybko coś wymyślić, znaleźć jakąś pracę i jakieś miejsce, gdzie będą mogli zamieszkać.

Pod koniec tygodnia budynek na tyle ostygł, że jego mieszkańcy mogli tam wejść. Niewiele rzeczy się uratowało. Dwa mieszkania uległy całkowitemu zniszczeniu. Zoja wspinała się ostrożnie po chwiejnych

schodach i wstrzymując oddech zastanawiała się, czy cokolwiek jeszcze tam znajdzie. Bardzo ostrożnie otworzyła drzwi i krok po kroku zaczęła badać podłogę łopatą. W powietrzu wisiał jeszcze ciężki zapach dymu, a pokój stołowy zamienił się w ruinę. Wszystkie zabawki dzieci spłonęły, większość ich ubrań, ale wiedziała, że i tak na zawsze byłyby nasiąknięte dymem. Spakowała do pudła naczynia, czarne od sadzy, i ze zdumieniem odkryła, że walizka ze zdjęciami stoi tam nadal, nienaruszona. Przynajmniej tyle im zostało. Wstrzymując oddech zaczęła grzebać w czymś, co niegdyś było skrzynią i wreszcie znalazła... emalia była trochę popękana, ale poza tym było nienaruszone. Jajko cesarskie... Patrzyła na nie z niemym podziwem i rozplakała się... to był relikwiarz jej minionego życia, jakby pochodził sprzed kilku epok. Nic więcej się nie zachowało. Spakowała to, co zostało z rzeczy dzieci, do jednego pudełka oraz swoją czarną sukienkę od Chanel, dwa kostiumy, różową lnianą sukienkę i jedyne buty, jakie miała na zmianę. Wystarczyło jej dziesięć minut, żeby znieść wszystko na dół, a potem, gdy się odwróciła, by rozejrzeć się po pokoju ostatni raz, zobaczyła Sawę skuloną pod posłaniem, cichą i nieruchomą, zupełnie jakby spała. Zoja stała jeszcze przez chwilę patrząc na nią, później delikatnie zamknęła drzwi i zeszła na dół, aby zanieść pudła do czekających po drugiej stronie ulicy dzieci.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Zoja z całego serca podziękowawszy sąsiadom za ich życzliwość wynajęła niewielki pokój poświęcając na to część pieniędzy, które dostała od Jimmy'ego. Zanim kupiła dzieciom nowe ubrania i sobie porządną sukienkę, której nie byłoby czuć dymem, wydała ponad połowę pieniędzy. W dodatku każdego wieczora musieli jadać w restauracji. Rozmawiali o tym, co robią, i Nicholas spoglądał na Zoję wyczekująco, aż któregoś razu, gdy przeglądała gazetę w poszukiwaniu pracy, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Nie zrobiłaby tego, gdyby miała jakiś wybór, ale go nie miała. Musiała wykorzystać tę odrobinę możliwości, jaka jej została, nawet jeśli czuła z tego powodu zażenowanie. Następnego dnia włożyła swoją nową sukienkę, uczesała się starannie, pomyślała z żalem, że nic jej nie pozostało z biżuterii, lecz wszystko, co miała, to ślubna obrączka i królewska postawa, z jaką stała przeglądając się w lustrze.

– Dokąd idziesz. Mamo? – zapytał ją Nicky, gdy oglądała się w swojej nowej sukience.

– Idę postarać się o pracę. – Tym razem powiedziała to bez zakłopotania.

– Czy potrafisz coś zrobić? – spytała Sasza niewinnie, na co Zoja parsknęła śmiechem.

– Niewiele.

Ale znała się na strojach; przez ostatnich dziesięć lat nosiła najlepsze z nich. Nawet w dzieciństwie ona i Maria uważnie obserwowały wszystko, co nosiły ich matki i ich krewni. Wiedziała, jak ubrać się w dobrym stylu i być może potrafiłaby nauczyć tego innych. Było mnóstwo kobiet, które mogły sobie na coś takiego pozwolić. Wsiadła do autobusu jadącego w stronę centrum handlowego. Przed wyjściem powierzyła Saszę opiece jej brata, choć zostawiając ich tego dnia samych czuła pewien niepokój. Wsiadła z autobusu niedaleko od miejsca podanego w ogłoszeniu. Było to na Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy zaraz za Piątą Aleją. Podeszła do drzwi i spostrzegła, że były tak wytworne, jak się spodziewała. Odźwierny ubrany w liberię stał przy wejściu i pomagał paniom wysiadać z samochodów. Zoja weszła do środka i ujrzała kilka modnie ubranych kobiet oraz paru mężczyzn

oglądających ekskluzywne towary wystawione w sklepie. Znajdowały się tam sukienki i kapelusze, torebki i płaszcze i ręcznie uszyte męskie obuwie o niesłychanie eleganckim fasonie. Wszystkie sprzedawczynie były znakomicie ubrane i wiele z nich miało arystokratyczne maniery. Powinna była to zrobić na samym początku, zganiła samą siebie, starając się wymazać z umysłu obraz płomieni i modląc się, żeby nic złego nie przytrafiło się dzieciom. Pierwszy raz od tamtej pamiętnej nocy zostawiła je same, nigdy już nie będzie miała pewności, czy są bezpieczne, jeśli nie będą w zasięgu jej wzroku. Wiedziała jednak, że to było coś, co musiała zrobić. Nie miała już wyboru.

– Czy mogę pani w czymś pomóc? – zapytała siwowłosa kobieta widząc, jak Zoja rozgląda się dookoła. – Czy życzy sobie pani coś obejrzeć?

Miała wyraźnie francuski akcent. Zoja odwróciła się do niej z pełnym godności uśmiechem. W środku cała się trzęsła, ale miała nadzieję, że nie było tego widać, kiedy odpowiadała nieskazitelną francuszczyzną, którą posługiwała się od dzieciństwa.

– Czy mogłabym rozmawiać z dyrektorem?

– Ach... jak miło usłyszeć kogoś, kto mówi po francusku – starsza kobieta uśmiechnęła się. – Wyglądała jak bardzo elegancka dyrektorka znakomitej szkoły dla młodych dam. – Ja nią jestem. Czy życzy sobie pani czegoś?

– Tak – odparła Zoja cicho, tak żeby nikt inny nie słyszał. – Jestem hrabianką Zoją Ossjupową i poszukuję pracy.

Kobiety spojrzały sobie uważnie w oczy i po nieskończonej długiej pauzie Francuzka skinęła głową.

– Rozumiem.

Zastanawiała się w duchu, czy dziewczyna była oszustką, ale jej pełen godności sposób bycia wskazywał raczej na to, że była tą, za którą się podawała.

– Pozwoli pani do mojego biura, madame?

Dla niej tytuł nie był ważny, lecz sądziła, że jej klientki mogą na to patrzeć inaczej; Barbara Hutton, Eleanor Carson, Doris Duke i ich przyjaciółki, jej klientela należała do elity, dla większości z nich tytuły znaczyły wiele. Wiele z nich wychodziło za księżąt i hrabiów tylko po to, żeby uzyskać tytuł.

Zoja poszła za nią do pięknie urządzonej czarnobiałej poczekalni. Tam właśnie pokazywano klientkom najdroższe sukienki. Jedynie Chanel, która niedawno weszła na rynek amerykański, stanowiła konkurencję dla jej domu mody, ale w Nowym Jorku wystarczyło miejsca dla nich obu. Francuzka nazywała się Axelle Dupuis, przyjechała z Paryża przed laty i założyła elegancki salon mody znany jako „Axelle”. Od paru lat był on niesłychanie popularny w Nowym Jorku. Zoja nawet kupiła tam kiedyś sukienkę, nie używała oczywiście wtedy swojego rosyjskiego nazwiska i na szczęście Madame Dupuis nie pamiętała jej.

– Czy ma pani w tej dziedzinie jakieś doświadczenie? Przyglądała się Zoi uważnie. Sukienka, jaką miała na sobie, była tania, jej buty – zniszczone, lecz zgrabne dłonie i sposób, w jaki się poruszała, świadczyły o tym, że żyła kiedyś w innych warunkach. Mówiła poprawnym językiem ludzi z towarzystwa, знаła także francuski, choć nie było to aż tak istotne. Odnosiło się wrażenie, że posiadała wrodzone wyczucie dobrego smaku, widoczne nawet w tej niedrogiej sukience. Axelle była zaintrygowana.

– Nie – odparła Zoja uczciwie. – Nie mam. Przeniosłam się do Paryża po wybuchu rewolucji.

Teraz mogła już o tym mówić, zdarzyły jej się jeszcze gorsze rzeczy, a ona musiała myśleć o Saszy i Nicolasie. Dla nich gotowa była nawet chodzić na czworakach, żeby dostać tę pracę. Nic nie udawało jej się wyczytać z twarzy tamtej kobiety, która w milczeniu nalewała sobie i jej herbaty do filiżanek. Srebrny serwis, którego używała, był wyjątkowo piękny, porcelana z Francji. Zachowywała się wytwornie, uważnie obserwując, jak Zoja pije herbatę. Tego rodzaju rzeczy miały dla niej spore znaczenie. Jej klientkami były najbardziej eleganckie, najbardziej wymagające na świecie kobiety z elity i nie mogła sobie pozwolić, by obsługiwały je osoby nie znające dobrych manier, szorstkie w obejściu. Przyjrzawszy się Zoi uważnie przenikliwymi szarymi oczami, odczuła zadowolenie.

– Czy po przybyciu pani do Paryża miała tam pani do czynienia z modą?

Ta dziewczyna wzbudzała w niej zainteresowanie. Miała bez wątpienia coś arystokratycznego w sobie. Zoja spojrzała jej szczerze w oczy.

– Tańczyłam w Ballets Russes. To była jedyna rzecz, którą potrafiłam



robić, a byliśmy biedne.

Postanowiła, że będzie z nią szczerą, choć do pewnej granicy.

– A potem?

Zoja uśmiechnęła się ze smutkiem, siedząc prosto na swoim krześle.

– Wysłałam za mąż za pewnego Amerykanina i przyjechaliśmy tutaj w 1919 roku. – Dwanaście lat temu; trudno jej było w to uwierzyć.

Dwanaście lat... – Mój mąż zmarł dwa lata temu, był ode mnie sporo starszy – nie powiedziała Francuzce o wszystkim, co stracili. Nie było to teraz istotne, a poza tym chciała uszanować godność Claytona, nawet po jego śmierci. – Mam dwoje dzieci na utrzymaniu, wszystko, co

mieliśmy, straciliśmy w czasie pożaru... choć nie było tego dużo... – powiedziała trochę nieobecny głosem, myśląc o małym

mieszkaniu, w którym zginęła Sawa. Spojrzała ponownie w oczy

Axelle. – Potrzebuję pracy. Jestem już za stara na to, żeby tańczyć –

starła się usunąć z pamięci wspomnienia z rewii i mówiła dalej –

trochę znam się na strojach. Przed wojną... – Zawahała się, ale się

przemogła, jeśli miała handlować swoim tytułem, musiała coś o tym

powiedzieć. – W Sankt Petersburgu kobiety były bardzo eleganckie i

piękne... Uśmiechnęła się, a Axelle patrzyła na nią uważnie.

– Czy jest pani spokrewniona z rodziną Romanowów?

Wielu ostatnich Rosjan składało takie deklaracje, ale w tej

dziewczynie było coś, co sprawiało, że wydawało się to

prawdopodobne. Axelle była gotowa uwierzyć we wszystko i wtedy

Zoja spojrzała na nią swoimi zielonymi oczami i powiedziała

delikatnym głosem, trzymając w ręku filiżankę, w sposób

dystygowany jak prawdziwa dama.

– Jestem kuzynką ostatniego cara, madame.

Nie dodała nic więcej. Axelle myślała dłuższą chwilę... Warto było dać

jej szansę. Możliwe, że tego właśnie pragnęli jej klienci, oni przecież

uwielbiali hrabiny!

Myśl o tym, że są obsługiwani przez prawdziwą hrabiankę, byłaby dla

nich niesłychanie ekscytująca, Axelle wiedziała o tym.

– Dam pani szansę, madame... Hrabianko, powinnam, jak sędzę,

powiedzieć. Musi pani używać tutaj swojego tytułu.

– Oczywiście. – Zoja starła się wyglądać spokojnie, ale miała ochotę

krzyknąć z radości... jak dziecko... Będzie miała pracę! U Axelle!

Wszystko wyglądało doskonale. Jesienią dzieci pójdą do szkoły, a ona co wieczór będzie w domu przed szóstą. Była to porządna praca... idealna... nie mogła ukryć uśmiechu ulgi i Axelle także się uśmiechnęła.

– Dziękuję pani, madame. Bardzo pani dziękuję.

– Zobaczymy, jak pani sobie poradzi.

Wstała dając w ten sposób do zrozumienia, że rozmowa została zakończona. Zoja natychmiast wstała także, ustawiwszy ostrożnie filiżankę na podstawce. Axelle przyglądała się temu z ogromnym zadowoleniem.

– Kiedy chciałaby pani zacząć pracę?

– Może w przyszłym tygodniu?

– Doskonale. Punktualnie o dziewiątej. I, hrabianko – powiedziała to z wywiczoną swobodą, spoglądając na sukienkę Zoi – może, przed wyjściem, chciałaby pani wybrać sobie sukienkę, którą pani włoży... coś w czerni albo granacie...

Zoja pomyślała o swojej ukochanej czarnej sukience od Chanel, która uratowała się z pożaru. Wciąż niestety nasiąknięta była dymem, bez względu na to, co z nią robiła.

– Bardzo dziękuję, madame.

– Nie ma za co.

Skinęła wspaniałomyślnie głową i wyszła do głównego pomieszczenia salonu, gdzie jakaś kobieta w ogromnym białym kapeluszu wykrzykiwała coś nad parą butów. Widząc to Zoja przypomniała sobie, że musi także kupić nowe buty za niewielkie pieniądze, jakie im zostały i uświadomiła sobie wtedy, że zapomniała, zapytać, jaka będzie jej pensja. Nie przejmowała się tym. Ważne, że miała pracę, za każdą cenę. To było znacznie lepsze niż sprzedawanie jabłek na ulicy.

Jak tylko wróciła do domu, zabrała dzieci do parku i podzieliła się z nimi dobrą nowiną. Potem wrócili do hotelu, żeby schronić się przed gorącem. Nicholas był tak samo podekscytowany jak Zoja, a Sasza zapytała patrząc na nią swoimi ogromnymi niebieskimi oczami, czy mają tam sukienki dla małych dziewczynek.

– Nie, skarbie, nie mają. Ale kupię ci nową sukienkę, jak tylko będę mogła.

Na razie kupiła im tylko niezbędne minimum, podobnie jak sobie, ale nadeszły dla nich lepsze czasy. Miała porządnią pracę i spodziewała się,

że dostanie za nią solidne wynagrodzenie. Nigdy już nie będzie musiała zarabiać tańcem. Życie się przejaśniło. Zastanawiała się z lekkim uśmiechem, czy spotka u Axelle jakichś swoich dawnych przyjaciół. Pamiętała, jak lekceważyli ją na początku, gdy przyjechała z Francji, a potem ją uwielbiali. Kompletnie o niej zapomnieli, kiedy Clayton umarł, i całkowicie odrzucili, gdy okazało się, że wszystko straciła. Jak niestali potrafią być ludzie... ale nie zależało jej na tym. Miała swoje dzieci i tylko one ją obchodziły. Wszystko inne przychodziło i odchodziło, znowu się pojawiało, a potem znikało. Nie miało to już dla niej znaczenia. Przetrwali wszystko... to sprawiło, że życie wydawało jej się teraz najbardziej cenne spośród wszystkich rzeczy.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Dni spędzane w sklepie były długie i męczące, kobiety, które obsługiwała, miały wielkie wymagania. Były zepsute i kapryśne, niektóre z nich nie potrafiły dokonać jakiegokolwiek wyboru, ale Zoja zawsze okazywała im cierpliwość i odkryła, że miała dobre oko do tego, co było dla nich odpowiednie. Potrafiła wziąć jakąś sukienkę, w jednym miejscu pociągnąć, w innym zawinąć i nagle kobieta, która ją przymierzała, rozkwitała widząc siebie w lustrze... potrafiła doskonale dobrać kapelusze do bezbłędnie wybranego kostiumu... jakiś niewielki bukiet kwiatów... kawałek futra... wyjątkowo urocze pantofle. Tworzyła kompozycje, które zamieniały się w poezję, i jej pracodawczyni była z mej bardzo zadowolona. Nim nadeszło Boże Narodzenie, Zoja wyrobiła sobie znakomitą renomę, stała się najbardziej popularna w salonie i każdy, kto przychodził, nalegał, by obsługiwała go hrabianka. Wciąż się słyszało: hrabianka to, hrabianka tamto... i czy nie sądzi pani, hrabianko... i och, hrabianko, proszę... Axelle obserwowała jej sposób postępowania z klientami, zawsze pełen dyskrecji i godności, jej własny ubiór doskonale skomponowany, skromny, ale elegancki. Przychodziła do pracy w nieskazitelnie białych rękawiczkach, doskonale uczesana, a jej nieznaczny obcy akcent dodawał jej tajemniczego uroku. Axelle dość wcześnie postarała się o to, żeby stało się powszechnie wiadome, że Zoja była kuzynką cara. Tego właśnie brakowało jej w sklepie. Kiedy pewnego dnia przyszedł Serge Oboleński, żeby zobaczyć ową hrabiankę, o której wszyscy mówili, spojrzął na nią kompletnie zaskoczony, a Zoi łzy stanęły w oczach.

– Zoju, co ty tutaj robisz?

– Dobrze się bawię.

Nie powiedziała mu nic o tym, jak ciężkie były ostatnie dwa lata, które przeżyła.

– Ależ to niemądre z twojej strony! Zresztą, może cię to rzeczywiście bawi. Musisz koniecznie przyjść do nas na obiad.

Zoja jednak zawsze się wymawiała. Nie miała już ani odpowiednich ubrań, ani czasu, ani nawet tyle energii, żeby bywać w tym towarzystwie. Te czasy już dla niej minęły. Codziennie wieczorem

wracała do dzieci, czekających na nią w mieszkaniu przy Trzydziestej Dziewiątej Ulicy w pobliżu East River, do którego wprowadziła się tuż przed Bożym Narodzeniem. Dzieci chodziły do dobrych szkół, a regularne podwyżki i premie, jakie dostawała od Axelle, wprawdzie nie pozwalały im na zbytnie luksusy, ale wystarczały, żeby zapewnić w miarę wygodne życie. Był to ogromny postęp w porównaniu z dwoma ubiegłymi latami, gdy zarabiała na życie tańcząc w Rewii Fitzhuga. W maju 1932 roku znaleziono zamordowane dziecko Lindbergha. Zoja nadal pracowała u Axelle. W lipcu tego samego roku umarł Florenz Ziegfeld. Zoja zastanawiała się, jakby ułożyło się jej życie, gdyby pracowała dla niego, zamiast tańczyć w Rewii Fitzhuga. Rozmyślała też o tym, co działo się u Jimmy'ego. Dawno już wysłała mu owe sto dolarów, które wsunął jej do torebki, kiedy była w rozpaczliwej sytuacji, ale nigdy potem nie miała od niego żadnych wieści. Był postacią z jej dawnego życia, z kolejnego rozdziału, który został zamknięty. Teraz jej życie wypełniała praca w roli „Hrabianki” u Axelle. Była niezwykle poruszona, gdy Eleonora Roosevelt przysłała się z nią zobaczyć i kupić sobie jakiś odpowiedni strój na czas kampanii. Zoja zachowała ciepłą pamięć o dawnych przyjaciółach Clayтона i wysłała im telegram z gratulacjami, kiedy Franklin wygrał wybory, oraz ofiarowała Eleonorze prześliczną futrzaną czapkę, którą miała włożyć na inaugurację w marcu. Axelle nie mogła wyjść z podziwu. – Doskonale wiesz, jak z nimi postępować, ma chère. Elegancka Francuzka promieniała z zadowolenia. Bardzo lubiła swoją pomocnicę i była oczarowana małym Nicholasem. Chłopiec miał subtelne maniery młodego księcia. Teraz łatwo jej było uwierzyć w to, co książę Oboleński opowiadał któregoś popołudnia o Zoi i córkach cara. Była niezwykłą kobietą, ale urodziła się w niefortunnych czasach. Gdyby wypadki potoczyły się inaczej, poślubiłaby jakiegoś księcia i zamieszkała w jednym z pałaców, w których bywała w dzieciństwie. A tymczasem w Ameryce gwałtownie pogłębiał się kryzys. Wielu ludzi, poza, oczywiście, klientami Axelle, chodziło tego roku głodnych. W Boże Narodzenie Zoja zabrała Nicholasa do kina na „Tarzana” i chłopiec był zachwycony. Po filmie wybrali się razem na herbatę. Nicholas uczęszczał do Trinity School i dobrze sobie w niej radził. Był dobrym uczniem i błyskotliwym dzieckiem. Mając jedenaście lat

twierdził, że zostanie biznesmenem, tak jak jego tatuś. Natomiast Sasza chciała być gwiazdą filmową. Zoja kupiła jej lalkę wyglądającą jak Shirley Tempie i Sasza zawsze nosiła ją ze sobą, razem z Annabelle, która ocalała z pożaru.

Dzieci były szczęśliwe i pogodne mimo trudnego okresu, jaki przeżyły. Wiosną Zoja została asystentką Axelle. Oznaczało to większy prestiż i zwiększone zarobki, a dla Axelle – trochę więcej wolnego czasu. Interes rozkwitał i Zoja namówiła Axelle, żeby pozwoliła Elsie de Wolfe zmienić wystrój sklepu.

– Błogosławiony dzień, w którym przekroczyłaś te progi!

Axelle śmiała się do niej ponad głowami podnieconych klientów, kiedy otworzyły sklep po raz pierwszy po remoncie. Sam burmistrz, Fiorello la Guardia przyszedł na otwarcie. Interesy zaczęły iść jeszcze lepiej niż przedtem. Axelle podarowała Zoi futro z nerek i Zoi aż dech zaparło, kiedy je zobaczyła. Uszyte było z nerek hodowlanych, miało bardzo wyszukany krój i czyniło ją jeszcze bardziej elegancką, kiedy wracała co wieczór autobusem do domu. Nim minął rok, przeprowadziła się z dziećmi do nowego mieszkania. Mieszkali teraz tylko o trzy bloki od Axelle. Zoi było znacznie wygodniej, a dzieci miały swoje własne pokoje. Nicholas miał już ukończone dwanaście lat, zbliżały się jego trzynaste urodziny i nie był już tak obciążony opieką nad Saszą jak kiedyś.

Dwa lata później, w dniu kiedy Sasza ukończyła jedenaście lat, Axelle poprosiła po raz pierwszy Zoję, by udała się z nią do Paryża w sprawach handlowych. Nicholas został zaproszony na ten czas do swojego przyjaciela, a dla Saszy Zoja wynajęła opiekunkę, która miała się nią zajmować podczas jej trzytygodniowej nieobecności. Następnie w atmosferze podniecenia i szampana wypłynęły z Axelle do Paryża na „Queen Mary”. Kiedy statek powoli oddalał się od Nowego Jorku, Zoja stała na pokładzie patrząc na Statuę Wolności i rozmyślała o tym, jak daleko zaszła w ciągu tych siedmiu lat, które upłynęły od śmierci Claytona. Miała trzydzieści siedem lat i czuła się, jakby przeżyła swoje życie kilka razy.

– O czym myślisz, Zoju?

Axelle przyglądała jej się, stojąc w milczeniu przy barierce, kiedy statek wypływał na pełne morze. Zoja ubrana była w piękny kostium, w

kolorze szmaragdowozielonym jak jej oczy, na głowie miała zgrabną niedużą futrzaną czapkę. Kiedy odwróciła twarz do swojej pracodawczyni, jej oczy były prawie tego samego koloru co morze.

– Myślałam o przeszłości.

– Zbyt wiele o niej rozmyślasz, jak sądzę – powiedziała Axelle cicho. Darzyła Zoję ogromnym szacunkiem i często zastanawiała się, dlaczego ta kobieta żyła w takiej izolacji. Klienci szaleli za nią i na biurku Zoi leżała zawsze sterta zaproszeń, zaadresowanych po prostu „Hrabianka Zoja”, ona jednak bardzo rzadko gdzieś wychodziła i mawiała zwykle, że „robiła to wszystko już kiedyś”.

– Może Paryż wniesie jakiś powiew przygody w twoje życie.

Zoja tylko się roześmiała i potrząsnęła głową.

– Miałam już dość przygód w swoim życiu, dziękuję bardzo.

Rewolucje i wojny, małżeństwo z mężczyzną, którego uwielbiała. Po tylu latach wciąż kochała Claytona i wiedziała, że widok Paryża bez niego może być dla niej bolesny. Był jedynym mężczyzną, jakiego kochała, i wiedziała, że nigdy nie spotka nikogo, kto mógłby mu dorównać... może z wyjątkiem jej syna... uśmiechnęła się na tę myśl i głęboko wciągnęła morskie powietrze.

– Przyjechałam do Paryża pracować – powiedziała wesoło do Axelle, by zaraz się roześmiać z tego co usłyszała w odpowiedzi.

– Nie bądź taka pewna.

Wróciły do swoich luksusowych kabin. Zoja rozpakowała bagaże, obok łóżka ustawiła fotografie dzieci. Niczego więcej nie chciała, nic jej już nie brakowało do szczęścia. Położyła się do łóżka z książką i z listą ubrań, które chciały z Axelle zamówić w Paryżu.

## Rozdział trzydziesty piąty

Axelle zarezerwowała pokoje u Ritza, na Place Vendôme, w bardzo dla nich wygodnym punkcie. Hotel olśniewał luksusem, o którym Zoja zdążyła już zapomnieć. Całe lata upłynęły od chwili, gdy brała kąpiel w głębokiej marmurowej wannie. Łazienka u Ritza przypominała jej tę, którą mieli w domu na Sutton Place. Zamknęła oczy i leżała zanurzona w ciepłej wodzie delektując się luksusem. Zamierzały rozpocząć zakupy następnego dnia rano, zaś tego pierwszego popołudnia Zoja wyszła po cichu z hotelu i udała się na samotny spacer. Kiedy tak wędrowała ulicami, wstępowała do parków i snuła się bulwarami, po których kiedyś spacerowała z Claytonem, wspomnienia stały żywo w jej pamięci. Poszła się czegoś napić do Café de Flore, a potem nie mogąc się powstrzymać, wzięła taksówkę do Palais Royal. Patrzyła na budynek, w którym kiedyś mieszkali razem z Eugenią. Od jej śmierci upłynęło już siedemnaście lat; siedemnaście dobrych i złych lat, wypełnionych ciężką pracą i obecnością ukochanych dzieci. Łzy zaczęły wolno spływać po jej policzkach, kiedy tam stała zatopiona we wspomnieniach o babce i swoim mężu. Jakby czekała, aż Clayton podejdzie i dotknie jej ramienia, jak to uczynił tego wieczora, gdy po raz pierwszy się spotkali. Jej pamięć zachowała brzmienie jego głosu, jak gdyby rozmawiał z nią zaledwie kilka godzin temu. Powracające wspomnienia przytłaczały ją, odwróciła się powoli i poszła do Tuileries, gdzie usiadła na ławce i w zamyśleniu przyglądała się zabawom dzieci. Zastanawiała się, jakby to było, gdyby przeniosła się tu z Nicholasem i Saszą, pod pewnymi względami byłoby łatwiej niż w Nowym Jorku, lecz tam jej życie toczyło się weselej, a praca u Axelle dawała jej wiele satysfakcji i nowe perspektywy. Pracowała u niej już pięć lat i podobało jej się to, że zajmowała się zakupami, zamiast obsługiwać niekończące się hordy zepsutych, rozkapryszonych kobiet. Znała je tak dobrze, umiała sobie świetnie z nimi radzić, rozumiała je, otaczały ją przez całe życie. Wiele z nich przypominało jej matkę. Mężczyźni także lubili Zoję. Potrafiła zarówno ubrać ich żony, jak i dobierać stroje ich kochankom, które do niej przyprawdzali. Najdrobniejsza nawet plotka nigdy nie wyszła z jej ust, najmniejsze słowo krytyki, jedynie ciekawe sugestie i rady, w których przejawiał się



jej wyrafinowany smak. Axelle wiedziała, że bez niej sklep nigdy nie odniósłby tak wielkiego sukcesu. Hrabianka, jak ją wszyscy nazywali, nauczyła bogatych nowojorczyków prawdziwie arystokratycznego szyku. Teraz jednak była daleko od tego wszystkiego. Czuli się znowu młoda i jednocześnie smutna, myślała o tym, jak kiedyś w Paryżu jej życie zaczęło się na nowo.

Kiedy łapała taksówkę, żeby wrócić do hotelu, serce jej drgnęło na myśl o tym, że może spotkać księcia Markowskiego. Szukała jego nazwiska w książce telefonicznej, ale nie znalazła go. Obawiała się, że mógł do tej pory umrzeć. Miały już prawie osiemdziesiąt lat.

Axelle zaprosiła ją tego wieczora na obiad do „Maxima”, ale Zoja wymówiła się ze smutkiem w oczach, twierdząc, że jest zmęczona i chce solidnie wypocząć przed ich wyprawą w poszukiwaniu nowych kolekcji. Nie wdawała się w wyjaśnianie, że to miejsce wiąże się dla niej z Claytonem, z którym bywała tam wielokrotnie, i że to obudziłoby zbyt bolesne wspomnienia. W tym mieście musiała nagle pozamykać wszystkie drzwi do przeszłości. Wydawało się, że stamtąd był tylko jeden krok do Sankt Petersburga. Wszystko tak bardzo się przybliżyło. Nie znajdowała się już gdzieś na drugim końcu świata. Była tutaj, pośród miejsc, które poznawała z Eugenią i Władimirem, miejsc, do których zabierał ją Clayton. To miasto sprawiało jej zbyt wiele bólu, pragnęła zająć się znowu pracą, żeby zapomnieć o przeszłości i zagłębić się w teraźniejszości.

Zadzwoiła do Nicholasa i opowiedziała mu wszystko o Paryżu.

Obiecała, że któregoś dnia go tam zabierze. Było to piękne miasto i odegrało w jej życiu ważną rolę. Chłopiec powiedział, że ją kocha i żeby na siebie uważała. Mimo swoich prawie piętnastu lat, nie obawiał się okazywać uczuć. „To właśnie jest ten Rosjanin w tobie”, żartowała sobie czasami. Ostatnio coraz częściej odnajdywała w nim podobieństwo do Mikołaja, zwłaszcza kiedy żartował sobie z Saszy. Rozmowa telefoniczna z córką była taka sama jak zwykle, Sasza dała jej listę wszystkich rzeczy, jakie Zoja miała jej kupić w Paryżu, włącznie z czerwoną sukienką i kilkoma parami francuskich butów. Na swój sposób dziewczynka była tak samo zepsuta jak kiedyś Natalia i prawie tak samo wymagająca. Zastanawiała się, co by o nich pomyślała Maszka i jakie byłyby jej własne dzieci, gdyby dożyła swojego wyjścia

za mąż.

Tej nocy sen miał być dla niej prawdziwą ulgą i ucieczką przed wspomnieniami. Wyprawa do Paryża była znacznie trudniejsza, niż się spodziewała. Przyśnił jej się Aleksy, Maria, Tatiana i reszta rodziny. Obudziła się o czwartej nad ranem i do szóstej nie była w stanie zasnąć. Kiedy zamawiała kruche bułeczki i gorącą kawę, była tak zmęczona, jakby w ogóle nie spała.

– Alors, czy jesteśmy gotowe? – zapytała Axelle, gdy pojawiła się w drzwiach ubrana w piękny czerwony kostium Chanel, z doskonale ułożonymi włosami i z torbą przerzuconą przez ramię. Wyglądała jak prawdziwa Francuzka. Zoja miała na sobie niebieską jedwabną sukienkę i płaszcz, w kolorze nieba, uszyty u Lamina. Swoje rude włosy zebrała w elegancki węzeł. Obie miały bardzo paryski wygląd, kiedy przy asyście odźwiernego wsiadały do taksówki. Zoja uśmiechnęła się słysząc znajomy akcent kierowcy. Był jednym z wielu starszych Rosjan, którzy nadal prowadzili taksówki w Paryżu, lecz kiedy go spytała o Władimira, pokręcił przecząco głową. Nie przypominał sobie, by spotkał kogoś takiego czy słyszał gdzieś jego nazwisko. Po raz pierwszy po wielu latach Zoja rozmawiała po rosyjsku. Nawet z Serge’em Oboleńskim rozmawiała po francusku. Kiedy jechali przez miasto do studia Schiaparelli na nie de la Paix, Axelle przysłuchiwała się śpiewnej melodii ich rozmowy. Ustaliły, że najpierw odwiedzą dom mody Schiaparelli. Kiedy tam weszły, ogarnął je szal zakupów. Zamówiły do swojego sklepu tuziny przeróżnych swetrów i odbyły długą rozmowę z samą projektantką, wyjaśniając potrzeby i preferencje swojej klienteli. Była to niezmiernie interesująca kobieta. Z niemałym zaskoczeniem dowiedziały się, że jest ona tylko o trzy lata starsza od Zoi. Odnosiła spore sukcesy, prawie tak duże jak Gabrielle Chanel w swoim salonie przy rue Cambon. Było to następne miejsce, do którego się udały, a później, tego samego dnia, do domu Balenciagi, gdzie Zoja wybrała kilka sukni wieczorowych i osobiście je przymierzyła, żeby zobaczyć, jak się układają, jak się je nosi, zaś Axelle przyglądała się temu.

– Powinnaś sama zostać projektantką – powiedziała do niej z uśmiechem – masz ogromne wyczucie i doskonały gust.

– Zawsze lubiłam ładne stroje – wyznała Zoja, okręcając się w

misternie uszytych kreacjach hiszpańskiego geniusza. – Już w dzieciństwie Maria i ja przyglądałyśmy się strojom, jakie nosiły nasze matki i ich przyjaciółki – roześmiała się na to wspomnienie – byłyśmy bardzo złośliwe w stosunku do tych, które naszym zdaniem nie miały dobrego smaku.

Axelle dostrzegła, że oczy Zoi zasnuły się mgłą, i spytała delikatnie:

– Czy to była twoja siostra?

– Nie – Zoja szybko się odwróciła. Rzadko zdarzało się, by otwierała przed kimś drzwi do swojej przeszłości, a już na pewno nie przed Axelle, z którą starała się prawie zawsze utrzymywać wzajemne stosunki na gruncie zawodowym, ale tutaj była tak blisko domu, niemal za blisko.

– Była moją kuzynką.

– Jedną z Wielkich Księżniczek? – Axelle była poruszona, gdy Zoja przytaknęła. – Jakie straszne było to wszystko.

Powróciły do interesów. Tego wieczora zjadły kolację w swoich pokojach i przejrzały listę rzeczy, które zamówiły, i tych które im się spodobały, oraz tego, co jeszcze im było potrzebne. Następnego rana pojechały zobaczyć projekty Diora. Niektórych Axelle nie zamierzała kupować, lecz chciała je obejrzeć, po to żeby zrobić szkice dla krawcowej, którą czasem prosiły o wykonanie kopii czyichś projektów. Dzięki jej zdolnościom Axelle mogła znacznie zwiększyć swoje dochody.

Poznały Christiana Diora, który okazał się czarującym mężczyzną. Przedstawiając mu Zoję Axelle podała przy jej nazwisku pełny tytuł. Spotkały tam panią Mendl, dawniej Elsie de Wolfe. Kiedy wyszły, opowiedziała Diorowi wszystko o zawiłych losach Zoi i Claytona.

– To okropne, stracili wszystko w dwudziestym dziewiątym – wyjaśniała, kiedy do środka weszła Wally Simpson z dwoma mopsami. Dior był jej wielbicielem.

Po południu Zoja i Axelle pojechały jeszcze raz zobaczyć się z Elsą Schiaparelli, tym razem w jej luksusowym salonie wystawowym. Zbudowano go dwa lata wcześniej. Zoję bardzo rozśmieszyła kanapa w kształcie ust, którą zaprojektował Salvador Dali. Rozmawiały jeszcze raz o swetrach i kilku modelach płaszczy, które Axelle chciała zamówić. Jednak ich budżet zaczął się raptownie kurczyć. Pieniądze

rozeszły się zbyt szybko, narzekala Axelle, ale wszystko bylo takie cudowne. Mieć do czynienia z modą w owym czasie w Paryżu było niezwykle ekscytujące.

Madame Schiaparelli musiała je opuścić, była umówiona z pewnym amerykańskim fabrykantem. Podobnie jak Axelle był on jednym z jej najlepszych zagranicznych klientów, wyjaśniała, gdy zjawila się asystentka i zaczęła coś jej szeptać po włosku.

– Wybaczą mi panie? Moja asystentka pokaże wam materiały, z jakich mogą być uszyte płaszcze, pan Hirsch czeka w moim biurze. Pożegnała się również z Zoją. Obie panie dalsze szczegóły ustalały już z asystentką. W końcu zamówiły płaszcze w kolorze czerwonym i czarnym oraz popielatym, który Zoja lubiła szczególnie. Zawsze wolała bardziej zgaszone kolory, także w ubiorach, które sama nosiła. Miała na sobie sukienkę w kolorze lila, według projektu Madame Gres, na którą udzieliła jej ogromnego rabatu.

Kiedy godzinę później opuszczały sklep, szedł za nimi wysoki, krzepki mężczyzna z bujną ciemną czupryną, o twarzy takiej, jakby wyrzeźbił ją z marmuru jakiś mistrz. Później zobaczyły go znowu w hotelu przy windzie.

– Ja was, moje panie, nie szpieguję. Tylko też tutaj mieszkam powiedział patrząc na Zoję z chłopięcym uśmiechem, po czym wyciągnął rękę do Axelle. – Wydaje mi się, że kupiła pani kilka rzeczy mojej produkcji. Nazywam się Simon Hirsch.

– Oczywiście – uśmiechnęła się, znowu miała manieri prawdziwej Francuzki, odkąd znajdowała się w Paryżu. Nawet kiedy mówiła po angielsku, jej francuski akcent stał się bardziej wyraźny. – Jestem Axelle Dupuis. – Szybko przypomniała sobie o Zoi. – A to moja asystentka, hrabianka Zoja Ossjupow.

Po raz pierwszy od dawna Zoja poczuła się zakłopotana, kiedy przedstawiono ją w ten sposób. Mężczyzna wydawał się taki bezpośredni i miły, że poczuła się trochę głupio ze swoim napuszonym tytułem. Miał mocny uścisk dłoni, jak człowiek władający własnym imperium. Swoimi ciepłymi brązowymi oczami patrzył prosto w zielone oczy Zoi.

– Czy jest pani Rosjanką? – zapytał, kiedy winda zatrzymała się na ich piętrze.

Zoja przytaknęła, czerwieniąc się lekko. Była to słabość, która chyba już nigdy nie miała jej opuścić.

– Tak – powiedziała miękkim głosem, podziwiając sposób, w jaki się poruszał.

Wyglądało na to, że mieszkał w którymś z sąsiednich pokoi.

Przemierzał przestronne korytarze w sposób, który sprawiał, że zaczęły się wydawać zbyt wąskie. Miał ramiona piłkarza i szedł obok nich z energią młodego chłopaka.

– Ja też. W każdym razie moja rodzina. Ja urodziłem się w Nowym Jorku. – Uśmiechnął się, gdy obie kobiety zatrzymały się przy pokoju Zoi. – Udanych zakupów. Bonne chance! – dodał z kiepskim akcentem po francusku i zniknął w swoim pokoju.

Kiedy weszły do pokoju Zoi i zdjęły pantofle, Axelle skomentowała to spotkanie.

– Boże, ależ mnie bolą stopy... Cieszę się, że go spotkałyśmy. Jego rzeczy mają klasę. Chciałam jeszcze raz je obejrzeć, jak wrócimy. Będziemy potrzebowały więcej płaszczy na następną jesień i, jeśli nie dostaniemy tutaj wszystkiego, możemy kupić kilka modeli u niego, pod warunkiem że poda przyzwoitą cenę.

Uśmiechnęła się. Zoja zamówiła herbatę i ponownie przejrzały listę rzeczy, jakie zamówiły tego dnia. Zostały im jeszcze trzy dni w tym mieście, nim wyruszą na „Queen Mary” z powrotem do Nowego Jorku. Zoja przymknęła oczy.

– Powinniśmy naprawdę pomyśleć o kapeluszach i butach – powiedziała po chwili namysłu. – Musimy dać im coś więcej niż tylko sukienki, stroje wieczorowe i kostiumy... to zawsze było naszą mocną stroną. Całość wymaga dopełnienia.

– Właśnie w tym jesteś dobra. – I nagle zupełnie bez związku, patrząc na tę piękną kobietę w liliowej sukni, której rozpuszczone włosy spływały z wdziękiem na ramiona, dodała: – Przystojny, prawda?

– Kto?

Zoja otworzyła szeroko oczy, nie rozumiejąc. Próbowwała właśnie zdecydować, czy powinny zamówić kapelusze u Chanel, pasujące do jej kostiumików i jej bajecznej, świetnie dobranej do nich biżuterii. Ich klienci posiadali tyle prawdziwych klejnotów, że nie była pewna, czy zrozumieliby, na czym polegał sztych tego, co proponowała Chanel.

– Ten facet od płaszczy, z Nowego Jorku, oczywiście. Gdybym była o dwadzieścia lat młodsza, złapałabym go.

Zoja zaczęła się śmiać na myśl o tym, że Axelle, która ma sposób bycia damy, mogłaby kogoś łapać. Wyobraziła sobie mężczyznę, którego Axelle wciąga siłą do pokoju, i rozśmieszyło ją to jeszcze bardziej.

– Chciałabym zobaczyć, jak się do tego zabierasz.

– Robi wrażenie mocnego mężczyzny, a ma przy tym taką miłą twarz. Podobają mi się tacy.

Był prawie tak wysoki jak Clayton, ale znacznie szerszy w ramionach. Zoja nie poświęciła mu jednak ani jednej myśli, odkąd się rozstali.

– Zabiorę cię ze sobą, jak pójdę oglądać jego produkcję. Może zaprosi cię na kolację, w końcu oboje pochodzicie z Rosji. – Żartowała, choć niezupełnie. Zdążyła zauważyć, w jaki sposób nowy znajomy przyglądał się Zoi, nie kryjąc zaciekawienia, gdy usłyszał jej tytuł rodowy.

– Co ty wygadujesz, Axelle. Ten biedny facet starał się po prostu być uprzejmy.

– Mon oeil! Moje słonko – powiedziała, grożąc Zoi palcem. – Jesteś o wiele za młoda na to, by zachowywać się jak zakonnica. Czy ty w ogóle spotykasz się z kimś czasami?

Pierwszy raz ośmieliła się zadać Zoi to pytanie, ale ponieważ znajdowały się daleko od domu, sklepu i klientów, łatwiej było poruszać tak osobiste tematy.

– Nigdy – Zoja uśmiechnęła się, dziwnie spokojna. – Odkąd umarł mój mąż.

– To straszne! Ile ty masz lat? – zapomniała.

– Trzydzieści siedem. To trochę za dużo żeby zachowywać się jak panienka. W naszym sklepie widzimy ich wystarczająco dużo.

Roześmiała się rozluźniona, Axelle spojrzała na nią z przyjacielską dezaprobatą. Zoja nalała jej herbaty z dzbanka, który jak zwykle stał na srebrnej tacy. Łatwo było się przyzwyczaić do luksusów, jakie były u Ritza.

– Nie bądź śmieszna! – zganiła ją – ja w twoim wieku miałam dwóch kochanków. – Spojrzała figlarnie na swoją młodszą przyjaciółkę. – Niestety, obaj byli żonaci.

Za to od jednego z nich dostała w posagu ten sklep. Taką plotkę

słyszała kiedyś Zoja, ale nigdy nie dawała jej wiary. Może jednak była to prawda.

– W istocie, spotykam się obecnie w Nowym Jorku z pewnym bardzo miłym mężczyzną. Nie możesz spędzić reszty życia między sklepem a dziećmi. Któregoś dnia dorosną, i co wtedy?

Zoja śmiała się, ale rozumiała zatroskanie Axelle.

– Będę więcej pracowała. Nie ma już w moim życiu miejsca na mężczyznę, Axelle. Jestem w sklepie codziennie do szóstej wieczorem, a potem wracam do domu i zajmuję się Saszą i Nickym do dziewiątej albo dziesiątej. Potem się kąpię, czytam gazetę, czasem książkę, i to wszystko. Gdyby ktoś mnie gdzieś zabrał, zasnąłabym nad talerzem. Axelle wiedziała, że Zoja ciężko pracowała, i współczuła jej. W głosie młodszej kobiety zabrzmiał jednak jakiś bolesny ton i Axelle zastanowiła się, czy Zoja zdaje sobie sprawę z tego, że w życiu jej istnieje pewna pustka.

– Może powinnam cię wylać z pracy dla twojego własnego dobra – zażartowała, ale obie dobrze wiedziały, że nic takiego Zoi nie groziło. Stała się zbyt ważna dla Axelle. Nareszcie znalazła bezpieczną przystań.

Następnego dnia rano, kiedy znowu wybrały się do Diora, żeby tym razem omówić kwestie związane z zakupem butów, wpadły na Simona Hirscha, który wysiadł z taksówki w tym samym momencie co one.

– Jak widzę, znowu się spotykamy. Chyba musimy zacząć uważać, bo jeszcze się okaże, że będziecie sprzedawać te same płaszcze co ja. Nie wyglądał jednak na zmartwionego. Rzucił okiem na Zoję, ubraną tym razem w jasnoróżowy lniany kostium, w którym wyglądała niemal dziewczęco.

– Nie ma obawy, panie Hirsch – uspokoiła go Axelle – wróciliśmy, żeby podyskutować o butach.

– Dzięki Bogu.

Wszedł za nimi do środka, a potem spotkali się znowu przy wyjściu i tym razem wszyscy troje się roześmiali.

– Może powinniśmy dopasować nasze rozkłady dnia, żeby zaoszczędzić sobie czasu i pieniędzy na taksówki.

Uśmiechnął się do Zoi, a potem spojrzął na zegarek. Był znakomicie ubrany, na nogach miał ręcznie uszyte angielskie buty, doskonały

garnitur, a zegarek kupił dopiero co u Cartiera.

– Czy mają panie trochę czasu na lunch, czy też jesteście zbyt zajęte? Zoja już miała się jakoś wykręcić, ale Axelle ją uprzedziła i przyjęła zaproszenie. Nie zwlekając ani chwili, Simon Hirsch zawołał taksówkę i podał adres nowego hotelu, który nazwano imieniem Jerzego V.

– Podają tam bardzo dobry lunch. Zatrzymałem się tam poprzednim razem. – Jego twarz spoważniała. Dojeżdżali do hotelu znajdującego się zaraz za Champs Elysees. – Było to zaledwie rok temu, potem pojechałem jeszcze do Niemiec, ale nie wrócę tam w tym roku.

Panowała tam wyjątkowo nieprzyjemna atmosfera.

Nie rozwodził się więcej nad tym. Wysiedli i, kiedy weszli na salę, kelner znalazł im znakomity stolik. Zamówili posiłek i Hirsch zapytał Axelle, czy mają zamiar pojechać z Zoją gdzieś dalej, ale odpowiedziała, że nie mają na to czasu.

– Zanim tu przyjechałem, kupiłem trochę znakomitych materiałów w Anglii i Szkocji do mojej męskiej kolekcji. Piękne rzeczy – powiedział zamawiając wino, a Zoja siedziała w milczeniu, oparta o krzesło i przyglądała mu się. – W Niemczech moja stopa już więcej nie postanie. Nie teraz, gdy dzieje się ta cała historia z Hitlerem.

– Czy sądzi pan, że on naprawdę robi to, co się o nim mówi? – Zoja słyszała o jego wrogim nastawieniu do Żydów, ale nie była całkiem pewna, czy to prawda.

– Dla mnie nie ulega to wątpliwości. Naziści stworzyli atmosferę antysemityzmu, który rozszerza się na cały kraj. Boją się nawet z człowiekiem rozmawiać. Uważam, że może to doprowadzić do dramatycznych następstw.

Jego oczy były spokojne, lecz pełne oburzenia.

– Trudno uwierzyć, że coś takiego się zdarza. Ale tak samo było z rewolucją.

– Ten rodzaj obłędu istnieje zawsze. Moja rodzina uciekła z Rosji z powodu pogromu. Teraz to samo zaczyna się tutaj, w nieco bardziej subtelnej atmosferze. Ale w prześladowaniu Żydów nie może być nic dobrego. – Jego oczy płonęły cichym gniewem. Kobiety słuchały w milczeniu. Wtedy zwrócił się do Zoi. – Kiedy pani wyjechała z Rosji, hrabianko?

– Proszę – zacerwieniła się z zakłopotania – niech mnie pan nazywa



Zołą. W „normalnym życiu” jestem Zołą Andrews.

Ich oczy spotkały się i Zoja zastanawiała się przez chwilę, nim odpowiedziała.

– Wyjechałam z Rosji w 1917 roku. Zaraz po wybuchu rewolucji.

– To musiał być dla pani trudny okres. Czy rodzina wyjechała razem z panią?

– Tylko moja babcia. – Teraz mogła o tym spokojnie mówić. Ale dopiero po dwudziestu latach. – Pozostali moi bliscy zginęli, zanim wyjechałam. A niektórzy – rok później.

Nie wiedział, że mówiła o carze, nie przyszło mu do głowy, że jej koligacje aż tak wysoko sięgały.

– Czy wtedy przyjechała pani do Nowego Jorku?

– Nie – uśmiechnęła się ujmująco, kiedy kelner nalewał jej wina. Był to zamówiony przez Simona znakomity rocznik 1926. – Przyjechaliśmy do Paryża. Mieszkałam tu dwa lata, zanim wyszłam za mąż i wyjechałam z moim mężem do Nowego Jorku.

Zaczął szukać wzrokiem obrączki i ku swojemu rozczerowaniu zobaczył, że nadal ją miała na palcu. Spostrzegła to wszystko Axelle, która znała już Zoję na tyle, by wiedzieć, że nie doda żadnego wyjaśnienia.

– Hrabianka jest wdową – wyjaśniła skwapliwie, a Zoja rzuciła jej niezadowolone spojrzenie.

– Przykro mi bardzo – powiedział grzecznie, ale było oczywiste, jak ważna była dla niego ta informacja. – Czy ma pani dzieci?

– Dwoje: syna i córkę – powiedziała z dumą i zapytała: – A pan, panie Hirsch? – Zadała to pytanie głównie z uprzejmości, kiedy czekali na przyniesienie lunchu, ale Axelle wydawała się bardzo zadowolona z przebiegu konwersacji. – Czy pan też ma dzieci?

– Nie – odparł z uśmiechem i pokręcił z żalem głową. – Nigdy się nie ożeniłem i nie miałem dzieci. Rozbudowywałem firmę przez ostatnie dwadzieścia lat. Większość członków mojej rodziny pracuje u mnie. Mój ojciec przeszedł w zeszłym roku na emeryturę. Myślę, że moja matka w końcu się poddała. Ona uważa, że skoro nie ożeniłem się przed czterdziestką, to nie ma już raczej na to nadziei. Doprowadzała mnie do szału. Jestem jej jedynym synem, jedynakiem, a ona chciała mieć dziesięcioro wnuków czy coś koło tego.

Zoja uśmiechnęła się z rozrzewnieniem. Przypomniały jej się rozmowy z Maszką o dzieciach. Ona chciała mieć sześcioro, a Maszka czwórkę lub piątkę, ale życie żadnej z nich nie potoczyło się tak, jak oczekiwały.

– Pewnie ożeni się pan za kilka lat i zaskoczy ją pięcioraczkami. Simon Hirsch udał, że zakrzuszył się winem, był bardzo rozbawiony.

– Muszę jej o tym powiedzieć, ale to może sprawić, że znowu zaczniesz mnie męczyć.

Przyniesiono ich posiłek: delikatne klopsy dla Axelle i przepiórką dla Zoi. Simon zamówił stek i przeprosił za swoje amerykańskie upodobania.

– Czy mogę zapytać panie o wasze zakupy, czy też to ścisła tajemnica?

Zoja uśmiechnęła się i zerknęła na Axelle, która zdawała się całkiem rozluźniona, i odpowiedziała za nią.

– Nie sądzę, byśmy musiały mieć dużo sekretów przed panem, panie Hirsch, no, może z wyjątkiem naszych płaszczy.

Zaczęli się śmiać i Zoja opowiedziała mu o niektórych zakupach, między innymi o swetrach od Schiaparelli.

– Te jej nowe pulowery są fantastyczne – powiedziała Zoja z zadowoleniem. – I buty, które zamówiliśmy dzisiaj u Diora, są po prostu cudowne.

– Będę musiał przyjść i zobaczyć to wszystko, gdy wam przyślą. Czy widziałyście kolekcję z Szokującego Rózu Elsy Schiaparelli?

Bardzo spodobał mu się ten kolor i chciał go powielić w swojej kolekcji. Ciekaw był, co Zoja myśli o tym.

– Nie wiem właściwie, co o tym sądzić, chyba jest nieco za ostry dla niektórych naszych klientek.

– Ja uważam, że wygląda wspaniale.

Zoja uśmiechnęła się, dziwnie było patrzeć jak ten krzepki mężczyzna, który wyglądał bardziej na piłkarza niż na biznesmena w dziedzinie mody, dyskutował o Szokującym Rózu Elsy Schiaparelli, ale nie ulegało wątpliwości, że jego płaszcze były najlepiej uszyte w całych Stanach Zjednoczonych.

– Mój ojciec był krawcem – wyjaśnił – a przed nim jego ojciec. To on wraz ze swymi dwoma braćmi założył firmę Hirsch and Co., w Lower East Side. Szyli ubrania i płaszcze dla znajomych, aż kiedyś ktoś o nich usłyszał, zaczął przysyłać im zamówienia i mój ojciec zrobił na tym

piekielną forszę. – Rzucił Zoi przeproszające spojrzenie, lecz ona była tak zaciekawiona jego opowieścią, że nie zwracała uwagi na jego język.

– Przeniósł się na Siódmą Aleję i otworzył tam zakład, a kiedy ja wszedłem w ten interes, wywróciłem wszystko do góry nogami, za pomocą czegoś, co nazywa się: Moda. Czasami okropnie kłóciliśmy się o to, a kiedy moi wujowie poszli na emeryturę, wtedy naprawdę wziąłem sprawę w swoje ręce, zakupiłem angielskie wełny w kolorach, które doprowadzały mojego ojca niemal do łez. Zajęliśmy się także płaszczami damskimi i przez ostatnich dziesięć lat zrobiliśmy dość dużo rzeczy, które, moim zdaniem, powinniśmy byli robić od samego początku. Niezłe to wygląda, zwłaszcza teraz, kiedy mój ojciec wycofał się z interesów i ja sprowadzam nowe wzory z Paryża.

– To bardzo interesująca historia, panie Hirsch – rzekła Axelle. Była to jedna z tych historii, na których opierał się sukces ich przybranej ojczyzny. – Pańskie płaszcze są piękne. Znakomicie się u nas sprzedawały.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedział z uśmiechem.

Był mężczyzną, który dobrze się czuł w swojej skórze. Udało mu się odnieść ogromny sukces i dokonał tego prawie wyłącznie własnymi rękami.

– Mój ojciec przysięgał, że doprowadzę firmę do ruiny. To był prawdziwy dowód zaufania do mnie, że poszedł na emeryturę w zeszłym roku i teraz udaje, że już go to nic nie obchodzi. Ale moi krawcy mówili mi, że, jak tylko wychodzę, mój ojciec sprawdza i przewąchuje wszystkie pracownie.

Zoję bardzo rozśmieszył namalowany przez niego obrazek.

– A pani, hrabianko... przepraszam, Zoju... jak pani się znalazła u Axelle? – zwrócił się do niej ponownie.

– Och – zaczęła ze śmiechem, czując się dziwnie swobodnie w jego towarzystwie – była to długa, ciężka droga. – Spoważniała. –

Straciliśmy wszystko podczas krachu na giełdzie – wyznała szczerze. – W jedną noc zostaliśmy zrujnowani, musieliśmy sprzedać nasze dwa domy, moje ubrania, futra, nawet porcelanę.

Po raz pierwszy mówiła o tym w obecności Axelle, ale ona słuchała z całkowitym spokojem, ponieważ знаła tę historię.

– Miałam dwoje dzieci na utrzymaniu i praktycznie żadnych

umiejętności. Tańczyłam w Ballets Russes tutaj w Paryżu, podczas wojny, a potem w innym zespole baletowym, ale w 1929 roku miałam trzydzieści lat i byłam odrobinę za stara, żeby znowu tańczyć w balecie. – Spojrzała na nich z wesołym uśmiechem.

Axelle zupełnie nie była przygotowana na to, co miało teraz zostać powiedziane.

– Zgłosiłam się do Ziegfeld Follies, ale okazało się, że byłam za niska, więc znalazłam pracę jako tancerka w burlesce.

Axelle nieomal szczęka opadła, zaś Simon Hirsch patrzył na Zoję z ogromnym szacunkiem. Niewiele kobiet potrafiłoby wydostać się z biedy tak dzielnie albo przyznać się do tego, że tańczyły w kiepskiej rewii.

– Na pewno cię to zaskoczyło, Axelle. Nikt o tym nie wie. Nawet moje dzieci. To było okropne. Pracowałam tam półtora roku, nienawidząc każdej minuty, którą tam spędzałam, aż pewnego wieczora – na wspomnienie tego w jej oczach zabłyśły łzy – zdarzył się straszliwy pożar, kiedy byłam w pracy, i moje dzieci omal nie zginęły. One są wszystkim, co się dla mnie liczy, wiedziałam, że nie mogę ich nigdy więcej tak zostawiać, więc spakowałam to, co zostało, do dwóch pudeł, przeprowadziłam się do hotelu, pożyczyłam sto dolarów od przyjaciela i zapukałam do drzwi Axelle. Nie sądzę, by kiedykolwiek przyszło jej do głowy, że byłam aż tak zdesperowana – spojrzała z wdzięcznością na przyjaciółkę, która próbowała jakoś pojąć to wszystko, chciało jej się płakać, gdy tego słuchała – i miałam szczęście, zatrudniła mnie. I odtąd tam jestem, już na zawsze, mam nadzieję. – Uśmiechnęła się do swoich dwojga słuchaczy, zwłaszcza do Simona. – I wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

– To całkiem niezwykła historia.

Patrzył na nią ze szczerym zdumieniem, podczas gdy Axelle ukradkiem ocierała łzy koronkową chusteczką.

– Dlaczego wtedy mi o tym nie powiedziałaś?

– Bałam się, że mnie nie zatrudnisz. Gotowa byłam na wszystko, żeby dostać tę pracę. Nawet puszyć się przed tobą swoim tytułem, czego nigdy przedtem nie robiłam. – Roześmiała się wesoło. – Gdybym to zrobiła wcześniej, z pewnością kazaliby mi dygać i uśmiechać się, gdy ktoś wołałby zza sceny: „Oto nasza Hrabianka!”

Uśmiechnęli się słuchając tego opowiadania, ale najbardziej wydało się to zabawne Zoi. Axelle i Simon byli zbyt poruszeni jej historią, żeby ich to śmieszyło. Axelle dobrze wiedziała, jak okrutni potrafiliby być ludzie, gdyby się dowiedzieli, że hrabianka Zoja Ossjupowa tańczyła w rewii.

– Czasami trzeba robić w życiu to, co narzuca konieczność. Gdy mieszkaliśmy tutaj podczas wojny, niektórzy z naszych przyjaciół łapali w parku gołębie i jedli je.

Simon zastanawiał się, przez co jeszcze przeszła. Rewolucja musiała być dla niej brutalnym wstrząsem, kiedy prawie wszyscy jej bliscy zginęli. Z żalem przyjął do wiadomości fakt, że ich wspólny lunch dobiegł końca. Odwiózł obie panie do Ritza, a sam udał się na spotkanie z przedstawicielem pewnej francuskiej fabryki, u którego zamawiał jeszcze jakieś materiały.

Podali sobie ręce z Zoją, stojąc obok taksówki. Kiedy odjechała, długo jeszcze patrzył za nią, myśląc, jak niezwykłą była kobietą. Zapragnął wiedzieć o niej wszystko; w jaki sposób wydostała się z Rosji, jak udało jej się przetrwać, chciał poznać imię jej psa, jej ulubiony kolor, czego się bała w dzieciństwie. Pomyślał, że to szaleństwo, ale wiedział, że w przeciągu jednego popołudnia zakochał się w kobiecie swojego życia. Zajęło mu to aż czterdzieści lat, lecz tego popołudnia w Paryżu, trzy tysiące mil od domu, nareszcie ją znalazł.

## Rozdział trzydziesty szósty

Zoja żałowała, że ich wyprawa zbliża się do końca. Czas upłynął im bardzo przyjemnie. Ostatniego wieczoru po kolacji w „Gordon Bleu” wolnym krokiem wracały do hotelu. Axelle radziła Zoi, żeby się dobrze wyspała, i podziękowała jej za pomoc w wyborze kolekcji na jesień do ich sklepu. Nadał była pod wrażeniem historii, którą Zoja opowiedziała przy obiedzie w „George V”. Obudziło to w niej na nowo szacunek dla jej odwagi.

Nie spotkały już więcej Simona Hirscha i Zoja zastanawiała się, czy był jeszcze w Paryżu. Zostawiła mu liścik z podziękowaniem za lunch i życzeniami szczęścia w dalszej podróży. Później już były bardzo zajęte swoimi sprawami. Dokonały reszty zakupów, nabywając jeszcze więcej kapeluszy, odważyły się też na kupienie pewnej ilości biżuterii Chanel, a ostatniego dnia Zoja wybrała się, aby kupić coś dla dzieci. Znalazła czerwoną sukienkę, o której marzyła Sasza i nabyła piękną kurtkę dla Nicholasasa, kilka książek w języku francuskim, którym chłopiec posługiwał się znakomicie, i nieduży złoty zegarek u Cartiera, przypominający trochę ten, który kiedyś miał Clayton. Kupiła także przepiękną francuską lalkę dla Saszy i śliczną, małą złotą bransoletkę. Większość jej bagaży stanowiły rzeczy, które kupiła dla dzieci, ale zdołała wszystko zapakować i przygotować się do podróży. Następnego dnia rano wypływały z powrotem z Hawru. Było jeszcze coś, co zamierzała zrobić tamtego wieczora, o czym nie powiedziała Axelle. Nazajutrz, według tradycji prawosławnej, była Wielkanoc. Po długim namyśle postanowiła pójść na rezurekcję w rosyjskiej katedrze Św. Aleksandra Newskiego. Niełatwo jej było podjąć tę decyzję. Bywała tam z Claytonem, Władimirem i Eugenią. Nie mogła jednak wyjechać z Paryża nie wróciwszy tam jeszcze raz. Jakby jakaś jej cząstka tam została, od której Zoja nie mogła się uwolnić. Musiała tam wrócić i odnaleźć ją. Nigdy już nie zobaczy swego domu, Sankt Petersburg należał do przeszłości, ale ten ostatni fragment minionego życia był tak bliski, niemal dotykalny, musiała więc zanurzyć się w tej atmosferze po raz ostatni, zanim będzie gotowa wrócić do Nowego Jorku i do dzieci. Powiedziała Axelle dobranoc i o wpół do dwunastej zeszła na dół, zawołała taksówkę i kazała zawieźć się na rue Daru. Kiedy zobaczyła to

miejsce, zaparło jej dech... nic się nie zmieniło... było tak samo jak dawno temu, w wigilię Bożego Narodzenia, kiedy przyszła tam z Claytonem i babką.

Msza była równie piękna jak wtedy. Zoja stała w podniosłym nastroju pośród innych Rosjan, uczestniczyła we mszy, śpiewała i trzymając smukłą świecę ronila ciche łzy tęsknoty za tymi, których już nie zobaczy. Jednocześnie miała uczucie, że są przy niej i, choć było jej smutno, ogarnął ją dziwny spokój. Stała i patrzyła, jak po skończonej mszy ludzie rozmawiali półgłosem na dziedzińcu katedry. Nagle dostrzegła znajomą twarz, postarzałą i zniszczoną, ale z pewnością była to córka Władimira, Jelena. Nie podeszła do niej, by porozmawiać, gdy wychodziła. W cichym skupieniu zeszła po schodach i spojrzała z uśmiechem w nocne niebo, myśląc serdecznie o nich wszystkich, o tych duszach, które kiedyś były częścią jej życia.... Wezwała taksówkę i wróciła do hotelu. Poczula się o wiele starsza niż przedtem i w łóżku płakała, lecz tym razem były to czyste, kojące łzy żalu, który już tylko czasami powracał.

Rano nic nie powiedziała Axelle. Pojechały pociągiem do Hawru i znowu znalazły się na „Queen Mary”. A nawet w tych samych kabinach, które miały przedtem. Zoja stała na pokładzie i patrzyła, jak wypływali, wspominając swoją podróż do Stanów z Claytonem, na statku „Paris”.

– Wygląda pani na smutną...

Wzdrygnęła się, usłyszawszy tuż za sobą ten głos, odwróciła się i ujrzała Simona, który patrzył na nią łagodnie. Axelle została na dole, bo chciała się rozpakować, Zoja natomiast wołała wyjść na pokład i pobyć trochę w samotności ze swoimi myślami. Spojrzała na niego z nieśmiałym uśmiechem. Wiatr rozwiewał mu włosy i wydawał się jeszcze bardziej męski niż przedtem.

– To nie smutek, po prostu wspomnienia.

– Miała pani bardzo ciekawe życie. Podejrzewam, że było nawet bardziej interesujące niż w pani opowiadaniu wtedy podczas lunchu.

– Teraz to już nie ma znaczenia.

Patrzyła w dal, na morze, a on pragnął dotknąć jej ręki, sprawić, by się uśmiechnęła, by poczuła się znowu młoda i szczęśliwa. Była taka poważna, a w tamtej chwili niemal uroczysta.

– Przeszłość ma znaczenie jedynie poprzez to, jakimi nas czyni, panie Hirsch. To nie było łatwe dla mnie przyjechać tutaj znowu, ale cieszę się, że to zrobiłam. Paryż budzi we mnie mnóstwo wspomnień. Pokiwał ze zrozumieniem głową, pragnąc wiedzieć o jej życiu więcej niż to, co mu powiedziała.

– Musiało być tutaj ciężko w czasie wojny. Ja chciałem także pójść do wojska, ale mój ojciec się nie zgodził. Kiedy w końcu się zaciągnąłem, było za późno. Nigdy nie opuściłem Stanów. Zraniłem się w pewnej fabryce w Georgii. Zakłady tekstylne, oczywiście. – Uśmiechnął się z żalem. – Wygląda na to, że nie jest moim przeznaczeniem uciec od branży szmacianej. – Spoważniał znowu. – Ale dla pani życie tutaj musiało być bardzo trudne.

– Było. Ale nasz los był łaskawszy od losu tych, którzy zostali w Rosji. Miała na myśli Maszkę i całą rodzinę. Simon bał się wypytywać dalej. Nie chciał jej spłoszyć. Wydawała mu się taka piękna, kiedy stała tam zatopiona w myślach i kiedy w końcu uśmiechnęła się do niego.

– To wszystko nie jest teraz ważne. Czy udała się panu wyprawa?

– Tak. A pani?

– Znakomicie. Myślę, że Axelle jest bardzo zadowolona ze wszystkiego, co zamówiliśmy.

Zrobiła ruch, jakby zamierzała go opuścić, a on miał ochotę przyciągnąć ją z powrotem, zanim znowu mu ucieknie.

– Czy nie zjadłaby pani ze mną dzisiaj kolacji?

– Musiałabym zapytać Axelle, jakie ona ma plany. Ale dziękuję panu bardzo, przekażę jej pańskie zaproszenie.

Chciała mu wyraźnie dać do zrozumienia, że nie była na każde zawołanie. Bardzo go polubiła, ale on w jakiś sposób sprawiał, że czuła się trochę zakłopotana. W jego oczach widać było napięcie, uścisk dłoni był taki mocny, nawet ramię, którym ją osłonił, gdy statek zaczął się kołysać, wydawało się zbyt potężne, by mu się oprzeć, a ona tego właśnie chciała za wszelką cenę. Prawie żałowała, że znaleźli się na tym samym statku. Nie była pewna, czy miała ochotę widywać go tak często. Kiedy jednak wspomniała Axelle o jego zaproszeniu, przyjaciółka niezmiernie się ucieszyła.

– Zgódź się koniecznie. Sama napiszę do niego karteczkę.

Zrobiła to, a potem zupełnie przeraziła Zoję oznajmiając w ostatniej



chwili, że poczuła się niedobrze z powodu kołysania statku, i zostawiając ją z nim samą w jadalni, czego Zoja wcale nie pragnęła. Ale po paru minutach zupełnie zapomniała o swoich rozterkach i odkryła, że świetnie się bawi w jego towarzystwie. Opowiadał o latach, które spędził w zakładach tekstylnych, w Georgii, i twierdził, że nie mógł niczego zrozumieć, gdy tamtejsi mieszkańcy zwracali się do niego z tym swoim rozwlekłym południowym akcentem, i rewanżował im się, mówiąc do nich w jidysz. Rozśmieszyło ją to, a potem słuchała z zainteresowaniem opowieści o jego rodzinie. Wyglądało na to, że jego matka była tak samo despotyczna jak jej, choć wywodziły się z zupełnie różnych środowisk.

– Może wszystkie Rosjanki są takie same – zażartowała – chociaż moja mama była właściwie Niemką. Dzięki Bogu moja babcia nie była taka. Była niezwykle dobra, wyrozumiała i silna. Zawdzięczam jej życie, z wielu różnych względów. Myślę, że bardzo by ją pan polubił – powiedziała przy deserze.

– Jestem pewien. – I dodał, nie mogąc się powstrzymać. – Jest pani zadziwiająco kobietą. Szkoda, że nie spotkałem pani już dawno. Roześmiała się.

– Może wtedy nie podobałabym się panu tak bardzo. Przeciwności losu czynią człowieka pokorniejszym, może wtedy byłam zbyt rozpieszczona – pomyślała o latach spędzonych na Sutton Place – ostatnich siedem lat wiele mnie nauczyło. Podczas wojny zawsze mówiłam sobie, że jeśli moje życie kiedykolwiek znowu się dobrze ułoży, nigdy nie będę przyjmowała tego za coś pewnego, a jednak tak to potraktowałam. Teraz doceniam wszystko... sklep... moją pracę... dzieci... wszystko, co mam.

Uśmiechał się, czując jak z każdą chwilą jest coraz bardziej w niej zakochany.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś o pani wcześniejszym życiu w Rosji. Spacerowali wtedy po pokładzie. Łagodne kołysanie statku zupełnie jej nie przeszkadzało. Nocne powietrze było chłodne i musiała narzucić na siebie futro. Miała na sobie szarą wieczorową suknię z atlasu, uszytą przez krawcową Axelle, dokładnie według projektu Madame Gres, i kurtkę ze srebrnych lisów, pożyczoną ze sklepu, ale nie miało to przecież żadnego znaczenia, bo wyglądała w niej niezwykle

pięknie.

– Dlaczego chce pan o tym wiedzieć? – Zoja była zaintrygowana. Czy była to czysta ciekawość, czy może coś więcej? Nie wiedziała, czego od niej chciał ten mężczyzna, dawał jej jednak poczucie bezpieczeństwa.

– Chcę wiedzieć o pani wszystko, ma pani w sobie tyle piękna, tajemniczości i siły.

Patrzył na nią z takim przejęciem, że się uśmiechnęła. Nigdy przedtem nikt jej czegoś takiego nie mówił. Nawet Clayton, ale wtedy była taka młoda, prawie dziecko. Teraz była o wiele starsza i mądrzejsza od tamtej dziewczyny.

– Już i tak wie pan o wiele więcej niż ktokolwiek inny – powiedziała z uśmiechem. – Nigdy przedtem nie mówiłam nikomu o tym, że występowałam jako girlsa – i zaczęła się śmiać. Poczula się znowu młoda i skora do żartów. – Biedna Axelle omal nie spadła z krzesła, gdy to usłyszała. Zauważył pan?

Simon śmiał się także.

– Ja też – wyznał. – Nigdy wcześniej nie znałem żadnej tancerki rewiowej.

Nie mogła już opanować śmiechu, gdy to usłyszała.

– A matka pana jaka byłaby zachwycona!

Zaczął krztusić się ze śmiechu. Zoja zaś spoważniała.

– Nie sądzę, by w ogóle mnie mogła polubić. Jeśli pańscy rodzice uciekli z Rosji przed pogromem, to wątpię, żeby przepadali za Rosjanami.

– Czy w dzieciństwie znała pani cesarską rodzinę? Nie chciał jej wprawiać w zakłopotanie, przyznając jej rację, ale rzeczywiście tak było. Jego matka od czasu do czasu wspominała o carze jak o jakiejś znieawidzonej postaci, która była odpowiedzialna za wszelkie zło, jakie ich spotkało, jego ojciec był niewiele bardziej wyrozumiały. Simon zauważył nagle, że Zoja zamilkła i stała ważąc coś w swoich myślach, po czym prawie niedostrzegalnie przytaknęła.

– Tak, znałam – zawahała się, ale tylko przez ułamek chwili – car i mój ojciec byli kuzynami. Dorastałam razem z jego dziećmi.

Opowiedziała mu wtedy o Maszce, o wakacjach w Liwadii i zimach spędzanych z nimi w Pałacu Zimowym.

– Ona była dla mnie jak siostra. Kiedy się o tym dowiedziałam,

chciałam umrzeć... i wtedy przyjechał Clayton... zaraz potem wzięliśmy ślub...

Jej oczy napęłniły się łzami, a on wziął ją za rękę, zdumiewając się jej siłą i odwagą. Było to dla niego tak jakby spotkał kogoś z innego świata, tajemniczego świata, który zawsze go fascynował. Jako młody człowiek czytał książki o carze, ku wielkiemu niezadowoleniu matki, ale zawsze chciał wiedzieć o nim coś więcej. A teraz Zoja mu o nim opowiadała, ożywiając jego postać, ukazując całą jego łagodność i urok. Zobaczył oblicze cara zupełnie inne od tego, które znał.

– Czy sądzi pan, że będzie nowa wojna?

Wydawało się niewiarygodne, aby w ciągu jej życia mogły nastąpić dwie wojny, ale coś jej mówiło, że nie było to niemożliwe, i Simon był podobnego zdania.

– Myślę, że może do tego dojść. Mam jednak nadzieję, że tak nie będzie.

Wyglądał bardzo poważnie, kiedy to mówił.

– Ja też. To było takie straszne, tylu młodych mężczyzn zginęło.

Dwadzieścia lat temu Paryż był zrujnowany, wszyscy poszli na wojnę.

Nie mogę znieść myśli, że mogłoby się to powtórzyć.

Zwłaszcza teraz, gdy sama miała syna. Powiedziała to Simonowi.

– Chciałbym kiedyś zobaczyć pani dzieci.

Uśmiechnęła się.

– Są zabawni; Nicholas to bardzo poważny chłopiec, a Sasza jest bardzo rozpieszczona. Była oczkiem w głowie swojego taty.

– Czy jest podobna do pani? – Wszystko go interesowało, ale ona pokręciła głową. – Nie, zupełnie nie, jest raczej podobna do ojca.

Nie zaprosiła go jednak, by odwiedził ich w Nowym Jorku. Nadal

chciała zachować pewien dystans między nimi. Był swobodny i bardzo miły, ale niepokoiło ją, że tak bardzo się przy nim czuła rozluźniona.

Nie chciała zbyt głęboko pogłębiać tej znajomości.

Odprowadził ją do kabiny znajdującej się obok kabiny Axelle i pożegnał przy drzwiach z tęsknym spojrzeniem, którego Zoja udawała, że nie widzi.

Następnego dnia czekał, kiedy Zoja i Axelle wybrały się na spacer po

pokładzie. Zaproponował grę w warcaby, zaprosił je także na obiad.

Axelle przyjęła to zaproszenie, zanim Zoja zdążyła cokolwiek

powiedzieć, i tak, nim się obejrzały, upłynęło całe popołudnie. Zjadły z nim kolację, a potem Simon zabrał Zoję na dansing. Wyczuwał, że zamknęła się w sobie; zapytał ją, jaka była tego przyczyna, kiedy znowu poszli na spacer po pokładzie. Spojrzała poprzez mrok na jego przystojną twarz i postanowiła być z nim szczerą.

– Może dlatego, że się boję.

– Czego?

Poczuł się dotknięty. Nie chciał jej skrzywdzić. Wręcz przeciwnie.

– Pana. – Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to niegrzecznie.

– Nie. Ale czuję się zmieszany. Czy ja panią przerażam? Nikt mu czegoś takiego nigdy nie mówił.

– Troszkę. Być może, bardziej siebie się boję niż pana. Upłynęło sporo czasu, odkąd zabierał mnie gdzieś jakiś mężczyzna, na lunch, kolację i dansing. – Przypomniała jej się podróż z Claytonem na statku, ale wtedy był ich miodowy miesiąc. – Po śmierci mojego męża nie było w moim życiu nikogo i nie chciałabym tego zmieniać.

Był zaskoczony.

– Dlaczego?

– Och... – Myślała o tym, gdy rozmawiali. – Ponieważ jestem już za stara i muszę teraz myśleć o swoich dzieciach... ponieważ bardzo kochałam swojego męża... myślę, że wszystko to razem.

– Nie mogę podważać pani miłości do męża, ale to głupio myśleć, że jest pani za stara. Jak ja wtedy wyglądałam? Jestem od pani o trzy lata starszy!

Zaczęła się śmiać.

– Ojej... z panem jest zupełnie inaczej. Nigdy przedtem nie był pan żonaty. Ja miałam męża. Mam już to wszystko za sobą.

Była o tym głęboko przekonana. Simon wydawał się niezadowolony.

– To śmieszne! Jak może pani mówić takie rzeczy w tym wieku?

Ludzie zakochują się, i żenią każdego dnia, osoby, które owdowiały albo się rozwiodły... czasem nawet ci, którzy już się ożenili... są wśród nich tacy, którzy mają dwa razy więcej lat od pani!

– Może ja nie jestem tak interesująca jak oni – powiedziała z uśmiechem, a on potrząsnął głową z oburzeniem.

– Ostrzegam panią, nie mam zamiaru siedzieć spokojnie i zgadzać się

na coś takiego. Za bardzo panią lubię. – Spojrzał na nią swoimi ciepłymi brązowymi oczami, a ona poczuła, że ożywa w niej coś, co przez wiele lat pozostawało w uśpieniu. – Nie zamierzam się teraz poddać. Czy ma pani pojęcie, jakie możliwości ma taki mężczyzna jak ja? Dwudziestodwuletnie panienki, które bez przerwy chichoczą, dwudziestopięciolatki, które dostają hysterii dlatego, że nie wyszły jeszcze za mąż, trzydziestojednoletnie rozwódki, które potrzebują kogoś do płacenia czynszu, i czterdziestoletnie kobiety, aż tak zdesperowane, że przerażają mnie śmiertelnie. Przez ostatnie dwadzieścia lat nie spotkałem nikogo, dla kogo bym stracił głowę, i nie mam najmniejszego zamiaru siedzieć tu i pozwalać pani mówić, że jest pani za stara. Czy to jest jasne, hrabianko Ossjupow?

Najpierw się leciutko uśmiechnęła, a potem nie mogła już powstrzymać głośnego śmiechu. Simon mówił dalej:

– Chcę panią ostrzec, że jestem bardzo uparty. Będę chodził za panią i gotów jestem nawet rozbić namiot przed sklepem Axelle. Czy to brzmi przekonująco?

– Ani trochę, panie Hirsch. To brzmi jak kompletny absurd – powiedziała to jednak z uśmiechem.

– Dobrze. Jak tylko wrócę do Nowego Jorku, zamówię namiot. Chyba, że zgodzi się pani zjeść ze mną kolację zaraz po przyjeździe.

– Ale ja już trzy tygodnie nie widziałam swoich dzieci.

Znowu się roześmiała. Musiała się przed sobą przyznać, że bardzo go lubi. Zgodziłaby się ostatecznie, aby zostali przyjaciółmi.

– Więc dobrze – poszedł na kompromis – następnego dnia. Może pani zabrać ze sobą dzieci, może okażą się bardziej rozsądne niż pani. –

Uniósł w górę jej podbródek i spojrzał głęboko w zielone oczy, które skradły mu serce jak tylko ją zobaczył w studio Schiaparelli.

– Niech pan nie będzie taki pewien, bardzo szanują pamięć ojca.

– To dobrze – powiedział cicho – ale pani ma prawo do czegoś więcej w swoim życiu i tak samo oni. Pani synowi potrzebna jest obecność jakiegoś mężczyzny i prawdopodobnie pani córce także.

– Być może.

Nie pozwoliłaby mu na nic, kiedy ją odprowadzał, ale działał przez zaskoczenie delikatnie całując ją w usta.

– Proszę tego więcej nie robić – wyszeptała zupełnie bez przekonania.

– Nie będę – odparł i zrobił to jeszcze raz.

– Dziękuję.

Uśmiechnęła się do niego trochę oszołomiona, w chwilę później zamknęła mu przed nosem drzwi, a on poszedł na górę do swojej kabiny uśmiechając się jak jakiś uczeń.

## Rozdział trzydziesty siódmy

W czasie podróży do Nowego Jorku romans z Simonem rozwijał się mimo jej oporów. Jadali razem obiady, tańczyli, całowali się i rozmawiali. Zoja miała uczucie, że zna go od lat. Mieli podobne zainteresowania, wspólne upodobania i nawet bali się tego samego. Axelle zostawiała ich samych i z daleka tylko przyglądała się rozwojowi wypadków, ciesząc się w duchu. Ostatniej nocy, kiedy stali na pokładzie, Simon popatrzył na Zoję smutno.

– Będę za tobą okropnie tęsknił, Zoju.

– Ja też będę za tobą tęsknić – wyznała – ale to nic.

Za dobrze czuła się w jego towarzystwie i wiedziała, że to musi się skończyć, tylko już nie pamiętała dokładnie, dlaczego. Chciała z nim być, i to jej pragnienie było równie silne jak jego. Ale teraz wracali do Nowego Jorku, każde do swojego własnego życia.

– Nie powinniśmy byli rozpocząć tego, Simonie.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się, gdy to powiedziała.

– Jestem w tobie zakochany, Zoju Ossjupow.

Lubił brzmienie jej rosyjskiego nazwiska i czasami zwracał się do niej dodając jeszcze dla żartu tytuł, którego bardzo nie lubiła używać, a jeśli to robiła, to tylko ze względu na swoją pracę.

– Nie mów tego, Simonie. Będzie nam jeszcze trudniej.

– Chcę się z tobą ożenić – powiedział cicho bez cienia wątpliwości w głosie, a ona spojrzała na niego zbolalym wzrokiem.

– To nie jest możliwe.

– Jest możliwe. Pojedźmy do domu i powiedzmy dzieciom, że się kochamy.

– To szaleństwo. Dopiero co się poznaliśmy.

Nawet nie pozwoliła mu się ze sobą kochać. Bała się, czuła się zbyt związana lojalnością wobec swojego zmarłego męża.

– Dobrze. Poczekajmy tydzień.

Zaczęła się śmiać, a on znowu ją pocałował.

– Wyjdiesz za mnie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo jesteś wariat – śmiała się w przerwach między pocałunkami. –

Może się nawet okazać, że jesteś niebezpieczny.

– Będę bardzo niebezpieczny, jeśli za mnie nie wyjdiesz. Czy widziałś kiedyś stukniętego rosyjskiego Żyda, który dostał ataku szału na angielskim statku? To może być incydent na skalę międzynarodową! Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy się przez ciebie zdenerwują... sądzę, że lepiej będzie, jak powiesz „tak”... – i pocałował ją znowu.

– Simon, proszę... bądź rozsądny... Może gdy zobaczysz mnie znowu w Nowym Jorku, okaże się, że mnie nie cierpisz.

– Powiem ci o tym jutro wieczorem. Jeśli się tak nie okaże, czy wtedy wyjdiesz za mnie?

– Nie!

Chwilami nie można było z nim rozmawiać poważnie, ale też czasem odnosiła wrażenie, że potrafił przeniknąć w głąb jej duszy. Wziął ją zdecydowanie za rękę i spojrzał jej w oczy.

– Nigdy w życiu nie prosiłem żadnej kobiety, żeby za mnie wyszła. Jestem w tobie zakochany. Jestem odpowiedzialnym mężczyzną.

Prowadzę interes. Moja rodzina uważa, że jestem bardzo inteligentny.

Błagam cię, Zoju... kochanie, proszę... wyjdź za mnie.

– Och, Simonie, nie mogę. – Spojrzała na niego nieszczęśliwym wzrokiem. – Co pomyślałyby moje dzieci? One polegają na mnie i nie są przygotowane na to, żeby ktoś inny wchodził w ich życie, ani one, ani ja. Za długo byłam sama.

– Tak, to prawda – powiedział cicho. – O wiele za długo. Ale nie musi tak być. Czy zastanowisz się nad tym?

Zoja zawahała się, ale w końcu zmiękła. Spojrzała mu w oczy.

– Dobrze... ale to nie znaczy, że coś z tego będzie.

To mu wystarczyło. Wiele godzin siedzieli jeszcze na pokładzie i rozmawiali, a rano, o siódmej, Simon zapukał do drzwi jej kabiny.

– Chodź, popatrzymy razem na Statuę Wolności.

– O tej godzinie? – Zoja była jeszcze w koszuli nocnej, a włosy miała zaplecione w długi warkocz. W tym stroju otworzyła mu drzwi. – Która to godzina?

Uśmiechnął się, ujrawszy ją w tej koszuli i z przerzuconym na plecy warkoczem.

– Czas wstawać, leniuchu. Później się ubierzesz. Włóż tylko jakiś



płaszcz i buty.

Zarzucała na siebie futro z norek, które dostała od Axelle, śmiejąc się włożyła szpilki i w tym dziwnym ubiorze wyszła z nim na pokład.

– Gdyby któraś z naszych klientek mnie teraz zobaczyła, już nigdy nie posłuchałaby moich rad.

– No i dobrze. Może wtedy Axelle by cię wyrzuciła, a ja uratowałbym cię przed okrutnym losem.

Zobaczyli wylaniające się kontury Nowego Jorku i oboje zamilkli.

Ukazała się Statua Wolności. Powoli wpływali do portu.

– Jest piękna, prawda?

– Tak.

Wypełniała ją uczucie szczęścia. Złożyła hołd przeszłości i teraz spoglądała jasno w przyszłość. Wszystko wydało jej się nowe i pełne życia, wystarczyło, że patrzyła na to i znowu poczuła w sobie radość. Simon odwrócił się do niej, wziął ją w ramiona i przytulił mocno, kiedy statek dobijał do brzegu. Zoja pospiesznie zbiegła do kabiny, żeby się przebrać i zamknąć swoje walizki. Simon zaproponował, że je odwiezie, ale obie panie podziękowały mu, gdyż czekał już na nie samochód Axelle. Simon szedł z nimi przez pomost niosąc ich ciężkie torby. Nagle Zoja krzyknęła i wyrwała się naprzód. Nicholas czekał na molo, wypatrując jej w tłumie. Wyglądał bardzo młodzieńczo i przystojnie. Pobiegła, wołając do niego, i rzucili się sobie w objęcia. Przyszedł sam, zaprowadziwszy przedtem Saszę do szkoły. Widać było, jak bardzo Zoja kocha tego chłopca. Simon przyglądał im się z odrobiną zazdrości. Pomógł Axelle, a potem poszedł tam, gdzie stała Zoja z synem, i ceremonialnie uścisnął jej rękę, uśmiechając się do Nicholasasa. Czuł, że właśnie takiego syna chciałby mieć, zwłaszcza gdy zobaczył, jak bardzo był podobny do Zoi.

– Dzień dobry, jestem Simon Hirsch – przedstawił się chłopcu. – A ty na pewno jesteś Nicholas.

Nicky uśmiechnął się do niego nieśmiało i roześmiał się.

– Skąd pan to wie?

– Twoja mama mówi o tobie bez przerwy.

– Ja też o niej ciągle mówię – odpowiedział z uśmiechem otaczając ramieniem Zoję, która powiedziała mu, że bardzo urósł. Skończył już piętnaście lat i był tak wysoki jak Clayton. – Dobrze się bawiłaś? –

zapytał, gdy czekali, aż jej bagaże przejdą przez odprawę celną.

– Tak. Ale bardzo za wami tęskniłam.

Potem powiedziała coś po rosyjsku i Nicholas zaczął się śmiać. Simon również i wtedy Zoja zdała sobie sprawę, że zrozumiał, co powiedziała.

– To nie fair!

Powiedziała chłopcu, że ma za długie włosy i wygląda jak duży, rozkoszny kudłacz. Kiedy stali razem w porcie, Nicholas zainteresował się Simonem.

– Pan mówi po rosyjsku, sir?

– Trochę. Moi rodzice pochodzą z Władywostoku. Moja mama mówiła do mnie kiedyś po rosyjsku podobne rzeczy i nadal czasami mi to mówi.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Po chwili nadeszły ich bagaże, już sprawdzone, i Axelle z Zoją mogły pojechać do domu. Simon patrzył, jak odjeżdżały, i długo machał im na pożegnanie. W samochodzie Nicholas zapytał Zoję, znowu po rosyjsku.

– Kto to był?

– Przyjaciel Axelle. Płynęliśmy tym samym statkiem, jak się okazało.

– Wydaje się sympatyczny – powiedział bez większego zainteresowania.

– Jest sympatyczny – odparła Zoja z udawaną obojętnością i zapytała o Saszę.

– Jak zwykle jest niemożliwa. Teraz zachciało jej się psa. Wilczura, jeśli pozwolisz. Mówi, że są teraz strasznie modne i ma zamiar nie dać ci spokoju, dopóki go jej nie kupisz. Ja uważam, że one są okropne. Jeśli mamy mieć psa, to lepiej mopsa albo boksera.

– Kto powiedział, że będziemy mieli psa?

– Sasza tak mówi, a kiedy Sasza czegoś chce, dostaje to.

Axelle uśmiechnęła się. Zoja powiedziała, że nie mogą być wobec niej niegrzeczni, i przeszli z rosyjskiego na francuski.

– Tak uważasz?

– A nie jest tak? – stwierdził Nicholas z uśmiechem.

– Nie zawsze – odparła czerwieniąc się, bo wiedziała, że miał rację.

Sasza była upartym dzieckiem i czasami ulegała jej, żeby mieć wreszcie spokój. – Czy zachowywała się kiedykolwiek inaczej?

Wiedziała, że codziennie wpadał do domu, żeby się z nią zobaczyć,

choć mieszkał u swojego przyjaciela. Nicholas tylko jęknął w odpowiedzi.

– Wczoraj dostała szalu, kiedy nie pozwoliłem jej pójść z koleżanką do kina. Ale nie miała odrobionych lekcji, a poza tym było już późno. Na pewno powie ci o tym, jak tylko wejdiesz do domu.

– Nie ma to jak w domu – powiedziała Axelle z uśmiechem, a Zoja się roześmiała. Bardzo za nimi tęskniła, ale wiedziała już, że teraz będzie tęskniła także za Simonem. Był taki uroczy, kiedy spotkał się z Nicholasem.

– Twój przyjaciel jest bardzo miły – rzekł chłopiec uprzejmie do Axelle, kiedy jechali do domu.

– Ja też tak uważam – odparła spoglądając wymownie na Zoję, kiedy Nicholas opowiadał jej coś dalej. Miała cichą nadzieję, że Zoja spotka się jeszcze z Simonem.

Wkrótce po powrocie do domu dostarczono jej ogromny bukiet róż. Na załączonym do niego bileciku napisane było jedynie: „Nie zapomnij. Kocham, S. „ Zoja czerwieniąc się wsunęła karteczkę do szuflady biurka. Skierowała uwagę na córkę, która, jak było do przewidzenia, skarżyła się na brata.

– Dopiero co weszłam do domu, daj mi chwilę na ochłonięcie! – roześmiała się Zoja.

– Czy możemy kupić psa?

Nicholas miał rację. Przez pierwsze trzy godziny nie było końca różnym żądaniom i ledwie udało się ją zadowolić nową czerwoną sukienką. Natomiast Nicholas był zachwycony swoim zegarkiem, nowymi ubraniami i książkami. Zrzucił Zoi ręce na szyję i ucałował ją serdecznie w policzek.

– Witaj w domu, mamo.

– Kocham cię, skarbie... i ciebie – przyciągnęła do nich Saszę i objęła oboje.

– To co będzie z tym psem? – dopytywała się Sasza, a jej mama się śmiała.

– Zobaczymy, Sasza... zobaczymy...

Zadzwoił telefon i wybawił ją z kłopotu, poszła odebrać. Dzwonił Simon, więc podziękowała mu za róże, a potem opowiedziała ze śmiechem o tym, jak Nicholas i Sasza kłócili się o legendarnego już

wilczura.

– Czy zaczęłaś za mną tęsknić?

– Bardzo. Myślę, że przydałby mi się tutaj jakiś rozjemca.

– Świetnie. Proszę przyjąć mnie na to stanowisko. Co z jutrzejszą kolacją?

– A co z tym psem? – odparła śmiejąc się i Simon poczuł się zmieszany, słysząc wesoły gwar po drugiej stronie.

– Masz zamiar zjeść psa?

– To sympatyczny pomysł – roześmiała się znowu, czując nagle, że tęskni za nim bardziej, niż się spodziewała.

– Przyjadę po ciebie o ósmej.

Ogarnęła ją panika. Co powiedzą dzieci? Co sobie pomyśli Nicholas?

Miała ochotę zadzwonić do Simona i powiedzieć, że zmieniła zdanie, ale nawet gdy dzieci już poszły spać, nie mogła się na to zdobyć.

Zjawił się dokładnie o ósmej następnego wieczora i zadzwonił do drzwi w chwili, gdy Zoja wychodziła ze swojego pokoju. Jej mieszkanie było nieduże, ale urządzone z prostotą i elegancją. Mieli niewiele rzeczy, ale w tamtym czasie nie potrzebowali niczego więcej. Stał w drzwiach i wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle. Zoja zaprosiła go do środka i zobaczyła, że Sasza przygląda mu się dość natarchywie.

– Kto to? – zapytała, wyprowadzając matkę z równowagi swoją nieuprzejmością. Nicholas miał rację.

– To jest pan Hirsch, a to moja córka Aleksandra.

– Jak się masz? – uścisnęła jej rękę z powagą, a potem przywitał się z Nicholasem, który właśnie nadszedł.

– O, dzień dobry... miło pana widzieć.

Nicholas uśmiechnął się domyślnie i, kiedy wyszli, powiedział Saszy, że zachowywała się okropnie. Zoja uśmiechnęła się, kiedy zamknęła drzwi i czekała z Simonem na windę. Martwiło ją trochę to, co dostrzegła w oczach Saszy. Jakby dziewczynka wiedziała, po co Simon przyszedł. On powiedział Zoi, że spodziewał się takiego przyjęcia i że nie bardzo się tym przejął.

Zabrał ją na kolację do „21”, a potem spacerowali długo, jak przedtem na statku. Później odprowadził ją i pocałował, kiedy byli o parę kroków od domu.

– Nie mogę wytrzymać bez widywania się z tobą. Cały dzień dzisiaj

czekałem na ten wieczór jak dziecko na Gwiazdkę. Może zabralibyśmy gdzieś jutro dzieci?

Następnego dnia była niedziela i Zoja nie musiała iść do pracy. Spodobał jej się ten pomysł, ale jednocześnie obawiała się reakcji Saszy, a nawet tego, co powie Nicholas, choć nigdy nie był niedelikatny.

– Co o tym pomyślą dzieci?

– Pomyślą, że mają nowego przyjaciela. Czy to takie straszne?

– Mogą znowu być dla ciebie niegrzeczne.

– Poradzę sobie z tym. Zoju, wydaje mi się, że nie rozumiesz. Ja tego bardzo chcę. To, co powiedziałem na statku, to nie były żarty. Ja cię kocham.

– Skąd to wiesz? Jak możesz być taki pewien?

To, co czuła do niego, nadal budziło w niej lęk, ale ona także tęskniła za nim przez cały dzień i nie mogła znieść myśli o rozstaniu, nawet na jeden dzień. Jak to się mogło stać? Jak to mogło się jej przydarzyć po tych wszystkich latach? Wiedziała, że ona także jest w nim zakochana. Ale nie wiedziała, co ma z tym zrobić. Wciąż miała ochotę uciec, tylko nie była pewna, czy jeszcze potrafi.

– Po prostu daj temu szansę, kochanie. – Pocałował ją jeszcze raz. – Przyjadę po was w południe.

– Jesteś bardzo odważnym mężczyzną.

Uśmiechnął się do niej wesoło.

– Nie tak odważny jak ty, moja kochana. Do zobaczenia jutro. Może się gdzieś przejedziemy.

– Dzieciom się to bardzo spodoba.

I kiedy przyjechał rano, mimo marudzenia Saszy, że chciałyby się pobawić lalkami, pojechali na Long Island i wszyscy byli zachwyceni. Nicholas omal nie zemdlał na widok samochodu Simona, nowiutkiego cadillaca, w szlachetnym odcieniu ciemnej zieleni, z białym oponami i wszelkimi możliwymi udogodnieniami. Nigdy nie widział czegoś równie pięknego. Simon zaprosił go, by usiadł przy nim na przednim siedzeniu.

– Chciałbyś go poprowadzić, synu?

Zaczekał, aż wyjechali na boczną drogę i oddał mu kierownicę. Chłopiec był w siódmym niebie. Zoja siedziała z Saszą z tyłu i

przyglądała się Nicholasowi. Simon miał rację. Chłopiec potrzebował mężczyzny w swoim życiu. Potrzebował przyjaciela. Nawet Sasza zachowywała się lepiej, niż się jej to zdarzało w ciągu ostatnich miesięcy, i kiedy jechali z powrotem do domu flirtowała z Simonem bez opamiętania.

Zaprosił ich na lunch do pewnej małej restauracji. Jedli krewetki i ostrygi, a na deser lody.

– No i jak, hrabianko Ossjupow – żartował, siedząc z nią w pokoju gościnnym, kiedy dzieci już poszły spać. – Jak mi poszło? Zdałem czy oblałem?

– A jak myślisz? Nicholas nigdy w życiu nie był taki szczęśliwy, a Sasza, jak sądzę, jest w tobie zakochana.

– A jej mama?

Patrzył na nią poważnie, zaglądając jej w oczy, podczas gdy ona unikała jego wzroku. W końcu powoli odwróciła się do niego.

– No i co powiesz, Zoju... czy wyjdiesz za mnie?

Czuła się jakby miała serce w gardle, gdy wyciągając do niego rękę wyszeptwała:

– Tak... tak, Simonie, wyjdę za ciebie.

Wyglądał jakby miał za chwilę zemdleć i Zoja zaczęła się zastanawiać, czy nie zwariował. To, co zrobili, wydawało jej się szaleństwem, prawie nie знаła tego mężczyzny, ale wiedziała, że nie może bez niego żyć.

– Naprawdę? – zapytał cicho, bojąc się, że się przesłyszał, i przyciągnął ją do siebie, a ona uśmiechnęła się do niego przestraszona.

– Tak, Simonie, naprawdę.

## Rozdział trzydziesty ósmy

Axelle była zaskoczona, kiedy Zoja powiedziała jej, że wychodzi za mąż. Miała nadzieję, że coś wyniknie z tego spotkania, ale nie spodziewała się, że nastąpi to tak szybko. – A co na to dzieci? – zapytała, a Zoja spoglądała na nią, sama jeszcze zaskoczona tym co zrobiła.

Ustalili, że zaczekają trochę, żeby dzieci mogły się do niego przyzwyczaić. Zoja także nie była przygotowana na to, żeby natychmiast brać ślub. Simon rozumiał, że po tylu latach spędzonych samotnie, musiała się oswoić z sytuacją i gotów był dać jej tyle czasu, ile potrzebowała, byleby nie przekraczało to granic rozsądku.

– Nie powiedzieliśmy im jeszcze. Ale chyba go polubiły. Opowiedziała Axelle o ich wycieczce na Long Island. To było naprawdę zawrotne tempo. Znali się zaledwie kilka tygodni, a jednak Zoja wiedziała, że Simon jest dobrym człowiekiem, wiedziała także, że go kocha.

Po południu Simon wpadł na chwilę do ich sklepu i przyniósł kwiaty dla Zoi i dla Axelle, która wzruszyła się, że o niej pamiętał, a on podziękował jej za to, że była orędowniczką jego sprawy.

– Tylko niech mi pan jej nie ukradnie zbyt szybko, panie Hirsch. Martwiła ją bardzo ta myśl, ale oboje zapewnili ją, że to potrwa jeszcze jakiś czas. Simon nie przedstawił jej swoim rodzicom. Poza tym mieli jeszcze wiele innych spraw do załatwienia. Pod koniec tygodnia wiedząc, że dzieci Zoi są u przyjaciół, zjawił się niespodziewanie w sobotę rano. Przyniósł ogromny bukiet fiołków i uśmiechał się tajemniczo.

– Wydaje się pan bardzo z siebie zadowolony, panie Hirsch.

– A dlaczego miałbym nie być? Tak się składa, że zaręczyłem się z bardzo piękną, cudowną kobietą.

Pocałował ją, a ona wzięła fiołki i poszła do kuchni, żeby je włożyć do wody. Wszedł tam za nią i zobaczył, że wybrała pięknie rżnięty, kryształowy wazon. Kupił go, ponieważ przypominał jej wazon, do którego jej matka wkładała zawsze kwiaty z ich ogrodu przy pałacu na Fontance.

– Są śliczne, prawda?

Cofnęła się o krok, żeby im się przyjrzeć, i znalazła się w objęciach

Simona, który odwrócił ją delikatnie do siebie i pocałował.

– Nie tak śliczne jak ty.

Stała wtulona w niego przez chwilę, czując jego ciepło i łagodność, a on gładząc ją po włosach, wyszeptał:

– Przejedźmy się gdzieś. Dzień jest taki piękny. Wiedział, że nie musiała się spieszyć, by wrócić do dzieci.

– Cudowny pomysł.

Uśmiechnęła się do niego radośnie. Simon wrócił do pokoju, ona tymczasem poszła się przebrać w luźne białe spodnie i kaszmirowy sweter. Oglądał fotografie w srebrnych ramkach rozmieszczone po całym pokoju i przed jedną zatrzymał się zdumiony. Przedstawiała dzieci Romanowów, które wisiały jakby do góry nogami i robiły śmieszne miny do osoby fotografującej. Kiedy przyjrzał się zdjęciu uważniej, spostrzegł, że jedną z dziewcząt w stroju tenisowym była, dużo wtedy młodsza, Zoja, i trafnie odgadł, że obok niej stała Maria, a dalej jej siostry. Wciąż go zdumiewało, gdy pomyślał, jaki kawał historii przeżyła Zoja. Ale teraz należało to do odległej przeszłości. Nawet zdjęcia postrzępiły się i wyblakły. Były też inne fotografie: Saszy i Nicholasa, i kilka zdjęć Claytona. Wyglądał na nich bardzo dystygowanie i Zoja stojąca obok niego robiła wrażenie bardzo szczęśliwej.

– Co ty tutaj robisz tak cicho?

Uśmiechnęła się wchodząc do pokoju. Wyglądała bardzo pięknie w swoich luźnych spodniach i swetrze. Czasami wydawała mu się podobna do Katarzyny Hepburn.

– Oglądałem twoje zdjęcia. Nicholas jest bardzo podobny do ojca, prawda?

– Czasami – uśmiechnęła się. – Jest też trochę podobny do mojego ojca.

– Wzięła fotografię swoich rodziców oprawioną w duże srebrne ramy i podała ją Simonowi. – I trochę do mojego brata. – Wskazała na inne zdjęcie, które stało na stole.

Simon przytaknął:

– Biję z nich wszystkich dostojęstwo.

Jak zawsze, jej arystokratyczni przodkowie robili na nim duże wrażenie, ale Zoja uśmiechnęła się smutno.

– To było tak dawno temu. – Aż trudno było uwierzyć, że minęło



dwadzieścia lat, odkąd po raz ostatni widziała swoich rodziców. – Czasami myślę, że człowiek powinien żyć tylko w teraźniejszości. Przeszłość jest tylko ciężkim bagażem, który dźwigamy. A jednak... – spojrzała na niego oczami pełnymi mądrości – tak trudno jest to czasem zostawić... zapomnieć... i pójść dalej...

Dlatego właśnie chciała zaczekać trochę, nim wezmą ślub. Wiele jeszcze było rzeczy, które musiała zostawić za sobą. Wciąż miała do zrobienia ogromny krok z przeszłości w przyszłość. Simon rozumiał to i nie ponaglał jej. Wiedział, że potrzebowała trochę czasu, i gotów był uzbroić się w cierpliwość, zwłaszcza teraz, kiedy już zgodziła się wyjść za niego. Otrzymawszy taką obietnicę, mógł poczekać i pomóc jej przejść w ich wspólną przyszłość.

– Myślę, że, kiedy jesteśmy gotowi, potrafimy zostawić to, co mamy do zostawienia. A skoro mowa o gotowości, czy jesteś już gotowa do wyjścia z domu?

– Tak, proszę pana.

Wzięła ciemnoniebieski blezer i chwilę później siedzieli w samochodzie, jadąc w kierunku miejsca, które Simon określił jako „tajemniczy cel podróży”.

– Czy to znaczy że zostałam uprowadzona, panie Hirsch?

Jadąc drogą oświetloną słońcem, Zoja śmiała się i czuła się bardzo młoda. Było jej przyjemnie i beztrosko, kiedy nie musiała się martwić o dzieci. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy były w pobliżu, wtedy stawała się poważniejsza i o wiele mniej romantyczna. Teraz nie musiała myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że cieszy ją obecność Simona. On też się zaczął śmiać, gdy zasugerowała takie wyjaśnienie.

– Uprowadzić cię, to najlepszy pomysł, o jakim słyszałem, odkąd się poznaliśmy. Kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że powinienem był to zrobić w Paryżu.

Jechali wzdłuż Merrit Parkway w kierunku Connecticut. Opowiadał jej o swoich interesach i pomysłach dotyczących kolekcji jesiennej.

Uwielbiał z nią rozmawiać o wszystkim i o niczym. Mówił jej o swoim marzeniu, żeby któregoś dnia zgromadzić trochę dobrych obrazów. Szczególnie lubił impresjonistów. Zoja opowiedziała mu o kolekcji, jaką mieli jej rodzice w Rosji.

– Nie wiem, czy „przedmioty” mają jeszcze dla mnie takie znaczenie.

Zabawne, kiedyś przyjmowałam wszystkie piękne rzeczy, które mnie otaczały, jako coś oczywistego. Kiedy jednak wszystko straciłam, a potem musiałam sprzedać wszystko, co posiadaliśmy z Claytonem, przestało to dla mnie być takie ważne. – Spojrzała na Simona kochającymi oczami i uśmiechnęła się. – Ludzie są dla mnie teraz o wiele ważniejsi.

W milczeniu wyciągnął rękę przez stół, przy którym jedli lunch, i dotknął jej palców, ich dłonie splotły się ze sobą. Niedługo potem wyszli i jechali dalej rozmawiając po cichu. Było już późne popołudnie. Zoja czuła się rozluźniona, oparła głowę na jego ramieniu.

– Zmęczona?

Przeciągnęła się, ziewnęła i śmiejąc się potrząsnęła głową.

– Nie, po prostu szczęśliwa.

– Niedługo będziemy wracać, ale najpierw chciałbym ci pokazać jedno miejsce.

– Jakie?

Uwielbiała być z nim. Wszystko, co się z nim wiązało, sprawiało, że czuła się bezpieczna, kochana i szczęśliwa.

– To sekret.

Zaśmiała się. W pół godziny później otworzyła oczy ze zdumienia, gdy zobaczyła to miejsce. Była to mała angielska chata, stojąca przy jednej z bocznych dróg, którymi Simon czasem jeździł. Otoczona była płotkiem ze sztachet, ukryta w cieniu ogromnych rozłożystych drzew. Zewsząd roztaczał się odurzający zapach, wydzielany przez niezliczone krzewy różane, który poczuli wysiadając z samochodu.

– Do kogo należy ten dom, Simon?

– Chciałbym móc powiedzieć, że do mnie. Należy jednak do pewnej uroczej angielskiej damy, która zamieniła go w gospodę, by w ten sposób mieć pieniądze na jego utrzymanie. Odkryłem go wiele lat temu i czasami przyjeżdżam sobie tutaj, żeby odsapnąć od szaleństwa Nowego Jorku. Wejdzmy do środka, chciałbym, żebyś ją poznała. Nic nie powiedział Zoi, ale zadzwonił do pani Whitman wcześniej rano i uprzedził ją o ich przyjeździe. Kiedy weszli do przytulnego saloniku, który miał ściany obite uroczym angielskim perkalem w kwiaty, czekała tam na nich prawdziwa angielska herbata. Srebrny dzbanek przyciągał wzrok swoim blaskiem, a na stole ustawione były talerze

pełne malutkich kanapek i ciasteczek, i czegoś, co pani Whitman określała jako biskwity. Była to wysoka, szczupła kobieta o siwych włosach. Miała typowo angielski akcent, roześmiane oczy i długie zgrabne dłonie, nieco zniszczone od pracy w ogrodzie. Widać było wyraźnie, że spodziewała się Simona i Zoi.

– Jak miło pana znowu widzieć, panie Hirsch.

Uścisnęli sobie wesoło ręce i pani Whitman spojrzała z aprobatą na Zoję, kiedy Simon przedstawił ją jako swoją narzeczoną.

– To dopiero wspaniała nowina! To znaczy, że niedawno się zaręczyliście?

– Bardzo niedawno – odpowiedzieli zgodnie i zaczęli się śmiać. Pani Whitman tymczasem nałala wszystkim herbaty do filiżanek i zaprosiła, by usiedli wygodnie w jej małym saloniku. Był tam ładny kominek i pełne wdzięku antyki, przywiezione przez nią z Anglii pięćdziesiąt lat temu. Mieszkała kiedyś w Londynie, potem w Nowym Jorku, a kiedy umarł jej mąż, przenieśli się na wieś. Natychmiast rozpoznała akcent Zoi, a sposób bycia upewnił ją, że było w niej coś niezwykłego, co nie rzuciło się w oczy od razu. Pomyślała, że wybór Simona był bardzo dobry i mądry, i ku rozbawieniu Zoi, powiedziała to na głos. Potem przyniosła butelkę najlepszej sherry, żeby uczcić ich zaręczyny. Kiedy wznosiła za nich toast, za ogrodem właśnie zachodziło słońce! Wkrótce potem wzięła swój kieliszek i po cichu opuściła pokój rzucając Simonowi dyskretne spojrzenie. Mieszkała, na tyłach domu. Kiedy miała jakichś ważnych gości, zostawiała salonik do ich dyspozycji, jak również dwie sypialnie znajdujące się na górze. Sypialnie połączone były dużą łazienką w stylu wiktoriańskim i stały w nich piękne łóża z baldachimami, przysłane na jej zamówienie z Anglii.

– Chodź obejrzyć. – Simon powiedział właśnie Zoi o tym wszystkim, ale ona się wahała.

– Czy ona nie będzie miała nam tego za złe, Simonie? Zastanawiała się, gdzie pani Whitman mogła się podziać. Wyszła już tak dawno temu, ale tak miło się jej siedziało w tym wesołym pokoju, popijając sherry z Simonem, że nie miała za złe gospodyni, że zostawiła ich samych. Ale pójście na górę bez jej zaproszenia wydawało jej się czymś niestosownym.

– Nie bądź głuptasem. Znam ten dom jak swoją kieszeń.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do pięknych sypialni. Zoja uśmiechnęła się, kiedy je zobaczyła. Światła były zapalone i łóżka pościelone, jakby lada chwila mieli nadejść jacyś goście. Widać było jednak, że nikt tam nie mieszkał, i kiedy Zoja odwróciła się zamierzając zejść na dół, Simon przyciągnął ją do siebie śmiejąc się serdecznie i pocałował ją mocno, aż zabrakło jej tchu. Kiedy ją puścił, włosy miała w nieładzie i wyglądała bardzo seksownie. Wtedy, uśmiechając się szelmowsko, pociągnął ją za sobą na łóżko a Zoja krzyknęła zaskoczona, próbując umknąć jego pieścizotom.

– Simon! Co sobie pomyśli pani Whitman! Przestań!... całe łóżko będzie skotłowane!... Simon!...

Ale on tylko się z niej śmiał. Usiadł pod baldachimem i śmiał się dalej.

– Mam właśnie taką nadzieję.

– Simon! Wstaniesz czy nie?

Ona też się z niego śmiała. Wydawał się zupełnie nieskrępowany, kiedy całkowicie ubrany siedział na łóżku w jednym z pokoi gościnnych pani Whitman.

– Nie wstanę.

– Jesteś pijany!

Prawie nic nie pił przez cały dzień, odrobinę sherry, której wypił o wiele za mało jak na to, żeby się upić. Widać było jednak, że świetnie się bawił. Przyciągnął do siebie Zoję.

– Nie jestem pijany. Ale miałaś rację dziś rano mówiąc o porwaniu.

Pomyślałem, że wyjazd na dzień lub dwa może ci dobrze zrobić. Więc jesteśmy tutaj, bezpiecznie schowani w mojej sekretnej kryjówce.

Wydawał się niezmiernie z siebie zadowolony, a Zoja patrzyła na niego zdumiona.

– Mówisz poważnie? Zostajemy tutaj?

– Ja tak, i ty też. – Po raz pierwszy wydał się nieco zakłopotany. – Pozwoliłem sobie przywieźć parę rzeczy, których mogłabyś potrzebować.

Spojrzała na nią pokornie, a ona uśmiechnęła się do niego pełna podziwu.

– Simon, jesteś nadzwyczajny!

Skoczyła jak dziecko na łóżko obok niego, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Jak się okazało, kupił jej piękną atlasową koszulę i

peniuar, dobrane do całości ranne pantofelki oraz wszelkiego rodzaju kremy, toniki i olejki do kąpieli, sądząc, że sprawi tym Zoi przyjemność.

Kupił jej także szminkę w dwóch odcieniach, szczoteczkę do zębów i pastę, taką samą, jaką widział kiedyś u niej w łazience. Spakował to wszystko do niewielkiej walizki, którą parę chwil później przyniósł na górę. Rozłożył jej zawartość na podłodze w sypialni obok, a Zoja oglądała wszystko po kolei, ciesząc się z każdej rzeczy. Nagle odwróciła się do niego.

– Simon, co pomyśli o tym pani Whitman? Ona wie, że nie mamy jeszcze ślubu.

Zwłaszcza, że wyglądała na osobę z zasadami, choć Simon wiedział, że była o wiele mniej sztywna, niż się mogło zdawać, i miała niesamowite poczucie humoru. Zresztą kto mógłby oprzeć się dwojgu ludziom tak zakochanym jak oni.

– Co miałyby pomyśleć, Zoju? Mamy osobne sypialnie.

Zoja przytaknęła i wróciła do rozpakowywania reszty skarbów, które Simon przywiózł dla niej, i była wzruszona, gdy pośród nich odkryła duży flakon swoich ulubionych perfum.

– O mój Boże, Simon, czy jest coś, o czym nie pomyślałeś?

– Mam nadzieję, że nie.

Przytulił ją jeszcze raz i poszedł przynieść resztę kanapek, które jedli na dole, oraz po szklance sherry dla każdego. Zaproponował, że zabierze ją gdzieś na obiad, ale Zoja twierdziła, że nie jest głodna.

– To świetnie.

Rozpalił ogień w kominku i usiedli wygodnie w pobliżu jedząc kanapki z rzeżuchą i delikatne angielskie ciasteczka pani Whitman, które, zdaniem Zoi, były dokładnie takie same jak ciastka, które w dzieciństwie dostawała od swojej babki.

– To wszystko jest doskonałe, prawda?

Pochyliła się i pocałowała go, a Simon patrzył na nią szczęśliwy.

Niczego więcej nie pragnął.

Około dziewiątej Zoja opuściła pokój Simona i poszła przygotować się do snu. Oboje byli bardzo zmęczeni i Simon wyczuwał, że Zoja była nieco zdenerwowana. Słyszał, jak napełniała wodą wannę, i dopiero po długim czasie znowu dotarły do niego odgłosy jej obecności w pokoju.

Zastanawiał się, co robi i jak wygląda w atłasowej koszuli, którą jej podarował. Była odpowiednia na noc poślubną i tak właśnie wyobrażał sobie ich sekretny weekend. Podeszedł wolnym krokiem do drzwi i delikatnie zapukał. Drzwi się otworzyły, a jemu zaparło dech w piersiach, kiedy ją zobaczył. Atłasowa koszula doskonale obrysowywała jej kształty, rude włosy spływały miękko na ramiona, a naga szyja o jasnej karnacji budziła w nim pragnienie, by jej dotknąć.

– O Boże... wyglądasz przepięknie...

– Ta koszula jest piękna, Simonie... dziękuję ci...

Była onieśmielona, cofnęła się w głąb pokoju i spojrzała na niego. Nigdy nie widział kogoś tak pięknego. Wyglądała dostojnie i uwodzicielsko zarazem. Jedyne, czego pragnął, to wyciągnąć ramiona i objąć ją mocno. Ale nie śmiał tego zrobić, Zoja była jak krucha porcelanowa figurka, podobna do tych, które stały w salonie pani Whitman.

– Zoju...

Uśmiechnęła się do niego. Nie był to uśmiech dziewczyny, lecz kobiety. Kobiety, która pokochała go głęboko, wdzięczna za jego czułość, opiekuńczość i dobroć, jaką ją obdarzał. Patrzyła na niego myśląc o tym, jakim błogosławieństwem był dla niej dzień, w którym go spotkała.

– Może wejdiesz na chwilkę?

Powiedziała zachrypniętym głosem i odsunęła się nieco na bok. Przesząpił próg czując się jak jakiś młody chłopak, lecz zaraz potem jego męskość odezwała się z wielką siłą i zmiotła całą jego powściągliwość. Przygarnął ją do siebie i kiedy tulił, koszula zsunęła się z jej ramion. Jeszcze jedno dotknięcie i koszula zsunęła się do pasa, a potem spadła z bioder i Zoja stała przed nim naga.

– Kocham cię bardzo.

Z trudem wydobywał z siebie słowa, całując jej usta, jej szyję, piersi, a potem jego usta wędrowały po całym jej ciele, aż wreszcie jednym potężnym ruchem uniósł ją i położył na łóżku. W chwilę później leżał przy niej. Kochał się z nią tak, jak tego pragnął od pierwszej chwili ich spotkania. W pokoju panowała cisza. Leżeli nareszcie razem, szczęśliwi, nasyceni i związani na całe życie. Była taką właśnie kobietą, jakiej pragnął, o jakiej zawsze marzył.

– Kocham cię, Simonie.

Wypowiadając te słowa miała pewność, że kocha go tak, jak jeszcze żadnego mężczyzny w swoim życiu. Była dojrzałą kobietą i oddała mu się na zawsze. Należała do nich teraźniejszość i przyszłość, a przeszłość stała się jedynie mglistym wspomnieniem. Poszli z powrotem do pokoju Simona i pogasiwszy światła, leżeli w łóżku patrząc, jak ogień w kominku obraca się w popiół. Potem kochali się znowu, a w końcu zasnęli wtuleni w siebie; dwa spełnione marzenia, dwa ciała złączone w jedno, ich życia splecione ze sobą tak, jakby tej nocy w domu pani Whitman zostali sobie poślubieni. To była idealna noc poślubna. Rano w jakiś tajemniczy sposób pojawiło się w saloniku pani Whitman śniadanie przygotowane dla nich na tacach. Zoja zarzuciła na nagie ciało kremowy peniuar z atłasu i śmiejąc się radośnie, zeszła z Simonem na dół.

– To jest przestępstwo, nie sądzisz? – wyszeptała znad ciepłych bułeczek z jagodami.

Podalała jedną Simonowi i nalala mu kawy. Czuła się jakby nigdy przedtem nie należała do innego mężczyzny. Upłynęło tyle czasu, odkąd była żoną Claytona, i czuła się teraz kimś innym. Simon uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

– Ja nie czuję się, jakbym popełnił jakiś występki. Czuję się, jakbym się ożenił.

– Ja też – powiedziała miękko i spojrzała na niego oczami wypełnionymi miłością, a on, nie mówiąc nic, zabrał ją z powrotem na górę. Na stole zostały bułeczki i zapomniana kawa.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

W ciągu następnych dwu tygodni wszystko się między nimi zmieniło. Wiedzieli o tym, że należą do siebie. Jediną przeszkodą, jaka została im do pokonania, było spotkanie Zoi z rodzicami Simona. Bała się tego, ale on uspokajał ją, jak tylko mógł, kiedy pewnego piątkowego wieczora zaskoczył ją mówiąc, że jadą do matki na kolację.

– I co ona na to?

Zoja patrzyła na niego przestraszona. Ubrana była w czarną sukienkę. Nie uprzedził jej, bo nie chciał, żeby się denerwowała. Powiedział jedynie, że gdzieś wyjadą. I teraz nagle, mimo tego, co dwa tygodnie wcześniej u pani Whitmaa zdarzyło się między nimi, Zoja poczuła się znowu jak młoda dziewczyna przerażona perspektywą spotkania jego matki.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co powiedziała? – roześmiał się. –

Zapytała mnie, czy jesteś Żydówką.

– O, nie... poczekaj, jak usłyszysz mój akcent. Jak odkryje, że jestem Rosjanką, będzie kiepsko.

– Nie bądź głuptasem.

Ale Zoja miała rację. Ledwie Simon ją przedstawił, jego matka popatrzyła na nią, mrużąc oczy.

– Zoja Andrews? Co to za imię? Czy pani rodzina pochodzi z Rosji? Wywnioskowała, że Zoja dostała to imię po babce albo jakiejś dalekiej krewnej. Stała naprzeciw niej, prawie tak samo wysoka jak Simon, i patrzyła na nią z góry.

– Nie, pani Hirsch – Zoja spojrzała na nią swoimi wielkimi zielonymi oczami, mając nadzieję, że uda się jakoś uniknąć burzy. – Ja stamtąd pochodzę.

– Jest pani Rosjanką?

Zadała to pytanie w ojczystym języku Zoi i Zoja ledwo powstrzymała się od uśmiechu, słysząc jej akcent.

W taki sposób mówili chłopci, których spotykała w dzieciństwie, i przez chwilę pomyślała o Fiodorze i jego dobrodusznej żonie, Ludmile.

– Tak, jestem Rosjanką – potwierdziła tym razem w swoim języku, którym mówiła z dykcją właściwą sferom arystokratycznym. Wiedziała, że starsza kobieta natychmiast pozna się na tym i najprawdopodobniej



znenawidzi ją za to.

– Skąd?

Inkwizycja toczyła się dalej, a Simon rzucał bezradne spojrzenia ojcu, który również obserwował Zoję z najwyższą uwagą. Podobało mu się to co widział; była atrakcyjną kobietą o znakomitych manierach, łatwo się było zorientować, że miała bardzo dobre pochodzenie. Uznał, że Simon dokonał dobrego wyboru, ale nie było sposobu, żeby powstrzymać Sofię, jego matkę.

– Z Sankt Petersburga – odparła Zoja z grzecznym uśmiechem.

– Sankt Petersburg? – to zrobiło wrażenie na matce Simona, ale prędzej by umarła, niż się do tego przyznała. – Jak się nazywała pani rodzina? Pierwszy raz w życiu Zoja była zadowolona, że nie nazywała się Romanow, ale jej własne nazwisko nie było wiele lepsze w tej sytuacji. Omal się nie roześmiała stojąc przed tą olbrzymią kobietą we wzorzystej sukni. Miała ramiona niemal tak potężne jak mężczyzna, co powodowało, że Zoja czuła się jeszcze bardziej jak dziecko.

– Ossjupow. Jestem Zoja Konstantinowna Ossjupow.

– Może byśmy usiedli? – zaproponował Simon niepewnie, podczas gdy jego matka nie zmiękła i nie zrobiła najmniejszego ruchu w stronę pokoju, gdzie stały krzesła z wysokimi oparciami.

– Kiedy pani tutaj przyjechała? – zapytała Zoję bez ogródek, a Simon jęknął w duchu.

Wiedział, co mogło nastąpić.

– Po wojnie, madame. Pojechałam do Paryża w 1917 roku, po wybuchu rewolucji.

Nie było sensu ukrywać, kim była. Było jej tylko żal Simona, który wyglądał bardzo nieszczęśliwie, kiedy słuchał tej wymiany zdań między swoją matką a kobietą, którą pragnął poślubić. Lecz po tym, jak się kochali, wobec bliskości i więzi, jaka się z tego zrodziła, wiedzieli, że nic nie zdoła ich już rozdzielić.

– Więc wyrzucili was po rewolucji.

Zoja uśmiechnęła się do niej.

– Sądzę, że może to tak dla pani wyglądać. Wyjechałam ze swoją babcią – spoważniała – kiedy moja rodzina została zabita.

– Tak samo stało się z moją – powiedziała Sofia szorstko. Nazywali się przedtem Hirschow, lecz oficer w biurze imigracyjnym na Ellis Island

był zbyt leniwy, żeby zapisać ich pełne nazwisko. Tak więc, żeby nie robić zamieszania, zostali przy nazwisku Hirsch zamiast Hirschow.

– Moja rodzina została wymordowana w czasie pogromów, przez carskich kozaków.

Zoja słyszała o tym w dzieciństwie, lecz nigdy nie przypuszczała, że będzie kiedyś musiała stanąć twarzą w twarz z kimś, kto to przeżył.

– Bardzo mi przykro.

– Mhmm... – matka Simona spojrzała na nią nieufnie i poszła sztywnym krokiem do kuchni skończyć przygotowywanie posiłku. Kiedy wszystko było gotowe, zapaliła świece i zaśpiewała szabasową modlitwę. Prowadziła koszerną kuchnię i przyrządziła tradycyjny czallach, do którego podała specjalne obrzędowe wino. Było to zupełnie nowe doświadczenie dla Zoi.

– Czy wiesz, co to znaczy koszerne? – zapytała Zoję podczas obiadu.

– Nie... ja... tak... więc, właściwie nie. – Rozmawiały po rosyjsku. Zoja czuła się trochę nieswojo z powodu kompletnego braku wiedzy na ten temat. – Nie popija się mlekiem do mięsa.

Tylko tyle zdołała wymyślić, gdy matka Simona patrzyła na niego ponuro. Zwracała się do niego w jidysz, nazywając go zawsze „Szimon”.

– Wszystko musi być oddzielnie. Nabiał nie może nigdy stykać się z mięsem.

Używali do tego osobnych talerzy i odkąd zaczęło im się dobrze powodzić, mieli dwie kuchenki. To wszystko wydawało się Zoi bardzo skomplikowane, kiedy słuchała wyjaśnień Sofii, która szczyliła się swoją wiernością wobec prawa Talmudu. Spojrzała z dumą na swojego syna, a Zoja uśmiechnęła się.

– On jest taki zdolny, mógł zostać rabinem. A co on robi? Chodzi na Siódmą Aleję i wyrzuca rodzinę z interesu.

– Mamo, wiesz, że to nie jest prawda – odparł Simon z uśmiechem. – Tata poszedł na emeryturę, tak samo wujek Joe i wujek Isaac.

Słuchając tego Zoja uświadomiła sobie, że był to aspekt życia Simona, który nie całkiem rozumiała. Co innego było słuchać, jak on jej o tym opowiadał, a ci innego mieć z tym styczność. Przestraszyła się nagle, że nigdy nie sprostą ich wymaganiom. Nie знаła zupełnie ich religii i nie wiedziała, jaką wagę nadawał jej Simon. Nie miała pojęcia, czy on sam

był religijny, choć podejrzewała, że raczej nie był. Jej własna religia nie była dla niej bardzo ważna, chociaż wierzyła w Boga. Ale do kościoła prawosławnego chodziła jedynie na Wielkanoc i na Boże Narodzenie.  
– Czym zajmował się pani ojciec?

Sofia Hirsch wystrzeliła z tym pytaniem, kiedy Zoja pomagała jej posprzątać ze stołu. Wiedziała już, że Zoja pracuje w jakimś salonie mody i że Simon spotkał ją w Paryżu.

– Mój ojciec był wojskowym – odpowiedź Zoi niemal zwała starszą kobietę z nóg.

– Chyba nie był Kozakiem!

– Oczywiście, że nie, mamó – pospieszył z wyjaśnieniem Simon.

Widać było wyraźnie, że chce jak najprędzej wyjść, i Zoja nagle doszła do wniosku, że to wszystko było bardzo zabawne. Życia ich dwojga, mające tak różne początki, spotkały się gdzieś pośrodku i po tym jak wobec niektórych osób posłużyła się swoim tytułem jak reklamą, miała teraz zapewnić tę kobietę, że jej ojciec nie był Kozakiem. Zerknęła kątem oka na Simona i spostrzegła, że jego to też bawiło, jakby dokładnie wiedział, o czym myślała. Postanowił pożartować sobie trochę ze swej matki. Wiedział, że zrobi to na niej wrażenie, nawet jeśli będzie udawała, że jest przerażona. Wiedział, że ojciec zaaprobował jego wybór, i, jeśli nawet jego matka była innego zdania, nie ośmieliłaby się tego okazać.

– Zoja jest hrabianką, mamó. Jest po prostu zbyt skromna, żeby używać swojego tytułu.

– Hrabianką skąd? – spytała jego matka.

Zoja tym razem roześmiała się otwarcie.

– Hrabianką już zupełnie znikąd. Ma pani całkowitą rację. To wszystko już się skończyło.

Upłynęło już dziewiętnaście lat od wybuchu rewolucji i choć nie poszła w niepamięć, wydawała jej się teraz częścią jakiegoś innego życia.

Zapadła dłuższa cisza i kiedy Simon zaczął myśleć, jak by tu dyskretnie ulotnić się z Zoją, jego matka powiedziała żałobnym tonem, jakby na wypadek, gdyby jacyś bogowie ją słyszeli.

– Jaka szkoda, że ona nie jest Żydówką.

Simon uśmiechnął się. W jej ustach oznaczało to mniej więcej to samo, jakby wyznała, że polubiła Zoję.

– Czy przeszłaby na inną wiarę? – zapytała Simona, jakby Zoi nie było w pokoju. Zoja spojrzała zaskoczona, lecz Simon odpowiedział za nią.

– Oczywiście, że nie, mamu. Dlaczego miałyby to robić?

Jego ojciec zaproponował jeszcze jedną szklankę wina, a Simon poklepał ją po ręce, zaś jego matka patrzyła na nią z nieustającym zainteresowaniem.

– Simon mówił, że ma pani dzieci.

Brzmiało to bardziej jak oskarżenie niż pytanie, lecz Zoja uśmiechnęła się z dumą.

– Tak, mam dwójkę.

– Jest pani rozwiedziona?

Simon jęknął w duchu a Zoja uśmiechnęła się do Sofii.

– Nie, jestem wdową. Mój mąż zmarł siedem lat temu na atak serca. – Postanowiła jej to powiedzieć, żeby nie pomyślała, że go zabiła.

– To przykre. W jakim wieku są dzieci?

– Mój syn Nicholas ma piętnaście lat, a Aleksandra jedenaście.

Sofia skinęła głową. Wydawała się wreszcie usatysfakcjonowana, a Simon wykorzystał sytuację i wstał mówiąc, że muszą już pójść. Zoja podniosła się także i podziękowała za kolację.

– Miło było panią poznać – przyznała niechętnie.

Jej mąż uśmiechnął się tylko. Prawie się nie odzywał przez cały wieczór. Czasami tylko mówił coś do Simona ściszym głosem. Był nieśmiałym mężczyzną, który spędził pół wieku w cieniu swojej znacznie bardziej elokwentnej żony.

– Niech pani nas jeszcze kiedyś odwiedzi – powiedziała uprzejmie, kiedy Zoja podawała jej rękę i dziękowała ponownie swoim arystokratycznym rosyjskim.

Simon wiedział, że matka następnego dnia zadzwoni do niego i będzie musiał się sporo nasłuchać.

Odprowadził Zoję do zaparkowanego na dole cadillaca i z westchnieniem ulgi wsunął się za kierownicę, spoglądając przeproszająco na ukochaną kobietę.

– Przepraszam. Nie powinienem był cię tu przyprowadzać. Widząc wyraz jego twarzy, Zoja roześmiała się.

– Coś ty. – Pocałowała go. – Moja matka byłaby znacznie gorsza. Ciesz się, że nie musiałeś mieć z nią do czynienia.

– Jak ona mogła zadawać takie pytania! I pomyśleć, że ona dziwi się, że nie przyprowadzam nikogo do domu. Musiałbym być stuknięty!

Meszugge! – dodał w jidysz, pukając się palcem w czoło.

Zoja zaczęła się śmiać. Jechali powoli w stronę jej domu.

– Poczekaj tylko, aż Sasza da ci popalić. Na razie zachowuj się jak anioł.

– No to będziemy kwita. Przysięgam, że już nigdy ci tego nie zrobię.

– Zrobisz i nic się nie stanie. Ja tylko się bałam, że ona zapyta mnie o cara. Nie miałam ochoty kłamać, ale też nie paliłam się do tego, żeby powiedzieć jej prawdę – uśmiechnęła się. – Cieszę się, że nie jestem Romanowa. Z pewnością by wtedy zemdłała.

Słyszając to Simon roześmiał się. Wstąpili na chwilę do „Copacabany”, żeby się trochę zrelaksować i napić szampana. Zdaniem Simona był to bardzo nieprzyjemny wieczór. Zoja natomiast była zdziwiona, że poszło tak gładko. Spodziewała się, że będzie znacznie gorzej, co zupełnie przeraziło Simona.

– Jak mogłoby być jeszcze gorzej?

– Mogłaby mnie wyprosić. W którymś momencie wydawało mi się, że była tego bliska.

– Nie odważyłaby się. Nie jest aż taka zła, na jaką wygląda – uśmiechnął się rozbijając. – Robi świetny rosół.

– Poproszę, żeby mnie nauczyła. – Nagle przypomniała sobie o czymś.

– Czy będziemy musieli jeść koszerne posiłki?

Ale Simon nie mógł ze śmiechu nic odpowiedzieć.

– No więc, jak to będzie?

– Moja matka byłaby wniebowzięta, gdybyśmy to robili, ale powiem ci, moja kochana, że odmówiłbym jedzenia w domu. Po prostu nie zaprzataj sobie tym głowy. Dobrze? Obiecujesz?

Pochylił się i pocałował ją. Grali właśnie jego ulubioną piosenkę Cole’a Portera „I’ve got you under my skin”.

– Czy chciałaby pani zatańczyć, pani Andrews, czy może powinienem powiedzieć hrabianko Ossjupow?

– A może po prostu Zoja? – roześmiała się i poszła za nim na parkiet.

– A może Zoja Hirsch? Czy to nie brzmi dobrze? Rozpromieniła się w tańcu i oboje wybuchnęli śmiechem. Pomyśleli równocześnie o tym samym. Było to z pewnością dość dziwne nazwisko jak na kuzynkę

cara.

## Rozdział czterdziesty

Udało im się utrzymać wszystko w sekrecie przed dziećmi do czerwca, kiedy któregoś dnia Sasza weszła do kuchni w chwili, gdy namiętnie się całowali. Przez chwilę patrzyła na nich w osłupieniu, po czym wyszła obrażona, zamknęła się w swoim pokoju i nie wychodziła z niego aż do obiadu, kiedy to Nicholas zagroził, że wyważy drzwi, jeśli nie zacznie się zachowywać jak człowiek. Był bardzo dotknięty zachowaniem siostry. Lubił Simona i zaczynał mieć nadzieję, że on myśli poważnie o jego matce. Simon okazywał im mnóstwo serdeczności, zabierał ich na wycieczki w sobotnie popołudnia, i kiedy tylko było to możliwe, na kolację. Przynosił im też mnóstwo prezentów i często podjeżdżał po Nicholasa do szkoły swoim cadillakiem. Ofiarował dzieciom radio, którym się wszyscy zachwycali.

– Jak ty się zachowujesz! – karcił ją gniewnie. – Idź i przeproś mamę!

– Nie przeproszę! Ona całowała się z nim w kuchni.

– I co z tego? Lubi go.

– Ale nie w ten sposób... to jest obrzydliwe!

– Ty jesteś obrzydliwa. A teraz idź i przeproś ich.

Wyszła ukradkiem ze swojego pokoju i omijała Simona wzrokiem.

Tego wieczora, po wyjściu Simona, Zoja w końcu jej powiedziała.

– Jestem w nim bardzo zakochana, Saszo.

Dziewczynka rozplakała się, a Nicholas przysłuchiwał się temu stojąc w progu.

– A co z papą? Nie kochałaś go?

– Oczywiście, że kochałam... ale, kochanie, to już dawno się skończyło.

On nie żyje już od tylu lat. Mogłoby być miło, gdyby był z nami ktoś, kto nas kocha. Simon bardzo kocha ciebie i Nicholasa.

– Ja też go lubię – Nicholas wiernie bronił Simona, co wzruszało Zoję.

– Czy zamierzacie się pobrać? – zapytał delikatnie, a Zoja, spoglądając na przemian na jedno i na drugie, przytaknęła.

Wtedy Sasza dostała hysterii.

– Nienawidzę cię! Niszczysz moje życie!

– Dlaczego, Saszo? – jej reakcja bardzo ją zmartwiła. – Nie lubisz go?

Jest miły i taki dobry dla nas.

Próbowała ją przytulić, ale rozhisteryzowana dziewczynka nie dała się

objąć.

– Nienawidzę was obojga! – krzyczała Sasza nie wiedząc dokładnie, dlaczego, być może dlatego, że chciała dokuczyć matce.

Bardzo to rozgniewało Nicholasa. Podbiegł do swojej siostry szlochającej na łóżku.

– Przestań albo dostaniesz ode mnie klapsa!

– Przestańcie! Oboje! W taki sposób nie zaczyna się nowego życia.

– Kiedy bierzecie ślub? – Sasza przestała płakać na tyle, żeby móc zadać to pytanie.

– Nie wiemy jeszcze. Chcieliśmy trochę poczekać.

– Może byście wzięli ślub latem i wtedy moglibyśmy wszyscy pojechać gdzieś razem? – zaproponował Nicholas i Zoja uśmiechnęła się na to.

Uważała, że to niezły pomysł i wiedziała, że Simonowi by się spodobał, ale taka perspektywa najwyraźniej nie podobała się Saszy.

– Nigdzie z wami nie pojedę.

– Owszem, pojedziesz, wepchniemy cię do walizki i już. Przynajmniej nie będziemy musieli cię słuchać.

Dziewczynka skierowała całą swoją złość na brata i spojrzała na niego z wrogością.

– Nienawidzę cię. I nigdzie z nimi nie pojedę – pociągnęła głośno nosem i spojrzała na matkę, lecz Nicholas uprzedził ją karcącym wzrokiem.

– Wiesz, jaka ty jesteś? Jesteś zazdrosna! Jesteś zazdrosna o mamę i Simona.

– Nie jestem!

– Jesteś!

Krzyczeli na siebie i Zoja znowu zażądała, żeby się uspokoili. Ale następnego dnia, kiedy powiedziała Simonowi, Sasza zdążyła się uspokoić, choć ostentacyjnie nie odzywała się do swojego brata.

– Bardzo podoba mi się pomysł Nicka – powiedział ze zrozumieniem.

Wiedział, jak trudno było Zoi czasami poradzić sobie z Saszą. On miał dość łatwy kontakt z nią, ale widział, jak nieustannie czegoś żąda od matki. Domagała się jej uwagi, jej czasu, nowych ubrań i ciągle wystawiała na próbę jej cierpliwość.

– Może byśmy wzięli ślub w lipcu i pojechali z dziećmi do Sun Valley?

– Nie będzie ci przeszkadzało, jak zabierzemy je na nasz miodowy



miesiąc?

Zadziwił ją swoją dobrocią, tym że akceptował dzieci, jakby były jego własne. Bardzo ją to wzruszało.

– Oczywiście, że nie. A ty byś chciała?

– To byłoby wspaniałe.

– Więc ustalone – powiedział i pocałował ją, po czym poszedł zajrzeć do kalendarza. – Co powiesz na to, żebyśmy wzięli ślub dwudziestego lipca? – jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech. Objął ją w talii, a ona nie czuła się tak szczęśliwa już od dawna. Właściwie nie mogła się już doczekać, kiedy za niego wyjdzie. Pragnęła należeć do niego, przez całe życie.

– Co na to powie twoja matka?

Zastanowił się przez chwilę, a potem uśmiechnął.

– Powiemy jej, żeby porozmawiała z Saszą. Są dla siebie stworzone.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

Dwunastego lipca 1936 roku Simon Ishmael Hirsch i Zoja Aleksandra Eugenia Ossjupow Andrews zostali urzędowo zaślubieni w ogrodzie przylegającym do pięknej kamieniczki Axelle przy Wschodniej Czterdziestej Dziewiątej Ulicy. Panna młoda ubrana była w kremowy kostium Norella i maleńki kapelusik z delikatną jak mgiełka woalką, przez którą, patrzyła w oczy swojego męża i uśmiechała się, gdy on pochylił się, by ją pocałować. Matka Simona nie przyszła na ślub, żeby dać im do zrozumienia, że nie akceptuje faktu, iż Zoja nie jest Żydówką. Natomiast zjawił się jego ojciec, jak również dwie dziewczyny ze sklepu Axelle. Była też grupka ich przyjaciół i, oczywiście, dzieci. Zoi. Nicholas był ich drużbą, a Sasza stała obok z ponurą miną. Ślub Zoi mógł być bardziej huczny, gdyby tego pragnęła. Jej ważniejsze klientki, jak Barbara Hutton czy Doris Duke z radością by przyszły, lecz chociaż znała je dobrze, nie była z nimi zaprzyjaźniona. Należały do świata, który zostawiła za sobą, poza tym chciała, żeby ślub był skromny i odbył się w kameralnej atmosferze. Majordomus Axelle rozlał szampana, a o czwartej Simon wiozł ich swoim cadillakiem do mieszkania Zoi. Postanowili pozostać tam do wyjazdu i dopiero po powrocie poszukać czegoś większego. Pragnęli najpierw spędzić trzy tygodnie w Sun Valley, gdzie właśnie zaczął się sezon. Mieli jechać pociągiem ze stacji Pensylwania do Idaho. Simon zabrał różne gry dla dzieci, i nim dojechali do Chicago, nawet Sasza cieszyła się podróżą. Zatrzymali się na noc w Blackstone i następnego dnia wyruszyli dalej. W wesołych nastrojach dotarli do Ketchum, zwłaszcza Zoja i Simon po namiętnej nocy, jaką spędzili ze sobą. Ich fizyczny związek przekształcił się w więź, jakiej żadne z nich nigdy wcześniej nie doświadczyło. Stali się sobie jeszcze bardziej bliscy. Upłynęły dwa miesiące, odkąd się spotkali, ale Zoja miała uczucie, że znała Simona przez całe życie. Nauczył Nicholasa łowić ryby i codziennie chodzili razem popływać. Wrócili pod koniec miesiąca, zdrowi, opaleni i szczęśliwi. Wtedy dopiero dotarła do Zoi w pełni świadomość zmiany, jaka w jej życiu nastąpiła: kiedy pierwszego dnia po powrocie siedziała obserwując jak Simon się goli, poczuła ogarniające ją poczucie szczęścia. Patrząc, jak mydlił sobie twarz

zaczęła się śmiać. Podeszła, żeby dotknąć gładkiego policzka swojego ukochanego mężczyzny, pocałować go.

– Coś cię rozśmieszyło? – odwrócił się do niej z uśmiechem.

Potrząsnęła głową.

– Nie, tylko to wszystko stało się tak nagle, nie masz takiego uczucia?

– Tak, rzeczywiście.

Pochylił się i pocałował ją, rozmazując jej mydło po całej twarzy, pocałował ją jeszcze raz i po chwili zamknęli na klucz drzwi od sypialni, by znowu kochać się namiętnie, zanim każde z nich uda się do pracy. Zoja obiecała Axelle, że pozostanie w sklepie do końca września.

Dni umykały niepostrzeżenie jeden za drugim. Trzy tygodnie po powrocie znaleźli mieszkanie, które bardzo im się spodobało.

Znajdowało się u styku Alei Parkowej i Sześćdziesiątej Ósmej Ulicy.

Pokoje były przestronne, a ich sypialnia mieściła się na przeciwległym do pokoi dziecińczych końcu. Nicholas dostał duży ładny pokój, a Sasza nalegała, by jej sypialnia została pomalowana na fioletowo.

– Ja też miałam kiedyś taki fioletowy pokój... byłam wtedy mniej więcej w twoim wieku.

Opowiedziała dziewczynce o uroczym fioletowym buduarze Alix.

Kiedy opisywała go Saszy, przed oczyma jej stanęły wzruszające obrazy. Sasza słuchała zauroczona.

W pokoju Nicholasa znajdowała się fotografia Claytona, a obok chłopiec ustawił ładne zdjęcie Simona. Po powrocie Simona do domu obaj mężczyźni rodziny, starszy i młody, szli na długi popołudniowy spacer. W tydzień po tym, jak się przeprowadzili, Simon przyniósł małego cockerspaniela.

– Spójrz, mamó! – zawołał Nicholas w podnieceniu – wygląda zupełnie tak samo jak Sawa!

Zoja była zaskoczona, że chłopiec ją jeszcze pamięta. Sasza natomiast chodziła przez cały dzień nadąsana, ponieważ nie był to owczarek. Ta rasa nadal była bardzo modna, choć już nie tak bardzo jak w późnych latach dwudziestych. Piesek przyniesiony przez Simona był bardzo słodki, nazwali go Jamie. Odkąd wprowadzili się do nowego mieszkania, ich życie płynęło jak idylla. Mieli nawet jeden pokój dla gości, który znajdował się naprzeciwko biblioteki, i Simon żartował z Zoi, że to będzie miejsce dla ich pierwszego dziecka. Zoja kręciła

wtedy głową śmiejąc się.

– Urodziłam swoje dzieci dawno temu, Simonie. Teraz jestem już na to za stara.

W wieku trzydziestu siedmiu lat dawno straciła ochotę na to, by mieć więcej dzieci.

– Niedługo pewnie zostanę babcia – powiedziała ze śmiechem.

– Czy potrzebna ci będzie laseczka, babuniu?

Siedzieli objęci w sypialni rozmawiając do późna w nocy, tak jak kiedyś, wiele lat temu, rozmawiała z Claytonem. Jednak życie z Simonem było zupełnie inne. Mieli podobne zainteresowania, wspólnych przyjaciół, byli dojrzałymi ludźmi, którzy spotkali się w pełni sił, nie w słabości. Kiedy Clayton wyciągnął ją z jej rozpaczliwego życia w Paryżu w 1919 roku i przywiózł ją do Nowego Jorku, Zoja była prawie jeszcze dzieckiem. Teraz było zupełnie inaczej, myślała Zoja idąc do sklepu. Cieszyła się, że jeszcze pracuje u Axelle. Kiedy nadszedł ostatni dzień, popatrzyła na swoją przyjaciółkę posepnie.

– Co ja teraz będę robiła? – Siedziała zasmucona przy swoim biurku w stylu Ludwika XV i spoglądała na Axelle znad ostatniej, w tym miejscu, filiżanki herbatki. – Co ja ze sobą będę robiła całymi dniami? Starsza kobieta roześmiała się.

– Mogłabyś zająć się domem i urodzić dziecko.

Zoja potrząsnęła głową. Pragnęła zostać u Axelle, lecz Simon chciał, żeby miała trochę wolności, której nie zaznała już od dawna. Pracowała przez siedem lat, lecz teraz nie było takiej potrzeby. Mogła nacieszyć się dziećmi, mężem, ich domem i zająć się sobą, ale Zoi to wszystko nie wystarczało, wiedziała, że będzie jej brakowało sklepu.

– Mówisz jak mój mąż.

– On ma rację.

– Będę się okropnie nudziła bez pracy.

– Wątpię w to, moja droga.

Ale w jej oczach były łzy, kiedy Simon przyjechał po Zoję po południu. Kobiety objęły się serdecznie. Zoja obiecała, że wpadnie następnego dnia i wybiorą się razem na lunch.

Simon roześmiał się ostrzegając kobietę, która przewidziała ich romans od pierwszej chwili.

– Będziesz musiała dobrze pozamykać drzwi, żeby ją utrzymać z daleka. Mówię jej przez cały czas, że cały świat stoi przed nią otworem. W październiku Zoja stwierdziła, że nie wie, co zrobić ze swoim wolnym czasem. Prawie codziennie odwiedzała Axelle, chodziła do muzeum, odbierała Saszę ze szkoły. Często wpadała do biura Simona i słuchała łączywie o jego planach związanych z rozwojem firmy. Postanowił rozpocząć szycie płaszczy dziecięcych i ciekaw był, co ona o tym sądzi. Jej niezawodne wyczucie dobrego stylu pomogło mu wybrać parę interesujących pomysłów. Bez niej nie przyszedłoby mu to do głowy.

– Simonie, bardzo mi tego wszystkiego brakuje – wyznała mu któregoś grudniowego dnia, gdy wracali taksówką z teatru. Byli na premierze „You Can’t Take It With You” w Booth Theater, w którym występował Frank Conlan i Josephine Hull. Spędzili bardzo miły wieczór, ale Zoja była niespokojna i znużona. Doszła do wniosku, że pracowała zbyt wiele lat i nie potrafiła już siedzieć w domu i nic nie robić.

– Może bym wróciła na jakiś czas do Axelle?

Zastanowił się nad tym przez chwilę i, kiedy już byli na miejscu, powiedział:

– Czasami trudno jest wycofać się w odpowiedniej chwili, kochanie. Może byś jednak zaczęła robić coś nowego?

Tylko co, zadawała sobie pytanie Zoja. Wszystko, co potrafiła robić, to tańczyć i zajmować się strojami, a taniec z pewnością nie wchodził już w rachubę. Śmiejąc się weszła do mieszkania. Simon spojrzął na nią. Była taka piękna, podziwiał jej kremową karnację, zachwycał się błyszczącymi oczami i rudymi włosami. Wciąż wyglądała jak młoda dziewczyna i jej widok zawsze wzbudzał w nim pożądanie. Nie robiła wrażenia kobiety, która ma piętnastoletniego syna. Usiadła na krześle i śmiejąc się spoglądała na swojego przystojnego mężczyznę w smokingu. Zamówił go w Londynie, co jego matka przyjęła z niesmakiem.

– Twój ojciec uszyłby ci lepszy – stwierdziła.

– Co cię tak śmieszy?

– Taka jedna zwariowana myśl... Przypomniałam sobie, jak tańczyłam u Fitzhuga. To było straszne, Simonie... Nie cierpiałam tego.

– Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić, jak kręcisz pupą i kołyszysz

swoimi wdziękami – roześmiał się z takiego obrazka, ale serce wrywało mu się do niej.

Była taka dzielna, mimo że przeszła tyle ciężkich chwil. Żałował tylko, że jej wtedy nie znał. Ożeniłby się z nią i wybawił od tego wszystkiego. Teraz nie trzeba jej było ratować, radziła sobie sama i była silna. Miał nawet ochotę wciągnąć ją do rodzinnego interesu, wiedział jednak, że jego rodzina byłaby tym zgorzszona. Ona nie pasowała do Siódmej Alei, należała do bardziej elitarnego świata. I wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Nalał sobie kieliszek koniaku i otworzył dla Zoi butelkę szampana, po czym usiedli przy kominku i zaczęli rozmawiać.

– Może otworzyłabyś swój własny sklep?

– Taki, jak ma Axelle? – Była zaskoczona, ale pomysł podobał jej się bardzo. Pomyślała o swojej przyjaciółce i potrząsnęła głową. – To nie byłoby uczciwe w stosunku do Axelle. Nie chcę z nią rywalizować.

Axelle była dla niej zbyt dobra i nie mogła jej teraz zrobić takiej przykrości, ale Simon miał jeszcze inne pomysły.

– To zrób coś innego.

– Co na przykład?

– Zajmij się wszystkim. Niech to będą ubrania dla kobiet i dla mężczyzn, a nawet dla dzieci. Ale tylko to, co najlepsze, wszystkie te rzeczy, w których jesteś taka dobra. Niech będzie pełny zestaw... buty i torebki, kapelusze... naucz ludzi, jak się mają ubierać, nie tylko w jakieś nadzwyczajne stroje, po które kobiety chodzą do Axelle, niech to będzie sklep dla innej klienteli, która ma pieniądze, ale nie potrafi we właściwy sposób dopasować poszczególnych części garderoby.

Kobiety, którym Zoja doradzała u Axelle, należały z pewnością do najlepiej ubranych osób w Nowym Jorku, ale większość z nich jeździła po ubrania także do Paryża. Czyniła tak Lady Mendl i Doris Duke, a także Wallis Simpson.

– Mogłabyś zacząć od czegoś niewielkiego, a potem stopniowo dodawać resztę. Może nawet sprzedawać moje płaszcze! – powiedział śmiejąc się, a Zoja patrzyła na niego zamyślona, sącząc powoli swojego szampana.

Podobał jej się ten pomysł. Podniosła na niego poważne oczy z pytaniem.

– Czy byłoby nas stać na to wszystko?

Wiedziała, że jego interesy szły dobrze, ale nie miała pojęcia, jakim kapitałem dysponował. Nigdy dotąd nie rozmawiali o tym. Mieli więcej, niż im było potrzeba na życie, ale jego rodzice mieszkali nadal na Houston Street i Zoja wiedziała, że Simon ich utrzymuje, jak również wszystkich braci ojca. Spojrzał na nią czule i usiadł przy niej. – Może przyszedł czas, żebyśmy o tym wszystkim poważnie porozmawiali.

Zoja potrząsnęła głową czerwieniąc się. Nie chciała właściwie o tym wiedzieć. Ale skoro miała otworzyć własny sklep, to być może powinna się zainteresować ich stanem majątkowym.

– Simon, nie chcę się wtrącać. Twój biznes to twoja sprawa.

– Nie, moja kochana. Teraz on jest także twój i bardzo dobrze prosperuje. Niesamowicie dobrze.

Powiedział jej, ile zarobili w zeszłym roku, i Zoja patrzyła na niego oszołomiona.

– Mówisz poważnie?

– Ale właściwie – powiedział przepraszająco, mylnie interpretując wyraz jej oczu – mogliśmy zarobić więcej, gdybym zamówił wszystkie te kaszmiry, które chciałem sprowadzić z Anglii. Sam nie wiem, co mnie powstrzymało, w przyszłym sezonie na pewno to zrobię – wyjaśnił, a Zoja roześmiała się szczerze.

– Oszalałeś? Chyba nawet sam Bank Angielski nie obracał taką ilością pieniędzy w zeszłym roku. Simon, to jest niesamowite! Ale myślałam... to znaczy, twoi rodzice...

Tym razem on zaczął się z niej śmiać.

– Moja mama nie opuściłaby Houston Street za żadne skarby. Ona kocha to miejsce.

Wszystkie próby Simona, żeby przenieść ich do bardziej luksusowego mieszkania, okazały się daremne. Jego matka miała tam swoich przyjaciół, sklepy, w których robiła zakupy, i sąsiadów, których lubiła. Sprowadziła się do Lower East Side zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku i zamierzała tam dokonać żywota.

– Myślę, że ojciec bardzo by się ożywił, gdyby przeniósł się bliżej centrum. Ale mama mu na to nie pozwoli.

Ta kobieta nadal chodziła w domowych sukienkach i szczyliła się tym, że miała jeden „porządny” płaszcz, podczas gdy stać ją było na to, by

kupić u Axelle każdy, jakiego tylko by zapragnęła.

– Co robisz z tym całym kapitałem? Inwestujesz w coś? Przypomniła sobie z drzeniem swojego poprzedniego męża i jego ryzykowne spekulacje na giełdzie, lecz Simon był o wiele bardziej przewidujący niż Clayton. Miał instynkt i jego posunięcia finansowe przynosiły jeszcze więcej pieniędzy.

– Część zainwestowałem, głównie w towary, ale sporo też włożyłem z powrotem w interes. Kupiłem także dwa zakłady tekstylne w zeszłym roku. Myślę, że jak zaczniemy sami produkować tkaniny, wyjdziemy na tym lepiej niż na niektórych rzeczach, jakie importujemy. Poza tym będę mógł lepiej kontrolować jakość. Oba zakłady znajdują się w Georgii, gdzie siła robocza jest bardzo tania. Na efekty trzeba jeszcze poczekać parę lat, ale myślę że będzie to miało spory wpływ na nasze zyski.

Nie potrafiła sobie nawet tego wyobrazić. Dochody, o jakich wspomniał do tej pory, wystarczyły by zwalić kogoś z nóg. W ciągu dwudziestu lat dorobił się ogromnej fortuny prawie z niczego. Mając czterdziestkę był już bardzo bogaty.

– Widzisz więc, moja kochana, że jeśli chcesz otworzyć swój własny sklep, możesz to zrobić. Nie odejmiesz nikomu w ten sposób chleba od ust. – Przez chwilę zastanawiał się nad czymś w milczeniu, podczas gdy Zoja próbowała ogarnąć wszystko, co usłyszała. – W gruncie rzeczy, sadzę, że może to być cholernie dobra inwestycja.

– Simon – odstawiła swój kieliszek i spojrzała na niego z powagą – czy pomożesz mi?

– Niepotrzebna ci jest moja pomoc, kochanie, może tylko do podpisywania czeków. – Pochylił się i pocałował ją. – Znasz się na tym interesie lepiej niż ktokolwiek, masz wrodzone wyczucie tego, co jest związane z modą. Powiniennem być cię posłuchać wtedy w Paryżu co do tego Szokującego Różu – roześmiał się dobrodusznie.

Odwołał zamówienie na ten różowy materiał, bo nie wzbudził on zainteresowania. Nowy Jork nie dojrzał jeszcze do niego, choć było trochę klientów, którzy udali się do Paryża i kupili go bezpośrednio od Schiaparelli.

– Od czego powinnam zacząć? – Jej umysł zaczął pracować na zwiększonych obrotach, była podekscytowana.



– Powinnaś przez najbliższe miesiące rozejrzeć się za jakimś lokalem. A potem moglibyśmy pojechać do Paryża i poszukać jakichś rzeczy do kolekcji jesiennej. Jeśli zaczniesz teraz – zmrużył oczy kalkulując cicho – mogłabyś do września ten sklep otworzyć.

– To bardzo krótki czas.

Zostało zaledwie dziewięć miesięcy, a było bardzo dużo do zrobienia.

– Mogłabym poprosić Elsie, żeby urządziła go dla mnie. Ona ma nieomylnie wyczucie tego czego chcą ludzie, nawet jeśli oni sami tego nie wiedzą.

Simon uśmiechnął się ciepło do swojej żony, jej zapał zaczął mu się udzielać.

– Mogłabyś to równie dobrze zrobić sama.

– Nie, nie mogłabym.

– Mniejsza z tym, może i tak nie miałabyś na to czasu. Szukając lokalizacji, wybierając pracowników i robiąc zakupy towarów, będziesz zbyt zajęta by myśleć jeszcze o urządzaniu wnętrza. Niech pomyślę... Porozmawiam z paroma osobami, które mogłyby pomóc w znalezieniu lokalu.

– Naprawdę tak uważasz? – w jej oczach rozpały się zielone ogniki. – Naprawdę myślisz, że powinnam to zrobić?

– Oczywiście, że tak. Rozkręcmy to. Jeśli się nie uda, zwiniemy interes i poniesiemy stratę. To nam nie może zaszkodzić.

Wiedziała już, że z całą pewnością było ich stać na takie ryzyko.

Przez najbliższe trzy tygodnie nie mówiła o niczym innym. Kiedy, według prawosławnego kalendarza, nadeszło Boże Narodzenie, Zoja zabrała Simona do cerkwi i przez prawie całą mszę szeptała do niego. Jeden z kolegów Simona zajmujący się nieruchomościami znalazł, jego zdaniem, doskonałą lokalizację i Zoja nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy to miejsce.

– Twoja mama zemdłałaby, gdyby zobaczyła cię wychodzącego stąd – śmiała się i patrzyła na niego szczęśliwa. Tym razem msza nie wywołała w niej smutku. Była zbyt podniecona tym, co próbowali zrealizować.

Spotkała, po długim niewidzeniu, Serge'a Oboleńskiego, który skłonił się uprzejmie, gdy przedstawiła mu Simona. Mówiła początkowo po angielsku, żeby Simon rozumiał, ale potem ucięli sobie pogawędkę w

swoim wytwornym rosyjskim.

– Zastanawiam się, dlaczego nie wyszłaś za niego – powiedział cicho Simon, gdy wracali do domu, starając się ukryć zazdrość, ale Zoja spojrzała na niego i roześmiała się.

– Serge nigdy się mną nie interesował, mój kochany. Jest zbyt sprytny, żeby żenić się z jakimiś biednymi rosyjskimi tytułami. Woli znacznie bardziej amerykańską śmietankę towarzyską.

Simon pochylił się, pocałował ją i przyciągnął ją bliżej siebie.

– Nie wie, co traci.

Następnego dnia Zoja zabrała Axelle na lunch i opowiedziała jej z ożywieniem o swoich planach. Powiedziała jej wszystko od razu i z niepokojem wyjaśniła, że nie chciałyby z nią bezpośrednio konkurować.

– Dlaczego nie? – przyjaciółka spojrzała na nią zdziwiona. – Czy Chanel nie rywalizuje z Diorem? A Elsa z nimi wszystkimi? Nie bądź niemądra. To świetnie wpływa na interesy!

Zoja nie myślała o tym w taki sposób, ale z ulgą przyjęła entuzjazm Axelle.

A kiedy zobaczyła miejsce, jakie znalazł przyjaciel Simona, wpadła w zachwyt od razu. Było idealne. Poprzednio mieściła się tam restauracja na rogu Pięćdziesiątej Czwartej i Piątej. Zaledwie o trzy budynki dalej znajdował się sklep Axelle. Lokal był w fatalnym stanie, ale kiedy wysiliła wyobraźnię uświadomiła sobie, że było to dokładnie to, czego potrzebowała, a ponadto mogła jeszcze wykorzystać górne piętro.

– Weź oba piętra – radził jej Simon.

– Nie uważasz, że to będzie za dużo?

Lokal był ogromny i to właśnie sprawiło, że restauracja splajtowała.

Była za wielka na swoją skromną klientelę. Simon tylko pokręcił głową, instynktownie wyczuwając w tym dobry interes.

– Możesz na dole prowadzić odzież kobiecą, a na górze męską i jeśli to zadziała – mrugnął porozumiewawczo do przyjaciela – wtedy możemy kupić cały budynek. Właściwie może powinniśmy to zrobić od razu, zanim się zorientują i zaczną śrubować czynsz. Wykonał kilka obliczeń na skrawku papieru i przytaknął.

– Tak, Zoju. Kupuj całość.

– Kupić całość? – omal nie zakrztusiła się z wrażenia. – Co ja zrobię z pozostałymi trzema piętrami?

– Wynajmiesz je na rok. Jeśli sklep będzie dobrze prosperował, możesz co roku dodawać do niego jedno piętro. Któregoś dnia będziesz cholernie zadowolona, że masz pięć pięter.

– Simon, to jest szaleństwo!

Była tak podekscytowana, że nie mogła usiedzieć. Nigdy jej się nie śniło, że będzie miała swój własny sklep i nagle znalazła się w samym środku takiego przedsięwzięcia. Zatrudnili architektów oraz Elsie de Wolfe i w ciągu paru tygodni Zoja została zarzucona projektami, rysunkami i wszelkiego rodzaju próbkami. Jej biblioteka zawalona była próbkami marmuru, tynków, tkanin i drewnianych wykończeń. Cały dom został wciągnięty w wir jej planów i w końcu Simon odstąpił jej trochę miejsca w swoim biurze i przydzielił osobistą sekretarkę, aby odciążyć ją od zajmowania się niepotrzebnymi szczegółami. Cholly Knickerbocker wspomniała nawet o tym w swojej rubryce, pojawił się także artykuł o tym w „The New York Times”. „Uwaga, Nowy Jork!” – głosiła wiadomość. „Skoro Zoja Ossjupow, była wielka „Hrabianka od Axelle”, i Simon Hirsch, ze swoim imperium na Siódmej Alei, połączyli w lipcu swoje siły, może to oznaczać, że rozkręcają coś na wielką skalę!” I były to prorocze słowa.

W marcu popłynęli do Paryża na „Normandie”, żeby kupić nowe kolekcje dla Simona i wybrać trochę kluczowych rzeczy do pierwszej kolekcji Zoi. Mogła teraz wybrać wszystko to, co najbardziej jej się podobało, bez podporządkowywania się potrzebom Axelle. Nigdy się tak świetnie nie bawiła, jak podczas robienia zakupów z Simonem, który przydzielił jej nieograniczone fundusze. Zatrzymali się w „Goerge V” i korzystali z rzadkich chwil intymności, które były dla nich jak miodowy miesiąc. Po miesiącu popłynęli z powrotem i wrócili do Nowego Jorku odświeżeni i szczęśliwi, zakochani w sobie bardziej niż kiedykolwiek. Ich radosny powrót do domu przygasiła jedynie wiadomość, że Sasza została wyrzucona ze szkoły. Miała dwanaście lat i robiła się nieznośna.

– Jak do tego doszło, Saszo?

Zoja rozmawiała z nią spokojnie tego samego wieczora, kiedy wrócili do domu. Podobnie jak w zeszłym roku, Nicholas wyszedł im na spotkanie do portu, tym razem w nowym Duesenbergu, który Simon zamówił dla niego w zeszłym roku, zanim jeszcze przestali je

produkować. Nicholas nie mógł się doczekać, kiedy ich zobaczy. Jak się spotkali, opowiedział Zoi o ostatnich wybrykach swojej siostry. Sasza malowała sobie usta do szkoły i lakierowała paznokcie, i została przyłapaną na tym, jak całowała się z jednym z nauczycieli. Jego wyrzucono z pracy, a Saszę ze szkoły, bez odwołania.

– Dlaczego? – zapytała ją Zoja ponownie. – Co cię do tego skłoniło?

– Nudziłam się – odparła Sasza wzruszając ramionami – chodzenie do żeńskiej szkoły jest głupie.

Simon zapłacił za nią wpisowe, żeby mogła chodzić do Marymount i Zoja była niezmiernie zadowolona z tego, że może ją posłać do lepszej szkoły niż ta, na którą było ją wcześniej stać. Nicholas pozostawał nadal w Trinity i bardzo lubił tę szkołę. Do jej ukończenia zostały mu jeszcze dwa lata, a potem wybierał się na Uniwersytet w Princeton, podobnie jak kiedyś jego ojciec. Sasza wytrwała w Marymount sześć miesięcy, a teraz wyleciała stamtąd i nie miała nawet na tyle przyzwoitości, by okazać jakąś skruchę. W szkole uczyli tylko dwaj mężczyźni, resztę nauczycieli stanowiły zakonnice, ale nawet to wystarczyło, żeby Sasza narobiła kłopotów. Zoja zaczęła się zastanawiać, czy dziewczynka przypadkiem nie chciała jej w ten sposób ukarać za to, że tak długo była nieobecna i że tak bardzo pochłonęło ją urządzenie sklepu. Po raz drugi ogarnęły ją wątpliwości, ale było już za późno. Zamówiła przed wyjazdem także kolekcje amerykańskie i zakupiła już pozostałe rzeczy w Paryżu. Musiała otworzyć sklep, choćby nie wiadomo co się działo. Sasza wybrała sobie diabelnie nieodpowiedni czas na to, żeby sprawiać kłopoty. Ale nie tylko Sasza zaprzętała jej głowę.

– Czy nie wstydzisz się ani trochę? – zapytała Zoja – pomyśl przede wszystkim o tym, jak to było uprzejmie ze strony Simona, że mogliśmy cię tam posłać.

Dziewczynka tylko wzruszyła ramionami i Zoja wyczuła, że nie udało jej się dotrzeć do niej. Wróciła do sypialni, gdzie Simon rozpakowywał walizki.

– Przepraszam cię, Simonie. W jej zachowaniu nie ma cienia wdzięczności.

– Co ci powiedziała?

Simon zwrócił na żonę zatroskane oczy. Zachowaniem Saszy martwił

się już od pewnego czasu. Dziewczyna często spoglądała na niego uwodzicielsko, co mogłoby zachęcić niejednego mniej uczciwego mężczyznę, żeby przestał ją traktować jak dziecko, Simon nigdy jednak nie wspomniał o tym Zoi. Po prostu nadal traktował ją jak dziecko, co ją jeszcze bardziej złościło. Miała tylko dwanaście lat, ale była niesłychanie piękna. Odziedziczyła chłodną niemiecką urodę matki Zoi, a po swojej matce miała prawdziwy rosyjski ogień. Razem dawało to dość niebezpieczną kombinację.

– Czy jest przygnębiona? – zapytał Simon, ale Zoja pokręciła głową. Czuli się zawiedziona.

– Chciałabym, żeby tak było.

Sasza zdawała się nie odczuwać najmniejszej skruchy.

– Co zamierzasz teraz zrobić?

– Chyba poszukam innej szkoły. Będzie to raczej trudne w czasie trwania roku szkolnego. – Był akurat środek kwietnia. – Mogłabym jej znaleźć kogoś, kto uczyłby ją w domu do jesieni, ale nie wiem, czy to byłoby dla niej dobre.

Simon uważał to za dobry pomysł.

– Może powinnaś tak zrobić, na razie. Może by się trochę odprężyła. Pod warunkiem, że uczyłaby ją kobieta. Ale Zoi udało się znaleźć jedynie dość nerwowego, młodego człowieka, który twierdził, że bez trudu poradzi sobie z Saszą. Wytrzymał dokładnie miesiąc, po czym uciekł przerażony, nie wspominając nawet Zoi o tym, że dziewczynka powitała go poprzedniego dnia w koszuli nocnej, którą najwyraźniej pożyczyła od matki, i powiedziała mu, żeby ją pocałował.

– Jesteś wstrętny bachor – Nicholas karcił ją nieustannie. Choć miał tylko szesnaście lat, znał Saszę lepiej niż jej własna matka.

Dziewczynka walczyła z nim jak kociak i kiedy się rozzłościła, drapała go po twarzy. Nawet Simon był zmartwiony jej zachowaniem i w chwili, gdy już prawie stracił wszelką nadzieję, Sasza stała się uległa i zaskakująco miła.

Urządzenie sklepu przebiegało bardzo sprawnie i rzeczywiście zanosilo się na to, że we wrześniu będą go mogli otworzyć. Był lipiec i w domu wynajętym na Long Island świętowali swoją rocznicę ślubu. Dwa dni po tym, jak Amelia Earhart zniknęła nad Pacyfikiem. Nicholas był zafascynowany jej wyczynami i wyznał któregoś dnia Simonowi, że

chciałby kiedyś nauczyć się latać. Charles Lindbergh był bohaterem jego dzieciństwa. Był również zafascynowany „Hindenburgiem”, sterowcem, który eksplodował na początku maja nad New Jersey. Na szczęście, kiedy próbował przekonać Zoję i Simona, żeby polecieć nim do Europy, odnieśli się do tego pomysłu nieufnie i woleli popłynąć statkiem, chcąc w ten sposób uczcić swoją pamiętną podróż na „Queen Mary”.

– No i jak, pani Hirsch? Co pani o tym sądzi? – Był początek września i Simon stał pośrodku działu obuwniczego, na piętrze z odzieżą damską, w nowym sklepie Zoi. – Czy o to właśnie pani chodziło?

Zoja miała łzy w oczach i rozglądała się dookoła z niedowierzaniem.

Elsie de Wolfe stworzyła atmosferę piękna i elegancji. Użyła jasnoszarego jedwabiu, zestawiając go z podłogami z różowego marmuru. Do tego dodała łagodne oświetlenie i różne kompozycje kwiatów z jedwabiu, które były ustawione na przepięknych stolikach w stylu Ludwika XV.

– To wygląda jak pałac!

– Nie zasługujesz na nic innego, moja kochana.

Pocałował ją, a wieczorem uczcili zakończenie przygotowań szampanem. Planowali, że otwarcie sklepu nastąpi w przyszłym tygodniu i miało mu towarzyszyć wystawne przyjęcie, na które została zaproszona cała śmietanka towarzyska Nowego Jorku.

Sukienkę na tę uroczystość Zoja kupiła u Axelle.

– To wpłynie korzystnie na moje interesy! Mogłabym napisać w swojej kolejnej ulotce reklamowej, że hrabianka Zoja kupuje u mnie!

Pozostały wiernymi przyjaciółkami i wiedziały obie, że nic nie mogło tego zmienić.

Zoja i Simon długo zastanawiali się nad nazwą dla sklepu i wreszcie Simon zaśmiał się, z błyskiem w oku.

– Już wiem!

– Ja też – uśmiechnęła się Zoja z dumą – to będzie Hirsch and Co.

– Nie – skrzywił się słysząc tak mało romantyczną nazwę. – Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem. „Hrabianka Zoja”!

Zoi ta nazwa wydawała się zbyt pretensjonalna, ale w końcu Simon ją przekonał. Tego właśnie ludzie szukali, posmaku arystokratycznej tajemnicy, tytułu szlacheckiego, nawet jeśli by mieli go kupić, albo, jak

w tym przypadku, kupować ubrania wybrane dla nich przez hrabiankę. W gazetach pojawiły się niezliczone wzmianki o „Hrabiance Zoi” i po raz pierwszy od lat, Zoja zaczęła bywać na przyjęciach, na które była zapraszana. Przedstawiano ją: hrabianka Zoja i jej mąż pan Hirsch. Wszędzie, gdzie się pojawiała, wyglądając znakomicie w swoich prostych sukienkach od Chanel, Madame Gres albo Lanvina, otaczały ją roje osób z najlepszego towarzystwa. Ludzie nie mogli się doczekać otwarcia sklepu, a kobiety były przekonane, że po wyjściu z niego będą wyglądały dokładnie tak jak Zoja.

– Dokonałaś tego, moja miła – szepnął jej Simon.

Przyszło mnóstwo osób. Nie zabrakło nikogo z najważniejszych osobistości Nowego Jorku. Axelle przysłała jej wysokie na sześć stóp drzewko z maleńkich białych orchidei. Bonne chance, mon omie, Affectueusement, Axelle – przeczytała Zoja ze wzruszeniem napis na bileciku i spojrzała czule na Simona.

– To wszystko było twoim pomysłem.

– To było nasze wspólne marzenie.

Uśmiechnął się, było to w pewnym sensie ich dziecko. Sasza i Nicholas przyszli także. Dziewczynka ubrana była w piękną białą sukienkę z koronki, prostą, skromną, ale godną dzieci carskich, podobną do sukienek, jakie Zoja nosiła w dzieciństwie. Kupili ją dla niej w Paryżu. Nicholas wyglądał bardzo elegancko w swoim pierwszym w życiu smokingu, z diamentowymi spinkami do koszuli, które podarował mu Simon. Stanowili razem bardzo piękną rodzinę i fotografowie robili im mnóstwo zdjęć. Zoja wciąż musiała pozować w towarzystwie wystrojonych kobiet, które miały zostać jej przyszłymi klientkami. Od tamtego dnia jej sklep nigdy nie był pusty. Kobiety przyjeżdżały cadillacami, piercearrowsami i rollsroyce’ami. Od czasu do czasu podjeżdżał packard albo lincoln. Któregoś dnia Henry Ford przyjechał osobiście, żeby kupić futro dla swojej żony. Chociaż Zoja zaplanowała, że będzie miała ich w sklepie tylko kilka, chcąc sprzedawać przede wszystkim płaszcze Simona, Barbara Hutton zamówiła pelerynę z gronostajów, a pani Astor długie futro z soboli. Los „Hrabianki Zoi” pod koniec roku był już przesądzony, a sprzedaż w okresie Bożego Narodzenia przeszła wszelkie oczekiwania. Nawet dział męski, na drugim piętrze, bardzo elegancko urządzone, cieszył się dużym

powodzeniem. Mężczyźni dokonywali zakupów w pomieszczeniach obitych drewnem, w których znajdowały się piękne kominki, a ich kobiety, piętro niżej, w obitych szarym jedwabiem przymierzalniach, wydawały całe fortuny. To było więcej, niż Zoja mogła sobie wymarzyć, i w Sylwestra szczęśliwi państwo Hirsch wznosili szampanem toast.

– Za nas! – Zoja, ubrana w czarną welurową sukienkę od Diora, podniosła w górę swój kieliszek.

Simon uśmiechnął się tylko i wzniosł swój kieliszek jeszcze raz.

– Za „Hrabiankę Zoję”!



## Rozdział czterdziesty drugi

Pod koniec następnego roku Zoja musiała otworzyć jeszcze jedno piętro. Okazało się więc, że decyzja Simona, żeby kupić cały budynek, była prorocza. Dział męski został przeniesiony na górę, a na drugim piętrze Zoja zaczęła sprzedawać futra i najbardziej ekskluzywne sukienki, urządziła też niewielki butik dla dzieci swoich klientów. Małe dziewczynki mogły tam teraz wybierać sukienki na przyjęcia i pierwszy bal. Zaczęła sprzedawać nawet stroje do chrztu, sprowadzane przeważnie z Francji, wszystkie tak piękne jak te, które w dzieciństwie widywała w carskiej Rosji. Córka Zoi uwielbiała tam przychodzić i wybierała sobie sukienki, kiedy tylko miała na to ochotę, ale Zoja w końcu ukróciła te praktyki. Saszę opanowała żądza kupowania drogich strojów, a matka nie zamierzała jej pobbłażać.

– Dlaczego nie? – nadąsała się Sasza, kiedy Zoja powiedziała jej, że nie może kupować za każdym razem, kiedy przyjdzie jej taka fantazja.

– Ponieważ masz już mnóstwo ładnych rzeczy w swojej szafie i wyrośniesz z niektórych, zanim kiedykolwiek zdążysz je włożyć. Dziewczynka miała trzynaście lat, była wysoka i szczupła, podobnie jak jej babka Natalia. Przerosła już swoją matkę prawie o głowę. Nicholas przewyższał je obie mając siedemnaście lat. Był już w ostatniej klasie i szykował się do pójścia do Princeton.

– Chciałbym móc teraz zająć się biznesem, tak jak ty – powtarzał często, patrząc z podziwem na Simona.

Simon okazywał im wszystkim mnóstwo dobroci i Nicholas go uwielbiał.

– Pewnego dnia tak się stanie, synu. Ale nie śpiesz się tak bardzo. Gdybym ja miał szansę studiować na uczelni tak jak ty, byłbym tym zachwycony.

– Czasami wydaje mi się, że to strata czasu – wyznał Nicholas, ale wiedział, że jego mama oczekiwała od niego, że pójdzie do Princeton. Ponieważ nie było to zbyt daleko od domu, planował sobie, że będzie przyjeżdżał do miasta, kiedy tylko mu się uda. Prowadził bogate życie towarzyskie, ale jednocześnie dobrze się uczył, w przeciwieństwie do swojej siostry. Sasza była trzynastoletnią piękną i z łatwością mogła udawać, że jest o pięć lat starsza, gdy przechadzała się po pokoju w

sukienkach, które Zoja nadal jej kupowała.

– To jest zbyt dziecinne! – marudziła, zerkając łączywie na wiszące w sklepie suknie wieczorowe. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie do nich dorośnie.

A gdy Simon zaproponował jej kiedyś, że zabierze ją na najnowszy film Disneya „Królewna Śnieżka”, poczuła się głęboko dotknięta.

– Nie jestem już dzieckiem!

– Więc nie zachowuj się jak dziecko – podsumował ją Nicholas. Sasza zamiast oglądać filmy dla dzieci wolałaby tańczyć sambę i kongo, tak jak Simon i Zoja, kiedy chodzili wieczorem do „El Marocco”. Nicholas także chciał z nimi pójść, ale Zoja twierdziła, że jest jeszcze za młody. Simon zabrał ich za to do „21”, gdzie prowadzili poważne rozmowy o losie Żydów w Europie. Simon ogromnie się martwił tym, co Hitler wyprawiał pod koniec 1938 roku, i był pewien, że wybuchnie kolejna wojna. Ale nie wyglądało na to, by ktokolwiek inny w Nowym Jorku się tym przejmował. Ludzie chodzili na przyjęcia i bale, a ze sklepu Zoi znikwały kolejne sukienki. Zaczęła nawet rozważać możliwość dołączenia następnego piętra, ale chyba było na to jeszcze za wcześnie. Bała się, że może nastąpić zastój w interesie, lecz Simon śmiał się tylko z jej obaw.

– Przyjmij to wreszcie, kochanie, do wiadomości, że odniosłaś sukces! Nie będzie nigdy zastoju w interesie. Kiedy już to zrobiłaś, nie rozpadnie się. Swoje nazwisko wspierasz wysoką jakością i klasą. I dopóki to masz do zaoferowania, twoi klienci cię nie opuszczą. Bała się przyznać mu rację i pracowała ciężiej niż kiedykolwiek, do tego stopnia, że trzeba było szukać jej w sklepie, żeby ją zawiadomić, że Sasza została ponownie wydalona ze szkoły, akurat przed feriami świątecznymi. Umieścili ją w Lycee Francais, niedużej szkole prowadzonej przez dystyngowanego Francuza. Nie tolerował on jednak w szkole głupich wybryków i osobiście zadzwonił do Zoi, żeby poskarżyć się na zachowanie mademoiselle. Zoja wsiadła w taksówkę i udała się na Dziewięćdziesiątą Piątą Ulicę z zamiarem ubłagania go, żeby nie wyrzucił jej dziecka. Okazało się, że dziewczyna wagarowała i zapaliła papierosa na sali balowej w ratuszu.

– Musi ją pani ukarać, madame, zastosować wobec niej surową dyscyplinę, w przeciwnym razie obawiam się, że wszyscy któregoś dnia

będziemy gorzko żałować.

Ale po długiej rozmowie z Zoją zgodził się na pozostawienie Saszy w szkole. Miała być jednak przyjęta na okres próbny po feriach świątecznych. Simon obiecał, że będzie ją odwoził do szkoły, żeby mieć pewność, że tam dotarła.

– Czy myślisz, że powinnam wracać codziennie ze sklepu wtedy, kiedy ona wraca ze szkoły? – zapytała Simona wieczorem.

Miała większe niż kiedykolwiek poczucie winy z powodu wielu godzin, jakie spędzała w sklepie.

– Moim zdaniem, nie powinnaś – odparł Simon uczciwie, po raz pierwszy był wściekły na Saszę. – Ona ma już czternaście lat i powinna umieć zachowywać się przyzwoicie do szóstej, zanim wrócisz z pracy. Jednak wiedział, że czasami Zoja nie wracała do domu wcześniej niż po siódmej. W sklepie było zawsze mnóstwo do zrobienia, tak wiele potrzebnych zmian, które chciała wprowadzić, i specjalne zamówienia, których nie mogła zlecić komuś innemu. Na jej sukces składało się także to, że musiała być stale do dyspozycji klientów, którzy domagali się hrabianki Zoi.

– Nie możesz robić wszystkiego sama – mówił jej wiele razy Simon, ale ona uważała to za swój obowiązek, podobnie jak obowiązkiem było przebywanie w domu z dziećmi. Ale Nicholas miał już wtedy osiemnaście lat, a Sasza była tylko o cztery lata młodsza, trudno więc już było uważać ich za dzieci.

– Ona po prostu będzie musiała zacząć się dobrze zachowywać. I kiedy tego wieczora powiedział to samo Saszy, wybiegła z biblioteki i zatrzasnęła za sobą drzwi swojej sypialni, a Zoja się rozplakała.

– Czasami myślę, że ona płaci za życie, jakie przedtem prowadziłam – wydmuchała nos w chusteczkę Simona i podniosła na niego zasmucone oczy.

Sasza ogromnie ją martwiła, a Simon był zły na jej córkę z tego powodu.

– Ciągłe byłam w pracy, kiedy była mała, a teraz... wydaje się, że jest już za późno, żeby to nadrobić.

– Niczego nie musisz nadrabiać, Zoju. Ona ma wszystko, czego tylko zapragnie, a do tego matkę, która ją kocha.

Problem polegał na tym, że dziewczyna była zepsuta, ale on nie chciał

tego głośno mówić. Ojciec zaspokajał wszystkie jej zachcianki, kiedy była mała, a Nicholas i Zoja rozpieszczali ją przez wszystkie następne lata. Zoja miała taki sam stosunek do Nicholasa, ale on dzięki temu stał się jeszcze bardziej czuły i uważny, był wdzięczny za wszystko, co Simon dla niego zrobił, w przeciwieństwie do Saszy, która codziennie miewała humory i wciąż domagała się czegoś nowego. Jeśli nie była to nowa sukienka, to żądała nowej pary butów, musiała pojechać na jakąś wycieczkę albo lamentowała, że nie pojechali do St. Moritz, albo że nie mieli domu na wsi. Ale mimo fortuny, jaką zrobił Simon, ani on, ani Zoja nie mieli upodobania do luksusów. Ona zaznała tego wszystkiego przedtem i teraz o wiele ważniejsze dla niej było uczucie, które łączyło ją z Simonem.

Zoja tak bardzo się martwiła o Saszę, że prawie im to zepsuło świąteczne wakacje. Po prawosławnym Bożym Narodzeniu Zoja wyglądała jakby była chora. Twarz miała bladą, pracowała w sklepie o wiele za ciężko, jakby chciała tam utopić swoje smutki. Żeby ją trochę rozweselić, Simon oświadczył, że zabiera ją, bez dzieci, na narty do Sun Valley. To rozwścieczyło Saszę jeszcze bardziej. Chciała jechać z nimi, ale Simon powiedział stanowczo, że musi zostać w Nowym Jorku i chodzić do szkoły. Zrobiła więc wszystko, żeby zepsuć im ten wyjazd. Zadzwoiła do nich mówiąc, że pies jest chory, a Nicholas powiedział im następnego dnia, że to było kłamstwo. Wylała atrament na dywan w swoim pokoju i znowu poszła na wagary, o czym szkoła zawiadomiła ich telefonicznie. Zoja pragnęła tylko jak najprędzej wrócić do domu i przywołać ją do porządku. Martwiła się tak bardzo, że przez całą powrotną drogę źle się czuła i kiedy przyjechali do Nowego Jorku, Simon nalegał, żeby poszła do lekarza.

– Nie mów bzdur, Simonie, jestem po prostu zmęczona – odburknęła, co było zupełnie nie w jej stylu.

– Nie obchodzi mnie to. Wyglądasz strasznie. Nawet moja mama powiedziała, że się o ciebie martwi, po tym, jak cię wczoraj zobaczyła. To Zoję rozśmieszyło, gdyż Sofia Hirsch zwykle interesowała się jej wyznaniem, a nie zdrowiem. W końcu jednak zgodziła się pójść w przyszłym tygodniu do lekarza, choć wydawało jej się to bez sensu. Uważała, że jest tylko przepracowana, poza tym wciąż martwiła się Saszą, chociaż dziewczynka wydawała się trochę spokojniejsza, odkąd

wrócili z Sun Valley.

Jednak Zoja zupełnie nie była przygotowana na to, co lekarz powiedział jej po zbadaniu.

– Jest pani w ciąży, pani Hirsch – uśmiechnął się ciepło znad biurka – czy może powinienem panią nazywać hrabianką Zoją?

– Co takiego?

Patrzyła na niego, nie wierząc własnym uszom. Miała czterdzieści lat i ostatnią rzeczą, jakiej by pragnęła, było dziecko, nawet dziecko Simona. Dwa i pół roku wcześniej, kiedy się pobierali, umówili się, że to nie wchodzi w rachubę. Wiedziała, że Simon trochę żałował, ale teraz, kiedy miała sklep, byłoby to zupełnie niedorzeczne. To jest niedorzeczne, pomyślała patrząc na lekarza z niedowierzaniem.

– To niemożliwe!

– A jednak tak jest. – Zadał jej jeszcze parę pytań i obliczył, że dziecko powinno przyjść na świat około pierwszego września. – Czy mąż się ucieszy?

– Ja... on... – Zoja prawie zaniemówiła, łzy stanęły jej w oczach, i obiecując, że wróci za miesiąc, wyszła pospiesznie z gabinetu.

Tego wieczora, podczas kolacji prawie w ogóle się nie odzywała i Simon zerkał na nią od czasu do czasu z zatroskaniem. Zaczekał, aż będą sami w bibliotece, i dopiero wtedy zapytał, co powiedział lekarz.

– Czy coś jest nie tak?

Wiedział, że nie mógłby znieść, gdyby coś się jej stało, jednocześnie widział w jej oczach, że strasznie się czymś martwiła.

– Simon... – spojrzała na niego przygaszonym wzrokiem. – Jestem w ciąży.

Wlepił w nią oczy, a potem nagle zerwał się, podszedł do niej i wziął ją w ramiona wykrzykując radośnie.

– Och, kochana moja... kochana!... o Boże, kocham cię!

Kiedy spojrzała na niego, zobaczyła, że płakał i śmiał się jednocześnie, i nie miała serca mu wyznać, że przez cały wieczór myślała o aborcji.

Wiedziała, że to bywało niebezpieczne, ale słyszała, że kilka jej klientek zrobiło to i nic im się nie stało, a ona była o wiele za stara na to, żeby mieć dziecko. Nikt nie rodził dzieci mając czterdzieści lat!

Przynajmniej ona o nikim takim nie słyszała. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zrobiłby tego. Znowu łzy napłynęły jej do oczu i patrzyła

na swojego męża z rozdrażnieniem.

– Jak możesz się tak cieszyć? Mam czterdzieści lat, jestem za stara, żeby rodzić dzieci.

Simon znowu się zmartwił, widząc, jak Zoja płacze.

– Czy to powiedział ci lekarz?

– Nie – odparła ze złością i wytarła nos – powiedział: moje gratulacje! – Simonowi chciało się tylko śmiać, kiedy patrzył, jak chodziła wściekła po pokoju. – Co będzie ze sklepem? Simon, zastanów się nad tym. A co z dziećmi?

– To im dobrze robi – usiadł spokojnie na krześle z miną taką, jakby podbił cały świat. – Nicholas pójdzie w przyszłym roku do college’u i myślę, że będzie się cieszył razem z nami. A Saszy to też może dobrze zrobić, kiedy przestanie być wreszcie dzieckiem. W każdym razie będzie musiała się przestawić. I sklep też się nie zawali. Możesz codziennie tam chodzić na parę godzin, a potem weźmiemy niańkę... Wszystko już zdążył zaplanować i Zoję kompletnie to zirykowało. Pracowała tak ciężko, a Sasza była tak kapryśna... to była dokładnie ta rzecz, której nie potrzebowała w swoim życiu, dziecko, które jeszcze bardziej zburzyłoby jej równowagę.

– Kilka godzin? Sądziś, że mogę prowadzić ten sklep poświęcając temu tylko parę godzin dziennie? Simon, ty chyba zwariowałeś!

– Nie, nie zwariowałem – powiedział uśmiechając się spokojnie – zwariowałem jedynie na punkcie swojej żony... – Patrzył na nią rozpromienionym wzrokiem i wyglądał znowu jak chłopiec. W wieku czterdziestu trzech lat miał zostać ojcem. – Będę tatusiem!

Był taki zadowolony, że poczuła się zrezygnowana, usiadła załamana na kanapie i zaczęła płakać jeszcze bardziej.

– Och, Simonie... jak to się mogło stać?

– Chodź do mnie – przysunął się bliżej i otoczył ją ramieniem – wyjaśnię ci, jak to się dzieje...

– Simon, przestań!

– Dlaczego? Przecież nie możesz już zająć w ciążę.

Bawiło go tym bardziej, że Zoja była zawsze niezwykle ostrożna, ale los rozdaje karty po swojemu i Simon nie miał zamiaru pozwolić, by to zmieniała. Zdążyła już coś mgliście wspomnieć, że jeszcze dałoby się wszystko „naprawić”, a on zrozumiał, co miała na myśli, ale nie brał

tego w żadnym wypadku pod uwagę. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby ryzykowała życie dokonując aborcji dziecka, którego zawsze pragnął.

– Zoju... kochanie... uspokój się na chwilkę i pomyśl. Możesz pracować tak długo, jak tylko będziesz w stanie. Będziesz pewnie mogła codziennie siedzieć w swoim biurze, dopóki dziecko nie przyjdzie na świat, pod warunkiem, że nie będziesz się przepracowywała. A potem będziesz mogła wrócić do pracy i nic się nie zmieni, tyle tylko, że będziemy mieli swoje własne śliczne małe dzieciątko, które będziemy kochali do końca życia. Czy to jest takie straszne, najdroższa?

Nie wydawało się takie, kiedy mówił o tym w taki sposób i był taki dobry dla jej dzieci, że nie mogła mu odmówić jego własnego.

Westchnęła i znowu wydmuchała nos.

– Będzie się ze mnie śmiało, jak urośnie, będzie myślało, że jestem jego babcią, a nie mamą!

– Nie, jeśli będziesz taka jak teraz, a nie wydaje mi się, by to się miało zmienić.

Wciąż była piękna i wyglądała niemal dziewczęco mimo swoich czterdziestu lat. Jedyne faktu posiadania siedemnastoletniego syna potwierdzał jej wiek. Była z niego taka dumna, że bez przerwy o nim mówiła. Gdyby nie to, nikt by się nie domyślił, że miała więcej niż trzydzieści lat.

– Kocham cię bardzo – zapewniał ją Simon, ale Zoja pomyślała o Saszy i zbladła.

– Co my jej powiemy?

– Podzielimy się z nią nowiną – uśmiechnął się łagodnie do swojej żony – że będziemy mieli dziecko.

– Myślę, że się zdenerwuje.

Jak się okazało, było to bardzo delikatnie powiedziane. Żadne z nich nie przewidziało huraganu, jaki uderzył w Park Avenue, kiedy Zoja powiedziała swojej córce, że spodziewa się dziecka.

– Co takiego? To jest najobrzydliwszą rzeczą, jaką słyszałam w życiu! Co ja, do licha, powiem moim koleżankom? Cała szkoła mnie wyśmieje i to wszystko przez ciebie! – wściekała się, a Zoja patrzyła na nią ze smutkiem.

– Kochanie, to nie ma wpływu na to, jak bardzo cię kocham. Czy nie widzisz tego? – powiedziała z poczuciem bezsilności.

– Nie obchodzi mnie to! I nie chcę tutaj z tobą mieszkać, jeśli będziesz miała dziecko.

Trzasnęła drzwiami i zniknęła, nie zjawiwszy się wieczorem po szkole. Dopiero po dwóch dniach odkryli, że mieszkała u swojej przyjaciółki. Zoja i Simon zdążyli do tego czasu zadzwonić na policję. Kiedy spotkali się z nią w pokoju gościnnym u jej przyjaciółki, ich twarze były ściągnięte smutkiem, a Sasza patrzyła na nich zbuntowana. Zoja poprosiła ją spokojnie, żeby poszła z nimi do domu, Sasza odmówiła, i nagle, po raz pierwszy, Simon wpadł w furję.

– Zbieraj swoje rzeczy, natychmiast! Zrozumiałas?

Złapał ją za ramię i potrząsnął mocno, a ona patrzyła na niego zaskoczona. Nigdy przedtem czegoś takiego nie zrobił i Sasza sądziła, że był bezgranicznie cierpliwy. Jednak nawet Simon miał swoją wytrzymałość.

– A teraz idź po swój kapelusz i płaszcz, i co tam jeszcze ze sobą przyniosłaś, wracasz z nami do domu, czy ci się to podoba, czy nie. I będziesz się zachowywała jak należy, Saszo, a jak nie, to powiem, żeby cię zamknęli w jakimś zakonie.

Dziewczyna gotowa była w to uwierzyć. Simon nie chciał, żeby jego żona poroniła przez swoją zepsutą, rozwydrzoną córkę. Po chwili Sasza wróciła ze swoimi rzeczami. Wydawała się przygnębiona i trochę przestraszona tym, co powiedział Simon. Zoja przeprosiła gorąco matkę przyjaciółki Saszy, zeszli we troje na dół i pojechali do domu. Gdy tylko przekroczyli próg mieszkania, Simon powiedział jej, co o tym wszystkim sądzi.

– Jeżeli kiedykolwiek ośmielisz się znowu sprawiać swojej mamie jakieś kłopoty, Saszo Andrews, zbiję cię na kwaśne jabłko, rozumiałaś?

Chociaż krzyczał, Zoja uśmiechała się w duchu. Wiedziała, że nigdy nie podniósłby ręki na dziecko ani na nikogo, ale był tak wściekły, że aż zbladł. Nagle przestraszyła się, że dostanie ataku serca, jak kiedyś Clayton.

– Idź do swojego pokoju, Saszo – powiedziała chłodno i dziewczyna niespodziewanie posłuchała, zaskoczona ich reakcją. Nicholas wszedł cicho do pokoju i popatrzył na nich.

– Powinniście byli to zrobić już dawno temu. Myślę, że ona właśnie



tego potrzebuje. Zdecydowanego i solidnego kopniaka w tylną część ciała. – Po czym roześmiał się łobuzersko. – Mógłbym go za ciebie wykonać, w każdej chwili, jeśli zechcesz. – Odwrócił się do swojej matki z uśmiechem, który tak bardzo przypominał jej własnego brata. – Chciałbym, żebyś wiedziała, że moim zdaniem to jest cudowne, że będziecie mieli dziecko.

– Dziękuję ci, kochanie – podeszła i otoczyła ramieniem swojego przystojnego, wysokiego syna, patrząc na niego czule.

– Nie będziesz się wstydził, że twoja stara matka będzie miała dzidziusia?

– Gdybym miał starą matkę, może by tak było. – Uśmiechnął się do niej, a jego spojrzenie napotkało pełne miłości oczy Simona.

Podszedł i objął go.

– Gratuluję, Tato – powiedział cicho, a Simonowi napłynęły do oczu łzy.

Pierwszy raz chłopiec zwrócił się do niego w ten sposób. Zaczęło się nowe życie, nie tylko dla Simona i Zoi, ale dla nich wszystkich.

## Rozdział czterdziesty trzeci

W kwietniu 1939 roku na Flushing Meadows odbywały się Światowe Targi i Zoja chciała koniecznie tam pójść i zobaczyć, lecz Simon uważał, że nie powinna. Panował tam straszny tłok, a ona była w czwartym miesiącu ciąży. Cały czas normalnie pracowała, tylko była trochę bardziej ostrożna. Zamiast niej Simon poszedł z dziećmi na Targi. Oboje byli zachwyceni tym, co zobaczyli. Nawet Sasza zachowywała się przyzwoicie, tak zresztą jak na ogół od pamiętnego wybuchu Simona. Ale nadał dokuczala Zoi, kiedy tylko mogła to zrobić bezkarnie. Niestety, zdarzało się to dość często.

W czerwcu PanAm rozpoczął pierwsze loty pasażerskie przez Atlantyk i Nicholas za wszelką cenę chciał polecieć do Europy na „Dixie Clipperze”, ale Simon mu nie pozwolił. Uważał, że było to zbyt niebezpieczne, a jeszcze bardziej obawiał się tego, co działo się w Europie. Wiosną popłynęli tam z Zoją powtórnie, na „Normandie”, żeby kupić jakieś rzeczy do sklepu i tkaniny do nowej kolekcji płaszczy Simona. Ale wszędzie dostrzegał napięcie i jeszcze silniejsze nastroje antysemickie. Zrodziło to w nim pewność, że będzie wojna, i zamiast podróży do Europy, zaproponował Nicholasowi wyprawę do Kalifornii, na zakończenie szkoły. Chłopiec poleciał do San Francisco i wrócił oczarowany wszystkim, co tam zobaczył. Rozbawiły go rozmiary jego mamy, kiedy ją ujrzał po powrocie. W sierpniu przestała w końcu chodzić do swojego sklepu, ale za to dzwoniła tam co pół godziny. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić, kiedy nie mogła pracować. Simon przynosił jej cukierki, książki i czasopisma, które najbardziej lubiła, ale pod koniec sierpnia nie mogła już myśleć o niczym innym, jak tylko o urzędzeniu pokoju dziecinnego obok biblioteki. Simon znajdował ją tam codziennie, układającą maleńkie ubranka dla dziecka.

Nigdy wcześniej nie znał jej od tej strony. Nawet rzeczy w jego szafach uporządkowała i poprzestawiała meble w ich sypialni.

– Może byś się trochę uspokoiła, Zoju – żartował sobie – boję się wracać wieczorem do domu. Może się zdarzyć, że usiądę na krześle, którego już nie ma w tym miejscu.

Zaczerwieniła się, gdyż sama zdawała sobie z tego sprawę.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Ciągle odczuwam jakąś dziwną

potrzebę, żeby robić w domu porządki.

Przemeblowała także pokój Saszy, która przebywała akurat na obozie dla dziewcząt w Adirondacks. Dla Simona to była spora ulga, że nie musiał się o nią martwić w tamtym czasie. Wydawało się, że sprawy na obozie układały się pomyślnie. Raz tylko Sasza uciekła ze zbiórki, żeby pójść z koleżankami na tańce do pobliskiej wsi. Znalaziono ją tam na czele ustawionych w węża osób tańczących kongo i sprowadzono z powrotem do obozu, ale przynajmniej nikt nie groził, że odeśle ją do domu. Simon pragnął, żeby Zoja mogła się zrelaksować, zanim nadejdzie czas porodu.

Pod koniec sierpnia Niemcy i Rosja zaskoczyły świat podpisując pakt o nieagresji, ale Zoja wydawała się całkowicie obojętna na sprawy świata. Za bardzo była pochłonięta telefonowaniem do sklepu i dokonywaniem różnych zmian w mieszkaniu. Pierwszego września Simon po powrocie do domu zaproponował jej pójście do kina. Sasza miała wrócić następnego dnia wieczorem, a Nicholas w przyszłym tygodniu wyjeżdżał do Princeton. Wybrał się właśnie gdzieś z przyjaciółmi, żeby pokazać im samochód, który dostał od Simona i miał zabrać ze sobą do Princeton. Był to nowusienki ford kombi, prosto z linii produkcyjnej z Detroit, ze wszystkimi udoskonaleniami, jakie mieli do zaoferowania.

– Jesteś zbyt szczodry dla niego – Zoja uśmiechnęła się, wdzięczna jak zawsze za wszystko, co dla nich robił. Wracając wieczorem do domu wstąpił po drodze do sklepu i opowiedział Zoi wszystkie nowiny, zauważył przy tym, że wyglądała jeszcze bardziej niepokojąco niż rano.

– Dobrze się czujesz, kochanie?

– Dobrze.

Ale powiedziała, że jest zbyt zmęczona, by iść do kina. Położyli się spać o dziesiątej, a godzinę później zobaczył, że Zoja się kręci, a potem usłyszał cichy jęk. Kiedy zapalił światło, zobaczył, że leży przy nim z zamkniętymi oczami trzymając się za brzuch.

– Zoju?

Nie wiedział, co zrobić. Wyskoczył z łóżka i zaczął biegać po pokoju szukając swoich ubrań, niezdolny przypomnieć sobie, gdzie je położył.

– Nie ruszaj się. Wezwę lekarza.

Nie pamiętał nawet, gdzie jest telefon, aż Zoja zaczęła się z niego śmiać.

– Myślę, że to jakaś niestrawność.

Ale owa niestrawność w ciągu następnych dwóch godzin znacznie się pogorszyła i o trzeciej nad ranem Simon zadzwonił do odźwiernego, żeby wezwał taksówkę. Pomógł Zoi się ubrać i wsiąść do czekającego na dole samochodu. Prawie nie była w stanie już wtedy mówić i z trudem szła.

Simona ogarnęło przerażenie. Nawet przestało mu zależeć na dziecku, chciał tylko, żeby jej się nic nie stało. Odchodził od zmysłów, kiedy odwożono ją na wózku szpitalnym, i przemierzał korytarze szpitala aż do wschodu słońca. Zerwał się na równe nogi, gdy godzinę później pielęgniarka dotknęła jego ramienia.

– Czy wszystko jest z nią w porządku?

– Tak – pielęgniarka uśmiechnęła się – ma pan ślicznego chłopczyka, panie Hirsch.

Popatrzył na nią i rozplakał się, a ona dyskretnie odeszła. Pół godziny później pozwolono mu zobaczyć Zoję. Drzemała spokojnie, trzymając dziecko w ramionach, kiedy wszedł na palcach do pokoju i stanął w zachwycie oglądając swego synka po raz pierwszy. Miał puszek czarnych włosów na główce, a jego maleńka rączka obejmowała palec matki.

– Zoju? – wyszeptał stojąc w dużym słonecznym pokoju szpitalnym. – Jaki on śliczny...

Zoja otworzyła oczy i uśmiechnęła się do niego. Poród był trudny, bo chłopiec był bardzo duży, ale mimo to cały czas czuła, że było warto cierpieć.

– Jest podobny do ciebie – powiedziała, jej głos był jeszcze zachrypnięty od środka znieczulającego.

– Biedactwo.

Łzy mu znowu napłynęły do oczu. Pochylił się, żeby ją pocałować. Nigdy w życiu nie czuł się tak bardzo szczęśliwy i Zoja także wydawała się taka szczęśliwa i dumna, kiedy delikatnie gładziła czarne jedwabiste włoski swego synka.

– Jak mu damy na imię?

– Może Matthew? – szepnęła Zoja, kiedy Simon mu się przyglądał.

– Matthew Hirsch.

– Matthew Simon Hirsch – powiedziała i odplynęła znowu w sen,

trzymając dziecko w ramionach, a jej mąż patrzył na nich, potem ją pocałował zraszając łzami radości jej rude włosy rozpuszczone na poduszce.

## Rozdział czterdziesty czwarty

Matthew Simon Hirsch ukończył pierwszy dzień swego życia, kiedy w Europie wybuchła wojna. Po dokonaniu przez Niemców napadu na Polskę Wielka Brytania i Francja, jako sojusznicy Polski, wypowiedziały im wojnę. Simon przyszedł do pokoju Zoi i z ponurą miną podzielił się z nią tą wiadomością, ale po chwili prawie o tym zapomniał trzymając w ramionach Matthew, który głośnym płaczem domagał się matki.

Kiedy Zoja wróciła do domu, przywitała ją Sasza. Nawet ona nie mogła się oprzeć ślicznemu maleństwu, które tak bardzo było podobne do Simona.

– Nos ma mamy – ogłosiła z zadowoleniem, kiedy trzymała go po raz pierwszy, zafascynowana tym, że wszystko było takie doskonałe i maleńkie. Ponieważ miała dopiero czternaście lat, nie wpuścili jej do szpitala, ale Nicholas zdążył zobaczyć swojego braciszka, zanim wyjechał do Princeton.

– I ma moje uszy – chichotała Sasza – ale resztę ma Simona.

27 września, po brutalnym ataku, Warszawa poddała się, ponosząc ogromne straty w ludziach. Simon był załamany tymi wiadomościami; rozmawiali o tym z Zoją do późna w nocy. Zoja przypomniawszy sobie rewolucję. To, co się działo, było straszne. Simon rozpacział nad masakrą Żydów, jaka odbywała się wszędzie w Niemczech i wschodniej Europie. Robił, co mógł, żeby pomóc tym, którzy mogli się jakoś wydostać. Ustanowił fundusz zapomogowy i próbował załatwić dokumenty umożliwiające wyjazd swoim krewnym w Polsce, z którymi nigdy przedtem się nie kontaktował. Ludzie w Europie dzwonili z budek telefonicznych do różnych osób w Nowym Jorku, które miały podobne nazwiska i błagali je o pomoc. Simon nikomu nie odmawiał, ale mógł pomóc tylko niewielkiej garstce. Reszta była prowadzona na śmierć, zamykana w obozach koncentracyjnych albo rozstrzeliwana na ulicach Warszawy.

Kiedy Matthew miał trzy miesiące, Zoja wróciła do pracy. Tego dnia Rosja zaatakowała Finlandię. Simon śledził uważnie wiadomości napływające z Europy, szczególnie te, które Edward R. Murrow nadawał z Londynu.

Nadszedł pierwszy grudnia i Zoja była podekscytowana tłumami, które napływały do „Hrabianki Zoi”, a kiedy Sasza wróciła ze szkoły, poszli wszyscy zobaczyć „Czarnoksiężnika z Oz”. Nicholas przyjechał właśnie do domu z Princeton, cieszył się, że może przebywać z rodziną, chociaż podczas tych ferii wiele rozmawiał z Simonem o niepokojącej sytuacji na świecie.

W następnym roku udał się do Kalifornii na letnie wakacje. Zoja nie mogła pojechać do Europy, z powodu trwającej tam wojny, musiała więc współpracować z projektantami amerykańskimi. Szczególnie lubiła Normana Norella i Tony Traina. Był wrzesień 1941 roku i Simon był przekonany, że ich kraj włączy się do wojny, ale Roosevelt cały czas twierdził, że to nie nastąpi. Wojna z pewnością nie zaszkodziła sklepowi, był to najlepszy rok dla Zoi. W czwartym roku od otwarcia sklepu zajęła już wszystkie pięć pięter budynku kupionego dzięki rozsądkowi Simona. Simon nabył jeszcze cztery zakłady tkackie na południu i jego interesy szły znakomicie. Zoja prowadziła cały dział z jego płaszcami i zawsze sobie z niego żartowała nazywając go swoim ulubionym dostawcą.

Mały Matthew skończył już dwa latka i był oczkiem w głowie każdego, nawet Saszy, która była rozkwitającą szesnastolatką, i według powszechnych kryteriów, zapierającą dech pięknnością. Była wysoka i szczupła jak matka Zoi, ale zamiast królewskiego chłodu Natalii, miała zmysłowość, która przyciągała do niej mężczyzn jak pszczoły do miodu. Zoja była wdzięczna losowi za to, że dziewczyna nadal chodziła do szkoły i prawie już od roku nie popełniła żadnego wykroczenia. W nagrodę Simon obiecał, że zabierze wszystkich zimą na narty do Sun Valley i Nicholas nie mógł się doczekać, kiedy do nich dołączy.

Siedzieli w bibliotece omawiając swoje plany. Był siódmy września. Simon włączył radio. Kiedy był w domu, lubił słuchać wiadomości. Trzymał na kolanach Matthew i nagle jego twarz stężała. Przekazał chłopczyka Saszy i wybiegł do sąsiedniego pokoju poszukać Zoi. Znalazł ją w sypialni, dokąd wpadł z pobladłą twarzą.

– Japończycy zbombardowali Pearl Harbor na Hawajach!

– O Boże...

Zaciągnął ją do pokoju, gdzie było radio, żeby wysłuchała z nim wiadomości, a spiker, w rytmie staccato, wyjaśniał, co się stało.

Wszyscy stali przygwożdżeni do swoich miejsc, tylko mały Matthew ciągnął Zoję za spódnicę chcąc zwrócić na siebie jej uwagę. Wzięła go na ręce i przytuliła. Myślała tylko o tym, że Nicolas miał dwadzieścia lat. Nie chciała, żeby umierał tak jak jej brat w Pułku Preobrażeńskim.

– Simon... co teraz będzie?

Ale w miarę jak słuchali, instykt podpowiedział jej, że przewidywania Simona się spełniły. Ich kraj przystąpi do wojny. Ogłosił to prezydent Roosevelt, z głębokim żalem w głosie, ale nie tak wielkim jak żal, który czuła Zoja. Simon zaciągnął się do wojska następnego dnia rano. Miał czterdzieści pięć lat i Zoja błagała go, żeby tego nie robił, ale on tylko popatrzył na nią smutno, gdy wrócił do domu.

– Muszę, Zoju. Nie mógłbym spojrzeć sobie w twarz, gdybym został tutaj i siedział na tyłku, nie robiąc nic, żeby obronić mój kraj.

Robił to nie tylko dla swojego kraju, ale także dla Żydów w Europie. Na całym świecie niszczone podstawy wolności i nie mógł siedzieć beczynnje.

– Proszę... – błagała go Zoja – Simon, proszę cię... Ogarnął ją ogromny smutek. – Nie mogłabym żyć bez ciebie. – Przeszła już przez to dawniej, kiedy utraciła swoich bliskich, i wiedziała, że drugi raz już by tego nie przeżyła... tylko nie Simon, taki łagodny, dobry i kochany. – Za bardzo cię kocham. Nie odchodź. Błagam... – jej serce było ściśnięte smutkiem, ale nie potrafiła go od tego odwieść.

– Zoju, ja muszę.

Tej nocy leżeli obok siebie w łóżku i dotykał jej delikatnie swoimi wielkimi rękami, które z taką czułością trzymały ich synka, a teraz te ręce gładziły ją i przytulały, kiedy płakała przepełniona strachem, że utraci mężczyznę, którego tak bardzo kocha.

– Nic mi się nie stanie.

– Tego nie wiesz. Za bardzo jesteś nam potrzebny, żebyś mógł odejść. Pomyśl o Matthew.

Gotowa była powiedzieć wszystko, żeby go zatrzymać, ale nawet to go nie przekonało.

– Myślę o nim. Nie będzie warto żyć na takim świecie, jaki będzie, gdy on dorośnie, jeśli nie staniemy teraz do walki o godność i o to, co jest dobre.

Wciąż ubolewał nad tym, co stało się dwa lata wcześniej w Polsce. Ale



teraz jego własny kraj został zaatakowany, było więc dla niego jasne, że nie ma innego wyboru. I nawet namiętna miłość Zoi tej nocy i ponowione błagania nie były w stanie go zawrócić. Kochał ją bardzo, ale równie mocno był przekonany, że musi pójść walczyć. Jego miłość do Zoi mogła się równać jedynie z jego poczuciem obowiązku wobec ojczyzny.

Został wysłany na ćwiczenia do Fort Benning w Georgii i trzy miesiące później wrócił do domu na dwa dni, zanim udał się do San Francisco. Zoja chciała pojechać do małego domku pani Whitman, żeby spędzić ten czas tylko z nim, ale Simon czuł, że powinien spędzić te ostatnie dni w domu z dziećmi. Nicholas przyjechał z Princeton, żeby go odprowadzić, i mężczyźni uścisnęli sobie dłonie z powagą na Grand Central Station.

– Opiekuj się za mnie swoją matką – powiedział Simon spokojnie w otaczającym go zgiełku dworca. Jak zawsze łagodny i opanowany. Nawet Sasza płakała. Matthew płakał także, chociaż nie bardzo rozumiał, co się dzieje. Wiedział tylko, że jego tatuś gdzieś wyjeżdżał i jego mama i siostra płakały, a starszy brat też miał bardzo smutną minę. Nicholas objął mężczyznę, który był jego ojcem przez ostatnie pięć lat. Simon miał łzy w oczach, kiedy powiedział do niego:

– Dbaj o siebie, synu.

– Ja też chcę pójść do wojska. – Powiedział to cicho, tak żeby jego matka nie usłyszała.

– Jeszcze nie teraz – odparł Simon. – Postaraj się skończyć szkołę. Mogą i tak cię powołać.

Ale chłopak nie chciał być powołany, chciał pojechać do Anglii i latać na samolotach. Myślał o tym już od wielu miesięcy i kiedy nadszedł marzec, nie mógł już dłużej się powstrzymywać. Simon był wtedy na Pacyfiku i Nicholas powiedział im o wszystkim w dniu siedemnastych urodzin Saszy. Zoja nie chciała o niczym słyszeć, krzyczała na niego i płakała.

– Czy nie wystarczy, że twój ojciec poszedł, Nicholasie?

Zaczęła nazywać Simona w ten sposób i Nicholas nie miał nic przeciwko temu. Kochał go jak własnego ojca.

– Mamo, muszę to zrobić. Czy nie możesz tego zrozumieć?

– Nie, nie mogę. Dlaczego nie miałbyś zostać, tu gdzie jesteś, dopóki

cię nie powołają? Simon chce, żebyś skończył szkołę. Sam ci to powiedział.

Próbowała rozpaczliwie przemówić mu do rozsądku, ale przez cały czas czuła, że nie uda się go od tego odwieść. Siedziała z nim w pokoju gościnnym i płakała. Tęskniła przeraźliwie za Simonem i perspektywa tego, że Nicholas także odejdzie, była nie do zniesienia.

– Mogę wrócić do Princeton po wojnie.

Bardzo podobało mu się na uczelni, ale chciał wejść w prawdziwy świat, pracować tak jak Simon, a teraz walczyć tak jak on walczył na Pacyfiku. Simon pisał do nich, kiedy tylko mógł, opowiadając tyle, na ile pozwalała mu tajemnica wojskowa, o tym, co działo się dookoła niego. Ale Zoja pragnęła, jeszcze bardziej niż przedtem, żeby był teraz w domu i przekonał Nicholasa do powrotu na uczelnię. Po dwóch dniach sporów wiedziała, że poniosła porażkę. Trzy tygodnie później Nicholas wyjechał do Anglii na ćwiczenia. Siedziała w mieszkaniu samotna, rozmyślając z goryczą o tych, których już utraciła, i lękając się, że może się to stać znowu... straciła ojca, brata i w końcu ojczyznę, a teraz jej mąż i syn poszli na wojnę. Saszy nie było w domu i Zoja siedziała wpatrując się w przestrzeń. Nawet nie usłyszała dzwonka do drzwi. Zadzwoił znowu i jeszcze raz. Pomyślała, że może by w ogóle nie otwierać, ale w końcu ociągając się, wstała. Nie miała ochoty nikogo widzieć. Pragnęła tylko, żeby oni dwaj wrócili do domu, zanim stanie się jakieś nieszczęście. Wiedziała, że gdyby coś im się stało, nie zniosłaby tego.

– Kto tam?

Godzinę temu wróciła ze swojego sklepu, ale nawet to nie mogło wystarczająco zająć jej myśli w tamtych dniach. Niczym się nie interesowała, myślała obsesyjnie o Simonie, a teraz jeszcze zaczęła się martwić o Nicholasa, który latał w Europie na bombowcach.

Przed drzwiami stał zdenerwowany chłopiec w mundurze. W ciągu paru ostatnich miesięcy zdążył zniechęcić swoją pracę. Patrzył teraz na Zoję pragnąc, żeby to nie jego wysłali do niej. Wydawała się miłą kobietą, ze swoimi rudymi włosami związanymi z tyłu w misterny węzeł i z tym nic nie rozumiejącym uśmiechem, kiedy patrzyła na niego, niczego się nie spodziewając.

– Telegram dla pani – a potem patrząc na nią smutnymi oczami dziecka,

wymamrotał – przykro mi. – Wręczył jej go i odwrócił się. Nie chciał widzieć wyrazu jej oczu, kiedy otworzy telegram i przeczyta wiadomość. Czarna ramka mówiła wszystko i Zoja wstrzymała oddech. Zdumiona, rozdzierała papier drżącymi rękami... Przyjechała winda i wybawiła z przykrew sytuacji chłopca, który doręczył jej telegram. Już go nie było, kiedy czytała następujące słowa: „Z przykrością zawiadamiamy, że pani mąż, Simon Ishmael Hirsch został wczoraj zabity...” Reszta była już tylko ciemną plamą przed jej oczami, osunęła się na kolana i szlochając powtarzała jego imię... nagle przypomniała sobie Mikołaja, jak leżał zakrwawiony na marmurowej posadzce w pałacu na Fontance...

## Rozdział czterdziesty piąty

Sasza wróciła do domu i znalazła swoją matkę siedzącą w ciemności. Kiedy dowiedziała się dlaczego, raz w życiu zrobiła to, co należało. Zadzwoiła do Axelle, która przyjechała, żeby posiedzieć z Zoją i zaplanować uroczystości żałobne. Następnego dnia „Hrabianka Zoja” była zamknięta, a na drzwiach udrapowano czarną krepę. Axelle została przy Zoi, która siedziała drętwą, niezdolna myśleć logicznie ani zrobić nic więcej, jak tylko potakiwać Axelle, która planowała wszystko za nią. Wydawało się, że Zoja nie jest w stanie podjąć żadnej potrzebnej decyzji, co było bardzo do niej niepodobne.

Jej ostatnim aktem odwagi było pójście do rodziców Simona na Houston Street poprzedniego wieczora. Matka Simona rozpaczała i lamentowała w ramionach swojego męża. Zoja wyszła czym prędzej i potknąwszy się przy drzwiach, chwyciła się ramienia Saszy. Była oślepiona smutkiem i bólem z powodu utraty mężczyzny, którego tak kochała.

Uroczystości żałobne były dla niej udawką, z niezrozumiałymi modłami i głośnym zawodzeniem matki Simona. Zoja wspierała się na Axelle i Saszy, które potem odprowadziły ją do domu, gdzie płakała bez końca.

– Musisz wrócić do pracy tak szybko, jak tylko będziesz mogła – powiedziała Axelle prawie szorstko. Wiedziała, jak łatwo było poddać się, zrezygnować. Sama omal tego nie zrobiła, kiedy umarł jej mąż.

Zoja nie mogła sobie teraz pozwolić na ten luksus. Miała trójkę dzieci, o których musiała myśleć, i siebie. Już przedtem przeżywała tragedię. Musi przetrwać jeszcze raz. Ale ona tylko potrząsała głową, łzy nie przestawały płynąć strumieniami z jej oczu i patrzyła na Axelle pustym wzrokiem. Jakby już nie zostało jej nic, dla czego warto było żyć.

– Nie mogę teraz nawet myśleć o tym. Nie obchodzi mnie sklep. Nic mnie nie obchodzi. Tylko Simon.

– Ale musisz. Jesteś odpowiedzialna wobec swoich dzieci, wobec siebie, swoich klientów i... wobec Simona. Musisz to kontynuować, w imię pamięci o nim, budować dalej to, co on pomógł ci zacząć. Nie możesz się teraz poddać. Ten sklep był jego podarunkiem dla ciebie, Zoju.

To była prawda, ale sklep wydawał jej się czymś tak błahym teraz, tak

śmiesznie nieważnym. Skoro zabrakło Simona, czy cokolwiek mogło mieć jeszcze jakieś znaczenie?

– Musisz być silna. – Podała pięknej rudowłosej kobiecie szklanę brandy z jej barku i nalegała, żeby wzięła łyk. Przyglądała się jej. – Wypij wszystko. To ci dobrze zrobi. – Axelle poważnie traktowała swoją rolę opiekunki i Zoja uśmiechnęła się przez łzy do swojej przyjaciółki, po czym rozplakała się znowu.

– Nie po to przetrwałaś rewolucję i wszystko, co się wydarzyło potem, żeby teraz się poddawać, Zoju Hirsch.

Ale dźwięk jego nazwiska przy jej imieniu sprawił, że zaczęła płakać jeszcze bardziej. Axelle przychodziła do niej codziennie, dopóki nie przekonała Zoi, że musi wrócić do sklepu. Wreszcie, jakimś cudem, zgodziła się, ale poszła tylko na parę minut. Ubrała się w ponurą czerń, włożyła czarne pończochy, ale przynajmniej była z powrotem w biurze. Po paru dniach minuty zamieniły się w godziny. W końcu pewnego dnia usiadła na dłużej przy swoim biurku, wpatrując się w sufit i wspominając Simona przez większość dnia. Chodziła tam codziennie jak automat, ale Sasza zaczęła znowu sprawiać jej kłopoty. Zoja wiedziała, że traci nad nią kontrolę, jednak wtedy tym także nie potrafiła się przejąć. Wszystko co była w stanie zrobić, to trwać; dzień po dniu, godzina za godziną. Ukrywała się w swoim biurze, a wieczorem wracała do domu, żeby śnić o Simonie. Serce jej pękało, gdy patrzyła na małego Matthew, za bardzo przypominał swojego ojca. Prawnicy Simona dzwonili do niej od tygodni, lecz uniemożliwiała im wszelkie próby skontaktowania się z nią. Dwóch swoich lojalnych pracowników Simon uczynił odpowiedzialnymi za zakłady tekstylne i fabrykę, w której szyte były płaszcze. Wiedziała, że całkowicie panują nad sytuacją i że nie musi się tym zajmować. Miała dość problemów z prowadzeniem swojego sklepu. Rozmyślała właśnie o Simonie, wspominając weekend, który spędzili razem w Connecticut, kiedy jedna z jej asystentek zapukała delikatnie do drzwi.

– Hrabianko Zoju? – powiedziała kobieta przez drzwi, kiedy Zoja ocierała łzy. Siedziała przy swoim biurku, wpatrując się w fotografię Simona. Poprzedniego wieczora po raz kolejny pokłóciła się z Saszą, ale teraz nawet to wydawało się nieważne.

– Zaraz przyjdę. – Wytarła nos i przejrzała się w lusterku, żeby

poprawić makijaż.

– Jest tu ktoś, kto chce się z panią zobaczyć.

– Nie chcę nikogo widzieć – powiedziała spokojnie uchylając drzwi – proszę powiedzieć, że mnie nie ma. – Lecz potem jakby się zastanowiła. – Kto to jest?

– Pan Paul Kelly. Powiedział, że to coś ważnego.

– Nie znam go, Christine. Powiedz mu po prostu, że wyszłam.

Dziewczyna wydawała się zdenerwowana. Widok Zoi tak złamanej od czasu, gdy zginął jej mąż, był bardzo przygnębiający, ale nie należało się temu dziwić. W owych dniach wszystkie kobiety bały się o swoich mężów, braci, przyjaciół i zatrzymały je telegramy z czarną obwódką, takie jak ten, który doręczono Zoi.

Zoja znowu zamknęła drzwi, modląc się, żeby już nikt ważny nie przychodził. Nie mogła znieść współczujących spojrzeń, pocieszających słów. Sprawiały tylko, że czuła się jeszcze gorzej. Właśnie wtedy ktoś znowu zapukał do drzwi. Była to zdenerwowana Christine.

– On mówi, że zaczeka. Co mam teraz zrobić?

Zoja westchnęła. Nie miała pojęcia, kto to był. Może mąż jakiejś klientki, ktoś obawiający się, że powie żonie o jego kochance. Miewała czasami takie wizyty i zawsze uspokajała ich z uprzejmą powściągliwością. Ale od śmierci Simona nie miała do czynienia z tego rodzaju sprawami. Podeszła z powrotem do drzwi i otworzyła je, żeby ponownie porozmawiać ze swą asystentką. Wyglądała dość ponuro w swojej czarnej sukience i czarnych pończochach. A w jej oczach malował się bezgraniczny smutek.

– Dobrze. Wprowadź go.

Nie miała i tak nic innego do roboty. Nie mogła skupić się na niczym. Ani tutaj, ani też w domu, nie była dobrym towarzystwem dla nikogo. Stała spokojnie, kiedy Christine wprowadziła do środka wysokiego, przystojnego mężczyznę w ciemnoniebieskim garniturze, który miał białe włosy i niebieskie oczy. Uderzyło go, jaka była piękna i jak ponuro wyglądała w swoim czarnym ubraniu. Miał wrażenie, że jej oczy przenikają go na wskroś.

– Pani Hirsch? – Nieczęsto się zdarzało, by ktoś ją tak nazywał w tym miejscu i przytaknęła ze smutkiem, zastanawiając się, kim on jest, choć

w istocie nie obchodziło jej to zbyt.

– Słucham?

– Nazywam się Paul Kelly. Nasza firma zajmuje się... e... y... majątkiem pani męża.

Wydawała się całkowicie przeniknięta smutkiem, kiedy podawała mu rękę, zapraszając by usiadł na jednym ze stojących przy biurku krzeseł.

– Chcieliśmy koniecznie się z panią skontaktować – w jego głosie zabrzmiał delikatny wyrzut.

Zauważyła, że ma interesujące oczy. Miał irlandzką urodę i, jak trafnie odgadła, kiedyś jego włosy były kruczoczarne włosy, a teraz stały się białe jak śnieg.

– Nie odpowiadała pani na nasze telefony. – Ale teraz, kiedy ją widział, rozumiał dlaczego. Współczuł jej głęboko, bo ta kobieta była pogrążona w bezbrzeżnej rozpacz i smutku.

– Wiem. – Odwróciła wzrok. A potem z westchnieniem spojrzała na niego. – Szczerze mówiąc, nie chciałam niczego się od pana dowiadywać. To uczyniłoby wszystko zbyt rzeczywistym. To jest... – głos jej przeszedł w szept i znowu odwróciła wzrok – ... to jest dla mnie bardzo trudne.

Zapadła długa cisza, a on pokiwał głową, przyglądając się jej. Widział jak bardzo była nieszczęśliwa, ale jednocześnie, poza bólem, wyczuwał w niej ogromną siłę, siłę, o której ona sama zapomniała.

– Rozumiem. Ale musimy wiedzieć, jakie są pani życzenia w związku z niektórymi rzeczami. Chcieliśmy zaproponować formalne odczytanie ostatniej woli, ale być może w obecnej sytuacji... zawiesił głos, a jej oczy powoli skierowały się z powrotem na niego. – Być może wszystko, co powinna pani wiedzieć w tej chwili, to że pani mąż prawie wszystko, co posiadał, przekazał pani i swojemu synowi. Jego rodzice i dwaj wujowie otrzymali spore zapisy, podobnie jak pani dwoje dzieci, pani Hirsch. – A potem, nieco oficjalnie, kontynuował: – Bardzo szczerze zapisy, pozwolę sobie dodać, każdy wysokości miliona dolarów, jako fundusz powierniczy, oczywiście. Nie mogą niczego tknąć, dopóki nie uzyskają pełnoletności. Są jeszcze inne warunki powiernictwa, ale bardzo rozsądne, jestem o tym przekonany. Nasz urząd powierniczy pomógł mi w ułożeniu tego wszystkiego – przerwał, widząc wpatrzoną w siebie Zoję. – Czy coś się stało? – Nagle zaczął

żałować, że przyszedł. Ona naprawdę nie miała ochoty słuchać tego, co on mówił.

– Milion dolarów dla każdego?

To było więcej niż jej się kiedykolwiek śniło, a przecież to były jej dzieci, nie jego. Była oszołomiona. Ale to takie typowe dla Simona. Miłość do niego znowu przeszła jej serce.

– Tak, zgadza się. W dodatku, chciał zaproponować pani synowi stanowisko w swojej firmie, kiedy, oczywiście, do tego dorośnie. To jest duże przedsiębiorstwo; fabryka i sześć zakładów tekstylnych, jest czym kierować, szczególnie teraz, kiedy po jego wyjeździe pojawiły się kontrakty wojenne...

Mówił monotonna dalej, a Zoja próbowała wszystko ułożyć w jakąś całość. Jak bardzo to było w stylu Simona zabezpieczyć ich wszystkich i nawet zaplanować wprowadzenie Nicholasa, żeby kierował interesem razem z nim. To był cały Simon... gdyby tylko żył i był z nimi, zamiast tej całej fortuny.

– Jakie kontrakty?

Jej umysł powoli ożywał, było tak wiele rzeczy, o których trzeba było pomyśleć, tak wiele Simon zbudował, zupełnie z niczego. I czuła, że jest mu to winna, że musi spróbować i zrozumieć to wszystko.

– Nie wspominał mi o żadnych kontraktach wojennych.

– Kiedy wyjeżdżał, nie było to jeszcze nic pewnego. Zakłady tekstylne będą dostarczały materiał na mundury wojskowe przez cały czas trwania wojny. – Spojrzał na nią, nie mógł nie zauważyć, jak bardzo była piękna i wytworna. Siedziała z naturalną elegancją, zatopiona w smutku i bólu po utracie męża.

– O mój Boże... Co to oznacza w kategoriach sprzedaży?

Przez chwilę czuła się tak jakby Simon wrócił. Wiedziała jak bardzo byłby tym podniecony i kiedy prawnik powiedział jej co, mniej więcej, to oznaczało, spoglądała na niego z niedowierzaniem.

– Ależ to niemożliwe... prawda?

Na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu i nagle wydała się znacznie młodsza, z pewnością nie wyglądała na czterdzieści cztery lata, jak wyczytał w dokumentach. Teraz trudno mu było w to uwierzyć.

– Obawiam się, że to jest możliwe. Mówiąc otwarcie, pani Hirsch: pani i pani syn będziecie po wojnie bardzo bogaci. A jeśli Nicholas wejdzie



do firmy, pan Hirsch przeznaczył dla niego znaczny procent dochodów. Simon pomyślał o wszystkim, lecz stanowiło to teraz niewielkie pocieszenie. Co mogli zrobić z tym wszystkim bez niego? Jednak słuchając tego prawnika, zrozumiała, że Axelle miała rację. Powinna kontynuować to, co zbudował Simon, była mu to winna. To był jego pożegnalny dar dla niej i dla nich wszystkich. Musi to poprowadzić dalej dla niego i dla ich dzieci.

– Czy ci mężczyźni, którym powierzył przedsiębiorstwo, są w stanie uporać się ze wszystkim?

Spoglądała na niego zmrużywszy oczy, jakby zobaczyła go po raz pierwszy. Uśmiechnął się do niej. Była piękna, kiedy się uśmiechała, jeszcze piękniejsza, niż mu się wydawało na początku.

– Tak, sądzę, że tak. Oczywiście muszą nam zdać sprawozdanie, mnie – patrzył jej prosto w oczy – i pani. Pan Hirsch ustanowił panią dyrektorem całego przedsiębiorstwa. Darzył wielkim szacunkiem pani zmysł do interesów. – Odwrócił wzrok. Zoï napłynęły łzy do oczu i usiłowała przemówić głosem, który był niewiele bardziej słyszalny od szeptu. Simon znaczył dla niej o wiele więcej niż całe jego przedsiębiorstwo, ale ten człowiek nigdy tego nie zrozumie.

– Bardzo go kochałam.

Wstała i zapatrzyła się na Piątą Aleję. Nie może się teraz poddać. Musi wytrwać... dla dzieci... i dla niego. Powoli odwróciła się z powrotem do Paula Kelly'ego.

– Dziękuję, że pan przyszedł – powiedziała przez łzy. Wyglądała tak pięknie, że zaparło mu dech w piersiach. – Mogłam nigdy nie odpowiedzieć na pana telefony.

Nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że straciła Simona, ale teraz wiedziała, że musi.

Roześmiał się skruszony.

– Właśnie tego się obawiałem. Dlatego przyszedłem tutaj. Mam nadzieję, że wybaczy mi pani moją natarczywość. – I dodał: – To piękny sklep. Moja żona robi tutaj zakupy, kiedy tylko może.

Zoja skinęła głową, myśląc o wszystkich swoich ulubionych klientach, których zaniedbała i o których całkiem zapomniała.

– Proszę jej powiedzieć, żeby mnie wezwała, kiedy przyjdzie znowu. Możemy jej pokazać wszystko, co zechce, tutaj, w naszym biurze.

– Może ze względu na mnie byłoby lepiej, gdyby pani zamknęła drzwi na klucz, zanim ona znowu się tutaj wybierze.

Uśmiechnął się i Zoja odpowiedziała mu uśmiechem. Zadał jej jeszcze parę pytań dotyczących Nicholasa. Wyjaśniła, że jest w Londynie i lata na bombowcach należących do sił amerykańskich, które przyłączyły się do RAF-u.

– Sporo rzeczy się zdarzyło w pani życiu, pani Hirsch, prawda? Przynęła ze smutkiem. Poruszało go to, jak bardzo była wrażliwa. Zbudowała swoje własne imperium, z pomocą męża oczywiście, a jednocześnie wydawała się delikatna i zwiewna jak motyl, kiedy tak siedziała patrząc na niego zza swojego biurka.

– Proszę dać mi znać, gdybym mógł coś dla pani zrobić. Ale co on mógł zrobić? Nikt nie mógł jej zwrócić Simona, a to była jedyna rzecz, której pragnęła.

– Chciałabym spędzić trochę czasu w biurze męża – powiedziała marszcząc lekko brwi. – Skoro mam być dyrektorem jego przedsiębiorstwa, muszę się ze wszystkim zaznajomić. I być może ta praca przyniesie jej zapomnienie.

– To byłoby bardzo mądre. – Robiła na nim ogromne wrażenie, pod każdym względem. – Ja sam zamierzałem to uczynić i z radością podzielię się z panią wszystkimi informacjami.

Był partnerem jednej z największych firm prawniczych na Wall Street w Nowym Jorku. Domyśliła się, że był o jakieś dziesięć lat starszy od niej, ale blask, jaki pojawiał się w jego oczach, kiedy się śmiał, sprawiał, że wyglądał znacznie młodziej. W rzeczywistości miał pięćdziesiąt trzy lata. Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym, wyrażając żal, wstał.

– Czy spotkamy się w biurze Simona przy Siódmej Alei, czy wolałaby pani, żebym wszystko, co się da, dostarczył do pani biura?

– Wolałabym spotkać się z panem tam. Chcę, żeby wiedzieli, że są obserwowani... przez nas oboje – uśmiechnęła się i uściśliła mu rękę, po czym powiedziała jeszcze raz miękko: – Dziękuję panu, panie Kelly. Dziękuję, że pan przyszedł.

Uśmiechnął się znowu, urok Irlandczyka widoczny był w jego oczach.

– Cieszę się na myśl o współpracy z panią.

Podziękowała mu jeszcze raz i poszedł, a ona wróciła za biurko i

zapatrzyła się w przestrzeń. Liczby, które przytoczył z kontraktów wojennych, były oszałamiające. Jak na syna krawca z Lower East Side, Simon zrobił ogromny krok. Zbudował całe imperium. Uśmiechnęła się do jego zdjęcia i wyszła cicho z biura, znowu podobna do siebie, po raz pierwszy od jego śmierci. Sprzedawczynie od razu to zauważyły, przebiegając truchtem obok niej do czekających klientów. Zoja wsiadła do windy i zatrzymywała się na każdym piętrze, żeby się rozejrzeć i zobaczyć, jak pracują. Nadszedł czas, żeby ją znowu zobaczyli. Czas, żeby hrabianka Zoja zdążyła dalej... nosząc pamięć o Simonie blisko swego serca, gdzie pozostanie na zawsze... jak wszyscy, których kochała. Ale nie mogła teraz o nich myśleć. Zostało jej tak wiele do zrobienia. Dla niego.

## Rozdział czterdziesty szósty

Pod koniec 1942 roku Zoja jeden dzień w tygodniu spędzała w biurach Simona przy Siódmej Alei, i zazwyczaj w towarzystwie Paula Kelly'ego. Na początku swej znajomości zwracali się do siebie bardzo formalnie: „panie Kelly”, „pani Hirsch”. Zoja ubierała się w proste czarne kostiumy, a on nosił garnitury ciemnoniebieskie albo w drobne prążki. Lecz po paru miesiącach ich wzajemne stosunki stały się mniej oficjalne. On opowiadał jej okropne kawały, ona zaś rozśmieszała go historyjkami ze swojego sklepu. Ubierała się w letnie, jaśniejsze sukienki idąc do pracy, a on zdejmował marynarkę i zawijał rękawy u koszuli. Był pod silnym wrażeniem jej przenikliwości w interesach. Simon miał rację ceniąc ją tak bardzo. Początkowo Paul sądził, że szaleństwem było ustanawiać ją dyrektorem. Okazało się, że Simon był sprytny jak lis, a ona jeszcze bardziej. W dodatku przez cały czas zachowywała kobiecość i nigdy nie podnosiła głosu, ale dla wszystkich było jasne, że nie będzie tolerowała niczyich wybryków. I bardzo uważnie śledziła księgi rachunkowe. Zawsze.

– Jak udało ci się to wszystko osiągnąć? – zapytał ją któregoś dnia podczas lunchu, który spożywali na biurku Simona. Zamówili sobie kanapki i mieli właśnie zasłużoną przerwę. Atherton, Kelly i Schwartz wymienili poprzedniego dnia jednego z głównych menedżerów Simona i zostało im mnóstwo spraw do uporządkowania.

– Przez pomyłkę – roześmiała się i opowiedziała mu o swojej pracy w rewii, a potem u Axelle i o tym, jak dużo wcześniej tańczyła w Ballets Russes. Sukces jej słynnego sklepu był rzeczą powszechnie znaną. Paul natomiast studiował w Yale i poślubił młodą damę z Bostonu, która nazywała się Allison O'Keefe. W ciągu czterech lat urodziło im się troje dzieci. Mówił o niej z szacunkiem, ale nie było blasku w jego oczach, kiedy wymawiał jej imię, ani śladu jego śmiechu, który tak często słyszała Zoja. Nie zdziwiła się, kiedy pewnego wieczora, po męczącym dniu, powiedział, że zupełnie nie ma ochoty wracać do domu.

– Allison i ja jesteśmy sobie obcy już od lat.

Zrobiło jej się żal. Ona i Simon, oprócz łączącej ich namiętności, byli najlepszymi przyjaciółmi, co wciąż tęsknie wspominała.

– Dlaczego nadal jesteście małżeństwem?

Wydawało się, że cały świat dookoła się rozwodzi... i przypomniła sobie dlaczego, zanim, ze smutkiem w oczach, zaczął jej wyjaśniać.

– Oboje jesteśmy katolikami, Zoju. Ona nigdy by się nie zgodziła na rozwód. Próbowalem dziesięć lat temu. Załamała się nerwowo, albo, jak ona o tym mówi, już nie jest taka sama jak przedtem. Nie mogę jej teraz zostawić. I, poza tym... – Zawahał się, ale postanowił być z nią szczerzy. Wiedział, że można jej zaufać. Po roku wspólnej pracy stali się prawdziwymi przyjaciółmi. – Mówiąc szczerze, ona pije. Nie mógłbym tego znieść, gdybym stał się odpowiedzialny za to, że coś jej się przytrafiło.

– To nie brzmi za wesoło.

Oziębła debiutantka z Bostonu, która pije i nie chce dać mu rozwodu. Zoja prawie się wzdrygnęła, ale widziała już wiele takich kobiet w swoim sklepie; kobiet, które robiły zakupy z nudów i nigdy nie wkładały tego, co kupiły, ponieważ nie zależało im na wyglądzie.

– Musisz się czuć samotnie – spojrzała na niego łagodnymi oczami, a on powstrzymał się, żeby nie powiedzieć za dużo. Mieli ze sobą pracować co tydzień i on już dawno coś zrozumiał. Bywały w jego życiu inne kobiety, ale żadna nie znaczyła dla niego tak wiele. Mógł z nimi rozmawiać albo kochać się od czasu do czasu, ale nigdy przedtem nie spotkał kogoś takiego jak Zoja, i od dawna, albo może nigdy, nie czuł do żadnej kobiety tego, co czuł do niej.

– Mam swoją pracę, która pomaga mi przetrwać – uśmiechnął się do niej łagodnie – tak jak ty.

Wiedział, jak ciężko pracowała. Poświęciła swoje życie pracy i dzieciom, które bardzo kochała.

Pod koniec 1943 roku, w każdy poniedziałek wieczorem po wyjściu z biur Simona, jedli razem kolację, co stwarzało dodatkową okazję, żeby omówić szerzej wszystko, co zrobili danego dnia. Zwykle jadali w małych restauracyjkach w pobliżu Siódmej Alei.

– Jak się miewa Matt? – zapytał z uśmiechem któregoś wiosennego wieczora.

– Matthew? Dobrze. – Miał trzy i pół roku i był jej kochanym słoneczkiem. – Dzięki niemu czuję się młoda.

Jaka ironia losu, że czuła się za stara, żeby mieć dziecko, kiedy się

urodził, a teraz właśnie on dawał jej najwięcej radości. Sasza tak rzadko bywała ostatnio w domu, prawie tak jakby wyjechała. Skończyła właśnie osiemnaście lat. Paul widział ją raz i był zdumiony jej urodą. Ale domyślał się jednocześnie, że mogła Zoi sprawiać sporo kłopotów. Nieraz mu mówiła, że z trudem udało jej się utrzymać Saszę w szkole. Nicholas wciąż był w Londynie i Zoja dniem i nocą modliła się o jego szczęśliwy powrót do domu.

– A jak twoje dzieci, Paul?

Nie mówił o nich zbyt wiele. Obie jego córki wyszły za mąż, jedna była w Chicago, druga na Zachodnim Wybrzeżu, a jego syn mieszkał gdzieś w okolicy Guam. Miał też dwóch wnuków w Kalifornii, ale widywał ich rzadko. Jego żona nie lubiła jeździć do Kalifornii, a on bał się zostawiać ją w domu samą.

– Moje dzieci mają się dobrze, jak sądzę – uśmiechnął się. – Już tak dawno wyfrunęły z gniazdka... nie mamy z nimi zbyt częstego kontaktu. W każdym razie ich dzieciństwo nie było łatwe, kiedy Allison tak dużo piła. To zostawia piętno na wszystkim. – Wtedy uśmiechnął się znowu do niej. Lubił słuchać, jak opowiadała, co u niej się działo. – Co nowego w sklepie?

– Nic specjalnego. Otworzyłam nowy dział, tym razem dla panów. Testujemy niektóre z naszych nowych kolekcji. Miło będzie pojechać znowu do Europy, jak skończy się wojna, i móc potem wypróbować jeszcze inne rzeczy.

Ale nie widać było końca wojny, która szalała po drugiej stronie Atlantyku.

– Chciałbym pojechać jeszcze kiedyś do Europy. Sam. Uśmiechnął się szczerze. Matkowanie żonie nie było dla niego czymś zabawnym. Chodziła od baru do baru albo ukrywała się w swoim pokoju udając, że jest zmęczona, choć w rzeczywistości była pijana. Zoja zastanawiała się, dlaczego on to wszystko znosił. Musiał to być dla niego ogromny ciężar. Powiedziała mu o tym, kiedy odwoził ją do domu, i zaprosiła go do siebie na drinka. Tylko raz był u niej w mieszkaniu i zapamiętał, że było takie ciepłe i przytulne. W wesołym nastroju wjechał z nią windą na górę. Potem siedział na kanapie w bibliotece, podczas, gdy ona nalewała mu drinka. Kiedy weszli, Zoja zawołała Saszę, ale dziewczyna nie wróciła jeszcze do domu, a służąca wyszła. Tylko Matthew był w

domu, spał w swoim pokoju razem z nianią.

– Powinieneś czasem wyjeżdżać gdzieś na wakacje, Paul. Pojeźdź do Kalifornii sam i zobacz się z dziećmi. Dlaczego twoje życie ma być sparaliżowane przez to, co robi twoja żona?

– Masz rację, ale samemu to nie jest zbyt duża frajda.

Zawsze czuł się przy niej swobodnie i mówił szczerze to, co myślał.

Tak było i teraz, kiedy sącząc swojego drinka, patrzył na Zoję. Ubrana była w białą sukienkę, a włosy miała związane z tyłu, jak dziewczyna.

– Nie, to nie jest wielka frajda robić coś samemu. – Uśmiechnęła się. – Ale ja się powoli przyzwyczajam.

To było dla niej brutalne, że musiała przyzwyczaić się do życia bez Simona.

– Nie przyzwyczajaj się do tego, Zoju. To paskudne. – Powiedział to z taką gwałtownością, że Zoja spojrzała na niego zaskoczona. –

Zasługujesz na coś więcej.

Spędził swoje życie samotnie i nie chciał, żeby jej przydarzyło się to samo. Biła z niej energia, była piękna i pełna życia. Zasługiwała na coś więcej niż samotność. Wiedział o tym aż za dobrze.

Ale ona tylko się roześmiała i potrząsnęła głową.

– Mam czterdzieści cztery lata, jestem za stara, żeby zaczynać od nowa. Wiedziała zresztą, że nikt nie mógł dorównać Simonowi.

– Bzdura, ja mam prawie pięćdziesiąt pięć i gdybym miał szansę spróbować jeszcze raz, natychmiast bym to zrobił.

Pierwszy raz powiedział jej o tym. Siedział, wyciągnąwszy przed siebie swoje długie nogi, jego biała czupryna była gładko zaczesana, w oczach malowało się ożywienie. Zawsze bardzo lubił z nią być. Przez cały tydzień wyczekiwał ich pracowitych poniedziałków. One dodawały mu sił.

– Jest mi dobrze tak jak jest. – Okłamywała bardziej siebie niż jego. Nie była szczęśliwa, ale nic innego jej nie pozostało.

– Nie, to nieprawda. Dlaczego miałoby ci być dobrze?

– Bo to wszystko, co mam – powiedziała cicho, mądra na tyle, żeby przyjmować życie takim, jakim było, a nie tęsknić za przeszłością, która minęła na zawsze. Czyniła tak przedtem i nie zamierzała tego powtórzyć. Musi cieszyć się tym co ma, swoimi dziećmi i pracą, i, raz w tygodniu, rozmowami z Pauliem Kellym.

Wpatrywał się w nią intensywnie i nie mówiąc ani słowa, odstawił swoją szklanę, usiadł obok niej i zatopił w niej swoje niebieskie oczy. – Chcę, żebyś o czymś wiedziała. Nie mogę, u diabła, nic teraz z tym zrobić i nie mogę ci teraz nic zaoferować, ale Zoju... Kocham cię. Od chwili, gdy cię pierwszy raz ujrzałem. To jest najlepsza rzecz, jaka mnie spotkała.

Wydawała się zaskoczona, a on patrzył na nią i nie mówiąc nic więcej, wziął ją w ramiona i pocałował mocno, czując jak jego serce się rozkoszuje i całe jego ciało pragnie jej aż do bólu.

– Nie mów tego, Paul... nie... chciała go odepchnąć, ale nie potrafiła. Miała poczucie winy, ponieważ go pragnęła, zdawało jej się, że niszczy tym pamięć o Simonie, a jednocześnie nie mogła się powstrzymać i całowała go znowu, i przyłgnęła do niego jak ktoś, kto tonie.

– Kocham cię tak bardzo – wyszeptał, całując ją jeszcze raz.

Obejmował ją mocno potężnymi ramionami i czuł bliskie bicie jej serca, a potem spojrzął na nią i uśmiechnął się.

– Pojedźmy gdzieś... daleko... gdziekolwiek... to będzie dobre dla nas obojga.

– Nie mogę.

– Możesz... oboje możemy.

Trzymał ją mocno za rękę i czuł, jak wstępuje w niego nowe życie. Całe lata zdawały się z niego odlatywać, kiedy spoglądał na nią. Znowu był młody i nie miał zamiaru pozwolić jej od siebie odejść. Skoro musiał żyć z Allison przez resztę swojego życia, to może przynajmniej, przez jedną słoneczną chwilę, mógł mieć Zoję.

– Paul, to jest szaleństwo – odsunęła się od niego i zaczęła chodzić po pokoju, widząc twarz Simona na ich wspólnych zdjęciach, spoglądając na jego trofea, jego skarby, książki o sztuce... – Nie mamy do tego prawa.

Ale on nie miał zamiaru jej teraz puścić. Gdyby uderzyła go w twarz, przeprosiłby ją i wyszedł, ale wiedział już, że ona pragnęła go tak samo mocno jak on jej.

– Dlaczego? Kto ustanawia te zasady? Nie jesteś mężatką. Ja jestem, ale nie w taki sposób, jaki mógłby dla kogokolwiek coś znaczyć. I tak jest już od wielu lat. Tkwią jak w pułapce, w małżeństwie z kobietą, która nawet nie wie, czy jeszcze istnieje, i już od dawna mnie nie kocha,



jeżeli kiedykolwiek kochała... czy nie mam więc prawa do czegoś więcej niż to? Jestem w tobie zakochany – w jego oczach odbijało się to, czego tak rozpaczliwie pragnął. Zoja patrzyła na niego.

– Dlaczego? Dlaczego mnie kochasz, Paul?

– Bo uosabiasz wszystko, o czym zawsze marzyłem.

– Nie mogę ci zbyt wiele dać.

Była z nim uczciwa, tak jak zawsze z Claytonem i Simonem.

– Rozumiem to, wystarczy mi choćby odrobina.

A potem, już spokojniej, pocałował ją, a ona, ku własnemu zdziwieniu, nie opierała się. Siedzieli tak jeszcze długo i rozmawiali, całując się i trzymając za ręce. Kiedy wychodził, było już dobrze po północy.

Obiecał, że zadzwoni następnego dnia. Gdy Zoja została sama, siedziała w cichym mieszkaniu i miała poczucie winy z powodu tego, co zrobiła. To było złe, na pewno tak... czyż mogło być czymś innym? Co by pomyślał Simon? Ale Simon nic by nie pomyślał, odszedł, a ona żyła i Paul Kelly dla niej także coś znaczył. Jego przyjaźń była dla niej bardzo cenna; poruszył w niej coś, co zostało już całkiem zapomniane. Wciąż tam siedziała i myślała o Paulu, kiedy usłyszała, że wraca Sasza. Miała na sobie jaskrawoczerwoną sukienkę, a jej makijaż był rozmazany i Zoi bardzo się nie spodobał wyraz jej twarzy. Podejrzewała, że dziewczyna była pijana. Przyłapała ją na tym już wcześniej. Spojrzała na nią znużonym wzrokiem. Coraz częściej brakowało jej sił, by z nią walczyć.

– Gdzie byłaś? – głos miała spokojny. Jej myśli nadal krążyły wokół Paula, kiedy przyglądała się swojej córce.

– Gdzieś. – Odwróciła się tyłem, żeby matka nie mogła zobaczyć jej twarzy.

Zoja miała rację. Była pijana, ale wciąż piękna.

– Co robiłaś?

– Byłam na kolacji z przyjacielem.

– Sasza, masz dopiero osiemnaście lat. Nie możesz chodzić sobie, dokąd ci się podoba. A co ze szkołą?

– Jakże to może mieć teraz znaczenie? Za dwa miesiące kończę.

– Dla mnie to ma duże znaczenie. Musisz zachowywać się jak należy. Ludzie zaczną mówić, że jesteś zepsuta; wiedzą kim ty jesteś i kim ja jestem. Nie chcesz przecież tego wszystkiego, Sasza. Proszę cię, bądź

rozsądna.

Ale nie było na to żadnej nadziei, już od dawna. Odkąd zginął Simon, a jej brat wyjechał, Sasza przestała się z czymkolwiek liczyć i Zoja prawie straciła już nadzieję, że uda jej się ją poskromić. Bała się, że może zupełnie ją stracić. Wiele razy groziła, że się wyprowadzi, co byłoby jeszcze gorsze. Dopóki mieszkała z nią, Zoja miała przynajmniej jakieś pojęcie o tym, co się działo.

– To wszystko jest staroświeckim głędzeniem – odparła Sasza zdzierając z siebie sukienkę. Stała teraz pośrodku pokoju w samej bieliźnie. – Dzisiaj ludzie już nie wierzą w takie bzdury.

– Ludzie wierzą w to samo, w co zawsze wierzyli. W tym roku wchodzisz w świat. Chyba nie chcesz, żeby źle o tobie mówili, kochanie.

Sasza wzruszyła ramionami i nic nie odpowiedziała. Zoja pocałowała ją na dobranoc z westchnieniem. Czowała od niej zapach alkoholu, jej włosy przesiąknięte były dymem. Popatrzyła na nią ze smutkiem.

– Nie chcę, żebyś piła.

– Dlaczego nie? Jestem już pełnoletnia.

– Nie o to chodzi.

Sasza tylko wzruszyła znowu ramionami i stała odwrócona tyłem, dopóki jej matka nie wyszła z pokoju. Nie było nawet sensu z nią rozmawiać. Zoja pragnęła, żeby Nicholas już wrócił, może on miałby na nią jeszcze jakiś wpływ. Z pewnością nikt inny już go nie miał. Zaczęła się martwić o to, co się stanie, kiedy Sasza będzie mogła dysponować pieniędzmi, które zostawił jej Simon. Wtedy naprawdę zacznie szaleć, jeżeli nikt jej wcześniej nie powstrzyma. Wciąż o tym rozmyślała, kiedy o pierwszej w nocy zadzwonił telefon. Serce jej na chwilę zamarło, przeraziła się, że usłyszy jakąś straszną wiadomość. Ale to Paul telefonował. Był w domu, ale postanowił do niej zadzwonić. Allison spała zamknięta w swoim pokoju i, czując jeszcze ciepło ramion Zoi, czuł się podwójnie samotny.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, jak wiele znaczył dla mnie dzisiejszy wieczór. Dałaś mi coś bardzo cennego.

– Nie wiem, w jaki sposób, Paul – jej głos brzmiał miękko i cicho. W jej mniemaniu, dała mu bardzo niewiele. Kilka pocałunków i odrobinę ciepła.

– Sprawiałaś, że moje życie stało się znowu ekscytujące. Nasze poniedziałkowe popołudnia sprawiają, że chce mi się dalej żyć. Uświadomiła sobie, jak bardzo ona także ich wyczekiwała. Był inteligentnym towarzyszem, miłym i dowcipnym.

– Będę za tobą tęsknił przez cały tydzień. – I wtedy uśmiechnął się. – Czy myślisz, że pioruny zaczną walić, jeśli spotkamy się we wtorek?

– Uważasz, że powinniśmy to sprawdzić?

Ośmieliła się to powiedzieć. I oboje roześmieli się jak para szczęśliwych dzieciaków.

– Zjedzmy jutro razem lunch, to się przekonamy.

Uśmiechał się tak, jak mu się nie zdarzało już od lat. Dzięki Zoi czuł się jak młody chłopak i było w nim coś, co z kolei sprawiało, że i ona czuła się spokojna i szczęśliwa.

– Myślisz, że naprawdę powinniśmy? – Chciała mieć wyrzuty sumienia, ale nie udawało jej się to. Była natomiast dziwnie przeświadczona, że Simon zrozumiałby to.

– Jutro o pierwszej?

– Niech będzie w południe.

Jej ręka drżała, kiedy odkładała słuchawkę. To, co robiła, było szaleństwem... lecz nie chciała tego przerywać. Pamiętała jego usta na swoich ustach, kiedy całowali się w bibliotece, i było w tym coś niewinnego i pełnego słodyczy. Był jej przyjacielem, niezależnie od tego, co się teraz stało. Mogła z nim pracować i rozmawiać, spędzać czas omawiając interesy albo rozmawiając o dzieciach. Słuchał jej i wydawało się, że to, co się zdarzyło, było dla niego ważne.

Zastanawiała się, czy było to coś złego, ale tej nocy, gdy położyła się spać, śnił jej się Simon, który stał obok Paula Kelly i uśmiechał się.

## Rozdział czterdziesty siódmy

Paul zjawił się w sklepie Zoi tuż przed południem następnego dnia i zastał ją siedzącą w swoim gabinecie. Była pochłonięta pracą, miała zaabsorbowaną minę i pióro wetknięte we włosy. Zapukał delikatnie do drzwi i uśmiechnął się, kiedy je otworzył i zobaczył ją siedzącą za biurkiem.

– Co za znajomy widok – uśmiechnął się do niej, kiedy podniosła wzrok znad biurka. – Jesteś zajęta, Zoju? Może powinienem przyjść później?

– Nie, wszystko w porządku. To może poczekać – powiedziała z uśmiechem, ciesząc się ciepłem ich przyjaźni.

Paul przez cały dzień nie mógł się doczekać spotkania z nią. Teraz, kiedy wstała i poszła po swoją torebkę, poraziła go znowu jej uroda. Wciąż była niezwykle piękną kobietą.

– Ciężki dzień? – zapytał uśmiechając się ciepło, jak to potrafia Irlandczycy.

– Mógł być gorszy.

Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech, zadowolona, że przyszedł się z nią zobaczyć. Łatwiej było spotkać się z nim tutaj niż w biurze Simona. To był jej teren, a nie jego, i dzięki temu Paul mógł uczestniczyć bardziej w jej obecnym życiu niż w przeszłości, co zaczęło być dla niej ważne.

Poszli pieszo do „21”, żeby zjeść lunch i o trzeciej wciąż jeszcze tam siedzieli i rozmawiali. Przy stoliku nie opodal siedział Spencer Tracy w towarzystwie jakiejś kobiety w wielkim kapeluszu i ciemnych okularach. Zoja zastanawiała się, kto to mógł być, ale Paula to nie obchodziło. Nie mógł oderwać wzroku od Zoi.

– Dlaczego to robisz? – zapytała w końcu, patrząc mu badawczo w oczy, ale to co w nich znalazła uspokoiło ją. Zobaczyła w nich tylko dobroć i siłę, i wszystkie serdeczne uczucia, jakie żywił do niej.

– Ponieważ cię kocham – powiedział bardzo miękko. – Nigdy o tym nie myślałem ani tego nie chciałem, ale się zakochałem. Czy jest w tym coś bardzo złego?

Nie mogła przytaknąć, skoro wiedziała, jak puste było jego życie z Allison.

– To nie jest nic złego. Ale Paul... – zawahała się, lecz po chwili mówiła dalej – ... co się stanie, jeśli pozwolimy sobie na to? Kilka chwil skradzionych od czasu do czasu. Czy tego właśnie chcesz? – Jeśli to wszystko, co może być, będę za to wdzięczny. Dla mnie godziny spędzane z tobą są bardzo cenne, Zoju. Reszta jest... więc, niech będzie czymkolwiek musi być. – Wyczuwał instynktownie, że ona nie chciała od niego więcej niż to. Miała swoje dzieci, sklep i wspomnienia o Simonie. – Nie poproszę cię o nic więcej. Nie mam do tego prawa. Nie będę cię okłamywał. Nigdy. Wiesz, że nie mogę zostawić Allison i jeśli to, co mogę ci ofiarować, nie wystarczy, zrozumieć. – Wziął ją delikatnie za rękę pod stołem. – Może jestem bardzo samolubny.

Zoja pokręciła głową. Zobaczyła, że Spencer Tracy śmieje się z jakiegoś powodu i zaczęła się znowu zastanawiać, kim była owa kobieta i dlaczego wydawał się taki szczęśliwy.

– I tak nie wiem, czy jestem gotowa na coś więcej. Może nigdy nie będę. Bardzo kochałam Simona.

– Wiem o tym.

Wtedy dodała ściszym głosem:

– Ale wydaje mi się, że ciebie kocham także.

Wydawało jej się to dziwne. Nigdy się tego nie spodziewała, ale lubiła z nim przebywać. Lubiła poniedziałki, które z nim spędzała, polegała na nim i szanowała go.

– Nie poproszę o nic więcej, niż to, co chcesz mi dać. Rozumiem wszystko.

Nie mogła prosić go o nic więcej, a on zdawał się rozumieć wszystko, co czuła. Nabrał nagle odwagi i zapytał ją z łagodnym uśmiechem:

– Czy wyjedziesz gdzieś ze mną, kiedy już będziesz gotowa?

Spoglądała na niego przez długą chwilę, a potem skinęła powoli głową.

– Nie wiem, kiedy to będzie. Na razie nie jestem gotowa.

Chociaż jego pocałunki poprzedniej nocy poruszyły ją głęboko, nie była jednak gotowa sprzeniewierzyć się pamięci swojego męża.

– Nie będę cię popędzał. Mogę poczekać. Może nawet całe życie.

Uśmiechnęli się oboje. Był tak bardzo inny niż Simon ze swoją bez troską niecierpliwością i ekscytacją życiem, inny także niż Clayton z jego subtelnością i arystokratycznym stylem bycia. Paul Kelly był

jedyny w swoim rodzaju i w swoim czasie. Posiadał swój własny styl.

– Dziękuję ci, Paul – spojrzała na niego z wdzięcznością. Nie powiedział nic, tylko pochylił się i pocałował ją.

– Jedźmy razem kolację, kiedy tylko będziemy mogli. – Był szczęśliwy i pełen nadziei.

– Czy Allison nie będzie to przeszkadzało?

Zasmucił się na chwilę.

– Ona nawet nie zauważy.

Teraz Zoja go pocałowała. Chciała tym pocałunkiem uleczyć ból wielu lat samotności. Oboje byli samotnymi ludźmi, ale czas, jaki spędzali razem, był zawsze pełen życia i radości. Decyzje, jakie podejmowali w odniesieniu do interesów Simona, były bardzo ważne. Zoja uwielbiała też opowiadać mu o swoim sklepie. Czasami śmiał się godzinami, gdy opowiadała o niektórych zwariowanych klientkach... albo o małym Matthew.

Paul odprowadzał ją zwykle wtedy do sklepu i oboje byli zaskoczeni, kiedy uświadamiali sobie, że jest prawie czwarta. Bardziej niż kiedykolwiek nie chciał, aby ich spotkanie dobiegło końca.

– Czy mogłabyś zrobić kolację w piątek wieczorem, czy odłożymy to do poniedziałku?

Nie nalegał, patrzył na nią wesoło, kiedy stali przed jej sklepem. Zoja wiedziała, że Sasza wyjeżdża gdzieś na weekend i nagle zapragnęła go zobaczyć, zanim spotkają się znowu w biurze Simona w poniedziałek.

– Uroczo byłoby zjeść razem kolację. – W jej oczach zapaliły się zielone płomyki.

Paul uśmiechnął się.

– Musiałem zrobić coś dobrego w życiu, że mnie teraz spotyka takie szczęście.

– Nie mów głupstw.

Roześmiała się i pocałowała go w policzek, a on obiecał, że zadzwoni.

Wiedziała, że to zrobi i wiedziała, że ona zadzwoni do niego także, choćby po pretekstem jakichś spraw związanych z interesami.

Ale róże, które przyniesiono jej tego popołudnia, nie miały nic wspólnego z interesami. Dostała dwanaście białych róż, ponieważ kiedyś mu powiedziała, że je uwielbia. Już dawno się przekonała, że rzadko zdarzało mu się o czymś zapomnieć. Na załączonym bileciku

napisane było:

„Nie skradzione chwile, Zoju, tylko pożyczone. Dziękuję ci za pożyczenie mi siebie, za każdą drogotną chwilę. Kocham cię, P.”

Przeczytała karteczkę i uśmiechnęła się wkładając ją do swojej torebki. Po czym znowu opuściła biuro, żeby zająć się swoimi klientami. Nie dało się zaprzeczyć, że Paul wniósł coś ważnego w jej życie. Coś bardzo cennego, coś, o czym prawie zapomniała... dotyk ręki, spojrzenie mężczyzny, któremu na niej zależało i który troszczył się o nią. Nie można było jeszcze przewidzieć, dokąd zawiedzie ich życie. Być może donikąd. Lecz tymczasem wiedziała, że był jej potrzebny, tak jak on potrzebował jej. Szła do pracy lekkim, swobodnym krokiem. Nie miała żadnych wyrzutów sumienia.

– Kogo pani dzisiaj spotkała na lunchu? – spytała zaciękawiona asystentka, kiedy szykowały się do zamknięcia sklepu. Rzadko zdarzało się, żeby Zoja jadła lunch poza sklepem. Roześmiała się tylko, a jej oczy błyszczały tak, jak nie zdarzało się to już od wielu miesięcy.

– Spencera Tracy – odpowiedziała poufny tonem.

– Rozumiem – uśmiechnęła się dziewczyna w odpowiedzi.

Ale to była prawda. Widziała go. Widziała Spencera Tracy... i Paula Kelly.

## Rozdział czterdziesty ósmy

Paul i Zoja nadal spotykali się co poniedziałek w biurach Simona. Pracowali bardzo ciężko i jedli późno kolacje, lecz kiedy tylko mogli, wyjeżdżali razem, żeby spędzić gdzieś spokojnie weekend. Spacerowali po plaży i rozmawiali o swoim życiu, kochali się, lecz ich przyjaźń była dla nich zawsze ważniejsza niż seks. A potem wracali do Nowego Jorku, każde do swojego życia i do osób, do których należeli. Nie pozwalała, żeby ich związek zakłócił jej życie. Było zbyt wiele innych rzeczy, które oboje musieli robić. Nigdy się nie łudziła, że on się z nią kiedyś ożeni. Nie było na to nadziei. Pozostawał jej przyjacielem, kimś bardzo specjalnym w jej życiu. Kiedy siedzieli razem na zebraniach zarządu rok po roku, byli dumni z tego, że nikt nigdy się nie dowiedział jak wiele dla siebie znaczyli, nawet jej dzieci. Matthew lubił Paula bardzo, a Sasza go tolerowała. Była zbyt zajęta własnym życiem, żeby przejmować się tym, co robiła jej matka, i nie wyglądało na to, że zdawała sobie sprawę z ich zaangażowania. Nicholas, oczywiście, nadal był nieobecny, walczył w RAF-ie, w Europie. Prezydent Roosevelt umarł dwunastego kwietnia 1945 roku. Trzy tygodnie później wojna w Europie zakończyła się. Zoja powitała tę wiadomość łzami radości. Jej syn był żywy. Wrócił do domu w dniu, w którym skończył dwadzieścia cztery lata, a w dwa dni później zakończyła się także wojna w rejonie Pacyfiku. Z tej okazji na Piątej Alei odbywały się niezliczone uroczystości i parady. Zoja zamknęła swój sklep i poszła z Nicholasem do domu. Stała w oknie stołowego pokoju i patrzyła, jak ludzie tańczą na ulicy, a po policzkach spływały jej łzy.

– Szkoda, że tata nie dożył tego dnia – wyszeptał cicho Nicholas, a ona spojrzała czule na swojego przystojnego syna. Był jeszcze bardziej podobny do Mikołaja, zwłaszcza w mundurze. Podczas tych kilku lat swojej nieobecności stał się mężczyzną i nie zdziwiła się, kiedy jej powiedział, że nie wróci do Princeton. Chciał zacząć się uczyć tego, co było potrzebne, żeby pokierować pozostawionym przez Simona imperium. Paul nauczył go wszystkiego, co powinien był wiedzieć, a Nicholas był zdumiony pieniędzmi, jakie zostawił mu Simon. Sasza wiedziała, że ona także odziedziczyła ogromną sumę, którą będzie mogła dysponować za rok, choć nie wiedziała jeszcze ile. Nicholas był



przeżażony, widząc, jak zachowuje się jego siostra, kiedy przez pewien czas mieszkał z Zoją. Codziennie wracała do domu nad ranem, przeważnie pijana, i była opryskliwa w stosunku do każdego, kto próbował coś jej powiedzieć, szczególnie, gdy był to jej brat, ale także Zoja. Nicholas był wściekły, kiedy rozmawiał o tym z matką któregoś dnia, późno wieczorem. Sasza wróciła wcześniej i leżała już w swoim pokoju, pijana do nieprzytomności. Podwiózł ją jakiś chłopak w mundurze, który był tak pijany, że ledwo chodził, i Nicholas o mało co nie wyrzucił go za drzwi.

– Czy nie możesz nic z nią zrobić, mamó? Ona kompletnie nie wie, co robi.

– Jest za duża, by sprawić jej lanie, Nicholasie, a ja nie mogę jej zamknąć w pokoju na klucz.

– Ja bym spróbował – popatrzył na nią smutno.

Ale następnego dnia rano, choć porozmawiał ze swoją siostrą, nie odniosło to żadnego skutku. Znowu nie wróciła na noc i zjawiła się dopiero dobrze po czwartej nad ranem.

Stała się jeszcze piękniejsza niż była przedtem, była jeszcze zbyt młoda, by hulanki zaszkodziły jej urodzie, ale Zoja wiedziała, że jeśli Sasza w porę nie przestanie, zacznie to ją niszczyć. Nie była zachwycona, kiedy w grudniu jej córka uciekła z domu. Wyszła za męża za chłopaka, którego znała nie dłużej niż trzy tygodnie, i fakt, że był on synem gracza w polo z Palm Beach, był dla Zoi niewielkim pocieszeniem. Jego styl życia był tak samo zwariowany jak Saszy; pili, tańczyli i hulali każdej nocy. Zoja była jeszcze bardziej przygnębiona, kiedy Sasza przyjechała w marcu do Nowego Jorku i oznajmiła jej beztróska, że spodziewa się dziecka, gdzieś w listopadzie.

– Myślę, że to będzie w dniu urodzin Matthew.

Kiedy chłopczyk wszedł do pokoju, udawała, że go nie widzi. Miał sześć i pół roku, duże brązowe oczy Simona i był bardzo łagodny. Uwielbiał Nicholasa, ale już dawno zrozumiał, że od swojej siostry musi się trzymać z daleka. Za dużo piła i była w stosunku do niego albo całkowicie obojętna, albo wręcz nieprzyjemna. Zdążyła już skończyć dwadzieścia jeden lat i spadek, jaki zostawił jej Simon, pomagał jej tylko szybciej zmierzać do samozniszczenia.

W czerwcu znowu zjawiła się w domu i oznajmiła, że Freddy ją

zdradził i że natychmiast się zemściła. Kupiła sobie nowy samochód, dwie diamentowe bransoletki, przespała się z jednym z przyjaciół swojego męża, mimo odmiennego stanu i pojechała do Palm Beach, żeby odszukać swego męża, Zoja wiedziała, że nie może nic zrobić. Nawet Nicholas nie chciał już więcej o tym rozmawiać. Była taka, jaka była, i choć to przykre, trzeba było się z tym pogodzić. Zoja często rozmawiała o niej z Paulem i jego subtelność i rozsądek przynosiły jej czasem odrobinę pocieszenia.

W czasie weekendów Nicholas, kiedy tylko mógł, zabierał Matthew na ryby i do parku pograć w piłkę. Miał pełne ręce roboty, ale zawsze znajdował trochę czasu dla chłopca, co z kolei dawało Zoi parę spokojnych chwil, które mogła spędzić z Paulem. Cały czas utrzymywali swój związek w tajemnicy i dzięki ich dyskrecji Nicholas nigdy się nie dowiedział, co ich łączyło.

Pod koniec sierpnia urodziło się dziecko Saszy, maleńka dziewczynka z rudymi włoskami. Zoja pojechała na Florydę, żeby ją zobaczyć. Stała nad nią wzruszona – była taka maleńka i pełna słodyczy, ale jej matka prawie wcale się nią nie interesowała. Niemal od razu po urodzeniu dziecka Sasza zaczęła hulać i rozbijać się swoimi luksusowym samochodami, razem ze swoim równie nieokiełznanym mężem albo bez niego. Zoja nigdy nie wiedziała, gdzie są, i dziecko, ku jej niezadowoleniu, było zawsze zostawiane z niańką. Próbowwała rozmawiać z Saszą o jej trybie życia podczas ich rzadkich rozmów telefonicznych, ale, jak można się było spodziewać, Sasza nie chciała tego słuchać. Nicholas także nie miał z nią już więcej kontaktu. Wydawało się, że zaczęła znikać z ich życia i Zoję szczególnie smucił fakt, że nie widywała więcej swojej wnuczki, Mariny. Kiedy w Boże Narodzenie zadzwonił telefon, Zoja pomyślała z nadzieją, że to może być Sasza. Nicholas był u nich na kolacji, a Matthew ubrał choinkę i poszedł spać. Miał już siedem lat i jeszcze trochę wierzył w Świętego Mikołaja, choć Zoja podejrzewała, że to już ostatni rok. Wciąż wnosił w jej życie mnóstwo radości. Kiedy podniosła słuchawkę, uśmiechała się wesoło.

– Słucham?

Dzwoniła Policja Stanowa z Florydy. Serce jej zamarło, przeraziła się na myśl o tym, z jakiego powodu mogli dzwonić. Powiedzieli jej, że

Sasza i Freddy mieli wypadek w drodze z jakiegoś przyjęcia do domu. Wstrzymała oddech, jej najgorsze obawy sprawdziły się. Odłożyła słuchawkę i patrzyła na Nicholasa niezdolna wykrztusić z siebie słowa. Po chwili zadzwoniła rozhisteryzowana niańka, oznajmiając, że została sama z dzieckiem. Nicholas porozmawiał z nią i obiecał, że przyjedzie rano zabrać dziecko. Niańka wszystko mu opowiedziała. Spoglądał na swoją matkę ze zgrozą. Zoja płakała w nocy, obwiniając siebie za wszystko. Zrobiła wszystko nie tak, ale było już za późno. Zawiodła ją, a teraz już jej nie było...

– Była taka słodka, kiedy była mała... – mówiła płacząc. Nicholas zachował jednak inne wspomnienia o Saszy. Pamiętał tylko, jaka była zepsuta, samolubna i nieprzyjemna dla swojej matki. Ale Zoja uważała, że to, co się stało, było niesprawiedliwe. Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, i już zginęła, jak przecinający niebo błysk gwiazdy spadającej w ciemną letnią noc. Żyła przez jedno mgnienie i nagle zniknęła na zawsze.

Nicholas poleciał na Florydę następnego dnia i przywiózł zwłoki swojej siostry oraz jej maleńkie dziecko, Marinę. Były to dla Zoi ponure święta. Otwierała razem z Matthew prezenty drżącymi rękoma, połykając łzy i zastanawiając się nad tym, czy było coś, co mogła zrobić dla swojej córki i czego zaniedbała. Być może, gdyby nigdy nie pracowała, wszystko lepiej by się ułożyło, gdyby Clayton nie umarł... albo Simon... a może... nie przestawała się zadrećcać. Próbowwała skoncentrować się na Matthew, który chyba zdawał sobie sprawę, z tego, co się stało z jego siostrą, był bowiem dziwnie spokojny i Zoję trochę to przestraszyło. Ale przekonała się, jak wiele rozumiał, kiedy zwrócił na nią swoje szeroko otwarte brązowe oczy i zapytał cicho:

– Czy znowu była pijana, mamó?

Zoja trzymała na rękach dziecko Saszy i była zaszokowana słysząc jego słowa. Miał jednak rację. Jego siostra była pijana. I Zoja nie zaprzeczyła. Późno wieczorem siedziała patrząc na maleńką dziewczynkę, jak otworzyła oczka i ziewnęła sennie. Miała cztery miesiące i została jej tylko Zoja oraz Matthew i Nicholas – jej wujkowie.

– Jestem na to za stara – westchnęła, kiedy zadzwonił Paul, jak zwykle o tej porze.

– Nie, nie jesteś. Lepiej jej będzie z tobą, niż z nimi. To dziecko ma szczęście.

A on był szczęśliwym mężczyzną, bo mógł z nią dzielić życie. Zoja obdarzała szczęściem wszystkich, którzy ją otaczali... z wyjątkiem Saszy. Znowu zaczęła się oskarżać, w przekonaniu, że zawiodła ją na całej linii. Ale co powinna była zrobić? Świadomość, że nigdy się tego nie dowie, boleśnie przeszła jej serce. Teraz, aby naprawić swoje błędy, mogła tylko kochać Marinę, jakby była jej własną córką.

Umieściła dziecko w kołysce przy swoim łóżku i siedziała przy niej godzinami, przyglądając się jak śpi. Patrzyła na jej zamknięte oczka, delikatną, ciepłą skórę, rude jedwabiste włoski, takie jakie miała ona, i obiecywała sobie, że będzie ją chronić i, tym razem, zrobi dla niej wszystko, co tylko będzie mogła. Czując, jak wzbiera w niej płacz, przypomniawszy sobie tamtą noc, kiedy Sasza i Nicholas omal nie zginęli w płomieniach... mała Sasza leżała na chodniku, strażacy walczyli, żeby ją ocucić, i wtedy się poruszyła i Zoja wzięła ją w ramiona i tuliła do siebie szlochając, tak jak teraz, kiedy ją wspominała... Jak to się mogło stać, że wszystko tak źle się potoczyło. I w końcu, mimo wszystko, straciła ją.

## Rozdział czterdziesty dziewiąty

Tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy był rokiem New Look Diora. Zoja zabrała ze sobą Matthew i Marinę do Paryża, kiedy jechała tam po stroje z nowej kolekcji. Matthew miał już prawie osiem lat, a Marina była jeszcze bardzo małym dzieckiem. Zoja zabrała chłopca na wieżę Eiffla, a potem poszła z nim na spacer brzegiem Sekwany i do Tuileries, dokąd chodziła kiedyś dawno temu z Eugenią.

– Opowiedz mi wszystko o swojej babci.

Uśmiechnęła się do niego i jeszcze raz opowiedziała: o trojkach w Rosji jej dzieciństwa, o zabawach, w jakie się bawiła, ludziach, których znała. Zapoznawała go w ten sposób z historią swojego życia, a pośrednio, także jego własną. Pojechali potem na południe Francji, a w następnym roku, również z dziećmi, Zoja pojechała do Rzymu. Zabierała ze sobą Marinę wszędzie, jakby mogła w ten sposób wynagrodzić jej jakoś utratę matki. Marina była teraz dla niej jak własne dziecko. Kiedy dziewczynka dreptała zadowolona po pokładzie statku, wydawała się bardzo podobna do Zoi, tak że wszyscy byli przekonani, że jest jej córką. Zoja miała wprawdzie czterdzieści dziewięć lat, ale wciąż było w niej coś młodzieńczego i nikomu nie wydawało się niezwykle, że towarzyszyły jej małe dzieci.

– To mnie chyba odmładza – mówiła nieraz Paulowi.

Był tego samego zdania. Wyglądała jeszcze bardziej czarująco niż przedtem. Nicholas kierował już częścią przedsiębiorstwa i wiosną 1951 roku świetnie sobie radził z zakładami tekstylnymi. Miał prawie trzydzieści lat. Kiedy Zoja wróciła z dziećmi z Europy, przyszedł zobaczyć się z nimi i dowiedzieć się, jak przebiegła ich podróż.

Matthew był jedenastoletnim chłopcem, a Marina miała cztery i pół roku, lśniące rude włosy i wielkie zielone oczy. Śmiała się i piszczała, kiedy Nicholas ją łaskotał, a potem sam położył ją do łóżka i wrócił do salonu, żeby opowiedzieć Zoi o swoich planach.

– A więc, mam... – powiedział z wahaniem, uśmiechając się do niej. Zoja domyślała się, że chodziło o coś ważnego.

– Słucham cię, Nicholasie? Czy mam zrobić poważną minę, czy tylko próbujesz mnie nastraszyć?

Spodziewała się tego już od pewnego czasu. Jej syn spotykał się z

czarującą dziewczyną z Południa. Poznał ją, gdy był w Południowej Karolinie, gdzie przeprowadzał kontrolę w zakładach tekstylnych. Dziewczyna była bardzo piękna, choć odrobinę rozpieszczona. Ale Zoja nigdy nie mówiła nic na ten temat. Nicolas był dorosłym mężczyzną i miał prawo dokonywać w życiu własnych wyborów. Jak powiedziała do Paula, szanowała jego zdanie. Był rozsądnym młodym człowiekiem, miał dobre serce i doświadczenie, którego nabył kierując przedsiębiorstwami Simona.

– Czy będziesz zaskoczona, kiedy ci powiem, że zamierzam się ożenić jesienią? – patrzył jej figlarnie w oczy.

Zoja roześmiała się.

– A powinnam być zaskoczona, kochanie?

– Elizabeth i ja bierzemy ślub – oznajmił z dumą.

– Bardzo się cieszę – spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Był dobrym człowiekiem i obydwaj jego ojcowie byliby z niego dumni. – Mam nadzieję, że będziesz z nią szczęśliwy.

– Już jestem.

Czy mogła pragnąć więcej? zaproponowała, że pomoże przyszłej synowej wybrać suknię ślubną, kiedy spotkali się następnym razem, i przypomniała sobie, jak przed laty matka Simona wypytywała ją o wszystko, zanim się pobraли. Rodzice Simona dawno już umarli, a później jego wujowie. Nigdy nie była z nimi blisko związana, ale, kiedy jeszcze żyli, zawsze dbała o to, żeby Matthew ich odwiedzał, za co byli jej bardzo wdzięczni.

Musiała się powstrzymać przed robieniem uwag, kiedy Elizabeth jak burza wpadła do sklepu, traktując wszystkich z góry i opryskliwe. Sukienka ślubna była najmniej ważna. Zachowywała się tak, jakby oczekiwała od Zoi, że ta zaopatrzy ją w całą wyprawę ślubną i kupi im jeszcze mieszkanie. Zoja czuła lekki dreszcz przebiegający jej po plecach, kiedy podczas ceremonii ślubnej obserwowała, jak Matthew z przejęciem trzyma poduszkę z obrączkami, a Marina kołysze maleńkim koszykiem wypełnionym płatkami róż. Uśmiechnęła się, dumna ze swoich dzieci.

Nicholas znosił wszystko cierpliwie, zaspokajając wszelkie potrzeby swojej żony, każde jej żądanie, spełniał wszystkie jej zachcianki, aż wreszcie wyczerpała się jego cierpliwość. Prawie cztery lata po tym, jak

Marina sypała płatki róży na młodą parę, Nicholas odesłał Elizabeth do jej rodziców. Marina miała wtedy dziewięć lat i Zoja prowadziła ją codziennie na lekcje baletu. Stało się to pasją jej życia, odkąd skończyła pięć lat. Tym razem Zoja starała się zrobić wszystko, co tylko mogła dla tego dziecka, gdyż nadał nie opuszczało jej poczucie, że w jakiś sposób zawiodła Saszę. Wychodziła ze sklepu codziennie o trzeciej, zabierała Marinę od panny Nightingale i odprowadzała ją na lekcje baletu, gdzie dziewczynka ćwiczyła te same tours jetés i pliés, wszystko to, czego Zoja uczyła się całe wieki temu w Sankt Petersburgu u madame Nastowej.

Dziwne, jak historia lubi się powtarzać. Opowiadała jej o Szkole Maryjskiej, o tym jak tam było cudownie wesoło, a także jaka wymagająca była madame Nastowa. A kiedy poszła z Nicholasem na występ Mariny, płakała cicho. Nicholas spojrział na nią i dotknął jej ręki. Zoja uśmiechnęła się przez łzy, patrząc na wnuczkę.

– Jest taka słodka i niewinna.

Życie właśnie się przed nią otwierało. Wkładała mnóstwo wysiłku we wszystko co robiła, była takim dobrym i pogodnym dzieckiem.

Matthew stał się dla niej jak brat, choć było między nimi siedem lat różnicy, nie tak jak między Zoją a Mikołajem. Niezwykła wydała się Zoi powtarzalność pewnych zdarzeń – wciąż na nowo, pokolenie za pokoleniem; jej pasja do baletu odrodzona w Marinie.

Paul ofiarował początkującej baletnicy maleńki bukiet kwiatów.

Kiedy Marina poszła wreszcie do łóżka, paplając z ożywieniem o swoim występie, zadał Zoi pytanie, którego lękała się już od lat. Jego żona umarła kilka miesięcy przedtem na marskość wątroby. Kiedy po wyjściu Nicholasa zostali sami w bibliotece, spoglądał na Zoję w milczeniu, a potem się odważył:

– Zoju... po dwunastu latach, mogę cię wreszcie zapytać. Czy wyjdiesz za mnie?

Wyciągnął do niej rękę, a ona spojrzała mu w oczy z uśmiechem pełnym miłości, jaka łączyła ich od dawna, ale nigdy nie spełniła się do końca. Byli razem już dwanaście lat i darzyła go głębokim uczuciem, ceniła jego przyjaźń, ale minęła dla niej pora na wychodzenie za mąż. Po odejściu Simona nie chciała już za nikogo wychodzić za mąż. Doznawała szczęścia patrząc, jak Matthew dorasta, jak Marina tańczy.

Krzętała się po swoim sklepie wciąż niemal z tą samą energią. Mając pięćdziesiąt sześć lat prawie nie zwalniała tempa, ale nie pragnęła już małżeństwa. Dotknęła delikatnie ustami jego palców i pokręciła głową.  
– Paul, mój kochany, nie mogę.

Wydawał się zraniony, a ona starała się znaleźć właściwe słowa, by mu to wytłumaczyć.

– Dla mnie ten czas już minął. Jestem za stara, by wychodzić za męża.

– Nie mów tak, Zoju. Spójrz tylko na siebie! Nie zmieniłaś się od chwili, gdy cię zobaczyłem po raz pierwszy.

Nadal wyglądała czarująco.

– Zmieniłam się – uśmiechnęła się pięknie – wewnątrz. Chcę się w spokoju zestarzeć, patrzeć, jak Matthew wkracza w życie i jak Marina osiąga swój cel. Chcę, żeby ona mogła robić dokładnie to, co pragnie, być taką jaką pragnie być... i dla siebie także tego chcę.

Obawiał się tego, zanim jeszcze zadał jej to pytanie. Już od lat pragnął ją poślubić, ale nie mógł. A teraz, kiedy był już wolny, dla niej minęła już odpowiednia chwila. Zaczął się zastanawiać, czy byłoby inaczej, gdyby Allison umarła wcześniej. Rzadziej teraz spędzał z nią weekendy, od czasu do czasu jeździli do jego domu w Connecticut, choć dla Zoi stało się to teraz mniej ważne. Ceniła sobie ich przyjaźń, ale do małżeństwa potrzebowałyby czegoś więcej. Szukałaby namiętności. Teraz jedyną jej namiętnością były dzieci i, wciąż jeszcze, sklep, przez pamięć o Simonie.

– Nie mogę już być niczyją żoną. Wiem to teraz. Wszystko, co miałam, dałam Claytonowi, a potem Simonowi, już dawno temu. Teraz jestem ja. Dzieci, moja praca i ty, kiedy oboje mamy na to czas. Ale nie mogłabym dać z siebie tyle, by usprawiedliwiła to małżeństwo z tobą. To nie byłoby wobec ciebie uczciwe. Chcę mieć teraz trochę czasu dla siebie, Paul, choć to okropnie brzmi. Ale chyba teraz nadeszła moja kolej, abym stała się egoistką. Chcę podróżować, kiedy dzieci dorosną, chcę być znowu wolna. Może któregoś dnia pojedę do Rosji... zobaczę znowu Sankt Petersburg... albo Liwadię...

Wiedziała, że ten powrót sprawiłby jej ból, lecz było to marzeniem jej ostatnich lat. Z każdym rokiem stawało się to bardziej możliwe.

Potrzebowała tylko czasu i odwagi, aby odbyć tę podróż w przeszłość.

Wiedziała jednak, że on nie może jej towarzyszyć, ma swoje życie,



swój dom, ogród, przyjaciół. Tempo jego życia spowolniało. Miał już sześćdziesiąt sześć lat i wyglądał na więcej.

– Myślę, że z latami zmądrzałam. Byłam ciągle zapracowana, musiałam radzić sobie sama. W końcu odkryłam, że w życiu istnieje dużo więcej niż to. Może gdybym wiedziała o tym wcześniej... może z Saszą byłoby inaczej.

Nadal winiła siebie za śmierć córki. Nie mogła się jednak cofnąć wstecz i przekonać się, co można było zrobić inaczej, a zresztą przestało to już mieć znaczenie. Dla Saszy było za późno, ale nie dla Matthew ani dla Mariny, ani nawet dla niej samej. Wciąż miała przed sobą trochę życia i chciała je przeżyć dla siebie, bez względu na to, jak bardzo kochała Paula Kelly.

– Czy to znaczy, że między nami skończone? – Spojrzał na nią smutnymi oczami, a ona pochyliła się i pocałowała go w usta. I poczuł ten ogień, jaki zapłonął w nim w dniu, kiedy się po raz pierwszy spotkali.

– Nie, chyba że ty będziesz tego chciał. Jeśli możesz zaakceptować mnie w taki sposób, będę kochała cię jeszcze bardzo długo.

Tak, jak kochała go przez te lata, kiedy był żonaty. Zaśmiał się cicho.

– Takie mam szczęście; świat w końcu się zmienił, ludzie robią rzeczy, które zaszokowałyby wszystkich jeszcze dwadzieścia lat temu; śpią ze sobą jawnie, żyją w grzechu, i co się dzieje? Proponuję ci zalegalizowanie naszego związku o całe dwanaście lat za późno. –

Oboje zaczęli się śmiać. – Zoju, ty jesteś dla mnie za młoda.

– Dziękuję ci, Paul.

Pocałowali się jeszcze raz i wkrótce potem Paul pojechał do domu.

Obiecała mu, że spędzą weekend w Connecticut i ogarnął ją jakiś spokój, kiedy odszedł. Weszła cicho do pokoju Mariny i patrzyła na śpiącą dziewczynkę. Uśmiechnęła się znowu. Kiedyś świat stanie przed nią otworem. Łzy napłynęły jej do oczu i pochyliła się delikatnie, by pocałować ją w policzek. Marina spała błogo i tylko lekko się poruszyła pod dotykiem czulej babcinej ręki.

– Tańcz dalej, maleńka moja... mała baletnico... tańcz dalej...

## Rozdział pięćdziesiąty

Czasy Kennedy'ego wniosły nowe ożywienie do sklepu Zoi. Młoda żona senatora wprowadziła nowe tendencje, świeże trendy, które wszyscy chcieli naśladować. Zoja bardzo ją podziwiała. Została nawet zaproszona na obiad do Białego Domu, co bardzo ucieszyło jej starszego syna. Matka wciąż była tak samo piękna i elegancka, jak wtedy kiedy był dzieckiem, chociaż miała już sześćdziesiąt jeden lat. Wszyscy ją rozpoznawali, kiedy wkraczała dumnie do swojego sklepu, poprawiając jakiś kapelusz, czasem krzywiąc się z powodu czegoś, co jej się nie spodobało lub wprawna ręką zmieniając kwiaty w wazonie. Axelle już odeszła, a jej sklep pozostał tylko wspomnieniem, lecz Zoja zdążyła się wiele od niej nauczyć.

Marina zaczęła chodzić do Julliarda. Od czasu do czasu występowała, i Zoja, ilekroć widziała ją tańczącą, była bardzo przejęta, jak wtedy, gdy ponad czterdzieści lat wcześniej tańczyła dla Diagilewa. W czerwcu 1961 roku Matthew ukończył Harvard. Zoja siedziała z Nicholasem w pierwszym rzędzie i biła mu brawo. Matthew wyrósł na przystojnego młodzieńca i Zoja była z niego bardzo dumna. Zamierzał uczyć się dalej w szkole biznesu, a potem pracować z nią w jej sklepie. Nicholas chciał, żeby Matthew pracował razem z nim, ale on, jak wyznał, był bardziej zainteresowany handlem detalicznym. Zoja obiecała, że utrzyma sklep do czasu, gdy on ukończy szkołę. Obydwaj śmiali się z tego.

– Nie zamknęłabyś swojego sklepu nawet, gdyby się doszczętnie spalił

– kpił sobie z niej Matthew i Zoja zaczęła się śmiać. Dobrze знаła swoich chłopców i bardzo ich kochała. Gawędziła z Nicholasem w samolocie, w drodze powrotnej do Nowego Jorku, i w końcu nie wytrzymała. Nietrudno było zauważyć, że coś zaprzętało jego myśli, postanowiła więc go o to zapytać.

– No dobrze, Nicholasie, o co chodzi? Nie zniosę już dłużej niepewności. – W jej oczach zamigotały iskierki, a Nicholas zaśmiał się nerwowo.

– Za dobrze mnie znasz. – Poprawił krawat i odchrząknął.

– Chyba powinnam po tylu latach. – Skończył już trzydzieści dziewięć.

– Co przede mną ukrywasz?

Nagle przypomniała sobie, jak jej brat zabrał ją na przejażdżkę, całe wieki temu, i jak drwiła z niego w związku z jego tancerką. Wiedziała, mimo że nic jej nie powiedział, że chodzi o kobietę.

– Żenię się znowu.

– Mam klaskać czy płakać? – roześmiała się. – Czy polubię ją bardziej niż poprzednią?

Spojrzała na nią spokojnie, przystojny mężczyzna, o tak samo przenikliwych oczach jak jej.

– Jest prawnikiem. W gruncie rzeczy właśnie zaczyna pracować dla Paula Kelly’ego. Mieszka w Waszyngtonie i pracowała w biurze administracyjnym Kennedy’ego. Jest wesola i błyskotliwa i okropnie gotuje – roześmiał się. – Prawda jest taka, że mam bzika na jej punkcie.

– Znowu wydał się jakiś niespokojny. – Miałem nadzieję, że przyjdiesz dzisiaj zjeść z nami kolację, jeśli nie jesteś zbyt zmęczona. Od ponad roku kursowali oboje między Waszyngtonem a Nowym Jorkiem.

Zoja spojrzała na niego z powagą, żywiąc nadzieję, że tym razem zrobił lepszy wybór.

– Miałam zamiar pracować w sklepie do późna, ale... może dam się przekonać.

Roześmiali się oboje. Nicholas podrzucił ją do domu, jadąc do siebie. Julia czekała już na niego i kiedy powiedział, że zaprosił swoją matkę na kolację, spojrzała na niego z przerażeniem.

– Och, nie! Co będzie, jeśli się jej nie spodobam? Spójrz na tę sukienkę! Nie zabrałam z Waszyngtonu żadnego porządnego ubrania.

– Wyglądasz cudownie. Nie zwróci na to najmniejszej uwagi.

– Akurat!

Julia widziała jej zdjęcia, na których zawsze wyglądała nienagannie i była ubrana zgodnie z ostatnią modą.

Zoja przyglądała jej się uważnie, kiedy poszli na kolację do „La Côte Basque”. Była to ulubiona restauracja Zoi znajdująca się niedaleko sklepu. Julia była dokładnie taka, jak ją opisał Nicholas – wesola, błyskotliwa, zadowolona z życia, przejęta swoją pracą, ale nie do tego stopnia, żeby zapomnieć o wszystkim innym. Była o dziesięć lat młodsza od Nicholasa. Zoja doszła do przekonania, że będzie dla niego dobrą żoną. Tego samego wieczora, po rozstaniu z nimi, podjęła ważną

decyzję, postanowiła bowiem dać im w prezencie ślubnym cesarskie jajko. Nadszedł czas, żeby przekazała je swoim dzieciom.

Po kolacji poszła spacerowym krokiem do swojego sklepu, otworzyła sobie kluczem drzwi i przeszła przez ciche sale. Stróż nocny nie był zdziwiony, kiedy zobaczył światło wydostające się przez szczeliny drzwi jej biura. Często wpadała późnym wieczorem, żeby wszystko posprawdzać i zabrać część pracy do domu. Kiedy wróciła do swojego mieszkania, pomyślała jak to miło będzie kiedyś pracować razem z Matthew. Ten chłopiec rozjaśniał jej życie, to dziecko, o którym myślała, że jest na nie za stara. Simon miał rację. On sprawiał, że wciąż czuła się młodo, nawet teraz, gdy miała sześćdziesiąt dwa lata, wracała żywym krokiem do domu do Mariny, która czekała niecierpliwie na swoją ukochaną babcie.

Była już północ, kiedy wróciła do domu i usłyszała swoją wnuczkę wołającą ją ze swojej sypialni.

– Czy to ty, babciu?

– Mam nadzieję, że tak.

Weszła do jej pokoju, zdjęła kapelusz, który włożyła do kolacji z Nicholasem i Julią, i uśmiechnęła się do dziewczynki, która była tak do niej podobna. Miała włosy tak samo długie jak jej babka, choć włosy Zoi były teraz siwe, Mariny zaś spływały rudymi falami na ramiona.

– Wyobraź sobie co się stało! Zostałam zaproszona, żeby wystąpić w Centrum Lincolna!

– To ci dopiero! Opowiedz mi wszystko.

Usiadła na brzegu łóżka i słuchała z radością jej paplania. Dziewczynka żyła tańcem, ale nie ulegało wątpliwości, że nie wzięło się to wyłącznie z ambicji jej babki, dziecko miało ogromny talent.

– No dobrze, a teraz powiedz mi, kiedy.

Wymieniła całą obsadę, nazwisko choreografa, reżysera, ich biografie, opowiedziała o muzyce, dla niej nie było takie ważne, kiedy się odbędzie.

– Za sześć tygodni! Wyobrażasz sobie! Nigdy nie zdążę się przygotować.

– Zdążysz.

Jej studia trochę ucierpiały w ostatnich latach, lecz dla Mariny to także nie było takie ważne. Zoja zaczęła się coraz częściej zastanawiać, czy

tym razem muzy będą jej sprzyjać i Marina któregoś dnia zostanie wielką tancerką. Opowiedziała jej już dawno o tym, jak tańczyła w Ballets Russes w Paryżu, i o tym, jak występowała raz z Niżyńskim. Dużo później opowiedziała jej o rewii Fitzhuga. Marina uwielbiała tę historię, która sprawiała, że jej dystygowana babcia stawiała się kimś egzotycznym.

Sześć tygodni później przedstawienie wspaniale się udało. Marina po raz pierwszy w życiu bisowała. W wieku piętnastu lat rozpoczęła karierę. Była prawdziwą primabaleriną.

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Pierwsze dziecko Nicholasa urodziło się w 1963 i była to dziewczynka. W tym samym roku zastrzelono prezydenta Kennedy'ego, a Matthew zaczął pracować w „Hrabiance Zoi”. Zoja była bardzo wzruszona, kiedy Nicholas i Julia nazwali swoją córeczkę Zoe, co było amerykańską wersją jej imienia i w gruncie rzeczy podobało jej się o wiele bardziej. Marina miała siedemnaście lat i była już zawodową tancerką. Przyjęła rosyjskie nazwisko Zoi i była znana jako Marina Ossjupow. Pracowała bardzo ciężko jeżdżąc na występy po całym kraju. Nicholas uważał, że powinno się ją nakłonić do pójścia na jakąś uczelnię, ale Zoja była innego zdania.

– Nie każdy jest do tego stworzony, Nicholas. Ona już ma swoje życie. Skoro już zostałeś ojcem, przestań być takim sztywniakiem.

Zoja była zawsze otwarta na nowe pomysły, pełna entuzjazmu wobec życia, nigdy się nie nudziła. Paul nadał był w niej bardzo zakochany. Kilka lat wcześniej przeszedł na emeryturę i zamieszkał na stałe w Connecticut. Jeździła tam do niego, kiedy tylko mogła, a on zawsze narzekał, że jest zbyt zajęta. Sklep wydawał się na nowo rozkwitać. Sprowadziła rzeczy Cardina, Saint-Laurenta i Courregesa. Teraz jeździła do Paryża razem z Matthew. Uganiał się za każdą modelką, za jaką tylko mógł, i czuł się znakomicie mieszkając u Ritza. Miał dwadzieścia cztery lata, wypełniała go radość życia i miał skłonność do żartów, podobnie jak jego matka. Zoja, zamiast zwolnić nieco tempo życia, jak obiecywała, kiedy Matthew pojawił się na scenie, zaczęła pracować jeszcze więcej.

– Twoja matka jest niesamowita – powiedziała Julia Nicholasowi i w przeciwieństwie do większości synowych, naprawdę tak uważała. Od czasu do czasu jadły razem lunch i kiedy mała Zoe skończyła pięć lat, Zoja przyniosła jej pierwsze trykoty i baletki. Marina miała już wtedy dwadzieścia jeden lat i była gwiazdą pierwszej jasności. Występowała na całym świecie i wszędzie zbierała laury. Była pupilką miłośników baletu na całym świecie. Rok wcześniej tańczyła nawet w Rosji. Opowiedziała Zoi z podnieceniem o swojej wizycie w Leningradzie, jak nazywał się teraz Sankt Petersburg, widziała Pałac Zimowy i odwiedziła nawet Teatr Maryjski. Zoja słuchała jej ze łzami w oczach.

Brzmiało to jak spełnione marzenie... wszystkie miejsca, które opuściła ponad pięćdziesiąt lat temu, gdzie zostawiła jakąś część siebie, a teraz Marina tam była. Zoja nadal zapowiadała, że pojedzie kiedyś do Rosji, ale zamierzała odłożyć to sobie na stare lata.

– A kiedy to będzie, mamó? – żartował z niej Nicholas w dniu jej siedemdziesiątych urodzin. – Ja starzeję się szybciej niż ty. Mam już prawie pięćdziesiątkę. Problem w tym, że ty nie wyglądasz na swoje lata, a ja tak.

– Nie żartuj, Nicholas, wyglądam jak staruszka!

Ale co było zdumiewające, wcale tak nie wyglądała. Wciąż była piękna. Jej rude włosy posiwiały, ale zawsze były starannie uczesane, a zgrabne kostiumy i dopasowane sukienki podkreślały jej wciąż piękną figurę. Budziła powszechną zazdrość i była źródłem inspiracji dla tych, którzy ją znali. Ludzie wciąż przychodzili do sklepu domagając się widzenia z hrabianką. Matthew opowiadał mnóstwo zabawnych historyjek o ludziach, którzy twierdzili, że „absolutnie koniecznie muszą się z nią zobaczyć”.

– Jakbym była jakimś Luvrem – stwierdziła Zoja cierpko – tylko nieco mniejszym.

– No, mamó, nie bądź taka skromna. Bez ciebie ten sklep nic by nie znaczył.

Ale to już przestało być prawdą, Matthew zastosował techniki handlowe, których nauczył się w szkole biznesu i w ciągu pierwszych lat swojej działalności podwoił ich obroty. Rok później wprowadził nowe perfumy, które nazwał „Hrabianka Zoja”, i w ciągu następnych pięciu lat, znowu podwoił ich obroty. Nadszedł rok 1974 i „Hrabianka Zoja” – zarówno kobieta, jak i jej sklep stały się żywą legendą.

Wraz z tą sławą pojawił inny rodzaj zainteresowania sklepem, który przerażał Zoję, zaś Matthew uważał, że mogłoby z tego wynikać coś ciekawego. Federacja przedsiębiorstw chciała kupić ich sklep, podobnie jak kilka innych sieci, takich jak spółka handlująca alkoholem czy przedsiębiorstwo zajmujące się sprzedażą konserw, które chciały zainwestować w coś nowego. Matthew poszedł do biura Nicholas, żeby z nim wszystko przedyskutować, i dwaj bracia konferowali przez wiele dni. Nicholas dziwił się jedynie, że te oferty nie pojawiły się wcześniej.

– To twoja zasługa – powiedział spoglądając z dumą na swojego młodszego brata.

Ale Matthew tylko pokręcił głową, i krążył dalej po pokoju. Był typem mężczyzny, który wciąż znajdował się w ruchu. Przeglądał książki, oglądał przedmioty znajdujące się na półkach biblioteki Nicholas, po czym znowu odwrócił się do swojego brata i potrząsnął głową.

– Nie, tak nie jest Nick. To jej zasługa. Ja tylko wymyśliłem te perfumy.

– To niezupełnie jest prawdą, Matthew. Widziałem te sumy.

– Mniejsza z tym. Co powiemy mamie? Wiem, co ona sobie pomyśli. Ja mam trzydzieści pięć lat, mogę sobie znaleźć pracę. Ale mama ma siedemdziesiąt pięć. Dla niej będzie to oznaczało koniec.

– Sam nie wiem – zastanawiał się Nicholas.

Z ekonomicznego punktu widzenia oferty były zbyt korzystne, żeby odmówić, zwłaszcza jedna, która podobała się im obu. Dawała ona Matthew zatrudnienie na pięć lat w charakterze prezesa i konsultanta oraz ogromne pieniądze dla wszystkich, z Zoją włącznie. Wiedzieli jednak obydwaj, że to nie pieniądze interesowały ich matkę. Dla niej ważny był sklep i klienci, i jej entuzjazm.

– Myślę, że zrozumie, jakie płyną z tego korzyści – Nicholas miał taką nadzieję, ale Matthew tylko opadł ze śmiechem na skórzany fotel.

– To znaczy, że nie znasz swojej matki. Dostanie szału. Musimy pomyśleć raczej o tym, co ona będzie potem robiła. Nie chcę, żeby z tego powodu wpadła w depresję. W jej wieku mogłoby ją to zabić.

– To trzeba także rozważyć – zauważył mądrze Nicholas – przy jej siedemdziesięciu pięciu latach nie możemy oczekiwać, że będzie tam zawsze. A kiedy ona odejdzie, sklep zmieni się nieuchronnie. To ona wnosi tam to coś szczególnego, wszystko ożywa, kiedy ona tam wchodzi.

Zoja nadal chodziła codziennie do pracy, chociaż teraz kończyła dokładnie o piątej i szofer odwoził ją do domu. Nicholas starał się to na niej wymóc już parę lat wcześniej i w końcu łaskawie się poddała. Jednak była na posterunku już o dziewiątej rano, choćby się waliło i paliło.

– Będziemy po prostu musieli z nią porozmawiać – zdecydował w końcu Matthew.



Ale kiedy to zrobili, wpadła w szal, tak jak to Matthew bezbłędnie przewidział.

– Mamo, proszę cię, zobacz, co oni nam oferują. Zmroziła go spojrzeniem, które przypominało jej matkę.

– Czy jest coś, o czym nie wiem? Czy nagle zostaliśmy nędzarami?

Spojrzała bacznie na swojego syna i Matthew nie zdołał opanować śmiechu. Była niemożliwa, ale kochał ją ogromnie. Od pięciu lat był z pewną kobietą, przekonany, że kocha ją wyłącznie dlatego, że jest z pochodzenia Rosjanką, ma rude włosy i trochę przypomina Zoję.

Wiem, że to bardzo freudowskie, przyznawał nieraz. Ale ona była także inteligentna i bardzo seksowna. W czym również nie różniła się od jego matki.

– Czy przynajmniej zastanowisz się nad tym trochę? – spytał Nicholas.

– Tak. Ale nie spodziewajcie się, że wyrażę zgodę. Nie sprzedam swojego sklepu producentowi puszek zjedzeniem dla psów, tylko dlatego, że wy dwaj jesteście już znudzeni – zwróciła się do młodszego syna – dlaczego nie wymyślisz jakichś nowych perfum?

– Mamo, nigdy nie dostaniemy tak korzystnych ofert.

– Ale po co nam one? – Wtedy spojrzała na nich i nagle zrozumiała. Nie ulegało wątpliwości, że to, co sobie uświadomiła, zraniło ją boleśnie.

– Uważacie, że jestem za stara, prawda? – spoglądała to na Nicholasa, to na Matthew i była poruszona szacunkiem i miłością, jaką zobaczyła w ich oczach. – Jestem. Trudno temu zaprzeczyć, ale mam dobre zdrowie. Ja sama – zmrużyła oczy zastanawiając się – myślałam o przejściu na emeryturę, gdy będę miała gdzieś koło osiemdziesiątki. Wtedy wszyscy troje zaczęli się śmiać, po czym Zoja wstała obiecując, że zastanowi się nad ich propozycją.

Podczas następnych czterech miesięcy zrobił się wokół tego jeszcze większy ruch, napływały nowe oferty, jeszcze lepsze od poprzednich. Prawdziwym dylematem było jednak nie to, za ile, lecz czy w ogóle zamierzali sprzedawać sklep. Gdy nadeszła wiosna roku 1975 i Paul umarł cicho we śnie w wieku osiemdziesięciu sześciu lat, Zoja zdała sobie sprawę, że nie będzie żyła wiecznie. Nie byłoby fair z jej strony wiązać ze sobą swoich synów i odmówić im prawa do robienia tego, czego chcą. Ona przeżyła życie po swojemu, świetnie się bawiąc, i nie

miała prawa zmieniać biegu ich życia. Tak jak mocno sprzeciwiała się przedtem, tak teraz skapitulowała z wdziękiem któregoś popołudnia, pod koniec zebrania zarządu, sprawiając, że wszyscy zaniemówili.

– Naprawdę? – Nicholas patrzył na nią z niedowierzaniem. Zdążył już całkowicie się poddać i postanowił zatrzymać sklep wyłącznie przez wzgląd na nią.

– Tak, Nicky, naprawdę – powiedziała cicho. Dawno już go tak nie nazywała. – Myślę, że już czas.

– Jesteś pewna?

Zaczęło go to nagle niepokoić, że chciała tak łatwo się poddać. Może nie czuła się dobrze, albo wpadła w depresję. Ale kiedy spojrział w jej przenikliwe zielone oczy, nie było w nich nic, co by na to wskazywało.

– Jestem pewna, o ile wy obaj tego chcecie. Znajdę sobie coś innego do roboty. Chciałabym trochę popodróżować.

Obiecała Zoe, kilka tygodni wcześniej, że zabierze ją latem na wakacje do Paryża.

Wstała powoli i spojrzała po wszystkich.

– Dziękuję wam, panowie. Za waszą mądrość i cierpliwość, i radość, jaką dawała mi współpraca z wami.

Otworzyła ten sklep prawie czterdzieści lat temu, kiedy jeszcze wielu z nich nie było na świecie. Przeszła dookoła stołu podając wszystkim rękę na pożegnanie, a potem wyszła. Matthew otarł oczy. Była to bardzo szczególna chwila.

– Myślę, że stało się – Nicholas spojrział na niego smutno, kiedy zostali sami. – Jak sądzisz, ile czasu nam zajmie sfinalizowanie transakcji?

Ustalili już, którą ofertę wybierają.

– Sądzę, że kilka miesięcy. Myślę, że do lata wszystko będzie gotowe. – Matthew rozglądał się wokół wzruszony i podekscytowany.

Nicholas przytaknął, trochę ponuro.

– Ona chce zabrać Zoe do Europy. Zamierzałem ją zniechęcić, ale teraz zmieniłem zdanie.

– Zgódź się. To im obu dobrze zrobi. Nicholas skinął głową i poszedł do swojego biura.

## Rozdział pięćdziesiąty drugi

Słoneczny i jasny dzień zastał Zoję siedzącą ostatni raz przy swoim biurku. Spakowała swoje rzeczy poprzedniego dnia, a Matthew wydał na jej cześć nieprawdopodobne przyjęcie. Sklep zapełniły wszelkie możliwe sławy, były tam najznakomitsze osobistości, w tym dwie osoby z rodzin królewskich. Wszyscy ściskali ją, całowali i pozdrawiali. Teraz, przygotowując się do opuszczenia swego biura, siedziała i myślała o nich, o trzydziestu ośmiu latach, które im poświęciła. Kierowca chyba już na nią czekał przed sklepem, lecz ona się nie spieszyła, stała przy oknie obserwując ruch uliczny na Piątej Alei. Tak wiele rzeczy zmieniło się przez czterdzieści lat; tak wiele spełnionych marzeń i zawiedzionych nadziei. Przypomniała sobie, jak Simon pomógł jej wszystko rozkręcić, jak bardzo była tym podniecona, jak się cieszyła, kiedy pojechali razem do Europy zakupić pierwsze kolekcje. Całe życie, które minęło jak jedno mgnienie.

– Hrabianko? – usłyszała delikatny głos od strony drzwi i odwróciwszy się zobaczyła swoją ostatnią asystentkę, dziewczynę, która była młodsza od jej najstarszej wnuczki.

– Słucham?

– Samochód czeka na dole. Kierowca chciał pani to powiedzieć na wypadek, gdyby pani czekała.

– Dziękuję ci – uśmiechnęła się z wdziękiem, stała z wyprostowanymi plecami i pełnym godności spojrzeniem. – Powiedz mu, proszę, że będę na dole za chwilę.

Jej słowa i maniery więcej mówiły o jej szlacheckim pochodzeniu niż tytuł. Na każdym, kto kiedykolwiek miał okazję z nią pracować, pozostawiła niezatarte wrażenie.

Drzwi zamknęły się cicho, a ona rozejrzała się po pokoju po raz ostatni. Wiedziała, że jeszcze tam wróci, żeby odwiedzić Matthew, ale to już nigdy nie będzie to samo. Teraz sklep należał do nich. Dała im go, a oni zdecydowali, że go sprzedadzą. Podejrzewała, że Simon postąpiłby tak samo. Miał spryt do interesów, podobnie jak teraz Matthew.

Rzuciła ostatnie spojrzenie przez ramię i zamknęła drzwi. Szła wyprostowana w swoim nowym granatowym kostiumie od Chanel, włosy miała zaczesane do tyłu i starannie związane w węzeł. Kiedy

tylko wyszła z biura, omal nie zderzyła się z Zoe.

– Babciu! Bałam się, że się miniemy. Spójrz! Spójrz, co ja mam! Nicholas już dawno wyraził zgodę na ich wyprawę do Paryża i za dwa tygodnie miały wyjechać, ale tym razem nie płynęły statkiem. Miały polecieć samolotem. Nie było już statków, którymi Zoja chciałaby popłynąć i Zoe to nie przeszkadzało. Podskakiwała z radości, pełna dwunastoletniego entuzjazmu, trzymając w rękach mnóstwo różnych broszur. Zoja roześmiała się.

– Co tam masz?

Dziewczynka obejrzała się przez ramię, jakby ją ktoś śledził, i wyszeptała konspiracyjnym szeptem:

– Tylko nie mów tatusiowi. Jak już tam będziemy, on się nie zorientuje, gdzie jesteśmy.

Broszury, które pokazywała babce, nie były z Paryża, były to foldery Rosji. Kopyły Pałacu Zimowego rysowały się wyraźnie na zdjęciach. Pałac Katarzyny... Aleksandrowski... Aniczkowski...

Zoja patrzyła pytająco na swoją wnuczkę.

– Babciu, pojedźmy do Rosji!

Obiecywała to sobie już dawno i może teraz, z małą Zoe, będzie mogła tam pojechać.

– Sama nie wiem. Twój tata może nie zechce, żebyś tam jechała... Ale kiedy pomyślała o tym dłużej, uśmiechnęła się. Ponad pół wieku wcześniej wyjechała stamtąd ze swoją babką i teraz pojedzie tam ze swoją wnuczką.

– Wiesz – rozpromieniła się i otoczyła dziewczynkę ramieniem – nawet podoba mi się ten pomysł.

Wyszły razem z windy, przeglądając foldery, układając plany, ich umysły pracowały na pełnych obrotach.

Znalazły się na parterze i kiedy Zoja podniosła wzrok, ujrzała z zaskoczeniem gromady swoich pracowników, którzy zebrali się, żeby ją pożegnać. Niektórzy otwarcie płakali. Ścisłała im ręce, uśmiechała się, niektórych ucałowała, i nagle już było po wszystkim. Ona i dziewczynka znalazły się na dole, na Piątej Alei, i Zoja odesłała kierowcę. Wybrały się na długi spacer, a Zoe paplała z ożywieniem o ich podróży.

– A potem... mogłybyśmy pojechać do Moskwy!... – Jej oczy

błyszczały, podobnie jak oczy Zoi, kiedy jej słuchała.

– Nie. Moskwa jest bardzo nudna. Sankt Petersburg... i, być może... wiesz... jak byłam dzieckiem, jeździliśmy latem w jedno takie miejsce w Liwadii... na Krymie...

Szły ulicą, ramię w ramię, a za nimi powoli nadjeżdżała limuzyna Nicholasa. Nie mógł znieść myśli, że Zoja będzie sama po opuszczeniu sklepu, i przyjechał, żeby ją zabrać do domu. Wtedy nagle zobaczył je... znajome proste plecy w kostiumie Chanel i jego własna córka, jej włosy fruwały, gdy mówiła o czymś z ożywieniem. Stare i nowe. Przeszłość i przyszłość trzymające się za ręce w drodze do domu. Postanowił, że zostawi je same i podjechał wolno do sklepu, aby zobaczyć się z Matthew.

– Myślisz, że mogłybyśmy tam pojechać, babciu? do tej Liwadii, to znaczy... – spojrzała na nią oczami pełnymi miłości i Zoja uśmiechnęła się.

– Myślę, że tak, kochanie. Spróbujemy.